



**A.M. Homes**



**Niech  
będzie nam  
wybaczone**

Świat Książki

A.M. Homes



Niech  
będzie nam  
wybaczone

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Claudii, wobec której mam dług wdzięczności



\*

*„Niech będzie nam wybaczone” – inkantacja, modlitwa, nadzieja, że jakimś cudem wyjdę z tego cało. Czy zdarzyło wam się kiedykolwiek pomyśleć: „Robię to celowo, daję ciała i nie wiem dlaczego”?*

Chcecie poznać przepis na katastrofę?

Sygnał ostrzegawczy: rok temu, Święto Dziękczynienia w ich domu. Ponad dwadzieścia osób siedziało przy stołach ustawionych od jadalni do salonu w ciągu kończącym się przed ławeczką przy pianinie. Brat zajmował miejsce u szczytu dużego stołu, wydłubywał z zębów kawałki indyka i perorował o sobie. Obserwowałem go, odnosząc naczynia do kuchni, z palcami unurzanyymi w nieopisanej mazi – sosie żurawinowym, batatach, zimnych cebulkach, chrząstkach. Z każdym nawrotem z jadalni do kuchni

nienawidziłem go coraz bardziej. Powracały do mnie wszystkie grzechy naszego dzieciństwa, poczynając od jego narodzin. Przyszedł na świat jedenaście miesięcy po mnie, chorowity, bo przez pewien czas był niedotleniony, i poświęcono mu zbyt wiele uwagi. A potem, mimo że robiłem, co mogłem, by sobie uzmysłowił, że jest okropny, zachowywał się, jakby się uważał za dar niebios. Dano mu na imię George. Lubił, kiedy zwracano się do niego Geo, bo brzmiało to fajnie, jakby naukowo, matematycznie, analitycznie. Ja nazywałem go Geodą – pustką w skale wypełnioną minerałem. Przyciągając uwagę innych nadnaturalną pewnością siebie i arogancko uniesioną głową ze sterczącymi jasnymi kosmykami, sprawiał wrażenie, że coś wie. Ludzie zasięgali jego opinii, zabiegali o jego udział, ale na mnie wdzięk brata nie działał. Kiedy mieliśmy dziesięć i jedenaście lat, był ode mnie wyższy, masywniejszy, silniejszy. „Na pewno nie jest synem rzeźnika?” – pytał żartem ojciec. Nikt się nie śmiał.

Znosiłem ze stołu ciężkie talerze, półmiski, naczynia do pieczenia oblepione jedzeniem i nikt nie zauważył, że przydałaby mi się pomoc – ani George, ani dwójka jego dzieci, ani idiotyczni przyjaciele, a raczej podwładni (wśród nich pogodynka i siedzący sztywno rezerwowi prezenterzy i prezenterki, z wylakierowanymi fryzurami, podobni do Kena i Barbie), ani moja niecierpiąca indyka chińsko-amerykańska żona Claire, która zawsze nam

przypominała, że jej rodzina świętuje przy pieczonej kaczce i kleistym ryżu. Żona George'a, Jane, która krzątała się cały dzień, gotując, sprzątajac i podając, w tej chwili zgarbiała kości i resztki do dużego pojemnika na śmieci.

Oczyszczała talerze, układając brudne naczynia w stos i wrzucając śliskie sztucce do parującej, spienionej wody w zlewie. Spojrzała na mnie, odgarniając włosy wierzchem dłoni, i się uśmiechnęła. Zawróciłem do stołów.

Patrząc na dzieci George'a i Jane, wyobraziłem je sobie w strojach Pielgrzymów, w czarnych bucikach ze sprzączkami, pracujące ciężko jak woły i – jak dzieci Pielgrzymów – noszące wiadra z mlekiem. Dwunastoletni Nathaniel i jedenastoletnia Ashley siedzieli przy stole jak zgarbione, a raczej zwinięte, wlane w krzesła, pozbawione kręgosłupa niedojdy, poruszając jedynie kciukami – jedno pisało do znajomych, których nikt nie widział na oczy, drugie zabijało cyfrowych terrorystów. To były dzieci bez osobowości, bez prezencji, dzieci nieobecne, pojawiające się w domu jedynie w czasie ferii. Wysłano je w zbyt młodym – zdaniem niejednego – wieku do szkół z internatem, robiąc to – jak wyznała Jane – z konieczności. Podobno miały bliżej nie sprecyzowane kłopoty z nauką, nie rozwijały się prawidłowo, a nieprzewidywalne wahania nastroju George'a

uprzykrzały życie pod jednym dachem.

W tle, rywalizując o uwagę nieobecnych widzów, grały głośno dwa telewizory – w jednym leciała transmisja z meczu futbolu, a w drugim film *Wielki Joe*.

– Jestem prezesem działu rozrywki, oddanym telewizji sercem i duszą – powtarza George. – Czuwam na okrągło, dzień i noc, siedem dni w tygodniu.

W każdym pomieszczeniu jest telewizor; George nie znosi być sam, nawet w łazience.

Najwyraźniej nie potrafi też żyć bez ciągłego potwierdzania własnego sukcesu. Kilkanaście nagród Emmy, które wywedrowały z siedziby stacji, ozdabia teraz – wraz z różnymi innymi nagrodami i pochwałami utrwalonymi w rżniętym kryształach – jego dom. Wszystkie wyrażają uznanie dla George'a za umiejętną analizę kultury popularnej, za dostarczanie nam obrazu nas samych – w lekko krzywym zwierciadle, w formie półgodzinnego sitcomu lub serwisu wiadomości.

Na środku stołu stał półmisek z pozostałością indyka. Sięgnąłem ponad ramieniem żony – ciężka taca się zachybotała. Zmobilizowałem siły i balansując w zgięciu drugiego łokcia naczyniem po zapiekance z brukselki z bekonem, pomyślnie wypełniłem misję.

Indyka, „pamiątkowego ptaka”, cokolwiek to znaczy, tak przyjemnie wymasowano, zrelaksowano i natarto ziołami, aż uległ przekonaniu, iż nie jest tak źle stracić w dorocznym rytuale głowę i być nadzianym przez kuper



zurawinami i okruchami chleba. Hodowano go właśnie po to, z dokładnie ustaloną datą egzekucji.

Stałem w kuchni bratostwa, podskubując indycze mięso, a Jane w jasnoniebieskich rękawicach zmywała, po łokcie w pianie. Zagłębiłem palce w jeszcze ciepłym brzuchu ptaka, gdzie ostały się najlepsze kąski nadzienia. Wygarnąłem trochę i uniosłem do ust. Popatrzyła na mnie – usta miałem wilgotne i tłuste, a palce zwinięte w indyckim punkcie G, gdyby ptaki miały coś takiego – wysunęła ręce z wody, podeszła do mnie i pocałowała. Nie po przyjacielsku. Całus był poważny, wilgotny, pełen pożądania. Przeróżający i nieoczekiwany. Zrobiła to, potem ściągnęła rękawice i wyszła z kuchni. Trzymałem się blatu, ściskając go tłustymi palcami. Mocno.

Podano deser. Jane spytała, czy ktoś chce kawy, i wróciła do kuchni. Chodziłem za nią jak pies. Chciałem jeszcze.

Ignorowała mnie.

– Ignorujesz mnie? – spytałem.

Nie odpowiedziała, a potem podała mi kawę.

– Pozwolisz mi na małą przyjemność, takie małe coś tylko dla mnie? – Umilkła. – Ze śmietanką i z cukrem?

Od Święta Dziękczynienia przez Boże Narodzenie aż do nowego roku wyobrażałem sobie wciąż, jak mój brat pieprzy Jane. George był na niej albo, przy specjalnej

okazji, pod nią, a raz, gdy poniosła mnie fantazja, brał ją od tyłu – z oczami utkwionymi w naścienny telewizor, gdzie u dołu ekranu sunął pasek ze skrótami najnowszych wiadomości. Nie mogłem przestać o tym myśleć. Byłem pewien, że pomimo wdzięku i bezliku zawodowych osiągnięć George nie jest dobry w łóżku, a o seksie wie tyle, ile dowiedział się z magazynu czytanego ukradkiem na sedesie. Wyobrażałem sobie brata pieprzącego żonę – bezustannie. Ilekroć zobaczyłem Jane, stawał mi. Nosilem workowate spodnie z zaszewkami z przodu i dwie pary bokserów, żeby ukryć zdradliwy entuzjazm. Zabiegi te zaokrąślały mi figurę, więc się martwiłem, że wyglądam, jakbym przytył.

Pod koniec lutego, tuż przed ósmą wieczór, dzwoni Jane. Claire jest nadal w biurze; zawsze jest w biurze. Ktoś inny podejrzewałby żonę o romans; ja zwyczajnie myślę, że Claire jest inteligentna.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówi Jane.

– Nie martw się – odpowiadam, zanim się dowiem, z czym ma kłopot. Wyobrażam sobie, że dzwoni z kuchni, a długi spiralny kabel owija się wokół jej ciała.

– Jest na posterunku policji.

Patrzę na panoramę Nowego Jorku. Mieszkamy w nudnym, brzydkim powojennym budynku z białej cegły, ale wysoko, mamy duże okna i mały taras, na

którym kiedyś siadaliśmy i jedliśmy grzanki na śniadanie.

– Nabroił?

– Na to wygląda – mówi. – Chcą, żebym po niego przyjechała. Możesz mnie wyręczyć? Możesz pojechać po brata?

– Nie martw się – powtarzam własne słowa.

Po kilku minutach jestem w drodze z Manhattanu do osady Westchester, którą George i Jane nazywają domem. Dzwonię do Claire z samochodu; odzywa się poczta głosowa.

Nagrywam się: „George ma kłopoty, muszę po niego jechać i odwiedzić do domu, do Jane. Jadłem kolację, zostawiłem ci trochę w lodówce. Zadzwoń później”.

**Bójka.** Takie snuję przypuszczenia w drodze na posterunek. George ma to w sobie: impuls do reagowania z siłą wybuchu atomowego, ukryty pod powierzchnią do momentu, gdy coś go podrażni, a wtedy eksploduje, przewraca stół, wali pięścią w ścianę albo... Nieraz byłem ofiarą jego frustracji: powalał mnie na kolana uderzeniem piłką bejsbolową na wysokości nerek, w kuchni babci zagroził mi dostęp do ostatniego kawałka murzynka i pchnął tak, że wybiłem plecami szybę. Wyobrażam sobie, że po pracy poszedł na drinka i załazł komuś za skórę.

Trzydzieści trzy minuty później parkuję przed małym podmiejskim posterunkiem policji, białym pudełkiem z lat siedemdziesiątych. Wisi tam niestosowny w takim miejscu kalendarz z biuściastymi panienkami, jest słoik pełen cukierków i dwa metalowe biurka, które, gdy się je przypadkiem kopnie – tak jak ja to zrobiłem w tej chwili, przewracając pustą butelkę po dietetycznym dr. pepperze – zgrzytają jak rozbijające się samochody.

– Jestem bratem człowieka, w sprawie którego dzwoniło do jego żony – oznajmiam. – Przyjechałem w związku z George’em Silverem.

– Jest pan bratem?

– Tak.

– Dzwoniliśmy do żony, przyjedzie po niego.

– Zadzwoń do mnie, przyjechałem, żeby go zabrać.

– Zamierzaliśmy go zawieźć do szpitala, ale nie chce. Powtarza, że jest niebezpieczny i powinniśmy go zabrać „do miasta”, zamknąć i skończyć z tym. Moim zdaniem temu człowiekowi potrzebny jest lekarz, z czegoś takiego nie wychodzi się bez szwanku.

– Wdał się w bójkę?

– Wypadek samochodowy, poważny. Raczej nie był pod wpływem, dmuchał w balonik i zgodził się oddać mocz, ale tak naprawdę powinien pójść do lekarza.

– Do wypadku doszło z jego winy?

– Przejechał na czerwonym świetle, wbił się w minivana. Mąż zginął na miejscu, żona jeszcze żyła –

na tylnym siedzeniu, obok chłopca, który przeżył wypadek. Ekipa ratunkowa użyła nożyc do cięcia metalu, żeby ją uwolnić. Zaraz potem zmarła.

– Jej nogi wypadły z auta! – woła ktoś z biura w głębi.

– Chłopiec jest w dobrym stanie. Przeżyje – mówi młodszy policjant. – Pański brat jest na zapleczu. Pójdę po niego.

– Czy brat jest oskarżony o popełnienie przestępstwa?

– W tej chwili nie. Będzie dochodzenie. Funkcjonariusze ocenili, że na miejscu zdarzenia wyglądał na zdezorientowanego. Proszę go zabrać do domu, sprowadzić lekarza i adwokata, takie sprawy bywają paskudne.

– Nie chce wyjść – oznajmia młodszy policjant.

– Powiedz mu, że nie ma dla niego miejsca – mówi starszy. – Powiedz, że zaraz przyjadą prawdziwi kryminaliści i jeśli teraz nie wyjdzie, to mu w nocy zaszpuntują dekiel.

George zjawia się, rozmemłany.

– Dlaczego przyjechałeś? – pyta.

– Jane zadzwoniła, a poza tym to ty miałeś auto.

– Mogła wziąć taksówkę.

– Jest późno.

Idąc z George'em przez mały parking i dalej w ciemność, zmuszony wziąć go pod rękę i wieść za łokieć, nie jestem pewien, czy go podtrzymuję, czy powstrzymuję od ucieczki. W każdym razie nie odsuwa

się, pozwala się prowadzić.

– Gdzie Jane?

– W domu.

– Wie?

Potrząsam głową.

– To było straszne. Widziałem światło.

– Widziałeś światło?

– Chyba widziałem, ale nie wiedziałem, po co jest.

– Nie dotyczyło ciebie?

– Nie wiedziałem. – George wsiada do auta. – Gdzie Jane? – pyta znowu.

– W domu – powtarzam. – Zapnij pas.

Wjeżdżam na podjazd, światła reflektorów przecinają dom i łapią Jane w kuchni, z dzbankiem kawy w ręku.

– Dobrze się czujesz? – pyta, gdy wchodzimy do środka.

– Jak mogę się dobrze czuć – mówi George.

Opróżnia kieszenie, wykładając ich zawartość na kuchenny blat. Zdejmuje buty, skarpetki, spodnie, bokserki, marynarkę, koszulę, podkoszulek i upycha wszystko do pojemnika na śmieci.

– Chcesz kawy? – pyta Jane.

Nagi George stoi, przechylając głowę, jakby nasłuchiwał.

– Kawy? – pyta ponownie Jane, wykonując gest

dzbankiem.

George nie odpowiada. Przechodzi z kuchni przez jadalnię do salonu i siada w ciemnościach na krześle.

– Wdał się w bójkę? – pyta Jane.

– Miał wypadek. Zadzwoń do towarzystwa ubezpieczeniowego i do adwokata. Macie swojego adwokata?

– George, mamy adwokata?

– Potrzebuję adwokata? – pyta George. – Jeśli tak, dzwoń do Rutkowskiego.

– Coś z nim jest nie tak – stwierdza Jane.

– Zabił ludzi.

Zapada milczenie.

Jane nalewa George'owi kawy i zanosz do salonu razem ze ścierką, którą osłania mu genitalia, jakby rozkładała na kolanach serwetkę.

Dzwoni telefon.

– Nie odbieraj – ostrzega George.

– Halo – mówi Jane. – Przykro mi, nie ma go w domu, mam coś przekazać? – Słucha. – Tak, słyszę wyraźnie. – Rozłącza się. – Komuś drinka? – pyta nie wiadomo kogo, a potem nalewa sobie.

– Kto to był? – pytam.

– Przyjaciel tej rodziny – odpowiada, mając na myśli zabitych.

George, zgrabnie trzymając na podołku filiżankę, długo siedzi na krześle, ze ścierką osłaniającą męskość.

Pod nim tworzy się kałuża.

– George – mówi błagalnie Jane, słysząc kapanie. – Przydarzył ci się mały wypadek.

Wiekowa suka Tessie wstaje z pośłania, podchodzi i węszy.

Jane biegnie do kuchni i wraca z papierowymi ręcznikami.

– Zaraz zrobi się plama na podłodze – mówi.

Zachowujący cały czas obojętną minę George przypomina zrzuconą gadzią wylinkę. Jane zabiera mu filiżankę i podaje ją mnie. Podnosi wilgotną ścierkę z jego kolan, pomaga mu wstać i wyciera papierowymi ręcznikami nogi z tyłu i pośladki.

– Pomogę ci wejść na górę.

Przyglądam się, jak wchodzi po schodach. Widzę zwiotczone ciało brata, lekko obwisły brzuch, kości bioder, miednicę, płaski tyłek – blada skóra jaśnieje w ciemnościach. Idą na górę, a ja widzę poniżej tyłka, pomiędzy nogami George'a, różowosiny saczek kołyszący się jak u starego lwa.

Siadam na ich kanapie. Gdzie moja żona? Czy Claire nie jest ciekawa, co się stało? Nie dziwi się, dlaczego nie ma mnie w domu?

W pokoju śmierdzi moczem. Mokre papierowe ręczniki leżą na podłodze. Jane nie wraca, żeby zetrzeć



siuśki. Robię to za nią, a potem znów siadam na kanapie.

Wpatruję się przez mrok w starą drewnianą maskę z włosami z konopi, ozdobioną piórem i paciorkami, w to nieznajome oblicze, które Nate przywiózł ze szkolnej wycieczki do Afryki Południowej. Maską zdaje się odwzajemniać spojrzenie, jakby ktoś w niej mieszkał i chciał coś powiedzieć – milcząc szyderczo.

Nienawidzę tego salonu. Nienawidzę tego domu. Chcę wrócić do siebie.

Wysyłam esemesa do Claire, wyjaśniając, co się stało. Odpisuje: „Korzystam, że cię nie ma, i jeszcze siedzę w biurze; powinieneś chyba tam przenocować na wszelki wypadek”.

Posłusznie układam się do snu na kanapie, okrywając ramiona małym, śmierdzącym pledem. Suka Tessie układa się obok i grzeje mi stopy.

Rano nastaje czas pośpiesznych telefonów i ściszonych rozmów; z faksu wysuwa się kopia raportu z wypadku. Mamy zabrać George'a do szpitala, gdzie będą szukać przyczyny, ukrytego wyjaśnienia, które zdejmie z niego odpowiedzialność.

– Czy ja ogłuchłem, czy co się tu, kurwa, dzieje? – dopytuje się George.

– George – mówi wyraźnie Jane. – Musimy jechać do szpitala. Zapakuj torbę.

George pakuje torbę.

Podwożę ich. Brat siedzi obok, w wytartych sztruksach i flanelowej koszuli, którą ma od piętnastu lat. Jest nierówno ogolony.

Prowadzę trochę spięty, niepokojąc się, że jego zadowolenie pryśnie, coś sobie raptem przypomni, wybuchnie i spróbuje złapać kierownicę. Pasy są dobre, nie pozwalają na gwałtowne ruchy.

– „Głupek Simon na targ poszedł, spotkał pasztetnika. «Ty upiekleś, ja spróbuję, prosta to logika» – podśpiewuje George. – Głupek Simon poszedł z wędką złapać wieloryba, wiadro wody wziął ze sobą, bo woda się przyda”. Uważaj – mówi do mnie – bo dostaniesz to, o coś się prosił.

W izbie przyjęć pogotowia szpitalnego Jane podchodzi do lady, podaje informację o ubezpieczeniu, raport policyjny i wyjaśnia, że wczoraj mąż uczestniczył w wypadku samochodowym, w którym zginęli ludzie, i na miejscu zdarzenia nie całkiem kojarzył, co zaszło.

– To nie tak! – ryczy George. – Ten kurewski SUV wyrósł przede mną jak biała chmura, nic poza nim nie widziałem, mogłem tylko wbić się w niego jak w tanie aluminium, w kurewską poduchę. Poduszka powietrzna rzuciła mnie w tył, przygwoździła, pozbawiła tchu, a gdy w końcu się wygramoliłem, zobaczyłem w tamtym aucie

ludzi ściśniętych jak lazania. Chłopiec na tylnym siedzeniu zanosił się od płaczu. Miałem ochotę dać mu w nos, ale jego matka wytrzeszczała na mnie oczy.

Gdy to mówi, od tyłu podchodzą do niego dwaj potężni mężczyźni. Nie widzi, co się święci. Chwytają go. Jest silny. Wyrywa się.

Następnym razem widzimy go w klitce na tyłach izby przyjęć, z rękoma i nogami przywiązanymi do noszy.

– Wie pan, dlaczego pan tu jest? – pyta lekarz.

– Źle trafiłem – odpowiada George.

– Pamięta pan, co się stało?

– Raczej nigdy nie zapomnę. Z pracy wyszedłem około wpół do siódmej. W drodze do domu postanowiłem się zatrzymać i coś przegryźć. Normalnie tego nie robię, ale, przyznaję, byłem zmęczony. Nie widziałem jej. Kiedy się zorientowałem, że w coś uderzyłem, zatrzymałem się. Zostałem przy niej. Podtrzymywałem ją. Wyślizgiwała się spod siebie, ciekło z niej jak z zepsutego silnika. Zrobiło mi się niedobrze. Nienawidziłem jej. Za to, że jest taka zdumiona, szara, że tworzy się pod nią kałuża – nie wiedziałem nawet, skąd właściwie wypływa. Zaczęło padać. Zjawili się ludzie z kocami – skąd te koce? Słyszałem wycie syren. Objężdżały nas auta, siedzący w nich ludzie się gapili.

– O czym on mówi? – pytam, zastanawiając się, czy to mnie się coś miesza, czy to jemu wszystko się pokręciło. – To nie było tak, to nie ten wypadek, może inny, ale nie

ten.

– George – mówi Jane. – Czytałam raport policyjny, to nie było tak. Myślisz o czymś innym? O czymś, co ci się przyśniło albo co widziałeś w telewizji?

George tego nie wyjaśnia.

– Jakież objawy psychiczne albo neurologiczne w przeszłości? – pyta doktor.

Kręcimy głowami.

– Jaka jest pana specjalność zawodowa?

– Prawo – mówi George. – Studiowałem prawo.

– Niech państwo zostawią go u nas – proponuje lekarz.

– Zrobimy badania, a potem porozmawiamy.

Znowu nocuję w domu George'a i Jane.

Na drugi dzień, gdy jedziemy go odwiedzić, zastanawiam się na głos:

– Czy oddział psychiatryczny to dla niego odpowiednie miejsce?

– To są przedmieścia – odpowiada Jane. – Czy oddział psychiatryczny na przedmieściach może być niebezpieczny?

George jest sam w pokoju.

– Dzień dobry – wita go Jane.

– Naprawdę? Nic o tym nie wiem.

– Jadłeś śniadanie? – pyta, widząc stojącą przed nim tacę.

– To żarcie dla psów. Weź dla Tessie.  
– Masz nieświeży oddech. Myleś zęby? – pytam.  
– Nie robią tego za ciebie? – odpowiada George. – Pierwszy raz jestem w psychiatriku.  
– To nie jest szpital psychiatryczny – prostuje Jane. – Trafiłeś na oddział psychiatryczny.  
– Nie mogę iść do łazienki – narzeka George. – Nie mogę się przejrzeć w lustrze... nie mogę.  
W jego głosie pobrzmiwa nuta hysterii.  
– Mam ci pomóc? Mogę ci pomóc przy toalecie – proponuje Jane, otwierając zostawiony dla niego przybornik toaletowy.  
– Nie zmuszaj jej do tego – wtrącam. – Nie jesteś małym dzieckiem, otrząśnij się, nie zachowuj się jak zombi.  
George zaczyna płakać. Sam się sobie dziwię, jakim tonem do niego mówię. Wychodzę z pokoju. Jane moczy pod kranem myjkę.

Wieczorem, po pracy, do szpitala przyjeżdża Claire, przywożąc dla nas czworga chińszczyznę. Jak na kogoś o chińskich korzeniach Claire jest zadziwiająco mało wybredna, jeśli idzie o chińskie dania – dla niej nie różnią się od siebie, będąc jedynie wariacjami na temat. Podgrzewamy je w mikrofalówce z napisem: „Do użytku pacjentów, nie wkładać produktów lekarskich”. Myjemy

ręce, korzystając z butelek z pieniącym się środkiem, umieszczonych na każdej ścianie w każdej sali. Uważam, żeby niczego nie odkładać, niczego nie dotykać – nagle ogarnia mnie lęk przed zjedzeniem śmiertelnych bakterii. Zaglądam do swojej porcji i widzę robaczka, którego dyskretnie pokazuję Claire.

– To nie robak, to ziarno ryżu.

– To larwa – szepczę.

– Zwariowałaś.

Widelcem wydobywa ziarno ryżu.

– Czy ryż ma oczy? – pytam.

– To pieprz.

Claire ociera powieki.

– Gdzie to kupiłaś?

– W barze przy Trzeciej Alei, kiedyś go lubiłeś – przypomina.

– Tym zamkniętym przez wydział zdrowia? – pytam zaniepokojony.

– Czeka cię niezła wyprawa – przerywa nam Jane.

– Jadę na kilka dni do Chin – wyjaśnia Claire.

– Nikt nie jedzie do Chin na kilka dni – burczy George.

Claire jeździ.

George nie chce jeść, natomiast – w ramach samoudręczenia – wysysa prosto z plastikowych torebek ostrą musztardę. Nikt go nie powstrzymuje. Mam ochotę powiedzieć: „Dla mnie też”, ale nie robię tego.

– Kiedy wyjeżdżasz? – pyta Jane.

– Jutro.

Podaję George'owi kolejną paczuszkę musztardy.

Później, na osobności, Claire pyta mnie, czy George i Jane mają broń.

– Jeśli nie mają, powinni kupić – mówi.

– Co ty opowiadasz? Powinni mieć broń? Tak się traci życie, kupujesz broń, a potem ktoś do ciebie strzela.

– Chcę tylko powiedzieć, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby któregoś dnia Jane po powrocie do domu zastała tam rodzinę ludzi, których potrafił George. Zniszczył im życie, więc będą chcieli się zemścić. Zostań z nią, nie zostawiaj jej samej, Jane jest wrażliwa – radzi Claire. – Wyobraź sobie, że coś takiego przydarzyłoby się tobie. Gdybyś sfiksował, to nie chciałbyś, żeby ktoś był przy mnie i miał oko na dom?

– Mieszkamy w apartamencie z portierem. Gdybym zwariował, dałabyś sobie radę.

– To prawda. Gdyby coś ci się stało, dałabym sobie radę, ale Jane jest inna. Potrzebuje kogoś. Powinieneś też odwiedzić tego chłopca, który przeżył. Adwokat doradzi, żebyś tego nie robił, ale ty to zrób. George i Jane powinni wiedzieć, czego się spodziewać. Dlatego właśnie prowadzę sprawy chińskie – wyjaśnia Claire. – Cały czas myślę.

Puka się w skroń. Myśleć. Myśleć. Myśleć.

Tak więc nazajutrz odwiedzam chłopca, nie tyle z potrzeby dokonania niemożliwego szacunku, jak dużo będzie kosztować „naprawa” jego psychiki, ile z powodu familijnego poczucia winy. Zatrzymuję się w sklepiku z podarunkami, gdzie do wyboru są tylko różnokolorowe goździki, różańce i cukierki. Chłopiec leży w tym samym szpitalu co George, na oddziale pediatrii – dwa piętra wyżej. Siedzi w łóżku, wysoko podparty na poduszkach, je lody i nie odrywa oczu od telewizora – ogląda właśnie *SpongeBoba Kanciastoportego*. Ma około dziewięciu lat, jest pulchny, zrośnięte brwi gną się mu w kształt dużego M. Prawe oko jest podbite, na ogolonym placku z boku głowy wietrzy się mięsista fioletowa pręga szwów. Przekazuję prezenty siedzącej przy chłopcu kobiecie. Mówi, że mały ma się w miarę dobrze, zawsze ktoś przy nim jest, krewny albo pielęgniarka.

– Ile pamięta? – pytam.

– Wszystko. Pan jest z firmy ubezpieczeniowej?

Kiwam głową – czy kiwnięcie jest tożsame z kłamstwem?

– Masz wszystko, czego ci potrzeba? – pytam chłopca.

Nie odpowiada.

– Przyjdę za kilka dni – obiecuję. Pilno mi stamtąd wyjść. – Jeśli coś ci się przypomni, to mi powiesz.



Zabawne, jak szybko coś zmienia się w przyzwyczajenie, w codzienność. Mieszkam z Jane i jest tak, jakbyśmy bawili się w dom. Tego wieczoru wynoszę śmieci i rygluję drzwi; Jane przygotowuje coś do zjedzenia i pyta, czy wejdę na górę. Oglądamy telewizję i czytamy. Czytam to, co czytał George, jego gazety i magazyny, „Media Age”, „Variety”, „The Economist” i grubą biografię Thomasa Jeffersona leżącą przy łóżku.

Zdarza się wypadek, a potem zdarza się to. Nie tego samego wieczoru co kraksa ani tego, w którym wszyscy odwiedzamy szpital. Zdarza się to następnego wieczoru, dzień po tym, kiedy moja żona prosi, żebym nie zostawiał Jane samej, dzień po jej wyjeździe do Chin. Claire wyrusza w podróż, George’owi się pogarsza, a potem zdarza się to. Coś, co nie miało się nigdy zdarzyć.

Wieczorne odwiedziny w szpitalu nie udają się. George, nie wiadomo dlaczego, jest pod kluczem, w pokoju o wyściełanych ścianach, z rękoma przywiązanymi do ciała. Jane i ja na zmianę zaglądamy przez małe okienko. Wygląda żałośnie. Jane prosi, żeby ją wpuszczono, i nie ustępuje pomimo ostrzeżeń pielęgniarki. Wchodzi do niego, woła jego imię. Kiedy George podnosi głowę, odgarnia mu włosy, ociera zmarszczone czoło. On rzuca się na nią, przygniata swoim ciężarem i zaczyna gryźć – w twarz, w szyję, w ręce, w kilku miejscach do krwi. Wpadają pielęgniarki,

ściąga ją z niej. Jane zostaje odprowadzona na dół i opatrzona na izbie przyjęć. Oczyszczają jej rany, nakładają opatrunki i dostaje zastrzyk, jak przeciw wścieklicznie.

Wracamy do domu. Jane podgrzewa w mikrofalce murzynki po sto kalorii porcja, nakładam na nie beztłuszczowe lody, ona psiuka bitą śmietaną bez kalorii, a ja zwieńczam czekoladową posypką. Jemy w milczeniu. Wynoszę śmieci, zdejmuję ubranie, które noszę od kilku dni, i wkładam piżamę brata.

Biorę bratową w objęcia. Chcę pocieszyć. Jestem w jego piżamie, Jane nadal jest ubrana. Niczego się nie spodziewam.

– Przepraszam – szepczę bezwiednie.

W chwilę potem tuli się do mnie, kładzie dłonie na biodrach i zsuwa spódnicę.

Kiedyś niewiele zabrakło, a powiedziałbym Claire o Święcie Dziękczynienia. Prawdę mówiąc, próbowałem jej o tym powiedzieć któregoś wieczoru po seksie, gdy czułem naszą bliskość. Kiedy zacząłem mówić, Claire usiadła, otuliła się kołdrą, a ja zrezygnowałem ze zwierzeń. Zmieniłem opowieść. Nie wspomniałem o pocałunku, jedynie o tym, że Jane się o mnie otarła.

„Stałeś jej na drodze, próbowała cię minąć, a nie się do ciebie dobrać” – uznała Claire.

Nie wspomniałem, że czułem, jak moja szwagierka zaciska uda, a czubek mojego penisa napiera na jej

biodra.

„Tylko tobie przysłoby do głowy, że z tobą flirtuje” – orzekła z odrazą Claire.

„Tylko mnie – przyznałem. – Tylko mnie”.

Jane przyciąga mnie do siebie; ma wąskie biodra. Moje dłonie wsuwają się do jej majtek. Nowa dżungla. Jane wzdycha. To, co czuję pod palcami, miękkość intymnych stref, jest niewiarygodne. I myślę – to nie dzieje się naprawdę – no bo jak?

Jej usta przywierają do mnie; sięga po coś, jakiś krem, w pierwszej chwili chłodny, potem ciepły. Głaszcze mnie, zagląda w oczy. I znów przywiera ustami. Nie sposób jej odmówić. Ściąga ze mnie piżamę, szybko mnie dosiada. Ekspłoduję.

Prześlągnięty jej zapachem, zbyt wstrząśnięty, by wziąć prysznic bądź zasnąć w ich łóżku, czekam, aż ona zaśnie, a wtedy schodzę na dół, do kuchni, i myję się płynem do zmywania. Jestem w kuchni brata o trzeciej nad ranem, moczę fujarę w jego zlewie, wycieram się ręcznikiem z napisem „Home Sweet Home”. Rano powtarza się to samo, gdy Jane znajduje mnie na kanapie, a potem znowu po południu, po odwiedzinach u George’a.

– Co ci się stało w rękę? – pyta nazajutrz mój brat, widząc zabandażowaną dłoń Jane. Jest z powrotem w swoim szpitalnym pokoju i nie pamięta nic z wczorajszego dnia.

Jane zaczyna płakać.

– Wyglądasz okropnie – mówi George. – Odpocznij.

– To trudny okres – wtrącam.

Tego wieczoru otwieramy butelkę wina i znów to robimy, tylko wolniej, z większym rozmysłem, świadomie.

Szpital go wypuszcza, a raczej George sam postanawia wyjść. Trudno w to uwierzyć, ale udaje mu się niepostrzeżenie opuścić szpital w środku nocy. Wraca do domu taksówką, za którą płaci pieniędzmi wygrzebanymi z dna kieszeni. Nie może znaleźć kluczy, więc dzwoni. Pies szczeka.

Może to właśnie usłyszałem – szczekanie psa.

A może brat nie zadzwonił do drzwi, może pies nie zaszcekał. Może George wyciągnął zapasowy klucz z zagłębienia w sztucznym kamieniu ogrodowym przy drzwiach i zakradł się do własnego domu cichcem niczym intruz.

Może wszedł na górę, zamierzając wsunąć się do łóżka, ale jego miejsce było zajęte. Nie wiem, jak długo tam stał. Nie wiem, jak długo trwało, zanim chwycił lampę po jej stronie łóżka i walnął ją w głowę.

Właśnie wtedy się obudziłem.

Ona krzyczy. Jeden cios nie wystarcza. Próbuje wstać; lampa nawet nie pękła. George patrzy na mnie, znów podnosi lampę i robi zamach. Porcelanowy wazon będący jej podstawą rozbija się na głowie Jane. Zdażyłem już wyskoczyć z łóżka. George ciska na bok resztki lampy – krew spływa mu po palcach – chwytą telefon i rzuca go w moim kierunku.

– Wezwij! – rozkazuje.

Stoję naprzeciw brata, w jego piżamie. Jesteśmy tacy sami, jak dwóch mimów, tak samo gestykulujemy, mamy takie same twarze, rodzinną szczękę, czoło po ojcu, te same wewnętrzne sprzeczności. Gapię się na niego, nie wiedząc, co z tego wyniknie. Niepokojący chrapliwy odgłos mobilizuje mnie, wybieram numer.

Niechcący upuszczam telefon. Kiedy się pochylam, żeby go podnieść, brat kopie mnie mocno w podbródek. Głowa odskakuje mi do tyłu. Przewracam się, a on opuszcza pokój. Widzę pod wierzchnim okryciem szpitalną koszulę, wystającą jak jakiś ogon. Słyszę ciężkie kroki, gdy George schodzi na dół. Jane wydaje alarmujący jęk. Macam po podłodze, przyciągam telefon i wybieram 0. Wybieram 0, jakbym był w hotelu i spodziewał się, że ktoś odbierze. Rozpoczyna się długie nagranie, rozbudowane objaśnienie tego, co może działać przycisk 0. Zdam sobie sprawę, że będzie się tak wlokło do usranej śmierci, nim odezwie się ktoś żywy. Rozłączam się i po kilku próbach udaje mi się

roztrzęsioną ręką wybrać 911.

– Pobito kobietę. Pośpieszcie się – mówię i podaję adres.

Dźwigam się na nogi, idę do łazienki, biorę myjkę, jakby to mogło coś pomóc, jakbym mógł nią zetrzeć krew. Nie wiem nawet, od czego zacząć; jej głowa to miazga z krwi, włosów, kości, kawałków lampy, więc trzymam myjkę i czekam.

Trwa to w nieskończoność. Pierwszy podjeżdża wóz strażacki. Cały dom się trzęsie. Zostawiam Jane i podchodzę do okna. Idą przez trawnik w pełnym rynsztunku, w hełmach i kurtkach, zabezpieczeni przed wodą ze zraszacza, który wyłączy się o świcie.

Nie wiem, czy drzwi otwiera im George, czy sami wchodzi.

– Na piętrze! – krzyczę.

Po chwili są przy niej. Jeden stoi z boku i mówi do radionadajnika, jakby składał sprawozdanie.

– Mamy kobietę w średnim wieku, otwarta rana głowy z tkanką na wierzchu. Przynieście długie nosze, tlen, torbę lekarską, potrzebna karetka i policja. Kim jest ta kobieta? – pyta mnie.

– To Jane. Żona mojego brata.

– Ma pan jej prawo jazdy albo inny dokument tożsamości?

- Torebka jest na dole.
- Ważne informacje o zdrowiu, alergię, inne choroby?
- Czy Jane ma jakieś kłopoty ze zdrowiem?! – wołam nad schodami.
- Od uderzenia lampy w głowę – odpowiada mój brat.
- Coś jeszcze?
- Wpierdziela witaminy – mówi George.
- Jest w ciąży? – pyta strażak.
- Od tego pytania robi mi się słabo.
- Nie powinna – mówi George, a ja mimo woli domyślam się napięcia w jego słowach.
- Ustabilizujcie szyję – mówi jeden ze strażaków.
- To nie szyja, to głowa – mówię.
- Niech pan się odsunie – poleca ten z radionadajnikiem.

Przyjeżdża pogotowie, podsuwają pod Jane pomarańczowe nosze, przytwierdzają ją do nich czymś, co wygląda na zwykłą taśmę, i owijają głowę gazą. Przypomina mumię, ofiarę wojny, a może uczestniczkę zjazdu Szpitalników.

Pomrukuje gardłowo, kiedy pięciu strażaków wynosi ją, zostawiając resztki sterylnych opatrunków i ślady butów. Kiedy biorą zakręt, uderzają w poręcz, która pęka z trzaskiem.

- Przepraszamy.

Szybciej, niż można się spodziewać, wychodzą kuchennymi drzwiami i ładują się od tyłu do karetki.

George pije w kuchni kawę. Ma krew na rękach, jakieś drobiny przyklejone do twarzy, okruchy lampy – odłamki.

– Nie parkować na trawie – mówi do pierwszego policjanta, który się zjawia. – Proszę przekazać podkomendnym.

– Który z panów to pan Silver? – pyta policjant. Pewnie detektyw, bo nie w mundurze.

Obaj równocześnie unosimy rękę.

– Ja.

– Wasze dokumenty tożsamości.

George gmera, jakby szukał papierów, szpitalny fartuch aż fruwa.

– Jesteśmy braćmi – mówię. – Ja jestem starszy.

– Więc kto, komu i co zrobił?

Detektyw już wyjął notes.

George pociąga łyżeczek kawy. Ja milczę.

– To proste pytanie. Tak czy owak zdejmujemy odciski z lampy. Odciski! – woła detektyw. – Weźcie całą ekipę. – Kaszle. – No więc... czy w domu jest ktoś jeszcze? Mamy szukać? Jeżeli to nie jeden z was przydzwonił jej lampą, to może osoba, która to zrobiła, nadal przebywa w domu, a może jest gdzieś jeszcze jedna ofiara.

Urywa, czekając na jakiś odzew.



Odpowiada mu tykanie kuchennego zegara. Niemal odchodzę od zmysłów, kiedy wyskakuje kukułka i kuka – kuku, kuku, kuku – sześć razy.

– Przeczesać dom! – woła detektyw do swoich ludzi. – Sprawdźcie, czy nie ma nikogo więcej. Dowody do torebek. To dotyczy również lampy. – Zwraca się do nas. – Jest poniedziałek rano, wstałem z łóżka, żeby tu przyjechać. Żona daje mi w każdy poniedziałek rano, o nic nie pytając, bo lubi, żebym tydzień zaczynał w dobrym humorze, dlatego nie liczcie na moją sympatię.

– Co ty sobie, do kurwy nędzy, myślisz, chuju, kurwa twoja mać! – wybucha George.

Dwóch roślących policjantów blokuje drzwi kuchni. Raptem nie ma jak stamtąd wyjść.

– Zakujcie go – rozkazuje detektyw.

– Ja nie do pana – wyjaśnia George. – Mówiłem do brata. – Patrzy na mnie. – To jest moja piżama. Zrobiłeś to.

– Tym razem nie będę mógł ci pomóc – mówię.

– Popeliłem przestępstwo? – pyta George.

– Trudno powiedzieć – odpowiada policjant, zakładając mu kajdanki.

– Dokąd go zabieracie? – pytam.

– A gdzie konkretnie mielibyśmy go zabrać?

– Był w szpitalu. Musiał stamtąd wyjść wczoraj wieczorem. Pod spodem ma szpitalną koszulę, widzicie?

– Znaczy uciekł?

Kiwam głową.

– Jak się dostał do domu?

– Nie wiem.

– Na piechotę, w ciemnościach, kurwa mać. Cipolizie!

Karetka zabiera Jane, policja zabiera George'a, a ja zostaję z policjantem, który czeka na ekipę kryminalistyczną. Zaczynam wchodzić na górę, policjant mnie zatrzymuje.

– Miejsce zbrodni – wyjaśnia.

– Ubranie – mówię, poruszając nogawkami piżamy, która tak naprawdę należy do George'a.

Odprowadza mnie do sypialni, która wygląda jak po przejściu tornada – na podłodze rozbita lampa, krew, skotłowana pościel. Zdejmuję piżamę i bez słowa pożyczam czyste ubranie brata, wiszące na drzwiczkach szafy w plastikowej torbie z pralni chemicznej.

– Brudne rzeczy zostawi pan w pokoju – poleca policjant. – Nigdy nie wiadomo, co się okaże.

– Racja – odpowiadam i schodzimy na dół.

Z policjantem za plecami czuję się dziwnie, jak podejrzany. Przychodzi mi na myśl, że dobrze byłoby zadzwonić do adwokata George'a i powiadomić go o rozwoju wypadków, ale nie pamiętam jego nazwiska. Zastanawiam się też, czy policjant mnie obserwuje, czy powinienem wystrzegać się szybkich ruchów, nie sięgać po coś i tak dalej. No i jak mam się od niego uwolnić, by zadzwonić na osobności?

– Włożę pranie do suszarki.

– Pan zaczeka – powstrzymuje mnie policjant. – To

może pan zrobić później. Mokre ubranie zostaje mokre.

– Dobra. – Siadam przy kuchennym stole, biorę telefon do ręki i przeglądam nazwiska dzwoniących w nadziei, że znajdę nazwisko adwokata, które zabrzmi znajomo. No i proszę... Rutkowski. – Mogę zadzwonić?

– To pan płaci.

– Mogę wyjść na dwór?

Policjant kiwa głową.

– Dzwonię nie w porę? – pytam, kiedy odbiera adwokat Rutkowski.

– Kto mówi?

– Silver, Harry Silver, brat George'a Silvera.

– Właśnie jadę do sądu.

Stoję na podwórku przed domem, bosy na wilgotnej trawie.

– Zdarzyło się to i owo. – Milknę. – Wczoraj wieczorem George wyszedł ze szpitala, Jane jest ranna, oberwała lampą w głowę. Jest tu policja, czekają na ekipę kryminalistyczną i...

– Skąd pan się tam wziął?

– Poproszono mnie, żebym na czas, kiedy brat jest w szpitalu, dotrzymał jej towarzystwa.

– Gdzie jest Jane?

– Zabrano ją do szpitala.

– A George?

– Jego też zabrano.

– Czy wygląda to na poważne przestępstwo?

– Tak.

– Kiedy przyjadą policjanci, proszę za nimi chodzić i nie odstępować ich na krok, nawet jeśli każą panu odejść. Niech niczego nie przestawiają, a jeżeli poproszą, żeby pan czegoś dotknął albo coś przesunął, ręce do kieszeni. Mogą robić zdjęcia, mogą podnosić przedmioty pęsetami i wkładać je do torebek.

– Sąsiedzi gapią się przez okna.

– Przyjadę o wpół do piątej. Do tego czasu proszę niczego nie zmieniać na miejscu wypadku.

– Na wypadek gdybym nie wrócił, zostawię klucz pod sztucznym kamieniem przy drzwiach wejściowych.

– A dokąd się pan wybiera?

– Do szpitala.

– Pan poda numer swojej komórki, a nuż będę pana potrzebował.

Podaję mu numer i się rozłącza. W głowie słyszę głos Jane: „Kondomy?”.

Tak. Ale gdzie teraz są? Przepadły, zużyte, skończone, wrzucone do kubła na śmieci, pełne lagru.

Wracam do domu.

– Wolno zaparzyć świeżą kawę?

– Nie powstrzymam pana – mówi policjant. – Ten pies był tu cały czas? – Wskazuje Tessie, która ma sucho w misce i zlizuje wodę z moich stóp.

– To Tessie.

Nalewam jej świeżej wody i sypię karmę.

Ekipa kryminalistyczna przebiera się na trawniku przed domem. Rozkładają białe jednorazowe polietylenowe kombinezony i nakładają je, wraz z ochraniaczami stóp i lateksowymi rękawiczkami, jakby czekała ich operacja wysokiego ryzyka.

– No nie, to niekonieczne – zapewniam. – Niczym nie zarazamy, a dywan już jest zniszczony.

Nie reagują.

– Ktoś chce kawy? – pytam, unosząc kubek. Zwykle nie piję kawy, ale tego ranka to już moja czwarta; mam swoje powody. Posłusznie chodzę za nimi z pokoju do pokoju. – Używacie taśmy i zapisu cyfrowego?

– Tak – odpowiada fotograf, trzaskając zdjęcia.

– To bardzo ciekawe. Skąd pan wie, co fotografować?

– Przepraszam, mógłby się pan odsunąć?

Przed odejściem ekipy policjant wyjmuje notes.

– Jeszcze parę pytań, zanim pójdę. W tej historii jest kilka białych plam, dziur.

– Na przykład?

– Czy uprawiał pan z nią seks, kiedy brat wrócił do domu?

– Spałem.

– Miał pan romans z żoną brata?

– Jestem tu, ponieważ brat był w szpitalu.  
– A pańska żona?  
– Jest w Chinach. To ona podsunęła pomysł, żebym nocował u żony brata.  
– Jakie są pańskie stosunki z bratem?  
– Bliskie. Pamiętam, kiedy kupili ten dom. Pamiętam, jak pomagałem im wybierać rzeczy, kafelki do kuchni. Po wypadku pocieszałem Jane.  
Policjant zamyka notes.  
– No dobrze, wiemy, gdzie pana znaleźć.  
Po jego wyjściu na stoliku w holu znajduję torebkę Jane, grzebię w niej, chowam do kieszeni komórkę, klucze od domu i – nie wiadomo dlaczego – szminkę. Przedtem jednak zdejmuję z niej osłonkę i przeciągam pomadką Sweet Fuchsia po wargach.

**Z** samochodu dzwonię do Claire w Chinach.

– Zdarzył się wypadek, Jane jest ranna.  
– Mam jutro przyjechać?  
W Chinach jutro jest dzisiaj, a tu, gdzie jest dzisiaj, tam jest jutro.  
– Zostań, gdzie jesteś – odpowiadam. – To zbyt skomplikowane.  
Dlaczego Claire tak chętnie mnie puściła? Dlaczego pchnęła mnie w ramiona Jane? Chciała mnie wypróbować? Naprawdę aż tak mi ufała?

- Jadę teraz do szpitala, zadzwonię, kiedy dowiem się czegoś więcej. – Milknę. – Jak tam praca?
- Świetnie. Kiepsko się czuję, zjadłam coś dziwnego.
- Może robaka?
- Zadzwoń później.

Przyjeżdżam do szpitala i dowiaduję się, że Jane jest na operacyjnym, a George wciąż w izbie przyjęć, na jej tyłach, przywiązany do noszy.

- Głupi chuju – wita mnie, kiedy odsuwam zasłonkę.
- Co z twoją twarzą?
- Wskazuję świeże szwy nad jego okiem.
- Prezent powitalny.
- Nakarmiłem psa, odczekałem, aż policja zrobi swoje, i zadzwoniłem do twojego prawnika. Przyjdzie później.
- Nie chcę przyjąć mnie z powrotem, bo niby „uciekłem”. Nikt mi nie powiedział, że jak się stąd wychodzi, to potrzebne jest jakieś pozwolenie.

Przychodzi salowa z wiadrem i mopem z metalowym drążkiem.

- Zaraźliwy? – pyta.
- Śmiało – zachęcam. – Nie, jest agresywny.
- Młody lekarz wjeżdża z dużym podświetlonym szkłem powiększającym.
- Jestem Chin Chow – przedstawia się. – Przyszedłem wyskubać panu twarz.



Nachyla się i zaczyna wyskubywać odłamki szkła.

– Nie masz piersi – mówi do niego George.

– I bardzo dobrze – odpowiada Chin Chow.

Idę do pokoju pielęgniarek.

– Brat ma szwy na głowie. Nie miał ich, wychodząc dziś rano z domu.

– Zanotuję, że chce pan porozmawiać z lekarzem.

Wracam do George'a. Jego twarz wygląda jak kawałek płótna w krwistoczerwone grochy.

– Chow Fun mnie, kurwa, wyskubał, próbował zmusić do wyznań: „Ach, co pana dziś do nas sprowadza? Nocna awantura w domu?”. Robił mi bez znieczulenia dziury w twarzy. „Dosyć”, mówiłem sto razy, „dosyć, dosyć, dosyć!”. „Ach, co za duże dziecko, marudzi i marudzi. Pan jest duży chłopiec, znoś pan to po męsku”. To nie lekarz, to tajny agent, próbował wycisnąć ze mnie wyznanie.

– Naprawdę? Po prostu z tobą rozmawiał. Wątpię, czy wie, dlaczego tu jesteś.

– Ależ wie, powiedział, że poczyta o mnie w „New York Post”.

George zaczyna płakać.

– Och, daj spokój, nie zaczynaj.

Bełkocze jeszcze chwilę, prycha, pociąga nosem i przestaje.

– Powiesz mamie?

– Twoja żona ma operację mózgu, a ty pytasz, czy

powiem mamie?

– Powiesz?

– A jak myślisz?

Milczy.

– Kiedy ostatni raz widziałeś się z mamą?

– Kilka tygodni temu.

– Kilka tygodni?

– Może miesiąc.

– Ile miesięcy?

– Nie wiem, do cholery! Powiesz jej?

– A po co? Nieraz nawet nie wie, kim jest. Zrobię tak: jeżeli o ciebie spyta, powiem, że cię przeniesiono za granicę. Wyślę jej herbatę od Fortnuma i Masona, niech myśli, że wciąż jesteś szychą.

George wierci się na noszach.

– Podrap mnie w tyłek, co? Nie dosięgnę. Równy z ciebie chłop. – Wzdycha z ulgą. – Równy chłop, ale i skończony sukkinsyn.

Kiedy salowa przynosi lunch, George, mimo przywiązanych rąk i nóg, wykręca się tak, że kolanami strąca tacę ze stolika na podłogę.

– Po jednej na pacjenta – komunikuje salowa. – Spróbujemy jutro.

– Podłączcie kroplówkę, żeby się nie odwodnił – zarządza natychmiast pielęgniarka.

– Oni tu się nie obcyndalają – mówię, kiedy pielęgniarka z igłą w rękę, w czteroosobowej męskiej

obstawie, odsuwa zasłonkę. – Skoro mowa o lunchu, to idę do baru.

– Dzisiaj może nie umrzesz, ale kiedyś obedrę cię ze skóry – zapowiada George.

– Przynieść ci coś? – wpadam mu w słowo.

– Ciasteczka z kawałkami czekolady.

Idę obok wyłożonego w barze jedzenia, okrążając parujące pojemniki z warzywami, makaronowymi nadziewanymi muszlami, klopsami, kanapkami na zamówienie, pizzą, paczkami, płatkami; robię rundę i kończę z pustą tacą. Ruszam w drugi obchód, biorę pomidorową z ryżem, paczkę krakersów Goldfish i karton mleka.

Rozrywam opakowanie, pomarańczowe krakersy uciekają, zaśmiecając stół i podłogę. Zbieram, co się da. Różnią się od tych, które pamiętam. Nie wiem, czy w ogóle się zmieniły, czy może jest to wada paczki ze stu kaloriami, ale są mniejsze, bardziej płaskie i robią miny. Pływają na boku, łypią na mnie jednym okiem i uśmiechają się idiotycznie, półgębkiem.

Jem, myśląc o „robaku” w chińskim jedzeniu, o sprzedawcy w delikatesach niedaleko mojego mieszkania, który mówi „pomidorowa zliże”. Jem, przywołując w pamięci garnek z zupą na kuchence matki, błonę tworzącą się na wierzchu, kiedy zupa stygła,

i to, jak matka bezwiednie nakładała mi ciągliwy glut, który zjadałem, wyobrażając sobie zawsze, że to krew.

Jem zupę, udając, że to krew, udając, że poddaję się transfuzji, podczas gdy Jane na górze przechodzi „kraniotomię i ewakuację” – takich właśnie słów użyli. Wyobrażam sobie chirurgiczny odkurzacz z nierdzewnej stali odsysający okruchy porcelany i kości. Wyobrażam sobie, jak Jane wychodzi z tego uzbrojona w stalowe płytki i musi nosić dzień i noc futbolowy kask.

Czy w ogóle wiedziała, co się dzieje? Czy ocknęła się z myślą: „To nieprawda, to jakiś straszny sen”, i czy potem, po tym wszystkim, jej czaszkę rozrywał pulsujący ból? Pomyślała: „Na głowie mam bałagan”?

Jest w bloku operacyjnym, a w niej pływa jak oszalałe moje rozlane nasienie. Robiliśmy to z zabezpieczeniem, ale także bez. Ktoś odkryje, że pływam w jej wnętrzu? Potrzebuję adwokata?

Zupa mnie rozgrzewa, przypominając, że od ostatniego wieczoru nic nie jadłem. Mija mnie mężczyzna z podbitymi oczami, niesie tacę z lunchem, a ja myślę o tym, jak ojciec z błahego powodu przyłożył kiedyś mojemu bratu, powalając go na łopatki. „Żebyś wiedział, kto tu rządzi!”.

Myszę o George’u: o zagłębieniu w gipsowej ścianie po napełnionej kawą rozbitej filizance, która, kiedy się

„potknął”, w niewytłumaczalny sposób wyfrunęła mu z ręki. Myślę o tym, co opowiedziała mi kiedyś Jane o ich wyprawie na niedzielny lunch. George, cofając się na podjeździe, uderzył w pojemnik na śmieci i tak się rozzłościł, że zaczął jeździć po nim w tę i z powrotem, zmieniając co chwila biegi, aż dziećmi rzucało na wszystkie strony, i przestał dopiero, kiedy Ashley zwymiotowała. Czy podobne wybuchy agresji skierowanej przeciw przedmiotom są sygnałem, że ktoś taki pewnego dnia zabije własną żonę? Czy naprawdę wiązać się z tak silnym szokiem?

W szpitalnej toalecie, myjąc ręce, patrzę w lustro. W odbiciu, które widzę, rozpoznaję nie tyle siebie, ile swojego ojca. Kiedy tu się zjawiał? Nie ma mydła; wcieram środek dezynfekujący w twarz – piecze. Niewiele brakuje, bym, usiłując go spłukać, utopił się w umywalce.

Kapie mi z twarzy, mam mokrą koszulę, a podajnik papierowych ręczników jest pusty. Czekaając, aż wyschnę, kluczykiem od samochodu wydrapuję na ścianie z pustaków imię Jane.

Omam mnie na tym nie przyłapuje pracownik szpitala, ale atakuję go pierwszy pytaniem:

- Dlaczego nie ma papierowych ręczników?
- Już ich nie używamy, ze względów ekologicznych.
- Ale ja mam mokrą twarz.
- Pan się wytrze papierem toaletowym.

Tak robię – papier czepia się zarostu, więc wyglądam,

jakbym przeszedł przez papierotoaletową zamieć.

W poniedziałek, późnym popołudniem, Jane opuszcza blok operacyjny. Wiozą ją korytarzem podłączoną do dużego mechanicznego respiratora, z głową zawiniętą jak u mumii, podsiniałymi oczami. Jej twarz przypomina mięso. Spod przykrycia wychodzi rurka, przy końcu łóżka wisi woreczek na mocz.

Całowałem ją tam zeszłej nocy. Powiedziała, że nikt nigdy tego nie robił, więc znów ją pocałowałem, głęboko. Dogodziłem jej. Użyłem języka – nikt nigdy się nie dowie.

Powtarzam sobie, że zrobiłem, co mi kazano. Claire kazała mi zostać. Jane mnie pragnęła – przyciągnęła do siebie. Czemu jestem taki słaby? Czemu chcę zwalić winę na kogoś? Zadaję sobie pytanie: „Czy w ogóle pomyślałeś, że winieneś się powstrzymać, ale nie zrobiłeś tego, akurat w tym momencie nie mogłeś?”. Teraz rozumiem znaczenie słów „tak wypadło”. Ot, wypadek.

Lekarz mówi, że jeżeli Jane przeżyje, nigdy nie będzie taka jak przedtem.

– W krótkim czasie, gdy tu była, nastąpiło pogorszenie. Wycofuje się, zapada w siebie. Oczyściliśmy ranę i wywierciliśmy otwory, robiąc miejsce na opuchliznę. Rokowania są złe. Czy powiadomiono rodzinę? Dzieci?

– Nie – odpowiadam. – Są w szkole z internatem.

– Proszę je zawiadomić – poleca lekarz i odchodzi.

Zadzwoń bezpośrednio do dzieci czy najpierw do ich szkół? Najpierw do dyrektorów i wyjaśnić: „Matka jest w stanie śpiączki, ojciec w kajdankach, więc może przerwie pan/pani jemu/jej cichą naukę i poleci się spakować”. Mam od razu wyłożyć kawę na ławę i powiadomić, jak okropna jest sytuacja – w środku dnia oznajmić tym dzieciakom, że życie, jakie znały do tej pory, się skończyło?

Najpierw łączę się z bratanicą.

– Ashley – zaczynam.

– Chodzi o Tessie? – pyta, nim cokolwiek powiem.

– O twoich rodziców – mówię zająkliwie.

– Rozwodzą się?

Zaczyna płakać, nim mogę coś dodać, i jakaś koleżanka przejmuje telefon.

– Ashley nie może teraz rozmawiać.

Bratanka zaś informuję:

– Twój ojciec zwariował. Może powinieneś wrócić do domu, chyba że nie chcesz, chyba że w ogóle nie chcesz do niego wracać. Pamiętam, jak twoi rodzice go kupili, jak dobierali rzeczy.

– Nie bardzo rozumiem.

– Twoja matka miała wypadek – mówię, rozważając, czy powinienem mu powiedzieć, jak poważny jest jej

stan.

– Czy to tata? – pyta.

Zaskakuje mnie bezpośredniość jego pytania.

– Tak. Twój ojciec uderzył ją lampą. Próbowałem to powiedzieć twojej siostrze, ale mi się nie udało.

– Zadzwoń do niej – obiecuje.

Czuję ulgę, że nie muszę znów przez to przechodzić.

Stoję w pustym korytarzu zalanym zmęczonym fluorescencyjnym światłem. W moją stronę idzie człowiek w białym kitlu; uśmiecha się. Wyobrażam sobie, że to zły czarnoksiężnik, który zrywa kitel i odsłania togę sędziego. „Czy podobna, by brat wiedział, że posuwasz jego żonę, i dlatego wstał z łóżka bóleści i dotarł do domu?”.

– Na razie wstrzymam się od komentarzy. Z powodu tego wszystkiego już i tak źle się czuję – mówię na głos w korytarzu, choć nikt mnie nie słucha.

Przechodzę do poczekalni dla rodzin. Dzwonię.

– George uderzył Jane lampą – informuję matkę Jane.

– To straszne – mówi, nieświadoma powagi moich słów. – Kiedy to się stało?

– Wczoraj wieczorem. Twój mąż w domu?

– Oczywiście – odpowiada, lekko niepewnym głosem.

Słyszę w tle jego głos.

– Kto dzwoni?

– Brat twojego zięcia – wyjaśnia. – Coś się stało Jane.

– Co się stało Jane? – pyta, biorąc słuchawkę.



- George uderzył ją w głowę lampą.
- Zamierza wnieść oskarżenie?
- Najprawdopodobniej umrze.
- Takich rzeczy nie mówi się dla żartu.
- Ja nie żartuję.
- Sukinsyn!

Chcę iść do domu. Chcę odzyskać dawne życie. Miałem je. Kiedy to się zdarzyło, byłem w trakcie czegoś, prawda? Co robiłem? Nie mam przy sobie terminarza, ale coś musiało w nim być: wizyta u dentysty, kolacja z przyjaciółmi, zebranie na wydziale. Który to dziś dzień? Spoglądam na zegarek. Za pięć minut zaczynam zajęcia. Dwudziestu pięciu studentów wejdzie jeden za drugim do sali, usiądzie na swoich miejscach i zaczną się wiercić, bo się nie przygotowali, nie przeczytali tego, co należało przeczytać. Temat kursu – Nixon: Duch w Machinie, badanie niezbadanego. Siedzą jak idioci, czekając, aż im wszystko objaśnię, nakarmię ich wiedzą. Tkwiąc w odrętwieniu na swoich grzędach, układają listy do dziekana. Jeden się poskarżył, iż wymaga się od niego pisania na zajęciach, inny obliczył, ile kosztuje każde z dwudziestu dwóch spotkań w semestrze, i zrobił listę rzeczy, które mógłby kupić za tę albo mniejszą kwotę.

Muszę skalkulować, ile dolarów wart jest stres wytrzymywania ich tępych spojrzeń przez półtorej

godziny dwa razy w tygodniu, ich przychodzenia na mój dyżur, pytań „Co nowego?“, jakbyśmy byli za pan brat, rozsiadania się tak, jakby to miejsce było ich własnością, mówienia mi, że nie mogą „załapać, w czym rzecz”. Przed odejściem chcą jeszcze pogłaskania po główce i zapewnienia, ot tak, bez powodu: „Dobry z ciebie dzieciak”. Zachowują się nonszalancko, jakby wszystko im się należało – ja za taką postawę w wieku dorastania dostałbym reprimendę i szlaban na tydzień.

Przez wszystkie lata nauczania nie zdarzyło się, żebym nie przyszedł na zajęcia, a przekładałem je tylko dwa razy, z powodu kanałowego leczenia zęba i ataku woreczka żółciowego.

Dzwonię na uniwersytet, dzwonię na swój wydział, dzwonię do sekretariatu dziekana szkoły, z którą jestem związany – wszędzie odpowiada automatyczna sekretarka. Nie mogę złapać żywej osoby. Co będzie, jeśli się nie zjawię, jak długo będą tam siedzieć? Dzwonię do biura ochrony.

– Mówi profesor Silver. Mam pilną sprawę.

– Potrzebuje pan pomocy medycznej?

– Już jestem w szpitalu, a za dwie minuty powinienem zacząć zajęcia. Czy ktoś mógłby tam pójść i wywiesić na drzwiach kartkę z informacją dla studentów, że odwołałem zajęcia?

– Ktoś od nas?

– Tak.

– To nie nasza sprawa.

Próbuję z innej mańki.

– Ależ jak najbardziej wasza. Jeśli nikt się nie zjawi, jeśli nie zainterweniuje nikt z władz, może dojść do zamieszek. To zajęcia z politologii, rozumie pan, co to znaczy? Do głosu dochodzą radykalne idee, studenci czują się silni. Pomni pan moje słowa.

– Co ma być na tej kartce?

– Profesor Silver ma pilną sprawę rodzinną i nie będzie na zajęciach. Przeprasza i obiecuje, że wynagrodzi to studentom.

– No dobrze, który to budynek i sala?

– Mógłby pan sprawdzić? Nigdy nie pamiętam nazw budynków ani numerów sal.

– Chwileczkę... Silver nie ma dziś zajęć. Jest pan w Szkole Humanistycznej, pańscy studenci mają wolne. Impreza na plaży...

– Och, zapomniałem. Po prostu zapomniałem. Dziękuję.

Miałem jakieś życie. Coś robiłem.

Tego samego dnia spotykam się w domu z prawnikiem. Przyjeżdża jednym samochodem, a drugim jego ludzie. Niosą ciężkie walizki, przypominają ekipę od dezynsekcji.

– Po schodach i na prawo – wysyłam ich na górę.

– Co tu się stało, u licha?!

– Jak to co się stało?

– Ale bardak!

– Zabronił mi pan czegokolwiek dotykać! – krzyczę z dołu.

– Co za smród!

Tessie idzie za mną. W połowie drogi uderza mnie odór.

– Nasrane! – sarka prawnik.

Pies ma minę winowajcy.

Tessie, pozostawiona sama w domu, zrobiła własne porządki: zlizwała z podłogi krew Jane, zostawiając różowawe ślady, a potem zafajdała łóżko.

Patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Tu był dom wariatów. Coś musiało się stać”.

– Już dobrze, psinko – mówię i schodzę na dół po pudełko plastikowych worków.

Pies oddał mi przysługę. Zatarł wszelkie ślady, jakie mogły pozostać na pościeli. Wpycham pościel do dwóch worków, otwieram okna i psiukam lizolem.

Zabrano śmieci. Prawnica i jego świta odchodzą.

– Kiepsko to wygląda – mówi jeden z jego ludzi do drugiego.

– Serio, Sherlocku?

Stoję w kuchni, obsesyjnie myśląc o pościeli: Wystarczy wyrzucić ją do śmieci? Czy wywożąc pościel na wysypisko, wzbudziłbym podejrzenia? A gdybym

spróbował ją spalić? Wysłałaby sygnały dymne widoczne na wiele kilometrów dokoła?

Wykręcam numer do firmy Szybka Dostawa Materacy.

– Jak szybko dostarczycie nowy materac?

– Dokąd?

– Sycamore sześćdziesiąt cztery.

– A jakiego pan szuka? Wybrał pan coś konkretnego: Serta, Simmons, luksusowy, z poduszkami?

– Jestem otwarty na propozycje, musi być duży, miękki, ale nie zanadto, twardy, ale też nie zanadto, coś w sam raz.

– Przygotuje się pan na dwa osiemset, za materac i ramę ze sprężynami.

– Nie za dużo?

– Mogę spuścić na dwa sześćset pięćdziesiąt, a jeżeli kupi pan na materac naszą poszwę, dostanie pan dziesięcioletnią gwarancję. Zwykle kosztuje sto dwadzieścia pięć, ale oddam za stówkę.

– I zabierze pan stary?

– Tak.

– Nawet poplamiony?

– Wszystkie są poplamione.

– Kiedy?

– Pan zaczeka.

Wyciągam z kieszeni kartę kredytową Jane.

– Między szóstą a dziesiątą wieczorem.

Biorę wiadro z gorącą wodą, szczotkę, rolkę papierowych ręczników, płyny Mr. Clean i Comet, butelkę octu i lateksowe rękawice Jane ze Święta Dziękczynienia. Naciągając je, ronię łzy.

Szoruję na czworakach. Ciemna, sucha krew się łuszczy. Zmoczona, zmienia się w różowiejące wiry, przesiąkające przez papierowe ręczniki jak sok z buraków. Kaleczę się w palec, kawałek porcelany rozcina mi skórę i moja krew miesza się z plamą na podłodze. Zabezpieczam ranę klejem z tubki Krazy Glue. Pracuję z uczuciem, że jestem przez kogoś szpiegowany, obserwowany. Coś mnie mija, ocierając się o moją nogę, a kiedy się odwracam, żeby spojrzeć – skacze. Robię obrót. Mokra podłoga jest śliska, więc ląduję na tyłku. Na toaletce siedzi kot, trzepiąc ogonem na boki.

– Jasny gwint! Przestraszyłeś mnie – mówię.

Kot mruga, patrzy na mnie, jego zielone oczy błyszczą jak szmaragdy.

Jako niewolnik przyzwyczaję, pracuję, aż skończę, opróżnię wiadro z krwistą wodą i wyrzucam szmaty. Dopiero potem patrzę, co zjem na kolację. Stojąc przed otwartą lodówką, wyciągam resztki z poprzedniego wieczoru. Kosztuję różne rzeczy, wspominając Jane, nasz wieczorny posiłek, nasze amory. Wykładam jedzenie na talerz i wyciągam się na kanapie przed telewizorem.

Budzi mnie łoskot wystrzałów. W pierwszej chwili myślę, że George znów uciekł i przyszedł mnie zabić.

Trach, trach, trach!

Łomotanie do drzwi.

Tessie szczeka.

Przyjechał materac.

– Dobrze, że materace się nie tłuką – mówi jeden z tragarzy wnoszących nieporęczny towar po schodach. – Kiedyś dostarczałem telewizory plazmowe, to był koszmar.

Bez komentarza zabierają stary materac i stelaż ze sprężynami. Kiedy wychodzą z domu, na podwórku coś błyska.

– Co, do...

Błysk, błysk-błysk!

Jeden z tragarzy upuszcza koniec wynoszonego materaca i skacze w ciemność. Z krzaków dobiegają odgłosy szamotaniny. Tragarz wraca z drogim aparatem fotograficznym.

– Oddaj aparat – mówi nieznajomy, gramoląc się z grządki.

– Kim pan jest? – pytam.

– To mój aparat – upomina się fotograf.

– Już nie – mówi tragarz, ciskając aparat w stronę ulicy.

Muszę pojechać do siebie. Dochodzi jedenasta. Zamykam dom na klucz, prowadzę Tessie do auta, podsadam ją i jadę w stronę autostrady. Suka się trzęsie.

– Nie będzie zastrzyków. Nie będzie weterynarza – uspokajam ją. – Jedziemy do miasta, Tessie.

Pies puszcza śmierzzące bąki. Zjeżdżam na pobocze, Tessie załatwia się tuż przy autostradzie.

– Miał pan dobrą podróż? – pyta nocny portier.

Milczę.

– Pańska poczta, pańskie paczki – mówi, wypełniając nimi moje ręce. – Pańskie pranie.

Zaczepia mi wieszaki na zakrzywionym palcu.

– Dziękuję.

Nie wspomina o psie, którego smycz zakręciłem wokół przegubu.

W mieszkaniu unosi się zapach, znajomy, ale nieco stęchły. Jak długo mnie tu nie było? Zdaje się, jakby wszystko uległo zamrożeniu w czasie, zamrożone nie tylko od kilku dni, gdy mnie tu nie było, lecz być może od całych dziesięciu lat. To, co kiedyś wydawało się nowoczesne, wyszukane, wygląda jak dekoracja ze sztuki Edwarda Albeego z mniej więcej 1983 roku. Telefon z modelowanymi przyciskami, rzadko używany. Podniszczone podłokietniki przy sofie. Włos dywanu nierówny na wydeptanej ścieżce z pokoju do pokoju.



Sterty magazynów sprzed półtora roku.

Mimo to odczuwam ulgę, że znajduję się w miejscu, gdzie wszystko jest znajome, gdzie mógłbym poruszać się po omacku. Poddaję się temu uczuciu, chciałbym się w nim wytarzać, chcę, aby to, co się wydarzyło, nie było prawdą.

Orchidea nadal kwitnie. Podlewam ją i – jakbym oglądał film w przyśpieszonym tempie – w ciągu godziny jej płatki, nagle uwolnione, opadają na szafkę, martwe. Do rana pozostanie goły badyl.

Z lodówki sączy się odorek skwaśniałego mleka, połówki podeschniętego grejpfruta, masła orzechowego bez daty, brązowego chleba zbiałego na brzegach, starego puddingu ryżowego z wyhodowanym zielonym okiem w plastikowym pojemniku z delikatesów. Rozgorączkowany otwieram wszystkie szafki i wyrzucam przeterminowane produkty. Zastanawiam się, czy wszyscy robią to w taki sam sposób – tu szklanki, tam talerze, a sypka żywność i puszki obok siebie? Gdzie człowiek się uczy tego grupowania podobnych rzeczy? Wynoszę śmieci, dzwonię do Chińczyka. Obsługujący poznaje mój numer.

– Późno pan dzwoni, dawno się nie widzieliśmy – mówi. – Pikantna kwaśna zupa, smażony kurczak z ryżem, wieprzowina mu-szu?

Czekając na dostawę, zjeżdżam windą do piwnicy, ze schowka wyciągam wielką starą niebieską walizę. Na górze otwieram ją na łóżku i zaczynam napelniać. Sam nie wiedząc, co właściwie sobie myślę, pakuję się, jakbym chciał się skumulować, zminimalizować. Zakładam, że po powrocie Claire nie będę mile widziany. Zaglądam do szuflad, szafy, szafeczki na lekarstwa pełen podziwu wobec łagodności współistnienia rzeczy, tego, jak wiszą, spoczywają bądź opierają się o siebie bez jakichkolwiek napięć czy osądów. Jej nitka do zębów, szczoteczka, emulsja do depilacji, tusz do rzęs, mój płyn do płukania gardła, sprej do nosa, obcinacz do paznokci. Wszystko intymne, ludzkie, wszystko podzielone między niego i nią – niewiele wspólnego.

Pobraliśmy się późno; Claire miała już za sobą krótkotrwałe małżeństwo. Po dwóch latach przedstawiłem ją rodzicom. Na samym wstępie powiedziała im:

– Ślub był bardzo skromny, sami przyjaciele.

– Dlaczego tak długo ją przed nami ukrywałeś? – spytała matka. – Jest piękna i ma dobrą pracę. Myślałeś, że jej nie zaakceptujemy?

Ujęła Claire za rękę.

– Myśleliśmy, że coś jest z tobą nie tak i dlatego cię nie

przyprawdza, że może masz rozszczepione podniebienie, penisa albo co innego. – Zmarszczyła czoło, jakby pytała: „I co ty na to?”.

Co zabieram? Pakuję walizkę bez ładu i składu – kilka zdjęć, drobiazgi z dzieciństwa, parę garniturów, buty, płócienną torbę z najnowszym szkicem nieukończonej pracy o Nixonie, mały czarny zegar z jej strony łóżka. Nie chcę wiele, nie chcę ostentacji. Umyślnie zostawiam ulubione rzeczy – nie chcę być oskarżony o opuszczenie okrętu.

Późno po północy dźwięczy dzwonek. Daję dostawcy duży napiwek, siadam przy stole i jem prosto z pudełek, jem tak, jakbym od wielu dni nie miał nic w ustach. Smak fantastyczny, ostry, korzenny, tekstura rozkoszna, jest tu wszystko – od śliskich grzybów i tofu do twardych kawałków wieprzowiny. Smaruję naleśniki śliwkowym dżemem i polewam sosem sojowym – obfitość glutaminianu sodu budzi mnie do życia.

Tessie siedzi cierpliwie u moich stóp. Daję jej miseczkę białego ryżu – skrobia dobrze jej zrobi na żołądek. Zjada szybko. Dokładam jej ryżu, a ona znów puszcza śmierzące bąki.

Mam ochotę sprawdzić to w komputerze, wpisać do Google'a „złe skutki picia krwi”, ale nie chcę pozostawić elektronicznego śladu mej wizyty.

– Tessie, ile ty masz lat? Dwanaście? Według ludzkiej miary miałabyś ponad sto. Willard Scott<sup>[1]</sup> powinien wspomnieć o tobie w telewizji. Wiesz, co to był za kot? Znasz go skądś? Jakoś nie przeszkadzała ci jego obecność. Oto moja propozycja – ciągnę. – Przenocujemy tutaj, a rano tam wrócimy, w pełnym świetle dnia.

Rozmawiam z psem.

Dzwonię do Claire, do Chin, podejmując ostatnią próbę.

– Jestem na spotkaniu – informuje.

– Możemy porozmawiać później.

– Czy Jane się polepszyło?

– Jest pod respiratorem.

– Cieszę się, że czuje się lepiej – mówi Claire.

Rytm zdania zachowany; reszta zaginęła w tłumaczeniu.

Leżąc w łóżku, przyciągam jej poduszkę tak blisko, że opieram się o nią piersią. Zwyczajnie tęsknię za Claire, za tym, jak zagląda mi przez ramię, gdy robię rachunki, i upiera się, żebyśmy oprócz wspólnego konta mieli także dwa osobne. Za Claire, która gumową wycieraczką do okien, ukradzioną na stacji benzynowej, osusza

w łazience drzwi kabiny prysznicowej. Za Claire przy zlewie, jak pije wodę, a potem opłukuje, wyciera i odstawia szklanę. Za Claire, która pilnuje porządku, nie pozostawia nic przypadkowi, zawsze trzyma rękę na pulsie. To, co w niej lubiłem, stwarza problem – po prostu jej nie ma. Wymagała ode mnie niewiele, tak jakby nie było jej tuż obok, i niewiele mi dawała.

Tessie chodzi dokoła, jakby nie mogła znaleźć sobie miejsca. Biorę z łazienki ręcznik i rozkładam go przy łóżku. Tę starą seterkę kupiono, kiedy była jeszcze szczeniakiem, w pełnych obietnic i nadziei czasach, gdy wydawało się, że wszystko dobrze się ułoży.

## Śpimy.

Kobieta podchodzi i wali mnie poduszką.

– Wynoś się z mojego domu, wynoś się z mojego domu! – powtarza.

Za nią stoi mężczyzna w garniturze.

– Na razie wystarczy. Dorwiemy go później – mówi.

Rzucam się do drzwi. Mężczyzna stoi przy nich i zmienia zapadkę w zamku.

Budzę się. Kim była ta kobieta? To Claire czy Jane?

Pies chce wyjść. Pies chce jeść. Pies chce wrócić do

swojego domu.

Dzieci przyjeżdżają, załatwiono co trzeba. Za ich plecami przeprowadzono rozmowy telefoniczne. By je dowieźć, wynajęto auta z szoferami.

– Co z dziećmi? Dokąd pojedą? – pytają rodzice Jane podczas telefonicznej konferencji.

Myślę sobie, że nie lubię dzieci brata, ale zachowuję to dla siebie.

– Mogą zatrzymać się u mnie – proponuje siostra Jane, Susan. – Mamy wolny pokój.

– Biuro – przypomina jej mąż.

– Jest tam łóżko.

I dokazujące bliźniaki na uwięzi. Myślę o tych małych terrorystach, bezustannie w ruchu, często biegnących ku przepaści. Wyobrażam sobie, jak Susan i jej mąż na rodzinnych wakacjach urządzają na plaży zawody, kto z nich pierwszy złapie któregoś z puszczonego luzem bliźniaków.

– Mają psa – mówię.

– A ty masz alergię – przypomina Susan matka.

– Dla moich rodziców to za wiele – stwierdza Susan. – Dwoje zaburzonych psychicznie nastolatków.

Dla tych dzieci to też za wiele. Oszaleją pod opieką dziadków, którzy przez większość dnia rozmawiają o konsystencji swoich stolców i o tym, czy powinni pić

więcej kompotu z suszonych śliwek.

Puszczam mimo uszu wzmiankę o zaburzeniach psychicznych – nie są bardziej zaburzeni od nas.

– Dzieci powinny przebywać we własnym domu – mówię.

– Każdy z nas ma swoje życie – rzecze Susan. – Nie możemy wszystkiego rzucić, a zresztą nie lubię tamtego domu, nigdy nie lubiłam.

– Nie chodzi o dom.

W czasie rozmowy wchodzę po schodach do głównej sypialni. Posłałem już łóżko i schowałem „pasującą” lampę George’a do szafy. O ile to możliwe, pokój wygląda normalnie. Biorę roślinę z parapetu w kuchni i stawiam ją na nocnym stoliku przy łóżku po stronie Jane.

Pierwszy wraca do domu Nathaniel. Na podjazd wjeżdża samochód, chłopak wysiada, ciągnąc za sobą wielki worek marynarski.

Jedną ręką trzymam za obrozę Tessie, drugą podpieram kuchenne drzwi. Pies z ulgą wita przybywającego Nathaniela.

– Hej – mówię.

On nie odpowiada. Kładzie worek na podłodze i zagaduje do suki.

– Co tu się dzieje, Tessie? – Tarmosi jej uszy. – Co jest grane? To jakieś szaleństwo!... Mogę dać jej herbatnika? –

zwraca się do mnie.

– Jasne. – Nie spodziewałem się, że mnie spyta. – Daj jej ciastko albo dwa. Jesteś głodny? Chcesz kanapkę?

Nie czekając na odpowiedź, wyciągam produkty z lodówki i kładę na stole: chleb, ser, musztardę, majonez, pomidory, korniszony, te same rzeczy, którymi pożywialiśmy się z Jane w zeszłym tygodniu. Szykuję talerz, nóż, widelec i serwetkę.

– A ty nie będziesz jadł? – pyta po przygotowaniu kanapki, zamierzając zatopić w niej zęby.

– Nie jestem głodny.

– Czy mamy gazowany napój waniliowy?

Tak sprecyzowane życzenie w takim momencie dziwi. Grzebię w lodówce, w głębi, na najniższej półce, znajduję sześciopak dr. browna. Wyciągam dwie puszki.

Ashley przyjeżdża tylko z walizeczką My Little Pony na kółkach, zapewne zachowaną z dzieciństwa.

Od razu klęka przy psie.

– Tessie. Och, Tessie! – mówi.

– Chcesz kanapkę?

– Szklankę mleka – odpowiada.

Nalewam jej mleko. Pociąga łyk.

– Jest na granicy – orzeka.

Kiwam głową.

– Mleko. Zaraz się zepsuje.



– Aha. Dokupimy.

Zapada milczenie.

– Tata wraca do domu? – pyta Ashley, a ja nie wiem, co odpowiedzieć.

– Nie.

– Gdzie nasz samochód? – pyta Nate.

– Nie wiem, czy matka wam mówiła, ale wszystko zaczęło się od tego, że wasz ojciec miał wypadek. Auto jest w warsztacie, ale jest mój samochód. Chcecie pojechać do szpitala?

Dzieci kiwiają głowami. Nie poszły na górę. Tylko głaskały psa.

Kiedy wychodzimy, powraca wspomnienie z dzieciństwa: wuj Leon wypychający mnie za drzwi, kłykciami szturchający w plecy, aż czuję to w kościach, jakby wtłaczał w nie strach i uzależnienie. Wciąż znoszę tamten ból.

Przytrzymuję drzwi.

– Nie śpieszcie się – mówię do dzieci.

Pod szpitalem, kiedy idziemy przez parking, Ashley bierze mnie za rękę.

– Jak to będzie wyglądało? – pyta Nate.

– Wasza matka leży na oddziale intensywnej opieki. Jest podłączona do wielu urządzeń, oddycha za pomocą maszyny, w rękę ma igłę od kroplówki, która podaje jej lekarstwa i pożywienie. Głowę ma zabandażowaną po operacji, podbite oczy i przypomina trochę szopa pracza.

– Ojciec uderzył ją pięścią? – pyta Nathaniel.

– To siniaki pooperacyjne.

W windzie Ashley ściska mi rękę aż do bólu; ściska ją przez całą drogę korytarzem i na OIOM.

Na widok wchodzących dzieci matka Jane wybucha płaczem.

– Przestań, straszysz je – upomina ją mąż.

– Za dużo, za dużo, za dużo – strofuje pielęgniarka, wypychając odwiedzających.

Dzieci zostają same z matką.

Rodzice Jane stoją w korytarzu, patrząc na mnie z gniewem.

– Sukinsyn – mówi ojciec. – Chodźmy na kawę – zwraca się do żony.

Przyciskam się do szyby. Ashley ujmuje dłoń matki. Wyobrażam sobie, że jest ciepła, choć bezwładna. Pociera nią policzek i całą twarz, głaszcząc się, przekazując sobie matczyną czułość. Stojący obok Nathaniel płacze, a potem powstrzymuje łzy. Ashley kładzie głowę na brzuchu matki, po chwili ją podnosi i z uśmiechem wskazuje brzuch.

– Zaburczało – słyszę przez szybę jej głos, jakby burczenie sygnalizowało poprawę.

Pielęgniarka musi zrobić coś przy Jane, więc zabieram dzieci do kafeterii.

– Co teraz? – pyta Nathaniel, jedząc drugi lunch.

– Bądźcie przy mamie tak długo, jak zechcecie,

okazujcie jej, że ją kochacie, i pamiętajcie, jak bardzo ona kocha was.

Kiedy Ashley wstaje, przeprosza i idzie do łazienki, Nathaniel nachyla się do mnie.

– Pieprzyłeś moją matkę?

Milczę.

– Interesowała się tobą. Opowiadała o tobie, drażniąc się z ojcem.

Nadal milczę.

– Gdzie jest tata? – pyta Ashley po powrocie.

– Jest tutaj.

– W tym szpitalu? – pyta Nate.

Kiwam głową.

– Chcecie go zobaczyć?

– A powinniśmy? – pyta Ashley.

– To zależy wyłącznie od was.

– Chcę myśleć, że umarł. Tylko tak jestem w stanie zrozumieć – mówi Nate. – Zrobił to, a potem palnął sobie w łeb.

– Nie było broni palnej – zaznaczam.

– Wiesz, o co mi chodzi. Czemu go nie powstrzymałeś, czemu go nie zabiłeś? – pyta Nate.

Czemu tego nie zrobiłem?

Znając aż za dobrze rozkład szpitala, prowadzę dzieci na oddział nagłych przypadków. George siedzi przywiązany

do krzesła w holu na tyłach, z głową pochyloną, jakby spał od wielu dni, nieogolony.

– Albo dajemy mu środki uspokajające, albo nie można nad nim zapanować – wyjaśnia na mój widok pielęgniarzka.

– To jego dzieci – mówię. – Ashley i Nathaniel.

– Zjadł porządną lunch, czekamy na dyspozycje – dodaje nieco weselszym tonem.

– Na to, czy będzie dysponowany? – pyta Ashley.

– Na decyzję na piśmie, dokąd go mamy przewieźć.

George otwiera oczy.

Zapada niezręczna cisza. Wbijamy wzrok w podłogę, we wzory na linoleum.

– George, miałem cię o to spytać wcześniej. Jakiś kot drapie drzwi kuchni, szary, z zielonymi oczami i białą plamą na ogonie. Parę razy dostał się do domu. Wygląda, jakby nikt go nie karmił, więc kupiłem mu coś do jedzenia.

– To Muffin – wyjaśnia George. – Nasza kotka.

– Od kiedy macie kota?

– Od lat. W łazience dla gości jest kuweta, oczyścić ją.

– Lubi jedzenie z puszki – mówi cicho Ashley.

– Co ty sobie myślałeś? – pyta ojca Nathaniel.

– Nie wiem – odpowiada George. – Jaki mamy dziś dzień?

Wracamy na oddział intensywnej opieki. Jest lekarz.

– Dochodzi do siebie po operacji – informuje.

– Oczywiście, że tak, dzielna dziewczyna – mówi ojciec Jane.

– Nadal brak oznak aktywności. Czy myśleli państwo o banku organów? – pyta lekarz.

– To by jej pomogło? Organ z banku?

– To mama byłaby dawcą – wyjaśnia Nate.

– Czy nie trzeba przedtem umrzeć? – pyta matka Jane.

– Warto o tym pamiętać. Wkrótce będziemy wiedzieli więcej – mówi lekarz.

– Możemy zostać, jeśli chcecie, albo pójdziemy i wrócimy po kolacji – proponuję dzieciom.

– Zróbmy sobie przerwę – decyduje Ashley.

Zabieram je do centrum handlowego.

– Tutaj zwykle chodzicie? To robicie z matką?

Kupuję im sneakersy i mrożony jogurt. W sklepie jest nieprzyjemnie pusto; dzień powszedni, nikogo nie ma.

– Dlaczego jesteś taki miły? – pyta Nathaniel.

Milczę.

Do dupy. Wszystko do dupy – mówi Nate, a w samochodzie pyta: – Mógłbyś gdzieś ze mną pojechać?

– Dokąd?

- Chcę się stąd wyrwać.
  - Masz rower? Wrócimy do domu i może się gdzieś przejedziesz. Jest wystarczająco ciepło.
  - Nie pytam, czy mogę pojechać na rowerze. Proszę, żebyś mnie gdzieś zabrał. – Nate przez chwilę milczy. – Wziąłem prochy.
  - Jak to prochy?
  - Niedużo, ale wziąłem.
  - Tyle, żeby się zabić?
  - Nie, uspokoić. Jestem strzępkiem nerwów.
  - Skąd je wzięłeś?
  - Z domowej apteczki.
  - Skąd wiedziałeś, które wziąć?
- Nate patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Aż tak głupi nie jestem”.
- Dobrze, to gdzie chciałbyś pojechać? – pytam.
  - Do wesołego miasteczka.
  - Żartujesz, tak?

Okazuje się, że nie.

Nate nalega, więc dzwonię do wesołego miasteczka i dowiaduję się, że z powodu nienaturalnie ciepłej pogody nie zostało tej zimy zamknięte.

– Właściciel uznał, że lepiej dać ludziom pracę i przetrzymać śnieżny dzień... którego dotąd nie było – mówi kasjer.

Nate zalicza jedną przejażdżkę za drugą – kolejką górską, na diabelskim młynie, w rakiecie Bungee, w Potwornej Wieży, na Gravitronie, który wiruje tak szybko, że chłopak przykleja się do ścianki z miną, jakby przelatował przez tunel aerodynamiczny.

– Uważasz, że to dziwaczne? – pyta, kiedy idziemy do następnej atrakcji z wagonikami.

– Jakże mógłbym cię osądzać?

– Mam diagnozę – mówi.

– Jaką?

– Że coś ze mną jest nie tak.

– To znaczy?

– Myślisz, że to prawda?

– A ty?

– Chcesz pojeździć? – pytam Ashley, która choć ma lat jedenaście, trzyma mnie za rękę niczym sześciolatka. Kręci głową, że nie. – Na pewno? Pojadę z tobą.

Wzrusza ramionami.

– Tęsknię za śniegiem. – Potrząsa ze smutkiem głową.

– Kiedy byłam mała, w zimie padał śnieg.

– Jeszcze spadnie – zapewniam.

– Kiedy? – pyta.

– Kiedy najmniej będziesz się spodziewała.

Zostawiamy Nate'a przy kolejce górskiej. Wygląda, jakby mu ulżyło po tym ciągłym powietrznym wirowaniu i śmiganiu. Ashley wybiera coś o niewinnie brzmiącej nazwie Kołysząca Fala.

Wesołe miasteczko, podobnie jak centrum handlowe, świeci pustkami. Nate i Ashley mają asystentów, operatorów urządzeń, którzy służą im niejako za przewodników po tym parku machin. Chodzą z nami od urządzenia do urządzenia, włączają, odczekują próbną jazdę i dopiero potem pozwalają dzieciakom wsiąść.

– Trudno tak cały dzień wysiedzieć w pustym wesołym miasteczku? – pytam jednego z operatorów.

– Lepsze to od siedzenia w domu z żoną. – Wzrusza ramionami, jakbym był idiotą.

– Moja mama jest w szpitalu – mówi Ashley do operatora, który włącza karuzelę. – Odesłano nas ze szkoły do domu. Mój ojciec uderzył ją w głowę.

– Pech! – odpowiada operator, co brzmi trochę jak szczenięcie.

Kołysząca Fala łagodnie odrywa się od ziemi. Siedzę w krzeselku przed Ashley, zawieszony na sześciometrowym ocynkowanym łańcuchu. Zataczamy kilka zgrabnych szerokich kół, wznosząc się coraz wyżej, po czym karuzela przyśpiesza. Krzeselko odbija w bok, przechyła się, wzlatujemy wysoko w górę, a potem opadamy. Kręci mi się w głowie, mdli, szukam jakiegoś stałego punktu, czegoś, co się nie rusza. Wpatruję się w puste krzeselka przede mną, w błękitne niebo. Tracę poczucie równowagi; obawiam się, że zemdleję, że zsunę się z krzeselka i spadnę na ziemię.

Nate czeka na nas, kiedy lądujemy. Zsiadając



z karuzeli, potykam się i uderzam głową w łańcuchy.

Kierujemy się do Pałacu Strachów, wskakujemy do wagoników, kolejka z łoskotem pokonuje wahadłowe drzwi i wpada w ciemność. W środku jest ciepło i śmierdzi skarpetkami. Nad naszymi głowami wyją i przeraźliwie piszczą zmarli, skrzypią belki, duchy spadają z góry, zatrzymują się tuż przed naszymi twarzami i po chwili odskakują. Mechaniczną ścieżkę dźwiękową okrasza przeraźliwy dławiący odgłos.

– Co to?

– To Ashley – mówi Nate.

– Zakrztusiłaś się? – pytam, odpinając pas przy siedzisku i próbując się do niej obrócić.

– Ona płacze – wyjaśnia Nate. – Ona tak płacze.

Wokoło błyska się i grzmi, wjeżdżamy pod górę do mrocznego zamku, a ja się obracam i próbuję przedostać ze swojego wagonika do wagonika Ashley. W chwili gdy – w zwolnionym tempie jak na filmie braci Marx – posuwam się na czworakach po daszku wagonika, raptem rozbłyskują stroboskopowe światła. Kolejka jedzie prosto na zamkniętą bramę zamku, ale tuż przed uderzeniem w nią gwałtownie skręca, wyrzucając mnie w bok. Uderzam w ścianę i machając rękami, staram się czegoś przytrzymać, żeby nie wylądować na trzeciej szynie – jeżeli w ogóle jest coś takiego w Pałacu Strachów. Wszystko staje. Ciemno choć oko wykol. „Nie ruszać się!” – woła ktoś z góry. Ashley wciąż płacze,

szlocha w ciemnościach. Po chwili Pałac Strachów zalewa jasne fluorescencyjne światło, wydobywając z mroku wszystkie sekrety: tandetne ściany z papier-mâché, byle jak sklecone szkielety na wieszakach, pokrywającą wszystko żółtą i fioletową farbę odblaskową.

– Co jest, do cholery! – klnie operator, schodząc na tory.

– Przepraszam – mówię.

– Przepraszam, sraszam!

– Dziewczynka płakała.

– Nic ci nie jest, skarbie? – pyta ją szczerze zatroskany operator. – Czy komuś coś się stało?

Kręcimy głowami.

– Nic nam nie jest.

Operator chwyta linę doczepioną do kolejki, przeciąga nas po torach, schyla głowę przed drzwiami i wypadamy na światło dzienne.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak, jak tylko może być w tych okolicznościach – odpowiadam.

Daję mu dwadzieścia dolarów. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że powinienem tak zrobić.

– Jedźmy do domu – mówię do dzieci, prowadząc je na parking.

– Było dobrze, dopóki nie trafiliśmy do Pałacu Strachów – mówi Nate.

– Było dobrze – potwierdzam.

Na kolację jemy spaghetti z sosem Jane wyjętym z zamrażarki.

– Uwielbiam spaghetti mamy – mówi Ashley.

– Świetnie – mówię i martwię się, bo w zamrażarce zostały już tylko dwa pojemniki, a będą musiały wystarczyć na lata. Zastanawiam się, czy można sklonować sos do spaghetti. Jeżeli zachowamy próbkę lub weźmiemy wymaz z sosu Jane, czy ktoś dorobi go więcej?

Spaghetti, mrożone brokuły, waniliowy napój gazowany i ciasto Sary Lee. Można by niemal pomyśleć, że wszystko jest pod kontrolą.

Przechodząca kotka trąca ogonem moje nogi pod stołem. Ashley wstaje i pokazuje mi szafkę, w której stoi w równych szeregach czterdzieści puszek z kocią karmą.

– Najbardziej lubi łososia – podpowiada.

Po kolacji zawożę dzieci do szpitala. Jest tu trochę ciszej; OIOM spowija połyskliwy półmrok. Z ośmiu sal, na które podzielono szklanymi ścianami dużą powierzchnię, zajętych jest sześć.

– Coś się zmieniło? – pytam pielęgniarkę.

Potrząsa głową.

– Nic.

Dzieci odwiedzają matkę. Nathaniel przyniósł domowe wypracowanie. Czyta je na głos i pyta Jane, czy jej zdaniem powinien coś dodać. Czeka na odpowiedź.

Wentylator oddycha mechanicznie. Po odczytaniu wypracowania Nate opowiada matce o wesołym miasteczku, o koledze ze szkoły, którego ona najwyraźniej dobrze zna, podaje też swoje obliczenia, według których, gdy dorośnie do tego, by pójść do college'u, nauka będzie kosztowała około siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów rocznie, a w przypadku Ashley kwota przekroczy osiemdziesiąt tysięcy. Mówi Jane, że ją kocha.

Ashley głaszcze stopy matki.

– Przyjemnie? – pyta, wcierając krem w palce stóp i wyżej, w kostki. – Może jutro przyniosę lakier i pomaluję ci paznokcie.

Później tego dnia obchodzę dom, gasząc światła. Zbliża się północ. Ashley bawi się w swoim pokoju starymi zabawkami. Pozdejmowała lalki z półek i siedzi między nimi na podłodze.

– Pora spać – przypominam.

– Za chwilę – odpowiada.

Nate jest niedaleko, w pokoju rodziców, śpi w ubraniu, rozwalony na ich łóżku. Towarzyszy mu Tessie, z łbem na poduszce, zastępując Jane.

Rano pod dom podjeżdża van. Wysiada z niego mężczyzna i wyładowuje sześć pudeł. Patrząc, nie wychodząc z domu, jak przynosi je po jednym pod drzwi.

W pierwszej chwili myślę, że to bomba dostarczona przez krewnych rodziny zabitej przez George'a. Ale facet pracuje tak metodycznie, tak skrupulatnie, że z pewnością jest zawodowcem z innej branży. Na samym końcu wynosi z vana wielką roślinę. Kiedy już wszystko ma ustawione rządkiem, dzwoni.

Tessie szczeka.

Uchylam ostrożnie drzwi.

– Dostawa – mówi. – Może pan pokwitować?

– Oczywiście. Co to jest?

– Pańska własność.

– Moja własność?

– Materiały biurowe – odpowiada dostawca, zbierając się do odejścia. – Skąd mam, kurde, wiedzieć? Jestem posłańcem. Ósma rano, a ludzie już się wypytują. Kiedy to się skończy?!

Odchodzi w stronę vana, cały czas się piekląc.

Wciągamy pudła do domu. Są w nich rzeczy z gabinetu George'a.

– Zamawiałeś coś? – pyta Ashley.

– To dla twojego taty – wyjaśniam.

We trójkę wciągamy całą dostawę do jego gabinetu i tam zamykamy.

– Mogę wziąć tę roślinę? – pyta Nate.

Zapada decyzja o odłączeniu Jane od aparatury podtrzymującej życie i oddaniu narządów.

– Nie spałam całą noc – mówi jej matka. – Podjęłam decyzję, potem się rozmyślałam, potem znów podjęłam decyzję i znów się rozmyślałam.

– Kto powie dzieciom? – pyta ktoś.

– Powinieneś ty. – Ojciec Jane wskazuje mnie palcem.

– To wszystko twoja wina.

Nate i Ashley zostają zaprowadzeni do sali konferencyjnej; proszą, żebym z nimi poszedł. Siadamy, czekamy długo, aż wreszcie przychodzi lekarz. Ma wyniki badań, karty, wykresy.

– Wasza mama jest bardzo chora – mówi.

Dzieci kiwają głowami.

– Nie da się naprawić jej mózgu. Dlatego pozwolimy, żeby jej ciało pomogło innym ludziom, których stan zdrowia można polepszyć. Jej serce pomoże komuś, kto ma chore serce. Rozumiecie, o czym mówię?

– Tata zabił mamę – odpowiada Ashley.

Niewiele można dodać.

– Kiedy ją odłączycie? – pyta Nate.

Lekarz mobilizuje się.

– Zabierzemy ją na salę operacyjną i usuniemy narządy, które można przeszczepić.

– Kiedy?

– Jutro – mówi lekarz. – Dzisiaj zadzwonimy do wszystkich, którzy otrzymają pomoc od waszej mamy. Udadzą się do szpitala tam, gdzie mieszkają, i ich lekarze rozpoczną przygotowania.

– Czy możemy ją zobaczyć? – pyta Ashley.

– Tak. Możecie zobaczyć ją dzisiaj, a potem jeszcze raz jutro.

Ktoś zawiadomił policję, zjawia się policjant z fotografem, proszą nas, żebyśmy opuścili salę, zaciągają zasłonki wokół łóżka i zaczynają robić zdjęcia. Białe światło flesza błyska raz po raz za zasłonką, podświetlając sylwetki policjanta i fotografa. Siłą rzeczy zastanawiam się, czy robią zbliżenia. Odsuwają koc? Fotografują ją naga? Błyski zwracają uwagę innych rodzin; ludzie patrzą na nas dziwnie, ale milczą. Udar, atak serca, poparzenie – MORDERSTWO! Nie znamy się po nazwisku, identyfikują nas jednostki chorobowe.

Kiedy policjanci kończą swoje, wracamy. Patrę na koc. Jeżeli go odsuwali, co zobaczyli? Jak wygląda kobieta o martwym mózgu? Obawiam się, że znam odpowiedź: jak martwa kobieta.

Z adwokatem Rutkowskim spotykam się na parkingu

i wchodzimy do szpitala obaj, żeby porozmawiać z George'em.

– Ani razu nie spytał, co z nią – informuję go.

– Przyjmijmy, że zwariował – odpowiada Rutkowski.

– George – mówimy obaj równocześnie, gdy pielęgniarka odsuwa zasłonkę.

George leży zwinięty w kłębek.

– U pańskiej żony Jane stwierdzono śmierć mózgu, zostanie odłączona od aparatury podtrzymującej życie, a pan zostanie oskarżony o morderstwo, zabójstwo albo jeszcze coś innego, w zależności od tego, na co namówimy drugą stronę – mówi adwokat. – Chodzi o to, że kiedy to nastąpi, machina pójdzie w ruch i będzie pan miał ograniczone możliwości działania. Prowadzę negocjacje, aby wysłano pana do instytucji, z którą miałem już okazję współpracować. Po przybyciu przejdzie pan detoksykację, a następnie, na co liczę, personel zajmie się głównym pańskim problemem, psychozą. Rozumie pan, o czym mówię? Słyszysz pan, do czego zmierzam?

– Ssała fiuta mojego brata – mówi George.

Przez kilka chwil nie pada ani jedno słowo.

– Jak ona będzie wyglądać? – pyta George, a ja nie jestem pewien, co właściwie znaczy to pytanie. – Zresztą nieważne, na pewno włożą jej ładny kapelus.

Pielęgniarka informuje, że na moment potrzebuje zostać z George'em sam na sam. Posłusznie wychodzimy.



Ma pan chwilę? – pyta adwokat.

W holu szpitala prosi, żebym usiadł. Stawia wielką torbę na małym stoliku obok mnie i zaczyna wyjmować dokumenty.

– W związku ze stanem fizycznym i umysłowym Jane i George’a został pan prawnym opiekunem dwojga nieletnich, Ashley i Nathaniela. Jest pan także tymczasowo opiekunem George’a i jego pełnomocnikiem w kwestiach medycznych. Obie te role wiążą się z odpowiedzialnością powierniczą i moralną. Czy czuje się pan na siłach wziąć na siebie tę odpowiedzialność?

Patrzy na mnie wyczekująco.

– Tak.

– Zostaje pan opiekunem aktywów, nieruchomości i innych rzeczy, które przejdą na własność dzieci po osiągnięciu przez nie pełnoletności. Ma pan pełnomocnictwo obejmujące wszystkie transakcje, nieruchomości i aktywa. – Daje mi mały klucz; czuję się, jakby mnie wprowadzano do tajnego stowarzyszenia. – To klucz do ich sejfu. Nie mam pojęcia, co w nim jest, ale radzę zapoznać się z zawartością. – Rutkowsky wręcza mi nową kartę bankową. – Proszę ją aktywować z telefonu stacjonarnego w domu George’a i Jane. Pan Moody, księgowy, ma również dostęp do rachunków i będzie monitorował pańskie poczynania. To taki system bezpieczeństwa: Moody kontroluje pana, pan kontroluje Moody’ego, a ja sprawdzam was obu. Rozumie pan?

– Tak – powtarzam.

Podaje mi żółtą kopertę.

– Kopie wszystkich potrzebnych dokumentów, na wypadek gdyby ktoś pytał – wyjaśnia, a potem niespodziewanie wyjmuję torebkę z czekoladowymi monetami w złotkach i potrząsa nimi przed moim nosem.

– *Gelt?*<sup>[2]</sup> – pytam.

– Błado pan wygląda – mówi. – Żona kupiła ze sto takich monet, a ja muszę się ich pozbyć.

Biorę torebkę czekoladowych monet.

– Dziękuję. Za wszystko.

– Taką mam pracę – mówi, odchodząc. – Taki zawód.

## Gdzie jest Claire?

Zgubiła się w podróży, już wracała do domu, kiedy zmieniono jej trasę. Po drodze zaczęły do niej docierać wiadomości od znajomych. Odbieram nieprzyjemny telefon z Hawajów, gdzie samolot ma jakąś usterkę. Słucham oskarżeń.

– Na czym opierasz te uwagi? Na plotkach? – pytam.

– Czytam „New York Post” – odpowiada.

– To twoje nowe źródło informacji?

– Ty chuju – mówi. – Ty chuju, ty chuju, ty chuju! – Wali telefonem w ścianę. – Słyszysz ten trzask, to ja walę swoim BlackBerrym w ścianę. Pierdolony palant!

– Mam cię na głośnomówiącym – mówię, choć to nieprawda. – Jesteśmy wszyscy w szpitalu, dzieci, rodzice Jane, lekarz. Przykro mi, że tak się zdenerwowałaś.

Kłamię. Jestem sam w czymś, co było budką telefoniczną, zanim usunięto z niej cały sprzęt. Jest ogołocoła, szklana – bezsilna.

– Wal się!!!

Dzień zawieszenia w próżni. Dziwnie jest wiedzieć, że jutro Jane będzie martwa. Kiedy w domu dzwoni telefon, odpowiada głosem Jane: „Cześć, nie możemy w tej chwili podejść do telefonu, ale oddzwonimy, jeżeli podasz swoje nazwisko i numer. Jeśli chcesz połączyć się z biurem George’a, dzwoń pod numer dwieście dwanaście...”.

Ona tu jest, nadal jest w tym domu; wpadam na nią, wychodząc z za węgła, wyładowując zmywarę, odkurzając, składając pranie. Dopiero co tu była – czekaj, za chwilę wróci.

Nazajutrz w szpitalu przy łóżku Jane matka traci przytomność i wszystko się odwleka, dopóki jej nie ocucą.

– Wyobrażasz sobie, co znaczy podejmować taką decyzję wobec własnego dziecka? – pyta, kiedy wiozą ją na wózku korytarzem.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić, dlatego nie mam dzieci. Powiem inaczej: mogę to sobie wyobrazić

i dlatego nie mam dzieci.

Wydaje mi się, że mówię to do siebie w duchu, nieświadom, że wypowiadam te słowa na głos, do wszystkich.

– Myśleliśmy, że nie możecie mieć dzieci – wyciedza siostra Jane.

– Nawet nie próbowaliśmy – odpowiadam, nie całkiem zgodnie z prawdą.

Członkowie rodziny po kolei żegnają się z Jane. Jestem ostatni. Na jej czole pozostał ślad szminki matki, niczym hinduistyczna kropka „krew i ziemia”. Całuję ją; skóra Jane jest ciepła, lecz niezamieszкана.

Ashley idzie obok noszy korytarzem. Kiedy czekają na windę, szepce coś do ucha matki.

Zostajemy, choć właściwie nie ma po co. Siedzimy w poczekalni dla rodzin przy OIOM-ie. Przez szybę widzę salową, która zdejmuje pościel z łóżka, myje podłogę, szykuje salę dla następnego pacjenta.

– Chodźmy do baru – proponuję.

Ludzie śpieszą korytarzami. Niosą przenośne lodówki oznaczone „Ludzka tkanka” lub „Organ do przeszczepu – ludzkie oko”. Krążą w tę i z powrotem. Przez przeszkloną ścianę baru widzę nadlatujący helikopter, który ląduje na parkingu, a potem startuje.

Jej serce opuściło budynek.

Z jednej strony czas jakby się zatrzymał, a z drugiej to właśnie czas jest najważniejszy, ludzie się szykują. Dokąd

iść, kiedy klamka zapadła, kiedy jest już po wszystkim? Z każdą godziną, z każdą zabraną częścią, Jane coraz bardziej się oddala. Nie ma powrotu. Skończyło się. Naprawdę.

– Dobrze, że może pomóc innym, spodobałoby jej się to – mówi jej matka.

– Serce i płuca nie powinny się zmarnować – mówi ojciec. – Miała dobre oczy, takie piękne, może ktoś z nich skorzysta; może ktoś będzie miał dobre życie, chociaż ona miała spieprzone.

– Nie mów tak przy dzieciach – napomina go żona.

– Ja się prawie nie odzywam. Gdyby ktoś chciał usłyszeć, co mam naprawdę do powiedzenia, zwiędłyby mu uszy.

– Słucham – mówię.

– Nie rozmawiam z tobą. Jesteś szwanc, odpowiadasz za to tak samo jak twój pieprzony brat. Gnida.

Ma słusność – niepojęte, że tak to się kończy.

Mąż siostry ma wybrać trumnę. Zwraca się do mnie, żebym spytał Nate'a, czy chce pomóc w przygotowaniach. Pytam, ale mnie nie słyszy, ma na uszach słuchawki. Klepię go po ramieniu.

– Chcesz wziąć udział w przygotowaniach?

Patrzy na mnie tępo.

– W przygotowaniach. Inaczej mówiąc, w planowaniu

pogrzebu. Mąż Susan idzie do firmy pogrzebowej wybrać trumnę. Chcesz pójść z nim? Ja poszedłem, gdy umarła moja babcia – dodaję, jakby dla zaznaczenia, że to nie takie straszne.

– Co trzeba tam zrobić?

– Obejrzeć trumny, wybrać jedną i pomyśleć o tym, w co po raz ostatni ubrać twoją matkę.

Nate potrząsa przecząco głową.

– Poproś Ashley – mówi. – Ona lubi wybierać.

Tego wieczoru Nate odwiedza mnie na kanapie.

– Googlowałeś tatę?

– Nie.

– On zabił nie tylko mamę, ale i całą rodzinę.

– Miał wypadek. Od tego się zaczęło.

– Wszyscy go nienawidzą. Są wpisy o tym, jak zniszczył stację telewizyjną, jakim był gburem w biurze, zwłaszcza wobec kobiet. Podobno załatwiono po cichu wiele spraw o odszkodowania za napastowanie seksualne pracownic.

– Nic nowego – mówię. – Twój ojciec zawsze wzbudzał w ludziach silne uczucia.

– Ciężko mi o tym czytać – niemal histeryzuje Nate. – Co innego, kiedy sam uważam go za palanta, a co innego, kiedy obgadują go obcy.

– Chcesz lody? – pytam. – W lodówce jest połówka

tortu Carvela.

– To z urodzin Ashley.

– To już nie można go zjeść?

Nate wzrusza ramionami.

– Chcesz trochę?

– Tak.

Biorę wielgachny ząbkowany nóż i piłuję po kawałku; lody są stare, lepkie, twarde, ale w miarę topnienia robią się smaczniejsze, a na sam koniec pyszne. Tessie wylizuje talerzyki do czysta.

– Zmywanie wstępne – komentuje Nate.

Kładzie się ze mną na kanapie, z głową po przeciwnej stronie, więc mam prawie pod nosem jego śmierdzące stopy. Kiedy zasypia, wyłączam telewizor i wkładam naczynia do zmywarki. Tessie chodzi za mną, daję jej herbatnika.

Przed domem zatrzymuje się długa czarna limuzyna. Schodzą się odświeżnie ubrane dzieci. Chowam do kieszeni chusteczki i żelki.

– Nigdy nie byłam na pogrzebie – mówi Ashley.

– Ja raz byłem, kiedy zabił się syn kogoś, z kim pracował tata – mówi Nate.

W domu pogrzebowym dwóch pracowników przytrzymuje drzwi.

– Najbliższa rodzina przyjmuje po lewej – mówi jeden.

– To my jesteśmy najbliższą rodziną – wyjaśnia Nate.

Mężczyzna prowadzi nas korytarzem. Są już tam rodzice Jane i siostra z mężem.

Ta część ceremonii jest trudna do zniesienia. Obcy lub, co gorsza, przyjaciele kucają przy dzieciach, dotykają ich, obejmują, przyciskają do policzków ściągnięte karykaturalnie twarze. Wszystkich krępuje niezręczność sytuacji, chcieliby coś powiedzieć, a nie mają do powiedzenia nic. Zupełnie nic.

Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Ach, biedne dzieci. Co z wami będzie? Wasza matka była wspaniałą kobietą. Co wasz ojciec ma do powiedzenia na swoją obronę? Mogę sobie tylko wyobrazić. Czy wasz tata dostanie krzesło elektryczne?

Czują, że mogą lub powinni powiedzieć, co im ślina przyniesie na język.

– Tak mi przykro, tak mi przykro, bardzo, bardzo przykro – mówią ludzie do dzieci.

– Okej – odpowiada Ashley.

– Skończ wreszcie z tym „okej” – strofuje Nate siostrę.  
– Wcale nie jest okej.

– Kiedy ktoś mówi, że jest mu przykro, wystarczy odpowiedzieć „dziękuję” – pouczam.

Wprowadzają nas do kaplicy na nabożeństwo. Siadamy w ławkach jak na ślubie, rodzina Jane po jednej stronie, po drugiej my. Za nami siedzą ludzie, którzy znają rodzinę Jane, ludzie znający jej dzieci



z przedszkola, ludzie, którzy znali Jane z centrum fitnessu, przyjaciele i sąsiedzi. Jest tu dziennikarz z przyjęcia na Święto Dziękczynienia, jak również asystent George'a, gej, który załatwiał dla jego dzieci różne rzeczy. To on starał się o dobre bilety, wejściówki za kulisy.

Trumna stoi przed nami.

– Ona naprawdę w niej leży? – pyta Ashley, wskazując głową.

– Tak – odpowiadam.

– Skąd wiadomo, że włożyli jej właściwe ubranie?

– To kwestia zaufania.

Podchodzi do mnie mąż Susan.

– Podoba ci się trumna? – pyta. – Najwyższej klasy. W takiej sytuacji oszczędzanie byłoby okrucieństwem.

– Spodziewasz się mojej aprobaty?

Myślę o pogrzebie Nixona. W domu w New Jersey miał udar w poniedziałek wieczorem, tuż przed kolacją. Gospościa zadzwoniła po karetkę, zawieźli go do Nowego Jorku, sparaliżowanego, ale przytomnego. Na początku rokowania były dobre, ale potem wystąpił obrzęk mózgu, Nixon zapadł w śpiączkę i zmarł. Trumnę przetransportowano z Nowego Jorku do Yorba Linda, gdzie ludzie, żeby go zobaczyć, stali chłodną nocą godzinami w kolejce wijącej się w cichych uliczkach. Miałem zamiar się wybrać, odbyć coś w rodzaju pielgrzymki, jak mormoni zbierający się na górze albo

fanki zdążające na koncert Grateful Dead.

Zamiast pojechać oglądałem relację w telewizji.

W ciągu dwudziestu czterech godzin czterdzieści dwa tysiące osób przeszło obok trumny Nixona. Żałuję, że nie było mnie wśród nich. Widziałem wszystko, siedząc przed telewizorem, ale nic nie czułem. Nie doświadczyłem autentycznego przeżycia, wspólnie spędzonej w chłodzie nocy. Pojechałem do Yorba Linda raz, wiele lat po śmierci Nixona.

– Jak mam o tym powiedzieć w szkole? – pyta Ashley.

– Pewnie już wiedzą – wtrąca Nate.

– To niesprawiedliwe – mówi Ashley.

Podaję jej żelki w kształcie misiów.

Siostra Jane dostrzega to i przybiega z „tamtej” strony sali. Siada w ławce tuż za mną, nachyla się i szepcze:

– Od kiedy znasz się na tym, co powinny jeść dzieci?

– Nie znam się – odpowiadam, nawet się nie odwracając.

Nie lubię dzieci, ale czuję się winny; a nawet gorzej – czuję się odpowiedzialny; jeszcze gorzej – myślę, że ich życie legło w gruzach.

A ja pod wpływem stresu wspominam historie z życia, które nawet nie jest moje. Wrzucam do ust parę żelków, nie częstując Susan.

– Gdzie bliźniaki? – pytam.

– Z opiekunką – odpowiada. Jej twarz ani drgnie po świeżym botoksie.

Starsza kobieta pochyła się i pociąga Ashley za włosy.

– Biedne dzieci, jakie piękne włosy.

Rozbrzmiewa muzyka.

Zjawia się rabin.

– Przyjaciele, członkowie rodziny, rodzice Jane, siostrę Susan, dzieci, Nathanielu i Ash.

– Nikt nie mówi do niej Ash – stwierdza beznamiętnie Nate.

– Jak można odnaleźć sens w śmierci takiej jak ta, w przerwaniu życia? Jane była matką, córką, siostrą, przyjaciółką i była także ofiarą zbrodni, która przerwała naturalny bieg jej życia.

– Nigdy nie lubiłam George’a – mówi na głos matka Jane podczas uroczystości. – George od pierwszej randki był dupkiem.

– Wraz z jej śmiercią nastąpiło zerwanie z tradycją – ciągnie rabin. – Kiedy umiera żyd, nikt nie pyta, czy odbędzie się rytualne obmywanie, jaki będzie pogrzeb, ale: co z ciałem? Rodzina postanowiła oddać organy Jane, żeby te jej części, które pozostały silne, żywotne, mogły uratować życie innych, wypełnili micwę<sup>[3]</sup> oddania Jane innym. Ceremonię pogrzebową odprawia się między innymi po to, by pomóc przyjaciołom i rodzinie pogodzić się z nieodwołalną utratą. Wprawdzie okoliczności śmierci Jane każą nam szukać logicznego wytłumaczenia tego, co się stało, niemniej wyrażamy cześć dla jej życia oraz życia, które teraz podaruje innym. *Ha Makom*

*jinachaim etchem batoch szar awlai Zion w'Jeruszlajim.*  
Niechaj Bóg pocieszy was i wszystkich żałobników Syjonu i Jerozolimy – mówi uroczyście rabin. – Tak brzmią tradycyjne żydowskie kondolencje.

– Czy my jesteśmy sierotami? – pyta Ashley.

– Tak jakby.

*Jit-gadal w'jit-kadasz sz'mej raba, b'alma di w'ra hirutej, wjam-lih malhutej b'ha-jej-hon uw'jomej-hon uw'ha-jej d'hol bejt jisrael ba-agala u-wizman kariw, w'imru amen* – intonuje kadisz rabin.

– Czy my zawsze byliśmy żydami? – pyta Ashley.

– Tak.

Ceremonia dobiega końca, jeden z gości zwraca się do mnie:

– Wziąwszy pod uwagę okoliczności, uważam, że rabin bardzo dobrze się spisał. A jakie jest pańskie zdanie?

– Mam zasadę, że nigdy nie oceniam pogrzebów.

– Uprzejmie prosimy gości o pozostanie na swoich miejscach do czasu, aż rodzina opuści salę – prosi rabin.

Trumna Jane mija nas; jednym z niosących jest dziennikarz ze Święta Dziękczynienia.

Rodzice Jane wychodzą razem z idącą między nimi Susan. Spostrzegam, że kiedy płacze, wyraz jej twarzy się nie zmienia – toczy łyzy klauna.

Nate, Ashley i ja podążamy za trumną. Wsiadamy do limuzyny, kiedy Jane wnoszą do karawanu.

– Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał tego robić – mówi Nate.

– Możemy już wrócić do domu? – pyta Ashley.

– Nie – odpowiada jej brat. – Jest jeszcze stypa?

– Stąd jedziemy na cmentarz. Przy grobie są krótkie przemowy i spuszcza się trumnę do ziemi. – Zastanawiam się, czy wspomnieć o rzucaniu ziemi na matkę, czy też lepiej pewne rzeczy przemilczeć. – A z cmentarza pojedziemy do domu Susan na sziwę[4]. Przyjadą ludzie, którzy znali waszą mamę, i zjemy lunch.

– Chcę być sam – mówi Nate.

– Nie ma mowy.

– Kto przysłała te auta? Służą do innych celów? – pyta Nate.

– Na przykład?

– Na przykład czy wożą też gwiazdy rocka?

Nachylam się i pytam kierowcę:

– Jeździ pan tylko na pogrzeby czy wozi pan też gwiazdy rocka?

Kierowca obrzuca nas spojrzeniem skierowanym w lusterko.

– Jeżdżę na pogrzeby i lotniska. Nie lubię rock and rolla. Zamawiają szofera na dwie godziny, a po czterech dniach człowiek stoi wciąż na tym samym parkingu pod hotelem, bo gość nie może się zdecydować, czy chce wyjść na hamburgera. Lubię regularność i rozkład jazdy.

– Milczy chwilę. – Mieli państwo szczęście z pogodą.

Pozwolę sobie zauważyć, że nie ma nic gorszego niż obsługa pogrzebu przy psiej pogodzie. Wszyscy są wtedy skwaszeni.

W limuzynie, w drodze na cmentarz, dzieci przypinają się do elektronicznych gadżetów. Z jednej strony nie jest rzeczą właściwą grać w gry komputerowe, jadąc na pogrzeb matki, a z drugiej – czy można je o to winić? Woląby być gdziekolwiek, byle nie tu.

Jane spocznie pomiędzy ciotką a babką, rakiem jajnika a udarem. Jest pośród swoich. Śmierć sprowadziły na nie choroba i starość, żadna nie była ofiarą przemocy domowej. To coś innego – coś gorszego.

Dzieci siedzą na składanych krzesłach za dziadkami. Dzień jest ładny, lecz na tyle chłodny, że ludzie są w płaszczach, trzymają ręce w kieszeniach. Kiedy trumna opuszcza się do dołu, słychać szepty, przez zgromadzonych przelewa się fala zaskoczenia.

– Tata przyszedł – mówi Ashley.

Odwracamy się. Rzeczywiście, z tylnego siedzenia wysiada George, eskortowany przez dwóch krępych Murzynów w fartuchach.

– Trzeba mieć tupet – mówi matka Jane.

Ludzie wokół nas szepczą, wiercą się, odwracają.

– Była jego żoną.

– Dopóki śmierć ich nie rozłączyła.

– Powinien przynajmniej zaczekać, aż pójdziemy – mówi Susan.

– Nadal ma swoje prawa – zauważa ktoś.

– Dopóki go nie skażą.

Nieodpowiedni moment. George powinien zostać w samochodzie, schować się, aż wszyscy sobie pójdą. Trzymać się w pewnym oddaleniu do chwili zakończenia pogrzebu.

– Mamy z nim porozmawiać? – pyta Nate.

– Nie teraz – odpowiadam. – Wkrótce się z nim spotkamy.

Kiedy pochód żałobników opuszcza cmentarz, mijamy George'a klęczącego przy grobie, w okularach przeciwsłonecznych i w kajdankach. Widzę, jak skutymi w nadgarstku gołymi rękami, obiema naraz, spycha ziemię do dołu.

Ktoś z teleobiektywem robi zdjęcia.

– Babcia i dziadek nas nienawidzą – mówi Nate.

– Są zdenerwowani.

– Zachowują się, jakby to była nasza wina.

**S**ziwa odbywa się w domu Susan. To daleko, godzina jazdy z cmentarza. Jedziemy od czterdziestu pięciu minut i dzieci zaczynają marudzić. Pytam szofera, czy możemy się na chwilę zatrzymać. Długa limuzyna odłącza się od szeregu, czeka, aż miną nas wszystkie

auta, a wtedy wymykamy się do McDonalda.

– Ja stawiam – zapraszam wszystkich, z szoferem włącznie.

– Podobno w czasie sziiwy mieli podać lunch – przypomina Nate.

– Co wolicie, hamburgera czy sałatkę z jajkiem?

– Wyrzucę dowody – zapewnia szofer, kiedy dojeżdżamy do domu Susan.

– Zaczeka pan, mam nadzieję? – upewniam się.

– Nie ma pan auta? – pyta szofer.

– Zostało pod domem, z którego pan nas zabrał.

– Zwykle tylko dowozimy ludzi na miejsce. Ale zaczekam. Policzę według stawek za czekanie; siedemdziesiąt pięć za godzinę, minimum za cztery godziny.

– Aż tak długo to nie potrwa.

Szofer wzrusza ramionami.

Bliźniaki korzystają ze swobody. Biegają po całym domu, a za nimi ugania się mały piesek, o którego łatwo mogą się potknąć starsi ludzie. Hol lśni od lustrzanych kafelków ze złotymi żyłkami. Denerwuję się, kiedy na nie patrzę; moje odbicie rozpada się na kawałki, zastanawiam się, czy „magiczne zwierciadło” ma moc ukazywania mojego stanu wewnętrznego.

Susan oprowadza przyjaciół Jane po przebudowanym



dwupoziomowym mieszkaniu, pokazując im, jak „podniosła” sufit, „cofnęła” tylną ścianę, żeby mieć duży pokój i jadalnię, oraz jak „odzyskali” garaż, urządzili pokój śniadaniowy z przeszklonymi drzwiami i „wszędzie” dodali tarasy.

– Zrobiliśmy nawet więcej, niż wymyśliliśmy – chwali się.

To widać.

Goście to ci sami ludzie, którzy byli na pogrzebie – przyjaciele, sąsiedzi, narzucający się życzliwi i ciekawscy, których w ogóle nie powinno tu być. Zjadłem wprawdzie podwójnego cheeseburgera, ale krążę wokół stołu, na którym wyłożono lunch. Czarne oliwki i pomidorki koktajlowe spoglądają na mnie beznamiętnie. Awokado, karczochy, diabelskie jaja z papryką, wędzony łosoś, bajgle i sałatka z makaronem... Patrząc na to wszystko, nagle widzę części ciała, organy: foremka z galaretką przypomina wątrobę, sałatka z makaronem zawartość czaszki. Nalewam sobie dietetyczną colę.

Podchodzi do mnie zdecydowanym krokiem starszy człowiek i wyciąga rękę.

– Hiram P. Moody – przedstawia się, ściskając mi dłoń. – Księgowy pańskiego brata. Na pewno ma pan dużo na głowie, więc chciałbym tylko zapewnić, że w kwestii powiernictwa dobrze pan na tym wyjdzie.

Chyba dziwnie na niego spojrzałem, bo ciągnie:

– Nie ma się o co martwić. Finansowo jest pan

ustawiony. George był po trosze graczem, bywał nieostrożny, czasem ryzykował, lecz, powiedzmy, miał dobrego nosa.

– Słucham? – mówię, bo trudno mi nadażyć za Hiramem P.

Kiwa głową.

– Powiem wprost. Ani panu, ani dzieciom niczego nie zabraknie. Płacę rachunki. Gdyby czegoś pan potrzebował, proszę mnie powiadomić. Jestem kimś więcej niż gościem od wyliczania podatków, który mówi „do zobaczenia w połowie kwietnia”. Jestem pana zaufanym kasjerem, trzymam kasę, tak jak od teraz pan. Musi pan tylko podpisać trochę papierów, ale nie ma pośpiechu. Wie pan już, jak mniemam, że stał się pan prawnym opiekunem dzieci, a także opiekunem i pełnomocnikiem w kwestiach medycznych swojego brata, bo Jane, z obawy, że jej siostra ma odmienny system wartości, wskazała pana jako wykonawcę testamentu.

Kiwam głową, która podskakuje jak u figurki na przycisku.

Hiram P. wsuwa mi do ręki wizytówkę.

– Niebawem porozmawiamy – zapowiada. – Chwileczkę – powstrzymuje mnie, kiedy chcę odejść – mam coś lepszego. Proszę wyciągnąć rękę. – Kładzie coś na mojej otwartej dłoni i przyklepuje. – Magnes na lodówkę – wyjaśnia. – Żona je zamówiła, są wszystkie

informacje, nawet numer mojej komórki, na wszelki wypadek.

– Dziękuję.

Hiram P. ujmuję mnie za ramiona i ściska, potrząsając.

– Jestem na usługi pana i dzieci – zapewniam.

Ni stąd, ni zowąd do oczu napływają mi łzy. Hiram P. robi ruch, jakby chciał mnie objąć, a ja unoszę rękę, by powstrzymać łzawienie. Może uniosłem nie dłoń, tylko pięść; może chciałem nie tyle powstrzymać łzy, ile potrzebę oczu zaciśniętą pięścią. Tak czy owak trafiam Hiram P. pod brodę krótkim, ale szybkim hakiem, który rzuca go na ścianę. Wiszący za nim obraz lekko się przekrzywia.

Hiram P. reaguje śmiechem.

– To właśnie w was kocham, jesteście porąbani. Proszę zadzwonić – przypomina. – Kiedy będzie pan gotów.

Siedzę z Ashley i Nate'em na segmentowej skórzanej kanapie Susan. Obok nas siedzi starsza kobieta.

– Znałam waszą matkę. Robiłam jej manikiur, miała piękne paznokcie. Dużo o was opowiadała, była z was bardzo dumna. Bardzo dumna.

– Dziękuję – mówi Ashley.

Nate wstaje i idzie po coś do zjedzenia. Wraca z talerzem jagód dla Ashley.

– Dobry z ciebie brat – chwałę go.

Jakaś kobieta nachyla się do dzieci, odsłaniając przywiedły, pomarszczony dekolt. Odwracam wzrok. Wyciąga rękę. Nikt nie ściska jej dłoni. Ręka z dużym diamentem łąduje na kolanie Nate'a.

– Byłam jej higienistką. Cudownie nam się rozmawiało, to znaczy najczęściej mówiłam ja, bo ona miała podłączony odsysacz śliny, ale umiała słuchać. Była dobra.

Masz coś? – pyta Nate.

– Na przykład co?

– Na przykład valium, ativan, może kodeinę.

– Nie – odpowiadam zdziwiony. – Czemu miałbym to nosić ze sobą?

– Nie wiem. Miałeś żelki i chusteczki. Pomyślałem, że możesz też mieć jakieś lekarstwa.

– Czy zwykle coś bierzesz, kiedy jesteś zdenerwowany? Lekarz coś ci zapisuje?

– Korzystam z apteczki rodziców.

– Świetnie.

– Spoko, nieważne, tak tylko spytałem.

Nate odchodzi.

– A ty dokąd?

– Do łazienki.

Idę za nim.

- Idziesz za mną?
- Zamierzasz przeszukać apteczkę?
- Muszę się wysikać.
- W takim razie ja razem z tobą. Razem poszukamy.
- Ale to popieprzone!
- Bardziej czy mniej, niż gdybyś robił to sam?
- Idę za nim do łazienki i rygluję drzwi.
- Naprawdę muszę się wysikać.
- Więc sikaj.
- Nie zrobię tego, kiedy nade mną stoisz.
- Odwróć się.
- Nie mogę – upiera się.
- Nie ufam ci.
- Kiedy wrócę do szkoły, nie będziesz za mną chodził do łazienki. Trochę zaufania to konieczność. Daj mi się wysikać.
- Masz rację, ale spróbuj nawalić, to gorzko pożałujesz.
- Otwieram apteczkę.
- Jego prilosec, jej środki antykoncepcyjne, jej prozak, acyklowir – no, ładnie, na pewno mają opryszczkę – oksykodon na jego plecach.
- Może być oksykodon – mówi Nate. – Oksy jest okej.
- Masz, weź to. – Wyciskam i podaję mu różowo-białą pigułkę.
- Co to jest?
- Benadryl.

– To nawet nie jest na receptę.  
– Co nie znaczy, że nie działa. Silnie uspokaja.  
– Co tam jeszcze jest? Diazepam, to ogólnie valium, daj mi dwie.

– Nie.

– No, to jedną. Tyle byś wziął przed wejściem do samolotu.

– A może cztery? Tyle trzeba wziąć przed kolonoskopią.

– Zabawny jesteś – komentuje Nate, bierze jedną pigułkę i chowa do kieszeni całą buteleczkę.

– Odłóż butelkę. Możliwe, że mają tu kamerę i potem mnie oskarżą.

Gdy idziemy korytarzem, ojciec Jane raptem chwytając mnie za ramię.

– Powinieneś odciąć sobie fiuta. Powinieneś żyć bez czegoś, co jest dla ciebie cenne.

Popycha mnie i odchodzi, żeby porozmawiać z kierownikiem kateringów. W moją stronę rusza przysadzisty przyjaciel kierownika. Nie chcę się z nim spotkać, bo spodziewam się wyproszenia, więc zaczynam przemykać przez tłum, by odnaleźć Ashley i powiedzieć dzieciom, że na nas już czas. Przyjaciel kateringowca dopada mnie, zanim udaje mi się je odszukać.

– Próbował pan tuńczyka? – pyta.

– Hm, nie – odpowiadam. – Jeszcze nie próbowałem.

– Proszę koniecznie spróbować. Sam go

przygotowałem ze świeżej ryby.

– Jasne. Na pewno. – Jestem wstrząśnięty. – Muszę iść  
– mówię do Nate’a.

– Dobrze. Zawołam siostrę.

– Dokąd idziemy? – pyta Ashley.

– Nie wiem – odpowiadam. – Zwykle nie mówię  
nikomu, co zamierzam zrobić. Zwykle też z nikim  
nigdzie nie chodzę.

– Nie możesz nas tu zostawić – mówi Nate.

– Chcę odwiedzić matkę – decyduję po chwili.

– Opowiesz jej o tym wszystkim?

– Nie.

Wychodzimy bez pożegnania. Podaję szoferowi limuzyny nazwę domu opieki, sprawdza ją w GPS-ie i ruszamy.

– Powinniśmy coś jej przynieść? – pyta Nate.

– Na przykład?

– Jakiś kwiatek.

– Pewnie.

– Dobrze jest przynieść coś, co można zostawić, żeby wyglądało, że ktoś się o nią troszczy – mówi Ashley.

Mijamy kwiaciarnię, więc proszę szofera, by się zatrzymał. Zastanawiamy się przez dwadzieścia minut, co wziąć – w końcu wybieramy fiołek afrykański, zakładając, że najlepiej pasuje do ciepłego, suchego powietrza w domu opieki.

W domu opieki śmierdzi kupą.

– Chyba ktoś miał wypadek – mówię.

Im bardziej oddalamy się od drzwi wejściowych, tym słabiej śmierdzi kupą, za to mocniej chemikaliami i starymi ludźmi.

– Przenieśliśmy pańską matkę do dwuosobowego pokoju. Potrzebowała towarzystwa – informuje mnie pielęgniarza.



Pukam do drzwi – nikt nie odpowiada.

– Cześć, mamó – mówię, popychając drzwi.

– Cześć.

– To ja. Kogoś z sobą przyprowadziłem.

– Wchodźcie, wchodźcie.

Wchodzimy do pokoju. To kobieta z drugiego łóżka myśli, że do niej przyszliśmy.

– Podejdźcie bliżej – prosi. – Nie widzę was dobrze.

Podchodzę do łóżka.

– Jestem Harry. Przyszedłem do pani sąsiadki. Jestem jej synem.

– Skąd pan wie?

– Bo była w domu, kiedy dorastałem. Jak pani na imię?

– Nie wiem. Cóż znaczy imię?

– Wie pani, gdzie jest moja matka, pani sąsiadka?

– Urządzają sobie przyjęcie z lodami, każdy sam sobie robi deser lodowy w jadalni, ale cukrzykom wstęp wzbroniony, każą nam nosić taką prostacką bransoletkę.

– Unosi rękę; na przegubie ma żółtą bransoletkę z napisem CUKRZYK, a na przegubie drugiej pomarańczową z napisem „Nie reanimować”. – Dlatego mam takie kiepskie oczy, cukier je osłabił.

W trakcie naszej rozmowy wjeżdża na wózku moja matka, trzymając oburącz ogromny deser lodowy.

– Słyszałam, że mam towarzystwo – mówi.

Widzę, że też ma bransoletki, niebieską z napisem „Demencja” i identyczną pomarańczową „Nie

reanimować”.

– Rozmawiałem z twoją koleżanką z pokoju.

– Ślepa jak kret.

– Ale nie głucha – wtrąca koleżanka.

– Nareszcie przyszlście – mówi moja matka do Nate’a i Ashley. – Jak tam dzieci?

– Bierze was za George’a i Jane.

– Czy ona wie o mamie? – pyta Ashley.

– Nie rozmawiajcie za naszymi plecami w naszej obecności, to niegrzeczne – upomina kobieta z drugiego łóżka.

– Miło cię widzieć.

Nate obejmuje babkę.

Ashley podaje jej fiołek. Matka, nie zwracając uwagi na kwiatek, stawia go sobie na kolanach.

– Ciężko pracujesz? – pyta Nate’a. – Wypełniasz eter pierdołami? Dzieci w szkole? To z problemami czuje się lepiej?

– Dzieci są fantastyczne – zapewnia Nate. – Jedno i drugie zdolne, każde na swój sposób.

– Ciekawe po kim – wtrąca sąsiadka. – Są adoptowane?

– Dobrze, mamó – mówię. – Chcieliśmy wpaść na chwilę. Niedługo znów cię odwiedzimy. Czy czegoś potrzebujesz?

– Na przykład?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

– Następnym razem moglibyście mi coś przynieść – odzywa się sąsiadka. – Przynieście coś bez cukru. To, że mam cukrzycę, nie znaczy, że powinnam być karana. Spójrzcie na mnie, nie jestem gruba, nie przejadam się. I spójrzcie na nią, je lody.

– Z bitą śmietaną, ciepłą masą krówkową i wisienką – potwierdza matka i się dławi. – Zjadłam ogonek. Zapomniałam wypluć.

– Dobrze ci tak – dogryza sąsiadka. – Mogłabym zawiązać językiem węzełek na ogonku wiśni.

– Na pewno już tego nie potrafisz – mówi matka.

– Jasne, że potrafię. Dziewczynko, przynieś wiśnię, to wam pokażę.

– Mam przynieść? – upewnia się Ashley.

– Dlaczego nie – odpowiadam.

Ashley idzie do jadalni i wraca z wiśnią maraschino. Podaje ją kobiecie, czerwony sok kapie jak krew na białą pościel. Staruszka wkłada wiśnię do ust; można poznać, że obraca ją w kółko.

– Trudniej ze sztuczną szczęką – mówi, robiąc przerwę. – Ale idzie mi coraz lepiej.

No i proszę – wypluwa wiśnię na dłoń, z ogonkiem związanym w supełek.

– Jak pani to zrobiła? – pyta zaciekawiona Ashley.

– Kwestia praktyki.

– Dobrze, mam, musimy już iść.

– Tak szybko? – dziwi się sąsiadka. – Dopiero co

przyszliście.

- Samochód na nas czeka. To długa historia.
- No trudno. Opowiecie mi następnym razem.

W poniedziałek z samego rana dzieci biorą lunch, który przygotowuję im z resztek w lodówce, i zostają odwiezione do szkoły.

Po ich wyjściu ogłusza mnie tykanie kuchennego zegara.

- Czy ten zegar zawsze tu był? - pytam Tessie. - Zawsze tak głośno chodził?

Wkładam naczynia do zmywarki, zmieniam wodę Tessie i kotce, krzątam się, odkładam rzeczy na miejsce, aż nie pozostaje nic do zrobienia.

Zaczynam chodzić w kółko po domu.

I co dalej? Wyobrażam sobie, że opuszczam to miejsce - wychodzę i już nigdy nie wracam. Suka patrzy na mnie. No dobrze, więc wychodzę, ale zostawiam listonoszowi kartkę z poleceniem, żeby odesłał psa i kota do George'a w domu wariatów - zwierzęta mają silne działanie terapeutyczne.

Zanim to się stało, miałem swoje życie, a przynajmniej myślałem, że je mam; jego jakość, sukcesy nie były

kwestionowane. Nosilem się z zamiarem...

Książka. Pora skończyć książkę. Od razu czuję ulgę, gdy sobie przypominam, że mam do wypełnienia misję – książkę. Taszcę płócienną torbę z liczącym tysiąc trzysta stron rękopisem, pokrytym zawiłym systemem karteczek samoprzylepnych i oznaczeń, pozornie nie do odczytania, i kładę na kuchennym stole.

Siadam. Pot spływa mi po plecach, mimo że nie jest mi gorąco. Serce łomocze coraz szybciej, świat się kończy, dom zaraz wybuchnie. Biegnę do apteczki i biorę pigułkę z oznaczeniem „W razie potrzeby na niepokój”. Zażywam lekarstwo George’a i myślę o swoim bracie. Muszę wyjść z domu. W domu jest zimno, przejmująco zimno. Czym prędzej zbieram rzeczy, rękopis i czyste notesy. Jeżeli natychmiast nie wyjdę, coś się stanie. Łapię manatki i wybiegam przez drzwi.

Niebo jest jasne, powietrze spokojne. Stoję nieruchomo.

Książka. Będę pracował. Pojadę do miejskiej biblioteki i będę pisał książkę. Zrobię to. Wsiadam do samochodu; nie mam kluczyków. Mam na sobie spodnie George’a. Wbiegam do domu, chwytam kluczyki, telefon. Suka macha ogonem, jakby myślała, że po nią wróciłem.

– Jadę do biblioteki, Tessie, muszę napisać książkę. Bądź grzeczna.

Biblioteka, ostatnio odnawiana w 1972 roku, idealnie nadaje się do wypełnienia mojej misji. Nowoczesny wystrój upodabnia ją do kościoła unitariańskiego lub klubu osiedlowego. W holu przy wejściu, na korkowej tablicy od podłogi do sufitu, wiszą ogłoszenia społecznościowe proponujące „konwersację przy kawie” i programy „Mama i ja”, a na stole leżą instrukcje o rejestracji przed głosowaniem i broszury pod tytułem *Przygotowanie do katastrofy*. Od razu przypomina mi się wycie syreny systemu obrony cywilnej Thunderbolt, rozlegające się raz w miesiącu o jedenastej, na trzy minuty, przez wszystkie moje szkolne lata. Po wejściu do środka wykładam rzeczy z torby na długi stół i zaczynam czytać to, co do tej pory napisałem, patrząc krytycznym okiem, a zarazem wyrozumiale – jedno z drugim nie do pogodzenia. Przeskakuję naprzód, do miejsca, gdzie skończyłem. Kiedy ostatnio nad tym pracowałem? Mam duże notesy i długopis, którego tak długo nie używałem, że przestał pisać. Pożyczam krótki ołówek od bibliotekarza i wracam na miejsce, zastanawiając się, czy zanim znów zasiądę do pracy nad książką, nie powinienem najpierw sprawdzić, co nowego w świecie nixonologii. Nixon sam napisał dziesięć książek, ostatnią, *Beyond Peace*, ukończył na kilka tygodni przed śmiercią. Tytuły takie jak ten – *Poza pokój* – wywołują u mnie lekkie zdenerwowanie, bo wydaje mi się, że przeczuwał bliski koniec. Pierwszy tom autobiografii

Ronalda Reagana, wydany na początku lat sześćdziesiątych, nosił proroczy tytuł *Gdzie jest reszta mnie?* Czy jest miejsce na jeszcze jedną książkę o Nixonie? Ludzie nieraz mnie o to pytają, na co odpowiadam: „Słyszałeś o wyprawie Nixona do Chin, ale co z jego pasją do nieruchomości w New Jersey? Co z jego zainteresowaniem dobrem zwierząt?”. Przeszukuję zasoby biblioteki i znajduję kilka pozycji, które warto ponownie przeczytać. Mam egzemplarze tych książek w mieszkaniu w Nowym Jorku – w zbiorze, który nazywam Biblioteką Nixona, a Claire „moją” Biblioteką Nixona, w odróżnieniu od tej prawdziwej.

Z naręczem tomów podchodzę do punktu wypożyczeń.

Poniewczasie żałuję, że się nie wstrzymałem. Mogłem usiąść z tymi książkami, przejrzeć je i zostawić na stole, gdzie ich miejsce. Jednak żeby dokładnie się przez nie przekopać, nie pozostawiając niczego przypadkowi, zachciało mi się je pożyczyć.

Kładę książki na ladzie i podaję kartę biblioteczną.

– To nie jest pańska karta – mówi bibliotekarka.

– Wyjąłem ją z kieszeni.

Opróżniam kieszeń do końca.

– Nie należy do pana.

– Zgadza się. To karta mojego brata. Jego spodnie, jego prawo jazdy. Biorę te materiały dla niego.

– Pański brat zabił żonę.

Nabieram powietrza.

– Brat nie może przyjść i wypożyczyć książek, więc go w tym wyręczam.

– Zaznaczę, że karta została skradziona, będzie pan pociągnięty do odpowiedzialności.

– Za co?

– Nieważne za co. Żyjemy w pieniackim społeczeństwie, które tak wyraża gniew. Zaszargałby pan sobie kartotekę.

– Proszę oddać mi kartę.

– O nie – upiera się bibliotekarka. – Na odwrocie jest napisane, że można stracić członkostwo biblioteki.

– Jeżeli to nie moja karta, jak można ją unieważnić?

– Nie korzystano z niej.

– Chodzi o temat, którym się zajmuję? Nie lubi pani Nixona?

– Nie – zaprzecza bibliotekarka. – Nie lubię pana.

– Przecież pani mnie nie zna.

– I nie zamierzam poznawać. Proszę wyjść. Zanim pana oskarżę.

– O co?

– O nękanie.

Potykam się o nierówność na chodniku, torba wylatuje mi z rąk, rękopis – wraz z karteluszkami i resztą – rozsypuje się wokół. Na kolanach zacznam zbierać



strony. Pochylny, podnoszę wzrok i mrużąc oczy przed słońcem, dostrzegam składnicę książek. Notuję w pamięci parę rzeczy, które mógłbym tu podrzucić któregoś wieczoru po zamknięciu biblioteki. Zaraz potem przypomina mi się Teksańska Składnica Podręczników[5]. Dzwoni telefon. Macam po kieszeniach i najpierw wyciągam komórkę George'a, a potem swoją – wyświetla, że dzwoni „Claire”.

– Halo – mówię, cały czas klęcząc.

– Kto wie, co się naprawdę zdarzyło? – pyta.

– Wróciłaś.

– Kto wie?

– Nie wiem, kto wie – odpowiadam, zbierając resztę papierów.

– Wiesz, o co pytam.

– Jeśli pytasz o to, z kim rozmawiałem, to nie rozmawiałem z nikim.

– Ludzie wiedzą – mówi Claire. – Jest artykuł w „New York Post”, są zdjęcia zakrwawionego materaca, który ktoś wynosi z domu, a ty stoisz i wyglądasz jak idiota.

– Widocznie przegapiłem.

– To było w środku. A na pierwszej stronie, w dolnym prawym rogu, zdjęcie twojego brata, który spycha ziemię do grobu w kajdankach na rękach.

– Myślisz, że zaaranżował to jego adwokat?

– Skoro mowa o adwokatach, będziesz go potrzebował. Zadzwoiłam też do firmy

przeprowadzkowej.

– Dokąd się wybierasz? Nie musisz się przeprowadzać, Claire, mieszkanie jest twoje.

– Nigdzie się nie wybieram. Chodzi o ciebie. Dokąd mam odesłać twoje rzeczy?

– Tutaj, odeślij je do domu George’a i Jane.

– Świetnie.

Rozłącza się. Dźwigam się na nogi, zarzucam płócienną torbę na ramię i ruszam ulicą, lekko pochylony na bok. Mijam sklep dla tenisistów, pralnię chemiczną i przystaję przed Starbucks. Próbuję nadać życiu regularność. Robić to co inni.

– Średnia kawa – zamawiam.

– Grande?

– Średnia.

– Grande – powtarza dziewczyna.

– *Non parlo italiano* – mówię, pokazując średnią filiżankę.

Podaje mi kawę, bardzo gorącą. Siadam przy stoliku. Wypakowuję rękopis, porządkuję strony. Kilka kobiet mi się przygląda; jedna pokazuje palcem.

– Co? – pytam głośno, patrząc na nie.

– Wygląda pan jak tamten gość – mówi chłopak, wycierając stoły szmatką śmierdzącą jak wymiociny.

– Jaki gość?

– Ten, który zabił żonę. Przychodziła tu z tamtymi po ćwiczeniach. Często tu przychodzi. Pan jest nowy.

Zaczyna wycierać mój stolik, jakby chciał mnie wyprosić.

– No dobrze – mówię.

Wstaję i zabieram kawę, w końcu kosztowała cztery dolary. Właściwie nie mam na nią ochoty. Ale na ulicy jest człowiek, który wygląda na bezdomnego, więc próbuję mu ją oddać.

– Daje mi pan swoją kawę? – upewnia się.

– Tak.

– Pił ją pan?

– Nie.

– Czemu miałbym ją wypić? A jeżeli dosypał pan do niej narkotyki?

Patrzę na gościa. Wygląda znajomo, trochę jak mechanik zmieniający koło, a trochę jak Clint Eastwood.

– Wie pan co, ja nie piję kawy – mówi nieznajomy.

– Ach, tak.

Niechący oblewam przegub gorącym naparem.

– Przychodzę tu na ciasto cytrynowe i herbatę.

Kiwam głową, wciąż się zastanawiając, skąd go znam.

– W takim razie smacznego – mówię, czując, jak płócienna torba zsuwa mi się z ramienia.

– Nawzajem. Mam nadzieję, że pan znajdzie chętnego na tę kawę.

Stawiam kawę na dachu auta, otwieram drzwi i wrzucam do środka płócienną torbę. DeLillo, myślę, zatrzasnął drzwi. DeLillo. Zapalam silnik. Cholera, to

był Don DeLillo. Z wielką chęcią pogadałbym z nim o Nixonie. Wrzucam bieg i ruszam. Na tylnej szybie rozlewa się kawa. W lusterku widzę, jak kubek spada za mną na ulicę.

**Z** powrotem na uczelnię. Jestem gotów do zajęć? Prowadzę ten sam kurs od dziesięciu lat. Oczywiście, że jestem gotów – bardziej niż gotów, jadę na autopilocie.

Zgubiłem się w drodze do szkoły. Nigdy nie jechałem od tej strony. Zwykle jadę z domu, znam trasę na pamięć. Jestem spóźniony. W aucie dzwoni telefon. Usiłując wydostać komórkę z kieszeni, ocieram się o barierkę. To znów Claire. Nie odzywa się.

– Claire. Halo, jesteś tam? Słyszysz mnie? Jestem w aucie, jadę do szkoły. Spróbujemy później.

Biegnę odebrać pocztę w sekretariacie wydziału. Niewiele tego w mojej przegródce: pocztówka od studentki, która przeprosza, że była nieobecna na dwóch kolejnych zajęciach, ale zachorowała jej babcia w Maine. Stempel pocztowy jest z Daytona na Florydzie. Niestety, podpis się zamazał, więc nawet nie wiem, komu mam za to wstawić minus. Poza tą pocztówką jest tylko zawiadomienie międzywydziałowe. „Dziekan wydziału chciałby umówić się z panem na rozmowę”. Wsuwam głowę do biura, gdzie urzęduje sekretarka.

– Przepraszam, nie jestem pewien, czy to dla mnie.

– Tak – potwierdza. – Chce z panem porozmawiać.

– Mamy ustalić jakiś termin?

Sekretarka znika w gabinecie dziekana i zaraz wraca.

– W przyszlą środę, na tradycyjnym dorocznym lunchu. Podobno zna pan szczegóły, ma pan lata doświadczenia.

– Świetnie. Dziękuję.

Otwieram drzwi pokoju, który dzielę z profesorem Spivakiem – on korzysta z niego we wtorki, czwartki i piątki, a ja w poniedziałki i środy od czternastej do piętnastej. Czekam. Nikt nie przychodzi. Wyciągam rękopis, który stał się moim towarzyszem podróży, i rzucam się na niego, w szalonym tempie robię notatki, sam sobie proponuję zmiany, poprawiając własną pracę jak nauczyciel. Pięć minut przed zajęciami zamykam biuro. W połowie drogi przez kampus uderza mnie w potylicę frisbee,omal nie ucinając głowy. Nikt nie przeprosza ani nie pyta, czy nic mi się nie stało. Chowam frisbee do torby i idę dalej.

Stoję w sali numer 304 w Budynku Donzigersa i witam studentów – ledwie na mnie spojrzą, leniwie napływając do środka.

– Dzień dobry, mam nadzieję, że mieliście przyjemne i owocne ferie. Czas oddać prace. Proszę je podawać do przodu. Potem podejmiemy dyskusję o Nixonie,

Kissingerze i rozmowach pokojowych w Paryżu.

Dociera do mnie plik prac. Moją uwagę przykuwa jeden tytuł: *Robić loda czy bić się: paradygmat testosteronu*. Obiecująco zapowiada się też opracowanie: *Checkers i Buddy*<sup>[6]</sup> – *rola psa Białego Domu w kształtowaniu opinii publicznej*.

– Mam kilkanaście prac. Kto jeszcze nie oddał swojej?

Dzwoni moja komórka. Odbieram tylko dlatego, że z jakiegoś cholernego powodu nie mogę jej wyłączyć.

– O, cześć, Larry, mam zajęcia, dosłownie jestem w trakcie, możesz zadzwonić później?

– Mój adwokat – wyjaśniam. – Pilna sprawa rodzinna.

Jeden ze studentów parska. Duży plus – przynajmniej ten jeden czyta na bieżąco wiadomości.

Przez półtorej godziny rozwodzę się nad złożonością procesu pokojowego, który rozpoczął się w 1968 roku po różnych opóźnieniach związanych na przykład z debatą o „stołach”. Wietnam Północny postawił warunek, że konferencja ma się odbyć przy okrągłym stole, przy którym wszystkie strony będą równe, natomiast Wietnam Południowy uznał, że jedynym właściwym rozwiązaniem będzie stół prostokątny, fizycznie obrazujący dwie strony konfliktu. Dylemat ten rozwiązano, sadzając Północ i Południe przy okrągłym stole, a pozostałych uczestników pojedynczo przy kwadratowych stolikach ustawionych dokoła. Przedstawiam szczegółowo rolę Nixona, Henry’ego

Kissingera i Anny Chennault, która pośredniczyła w zakulisowym storpedowaniu paryskich rozmów pokojowych w 1968 roku. Wietnam Południowy wycofał się z rozmów w przeddzień wyborów, pomagając Nixonowi wygrać i w efekcie przedłużając wojnę. Kissinger otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za „starania” w 1974 roku. Le Duc Tho z Wietnamu Północnego, ogłoszony drugim laureatem, odmówił przyjęcia nagrody.

Natłok myśli wiedzie mnie ku dygresjom; raczę studentów opowieściami o Marcie Mitchell – nie Margaret Mitchell, autorce *Przeminęło z wiatrem*, która spławiła przyzwoitego zalotnika Johna Marsha i wydała się za przemytnika alkoholu Reda Upshawa, który ją bił, więc się z nim rozstała i wróciła do Marsha. Nie, mówię o Marcie Mitchell, żonie byłego prokuratora generalnego Johna Mitchella, znanej jako „Tuba Południa”, która nie wylewała za kołnierz, wydzwaniała po nocy do ludzi i mówiła rzeczy takie jak: „Mój mąż jest pieprzonym prokuratorem generalnym Stanów Zjednoczonych!”. Fascynuje mnie trunkowa pani Mitchell. Jej zarzuty, że Biały Dom prowadzi nielegalną działalność, uznano za objawy choroby umysłowej i zlekceważono. Ostatecznie zrehabilitowano ją, a jej casus posłużył za podręcznikowy przykład syndromu znanego pod nazwą „efekt Marthy Mitchell” i opisywanego jako dojście psychiatry do mylnego przekonania, iż nieprawdopodobne, choć

w istocie prawdziwe zdarzenia są urojeniami pacjenta.

Snuję opowieść, rozkręcam się, nawijam jak najęty. Prowadzę najlepsze zajęcia od lat.

– Jakież przemyslenia? Pytania? – kończę.

Oślupiali studenci nawet okiem nie mrugną.

– A zatem do zobaczenia za tydzień.

Wychodzę naładowany energią, jeszcze bardziej kochając Nixona. Jadę do domu George'a, z trudem przypominając sobie, która droga dokąd prowadzi. Kiedy wjeżdżam do miasta, wszystko się zamyka na noc – bar serwujący lunchy, sklep z damską odzieżą. Przed cukiernią 31 Smaków stoi rodzinka umazana czekoladą. Parkuję w pobliżu chińskiej restauracji. Czerwony neon z chińskimi znakami może oznaczać wszystko. Chociażby „Zjedz gówny i zdechnij” po mandaryńsku. Biorę ze sobą prace studentów. Restaurację prowadzi rodzina Chińczyków, z głośnym cmokaniem serwując miski parującej zupy i równiutkie kopczyki białego ryżu. Znów dzwoni komórka.

– Claire, po co do mnie wydzwaniaasz, jeżeli się nie odzywasz? Porozmawiaj ze mną. Wiem, że jestem dupkiem, ale umiem słuchać. Zniosę to, co masz mi do powiedzenia. Jestem w chińskiej restauracji. Zamówiłem naleśniki z szalotkami, których nie znosisz, i krewetki w ostro-kwaśnym sosie. Tak, wiem, że masz alergię na krewetki, ale ja nie.



W domu jest ciemno. Tessie kręci się nerwowo; wypuszczam ją na siusiu i napełniam miskę. Kotka ociera mi się o nogę, trzępiąc ogonem.

– Nie zapomniałem o tobie – zapewniam. – Czy kiedyś zapomniałem?

Telefon od Larry’ego uświadamia mi, że obiecałem do niego oddzwonić.

– Przepraszam, te dni są takie dziwne. – Śmieję się. – Bardzo dziwne.

Siadam na kanapie, biorę pilota, przerzucam kanały, zauważam, że przy telewizorze tej wielkości każde kliknięcie pilotem bardzo zmienia oświetlenie pokoju. Wolę stare czarno-biało odbiorniki – mniej męczą oczy.

– Tu Larry – powtarza.

– Ja... – zaczynam coś mówić.

– Nie mów, tylko słuchaj – przerywa. – Mam dla ciebie wieści. Claire poprosiła mnie, żebym ją reprezentował.

– Przecież masz już żonę.

– Reprezentował, nie żenił się z nią. Będę jej adwokatem.

Wyłączam telewizor.

– Larry, jesteśmy przyjaciółmi; znamy się od czwartej klasy.

– No właśnie.

– Nie rozumiem.

– Czekałem na tę chwilę. Nigdy nie zapomniałem, jak ty i twój brat mnie traktowaliście. Byłem nowy,

przyjechałem z Newark.

– Aha – mówię, choć właściwie nie pamiętam.

– Zatańczyłeś taniec „nowego Żyda”, a potem twój brat powiedział, że jeżeli chcę zachować życie, to muszę mu płacić trzy dolary tygodniowo.

– Tanio się wykupiłeś. Ja musiałem mu płacić pięć.

– Nieważne. Claire uważa, że ma podstawy. Masz adwokata, kogoś, z kim powinienem porozmawiać?

– Ty jesteś moim adwokatem.

– Już nie.

– Czy Claire chce ze mną usiąść i pogadać o wspólnej własności, emeryturze, ubezpieczeniu zdrowotnym, kto ma co dostać i tak dalej?

– Nie. Zostawiła to wszystko mnie.

– Nie ma konfliktu interesów?

– Z mojej strony nie – mówi Larry.

– Jeżeli ty będziesz jej adwokatem, kto będzie moim?

– Nie znasz nikogo innego?

– Nie. Nie obracam się w środowisku prawniczym.

– George na pewno ma adwokata. Muszę cię też prosić, żebyś przestał dzwonić do Claire. Mówi, że ciągle wybierasz jej numer i zostawiasz wiadomości.

– Wcale nie. Jej komórka do mnie dzwoni, odbieram, a Claire się nie odzywa.

– Nie dam się wciągnąć w rozgrywkę „on powiedział, ona powiedziała”. To się musi skończyć.

Milczę.

– No dobrze – mówi Larry. – Jeszcze jedno, budzik. Claire mówi, że zabrałaś budzik z jej strony łóżka. Czarny podróżny budzik Brauna, cztery cale na cztery.

– Kupię jej nowy.

– Nie chce nowego. Chce swój. – Długa chwila milczenia. – Nie prosi o nic więcej, żadnych alimentów, żadnych środków na utrzymanie. Jestem upoważniony do zaoferowania ci dwustu tysięcy dolarów za to, żebyś nigdy więcej się do niej nie odezwał.

– To boli.

– Mogę podwyższyć do dwustu pięćdziesięciu.

– Nie chodzi o pieniądze, chodzi o to, że Claire nie chce więcej ze mną mówić, a na dodatek obraża mnie posądzeniem, że musi mi za to zapłacić.

– Więc weźmiesz te dwieście tysięcy?

– Dwieście pięćdziesiąt – poprawiam.

– I odeślesz budzik.

– Dobrze – zgadzam się. I na tym kończymy.

Potrzebuję powietrza. Przypinam Tessie smycz. Nie chce wyjść z podwórka i kiedy zbliżamy się do chodnika, muszę ją mocno pociągnąć.

– Chodź, Tessie – zachęcam. – Wiem, że lubisz swój dom, ale psy powinny chodzić na spacer. Ja też muszę się przejść. Zrobimy jedno kółko i na dzisiaj będzie dosyć, co ty na to? – Pies siada na brzegu trawnika i nie chce się

ruszyć. – No, przecież nie mogę iść bez ciebie. Człowiek idący sam budzi podejrzenia. Człowiek idący z psem wypełnia obowiązek.

Szarpię smyczą. Tessie ze skomleniem wychodzi na chodnik.

– Nic ci nie jest? Pociągnąłem za mocno?

Nigdy nie chodziłem tymi ulicami wieczorem. Trochę to ekscytujące, trochę przerażające. Dokoła panuje fałszywy spokój: długie podjazdy, w głębi domy – zapalone światła emanujące przyjemną melancholią – dalekie odgłosy bawiących się dzieci, szczekanie psów.

Po drodze Tessie staje i zżera coś dziwnego, czarne grudy. Przyświecam komórką, żeby się przyjrzeć. Czyżby końskie łajno? To byłoby dziwne, w tej okolicy nie widuje się koni.

Nazajutrz rano dzwoni sekretarka adwokata George'a.

– Ma pan pióro? – pyta.

– Tak.

– Mam dla pana wiadomość. Pańskiego brata przeniesiono do Sadyby, pawilon Mohonk, pokój B. Potrzebny jest spis leków w apteczce domowej: data, dawka, apteka, lekarz. Będą pomocne wszelkie informacje o lekarzu osobistym i psychiatrze. Proszę przejrzeć pokwitowania na karcie kredytowej. Chcemy wiedzieć, czy w ciągu ostatniego pół roku nie dokonano

żadnych niezwykłych operacji. Pański brat został obciążony. – W pierwszej chwili myślę, że użyto karty kredytowej George’a, by za coś zapłacić, zdarza się przecież, że anulują ci kartę, kiedy ktoś na jej numer próbuje kupić przez internet traktor. Ale sekretarka dodaje: – Prokurator okręgowy twierdzi, że brat opuścił szpital z zamiarem wyrządzenia krzywdy.

– Och, bardzo wątpię – zaprzeczam zaskoczony.

Ruch za oknem przyciąga mój wzrok: na ogromnym koniu, który z pewnością drogo kosztował, przejeżdża stępa kobieta w pełnym jeździeckim rynsztunku, ze szpicrutą. Jest zimno, z wielkich nozdrzy wierzchowca bucha para oddechu.

– Rozpatrują morderstwo lub zabójstwo z premedytacją. Innymi słowy, w ich przekonaniu to nie był wypadek.

– Może brat wrócił do domu, bo tęsknił za suką. Jest z nią bardzo zżyty.

– Że niby musiał wyjść w środku nocy ze szpitala, żeby dać swojej suczce ciasteczko?

– Coś w tym rodzaju.

– Życzę szczęścia – mówi sekretarka. – Prześlę panu faksem namiary do Sadyby.

Czekając na faks, znajduję w szafie worek marynarski, wrzucam do niego koszulki polo, spodnie od dresów, spodnie khaki. Łapię skarpetki, bieliznę, szczoteczkę do zębów, pastę, komplet do golenia, tenisówki, kąpielówki

– nigdy nie wiadomo, co się przyda. Pies szczeka. Brzęka klapka nad szparą na pocztę, na podłogę spada odręczna notka. „Mamy coś dla ciebie”. Otwieram drzwi...

Ulica jest pusta.

Przyjemnie jechać w taki piękny dzień. Mimo to dziwi mnie, jak daleko na północy stanu ukryta wśród gór jest Sadyba – rezydencja w rustykalnym stylu Adirondack, z portiernią przy bramie.

Wychodzi strażnik i prosi o otwarcie bagażnika. Korzysta z lusterka, żeby zajrzeć pod samochód, macha detektorem metalu nade mną i workiem.

– Pozwoli pan, że to zatrzymam? – W rękę ma lewarek. – Nie damy panu odjechać bez tego. Bardzo uważamy.

Na szczycie wzniesienia parkingowy odstawia samochód, a ja wchodzę do środka z workiem dla George'a.

Duża lada recepcyjna przywodzi na myśl raczej hotel niż szpital psychiatryczny.

– Przyjechałem zobaczyć się z bratem.

– Jak się nazywa?

– George Silver.

– Żadnych odwiedzin.

Pokazuję worek.

– Kazano mi przywieźć jego rzeczy.

Recepcjonistka bierze worek i niedbale wypakowuje na ladę ubranie i bieliznę.

– Ej, ja to wszystko poskładałem.

– To szpital psychiatryczny, a nie pokaz mody – kontruje, podając mi elektryczną szczoteczkę do zębów, dezodorant, pastę. – Wyłącznie nieotwarte opakowania, żadnych urządzeń elektrycznych.

– Kiedy będę mógł się z nim widzieć?

– Nowo przyjęci pięć dni bez odwiedzin.

Zaczyna wkładać odrzucone rzeczy z powrotem do worka.

– Chce pan je zabrać czy mam wyrzucić?

– Zabiorę. I co teraz? Jest tu gdzieś automat z colą albo bar, gdzie mógłbym napić się kawy?

– W miasteczku jest duży wybór lokali gastronomicznych.

– Proszę pani – mówię. – Zmarła mu żona i nie mieliśmy nawet okazji o tym porozmawiać.

Kobieta kiwa głową.

– Ta wyprawa do instytucji służącej poprawie zdrowia przynosi, jak widzę, przeciwny skutek. Jadę trzy godziny po to, żeby podrzucić czystą bieliznę?

– Wystarczy – przerywa ostro kobieta, po czym się uspokaja. – Mogę dać panu kopię naszego filmu promocyjnego. – Sięga pod ladę i podsuwa mi płaskie pudełko. – Są na nim wszystkie informacje, opis programu. Nie możemy zabrać pana na wycieczkę:

strzeżemy prywatności naszych klientów. Zapiszę, że prosi pan, by lekarz do pana zadzwonił. Wizyty członków rodziny planujemy z wyprzedzeniem. Nie wpuszczamy nikogo, bo „wpadł z wizytą”, to zakłócałoby porządek.

– Przyjechałem z bardzo daleka.

– Tak, rozumiem. Chce pan napisać do lekarza osobisty list?

– Pieprzyć list – mamroczę i wychodzę.



Z telefonu w Burger Kingu dzwonię do adwokata; komórka jest tu bezużyteczna – nie ma zasięgu. Wrzucam monety do płatnego telefonu.

– Wywołuje mnie pan z sali rozpraw, by narzekać, że czuje się pan urażony, bo nie chcieli wziąć od pana pasty do zębów?

– Tak jest. Jechałem kawał drogi, żeby zobaczyć się z bratem. Ubranie mogłem przesłać kurierem. Nie przyjęli nawet jego szczoteczki do zębów, z czego nie będzie zadowolony.

– Na pewno powiedzą mu, że pan był. To, że się pan pokazał, też się liczy. Muszę kończyć – mówi adwokat i rozłącza się bez dalszych wyjaśnień.

Na stacji benzynowej na autostradzie komórka odzyskuje zasięg, ale przestaje działać karta bankowa.

– Tak – potwierdza przedstawiciel banku, rozmawiający ze mną z Indii, a nie z Paterson w New Jersey. – Została zablokowana.

– Przez kogo?

– Biuro Ochrony przed Oszustwem. Zna pan hasło?

– Na rany Chrystusa! – krzyczę.

Wszyscy na stacji oglądają się na mnie.

- Tylko bez przekleństw! – mówi facet w telefonie.
- Ja nie przeklinam, to jest właśnie hasło.
- Ciszę przebija klekot klawiszy komputera.
- Piętnaście dolarów w szpitalnej kafeterii? Zakup w sklepie ogrodniczym?
- Tak, za to płaciłem. Kto zablokował kartę?
- Nie jestem w stanie panu odpowiedzieć, ale właśnie wysyłamy nowe karty. Powinien je pan dostać w ciągu siedmiu do dziesięciu dni.
- Możecie przesłać mi karty tam, gdzie teraz jestem, bo nie ma mnie w mieście?
- Niestety, możemy je wysłać tylko na adres z dokumentacji.
- Żadnych komórek! – wrzeszczy ktoś do mnie.
- Chce pan nas pozabijać? – dorzuca inny klient.
- Odejdź od samochodu, pojebie!
- Z podajnikiem benzyny w jednej ręce i komórką w drugiej patrzę na nich oburzony.
- Nie umiesz, kurwa, czytać, baranie?! – drze się jeden z gości, wskazując napis na pompach: „Iskry z komórek i innych urządzeń elektronicznych mogą podpalić opary benzyny. Zabrania się korzystać z komórki podczas tankowania”.
- Zabieram rękę z pompy; końcówka wysuwa się z baku, ochlapując mi buty benzyną. Odchodzę od auta.
- Jestem na stacji benzynowej sto pięćdziesiąt kilometrów od mojego oddziału! – krzyczę do telefonu. –

Jeśli spytam, jak się pan nazywa, powie pan, że John lub Tom albo zmyśli coś, co brzmi po amerykańsku, choć naprawdę nazywa się pan Abimanyu lub podobnie!

– Chce pan rozmawiać z kierowniczką?

– Poproszę.

Wsiadam do auta, zapalam silnik, spodziewając się eksplozji, ale nie następuje. Kiedy w słuchawce odzywa się kierowniczka, opowiadam od nowa swoje, kończąc przypomnieniem, że nie mam pieniędzy i jestem na stacji benzynowej sto pięćdziesiąt kilometrów od domu.

– Rachunek został zablokowany w związku ze zbliżającą się sprawą sądową – mówi urzędniczka.

– To wy zablokowaliście rachunek, nie ja.

– Potrzebuje pan pieniędzy?

– Tak.

– Do tych rachunków dołączona jest linia kredytowa pod zastaw domu, z jakiegoś powodu niezablokowana. Dostępna kwota wynosi sześćdziesiąt tysięcy dolarów, które można pobierać z bankomatu po tysiąc dolarów dziennie, z wyłączeniem opłat za transakcje.

Pobieram pieniądze w punkcie gastronomicznym przy stacji benzynowej i chowam do kieszeni.

Dojeżdżam do miasteczka George'a późnym popołudniem, w tej spowolnionej porze dnia, gdy wszystko wydaje się wisieć niedokończone w powietrzu,

aż będzie można nalać koktajle. Spalibyśmy, gdybyśmy byli kotami.

Zamiast do domu kieruję się do synagogi. Potrzebuję rady. Parkuję. Gaszę silnik, ale nie mogę wysiąść z auta. Jakbym się zaklinował. Ciekawe, czy rabin wyszedłby do mnie na rozmowę? Jest coś takiego jak bożnica dla zmotoryzowanych? Korzystam z informacji telefonicznej i zdobywam numer. W telefonie bożnicy odpowiada automatyczna sekretarka. „Język hebrajski, naciśnij dwa... terminarz wydarzeń, naciśnij jeden... sekretariat rabina Scharfenbergera, naciśnij trzy”. Naciskam trzy. Odpowiada kobiecie głos:

– *Ni hao.*

– Chciałbym rozmawiać z rabinem.

– Rabin jest bardzo zajęty.

– Niedawno kogoś straciłem. Rabin przemawiał na pogrzebie. Podaliśmy sobie ręce.

– Czy jest pan członkiem kongregacji?

– Mój brat jest członkiem, mój bratanek miał tu bar micwę.

– Może pan dołączy i potem porozmawiamy.

– Nie mieszkam tutaj.

– Pan da darowiznę.

W głosie tej kobiety jest coś bardzo dziwnego – jakby mówiła, tłumacząc.

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale ma pani niezwykle akcent. Skąd pani jest?

– Jestem chińską żydówką. Adoptowali, kiedy byłam duża.

– Ile pani miała lat, kiedy panią adoptowano?

– Dwadzieścia trzy. Rodzina przyjechała po małe dziecko, ale się nie spodobało, więc wzięli mnie. Jestem jak małe dziecko. Nie mam wykształcenia. Nic nie wiem. Dla wszystkich dobre rozwiązanie. Żartujemy: jestem dużym nowym dzieckiem, ale mnie to nie śmieszy. Bardzo lubię być żydówką, ładne święta, dobra zupa. – Milczy chwilę. – To jaką pan da darowiznę?

– Chce pani powiedzieć, że muszę kupić czas rabina?

– Żydowska społeczność potrzebuje wielu rzeczy, ciężko dokuczył wykręt bonzy.

– Przekręt Ponziego[7]?

– Tak, pieniądze poszły z dymem. Ile pan da?

– Sto dolarów.

– Nie za dobrze, może pan więcej.

– Ile pani sugeruje?

– Minimum pięćset.

– Dobrze, a ile dostanę czasu z rabinem za pięćset?

– Dwadzieścia minut.

– Jest pani dobrą żydówką – mówię. – Dobrym biznesmenem.

– Menką.

Odczytuję jej numer karty kredytowej, każe mi chwilę poczekać. Słyszę starą muzykę, odgłosy żydów idących przez pustynię.

- Karta odrzucona.
- Dlaczego?
- Nie podają. Pan zadzwoni do karty kredytowej, a potem do mnie. Do widzenia, szleper[8].  
Naprawdę powiedziała „szleper”?
- Kiedy wyjeżdżam z parkingu przy synagodze, o mały włos unikam staranowania przez wóz dostawczy.

Wracam do domu. Na podłodze pod szparą na pocztę leży kolejny liścik.

„Mam ci coś zrobić. Nie wychodź z domu”.

– Tessie, kto zostawia te kartki? Widzisz, jak wlatują? Jakaś anonimowa ręka wrzuca je przez szparę? Jak ona wygląda, czego ode mnie chce?

Tessie patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Wiesz co, stary, bardzo się starasz, ale ja ciebie prawie nie znam, a ostatnio tyle tu było dzikich awantur, że nawet nie wiem, od czego zacząć wyjaśnienia”.

Coś się zmieniło: nic wielkiego, ale mam dziwne uczucie, że rzeczy zmieniły swoje miejsce. Czy kiedy wychodziłem, gazeta leżała przed domem, czy w środku? Również plik poczty przy drzwiach wejściowych wygląda inaczej. Na blacie stoi puszka z napojem waniliowym. Dotykam – jest zimna.

Serce zaczyna bić mi szybciej.

Patrzę na Tessie. Macha ogonem.

– Halo?! – wołam. – Jest tu kto? – Niesamowite uczucie. – Ha-lo...

Jakiś odgłos na piętrze.

– Kto tam jest... Nathaniel, Ashley? Odpowiedz.

Serce tłucze w moje żebra, jakby zerwało się z uwięzi. Przykładam dłonie do ust, mówię grubszym głosem.

– Tu sierżant Spiro Agnew z wydziału policji. Wiemy, że jesteś w budynku. Wyjdź z rękoma nad głową.

Rozlega się głośny łomot, jakby coś spadło na podłogę.

– Cholera! – słyszę głos.

– Dobrze, wchodzę na górę. Wyciągam broń, choć tego nie lubię, bo jest wielka i cholernie ciężka. Odsuń się, Wallace...

Tupię cztery razy na dole schodów, naśladując odgłos wchodzenia po stopniach. Tessie patrzy na mnie, jakbym oszalał.

– To ostatnie ostrzeżenie. Wallace, dzwoń na posterunek, niech przyślą brygadę antyterrorystyczną.

Tessie łypie z ukosa, jakby chciała spytać: „A któż to, u licha, ten Wallace?”.

Biorę ze stojaka na parasole kij bejsbolowy Nate'a i wchodzę po schodach.

– Nie strzelaj – prosi kobieta.

– Gdzie jesteś?

– W łazience.

Wchodzę z uniesionym kijem, gotów się zamachnąć. W środku jest Susan, z wielkim naręczem ubrań Jane na

wieszakach.

– Chyba mnie nie zabijesz?

– Nie wiedziałem, że masz klucz.

– Wzięłam ten spod sztucznego kamienia.

Patrzę na stos ubrań w jej rękach.

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Chciałam wziąć parę rzeczy Jane. Czy to dziwne?

Wzruszam ramionami.

– Mogę je zabrać?

– Bierz, co chcesz. Weź telewizor, w każdym pokoju jest odbiornik. Chcesz srebrne sztucce? Jest tego dużo na dole, w aksamitnych woreczkach.

– Mam je obejrzyć?

– Twoja wola. Była twoją siostrą. W tym momencie okradasz siostrzeńca i siostrzenicę.

Usuвам się na bok, żeby mogła zejść po schodach.

– Gdzie masz broń?

– Jaką broń?

– Mówiłeś, że jest wielka i cholernie ciężka. A widzę tylko kij Nate'a.

– Skłamałem. – Odkładam kij i pomagam Susan zanieść rzeczy do auta. – Miała dużo butów – mówię.

– Miała zgrabne stopy – mówi Susan. – Łatwo jej było dopasować pantofle.

– Zgrabne stopy i futro z norek.

– Jak myślisz, gdzie ono wisi?

– Zaglądałaś do szafy w holu, przy wejściu?



– Drań zabił mi siostrę, więc powinnam je dostać.

Susan wraca do domu, otwiera szafę w holu i zaczyna w niej grzebać. Znajduje futro, wkłada je, idzie do drzwi, przystaje i patrzy na mnie, jakby chciała spytać: „Powstrzymasz mnie?”.

– Mówiłem już, cokolwiek zechcesz, jest twoje. –  
Podaję jej puszkę z napojem. – To też twoje?

– Możesz wziąć – odpowiada.

Popijam łyk.

– Wiesz coś o przychodzącej poczcie? Ktoś wciąż mi zostawia niepokojące kartki.

– Jakie kartki?

Pokazuję jedną.

– Masz przerąbane – stwierdza Susan.

– Jak to?

– To pewnie rodzina tych, których zabił George, szuka zemsty.

– Powinienem pokazać to policji?

– Nie ja będę ci doradzać – odpowiada, wsiadając do auta. Cofa się i odjeżdża.

Idę do sklepu ze sprzętem elektrotechnicznym, żeby obejrzeć alarmy antywłamaniowe, kupić lampki nocne i programatory czasowe do oświetlenia na piętrze. Z powodu nieoczekiwanego najścia Susan, podrzucanych przez szparę w drzwiach kartek oraz tego, że przez

dwadzieścia dwa lata mieszkałem na osiemnastym piętrze w apartamencie z jedną sypialnią, coraz silniej odczuwam stres samotnego życia w domu.

W dziale z bateriami jakaś kobieta schowała coś do poszewki na poduszkę i z przejęciem w niej gmera. Nie chcę się gapić, ale to silniejsze ode mnie. Wciąż zagłębia ręce w poszewkę i próbuje z czymś się uporać.

– Co jest w poszewce? Królikowi wyczerpała się bateria?

Kobieta patrzy na mnie.

– To takie oczywiste?

– Nie.

Wzruszam ramionami.

Podaje mi poszewkę, zaglądam do środka. Jest w niej wielki różowy sztuczny penis z wypełnioną kulkami moszną i z dziwnie długimi króliczymi uszami.

– Zaciął się – mówi kobieta. – Pan naciśnie guzik.

Naciskam, przyrząd zatacza półkole, wydając odgłos jak rozrusznik samochodu, który nie chce zapalić.

– Może się zużył – wyrażam domysł.

– Ha-ha.

– Poważnie, może nie działać nie tylko z powodu wyczerpanej baterii – tłumaczę. Biorę poszewkę, dyskretnie manipuluję w środku. Otwieram przegródkę na baterie, wsuwam cztery i – *voilà* – króliczek gotów do harców. Włączam go i patrzę z zewnątrz, jak kręci się i podskakuje. – Dyskotekowa trusia.

Oddaję poszewkę.

– Może się też giąć – zachwała kobieta. – Można zmienić kąt nachylenia i dodać wibracje.

– Wspaniale.

Króliczek w poszewce nadal tańczy; można by pomyśleć, że w środku wije się i przegina jakiś wąż.

– Do pana wiadomości, to się nie zdarzyło – mówi kobieta. – Jeżeli kiedyś się spotkamy, ja pana nie znam.

– I wzajemnie.

Opuszczam strefę baterii, kierując się do działu antywłamaniowego. Znajduję alarm dla majsterkowiczów, który można „wyuczyć”. Nie mam pewności, co to znaczy, ale kupuję. Okazuje się, że „wyuczyć” oznacza „zaprogramować na mówienie”. Można wybrać w zestawie wypowiedziane głośno słowa „Złodziej, złodziej!”, „Odejdź, intruzie!” albo przeszywający gwizd, można też nagrać własny tekst, na przykład piskliwym głosem: „Kochanie, załatwiłam zakaz zbliżania się...”.

Wstawiam torbę do samochodu i idę do chińskiej restauracji. Zaczynają mnie tam już poznawać.

– Życzy pan to samo czy coś innego? – pytają.

– To samo.

– Jest pan samotny – mówi kelner, przynosząc filiżankę zupy.

Po powrocie do domu George'a daję suce jeść, wyprowadzam ją na spacer, podłączam włączniki czasowe i nastawiam tak, żeby lampy w pokojach Nate'a i Ashley zapalały się wpół do siódmej wieczorem i gasły o dziesiątej. Pokoje są uporządkowane, puste, jak pomieszczenia w katalogu meblowym, a nie zamieszкана przestrzeń. Dla mnie pokoje dzieci to przeładowane pomniki doświadczenia, zbiory przedmiotów obrazujących ich dotychczasowe życie: kamyk z plaży, proporczyk z rozgrywek sportowych, pamiątkowy kapelusz z rodzinnej wycieczki. Wszystko streszczone do rzeczy zgrabnie mieszczących się na półce. Wszystko na swoim miejscu, jakby życie uległo zawieszeniu, zwłoce. Bezruch mnie przygnębia. Myślę o Nixonie i jego notatkach, o Nixonie i niekończących się blokach do pisania, o jego taśmach, o rozbudowanej i niestety obciążającej fonotece. Myślę o Richardzie M. Nixonie, który dostał imię po Ryszardzie Lwie Serce, synu króla Henryka II, dzielnym rycerzu i poecie, i uświadamiam sobie, że wiem za mało o nim i jego stosunku do różnych rzeczy. Obiecuję sobie zająć się od nowa tym tematem.

Schodzę na dół i dzwonię do dzieci w szkole.

– Mogę z tobą porozmawiać? – pytam Nate'a.

– Tak.

– Nie przeszkadzam ci w cichej nauce ani w treningu futbolu?

- Nie, w porządku.
- Hmm. Chciałem tylko się przywitać i spytać, co porabiasz.
- Spoko.
- Spoko, to wspaniale.
- Nic nie robię... – Nate chwilę milczy. – Ona nie dzwoni, jest za cicho, wciąż zapominam, że mama nie żyje, i jest mi z tym dobrze. Lepiej mi, kiedy zapominam, lepiej, kiedy wydaje mi się, że żyje. Kiedy sobie przypominam, robi mi się niedobrze.
- Wyobrażam sobie... Kiedy twoi rodzice zwykle dzwoniли? – pytam po chwili. – Regularnie, raz czy dwa na tydzień?
- Mama dzwoniła codziennie wieczorem przed kolacją, między za piętnaście a za pięć szósta. Nie pamiętam, żeby tata dzwonił.
- Z pewnością trudno ci się z tym oswoić... Tessie ma się dobrze – dodaję po chwili. – Chodzę z nią na spacer. Mam wrażenie, że nikt przedtem z nią nie wychodził, nie lubi opuszczać podwórka, ale kiedy tylko miniemy wylot podjazdu, jest już okej.
- Tam jest niewidzialny płot.
- Najwyraźniej. Jest dobrze ułożona. Wychodzi z podwórka dopiero, kiedy ją pociągnę. Muszę się z nią siłować, żeby wyszła.
- To dlatego, że ten płot wywołuje wstrząs.
- Jaki płot?

- Niewidzialny płot, w mordę jeża!
- Niewidzialny płot istnieje naprawdę?

Nate wzdycha boleśnie.

– Na obroży jest pudełeczko, przekaźnik. Odczep je, kiedy wyprowadzasz ją z podwórka, bo jeśli tego nie robisz, zostaje rażona prądem. Kiedy wywozisz ją autem, też musisz je odczepić.

Patrzę na obrożę; rzeczywiście jest na niej pudełko. RzUCA się w oczy.

– Na ścianie w pralni – ciągnie Nate – obok alarmu przeciwwłamaniowego jest większy pojemnik, który steruje niewidzialnym płotem. Instrukcje do wszystkiego są w szufladzie pod mikrofalówką.

– Zdumiewające, że o wszystkim wiesz.

– Nie jestem debilem, mieszkam w tym domu całe życie.

– Jest alarm przeciwwłamaniowy? Dopiero co kupiłem system zabezpieczeń.

– Właściwie go nie używamy, bo raz się uruchomił i wszystkich wystraszył.

Grzebię w kieszeni, szukając kwitu ze sklepu.

– Czy jest jakiś kod, który trzeba znać, żeby ten system włączyć lub wyłączyć?

– Wszystko jest w instrukcji – mówi Nate. – Przeczytaj instrukcję.

– No dobrze.

– Będę kończył – mówi Nate.

Postanawiam, że wkrótce znów do niego zadzwonię, może jutro za kwadrans szósta.

Ashley nie może rozmawiać. Tak twierdzi współlokatorka. Ma zapalenie gardła i jest w szkolnej izbie chorych. Dzwonię do pielęgniarki.

– Dlaczego szkoła mnie nie zawiadomiła? – pytam z pretensją.

– Kim pan jest? – pyta pielęgniarka.

– Jestem wujkiem – odpowiadam z niedowierzaniem.

– Nie dzwoniemy do wujków, dzwoniemy do rodziców.

– Najwyraźniej nie jest pani poinformowana na bieżąco... – zaczynam, szykując się do reprimendy.

W tym momencie kot zwraca kulkę sierści, więc zapowiadam pielęgniarce, że zadzwonię jutro i będę chciał rozmawiać z Ashley, a na razie niech ją ode mnie serdecznie pozdrowi.

– Jest pan na liście dzwoniących? – pyta, ale w tym momencie się rozłączam.

Zbiera mi się na wymioty przy sprzątanu kocięj wypluwki. Pies i kot patrzą na mnie żałośnie, kiedy na klęczkach czyszczę dywan wodą sodową i gąbką.

Uporawszy się z tym, wchodzę na konto Jane

w Amazon i wysyłam Ashley książki. To bardzo proste: Jane przygotowała w komputerze listę prezentów. Wybieram kilka i klikam „wysłać do Ashley”. Płacę dodatkowo za ładne opakowanie. „Życzę poprawy zdrowia – piszę. – Serdeczności, Tessie (twoja suka) i twoja kotka alias Wypluwaczka”.

Niedługo potem nieoczekiwane brzęknięcie szpary na poczcie podrywa Tessie. Ujada jak szalona, gdy na podłogę spada nowa kartka.

„Jutro nadejdzie”.

– Tak – mówię do Tessie. – Jutro nadejdzie, powinienem być przygotowany. – Wzdrygam się na dzwonek komórki. – Halo?

– Czy to brat George’a Silvera?

– A kto mówi? – pytam.

– Doktor Rosenblatt, dzwonię z Sadyby – odpowiada, wymawiając „Sadyba” jak słowo o wyjątkowym znaczeniu, jak specjalny kod.

– Dzwoni pan na komórkę.

– Dzwonię w porę?

– Ledwie pana słyszę. Proszę zadzwonić na telefon domowy. Jestem w domu George’a.

Biegnę do gabinetu i podnoszę słuchawkę na biurku, ledwie zabrzączała.

Stoję po jego „niewłaściwej” stronie, patrząc na fotel



George'a, na stojącą za nim biblioteczkę, na nieusunięte metki z ceną przy ramach obrazów.

– Mam usiąść? – pytam.

– Jak panu wygodniej.

Obchodzę biurko, sadowię się na fotelu brata, mając przed oczami fotografie jego dzieci, Jane, George'a z nią i dziećmi, Tessie oraz Tessie z nim, Jane i dziećmi.

– Czy pański brat miał jakieś urazy głowy, doznał wstrząśnienia mózgu, zapadł w śpiączkę lub przeżył jakiś wypadek, nie licząc tego najświeższego, który mam odnotowany?

– O ile wiem, to nie – odpowiadam.

– Przechodził takie choroby jak zapalenie opon mózgowych, gorączka reumatyczna, malaria, nieleczony syfilis?

– Z tego, co się orientuję, nie.

– Leki bądź narkotyki?

– A co on sam o tym mówi?

Zapada niezręczne milczenie. Lekarz znów zaczyna:

– Czy według pana wiedzy brat zażywał jakieś substancje chemiczne?

– Sam się leczy, raz bierze jakiś lek na to, to znów na tamto.

– Czy jest seksoholikiem?

– Odpowiem tak: nawet jeśli myślimy, że kogoś znamy, to są sprawy, o których nigdy się nie dowiemy.

– A młode lata? Niewiele pamięta z dzieciństwa. Czy

stosowano wobec panów jakieś kary, klapsy, czy ktoś was bił?

Nieoczekiwanie parskam śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – pyta doktor.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam, wciąż się śmiejąc.

– Są zasady – mówi doktor. – Granice, które istnieją nie bez powodu.

Przestaję się śmiać.

– Nikt nie wymierzał nam chłosty, nikt nas nie molestował ani nie wykorzystywał w żaden sposób. Jeżeli ktoś kogoś bił, to George innych, to typ prześladowcy.

– Odbiera pan brata jako prześladowcę?

– Nie tylko ja, inni też, wielu innych. Mógłbym podać ich nazwiska i numery telefonów, wciąż odczuwają tego skutki.

Psychiatra stęka.

– Jak opisałby pan brata?

– Duży... Narzucający się... Właściwie to jest mały, średni i duży, to się zmienia. Jest osobą o zmiennych gabarytach, zmiennych nastrojach. Potrafi być bardzo nietolerancyjny wobec innych.

– Doświadczył pan z jego strony nietolerancji?

Milczę chwilę.

– A pan? – pytam. – Jak opisuje pan siebie i to, co pan robi?

Nie chwyta przynęty – może nawet nie poznał, że to przynęta.

– Zakładamy, że należy leczyć człowieka całościowo, także jako członka rodziny i społeczności, w której żyjemy. Zdrowie psychiczne zaczyna się od jednego człowieka, ale choroby umysłowe szerzą się w postępie geometrycznym. – Z każdym słowem rośnie jego entuzjazm, jakby zafrapowało go wyobrażenie kraju w całości ogarniętego chorobami umysłowymi i ogromu problemów, jakie to stworzy. Dla uspokojenia nabiera tchu i powraca do modulowanego tonu. – Zrobiliśmy bratu badania krwi, tomografię mózgu, standardowe testy inteligencji. Czy zgodziłby się pan poddać tym samym badaniom dla celów porównawczych?

– Nie jestem pewien, czy chcę, by badano mi głowę.

– Nie musi pan decydować już teraz. – Rosenblatt milknie. – Pozwolę sobie zadać jeszcze jedno pytanie. Czy oprócz pana matki żyją jeszcze jacyś krewni z pokolenia rodziców?

– Siostra ojca.

– Czy zechciałby ją pan odwiedzić i zadać kilka pytań?

– Może – odpowiadam, żeby nie przyznać, że sam jestem ciekaw, dlaczego nikt w rodzinie od lat nie wspomniał o ciotce Lillian. Czyżby się pokłócili?

Podczas rozmowy z doktorem mam włączony komputer George'a. Odruchowo, automatycznie zaczynam googlować. Najpierw sprawdzam dziesięciodniową

prognozę pogody na Weather Underground, a potem bez zastanowienia wpisuję „seks+przedmieścia+NYC” i wyskakuje tysiąc witryn, jakby komputer sam się nakręcił. Wpisuję kod pocztowy i uzupełniam info do szybkiego wyszukiwania. Jestem MĘŻCZYZNĄ szukającym KOBIETY w przedziale wiekowym od 35 do 55.

„Twój mejl?” – dopytuje się komputer. Mam poczucie, że swój adres mejlowy Mihousl3@aol.com zostawiłem za sobą, jakby należał do kogoś innego w odległym czasie. Tworzę nowy, AtGeodesHouse@gmail.com, zaświadczam, że mam powyżej osiemnastu lat i *voilà*. Zadziwiające, jak szybko można znaleźć nagą kobietę w internecie.

Doktor pyta o nietolerancję pokarmową: orzeszki ziemne, pszenicę, gluten...

– Czy George kaprysił przy jedzeniu? Miał jakieś problemy z ubiorem, irytowały go dodatki? Czy kołysał się albo kręcił w kółko?

– Rzucił kamieniami w głowy ludzi.

– To tylko pańska opinia.

– Często rzucał kamieniem, który trafiał w czyjaś głowę – formułuję zdanie od nowa.

– Źle celował – odpowiada doktor. – A co z jedzeniem?

– Jedzeniem nie rzucał.

– Jadł z przyjemnością?

– W czasach naszego dzieciństwa nie pytano, czy coś

lubimy, albo jadłeś, albo nie. Nosiłeś ubranie, które kupili rodzice, albo donaszałeś rzeczy po kuzynie. Nie było wielkiego wyboru.

– Czy miał problemy w szkole?

– Lubił szkołę. Był wyrośnięty jak na swój wiek, więc w szkole miał się nad kim znęcać. W domu rządził ojciec, z czym George nie bardzo mógł się pogodzić.

Widzę piersi, dużo piersi. Wygląda na to, że kobiety fotografują piersi i umieszczają zdjęcia w internecie, a ty masz wybór, uzależniony od tego, jak daleko gotów jesteś pojechać. Możesz umówić się z kobietą, która jest duża, mała, wielgachna, subtelna albo nie.

Wypełniam formularze, opisuję siebie, swoje zainteresowania, dochody, kolor oczu, włosy, wszystko po to, by jak najszybciej znaleźć taką, która zechce się ze mną spotkać, która być może zechce zrobić coś więcej.

– A więc dorastaliście razem tylko wy dwaj?

– Mhm.

– George i jego była żona mieli dwoje dzieci?

– Jego pierwsza żona, nie była.

– Mieli dwoje dzieci?

– Zgadza się.

– I gdzie są teraz te dzieci?

– Wyjechały do szkoły. Nate sobie radzi, a Ashley trafiła do izby chorych z zapaleniem gardła.

Moją uwagę zaprzatają obrazki na ekranie; cieszy mnie, że oglądam je pod zawodową kuratelą, tylko część uwagi poświęcając temu, co mam przed oczami, i że, co równie mnie cieszy, mój „zawodowy kurator” – czyli psychiatra George’a – nie ma o tym pojęcia. Gdybym został sam na sam z tymi internetowymi stronami, byłbym przytłoczony. Jest ich więcej, niżli mi się śniło. Czemu nigdy wcześniej tam nie zaglądałem?

Doktor wyczuwa mój brak koncentracji.

– Jaki stosunek mają te dzieci do ojca?

– Zabił ich matkę, więc to, jak mi się wydaje, wiele zmienia. Nie jest jeszcze jasne, w jakim stopniu. Ostatni raz widziały go na cmentarzu, na pogrzebie matki.

Oglądam zdjęcie za zdjęciem, istny anatomiczny katalog cielesności. Kto by przypuszczał, że ludzie będą się tak otwarcie reklamować, pokazując gołe części, to takie... zwierzęce.

Doktor wciąż mówi.

– Chcielibyśmy zachęcić pana do przyjazdu. Mógłby pan przenocować, spędzić z nami trochę czasu?

– Nie mogę – odpowiadam, nie bardzo słuchając. – Mieszkam teraz w domu George’a, opiekuję się jego zwierzakami.

– Może mógłby pan je przywieźć. George tęskni za psem.

W internecie ktoś umieścił post: „Czy twoje piersi są pełne mleka? *J'adore* mleko z piersi, chętnie poznam mamkę lub ciężarną na dzienne karmienie. Jeśli lubisz, zagłębię twarz między twoje nogi i wylizę cię orgazmem za orgazmem, aż każesz mi przestać. Nie wymagam wzajemności. Uprawiam wolny zawód, jestem żonaty, biały, nie choruję, nie ćpam, nie palę, jestem delikatny i pełen szacunku. Chciałbym to robić regularnie u ciebie”.

– Mógłby pan kiedyś przyjechać? – ponawia pytanie doktor.

Ogłoszenia są tak konkretne, tak krępująco pobudliwe, że muszę na chwilę oderwać wzrok od komputera.

– Byłem tam – odpowiadam podminowany. – Niedawno przejechałem szmat drogi z rzeczami brata i spotkały mnie nieprzyjemności.

– Tak. Miejmy nadzieję, że zaplanowana wizyta uda się lepiej.

– Zobaczymy – mówię, oddalony o miliony kilometrów.

– Niebawem znów porozmawiamy.

– Pewnie. Proszę dzwonić o dowolnej porze. Zawsze tu jestem.

Trwam w poświęceniu komputera, zgarbiony jak staruszek kucający za potrzebą. Kot i pies przychodzą sprawdzić,

co robię.

„Mamuśka z przedmieścia szuka przyjaciół na lunch, NSA”.

Błędnie odczytuję NSA jako NASA i zastanawiam się, co, u licha, ma wspólnego agencja kosmiczna z szukającymi towarzystwa mieszkankami przedmieść. Potem googluję NSA, akronim, który, jak się okazuje, może kryć wiele znaczeń, na przykład National Sawmilling Association, No Significant Abnormalities i No Strings Attached<sup>[9]</sup> – to ostatnie jest najbardziej współczesnym rozwinięciem skrótu i najlepiej pasuje.

Gdzieś między wpół do trzeciej a trzecią nad ranem zasypiam przy komputerze w trakcie czatu z kobietą. „Czatujesz, prowadząc auto?” – pisze.

„Nie – odpisuję – nie zasypiam za kółkiem, tylko przy biurku”. Moja czatowniczką jest (przynajmniej tak twierdzi) żoną policjanta i czeka na jego powrót do domu. Seksrozmowy w internecie prowadzi, żeby złagodzić strach związany z pracą męża.

Następnego dnia wieczorem znów to samo, mam na coś chętkę, myślę, że byłoby miło podzielić się z kimś swoim majonezem.

Podaję własny profil. W komputerze George’a jest jego korporacyjna fotka sprzed kilku lat, kiedy miał gęstsze włosy i był szczuplejszy. Ładuję ją jako swoją. „Sam



w domu – człowiek z Westchester szuka towarzyszkę do zabawy; zmęczona dusza pragnie posiłku – umówmy się na mleczny koktajl, ja stawiam. NSA”.

Minutę później mejluje kobieta: „Znam cię”.

„Wątpię”.

„Nie, naprawdę”.

„Chętnie poczatuję, ale wierz mi, nikt mnie nie zna”.

„Zdjęcie za zdjęcie”.

„Okej” – odpowiadam i czuję się, jakbym zasiadł do gry w karty „na ryby”. Szukam w komputerze George’a i znajduję jego zdjęcie z wakacji, z wędką w ręku. Ładuję je.

W odpowiedzi ona przesyła zdjęcie ogolonego krocza.

„Chyba nie jesteśmy na tej samej stronie” – odpisuję.

„George” – pisze, przerażając mnie.

„?” – wystukuję.

„Pracowałam dla ciebie. Słyszałam o wypadku”.

„Nie rozumiem” – piszę, choć świetnie wiem, o co chodzi.

„Jestem córeczką Tatusia. Udajemy, że Mamusia wyszła. Chcesz sprawdzić moją pracę domową. Przynoszę ją do twojego biura Rockefeller Plaza 30, 18. piętro. Robię, co mi każesz – zawsze jestem posłuszna Tatusiowi. Każesz mi zrobić loda i powiedzieć, że smakuje jak surowe ciasto. Masz rację. Potem pochylałam się nad biurkiem, zgarniając piersiami długopisy z podkładki, a ty bierzesz mnie od tyłu. Drzwi gabinetu

są otwarte, bo lubisz to, że ktoś może wejść”.

„Opowiedz więcej” – piszę.

„Daj spokój, George. Już nie pracuję w sieci. Odeszłam. Dostałam lepszą pracę. Moja nowa szefowa jest lesbijką”.

„Nie jestem George’em”.

„Na zdjęciu jesteś”.

„Jestem jego bratem”.

„Nie masz brata, jesteś jedynakiem. Wszystkim mówiłeś, że jesteś jedynakiem, oczkiem w głowie matki”.

„Nieprawda”.

„Nieważne. Żegnaj, George, powodzenia”.

W domowym gabinecie George’a znajduję mały aparat cyfrowy, robię sobie kilka zdjęć, ładuję i widzę, jak źle wyglądam. Nie zdawałem sobie sprawy. W łazience na górze przeprowadzam namiastkę zmiany wizerunku, golę się, czeszę, poprawiam, używam żelu Jane, by utrefić stalowoszare od niedawna uwłosienie klatki piersiowej. Wkładam jedną z odprasowanych koszul George’a i ponownie robię sobie zdjęcia, stopniowo się rozbierając: z rozpiętą koszulą, bez niej, z odpiętym guzikiem spodni, z otwartym suwakiem, w samej bieliźnie. Ładuję je do komputera, tworzę profil: „Czy ktoś słyszał o Samotnym Profesorku?”.

Rano zastanawiam się, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę, czy miałem jakiś spaczony erotyczny sen. Biorę prysznic, robię sobie śniadanie, wychodzę z psem i aż do wpół do dziesiątej omijam z daleka gabinet George'a.

Mam wiadomości:

„W celu pełnego ujawnienia się jestem osobą w trakcie transformacji”. Myślę, że ta jest od kobiety, która straciła pracę albo się rozwodzi, ale nie. „Przez trzydzieści pięć lat żyłem jako mężczyzna, ale od trzech lat jestem kobietą. Myślę o sobie jako o zwykłej dziewczynie, która chciałaby poznać zwykłego faceta. Jeżeli nie jesteś zainteresowany, wystarczy uprzejmie nie, dziękuję”.

„Mama chłopców grających w futbol ma czas między meczami. Spotkajmy się w moim minivanie. Przyjadę po ciebie”.

„Jestem nieszczęśliwa – pisze następna. – Nie pytaj o szczegóły. W zeszłym tygodniu zwiększyłam dawkę leków, dzięki czemu mam siłę to napisać. Teraz mam ochotę pójść z kimś do łóżka. Chętnie cię ugoszczę albo spotkajmy się na SPB. Zjedźmy lunch!”.

„Co to jest SPB?” – mejluję.

„Sałatka z pomidorami i bekonem. No co ty!”.

„Przepraszam, wkurzają mnie te internetowe skróty”.

„Co lubisz jeść na lunch?”.

„Nie mam dużych wymagań. Może być zupa z puszki”. Przesyła wskazówki, jak do niej dojechać.

„Tylko nie zachowuj się dziwacznie, okej?”.

„Okej” – odpisuję.

Nie wierzę, że to robię. Kobieta mieszka jedenaście kilometrów od domu George’a. Dojeżdżam tam, nerwowo parkuję za jej autem na podjeździe, dzwonię. Otwiera drzwi. Jest najzupełniej normalna.

– Ty to ty? – pytam.

– Wejdz – zaprasza.

Siadamy w kuchni. Nalewa mi kieliszek wina. Gawędzimy, kiedy wyjmuje rzeczy z lodówki. Gapię się na dużą ścieralną tablicę z kolorowym planem zajęć. Po lewej stronie widnieją imiona Brad, Tad, Lad, Ed oraz JA, a u góry w poprzek Poniedziałek, Wtorek... Każdemu imieniu przypisane są zajęcia – futbol, korepetycje, wycieczka klasowa, joga, los szczęścia – tym samym kolorem co imię, Ed na czerwono, JA na żółto.

– Prowadzisz jakiś mały biznes? – pytam.

– Tylko rodzinę – odpowiada.

– Naprawdę masz na imię Cheryl?

– Tak.

– Inaczej niż w internecie?

– Mam tylko jedno imię. Myliłoby mi się, gdybym miała więcej. Harold to twoje prawdziwe imię czy zaszyfrowany Harcujący Ramol Lubi Dymać?

– Dostałem je po dziadku ze strony ojca – wyjaśniam. – Dotarł tu z Rosji.

– Wejdziemy do jadalni?

Cheryl prowadzi mnie do jadalni, gdzie stoi zastawiony stół. Przynosi danie za daniem, kanapki, gulasz wołowy, tartę z łososem.

– Nie szykowałam tego specjalnie dla ciebie – mówi. – Moja przyjaciółka prowadzi catering, wczoraj pomagałam jej przy imprezie i to zostało.

– Naprawdę dobre – chwalebę z pełnymi ustami. – Dawno nie jadłem nic oprócz chińszczyzny.

Korci mnie, żeby spytać: „Często to robisz?“, ale jeżeli przytaknie, to się zrażę i będę zmuszony wyjść, a ponieważ nie mam ochoty wychodzić, więc nie pytam.

– Powinnam ci współczuć?

– Nie. Masz dzieci? – pytam, odciągając jej uwagę od dokładki gulaszu.

– Trzech synów, Tada, Brada i Lada. Siedemnaście, piętnaście, czternaście lat. Wyobrażasz sobie? Czy wyglądam, jakbym urodziła trójkę dzieci?

Unosi bluzkę, łyskając płaskim brzuchem i zarysem kształtnych piersi.

– Wyglądasz bardzo ładnie – zapewniam i brak mi tchu.

– Napijesz się kawy? – pyta.

– Poproszę.

Idzie do kuchni. Słyszę zwykłe odgłosy szykowania kawy. Wraca z filiżanką w ręku – naga.

– Och – wzdycham. – Przyszedłem, żeby cię poznać, porozmawiać, nie musimy od razu, no wiesz...

– Ale ja chcę.

– Tak, ale...

– Ale co? Nie słyszałam jeszcze o takim, kto nie chciałby seksu za darmo! – oburza się.

Podaje mi kawę. Szybko ją wypijam, parząc gardło.

– Po prostu nie jestem...

– Nie jesteś co? Wyduś to z siebie, chłopie, bo się pogniewamy.

– Nigdy przedtem tego nie robiłem.

Łagodnieje.

– Hm, wszystko robimy kiedyś pierwszy raz. – Bierze mnie za rękę i prowadzi na górę. – Chcesz, żebym cię związała? Niektórzy nie potrafią się zrelaksować, jeżeli ich się nie skrępuje.

– Dziękuję, nic więcej mi nie trzeba. Wolę zachować swobodę.

Na górze pyta, czy chcę coś ekstra. Zaczynam myśleć o pieniądzach, ale ona po chwili natłuszczonymi rękoma chwyta mojego ptaka i zapowiada, że wyrobi go jak ciasto. W pierwszej chwili przypomina to trochę zabieg medyczny, ale nie jest nieprzyjemne, a potem bierze stojaka w usta i przyznaję, pojęcia nie miałem, że to takie proste. Claire nigdy nie chciała mnie ssać, mówiła, że odstręcza ją zapach wilgotnych jaj.

Wtem trzaskają drzwi wejściowe.

– Hej, mamó!

Usta Cheryl zsuwają się z penisa, ale trzyma mnie

mocno za rękę, jakby nie chciała dopuścić do odpływu krwi.

– Tad?!

– Brad – odpowiada syn z lekką pretensją.

– Cześć, synku, wszystko w porządku?! – woła Cheryl w dół schodów.

– Tak, zapomniałem kija do hokeja.

– Okej, do zobaczenia później. Upiekłam murzynka, jest na blacie, weź kawałek.

– Pa, mammo.

Trzaskają zamykane drzwi.

Przez chwilę wydaje mi się, że dostanę ataku serca, ale kiedy Cheryl powraca do przerwanej robótki, wrażenie to szybko mija.

Jadę do domu, ucinam sobie dłuższą drzemkę i zaczynam myśleć o dniu jutrzejszym. Wreszcie znalazłem powołanie, sposób na spędzanie czasu. Będę to robił codziennie. Wstanę wcześniej, od szóstej do południa popracuję nad Nixonem, wybiorę się na lunch z kobietą, każdego dnia z inną, wrócę do domu, wyprowadzę Tessie na spacer i porządnie się wyśpię.

Jeden stosunek, raz dziennie. Rozważam, czy w dni, kiedy nie uczę, nie robić tego dwukrotnie, po lunchu i po kolacji, ale wydaje się to za dużym obciążeniem – lepiej zachować pewien rytm, rozłożyć siły, jak trenujący

sportowiec.

„Stać cię na jak daleko?” – pyta jakaś kobieta.

„W jakim sensie?”.

„Odległości”.

Rzecz wymaga wyważenia: z jednej strony nie chcę trzymać się zbyt blisko domu, by nie trafić na kogoś znajomego, z drugiej uświadamiam sobie nagle wartość czasu – mam co robić, nie chcę spędzić całego dnia za kółkiem. Miejsca zamieszkania tych kobiet, one same, różnice w urządzeniu wnętrza i w pożądanym – wszystko to fascynuje. Ale czterdzieści kilometrów to górny limit; wydaje się rozsądny. Wychodzę kiedyś od jednej, a ta chce mi zapłacić.

– O nie – protestuję. – Cała przyjemność po mojej stronie.

– Nalegam.

– Nie mogę. To byłaby praca na zlecenie, jak...

– Prostytycja? Właśnie na tym mi zależy, szukam mężczyzny, który przyjmie pieniądze, który odczuje i przyjemność, i poniżenie.

– Nie mogę – odpowiadam. – Zrobiłem to dla siebie, dla przyjemności.

– Tak, ale ja dla swojej przyjemności muszę ci zapłacić.

Wciska mi dwadzieścia dolarów. Dwadzieścia! Tylko tyle jestem wart? Spodziewałbym się więcej. Może właśnie o to jej chodziło.



Potem z każdego domu, od każdej kobiety coś biorę. Nic wielkiego, nic wartościowego, jakiś drobiazg, pojedynczą skarpetkę, coś małego, co wpadnie mi w oko.

Pewnej środy szczególnie cieszę się na spotkanie przy wczesnym lunchu, bo moja znajoma z komputera jest zabawna i ożywiona.

„O co tu chodzi? Dlaczego to robisz?” – pisze.

„Bóg raczy wiedzieć – odpisuję. – Ale bardzo się cieszę na spotkanie z tobą”.

Przyjeżdżam do jej domu. To nowoczesna konstrukcja z wczesnych lat sześćdziesiątych, z przeszklonymi ścianami, ukryta za zakrętem ślepej uliczki. Można zajrzeć do wnętrza – mocno wystylizowanego, niczym scenografia do filmu, bardziej przypominającego miejsce, przez które ludzie przechodzą, lotnisko lub muzeum, niż przytulny dom rodzinny. Dzwonię i patrzę, jak w głębi pojawia się mniej więcej dziewięcio-, dziesięcioletnia dziewczynka, przechodzi przez kolejne pokoje, od okna do okna, z dywanu na dywan, aż dociera do drzwi wejściowych.

– Czy twoja mama jest w domu? – pytam, gdy otwiera

drzwi.

– A co panu do tego?

– Mieliśmy zjeść razem wczesny lunch.

– Ach, to pan. Proszę wejść.

Wchodzę do domu.

– Czy wszystko w porządku, nie powinnaś być w szkole?

– Powinnam, ale nie jestem.

Hol jest jakby sześcianem w sześcianie – widzę kuchnię, salon, jadalnię i dalej podwórko na tyłach domu.

– Zastałem twoją mamę? Może powinienem wyjść. Powiedz, że wpadł John, John Mitchell.

– Mogę panu zrobić lunch – proponuje dziewczynka. – Zapiekany ser na przykład.

– Nie obraż się, ale chyba nie powinnaś korzystać z piekarnika, kiedy mamy nie ma w domu.

Mała bierze się pod boki.

– Mam powiedzieć prawdę?

– Tak.

– Mama jest w mieście. Poszli z tatą na lunch, żeby się dogadać.

– No, dobrze, rozumiem – mówię, cofając się, gotów do wyjścia.

– Dlatego – dla większego efektu dziewczynka zawiesza głos – ja i brat postanowiliśmy odegrać naszą wersję telewizyjnego show *Predator*. Tata mówi, że to zdumiewające, jacy głupi potrafią być ludzie.

Domyślaliśmy się, że mama coś knuje, ale nie wiedzieliśmy co.

Po tych słowach z toalety wychodzi skrywający się tam braciszek, odciąga mi ręce za plecy i zakłada kajdanki.

– Posłuchaj – mówię – po pierwsze, źle robisz, nie popełniłem żadnego przestępstwa. Po drugie, założyłeś kajdanki nieprawidłowo. Jeżeli odetniesz dopływ krwi, nic nie zyskasz. Musisz je poluzować.

Dzieciak nawet nie mrugnie.

Poruszam rękami.

– Kajdanki są za ciasne, uwierają.

– To bardzo dobrze. Powinny uwierać.

– Poluzuj, proszę.

Chłopak potrząsa głową.

– Poluzuj.

Ani drgnie.

Zastanawiam się, czy nie paść na kolana, udawać, że toczę pianę z ust, albo upozorować atak serca. Ciekawe, ile byłoby w tym teatralności, a ile prawdy, bo naprawdę czuję, że wpadam w popłoch. Rozważam upadek, ale kiedy spoglądam na twarde łupkowe płytki podłogi i nasuwa mi się myśl o złamaniu rzepki, nie chcę ryzykować.

– Ile masz lat? – pytam, żeby zmienić tok myśli.

– Trzyście – odpowiada dziewczynka. – A on ma prawie jedenaście.

– Rodzice nie uprzedzali was, żebyście nie wpuszczali

obcych. Skąd wiecie, że nie jestem niebezpiecznym potworem?

– Mama nie umówiłaby się na lunch z nikim niebezpiecznym – mówi chłopiec.

– Nie znam dobrze waszej mamy.

– Pan się sobie przyjrzy – mówi dziewczynka. – Nie wygląda pan przerażająco.

– Trzeba go bardziej skrępować? – pyta chłopiec siostrę. – Związać mu nogi? Mam linki do bungee.

– Nie. Nigdzie nie pójdzie.

Chłopiec szarpie mnie za ramię, mocno.

– Pan usiądzie – rozkazuje, popychając mnie.

Jestem zaskoczony jego siłą.

– Hej – powstrzymuję go. – Ostrożnie.

Gdy już siedzę na kanapie w salonie, jeśli da się tak nazwać tę czynność, kiedy ręce masz związane na plecach, dzieci stają przede mną, jakby czekały, co powiem. Więc mówię:

– I co teraz? Macie tu gdzieś ukrytą kamerę?

– Mamy – odpowiada chłopiec. – Ale bez baterii.

Salon jest urządony na biało – biała kanapa, białe ściany, a jedynym barwnym akcentem są dwa czerwone półkoliste fotele.

– No więc... co jest grane? – pytam.

– Nasze życie jest do dupy – mówi chłopiec. – Rodzice nie zwracają na nas uwagi, tata cały czas pracuje, mama jest uzależniona od elektroniki, nie pamiętam, kiedy

robiliśmy razem coś fajnego.

– Myślmy, że tata ma romans – mówi dziewczynka.

– Przypomnisz mi, co to romans? – Chłopiec zwraca się do siostry i krzywi z obrzydzeniem, kiedy ta szepcze mu do ucha.

– Dlaczego tak myślicie? – pytam.

– Kiedy dzwoni jego komórka, wybiega z pokoju. A mama za nim krzyczy: „Jeżeli to z pracy, czemu nie możesz odebrać tutaj?”.

– Weszliśmy do komputera mamy. Ona też robi dziwne rzeczy, wydaje nam się, że tata wie, ale nie jesteśmy pewni.

– Ile razy pan to z nią zrobił? – zadaje mi pytanie chłopiec, przerywając siostrze.

– Zrobiłem? – Uzmysławiam sobie, o co pyta, i rumienię się. – Nigdy. Nigdy nie spotkałem się z waszą matką. Rozmawialiśmy przez internet i zaprosiła mnie na lunch.

– Tak po prostu? – pyta dziewczynka.

– Tak.

– Ma pan żonę?

– Jestem rozwiedziony.

– Dzieci? – dopytuje się chłopiec.

– Nie.

– Okej, ale ona je ma – mówi siostra.

– No – przytakuje brat.

– Rozumiem. Czy próbowaliście porozmawiać

z matką, spytać ją, co się dzieje?

– Z nią się nie da porozmawiać – mówi chłopiec. – Ona nie rozmawia. Ona robi tylko tak.

Wykonuje dziwne, powtarzające się ruchy kciukami.

– Matka rozmawia tylko ze swoim BlackBerry. Dzień i noc. W środku nocy budzi się i łączy ze znajomymi z BlackBerry na całym świecie. Słyszę, jak w łazience stuka bez przerwy w klawisze – mówi dziewczynka. – Ojciec kiedyś tak się wściekł, że spuścił BlackBerry w toalecie. Utknęło w rurze i musiał przyjąć hydraulik.

– To nie był dobry pomysł – podsumowuje chłopiec.

– Bardzo kosztowny – dorzuca dziewczynka.

Siedzimy przez chwilę. Dzieci szykują sok z ananasa, wiśnie maraschino, biały chleb z plastrami amerykańskiego sera. Muszą mnie karmić, bo mam kajdanki.

– Niech pan nie nakruszy – upomina dziewczynka.

Omam nie dławię się wiśnią.

– Moglibyście sprawdzić datę ważności – mówię.

– Co to jest „zjadanie gruszki”? – pyta dziewczynka, podsuwając mi kawałek białego chleba bez skórki.

– Nie wiem – odpowiadam szczerze.

Ociera mi kąciki ust serwetką i podaje napój w kartoniku.

– To coś, co robią dorośli. Mama napisała o tym w mejlu – wyjaśnia chłopiec.

– Nieładnie czytać cudze mejle – strofuję go. – Mejl to

prywatna sprawa.

– Wszystko jedno – mówi siostra. – Później sprawdzę w Google'u.

Zabiera kartonik.

– Macie w domu jakieś zwierzaki? – pytam.

– W ferie opiekowałem się klasowymi rybkami – chwali się brat.

– Lubicie szkołę?

Dzieci patrzą na mnie tępo.

– Macie przyjaciół?

– Znamy różnych ludzi. Nie przyjaźnimy się, ale ich znamy. Kiedy gdzieś idziemy i ich zobaczymy, to machamy im albo kiwamy głową, ale nie rozmawiamy.

– Macie opiekunkę?

– Mama ją odprawiła. Uznała, że nie lubi, kiedy ktoś cały czas kręci się po domu – mówi brat.

– Mamy opiekuna elektronicznego. Codziennie o trzeciej po południu musimy się meldować. Jeżeli tego nie zrobimy, opiekun pika. Jeśli nie zareagujemy na pikanie, wydzwania według listy, a jeśli nie można nas znaleźć, dzwoni na policję.

– Jak się meldujecie?

– Trzeba wykręcić numer i podać kod.

– Zawsze zapominam swój – mówi chłopiec. – Dlatego zapisuję go na ręce.

Podnosi rękę. Ma wypisane na dłoni długopisem: „1 2 3 4”.

– Mamy chipsy.

Wstaje.

– Dziękuję, staram się uważać na to, co jem – mówię.

– Nie do jedzenia, takie wszyte pod skórę, żeby można nas było namierzyć – wyjaśnia.

– Gdyby ktoś chciał sprawdzić, gdzie teraz jesteśmy, wiedziałby, że jesteśmy w domu. Wciąż myślę, że może nie zainstalowali nam oprogramowania – mówi siostra. – Albo w ogóle ich to nie obchodzi.

– Wiecie co? Mam nadzieję, że nie zabrzmi to źle, ale choć przetrzymujecie mnie wbrew mojej woli, miłe z was dzieciaki: szykujecie dobre kanapki, martwicie się o rodziców i pragniecie, żeby okazywali wam tyle troski co wy im, a to wcale nie są wygórowane życzenia. Może zaproponujcie im kartę „Wyjdź z więzienia”. Zaproponujcie im wolność i poproście, żeby oddali was do adopcji. Wiecie, ilu ludzi chciałoby mieć białe, mówiące po angielsku dzieci, które umieją się załatwiać... korzystać z toalety?

– Kurczę, o tym nie pomyślałam – mówi siostra.

– Moglibyście znaleźć miłą rodzinę, która by pilnowała, żebyście chodzili do szkoły, odrabiali lekcje i czyścili zęby nicią.

– Może pan mógłby nas zaadoptować – proponuje brat.

Kręcę głową.

– Najwyraźniej mam syndrom sztokholmski – mówię.



– Co to takiego? – pyta siostra.

– Później sprawdzicie w Google’u. Mam dużo spraw na głowie – dzieci brata, książkę o Richardzie Nixonie. Wiecie kto to?

– Nie.

– Trzydziesty siódmy prezydent Stanów Zjednoczonych, urodzony w miasteczku Yorba Linda w Kalifornii, w domu, który jego ojciec zbudował własnymi rękami. Nixon jako jedyny prezydent w dziejach Stanów Zjednoczonych złożył rezygnację z urzędu.

– Co to znaczy „złożył rezygnację”? – pyta brat.

– To znaczy, że wycofał się w trakcie – wyjaśnia siostra.

– Jego ojciec na pewno się wściekł.

– Która godzina? – pytam.

– A bo co?

– Po południu prowadzę zajęcia. Czy mógłbym skorzystać z łazienki?

– Jest tam – pokazuje brat.

Zsuwam się z kanapy, niezdarnie poruszając rękami.

– Nie mogę skorzystać z łazienki, kiedy ręce mam z tyłu – mówię.

– Oczywiście – przyznaje siostra.

– Dobra.

Chłopiec podchodzi, żeby mnie oswobodzić. Szamocze się z kluczykiem.

– Zrób, co się da – zachęcam.

Moje słowa uspokajają dzieci i po kilku sekundach, uwolniony z kajdanków, idę do łazienki.

– Mam dla was nowinę – oznajmiam, wychodząc z niej, gotów walczyć, gdybym musiał. – Teraz wyjdę, ale nalegam, porozmawiajcie z rodzicami: zasługujecie na lepsze traktowanie. Wiedźcie, że to, co się tu dziś wydarzyło, odniosło skutek. Przekonaliście mnie, żebym więcej tego nie robił, nie umawiał się przez internet – to nie jest bezpieczne. Doświadczenie to przypominało program dla dorosłych *Przerażeni nie na żarty*<sup>[10]</sup>.

– A co to takiego?

– Coś dla gejów – wyjaśnia dziewczynka.

Nie mam siły jej poprawiać.

– No dobrze – mówię, otwierając drzwi.

Dziewczynka ma łzy w oczach.

– Boję się, że to beznadziejne – mówi.

– Macie przed sobą całe życie. Następnym razem, kiedy zostawię was samych w domu, zadzwonicie do szkoły, wyjaśnijcie, dlaczego uczycie się poniżej swoich możliwości, że szuka się was jak zagubione psy. Jesteście bardzo młodzi, ale to wasze życie, musicie wziąć sprawy w swoje ręce.

– Ma rację – mówi brat.

– Jest pan bardzo przekonujący – mówi siostra.

– Do widzenia.

Idę do samochodu, czując ich spojrzenia.

Wyobrażam sobie, że chodzą z pokoju do pokoju, od okna do okna i patrzą, jak przemierzam starannie zaprojektowany trawnik od frontu, deptając idealnie przyciętą murawę, która śmierdzi mamoną i czujnym stosowaniem środków ochrony roślin. Jest południe, połowa tygodnia i nie ma tu – prócz zadbanej roślinności – żadnych oznak życia.

Odjeżdżam, myśląc o tym, że mogły mi zrobić krzywdę. Mogły mnie związać, przykuć łańcuchem do kaloryfera – czy były tam kaloryfery? – albo zamknąć w piwnicy, jakby to miał być jakiś eksperyment naukowy. Mogły mnie pociąć na kawałki piłą i schować do zapasowej zamrażarki. Jeżeli to, co mówili o rodzicach, było prawdą, znaleziono by mnie dopiero Czwartego Lipca, jeżeli nie później. Kręci mi się w głowie. Byłem przetrzymywany; jestem internetowym idiotą; jestem wrakiem. Jadąc, wyczuwam jakieś wibracje; w pierwszej chwili myślę, że to auto, ale kiedy zatrzymuję się na czerwonym świetle i spuszczam wzrok, widzę, że trzęsą mi się nogi.

Jadę prosto na uczelnię. Sekretarka przygląda mi się z troską.

– Dostał pan moją wiadomość?

Nie mam pojęcia, o czym mówi.

– O dzisiejszym lunchu.

Zaczynam się pocić.

– Nie byłem na lunchu – mówię, czując w gardle wiśnię maraschino.

– Był pan umówiony na doroczny lunch z doktorem Schwartzem?

Zupełnie zapomniałem.

– Musiał iść do dentysty; zostawiłam panu wiadomość w domu. Profesor Schwartz złamał ząb podczas

śniadania kadry i czeka go zapewne leczenie kanałowe. Chciałby się jednak z panem widzieć w miarę szybko, więc umówię pana ponownie na jutro w południe.

– Przyjdę – zapewniam.

Dyżur w gabinecie. Wystarczy tego dobrego. To, co robię – lub myślę, że robię – z „paniami, które umawiają się na lunche”, musi się skończyć. Dzisiaj się wykpiłem; następnym razem może być gorzej. Sprawdzam terminarz. Jutro jestem umówiony na spotkanie z kobietą – pamiętam tylko tyle, że kiedy rozmawialiśmy na czacie, wielokrotnie wspominała o serialu telewizyjnym z lat sześćdziesiątych *Ożeniłem się z czarownicą*. Wyczuwałem, a może roiłem sobie, że ma na myśli coś quasi-magicznego i potrzebuje kogoś, z kim odegra przygotowany scenariusz. Ale moja dzisiejsza poranna przygoda podsuwa mi mroczniejszą interpretację – może jest podmiejską wiedźmą, która swoje mroczne praktyki uprawia na głupich, napalonych jak psy mężczyznach, którzy łykają przynętę.

Próbuję zalogować się na swoją pocztę z uczelnianego komputera. Nie mogę się połączyć. Rozgorączkowany, czuję, że muszę natychmiast odwołać tę schadzke – nie za dziesięć minut, ale w tej sekundzie, gdy jestem zdecydowany – zanim stracę silną wolę.

– Dlaczego nie mogę połączyć się z internetem? –

naskakuję rozjuszony na sekretarkę.

– Serwer padł – odpowiada.

– W całym kampusie? – pytam z myślą, że mógłbym pobiec do biblioteki i stamtąd załatwić sprawę.

– Tak, padł cały system. Jeżeli potrzebuje pan sprawdzić pocztę, może pan się zalogować z mojego telefonu.

Pokazuje mi swój smartfon – dziwo z dwudziestego pierwszego wieku z wysuwaną klawiaturką.

Krucyfiks! Jeżeli zaloguję się na pocztę z jej androida, czy jak tam to się nazywa, zostawię elektroniczne okruchy, takie same przekłete okruchy, jakie zostawiłbym, gdybym się zalogował na prywatną pocztę z uczelnianego komputera. Przy odrobinie wysiłku – używając małego elektronicznego mopa – można by dotrzeć po moich śladach wprost do „Czarownicy101”.

– Nie trzeba – wycofuję się, bo wszystko staje się raptem mniej pilne. Jestem wręcz zadowolony, że serwer padł; uratowało mnie to przed sobą samym.

Wchodzę na salę, gotów do wykładu o tym, skąd wziął się przydomek „Tricky Dick”, „Podstępny Rysiek”. Zaczynam od przedstawienia postaci Helen Gahagan Douglas, aktorki i żony aktora Melvyna Douglasa, która zasiadała w Kongresie przez trzy kadencje w latach czterdziestych. W tym okresie miała romans z ówczesnym kongresmenem i przyszłym prezydentem Lyndonem B. Johnsonem. W 1950 roku Douglas

rywalizowała o miejsce w senacie Stanów Zjednoczonych z Nixonem. Wykorzystując nastroje antykomunistyczne, Nixon zarzucił rywalce sympatyzowanie z „czerwonymi” i rozpętał przeciw niej kampanię oczerniającą w postaci antydouglasowych ulotek drukowanych na różowym papierze. Helen Gahagan Douglas przegrała wybory, ale ukuła dla niego przydomek – „Tricky Dick” – którego nigdy nie zapomniano.

Używano go później, opisując różne zachowania Nixona, gdy używał funduszy z kampanii wyborczej do szpiegowania, kradzieży, zakładania podsłuchu, intryg przeciw osobom u władzy i zapewne jeszcze gorszych rzeczy. Kiedy Nixon tracił władzę, robił się podstępny i złośliwy, a kiedy przegrywał albo coś mu się nie udawało, te cechy jeszcze się nasilały. W swoim zadufaniu posunął się za daleko. W słynnym wywiadzie, jaki przeprowadził z nim w 1977 roku David Frost, na pytanie o legalność niektórych działań Nixon odpowiedział z pełnym przekonaniem: „Kiedy robi to prezydent, to znaczy, że to nie jest nielegalne”.

Studenci cały czas wpatrują się we mnie. Powtarzam więc:

– Kiedy robi to prezydent, to znaczy, że to nie jest nielegalne.

Kiwają głowami.

– Czy to prawda? – pytam.

Wyglądają na zdezorientowanych.

– Zastanówcie się – mówię. – Wypożyczcie film.  
Zamykam książki, notatniki i wychodzę.

Zapomniałem o spotkaniu ze Schwartzem – mówię do Tessie tuż po przestąpieniu progu. – Miałem tak dziwny dzień, że kompletnie zapomniałem. – Klękam na podłodze i patrzę psu w oczy. – Tessie, nawet gdybym ci opowiedział, nie uwierzyłabyś, przez co przeszedłem.

Włączam komputer i odwołuję jutrzejszą „randkę” z lunchem.

„Jak to odwołujesz?” – odpisuje kobieta.

„Muszę odwołać”.

„Chcesz się umówić w innym terminie?”.

„Nie tym razem”.

„Odwołujesz spotkanie, nie będzie następnego razu”.

„Nie mam wyboru, zdaję roczne sprawozdanie z pracy”.

„Fiut ci kofjnie”.

„Nie mam słów na twoją wrogość”.

„Wal się”.

„Bądź miła – piszę. – Wiem, gdzie mieszkasz, podałaś mi adres, pamiętasz?”.

„Grozisz mi? Mój mąż skopie ci tyłek...”.

„Twój mąż? Pisałaś, że nie jesteś zamężna”.

„Oj. No tak, życzę miłego dnia i udanego spotkania. Wiesz, że żartuję, prawda? Jeżeli chcesz się umówić kiedy



indziej, wyślij mejla, a coś wymyślimy”.

Wyciągam wtyczkę z gniazdka. Nie wystarczy zwykłe wyłączenie komputera. Hibernacja to za mało, ekran ma być czarny.

Roczna ocena. Przygotowuję się do lunchu ze Schwartzem. Przeglądam wszystkie nixoniana i odświeżam wiedzę o wydanych ostatnio i zapowiadanych książkach z tej dziedziny. Przeglądam listę studentów i staram się dopasować nazwiska do twarzy, na wypadek gdyby wspomniał o dziecku przyjaciela przyjaciela. Czytam uważnie roczne sprawozdanie z działalności uczelni i zbieram myśli na temat sytuacji w szkolnictwie wyższym. Wychodzę, przypominając sobie, że na tym polu jestem rozgrywającym, jestem wyjątkowy, jestem ekspertem od Nixona.

Schwartz. Z jednej strony znam go od lat, a z drugiej dokonał zwrotu, mniej uczy, częściej zabiera głos w telewizji. Jego obszar wiedzy, historia wojen, czyni z niego autorytet, do którego można się zwrócić z prośbą o komentarz niemal na każdy temat. Spodziewam się, że poprosi mnie, żebym wziął więcej zajęć, że powie: „Dość objiania się z jedną grupą na semestr, masz tyle do powiedzenia, tyle cennego doświadczenia, potrzebujemy ciebie, czy mógłbyś wziąć jeszcze jedną albo dwie

grupy?”.

Zwykle spotykaliśmy się w restauracji, gdzie zamawiałem sznycel po wiedeńsku, a Schwartz wątróbkę z cebulką, żartowaliśmy o naszych rodzicach i o tym, że w młodości nigdy nie jadalśmy takich dań, a teraz, gdy jesteśmy w wieku rodziców, zajadamy się nimi z przyjemnością. Tym razem siedzimy w skromnym barze, a mnie przychodzi na myśl matka i jej przyjaciółki zamawiające na lunch twarożek i brzoskwinie.

– Jesteśmy tu z powodu twojego zęba? – pytam Schwartz.

– Ząb ma się dobrze – odpowiada. – Jesteśmy tu, bo czasy się zmieniły. Poproszę zupę – zwraca się do kelnerki.

– W filiżance czy w miseczce?

– W filiżance.

– I co jeszcze?

– Wodę sodową.

– A dla pana?

Myślałem o indyku z frytkami, ale robię w tył zwrot i zamiast tego zamawiam omlet grecki.

– Frytki domowe czy francuskie?

– Wszystko jedno – odpowiadam, nagle zirytowany. – Domowe.

– Jak postępy z Podstępny Ryśkiem? – pyta Schwartz.

– Postępują – odpowiadam.

- Napiszesz kiedyś tę powieść?
- Robię notatki, to niezupełnie fikcja literacka.
- Robisz notatki, odkąd zrezygnował z urzędu.
- Jeszcze nie skończyłem. Historia się odslania, aczkolwiek powoli, ciągle wychodzi na jaw coś nowego.
- Będę się streszczał... – mówi, choć kelnerka nie zdążyła mu jeszcze nalać wody. – Masz tyle na głowie. Jesteś z nami od dawna, ale czasy się zmieniają...
- Myślisz, że mógłbym poprowadzić inny kurs? Skontrastować prezydentury George’a Busha juniora i Richarda Nixona, „Kto jest bardziej podstępny wężem?”.
- Prawda jest taka, że zamierzamy zatrudnić innego wykładowcę. Mamy kogoś, kto uczy historii w nowy sposób, przyszłościowy.
- Co to znaczy „przyszłościowy”? – pytam z niezamierzonym oburzeniem.
- Zamiast uczyć się o przeszłości studenci będą badać przyszłość, świat możliwości. Sądzymy, że będzie to mniej przygnębiające niż oglądanie powtórek filmów Zaprudera<sup>[11]</sup>.
- Ach, tak. Ach, tak – mówię. Na więcej mnie nie stać.
- Oczywiście ten semestr doprowadzisz do końca. Kiwam głową – oczywiście. Dostajemy jedzenie.
- Mam nadzieję, że nie staniesz okoniem. Nixon nie żyje. Twoich studentów nie było nawet nie świecie, kiedy

był prezydentem.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie będziemy już uczyć historii?

– Chcę powiedzieć, że twoje zajęcia nie mają znaczenia.

– Polemizowałbym.

– Nie polemizuj – ostrzega. – Nie zdajesz sobie sprawy z sytuacji. Upchnęliśmy na twoich zajęciach tych, którzy musieli zaliczyć kurs historii, bo takie były wymagania, a grupy przerabiające kurs o internecie i kulturze amerykańskiej były obsadzone. Wierz mi, oni w ogóle nie interesują się Nixonem.

– Ale niektóre prace są całkiem dobre.

– Kupują je w internecie. Kupują prace o innych ludziach i zmieniają nazwiska, bo, jeśli mam być szczery, prac o Nixonie nie ma w tej chwili w sprzedaży, więc kupują pracę o Clintonie i odpowiednio ją przerabiają.

– Niemożliwe – protestuję, autentycznie zaskoczony.

– Możliwe. Zrobiliśmy w twojej grupie test, zmieniając tytuł *Moralność Moniki Lewinsky* na *Nadużycie zaufania w Watergate*. Ocenieś pracę, która traktowała nie o włamaniu, tylko o obciążaniu druta, na B+.

– Oceniałem całokształt.

– Straciłeś kontakt z rzeczywistością.

– Jestem profesorem. Profesorowie tracą kontakt z rzeczywistością. Pamiętasz łaty na łokciach i fajki?

– Nie w tym stuleciu.

– A może poprowadzę zajęcia z morderstwa, z osobistych wspomnień, z historii mojego brata mordercy, z upadku Ameryki – proponuję, nie mogąc powstrzymać się od myśli, że ta rozmowa, w tym akurat czasie, ma coś wspólnego z George'em.

Schwartz to nie wzrusza.

– Teraz i tak nie mogę cię uratować, nie mamy pieniędzy. Napisz swoją książkę, napisz kilka książek i wtedy porozmawiamy. – Unosi rękę, dając znak kelnerce, że prosi o rachunek. – Jest teraz tyle szkół prowadzących kursy przez internet. Może mógłbyś się w to zaangażować, żeby nie wyjść z wprawy.

– I to wszystko? Po tylu latach? Mały lunch i do widzenia?

– Nie chcę cię popędzać – mówi Schwartz. – Ale nie mam nic więcej do powiedzenia.

**S**zukanie porady. W miejscowym kościele są spotkania późnym popołudniem. Przejeżdżam obok, widzę zaparkowane auta, światła w starym budynku. Bije od nich powitalne ciepło. Parkuję i wchodzę do środka, rozglądam się po kaplicy na piętrze.

– Spotkanie jest na dole – informuje dozorca.

Spotkanie już trwa, kiedy wchodzę ukradkiem na salę i zajmuję miejsce z tyłu. Zgromadzeni, kobiety i mężczyźni, siedzą swobodnie; wyczuwam, że się znają,

i to od dawna. Odstaję od nich. Widzę, jak ostrożnie się przekręcają, żeby na mnie spojrzeć. W końcu nadchodzi czas na mnie.

– Cześć, mam na imię Nit.

– Cześć, Nit – mówią jednocześnie. Słyszając echo ich głosów, nabieram powietrza w płuca; to echo akceptacji, powitania.

– Co cię tu dziś sprowadza? – pyta ktoś.

– Straciłem pracę – mówię. – Posuwałem żonę brata, brat przyszedł do domu i ją zabił – ciągnę po chwili. – Moja żona składa pozew o rozwód. A teraz jeszcze to. Od wielu lat uczyłem w tym samym college’u i właśnie dzisiaj usłyszałem, że to mój ostatni semestr. Mieszkam w domu brata, bo go zapuszkowali. Opiekuję się psem i kotem, a ostatnio zacząłem korzystać z jego komputera. Podłączam się, odwiedzam rozmaite strony. Umawiałem się na lunch z różnymi kobietami. Najczęściej nie jemy lunchu, tylko uprawiamy seks. Dużo seksu.

– Byłeś pijany? – pyta ktoś.

– Nie. Wcale.

– Masz problem z nadużywaniem alkoholu?

– Prawie w ogóle nie piję. Chyba mógłbym pić więcej. Obserwowałem was. Wyglądacie na ludzi ciepłych, przyjaznych i serdecznych.

– Przykro nam, Nit – mówi grupa chórem.

– Musisz odejść – oznajmia prowadzący, a ja czuję się, jakby wykopano mnie z wyspy, do której dopłynąłem.

Wstaję ze składanego krzesła i wychodzę, mijając stary aluminiowy dzbanek na kawę z palącym się świecą, karton tłustego mleka, cukier, pączki, to wszystko, czego tak pragnąłem. Mam ochotę pójść do jakiegoś baru, przez noc zostać alkoholikiem, by móc tam wrócić.

– Dla takich jak ty są inne miejsca – odzywa się męski głos.

– Dla każdego jest miejsce! – woła za mną jakaś kobieta.

Siadam na parkingu i wyobrażam sobie, że spotkanie wciąż trwa i wszyscy ci ludzie obgadują mnie za plecami. A może po prostu dalej robią swoje.

Kiedy wyjeżdżam z parkingu, dzwoni Claire.

– Powinniśmy sprzedać miejsce parkingowe – mówi.

– Pewnie – odpowiadam. – Możemy, jeśli chcesz. Na pewno nie jest ci potrzebne?

– Nie prowadzę samochodu, nie pamiętasz? Sprzedaję miejsce parkingowe sąsiadom na górze.

– Tym z wrzeszczącymi dzieciakami, które biegają nam nad głową dzień i noc.

– Tak. Mają minivana, zaproponowali dwadzieścia sześć tysięcy.

– Dwadzieścia sześć tysięcy?

– Odbyła się licytacja, bo jest tak mało miejsc.

- Kurczę.
- Płacą gotówką.
- Świetnie, więc podzielimy się po połowie.
- Ale to ja zapłaciłam za ten parking – przypomina Claire.
- To po co mi o tym mówisz?
- Chciałam, żebyś wiedział – mówi i rozłącza się.

Śni mi się Nixon. Nixon, wieczorne rozmowy. Pomysł jest taki, że miał powiernika. Co wieczór, nie mogąc zasnąć, dzwonił do tego przyjaciela i rozmawiali. Czasem ów przyjaciel czytał mu fragmenty książek, takich jak *Moby Dick*, *Notatki z podziemia*, Paula Johnsona *Podróż do chaosu* czy *Wrogowie społeczeństwa*, kiedy indziej zaś oglądali razem telewizję. Nixonowi podobało się, że powiernik nie śpi, kiedy nie śpi on, dzięki czemu nigdy nie był sam. Bał się samotności.

W piątek wieczorem sprzątaczką Maria kończy pracę, odstawia mop i wiadro, przebiera się w toalecie i na odchodnym mówi:

- Nie mogę tu dłużej pracować, proszę pana. Za bardzo mi brak pani Jane. Przychodzę tu, ale jestem nieszczęśliwa. Ja pracuję, a pan siedzi cały dzień. Nie



znam pana. Wiem, że pański brat zabił panią Jane. A co z tymi pięknymi dziećmi, które zostały bez matki? Proszę im przekazać, że Maria je pozdrawia, no a z panem się pożegnam.

Sięgam do portfela. Daję jej pięćset dolarów. Bierze trzysta, dwieście mi oddaje.

– Nie mam długu – oświadcza, a ja nie wiem, co ma na myśli.

– Przekażę dzieciom pozdrowienia od pani – obiecuję.

– Dobrze – mówi. – Trzeba dokupić mr. cleana i windex.

– Dziękuję, Mario.

W poniedziałek rano staje przed domem biała ciężarówka z zamontowanym na dachu ogromnym owadem. Wysiada z niej dwóch ludzi w białych kombinezonach, wyładowują duże stalowe kanistry z końcówkami do oprysku, zakrywają nosy i usta maskami i ruszają w stronę drzwi wejściowych. Nie dochodząc do nich, jeden odbija w prawo, drugi w lewo i zaczynają opryskiwać dom. Szczekanie Tessie i nieznośny smród każą mi otworzyć drzwi i zawołać:

– Mogę w czymś pomóc?!

Przy pierwszym wdechu czuję, jak kurczą mi się płuca i zaczynają piec oczy. Mężczyźni ściągają maski.

– Okropnie śmierdzi – mówię.

– A pan kto? – pyta drugi z nich.  
– Miałem was spytać o to samo.  
– Mamy umowę. Przyjeżdżamy dwa razy w roku.  
Termin jest ustalony od miesiący.

– Zaszły pewne zmiany – mówię.  
– Za późno, już zaczęliśmy. Kiedy się zacznie, nie można przerwać oprysku. Mnoży się odporne robactwo, większe robactwo, co może się bardzo źle skończyć.

Tessie szczeka.

– Chryste, to w domu jest też pies? Gdzie właścicielka? Zawsze pakowała kota i psa do auta i wyjeżdżała na cały dzień. Ten płyn jest trujący. Jak pan zostanie w środku, to pana zabije.

– To co mam zrobić?

– Nie wiem, nie powinno tu pana być. Właściciel ma zabrać psy i koty na osiem godzin, a jak jest astmatykiem, to na dłużej.

– Panowie, zaczekacie chwilę? Dacie kilka minut, żebym się pozbierał?

– W mordę, w mordę, w mordę! – klnie jeden. – Nie ma jeszcze wpół do dziesiątej, a już wszystko się chrzani. Późno, późno, późno! Nie stój pan tak! – zwraca się do mnie. – Zbieraj się pan!

Przypinam Tessie smycz, chowam do kieszeni psie herbatniki. Łapię kotkę. Nie mogę znaleźć transportera, więc upycham ją, miauczącą, do płóciennej torby i biegnę do auta. Przynoszę kuwetę, stawiam na siedzeniu dla

pasażera, wypuszczam kotkę z torby, szykuję wodę, karmę, robię szparę w oknie i wracam po Tessie. Zakładam, że pochodzimy trochę po okolicy, a później, w razie potrzeby, wrócę i zawiozę gdzieś kota i psa. Nie planowałem niczego szczegółowo.

Wyruszam z Tessie ulicą. Jest jasny, pogodny poranek, niezwykle ciepło jak na zimowy dzień, dzień pełen obietnicy, nadziei, możliwości.

W parku jest pusto. To miejsce istniejące po to, by miały gdzie rosnąć drzewa dotleniające przedmieście, byś mógł, wioząc autem gości, pokazać im zieloną przestrzeń i rzec: Prawda, jaki śliczny park, piękne podmiejskie błonia? Na jego drugim końcu jest parking, kort tenisowy, boisko do koszykówki, huśtawki, drabinki. Przechodzę z Tessie przez park. Przywiązuję smycz, a potem, by udowodnić sobie, że nadal umiem się beztrudnie bawić, siadam na huśtawkę z dokładnie takim siedziskiem z grubej gumy, jakie zapamiętałem z dzieciństwa. Zaczynam się huśtać, coraz wyżej i wyżej, a kiedy już wyżej i szybciej się nie da, zadzieram głowę, nade mną otwiera się niebo i nie widzę nic prócz błękitu, nasyconego, jasnego superbłękitu z białymi, idealnie skłębionymi chmurami. Przez chwilę jest piękniej, niż mógłbym wymarzyć – bosko. A potem, gdy frunę do przodu, nadmierna prędkość tak mi uciska żołądek, że niemal czuję go w gardle. Wpadam w wir. Zamykam oczy – gorzej. Otwieram oczy – jeszcze gorzej. Rzucam się

naprzód, spadam z huśtawki, ląduję na czworakach. Huśtawka uderza mnie w plecy, jakby chciała powiedzieć: „A masz, głupcze!”. Błędnik dostał obłądu? Idę do zjeżdżalni, wspinam się po drabince. Gładkość zaokrąglonych poręczy wydaje mi się taka sama jak czterdzieści lat temu. Na górze odpycham się i zsuwam na sam dół. Kiedy wstaję, guzik przy kieszeni zaczepia się, szarpie, rozdziera tkaninę. Choć mnie korci, by przerzucić się jak kiedyś z poręczy na poręcz i zawisnąć na kolanach głową w dół, nie próbuję sił na drabinkach ani w kąciku wspinaczkowym. Mocno wierzę, że mógłbym zrobić wszystko, i chcę w to wierzyć dalej.

Myślami wracam do dni, których nie było, do wymarzonego dzieciństwa istniejącego tylko w mojej wyobraźni. Kiedy podrasiałem, placem zabaw dla dzieci były puste parcele, a nie wymuskane zielone ogrody. Nasze rodziny nie widziały potrzeby, byśmy mieli gdzie dobrze i bezpiecznie się bawić – uważały zabawę za stratę czasu. Brakowało nam wielu rzeczy. Ktoś miał rękawicę, ktoś inny pałkę do bejsbolu, a reszta łapała piłkę gołymi rękoma, wstrzymując oddech z nieznośnego bólu. Dłonie piekły nas nie tylko od zetknięcia z piłką, ale i z radości, że udało się ją schwycić, przerwać podniebny lot i oszczędzić komuś kosztów wymiany szyby. Krótko mówiąc, jeśli miałeś czas na zabawę, nie mówiłeś o tym nikomu, bo gdyby rodzice się dowiedzieli, od razu znaleźliby ci zajęcie.

Dlatego bawiliśmy się po cichu, nie rzucając się w oczy i wykorzystując to, co było pod ręką. Stąd wizytowe półbuty szkoty ojca, rozmiar dziewięć, zmieniały się w najwspanialsze okręty i sunęły w szyku po dywanie, wydzielając zapach wyprawionej skóry i spoconych stóp. A co służyło mi za lotniskowiec? Pożyczona z jadalni srebrna taca. Kiedy matka odkryła ją w otoczeniu butów, orzekła, że mam szmergla. Tak trudno było jej pojąć, że dywan to ocean, teren bitwy morskiej? Zwymyślała mnie od nicponi. Pamiętam, jak płakałem, i że George'a to bardzo śmieszyło.

Dwie kobiety w strojach ze spandeksu okrążają park zewnętrzną alejką, nie tyle biegną, ile człapią rozkołysanym truchtem. Gapią się na mnie, a nawet wskazują palcem, jakby jedna drugą pytała, czy rzeczywiście tu jestem. Macham ręką. Nie reagują.

Przy korcie tenisowym znajduję piłkę, rzucam. Żeby ją odzyskać, muszę biec za Tessie, która też za nią pędzi. Zachwycona zabawą, ogromem otwartej przestrzeni, biega niezmordowanie w kółko, aż wreszcie wygrzebuje dołek w ziemi, kładzie się i zaczyna obgryzać żółty meszek. Zima się kończy. Połowa drzew jest bezlistna, zimozielone, przygaszone trawy zoysia i rajgras ścielą się nierównymi kępkami.

Siedzę. Siedzę w parku w idealny zimowy dzień –

samotnie. Niesamowita pustka zaczyna mi działać na nerwy, boję się być sam pośród otwartej przestrzeni. Coś mnie dopada. Nie tyle atak paniki, ile ciężka, ciemna chmura, tym groźniejsza, że niebo jest przecież czyste. Jakże byłoby pięknie, gdyby nie wygnał mnie z domu brata insektobójczy pluton egzekucyjny! Pograżam się. Leżąc plackiem na trawie, czuję głębię wszystkiego. Może zawsze tu była. Naciskany, przyznałbym: Tak, uciekałem się do różnych sztuczek i wykrętów, zmyślnie manewrowałem, żeby się obronić, nastroszyć, po prostu, kurwa mać, przeżyć. Lecz w tej chwili czuję to, czuję, jak to było tysiąc lat temu w domu rodziców. Może te pięć minut na huśtawce coś uwolniło, bo wszystko wraca niczym fala psychicznego przypływu, czuję w ustach przykry, metaliczny smak, czuję, jak bardzo wszyscy w mojej rodzinie się nienawidzili, jak mało troszczyliśmy się o kogokolwiek prócz nas samych, jak mało szanowaliśmy innych. Czuję, jak głęboko rozczarowała mnie moja rodzina, doprowadzając do tego, że się wycofałem, stałem nikim, gdyż było to znacznie mniej ryzykowne niż próba zostania kimś, kimkolwiek, w obliczu takiej pogardy.

Popatrz. Popatrz, co się stało. Popatrz, co zrobiłem. Zauważ. W tym momencie nie zwracam się do kogoś, zwracam się do siebie. Spójrz na mnie, bezdomnego

w parku. Zwijam się w kłębek, szmatławy ludzki kłębek w odległym zakątku parku. Szkoda na mnie patrzeć – nie ma na co.

Szlocham, jęczę, zanoszę się łkaniem tak głębokim, tak mocnym, że jest to płacz mojego życia; ryczę. Podchodzi do mnie pies, liże po twarzy, po uszach, próbuje mnie uspokoić, ale nie mogę przestać, dopiero zacząłem. Płaczę tak, jakby miało to trwać lata: Popatrz, co zrobiłem. A przecież nie jestem nawet alkoholikiem, jestem, kurwa mać, nikim, zwykłym facetem, kompletnym przeciętniakiem! I to jest pewnie najgorsze ze wszystkiego – świadomość, że nie jestem wyjątkowy, że niczym się nie wyróżniam. Aż do wydarzeń związanych z Jane byłem całkiem zwyczajny, normalny; od ślubu nie spałem z nikim oprócz własnej żony...

Spójrz na mnie! Choć nikt nie powiedział tego na głos, wiesz równie dobrze jak ja, że jestem mordercą w tym samym stopniu co mój brat.

Mówię to sobie – i jestem stracony.

Zjawia się młody policjant.

– Dobrze się pan czuje?

Kiwam głową.

– Doniesiono nam o płaczącym mężczyźnie.

– Płacz jest nielegalny?

– Nie, ale takie widoki to tu rzadkość, zwłaszcza o tej

porze roku. Z pracy do domu?

– Z pracy mnie wylali, a do domu przyjechała ekipa dezynsekcyjna, kazali mi wyjść. Więc wyszedłem do parku.

– Ludzie zwykle idą na zakupy – mówi policjant.

– Tak?

– Tak, kiedy nie wiedzą, co ze sobą zrobić, idą do centrum handlowego i wydają pieniądze.

– Nie pomyślałem o tym. Nie lubię zakupów.

– Ludzie tak robią.

– Nawet z psem?

– Tak. Są centra pod dachem i na powietrzu.

Policjant nie rusza się z miejsca.

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale to jest publiczny park, a ja nikomu nie przeszkadzam.

– Nie wolno obozować. Nie wolno się wałęsać.

– A po czym poznać, że ktoś się wałęsa? Może po prostu korzysta z parku. Na tablicy stoi, że park jest otwarty od siódmej do zmierzchu. Przyszedłem tu z psem, żeby zażyć spaceru. Widzę, że to nie w porządku, że w tym mieście wchodzenie do parku uznaje się za dziwactwo. Wie pan co, ma pan rację. Faktycznie, na to wygląda, bo w całym parku nie ma nikogo prócz nas dwóch, więc przepraszam.

**Z** psem i kotem w aucie jadę uczyć. Dojeżdżam na



uczelnię, parkuję w cieniu. Zostawiam zwierzakom miseczki z wodą na podłodze, uchylam okna, temperatura powietrza jest znośna. Wiem, że nie będą tu miały ani lepiej, ani gorzej, niż gdybym zaparkował przed domem.

Na dzisiaj mamy w planie omówienie Zatoki Świń...

Kilkoro studentów podnosi ręce i oznajmia, że temat ich krępuje.

– Dlaczego?

– Jestem wegetarianinem – mówi student.

– To niepatriotyczne – oponuje drugi, obcokrajowiec.

– Rozumiem wasze zastrzeżenia, ale postąpię zgodnie z planem. Akcję tę, nawet jeśli w istocie chybioną, podyktował rządowi patriotyzm, miłość do kraju. Zatoka Świń to nie nazwa restauracji ani związku producentów żywności, tylko określenie nieudanej próby obalenia rządu Fidela Castro w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku przez wyszkolonych tajnych agentów CIA. Plan zrodzony w głowie Nixona, rozwinięty przy udziale Eisenhowera, wprowadzono w życie za prezydentury Kennedy'ego. Z perspektywy czasu wydaje się problematyczne, że nowa administracja przeprowadza tajną akcję zaplanowaną przez poprzednią „ekipę”. Swoją znaczącą odpowiedzialność za szkolenie uchodźców kubańskich przez CIA Nixon

omawia w książce *Sześć kryzysów*. Niemniej można śmiało założyć, iż wiele działań naszego rządu przechodzi z administracji na administrację, co widać na przykładzie historii wojny w Wietnamie oraz, w czasach nam bliższych, w Iraku. Nieudana próba obalenia Castro przez Kennedy'ego w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym, niepowodzenie starannie przygotowanych, a potem nagle zmienionych planów niepomiarowo rozgniewało Nixona i jego „kolegów”. Warto odnotować, że kilku agentów CIA biorących udział w tych wypadkach wypłynęło ponownie w związku z aferą Watergate.

Studenci patrzą na mnie tępo.

– Czy coś z tego, o czym mówię, jest wam znane? – pytam.

– Nie – odpowiada wegetarianin.

Pozwalam im na więcej swobody. Poruszamy inne wątki. Mówię o tym, że historia lubi się powtarzać, podkreślam, jakie to ważne, by wiedzieć, kim się jest, skąd się pochodzi. Rozmawiamy o historii jako narracji, prawdziwej opowieści o wielkich i małych. Rozmawiamy o tym, w jaki sposób człowiek się uczy, jak gromadzi wiedzę – co to znaczy sprawdzać, badać, wyszukiwać. Rozmawiamy o wartości dokumentów historycznych i o tym, jak zmienia się to w dobie internetu i twardego dysku. Pytam ich, jakie materiały zachowują.

- Teksty – odpowiadają.
- Kiedy z kimś randkuję lub się kłócę, zachowuję teksty, które do siebie piszemy – mówi jeden.
- Nie drukujemy – mówi drugi. – To szkodzi środowisku.

Pytam o najwcześniejsze wspomnienia, o to, kiedy zrozumieli, że istnieje większy świat, kogo uważają za najbardziej wpływową osobę w kraju. Zwykle jest to jakiś sportowiec albo gwiazda ekranu – nie prezydent.

Przypominam, że mają napisać rozprawkę, w której przedstawia i opiszą swoje poglądy polityczne i porównają je z poglądami prominentnych polityków.

- To trudne – oświadcza ktoś.
- Dla niektórych – odpowiadam i kończę zajęcia.

Wracam do auta – pies i kot czują się dobrze, ale smród wykręca nos. Zaniepokojona kotka podrapała fotel i użyła go jako kuwety. Jadę do domu, oddychając wyłącznie przez usta.

W domu na podłodze leży kartka. „Czeka cię duża niespodzianka”. Wciąż śmierdzi środkiem owadobójczym. Biorę płyny do czyszczenia i wracam do auta. Zabieram kotkę do domu, licząc na to, że nie ma

astmy, a potem, najlepiej jak umiem, sprzątam odchody i podarte siedzisko.

Z piwnicy wyciągam stary leżak z siatką i ustawiam na podwórku za domem. Znajduję stary śpiwór, szykuję sobie leże i zasypiam. Budzi mnie szczekanie Tessie. Wychodzę z za węgła i przy krawężniku spostrzegam białego vana.

Drzwi od strony pasażera otwierają się, wysiada Azjata z białym karteluszkim. Liścikiem?

– W czym mogę pomóc? – pytam.

– Ja bardzo zły przez ten pan, co tu mieszka. Zna go pan?

– Niby kogo?

– Nazywa się Silver.

– Ja jestem Silver.

– Gdzie pan był? Zostawiam sto listów, jak zagubiony kochanek.

– A o co chodzi?

– Mam dużą przesyłkę. Od tygodni jeżdżę z pańskimi rzeczami. Powinienem policzyć panu ekstra.

– Jakimi rzeczami?

– Mam w vanie paki z dobytkiem. Gdzie je wystawić?

– Paki z dobytkiem?

– Klamoty z pańskiego mieszkania – mówi drugi gość, otwierając tył wozu.

Dwaj kurierzy wnoszą pudła do domu. W głębi salonu konstruują z nich ścianę, która w miarę jak ich przybywa,

zmienia się w rodzaj instalacji, jaskini. Zdumiewające, że pudła są identyczne – nieoznakowane sześciiany z białego kartonu o boku długości trzydziestu pięciu centymetrów. A więc nie wróci do mnie nic, co się w takim opakowaniu nie mieści. Przyjmuję przesyłkę i daję im po dwadzieścia dolarów napiwku.

– Tylko tyle po takiej harówie?

– Straciłem pracę – odpowiadam. – Mam przechłapane.

Nie jestem w stanie zabrać się do rozpakowywania. Ograniczam się do podstawowych czynności. Wracam na podwórko. Kiedy robi się ciemno, wchodzę do domu, szykuję sobie kanapkę, biorę koc, poduszkę i znów wychodzę na dwór. Tessie nie chce wyjść – uklada się na swoim pościeliu i ani drgnie.

Śpię na leżaku za domem. Jeszcze nigdy nie przespałem nocy na dworze. Zawsze chciałem to zrobić, ale, szczerze mówiąc, bałem się. Teraz myślę: co za problem? Nie mam się czego bać – to mnie się boją.

Wczesnym rankiem, kiedy w tym samym co wczoraj, przybrudzonym i wilgotnym od rosy ubraniu wyprowadzam Tessie na spacer, spostrzega mnie ten sam co wczoraj policjant. Podjeżdża radiowozem i pyta, co robię.

– Spaceruję z psem – odpowiadam.

– Gdzie pan mieszka?

– Tam.

Odprowadza mnie do domu i wygląda na niezadowolonego, kiedy wyciągam klucz spod sztucznego kamienia.

– Zwykle ludzie nie korzystają z zapasowych kluczy – mówi.

Wzruszam ramionami i otwieram drzwi. Na podłodze leży kartka. „Chrzań się, kutwo. Zapłacisz więcej”.

Pokazuję policjantowi instalację „Mój dobytek” z białych pudeł, oprowadzam go po domu, sypialni na piętrze, wyjaśniam, dlaczego nie ma lamp nocnych. Wskazuję gabinet George’a, gdzie wiszą liczne fotografie rodzinne z „lepszych czasów”, cokolwiek to znaczy.

– No, to jest pan chyba, gdzie powinien – stwierdza policjant, zbierając się do odejścia. – Niech pan się pilnuje.

Nieco później, kiedy myję zęby, doznaję dziwnego, narastającego odczucia, jakby zalewała mnie woda, jakbym tonął. Myję zęby, płuczę, przeglądam się w lustrze. Boli mnie głowa, boli oko, widzę, jak twarz mi się dzieli, w połowie opada, jakbym za chwilę miał zapłakać. Po prostu się zsuwa. Próbuję zrobić minę, wyszczerzam się w niedbałym półuśmiechu. Wyglądam, jakbym z siebie drwił, jakby zaaplikowano mi nowokainę. Końcówką szczoteczki trącam, prawie dźgam policzek, ale nic nie czuję. Stojąc tak, uzmysławiam sobie, że się

garbię niczym przekrzywiona marionetka. Poruszam jedną ręką. Próbuję iść, potykam się. Mam wrażenie, że głowę owinięto mi plastikiem, nie czuję bólu, tylko coś w rodzaju skraplania, jakbym topniał i ściekał po własnym karku. Patrzę, a moja twarz wciąż opada, całkiem wiotczeje – postarzałem się o sto lat. Chcę zmienić jej wyraz, lecz nie mogę.

Zakładam, że to przejdzie. Zakładam, że wpadło mi coś do oka, może mydło, i zaraz wypłynie. Wychodzę z łazienki i kończę się ubierać – trwa to bardzo długo. Jestem wyczerpany. Nie wiem, czy się położyć, czy poruszać. Przychodzi mi na myśl, że potrzebuję pomocy. Suka dziwnie na mnie patrzy.

– Coś się stało? – pytam ją. – Nie rozumiem, co mówię, a ty?

Prawa noga zachowuje się jak z gumy, sprężynuje i strzela, aż się chybczę. Chcę zadzwonić do lekarza, ale nie dość, że nie pamiętam jego numeru, to nie radzę sobie z telefonem. Dobrze, myślę, sam się zawiozę do szpitala.

Wychodzę z domu, wsiałam do auta. Kiedy wrzucam wsteczny bieg, uświadamiam sobie, że nie mam kluczyków i silnik nie chodzi. Zdejmuję stopę z hamulca, wysiadam.

Auto toczy się po podjeździe.

Wymiotuję tam, gdzie stoję.

Auto wytacza się na ulicę pod nadjeżdżający

samochód. Kraksa.

A ja wciąż stoję na podjeździe, obok kałuży wymiocin.

Przyjeżdża policjant, który zna mnie z parku.

– Jak pan może pić od samego rana? – pyta.

Nie jestem w stanie odpowiedzieć.

– Nie siedział w samochodzie – wyjaśnia sąsiadka. – Stał tam, gdzie stoi.

Próbuję wymówić słowo „szpital”, nie daję rady; próbuję wymówić „karetka”, długo mamłę językiem; aż wreszcie z ust – zupełnie wyraźnie – wyskakuje mi KRETYN.

Robię gest, taki sam, jakim w restauracji prosiłbym o rachunek. Gestem naśladuję pisanie, ktoś podaje mi papier i długopis.

„Dzieje się coś złego” – piszę dużymi kulfonami. Tak mnie to męczy, że padam jak długi na ziemię. Słyszę, jak ktoś mówi: „Możemy pana połączyć wodą”, i zastanawiam się, czy jestem już rośliną.

Karetka. Za głośno. Za dużo tego wszystkiego, atak, zniewaga. Za szybko, za wolno, mdłości, jeszcze nigdy tak mnie nie mdliło, czyżby mnie otruto? Może przyczyną jest coś w płynie do spryskiwania, może jaskinia z pudeł w salonie, może to stamtąd dobywają się toksyczne opary, toksyczne opary z mojego wcześniejszego życia gnijącego w tych kartonach. Myśli płyną, a ja się martwię, że coś jest nie tak z moją zdolnością do logicznego rozumowania.



Przeszkoda, zakrzep, udar, mały wyciek w głowie. Prześwietlenie, rezonans magnetyczny, badania krwi, aktywator plasminogenowy tkanek, arytmia, radiologia interwencyjna, angioplastyka mózgowa, endarterektomia arterii szyjnej, stent.

Obwiniam George'a: George'a i jego biurko, George'a i jego szybki internet. Za to, co się dzieje, obwiniam wszystko: siedzenie co dzień godzinami przy biurku, podjęte ostatnio czynności, fizyczny wysiłek związany z nadmierną aktywnością seksualną, a także napięcie, traumę. Obwiniam George'a i jego pieprzoną apteczkę. Jako człowiek od „wiadomości” uważał, że powinien wiedzieć o wszystkim. Jego apteczka była zaopatrzona we wszystko: viagrę, lewitrę, cialis, tadalis, revatio, itede. Komputer, apteczka, wydarzenia ostatnich tygodni – te związane z Jane – wywołały manię, pchnęły mnie w seksualne szaleństwo, które skończyło się tym, że leżę na noszach na oddziale ratunkowym.

To było silne czy lekkie, ostrzegawcze drżenie? Czy mi się polepsza, mija wrażenie bycia pod wodą we śnie?

Przy noszach stoi pielęgniarka.

– Pan Silver. Jest problem z ubezpieczeniem. Anulowano je. Ma pan kartę ubezpieczenia?

– Tessie. – Próbuję wyjaśnić, że nie ma komu nakarmić i wyprowadzić na spacer Tessie. Nikt nie słucha, nikt nie robi nic, dopóki nie wyrywam sobie kroplówki. – Ktoś musi wyjść z cholernym psem.

Kładą mnie z powrotem, pytają, czy to jest prawdziwy pies, informują, że istnieje oparty na wolontariacie program opieki nad zwierzętami domowymi.

– Zadzwońcie do mojego adwokata – mówię.

Przynoszą mi telefon.

Nie wiem, dlaczego mam przed oczami numer Larry'ego – Train and Traub, 212–677–3575.

– Larry. Powiedz Claire, że mam udar – mówię, ale słowa te brzmią w moich uszach jak „Więc kler ma dar”.

– Co? – pyta Larry.

Ponawiam próbę, bardzo się starając.

– Bardzo proszę, powiedz Claire, że mam udar.

– Czy to ty?

– A któż inny?

– Prześladujesz mnie telefonami?

– Nie – zaprzeczam, a mój głos brzmi, jakbym miał

kamienie w ustach.

– Nie mogę jej powiedzieć – oświadczają. – To manipulacja. A zresztą skąd mam wiedzieć, że naprawdę masz udar, a nie jesteś nawalony?

– Jestem na oddziale ratunkowym, Larry. Żądają karty ubezpieczenia, więc powtarzam im: „Spokojnie, mam ubezpieczenie”.

– Nie masz ubezpieczenia – mówi Larry. – Claire je skasowała. Poprosiła mnie, żebym je skasował.

Znowu wymiotuję, brudząc nosze i przewody EKG.

– W świetle prawa wciąż jesteś żonaty, więc masz otwartą ścieżkę. Możesz powalczyć.

– O nic nie mogę walczyć, ledwie mówię.

– Może mają w szpitalu rzecznika praw pacjenta.

– Larry, poproś z łaski swojej Claire, żeby przefaksowała kopię karty kredytowej.

Pielęgniarka odbiera mi telefon.

– Pan Silver nie powinien się denerwować, miał udar – stwierdza. – Niepokój jest przeciwwskazany.

Larry coś do niej mówi. Pielęgniarka oddaje mi telefon.

– Chce na koniec coś powiedzieć – informuje.

– Dobrze, zajmę się tym, tę jedną sprawę załatwię – obiecuje Larry. – Niech to będzie przysługa, ostatnia, jaką dla ciebie zrobię.

Czy Nixon musiał znosić coś podobnego, czy kulił się nad miseczką spaghetti z puszki?

Myślę o jego zapaleniu żyły; czy pierwszy atak w lewej nodze w 1965 roku miał podczas wyjazdu do Japonii? Jesienią w 1974, tuż po rezygnacji, znowu spuchła mu lewa noga i miał zakrzep w prawym płucu. W październiku przeszedł operację, potem krwotok i pozostał w szpitalu do połowy listopada, a kiedy sędzia John Sirica wezwał go do sądu, były prezydent nie mógł składać zeznań z przyczyn zdrowotnych.

Kiedy leżę, czekając na swoją kolej w tomografie, który uważam za rodzaj mózgowego detektora kłamstw, nabieram pewności, że istnieje związek pomiędzy zakrzepami Nixona a Watergate. I choć wcale się nie porównuję z jego przypadkiem, jestem pewien, że epizod z George'em i śmierć Jane rozsadziły mi mózg.

Podczas tomografii na pocieszenie robię w myślach przegląd wrogów Nixona.

1. Arnold M. Picker
2. Alexander E. Barkan
3. Ed Guthman
4. Maxwell Dane
5. Charles Dyson
6. Howard Stein
7. Allard Lowenstein
8. Morton Halperin
9. Leonard Woodcock

10. S. Sterling Munro Jr.
11. Bernard T. Feld
12. Sidney Davidoff
13. John Conyers
14. Samuel M. Lambert
15. Stewart Rawling Mott
16. Ronald Dellums
17. Daniel Schorr
18. S. Harrison Dogole
19. Paul Newman
20. Mary McGrory

Umieszczono mnie w dwuosobowym pokoju na monitorowanym piętrze. Przychodzi mi na myśl, by zadzwonić do swojego „zwykłego” lekarza. Walczę z każdym słowem. Staram się wyjaśnić sytuację, w jakiej się znalazłem. Sekretarka odpowiada, że wszystko w rękach Boga, poza tym doktor nie praktykuje poza miastem, a co najważniejsze, jest na urlopie. Pyta, czy po jego powrocie chciałbym się przenieść do Death Israel.

– Co to jest Death Israel?

– Szpital, z którym współpracuje doktor – odpowiada sekretarka.

– Brzmi antysemitcko – komentuje pacjent, który dzieli ze mną pokój i słyszy rozmowę.

– Mam nadzieję, że wrócę do domu, zanim... – mówię

wyraźniejszym, bardziej znajomo brzmiącym głosem.

– Jeżeli zmieni pan zdanie, proszę nas powiadomić – kończy sekretarka.

– Nie ma nic gorszego niż potrzebować lekarza – stwierdza mój towarzysz.

– Co panu dolega? – pytam, choć brzmi to raczej jak „Na co pan leży?”.

– Koniec przedstawienia – mówi. – Zegar tyka resztkami sił. Zauważył pan, że się nie ruszam? Jestem unieruchomiony, pracuje tylko mózg, to, co z niego zostało. Przy okazji, pan jest taki niewyraźny czy to ja tak słabo widzę?

Zanim zdążę odpowiedzieć, wchodzi psia wolontariuszka.

– Jestem konsultantką od czworonożnych przyjaciół – przedstawia się, przysuwa krzesło, wyjmuje broszury informacyjne i formularze.

– Ma pan kota lub psa?

– Jedno i drugie.

– Zaatakują, jeżeli ktoś obcy otworzy drzwi? Gdzie jest karma i ile jej dostają? Pies może zostać sam na noc czy potrzebuje towarzysza? Mamy studentów, którzy czasem nocują ze zwierzętami.

– Jak długo tu będę? – pytam.

– To pytanie do lekarza. W niektórych przypadkach wyjściem jest adopcja.

– Ktoś by mnie adoptował?

– Ktoś mógłby adoptować zwierzaki, gdyby nie wrócił pan do domu...

– A dokąd miałbym pójść?

– Do domu opieki, na przykład, albo dalej...

– Ona mówi o śmierci – podpowiada gość z sąsiedniego łóżka. – Wzdragają się mówić o tym wprost, ale ja mogę, bo, jak już wspomniałem, sam wkrótce tam się wybieram.

– Nie wygląda pan aż na tak chorego. Mówi pan całkiem do rzeczy.

Ocieram z ust strużkę śliny.

– Dlatego to takie trudne. Jestem *compos mentis*, świadom wszystkiego, ale to nie potrwa długo.

– Zastanawiał się pan nad hospicjum? – pyta mojego sąsiada przyjaciółka czworonogów.

– A co za różnica? Obrazki na ścianach? Wszyscy śmierdzą. – Starzec unosi rękę do twarzy. – To ja czy ktoś inny? – pyta, ale nikt nie odpowiada. – Moja ręka czy pańska?

– Pańska – mówię.

– Aha.

– Wybaczcie, panowie – odzywa się wolontariuszka – ale macie przed sobą cały dzień, a mnie zostało jeszcze dużo do zrobienia.

– Cały albo nie cały – mówi umierający.

– Wracając do zwierzaków. Imiona, wiek? Ma pan przy sobie klucz od domu?

– Suka wabi się Tessie, nie wiem, ile ma lat, a kotka Muffin. Zapasowy klucz leży pod sztucznym kamieniem po lewej stronie drzwi wejściowych – klucz i dziesięć dolarów.

Umierający nuci pod nosem, żeby nie słuchać.

– Za dużo informacji – mówi. – Nie powinienem ich znać.

– To co, zaraz pan wstanie i okradnie dom?

Mogę coś podyktować? – pyta umierający.

– Postaram się zapisać.

Naciskam guzik i proszę o papier i ołówek.

– To chwilę potrwa – mówi pielęgniarzka.

– Mam tu umierającego, który chce coś wyznać.

– Wszyscy mamy potrzeby.

Drzemię. We śnie słyszę strzały. Budzę się z myślą, że brat próbuje mnie zabić.

– Nie do pana strzelają – mówi sąsiad. – To w telewizorze. Kiedy pan spał, zajrzał tu policjant. Powiedział, że przyjdzie później.

Milczę.

– Mogę o coś spytać? To pan jest tym gościem, który zabił żonę?

– Dlaczego pan pyta?

– Usłyszałem, jak ktoś mówił o gościu, który zabił żonę.



Wzruszam ramionami.

– Żona się ze mną rozwodzi. Cofnęła moje ubezpieczenie zdrowotne.

Ktoś wchodzi i pyta:

– Który z panów prosił o pastora?

– Prosiłiśmy o papier.

– Aha.

Mężczyzna wychodzi i po chwili wraca z żółtym notesem i długopisem.

– Od czego zacząć? – pyta umierający. – Pewne pytania pozostaną bez odpowiedzi. Trudność w tym, że nie da się odpowiedzieć na każde, niektórych rzeczy się nie pozna.

Zaczyna snuć zawiłą opowieść o kobiecie, jak się poznali, a potem rozstali.

Urzekająca historia, w stylu Salingera; nie mówili tym samym językiem, kobieta nosiła piękny czerwony szal, zaszła w ciążę.

Staram się ją zapisać. Patrzę na to, co piszę, i widzę, że nie ma w tym sensu. Nie piszę po angielsku. Znaczków, które robię na papierze, nikt nie odczyta. Skupiam się na słowach hasłach, kreślę rysunekzki, tworzę mapę – bazgrzę po całej stronie w nadziei, że później to uporządkuję. Umierający mówi i mówi, a kiedy wygląda na to, że zbliżamy się do końca, do finału, raptem siada.

– Nie oddycham – mówi.

Naciskam przycisk dzwonka.

– Nie oddycha! – krzyczę. – Robi się czerwony, sinieje!  
Po chwili pokój wypełnia się ludźmi.

– Rozmawialiśmy, dochodził do puenty, aż tu raptem usiadł i powiedział: „Nie oddycham”.

Teraz prycha, dławi się, jest z nim źle, przychodzi więcej ludzi, są jak widownia. Stoją i patrzą.

– Będziecie tak stali i patrzyli czy coś zrobicie? – pytam.

– Nie możemy nic zrobić – odpowiadają pielęgniarce.

– Jasne, że możecie!

– To pacjent NR. „Nie reanimować”.

Chciał umrzeć dobrą śmiercią. Ale wystarczy spojrzeć. Szamocze się, jakby się dusił.

– Nie wiemy, kiedy ani jak Pan wezwie nas do siebie – mówi któraś.

Zasłaniają zasłonkę między łózkami.

– Tak nie może być – protestuję, dźwigam niesprawne ciało z przekłętego łóżka i odsuwam zasłonkę.

Sąsiad pręży się, rzuca, zdaje się błagać, by ktoś coś zrobił. Mimo płataniny przewodów zwieszających się z piersi i dwóch kroplówek zbliżam się do niego, gołym tyłkiem odsuwając pielęgniarce. Z ruchu jego warg odczytuję, że chce, bym mu przyłożył, więc ładuję piekielnego haka, walę go z całych sił w brzuch.

Otwiera szeroko usta, wylatuje sztuczna szczeka, staruszek łapie dech.

- Cholerna proteza! Omal mnie nie zabiła – mówi.
- Prosił pan, żeby pana nie reanimować – przypomina z oburzeniem pielęgniarka.
- Ale nie mówiłem, że chcę się udławić własną sztuczną szczęką.
- Myślałam, że to zator. Myślałaś, że to zator? – zwraca się pielęgniarka do pielęgniarki.
- Odeślijcie mnie do domu, bardzo proszę, gdzie przynajmniej będę mógł się zastrzelić, gdy będę gotowy.
- Mam do kogoś zadzwonić? – pyta pielęgniarka.
- Na przykład do kogo?
- Przedstawiciela szpitala? Opiekuna społecznego, rzecznika pacjenta? Lekarza? Pan powie.
- Zaczniście od góry, a potem po kolei do samego dołu
- mówi sąsiad. – I natychmiast zmieńcie zapis w dokumentacji. Pojęcia nie macie, co znaczy NR.
- Pół godziny później kobieta wraca z formularzami i unieważnia zapis NR.
- Trochę potrwa, zanim zmiana wejdzie do systemu, więc może chwilowo dam wywieszkę na drzwiach – proponuje.
- Pani zrobi, co konieczne – mówi sąsiad.
- „Proszę ratować tego człowieka” – pisze kobieta na ściennej tablicy na drzwiach, gdzie widnieją nasze nazwiska oraz ostrzeżenie: „Groźba upadku, zachować ostrożność”.
- Po południu wpada wolontariuszka od zwierzaków;

ma zdjęcia Tessie i kotki z jakimś miło wyglądającym młodzieńcem na kanapie George'a i Jane.

– Załatwione – oznajmia radośnie.

Przychodzi policjant z parku. Jest w mundurze, z okolicznościowym bukietem z kwiaciarni wysyłkowej, umieszczonym w wazoniku, który ściska pluszowy miś.

– Chciałbym przeprosić, źle pana potraktowałem.

– W porządku – odpowiadam.

Policjant przysiadła na łóżku, chwilę gawędzimy, a gdy kończą nam się tematy, zapowiada, że wpadnie któregoś dnia.

– Aż przykro patrzeć. Na pewno bierze udział w programie – mówi sąsiad po wyjściu policjanta.

– Jakim programie?

– Jeden z dwunastu kroków. To Anonimowe, Tamto Anonimowe, Wszystko Anonimowe. Krok numer dziewięć to naprawienie wyrządzonej krzywdy.

– Ciekawe – mówię.

Mam ochotę opowiedzieć mu, jak wpadłem na spotkanie AA, ale skoro tyle wie o tych krokach... lepiej zamilczeć.

Kiedy dowożą kolację, nic dla niego nie ma.

– Nic?

– Nie mam pana wpisanego na żaden posiłek, ale mogę zorganizować coś w płynie – mówi kobieta.

Podnoszę pokrywkę z talerza i nie poznaję potrawy.

– Co to jest? – pytam.

Kobieta zagląda do talerza.

– Chyba nasz kurczak marsala.

– Ja umieram – przypomina sąsiad. – Nie spożyję swojego ostatniego posiłku w płynie, chyba że będzie to przednia szkocka.

– A może coś z menu dań na wynos dla pielęgniarek? Zwykle coś zamawiają.

– Świetnie!

Sąsiadowi nagle poprawia się humor; mało tego, starzec mocno się ożywia.

Przykrywam z powrotem talerz, żeby zapach się nie ulatniał, i czekam, co będzie dalej.

– Czego pan sobie życzy? – pyta sąsiad, przeglądając menu.

– Cokolwiek, byle nie chińszczyznę.

Podeksytowany, z kryjówki w pościeli wyciąga komórkę i wybiera numer. Porusza się niesporo, ale ma misję. Najpierw zamawia w barze dwa luksusowe cheeseburgery z frytkami i dodatkową porcją pikli, potem w pizzerii średnią pepperoni, a w delikatesach pudding ryżowy i napój waniliowy. Proszę, żeby dorzucili parę batonów Hersheya z migdałami. Kiedy sprzedawca w delikatesach informuje, że dowożą zamówienia za minimum dwadzieścia dolarów, sąsiad obiecuje mu pięćdziesiąt dolarów napiwku, jeżeli dokupi w sklepie

z alkoholem wybraną butelkę szkockiej. Sprzedawca zapewnia, że zrobi to osobiście.

– Co z tego, że zamówię więcej, niż dam radę zjeść? Umieram, nie muszę się martwić o resztki. Mógłbym zamówić dla pana coś specjalnego, ma pan jakieś ostatnie życzenie, że się tak wyrażę? – pyta sąsiad.

Lubiłem kawior, świeże bliny z serem, czekoladowe eklery. Nigdy też nie zapomnę tego idealnego w smaku pomarańczowego pączka, który jadłem ze czterdzieści lat temu, pewnego zimnego poranka, przed siedzibą komisji podczas wyborów prezydenckich w 1972 roku. Jednakże leżąc w szpitalnym łóżku, nie mam żadnych kulinarnych zachcianek.

– Dziękuję – odpowiadam. – Nie mam specjalnych życzeń.

Czekamy. Będą pamiętali o ketchupie i musztardzie? Zadzwoń i przypomnieć o majonezie? Rozmarzamy się obaj na wspomnienie majonezu. Sąsiad pyta mnie, czy jadłem kiedyś belgijskie frytki z dipem, z solą, mocno podsmażone i gorące? Tak, jadłem... Od samego jego opisu cieknie ślinka.

Czekamy nadspodziewanie długo. Dostawcy muszą przejść przez kontrolę na dole – każą im otwierać cheeseburgery? – pokonać szpitalną trasę, windy, korytarze.

– Mógłby mi pan podać spodnie z szafki? – prosi sąsiad.

Wstaję powoli, podchodzę do jego szafki, ciągnąc stojak od kroplówek, przewody i lewą stopę, która nie jest mi całkiem posłuszna.

– Niech pan zajrzy do kieszeni.

W kieszeniach jest pełno gotówki, pliki dwudziestek i portfel wypełniony czekami podróżnymi, euro i angielskimi funtami.

– Idzie pan na całość, co? – komentuję żartobliwie.

– Ilekroć ostatnio wychodziłem z domu, zawsze pilnowałem, żeby pójść do bankomatu. Nigdy nie wiadomo, co człowieka spotka, a najgorzej jest nie mieć przy sobie gotówki. Żyjemy w gospodarce rynkowej i umieramy w gospodarce rynkowej, gdziekolwiek się ruszysz, trzeba dawać napiwki. Kiedy człowiek marnieje i idzie na dno, nie ma sensu oszczędzać na obsłudze. Pogrzeb opłaciłem dawno temu. Chce pan euro? Niech pan weźmie.

– Nigdzie się nie wybieram.

Odkładam obcą walutę do spodni.

Zakładamy się o to, w jakim czasie poszczególni dostawcy nas odszukają. Wygrywam, obstawiwszy trzydzieści osiem minut. Po dotarciu cheeseburgerów sąsiad daje mi sto dolarów „premię”. Wkrótce potem, jako druga, zjawia się pizza.

– Pierwszy raz dostarczam zamówienie pacjentowi, super – mówi chłopak. – Bylebym tylko czymś się od was nie zaraził.

Ostatni przybywa sprzedawca z delikatesów.

– Przepraszam, że tak długo panowie czekali, musiałem znaleźć kogoś na zastępstwo przy kasie.

Podaje torbę i butelkę szkockiej.

Sąsiad odlicza sto dolarów, płaci i proponuje łyka.

– Nie, dziękuję – odpowiada dostawca. – Muszę wracać do pracy. Ale jestem ciekaw, co panu dolega, że zamawia pan z łożka pudding ryżowy i szkocką.

– Umieram – mówi sąsiad – lecz stało się coś dziwnego. Dziś mało brakowało, żebym wykorkował, położyli na mnie krzyżyk, a ja przeżyłem i czuję się świetnie. Nie to, żebym miał żyć wiecznie, niemniej pogodziłem się ze śmiercią. – Milknie. – Umieram. Powtarzam to dziś częściej niż dotąd, ale dotarło do mnie, że śmierć jest za rogiem, jak nowy film w kinie.

– Wszyscy umieramy – mówi dostawca. – Prędzej czy później każdy musi odejść.

Roznosząca szpitalne posiłki przychodzi po moją tacę. Zostaje na kawałek pizzy i kilka frytek.

Zjadam ze smakiem cheeseburgera; jest w sam raz, trochę się ciągnie, trochę klei, przełamują go słone frytki i kwaśne, chrupiące pikle. Już dawno się nasyciłem, ale jeszcze sięgam po szklaneczkę z puddingiem ryżowym i nalewam szkockiej do szpitalnych niebieskich plastikowych kubków.

– Iść po lód? – pytam.

– Przydałaby się słomka – mówi sąsiad.



Siedzi z ustawionym wyżej wezglowiem łóżka i zadowolony zasysa szkocką.

– Chętnie zjadłbym kawałek czekolady – dodaje.

Podaję mu całą tabliczkę.

– Używajmy życia.

Czuję się wzdęty, odbijają mi się frytki i pikle, ale ciągnę stojak z kroplówkami, wynoszę śmieci na korytarz i upycham w pojemniku po drugiej stronie piętra. Pielęgniarki są zadowolone, że tak świetnie sobie radzę, dzielnie wlokąc spowolnioną stronę ciała, z elegancko zasłoniętym tyłkiem, bo oprócz fartucha z przodu mam drugi, zakrywający zadek.

Oglądamy w telewizji film kryminalny i jakoś między dziesiątą a jedenastą sąsiad robi się niespokojny, zaczyna się wiercić i dzwoni na pielęgniarkę po maaloX. Dowiadyuje się, że na jego karcie nie ma zlecenia na maaloX. Pyta, czy zaktualizowano jego dokumentację.

– Tak – zapewnia pielęgniarka.

– Dobrze – odpowiada sąsiad. – To, że wcześniej żyłem, nie znaczy, że teraz nie umieram – zwraca się do mnie.

Jakiś czas po północy budzi mnie okropny odgłos. Sąsiad z sali siedzi pochylony z wytrzeszczonymi oczami, jakby dopadł go senny koszmar. Dzwonię na pielęgniarkę.

– Szybko – wyduszam z siebie.

Przed nadejściem pomocy sąsiad pada bezwładnie na łóżko.

Najpierw przychodzi jedna pielęgniarka, a po chwili jest pełno ludzi i wjeżdża czerwony wózek reanimacyjny. Bieganina, krzyki, łamanie ampułek z lekami, wstrzykiwanie tego i tamtego. Scena brutalna i przerażająca, a jednak w pewnej chwili staje się jasne, że wszystkie te starania nie zakończą się pomyślnie. Dwa razy poddają sąsiada wstrząsowi, ciało niemal wyskakuje z łóżka. Kiedy ratownicy wciąż krążą jak sępy, wychodzę z sali. Powłócząc słabą nogą, spaceruję po korytarzu, a potem wracam do sali i wciskam się w kąt. O dwunastej czterdzieści osiem „koniec akcji”. Nakrywają go czystym prześcieradłem i wychodzą, zabierając magiczny wózek. Wszędzie leżą części od strzykawek, strzępy gazy, kawałki plastiku. Sąsiad leży pod prześcieradłem. Podchodzę bliżej. Nigdy nie widziałem osoby, która nie oddycha. Świeże prześcieradło układa się miękkimi fałdami. Przytrzymuję rękę, dotykam twarzy, nogi. Ciało jest nadal ciepłe, ludzkie, ale jakby puste, mięśnie nie trzymają się kości, wszelkie napięcie uszło. Zostawiają nas samych, dopiero po godzinie przychodzą dwaj strażnicy z noszami i go zabierają. W tym odejściu, zniknięciu jest coś bardzo dziwnego.

Powietrze nadal pachnie frytkami.

Muszę z kimś porozmawiać. Co się stanie, jeżeli zadzwonię do domu? Odpowie głosem Jane automatyczna sekretarka? Jeżeli się odezwę, zacznę prosić, będę długo paplał. Może odbierze psi wolontariusz. Jeżeli zaszczekam, może Tessie odpowie mi szczekaniem. Chcę do niej zadzwonić. Do niej i do Jane.

Już mam wybrać numer, kiedy przychodzi pielęgniarka z pigułką nasenną.

– To niełatwe – mówi.

Biorę pigułkę. Pielęgniarka nalewa mi wody do filiżanki, nie zauważając, że miesza ją ze szkocką. Nie odzywam się, łykam wszystko, pigułkę na sen i whisky.

Pielęgniarka siedzi przy mnie, aż zasnę.

Rano łóżko obok zostaje огоłoczone, podłoga umyta, ślady uprzątnięte.

Nikt ani słowem nie wspomina nocy.

Przed południem przychodzi człowiek ze szpitalnej obsługi z plastikową torbą, sprzęta szafkę, szufladę i pyta:

– Coś jeszcze?

– Niby co?

– Nie wie pan? Był pan tu całą noc z jego rzeczami, może coś pan wziął?

– Jest butelka szkockiej. Może pan zabrać – odpowiadam. – Ale jeżeli oskarża mnie pan o kradzież tylko dlatego, że zajmuję sąsiednie łóżko, to przekracza pan granice...

– Mógł mieć coś jeszcze: zegarek, sygnet...

– Nie mam pojęcia, co miał, a czego nie miał.

Typas zachowuje się jak szpitalny ochroniarz, mięśniak wysyłany, by potrząsnąć pacjentami.

– Dosyć tego!

Biorę telefon, wybieram 9, żeby uzyskać połączenie zewnętrzne, a potem 911.

Facet wyrywa mi słuchawkę i szybko ją odkłada.

– Daj pan spokój! – mówi.

Chwilę potem, kiedy wciąż jest w sali, dzwoni telefon. Odbieram. Oddzwania operatorka numeru alarmowego. Udzielam wyjaśnień. Operatorka informuje, że ponieważ odłożyłem słuchawkę, muszą wysłać kogoś, kto się upewni, że nie jestem przetrzymywany jako zakładnik i zmuszany do składania oświadczeń wbrew swojej woli. Mięśniak patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Pojeb! – mówi. – Jebany pojeb! – Znów na mnie patrzy, kręcąc głową. – Zero poczucia humoru.

Wychodzi.

Po godzinie przyjeżdżają policjanci. Sytuacja na szczęście nie była kryzysowa.

– I jak tam? Wszystko w porządku? – pytają.

– O tyle, o ile, zważywszy na okoliczności –

odpowiadam.

Jeden daje mi wizytówkę na wypadek, gdybym znów miał kłopoty.

– Zdziwiłby się pan – mówi – ile mamy telefonów ze szpitali, domów opieki, od ludzi uwięzionych w domach własnych dzieci. Znęcanie się nad starszymi ludźmi to poważny problem.

Nigdy nie myślałem o sobie jako człowieku starszym. Kilka minut temu byłem facetem w średnim wieku, aż tu raptem awansowałem na starszego.

Dzisiaj jest dzień powszedni. Uświadamiam to sobie, kiedy przychodzi pielęgniarka i zrywa dwie kartki z kalendarza.

– Czasem się spóźniamy – mówi.

Dzwonię na uczelnię i informuję, że muszę odwołać zajęcia z powodu śmierci w rodzinie.

Co za ulga! Przychodzi po mnie wolontariusz z oddziału fizjoterapii.

Na fizjoterapii dostaję chodzik – mogę go zatrzymać – zaopatrzony w zielone piłki tenisowe, żeby lepiej się suwał. Fizjoterapeutka mówi, że jej zadaniem jest przygotowanie mnie do opuszczenia szpitala.

– Zwykle po takim przypadku jak pański pacjent ma tydzień, dwa rehabilitacji, ale ponieważ sprawa pańskiego ubezpieczenia nie jest wyjaśniona, nie przyjmą pana, dlatego będzie pan musiał zadbać o nią samodzielnie w domu. Dobra wiadomość jest taka, że, ogólnie biorąc, pański przypadek jest stosunkowo lekki.

– Odczułem go jako ciężki.

– W skali jeden do dziesięciu oceniam go na dwa. Proszę mi wierzyć, łatwo się pan z tego wymigał.

Zachęca mnie do zabawy z guzikami i suwakami, co w pierwszej chwili wydaje się idiotyczne, ale kiedy próbuję, jestem zaskoczony, że moje palce zachowują się jak nie moje. Jeszcze raz staram się pozapinać guziki, aż terapeutka daje mi inny zestaw, większy, i tym razem mi się udaje.

– Świetnie – mówię. – I co teraz? Mam przy wszystkich koszulach doszyć guziki klauna?

– To też jakiś styl.

– Czy mi się polepszy? – pytam. – Czy tak już zostanie?

Kto by pomyślał, że tak trudno będzie się ubrać i wejść po czterech stopniach?

– Tylko spokojnie. To wymaga czasu – uspokaja terapeutka.

Po godzinie terapii jestem wyczerpany. Wracam do swojej sali, czuję się bardzo samotny. Mam otwarte zaproszenie na ćwiczenia. Za kilka godzin mogę tam, jeśli zechcę, wrócić i znowu poćwiczyć.

Czeka na mnie lunch. Pomidorowa z ryżem, taka sama, jaką jadłem w barze, czekając na wiadomość o Jane. Nie mogę opędzić się od myśli, że jeżeli zjem tę zupę, nigdy stąd nie wyjdę, wpadnę w niekończącą się pętlę pomidorowej i szpitali, więc zostawiam ją nietkniętą.

Do sali wchodzi młoda kobieta.

– Tata?

– To nie ta sala.

– Ta. Czekałam. Byłam tu, kiedy pan wyszedł. Przyszłam do kogoś w łóżku A, ale tam nikt nie leży.

– Przykro mi.

– Wyszedł ze szpitala?

Spostrzegam, że ma czerwony szal.

– Skąd pani ma ten szal?

– Od matki. Czemu pan pyta?

Dlaczego to na mnie wypadło?

– Umarł – mówię.

– Kiedy?

– Zeszłej nocy.

– Może mi pan o nim opowiedzieć? – prosi. – Nigdy się nie spotkaliśmy.

– Pani ojciec chciał, żebyś o czymś pani powiedziała. – Wyciągam kartki i próbuję odcyfrować zapiski, uzupełniając z pamięci opustki, kiedy nie nadążałem z notowaniem.

– Matka umarła dwa lata temu. W jej papierach znalazłam listy od ojca. Napisałam do niego, ale odpowiedział dopiero niedawno.

– Był samotny – mówię. – Cholernie interesujący. Złożona osobowość, człowiek z krwi i kości. Jestem pewien, że czuł się źle po tym, co się stało, tyle było komplikacji, że nigdy nie dowiemy się wszystkiego.

Do sali wchodzi ksiądz.

– Miałem telefon, że ktoś chce się wypowiadać.

– Ten człowiek zmarł – mówię. – Czy macie rabina?

Ksiądz wyjmuje z kieszeni jarmułkę i nakłada na głowę.

Czuję się zdezorientowany – jarmułka i koloratka?

W trakcie tego wszystkiego wchodzi lekarz.

– Jak się czujemy, panie... – sprawdza nazwisko na karcie – ...Silver?

– Czy my się znamy? – pytam.

– Nie – odpowiada.

Młoda kobieta przeprosza, nie chce przeszkadzać.

– To potrwa kilka minut – wyjaśniam. – Lekarze nigdy nie zabawiają długo.

– Pójdę po kawę i wrócę – zapowiada i wychodzi.

– Zostałem tylko ja – mówię do lekarza. – Tamten drugi zmarł.

– Czasem nie da się temu zapobiec – mówi lekarz. – Ale pan jest bezpieczny. Wkrótce wyjdzie pan do domu. Jakieś pytania?



– Czy mogę się pieprzyć?

Cisza aż dźwięczy.

– Martwię się, że ten „incydent” to efekt viagry mego brata.

– Jak to?

– Brałem jej sporo, no i martwię się, że walnął mi – że tak powiem – bezpiecznik.

– Nie sędzę, choć to ciekawa hipoteza. Zanotuję.

– Więc czy mogę się pieprzyć? Mogę brać viagrę? Albo lewitrę, albo co tam jeszcze nowego wymyślą?

– Ja bym odpoczął – radzi lekarz.

– Jak długo?

– Jeżeli dojdzie do erekcji samoistnie, bez wspomagania, wszystko w porządku, ale jeśli rozboli pana głowa albo źle się pan poczuje, proszę się wstrzymać od seksu. Jeżeli nie będzie erekcji, co jest bardzo prawdopodobne po takim epizodzie, to na jakiś czas, nie na zawsze, odstawiłbym „twarde” pigułki. Rzecz w tym, na jakie ryzyko jest pan gotów. Znam mężczyzn, którzy po czymś takim byli przerażeni i nawet nie myśleli o podjęciu współżycia. Inni próbują od razu tu, w szpitalu. Z racji „bezpiecznego” otoczenia, powiadają, ale tego pan ode mnie nie słyszał. Mówię to oczywiście nieoficjalnie.

– Oczywiście. Pytanie było hipotetyczne. Prawdę mówiąc, jestem przerażony, boję się nagle wszystkiego. Nie wyobrażam sobie ani ponownego zażycia tych

pigułek, ani tego, że jeszcze kiedyś zapragnę seksu.

– Pochwalam – mówi lekarz. – Żeby się wykazać, mężczyźni powinni uwolnić się od presji. Niech pan sobie odpuści.

– Tak naprawdę chciałbym wiedzieć, czy to było „to”, czy tylko ostrzeżenie – próbuję się dopytać. – Czeka mnie coś więcej? Mam się przygotować na najgorsze?

– Niczego nie obiecujemy – odpowiada lekarz, kręcąc głową. – Tętnice wyglądają dobrze, nie widać czającego się skrzepu, który tylko czeka, żeby się oderwać i poturlać przez żyły. Jest pan w dobrym stanie jak na stan po udarze. Spodziewam się, że w pełni wróci pan do zdrowia i za tydzień podejmie pracę. Muszę lecieć – rzuca na koniec, zerkając na zegarek.

Przychodzi dziewczyna z kawą.

– Jest pan zmęczony – mówi, patrząc ze współczuciem.

– Tak.

– Trudny okres – dorzuca, a ja nie wiem, czy z nutą sarkazmu.

– Tak.

Jak to możliwe, że odnalazła ojca w dzień po jego śmierci? Gdzie była wczoraj?

Myszę o Nathanielu i Ashley, zastanawiam się, na czym stanęliśmy. Czy się dziwią, że się nie odzywam? Czy wszystko u nich w porządku? Postanawiam do nich zadzwonić, nim zapomnę, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie są: jak nazywają się ich szkoły?

Zapewne powinienem się cieszyć, że w ogóle ich nie zapomniałem.

Po południu, bez żadnego ostrzeżenia, zostaję wypisany.

– Panie Silver, może pan wyjść – mówi pielęgniarka.

Czuję się nie tyle wypisany, ile wyrzucony.

– Miałem wylew, a wy odsyłacie mnie już do domu?

– Przeżył pan, więc niech się pan cieszy, że wraca do domu. Mamy tłum ciężiej chorych na oddziale ratunkowym, nie mają się gdzie podziąć. Na dole czeka taksówka.

Nie wiem, jakim sposobem ani dlaczego, ale mam w kieszeniach pełno gotówki – gotówki sąsiada z sali. Nie schowałem jej, ktoś to zrobił – umyślnie. Sięgam po portfel i znajduję pliki dwudziestek.

– Ma pan dziś szczęście – mówię do taksówkarza, dając mu dwie dwudziestki zamiast dwunastu dolarów.

– O nic nie będę pytał – odpowiada.

Psi opiekun już wyszedł, ale zostawił liścik:

„Mam nadzieję, że czuje się pan lepiej. Przyjdę koło 5 wyprowadzić Tessie. PS. Chętnie będę nadal pracować dla pana – zostawiam swój cennik”. Patrzę na kartkę udekorowaną śladami psich łap. Piętnaście dolarów za spacer, pięćdziesiąt dolarów za nocny dyżur – w miarę rozsądnie.

Zasypiam na kanapie. Pies i kot tulą się do mnie. Nie słyszę żadnych przywołań pagerem, nie ma kodu czerwonego ani niebieskiego, nie czuć środków dezynfekcyjnych, nie pachną gotowane brokuły, jest tylko cisza domu, szelest poczty wpadającej przez szparę, ciepło czuwającej Tessie. Wciąż jeszcze śpię, gdy o piątej po południu przychodzi opiekun. Okrywa mnie kocem, wychodzi z psem, zapowiada, że przyjdzie rano.

– Nie wiem, jak panu dziękować – mówię.

– Nie trzeba.

Kiwam głową, ciężą mi powieki.

– Do jutra – żegna się.

Robi się ciemno. Przenika mnie zimny strach. Zapalam wszystkie światła, włączam telewizor i zastanawiam się, co z kolacją. Idę do kuchni, zaglądam do lodówki, wracam na kanapę.

Do wypisu ze szpitala dołączona jest kartka z informacją o dostarczanych do domu „Posiłkach na kółkach”. Dzwonię, już nieczynne, więc zostawiam wiadomość.

Przypomniawszy sobie reklamę Domino's Pizza obiecującą dostawę w ciągu pół godziny, dzwonię, zamawiam pizzę i parę butelek coli.

Czekając na dostawę, odbieram telefon od „Posiłków na kółkach”.

– Otrzymaliśmy pańską wzruszającą wiadomość – mówi operatorka. – Wrócił pan właśnie ze szpitala, mieszka pan w domu brata, który jest „nieobecny”, cokolwiek się za tym kryje. Ale my nie działamy jak telewizja kablowa, nie włącza się nas i nie wyłącza. Żeby być objętym programem, trzeba przejść procedurę kwalifikacyjną.

Dośłuchując się szczególnej nuty w jej głosie, żałuję, że w ogóle tam zadzwoniłem. Drę ulotkę „Posiłków na kółkach” na tysiąc strzępków.

– Oddzwoniłam do pana – ciągnie operatorka – bo jeśli nie ma pan w domu nic do zjedzenia, mogę podrzucić małe co nieco.

– Dam sobie radę, dziękuję – odpowiadam, żeby zakończyć rozmowę.

– Na pewno?

– Tak.

– Wie pan, ludzie z zasobnym portfelem mają inne możliwości. Wiele firm dietetycznych oferuje dostawy do domu: The Zone, Home Bistro, Smart Food, Carb Conscious. Skoro dzisiaj nic panu nie potrzeba, to może jutro ktoś wpadnie i pomoże panu wypełnić zgłoszenie?

Dzwonek u drzwi – pizza!

Rozłączam się z rozgadaną kobietą i idę otworzyć, opierając się na chodziku. Tańczę dziwny taniec z Tessie, którą interesują piłki tenisowe, i rywalizujemy, kto z nas będzie pierwszy pod drzwiami.

Pizza smakuje jak słona tektura pokryta stopioną gumą. Zjadam wszystko.

Pierwszego wieczoru dzwoni psychiatra George'a.

– Przepraszam, że się nie kontaktowałem – mówi.

– Ja też. – Nabieram tchu, gotów opowiedzieć mu o szpitalu, o pacjencie, który zmarł, o wszystkim, ale się powstrzymuję. Zapala się lampka ostrzegawcza. – Miałem mały epizod.

– Mam nadzieję, że przyjemny – odpowiada.

– Nie był to ślub.

– Liczyłem na to, że porozmawiamy o pańskiej rodzinie.

– Byłem w szpitalu.

Wbrew pragnieniu, by o tym nie mówić, zdanie to wymyka mi się samo, jak zwierzątko, w chwili gdy nabieram tchu, więc połykam słowa.

– Słucham? – pyta, bo nie dosłyszał.

Milczę.

– Jak pan sobie przypomina – ciągnie psychiatra – rozmawialiśmy o potrzebie uzupełnienia historii

rodziny. Mam kwestionariusze, które chciałbym przesłać drogą elektroniczną. Zawierają pytania o członków rodziny, miejsce urodzenia, warunki życia, choroby, pobyty w szpitalu, w więzieniu, śmierć.

– Dobrze.

– Zastanawiał się pan nad odwiedzeniem kogoś ze starszych krewnych? Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej.

Świadomość śmiertelności pobudza do życia.

– Ja też chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej – zapewniam. – Proszę przesłać te kwestionariusze, zajmę się nimi.

– Cudownie. Kiedy doprowadzimy ten proces do końca, pomyślimy o drugim etapie, o sprowadzeniu pana tutaj na dzień lub dwa, ale na razie na to za wcześnie.

– Czy wiadomo coś więcej o jego sytuacji prawnej?

– To nie moja działka. Może wie coś koordynator prowadzący sprawę.

Rozmowa z lekarzem jest na tyle irytująca, że dziwnie mnie pobudza. Myślę o matce, od tygodni jej nie odwiedziłem.

Dzwonię do pokoju pielęgniarek w jej oddziale. Pytam, czy mógłbym z nią rozmawiać.

– W tej chwili jest niedostępna – odpowiada pielęgniarzka.

– Jak to „niedostępna”? Nie powinna być w swoim pokoju przed ciszą nocną?

- Jest na zajęciach tanecznych.
- Nie wierzę własnym uszom.
- Jest wpół do dziesiątej, a matka jest przykuta do łóżka.
- Już nie.
- Naprawdę? – reaguję, szczerze zaskoczony.
- Tak. Złożyło się na to kilka czynników. Mamy nową terapeutkę, którą pana matka bardzo polubiła, więc posadziliśmy starszą panią na wózku i przewieźliśmy na salę. Jest też z nami młody lekarz prowadzący badania naukowe. Wybrano pańską matkę, by wzięła w nich udział. Dajemy jej nowy koktajl i czuje się o wiele lepiej, choć oczywiście nie fruwa.
- Chodzi o własnych siłach?
- Czołga się – wyjaśnia z przyjemnością pielęgniarka.
- Czołga się po podłodze, wszędzie jej pełno, jest zachwycona. Musimy uważać, żeby się o nią nie potknąć... na kolana i łokcie nałożyłam jej hokejowe ochraniacze mojego syna. Przesłać panu zdjęcie?

W mejlu przesyła mi zdjęcie mamy na podłodze, rzeczywiście przemierzającej korytarz stylem kraba.

Dzwonię do Lillian, młodszej siostry ojca. Niechętnie się zgadza, żebym ją odwiedził.

– Coś ci przywieźć? – pytam.

– Barszcz z tej restauracji na Drugiej Alei.



Nie mówię jej, że do Drugiej Alei mam godzinę i piętnaście minut jazdy.

– Ile tego barszczu?

– Dużą porcję. A właściwie dwie, jedną zamrozę.

– Coś jeszcze?

– Skoro tam jedziesz, to weź jeszcze coś, co dobrze wygląda.

Oddzwania matka.

– Recepcjonistka pomogła mi zadzwonić – mówi. – Podobno mnie szukałeś.

– Chciałem się z tobą przywitać. Powiedziała, że jesteś na zajęciach tanecznych. Co u ciebie?

– Świetnie, odzyskuję zdolność ruchu.

– Jadę odwiedzić Lillian – anonsuję, lecz nim mogę cokolwiek wyjaśnić, przerywa mi.

– Źle się czuje? – pyta z troską.

– Chcę ją tylko odwiedzić. Zadać kilka pytań.

– Hm, no tak, też bym chciała zadać jej kilka pytań – powraca do swojego zwykłego zaczepnego tonu. – Gdzie są moje perłowe kolczyki? I bransoletka, którą dała mi twoja babka? Lillian pożyczyła to wszystko na przyjęcie i nie oddała, uznając, że jest jej.

– Mogę ją spytać o biżuterię.

– Nie pytaj – zabrania matka. – Zrób to samo co ona, zajrzyj do kasetki z biżuterią i weź. Powiesz jej o tym później, po powrocie do domu.

– Zobaczę, co się okaże.

– A kiedy będziesz szukał, sprawdź, czy ma tam taki mały naszyjnik z rubinem pośrodku i diamentkami. Nie pamiętam, czy go zgubiłam, czy ojciec go zastawił, żeby pójść na wyścigi.

– Tata robił takie rzeczy?

– Wszyscy mężczyźni robią takie rzeczy.

Ponieważ po udarze boję się prowadzić auto, dzwonię do kierowcy, który zawiózł nas na pogrzeb Jane, i pytam, czy zrobiłby kurs do Lillian, zaczekał, a potem odwiózł mnie do domu. Informuje, że to „usługa na czas”, siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę, minimum cztery godziny. Biorę go. Podjeżdża po mnie punktualnie. Skręcamy przy 2nd Avenue Deli, koszernych delikatesach, które już wyprowadziły się z Drugiej Alei, i kierujemy się do Lillian na Long Island. Żeby uniknąć rozmowy na temat mojej sytuacji, każę kierowcy zaparkować kilka domów dalej.

Idę powoli podjazdem Lillian i pamięć podsuwa mi obrazki z letnich urodzinowych przyjęć, fajerwerków i hot dogów na Czwarty Lipca. Domy przy jej ulicy, kiedyś jednakowe, ceglane, dwupoziomowe, wyróżniające się tylko rocznikami pontiaców lub buicków stojących na

podjazdach, zmieniły się w skundlone wersje samych siebie. Niektóre mają dobudówki i po przeróbkach wyglądają, jakby wyrosły im guzy wielkości pokoju. Inne zrównano z ziemią, by zrobić miejsce dla postmodernistycznych potworów na sterydach. Ulubione okna wykuszowe, dzięki którym domy z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych miały w sobie coś z okrągłych akwariów, zastąpiły dwa razy wyższe od normalnych salony i wspinałe hole. Wykładam zakupy spożywcze na stół kuchenny ciotki. Zastanawiam się, czy ta stara, niemal krusząca się cerata leży tu od trzydziestu lat. Lillian chowa rzeczy jak biegająca myszka. Jest drobniutka, ma z metr dwadzieścia wzrostu i szybko się kurczy.

– Co się stało? – pyta. – Cały jesteś poobijany.

– Wypadek samochodowy – odpowiadam. Nie mogę się zdobyć na to, by powiedzieć jej o udarze, bo czuję się po nim staro. – Piękne kwiaty. – Wskazuję wazon na stole.

– Mam je od lat. Są z plastiku. Raz na tydzień myję je płynem Ivory. To lepiej weź. – Oddaje mi pojemnik z kaszą. – Nie będę tego jadła. I to też – dodaje. – Nie mogę jeść maku, żadnych nasion, orzechów, nic drobnego, nawet prażonej kukurydzy w kinie ani pistacji. Mam kłopoty gastryczne.

Mówi to takim tonem, że mam ochotę rzucić coś w rodzaju „to już w ogóle nie ma po co żyć”, ale po tym,

co mnie niedawno spotkało, raczej nie bardzo mi wypada żartować z kruchości życia.

– Twój brat powinien się wstydzić.

– Tak – przyznaję.

– Wstydzi się?

– Nie. Raczej nie.

Siadamy przy stole w jadalni. Podaje mi filiżankę herbaty. Lipton jest mocny i niezwykle smaczny.

– Słodzisz cukrem czy dać ci splender?

– Poproszę cukier.

Cukier przeleżał w cukiernicy tak długo, że jest grudkowaty, dotykało go wiele mokrych łyżeczek, to cukier odświętny, zainfekowany – słowem, stary. Lillian wychodzi z kuchni z zabytkowym przedmiotem – niebieską metalową puszką na ciastka. Gdybym nie znał prawdy, przysięgłbym, że służy rodzinie od pokoleń – że wychodząc z Egiptu, Żydzi zabrali ze sobą puszkę Danish Butter Cookies. Puszki, które według mojej wiedzy wcale nie zawierały duńskich maślanych ciasteczek, ale wędrując od domu do domu, w końcu zawsze trafiały do Lillian. W każdej rodzinie albo klanie jest strażnik puszkę, którego zadaniem jest drażnić nerwy zawołaniem: „Nie zapomnij mojej puszkę” albo „Jak mogłeś zapomnieć moją puszkę? Więcej nie dostaniesz. Nie piekę bez puszkę. Nie ma sensu, ciastka się zepsują”.

Ciotka Lillian długimi sękatymi palcami obraca metalową pokrywkę; zawartość stuka uwieczniona

w środku. Dłonie Lillian są upstrzone ze starości lamparcimi cętkami. Jej upięte, cienkie, ufarbowane na nienaturalnie rudą kolor włosy przypominają zardzewiały druciak.

Wreszcie otwiera puszkę; zostało z dziesięć ciastek.

– Nie piekę tyle co kiedyś – usprawiedliwia się.

Biorę jedno, odgryzam kawałek: jest twarde jak kamień, jak żydowskie biscotti.

– Dobrze – mówię z pełnymi ustami.

– Ostatnim razem widziałam cię na pogrzebie ojca.

Maczam ciastko w herbacie, drugi kęs jest lepszy. Kończę ciastko i sięgam po następne, ale Lillian łapie puszkę i zakrywa ją denkiem.

– Muszę je wydzielać – mówi. – Nie piekę często. Może nawet te będą ostatnie.

– Opowiedz mi o ojcu – proszę.

Ledwie wypowiedziałem słowo „ojciec”, z kolejnym wdechem wraca do mnie jego obraz i zapach, pięć garniturów wiszących w szafie po jego śmierci i aromatyczna oleista woń toniku. Spryskiwał nim dłonie, którymi przeciągał po włosach, zanim je zaczesał. Matka narzekała, że na poszewkach poduszek, kanapie, krzesłach w salonie, gdziekolwiek oprze głowę, zostawia „tłuste” plamy.

– Urzędnik średniego szczebla – prycha ciotka Lillian.

– Nigdy nie zaszedł wyżej. Zawsze miał nad sobą kogoś, kogo nienawidził, i kogoś pod sobą, na kim się wyżywał.

Sprzedawał ubezpieczenia. Pracował na rzecz kongregacji. Później zajął się inwestycjami. Twój ojciec wybuchał, jeśli ktoś powątpiewał w skuteczność jego poczynań. Zawsze stawiał na swoim, bo wszyscy się go bali.

Kiwam głową. Jej słowa pasują do moich mglistych wspomnień.

– Mój mąż nie lubił naszej rodziny – ciągnie ciotka. – Uważał, że zbyt łatwo ferują wyroki i są niedoukami. Miał rację. Twój ojciec kłócił się z Mortym i choćby nie wiem jak się mylił, nie dawał za wygraną, aż Morty skapitulował.

Potrząsam głową.

– A potem Morty odszedł. Nigdy tego nie mówiłam, ale w dużym stopniu winię o to twojego ojca – dorzuca z odrazą, prawie pluje, jakby wyjawiała głęboko skrywany sekret. – Twój ojciec taki właśnie był, zawsze musiał być w centrum uwagi. Jeśli jej na sobie nie skupił, zachowywał się jak dziecko. Dlatego ty i twój brat się nie dogadywaliście, oni byli tacy sami. A ty – grozi mi długim palcem – stałeś jak mały debil.

Milczę – jak sięgam pamięcią, nikt nigdy nie nazwał mnie „małym debilem”.

– Czy zdarzyło się coś szczególnego, czy był jakiś powód, że przestaliśmy się spotykać z twoją rodziną? – pytam, notując na marginesie notesu wzmiankę o moim debilizmie.

- Pokłóciłam się z twoją matką.
- Z moją matką?
- Wiem, co sobie pomyślisz. Przecież była łatwa we współżyciu. Ale nabrała złych nawyków od twojego ojca.
- O co wam poszło?
- O macowe kulki.

Podnoszę wzrok, upewniając się, czy nie żartuje. Lillian patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Czy to nie oczywiste?”.

– Wojna o macowe kulki – mówi. – Czy robi się je w zupie, czy w wodzie? Jaka jest idealna konsystencja, puszysta czy twardawa?

Patrzę na nią, czekając na ciąg dalszy – wyjaśnienie.

– Twoja matka uważała, że ma rację we wszystkim, co powie, bo to znaczyło również, że jest lepszą Żydówką. Z tego powodu i z powodu twojego ojca przestałam się kontaktować. Ale choć z tobą nie rozmawiamy, to między sobą owszem.

Już mam zapytać, kto z rodziny jeszcze żyje, ale ciotka nie dopuszcza mnie do głosu.

– Do tego doszedł ten incydent z wami, dziećmiakami, w pokoju zabaw. – Znów patrzy na mnie wymownie. – Udajesz głupiego czy naprawdę jesteś głupi?

Nie wiem, o czym mówi, więc milczę.

– Twój brat wykonał operację na moim synu – podsuwa, jakby dla odświeżenia mi pamięci.

– Jaką operację?

– Ponownie go obrzezał, używając cyrkla, kątomierza i kleju Elmera.

Coś sobie mgliście przypominam. Było jakieś żydowskie święto, wszystkie dzieci bawiły się na dole. Wspomnienie żarzy mi się w głowie jak trzydziestowatowa żarówka – siedzimy na dywanie z kuzynami, gramy z zapalem w monopoli, kupując i sprzedając posiadłości i hotele, a w tym czasie mój brat i kuzyn Jason robią coś dziwnego przy biurku ojca. Pomyślałem wtedy: oto cały George – dla własnej przyjemności zmusza kogoś do zrobienia czegoś zakazanego. Pokój do rekreacji był po części pokojem zabaw, po części gabinetem, wyściełanym białym włochatym dywanem i oddzielnymi szafkami na akta, dlatego nie widziałem, co wyczynia brat, przypuszczałem tylko, że coś dziwnego.

– Jak Jason to przeżył?

– Fizyczne uszkodzenie było niewielkie, małe rozcięcie, sporo krwi, wizyta u chirurga plastycznego, ale teraz Jason jest gejem.

– Jest gejem przez George'a?

– Jakiś powód musiał być, nie myślisz chyba, że człowiek rodzi się gejem? To skutek jakiegoś zdarzenia, traumy.

– Ciociu Lillian, wielu gejów zapewniłoby, że tacy się urodzili, a niektóre teorie dotyczące poziomu hormonów w okresie życia płodowego... – ciągnę, zastanawiając się,



skąd to wiem, widocznie czytałem jakiś artykuł. Moje słowa nie mają najmniejszego wpływu na opinię Lillian. – Co na ten incydent powiedzieli moi rodzice?

– Nie wspomniałam im o tym. Jason został tak upokorzony, że wymusił na mnie milczenie. A George by nie przestał, gdyby ktoś nie zszedł na dół rzucić okiem na dzieci.

– Kto zszedł na dół?

– Ciotka Florence.

– I co zobaczyła?

– Nic nie zobaczyła, ale George się przestraszył i przestał.

– Co powiedział twój mąż?

– Nie było go, co tylko pogorszyło sprawę.

– A gdzie był?

– Dobre pytanie. – Lillian milknie. – Nie ma usprawiedliwienia.

– Żadnego – mówię.

– Ostatnim razem widziałam cię na pogrzebie twojego ojca – powtarza wcześniejsze zdanie.

– Czy możesz mi w czymś pomóc? – Wyciągam drzewo rodowe. – Trzeba je uzupełnić.

– Uzupełnić drzewo rodowe... A zapłacisz mi za mój czas? Nie powinnam dostać jakiejś rekompensaty?

– Przywiozłem ci barszcz – przypominam.

Macha lekceważąco ręką i przysuwa bliżej krzesło, żeby widzieć formularze i notes.

– Ile masz lat, ciociu Lillian?

– Jestem starsza, niż się wydaje. Mam osiemdziesiąt osiem, ale mówią mi, że wyglądam na siedemdziesiąt parę.

Razem uzupełniamy drzewo rodowe. W pewnym momencie ciotka przynosi namacalny dowód – kilka starych albumów z rodzinnymi zdjęciami – i przewracając strona po stronie, zdradza sekrety.

– Twój ojciec miał problemy z męskością.

– Myśli ciocia, że ukrywał swoje preferencje?

Lillian wzrusza ramionami, krzywi się.

– Któż to wie, kim jest, a kim nie jest każdy z nas.

– Czy w rodzinie byli jacyś kryminaliści?

– Pewnie. Niejeden. Wujek Bernie zginął od ciosu nożem przy grze w karty.

– Kto go zabił?

– Nikt nie chciał powiedzieć.

– A co się stało z ciocią Beą?

– Nie żyje. Miała troje dzieci, żadne nie przeżyło dłużej niż cztery lata. Mówili, że to śmierć łóżeczkowa, ale twoja matka i ja nie byłyśmy pewne, więc nigdy was z nią nie zostawiałyśmy.

Trudno mi w to uwierzyć. Żydzi nie zabijają dzieci, najwyżej doprowadzają je do szaleństwa.

– Nieszczęścia chodzą po rodzinie.

– Co ciocia ma na myśli?

– Temperament twojego ojca. Jesteś taki naiwny?

Myślałeś, że matka miała operację nosa, a to twój ojciec ją uderzył.

Wiem, do czego pije. Ma rację – matka miała złamany nos, a ja myślałem, że to skutek jakiegoś wypadku.

– Dlaczego?

– Kto wie? Czasami wybuchał.

– Nie tego się spodziewałem.

– Rodzice chronili ciebie i brata. Kolejne ziółko to wujek Louie, nic dobrego, wciąż robił jakieś geszefty. A jego żona? Co ona sobie myślała, kręcąc z księgowym z bożnicy?

– Tym z guzami... jak pęcherze czy brodawki? – pytam, znów mgliście go sobie przypominając.

– To były tłuszczaki. Bardzo miły człowiek, miłszy niż Louie, ale to go nie usprawiedliwia. Był żonaty. Żonę, niemowę i kuternogę, wygrał w pokera.

Parskam śmiechem.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego. Kochał ją, dobrze się nią opiekował, mieli czwórkę dzieci.

– Pamiętasz, jak obchodziliśmy razem Wielkie Święta – Rosz ha-Szana i Jom Kipur, a potem nagle przestaliśmy? – pytam.

– Tak. Oczywiście. Wszystko przez te macowe kulki. – Lillian milknie, patrząc na mnie z żalem, frustracją, pogardą. – Czemu nie weźmiesz odpowiedzialności za to, co zrobiła twoja rodzina? Miałam nadzieję, że przyjeżdżasz mnie przeprosić.

– Przepraszam.

– Za co?

– Za wszystko, co się zdarzyło i mogło cię urazić. Przepraszam. Bardzo przepraszam.

– Nie jestem pewna, czy szczerze.

– Może nie całkiem rozumiem, co się stało, ale rozumiem, że czujesz się urażona, i bardzo cię za to przepraszam. Przyjechałem z otwartym sercem. Nie mogę przeprosić za coś, czego nie zrobiłem.

– Przyjechałeś, bo nie miałaś dokąd pójść. Gdyby wszystko szło dobrze, nie usłyszelibyśmy od ciebie ani słowa.

Czuję się nieszczególnie. Jej oskarżenia, napięcie, cały cholernie długi dzień połączony z jazdą do śródmieścia po zupę i dojazdem tutaj, zmęczenie, rewelacje rodzinne – zbyt wiele tego.

– Ciociu Lillian, muszę już iść, ale jeżeli sobie życzysz, znów przyjadę.

– To nie jest konieczne – mówi Lillian. – Pozdrów matkę. Gdzie ona jest? – pyta, jakby zapomniała.

– W domu opieki.

– W jakim jest stanie?

– Trochę jej się poprawiło.

– Powiedz jej, że przykro mi z powodu kulek. Czy gotuje się je w wodzie, czy w zupie, na jedno wychodzi. Jakież to, u licha, ma znaczenie?!

– Dziękuję. Przekażę jej. A tak przy okazji, prosiła,

żebym spytał o kolczyki...

Lillian unosi ręce.

– Znowu te głupoty. A więc o to od początku chodziło? Przejechałeś kawał drogi, żeby naprawić stosunki, przywiozłeś zupeę, a teraz, kiedy się żegnamy, przystępujesz do ataku? Powinnam się była domyślić...

Wybiega z pokoju.

– Ciociu Lillian! – wołam za nią. – Nie chciałem ci dokuczyć, spytałem, bo matka mnie o to prosiła.

Wraca ze starą kasetką na biżuterię.

– A ty robisz wszystko, o co matka cię poprosi.

Stawia kasetkę na stole, otwiera, wyjmuje perłowe kolczyki, bransoletę i naszyjnik z rubinem.

– Zastanawiała się, czy to zginęło.

– Twój ojciec mi go sprzedał. Wyobrażasz sobie? Sprzedał mi biżuterię żony. Chciał, żeby została w rodzinie.

Lillian daje mi to, czego szukała matka, i jeszcze więcej.

– Niektóre precjoza twoja matka mi dała, inne prosiła przechować, ale ja tego nie chcę, nie chcę mieć tego na sumieniu, nie chcę mieć z tym nic wspólnego, nigdy nie chciałam.

Chwyta moją głowę obiema dłońmi, przyciąga do siebie, całuje gorąco.

– Nadal jesteś małym debilem – mówi i popycha mnie do drzwi.

Nate, z którym rozmawiam kilka dni później, pyta:

– Przyjedziesz na Zimowy Dzień Sportu?

– Mam przyjechać?

Zaczynam się czuć tak, jakbym wracał do normalności, choć może nie całkiem do normalności, tylko raczej do tego, co ją zastępowało przez minione tygodnie. Ani trochę nie czuję się sobą; prawdę mówiąc, nie pamiętam, jak się kiedyś czułem, ani nie wiem, co znaczy „być sobą”.

– Rodzice zawsze przyjeżdżali na Dzień Sportu – mówi Nate.

– Kiedy to wypada?

– W ten weekend. Zaczyna się w sobotę rano i kończy następnego dnia po kościele.

– Żydzi chodzą do kościoła?

– To kościół ekumeniczny.

– Słowo „kościół” znaczy, że jest chrześcijański.

– Mnie się podoba.

– Mogę przywieźć psa? – pytam.

– Nie, ktoś musi z nim zostać.

– Ashley też przyjedzie?

– Nie zostawili ci jakiegoś podręcznika albo wskazówek?

– Nic. Dotrę na wycucie. Potrzebuję tylko parametrów. Coś ci przywieźć, chcesz coś z domu?

- Na przykład?
- Ulubiony sweter, egzemplarz *Buszującego w zbożu*?
- Nie – odpowiada, jakby samo pytanie było stresujące.
- Mam wszystko, czego potrzebuję.

Weekend na świeżym powietrzu, w to mi graj – okazja, żeby się stąd wyrwać. Nie wiem jak, ale wsiąknęłam zupełnie w świat George’a, martwię się, że jeżeli na chwilę go opuszczę, zawali się nawet to, co zostało.

Rozmawiając z Nate’em, sprawdzam w Google’u jego szkołę; jest o wiele bardziej prestiżowa, niż myślałam. Wśród absolwentów jest kilku byłych członków gabinetu i personelu Nixona.

- Czy znasz w szkole kogoś o nazwisku Shultz?
- Jak ten Schulz od *Fistaszków*?
- Nie. A Blounta? Albo Denta?
- Kto to jest?
- To nazwiska z przypisów w książkach historycznych.
- Nikogo takiego nie pamiętam – mówi Nate.
- Nie ma sprawy. Do zobaczenia w sobotę – żegnam się i rozłączam.

Na stronie internetowej szkoły jest lista lokalnych miejsc noclegowych; zaczynam wydzwaniać, ale wszystkie

hotele i pensjonaty są zarezerwowane. Kiedy rozmawiam z recepcjonistką w Wind Song, zaczynam wyobrażać sobie nocleg w aucie. Nie szkodzi, wezmę poduszki, śpiwór, dodatkowe koce, trochę nastrojowej muzyki i znajdę bezpieczne miejsce na kampusie.

– Czy mogłaby mi pani pomóc? – proszę błagalnym tonem. – Nie mogę dzieciakowi sprawić zawodu, ma tylko mnie, zmarła mu matka, ojciec jest pod kluczem. Czy ma pani jakiś pomysł?

– Pokój córki – odpowiada kobieta. – Zwykle go nie wynajmujemy, ale jest wolne łóżko, może pan skorzystać, sto pięćdziesiąt za noc, razem ze śniadaniem, wspólna łazienka.

– Idealnie – odpowiadam.

– Chwileczkę... – Milknie, a w tle słyszę głosy. – Pomyliłam się, sto osiemdziesiąt za noc. Jak mówiłam, zwykle go nie wynajmujemy, a mąż mi przypomina, że ostatnim razem wynajęliśmy go za sto osiemdziesiąt. Jest nowy materac.

– Mogę podać numer karty kredytowej? – pytam, obawiając się, że jeśli nie zadziałam szybko, cena znowu wzrośnie.

Żeby jak najlepiej wpaść w roli zastępczego rodzica, pożyczam krawat, buty i sportową marynarkę z szafy George'a i wyruszam w sobotę o szóstej rano.



Dowleczenie się do granicy Massachusetts zajmuje dwie godziny i dwadzieścia minut. W bramie akademii rodzice w mercedesach combi i małych wozach sportowych kierowani są do głównego budynku na kawę i ciastka. Młodzi ludzie o imionach takich jak Scooter czy Biff witają rodziców, szorstko ściskają ojców w sztruksach i grzecznie cmokają mamusie w wełnianych kostiumach. Wszyscy mają podobne pociągłe twarze, bardzo amerykańskie, nieprzeniknione. Jest czterech Azjatów, trzech czarnoskórych i to tyle, jeśli chodzi o różnicowanie kulturowe.

Topografia terenu przypomina starą angielską wieś. W porównaniu ze szkołą Nate'a college, w którym uczę, wygląda jak ukryta w jednej z pięciu miejskich gmin zawodówka, gdzie zdobywa się umiejętność wymiany oleju albo naprawy telewizora. Główny budynek to imponujący pałac z wielkimi olejnymi portretami ojców założycieli i dużymi aranżacjami kwiatowymi na zabytkowych drewnianych szafkach. Ciemna kolorystyka – dużo boazerii, tajemniczych korytarzyków, obitych skórą sof i krzeseł. Na długich stołach nakrytych wykrochmalonymi białymi obrusami przygotowano bogaty poczęstunek. Nate odnajduje mnie w kolejce po kawę; czuję ulgę na widok znajomej twarzy.

– Duńskie ciastka są naprawdę dobre, spróbuj –

zachęcam, nie bardzo wiedząc, czy mam go uściskać. Uznaję, że nie.

– Próbowaliśmy – mówi. – Pieką je w każdy weekend. Jeden z kucharzy jest cukiernikiem.

– Jak trafiłeś do tej szkoły? – pytam szeptem.

– Chcesz wiedzieć, co taki frajer jak ja robi w takim miejscu? – Milknie. – Dobrze sobie radzę z testami, a tata był kimś. Prezes zarządu sieci telewizyjnej to bardzo ważny absolwent.

– Masz tu przyjaciół?

– Tak. Jestem tu bardziej szczęśliwy niż w domu.

– Ash jest w podobnej szkole? – pytam, odgryzając kęs bułeczki cynamonowej.

– Jej szkoła jest inna. Dziewczęta mieszkają w małych domkach, nie w dormitoriach. Jest mniej rywalizacji, przytulniej.

– Wasza mama świetnie się spisała, znajdując wam odpowiednie szkoły. – Wsuwam do kieszeni sportowej kurtki owiniętego w płócienną serwetkę bajgla z serem i na dnie coś wyczuwam. – Od Tessie – mówię i podaję Nate'owi sfatygowany gryzak ze skóry.

Uśmiecha się. Wychodzimy z budynku. Wskazuje ręką bibliotekę.

– Mamy około półtora miliona woluminów i międzybiblioteczny system wypożyczeń.

– To lepiej niż w wielu małych college'ach i tam, gdzie uczę – mówię.

– Zaczekaj, aż zobaczysz basen.

Przed halą sportową człowiek ubrany jak trefniś rozdaje zwoje pergaminu przewiązane wstążką niczym w starożytnym Rzymie.

– Dzisiejszy program – wyjaśnia Nate. – Kiedyś zaczynało od uroczystego wystrzelenia pierwszej strzały, a teraz od wystrzału z działa dyrektora szkoły, który pochodzi ze Szkocji.

W chwilę później rozlega się melodyjne zawrodo i wzgórze naprzeciwko przecina powoli dwóch dudziarzy. Za nimi kroczy dyrektor w kraciastym kilcie, ruchami buławy narzucając rytm.

– Nie ma nic pod spodem, taka tradycja – szepce Nate.

– Chce, żeby wszyscy wiedzieli, że ma zwis jak koń.

Na trawiastym pagórku strzela działo. Uchylam się odruchowo.

– Zawody uważam za otwarte – ogłasza dyrektor.

– Uprawiasz jakiś sport? – pytam Nate'a, bo raptem przyszło mi to na myśl.

– Jasne – odpowiada – hokej na lodzie, lacrosse, tenis, jestem w międzyszkolnej drużynie szermierczej i pływam. Startujemy dziś w obu tych konkurencjach. Biegam też przez płotki i ćwiczę na koniu gimnastycznym. Zapisalem się również na wspinaczkę skałkową „ojciec z synem”.

– Nie wiedziałem, że lubisz sport – mówię, bo pamiętam, jak na okrągło grał wyłącznie w gry wideo.

W hali trenerzy przypominają, że „głównym celem zawodów jest prezentacja programu szkoły, a nie rywalizacja sportowa. Staramy się budować zespoły, w których chłopcy zadzierzną więzy przyjaźni”. Trenerzy rzucają hasła w rodzaju „środowisko sukcesu”, „nagroda dla każdego, medale dla wszystkich uczestników”. Ale pomimo tych przemów wszyscy śledzą, kto wygrywa, a kto przegrywa.

– Który jest pana? – pyta jeden z rodziców, wskazując głową gromadkę chłopców.

– Jestem z Nate’em – odpowiadam i wyczuwam, że gościa to – w teorii niepostrzeżenie – odrzuca.

– Oczywiście – mówi i milknie na dobre; wszyscy wiedzą, co się stało.

Patrzę na Nate’a – jest wysoki, rozczochrany. Chłopcy są różnego wzrostu i tuszy, mniej lub bardziej przyszczaci. Nate należy do przystojniejszych, ma w sobie coś atrakcyjnego, czego innym brakuje. W sporcie nie jest ani najlepszy, ani najgorszy, ale widać, że wszyscy chcą go mieć w swojej drużynie. Można na nim polegać, jest solidny, koleżeński, nie popisuje się kosztem zespołu. Serce rośnie mi z dumy jak nigdy przedtem, czuję przyjemne dławienie, patrząc, jak pokonuje basen motylkiem. Podczas pokazów szermierczych aż się kulę, kiedy rywal Nate’a robi wypad, „dźga” i jest po „akcji”.

Podczas lunchu do naszego stolika podchodzą chłopcy z matkami.

– Gdybyś nie miał gdzie pojechać na ferie, zawsze możesz wybrać się do nas na narty – mówi jedna.

– Jak się trzymasz? – pyta druga, ściskając go za ramię.

– Dobrze – odpowiada Nate.

– Jesteś bardzo dzielny.

Jem drugie ciastko, z łakomstwa. Spośród czterech różnych do wyboru dwa mnie skusiły. Nate opowiada o wspinaczce „ojciec i syn”.

– Zacznie się zaraz po lunchu – zapowiada radośnie.

– Tradycja – komentuję z sarkazmem, odsuwając talerzyk. Za późno, pochłonałem już sernik i pół porcji tortu czekoladowego.

– Tak – mówi Nate. – W hali jest sztuczna dwupiętrowa ścianka. Ojcowie nie muszą wspinać się na samą górę, ale niektórzy, choć ich to przerasta, robią więcej, niż się po nich oczekuje.

– Ja taki nie jestem – uprzedzam. – Mogę stanąć pod ścianką i cię obserwować.

– Nic z tego. Nie można się wymigać.

– Niedawno miałem mały udar i powinienem się oszczędzać.

Nate patrzy na mnie zaniepokojony, tracąc pewność siebie.

– Nic mi nie jest – zapewniam. – Muszę tylko zachować ostrożność.

– Właściwie wystarczy utrzymać własny ciężar. Dasz radę? Jest uprząż i zapięcie, nie można spaść.

– Żaden ze mnie sportowiec.

– Ci wszyscy tutaj też nie, tylko się chwala.

Sytuacja robi się patowa – paraliżuje mnie lęk przed wyczynami sportowymi, koniecznością popisywania się przed dziećmiakami i ich rodzicami. Co gorsza, może mi się nie udać.

– Tata też by tego nie zrobił – mówi Nate z irytacją.

– Dlaczego? – pytam zaskoczony.

– Bez widomego powodu. Co roku zgłaszałem się do tej konkurencji, a on zawsze się wykręcał – a to jakiś telefon, a to coś sobie naciągnął czy zwichnął.

Zdopingowany tym faktem, postanawiam:

– Zrobię to.

Instruktor wspinaczki dopasowuje nam uprząż. Pokazuje, jak działają liny. Wydaje się to proste, niewymagające wysiłku, ale zlewam się potem. Inni dorośli nie wyglądają na mniej lub bardziej sprawnych ode mnie; w ostatniej chwili dołącza krępy jegomość w ciemnych okularach i długich czarnych gatkach – bardzo obcisłych, jakby wyskoczył z domu w bieliźnie, niekoniecznie swojej. Nie ma nic pod spodem – męskość odznacza mu się aż nazbyt wyraźnie. Gapię się mimowolnie i zastanawiam, czy takie obnoszenie się

z walorami to tutaj normalka.

Z wysokości nieco metr nad ziemią zaczynam się modlić, żeby Nate, który trzyma moją linę, okazał się dość silny i kiedy runę w dół, nie pofrunął w powietrze niczym z katapulty. Przeciwstawiam się siłom grawitacji z pełną świadomością ich działania.

– Pracuj stopami – podpowiada z dołu Nate.

Wyszukuję gruzłów sztucznej skały, żeby się o nie oprzeć; przypominają ograniczniki do drzwi. Odpycham się, podsuwam nieco wyżej, a potem łapię uchwyty nad głową.

– Pchaj – doradza Nate. – Podpychaj się do góry, nie podciągaj. Tak jest łatwiej.

Cieszę się, że za sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie chesnego – co wyczytałem na stronie internetowej szkoły – chłopak poznaje zasady fizyki.

Podpycham się i bekam; usta wypełnia mi kwaśny smak kawy i ciastek. Przelykam ślinę, odnajduję punkt oparcia i znowu pcham. Powyżej i poniżej pną się inni mężczyźni; w powietrzu rozchodzi się woń stresu. Wspinam się wyżej, zdeterminowany, zdeterminowany jak diabli.

Wśród tłumu na dole kręci się dyrektor szkoły, ściskając dłonie. Znajduję się dwa piętra nad ziemią i liczę, że Nate nie zacznie oglądać się na swojego „szefa” w spódniczce. Przenoszę ciężar ciała i patrzę w dół; wtem moje jądra dostają się pod pas uprząży, która się

przesunęła. Ból jest nieznośny, zaczynam niemal tańczyć, próbując wykaraskać się z opałów.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy Nate.

Przytulam się do ściany i poprawiam, używając obu rąk.

Spostrzegam, że niektórzy mają specjalne buty do wspinaczki, a ja sakramenckie mokasyny George'a. Jeden się zsuwa, odbija od ściany i spada na ziemię.

– Mogę ci go podrzucić – proponuje Nate.

– Nie trzeba.

Pcham się wyżej, ślizgając się stopą w skarpetce.

– To but taty?! – woła Nate.

– Tak! – odkrzykuję.

– Dziwne.

Obracam się i skupiam uwagę na ścianie. Tak jest, kurwa mać, mówię do siebie i, wytężając siły, pnę się na szczyt.

I wiecie, co tam jest? Cholerne ZŁOTE JAJO! Nie żartuję: złote jajo, pieprzona porcelanowa skarbonka! Tylko jak ją teraz znieść na dół? Jak znieść coś tak kruchego, kiedy ma się zajęte ręce i nogi? Upycham ją w spodniach. Z przyrodzeniem wielkim jak koń, ciupciając złote jajo, zjeżdżam na dół. Nate czeka ze łzami w oczach. Nie mam wyboru, rozpinam spodnie, wyciągam jajo i podaję mu je, jakbym składał ofiarę. Nate obejmuje mnie z płaczem. Czuję smak zwycięstwa, potu – jest wspaniale. Chwila olśnienia, jestem na HAJU!



Dwadzieścia minut później głowa mi pęka. Chodzę jak połamany kowboj, w trzech palcach brak mi czucia. Siadam na sedesie i nie mogę wstać. Pytam Nate'a, czy ma tylenol. Radzi, żebym poszedł do szkolnej pielęgniarki.

– W życiu – odpowiadam zrzędliwie i idziemy do głównego budynku na sherry i koreczki z sera.

Za dużo piję – picie sherry nawet w małych ilościach oznacza za dużo. Ból głowy się nasila.

– Napij się coli – radzi Nate i ma rację.

Wypijam dwie cole, zjadam pół funta sera i chwalebę się medalem każdemu, kto raczy wysłuchać opowieści o moim udarze i cudownym wyzdrowieniu.

– Co teraz? – pytam, gdy pora koktajlowa dobiega końca.

– Idziemy na kolację do Ravaged Fowl – oznajmia Nate, jakby to było oczywiste. – Zrobiłeś rezerwację?

Robię głupią minę.

– Zawsze tam chodzimy, ale trzeba zrobić rezerwację.

Jego ton wskazuje, że to przesądzone, nie ma wyjścia.

– Żaden problem. Załatwione – mówię.

Z kabiny w męskiej toalecie, gdzie jest żenujące echo, dzwonię do Ravaged Fowl.

– Nie ma wolnych miejsc – mówi recepcjonistka. – Wszystkie stoliki zarezerwowane do poniedziałku.

Zatajam to przed Nate'em – niektóre rzeczy najlepiej załatwić osobiście – jednak w drodze do restauracji mój

osłabiony organizm trapi niepewność i wyczekiwanie na to, co się zdarzy.

Po przyjeździe na miejsce z głupia frant podaje hostessie nazwisko.

– Sprawdzę – mówi dziewczyna.

– Mamy rezerwację – mówię zdenerwowany. – Przychodzimy tu co roku. Od ilu już lat? – zwracam się do Nate’a.

– Czterech – odpowiada chłopak ze wzrokiem wbitym w buty.

– Przychodzimy tu od czterech lat, co roku tego samego dnia. Zawsze robimy rezerwację – ciągnę z rosnącym oburzeniem.

Dziewczyna nie reaguje. Rozmawia przez telefon.

– Myślałem, że można na was polegać – podnoszę głos, rozzłoszczony, choć dziewczyna unosi palec, jakby kazała mi czekać.

– Jesteś podobny do taty – mówi Nate.

– Zawsze czy w tej chwili?

– W tej chwili.

– Jestem w parszywym nastroju.

– Może mnie tu zostawisz. Zajmiesz się swoim bólem głowy, a ja się gdzieś dosiędę.

– Nie ma mowy – protestuję. – Czy nie mogę na chwilę spochmurnieć? Za dużo tego wszystkiego.

Trudno to wytłumaczyć, ale obfitość, sukces i piękno tego słonecznego dnia mnie dołują. Było tak cudownie,

że aż mdli. Nie mogę wyznać Nate'owi i jego kolegom, że zagrożenie, jakie nadciąga wraz z ich młodzieńczą, pełną wspaniałych obietnic przyszłością, piekielnie mnie przygnębia.

– Tak, jasne, jak chcesz – mówi, a ja wyczuwam, jak się wycofuje, oddala, zostawia pustą skorupkę.

Hostessa odkłada telefon i odchodzi. Mam ochotę za nią pobiec – nie może tak odejść, nie może mnie zostawić po tym, jak przy tym dzieciaku zrobiłem z siebie głupka.

Wzbiera we mnie gniew. W myślach ją rozszarpuję, zdumiony, jak wyraźnie widzę ten ohydny czyn. Jest wyjątkowo nieatrakcyjna – groteskowa. Obnosi się z figurą, dla niektórych być może zgrabną, ale jej szmaragdowozielona sukienka jest zbyt obcisła, a z głębokiego dekoltu niemal wyskakują piersi. Wygląda nie jak hostessa, ale jak dziwka albo brzydki transwestyta. Ma grube, szerokie wargi pociągnięte tanią różową, błyszczącą szminką. Pory jak czarne dziury, wągry jak doły kloaczne. Mam na końcu języka: „Tylko mi nie mów, że nie możesz dać sobie rady z rezerwacją sprzed miesiąca. Po co robiłem rezerwację, jeżeli nie możesz jej znaleźć?”. I wtedy przypominam sobie, że niczego nie rezerwowałem. Wyobrażam sobie, jak przewracam miseczkę z miętówkami i pojemnik z wykałaczkami, każę jej zapchać sobie cipę purée ze szpinaku, a potem zabieram dzieciaka do jakiegoś obskurnego baru czterdzieści kilometrów stąd.

Wyobrażam sobie to wszystko, a wtedy słyszę Nate'a:

– Jesteś obrzydliwy, zupełnie jak tata.

To boli, głęboko rani. Nie chcę, żeby miał mnie za obłąkanego sobowtóra George'a, nie chcę się zdradzić z tym, co kłębi mi się w głowie.

– Dobrze się czujesz? – pyta Nate.

– Chyba tak. Bo co? Coś robiłem?

Zastanawiam się, czy może bezwiednie głośno myślałem.

– Jesteś jakiś nieobecny.

– Nie uciałem dziś drzemki. Po udarze codziennie muszę się zdrzemnąć. Lekarz mi wyjaśnił, że mój mózg potrzebuje czasu na rekonwalescencję.

Hostessa wraca z niskim, wąsatym kierownikiem, który podaje mi rękę.

– Przepraszam, że musiał pan czekać. Nie byliśmy pewni, czy pan przyjdzie. Mam dla pana stolik, proszę za mną.

Poszło jak po maśle.

Grzebię w kieszeni, wyciągam dwadzieścia dolarów i wsuwam do ręki kierownikowi, który usadza nas w upragnionym zakątku.

– Naprawdę zrobiłeś rezerwację? – pyta Nate.

– Twoja matka na pewno o to zadbała. Była dobrze zorganizowana.

Przed przyjściem kelnerki Nate nachyla się w moją stronę.

– Informuję cię, że zgodnie z tradycją zamawiasz dla mnie piwo.

– Jesteś niepełnoletni.

– Taka jest tradycja. Ty zamawiasz, ja wypijam.

Rozglądam się. Przy żadnym stoliku dzieciak nie pije piwa.

– Wkręcasz mnie – mówię.

Milczy.

– Bądź ze mną szczery. Tak jest lepiej.

– Dobrze, chcę się napić piwa.

– Dobrze, napij się piwa. Nie prowadzisz auta, dobrze się dzisiaj spisałeś, więc co mi tam. Jakie konkretnie?

– Guinnessa, jeżeli mają...

– Naprawdę?

– To jak posiłek w szklance. Nauczyłem się je pić zeszłego lata, kiedy byłem w Oksfordzie.

Zamawiam guinnessa i piwo korzenne. Kiedy guinness jest już na stoliku, pociągam łyk i podsuwam Nate'owi.

– Chcesz słomkę? – pytam.

Pijąc, z zadowoleniem zamyka oczy. Smakuje piwo z pewnością nie pierwszy raz.

– Widziałem, jak obcinasz wzrokiem hostessę – mówi, zmuszony nabrać tchu. – Może się z nią umówisz. Jesteś singlem, prawda?

Gdyby tylko wiedział, co o niej myślę.

– Nie wiedziałem, że jesteś taki wysportowany –

zmieniam temat. – Nikt w naszej rodzinie nie był sportowcem.

– Nie wszystko bierze się z twojej rodziny. Babcia mamy świetnie pływała, była pierwszą kobietą, która opłynęła wyspę Manhattan.

– Naprawdę?

– Tak. A jej mąż, mój pradziadek, był połykaczem ognia. Z pewnością miał bardzo pojemne płuca.

– Nie wiedziałem.

– Nie możesz zakładać, że wszystko kręci się wokół ciebie.

– Co wam podać, chłopcy? – pyta kelnerka.

Spostrzegam wchodzącego dyrektora szkoły, któremu fałdy kiltu tańczą wokół włochatych, białych kolan.

– Ciastka z krabem są dobre? – pyta Nate.

– Wyśmienite – zapewnia kelnerka. – Mięso w kawałkach.

– To chyba nie jest sezon na kraby – wtrącam.

– Jem je co roku – stwierdza Nate. – Zacznę od sałaty lodowej i sera pleśniowego, a potem zjem ciastka z krabem.

Czemu wyobraźnia wciąż podsuwa mi obraz wymiocin? Piwo, ser pleśniowy, ciastka z krabem?

– Ja poproszę sałatę lodową, ser pleśniowy i stek firmowy – mówię.

– Pieczony czy smażony? – pyta kelnerka.

– Grillowany.

– Ziemniaki pieczone czy smażone?

– Pieczone poproszę.

Popijam piwo korzenne. Podchodzi do nas dyrektor.

– A cóż ty pijesz, synu? – pyta Nate’a.

– Próbuję piwa wujka, wydawało mu się, że ma dziwny smak. Panu też nie będzie smakować?

Nate unosi szklankę z piwem.

– Dla mnie każde piwo smakuje jak siuśki. Piję wyłącznie burbona, ale nie w czasie wypełniania obowiązków.

Podbiega do nas wąsaty kierownik.

– Wszystko w porządku?

– Temu panu proszę przynieść świeże piwo, a młodemu człowiekowi też przyda się dolewka... Co to było synu, cola? – pyta gromko dyrektor.

– Piwo korzenne – mówi Nate.

– Podoba mi się pański sporran – komentuję niespodziewanie. – To selskiny?

Zastanawiam się, skąd mi nagle wyskoczyło słowo „sporran”.

– A jakże, selskiny – potwierdza dyrektor. – Ma pan dobre oko. Należał do mojego dziadka – dodaje z silnym szkockim akcentem.

– No tak.

– Życzę udanej kolacji, gratuluję wspinaczki. Miło wreszcie zobaczyć, skąd się wzięła sprawność Nathaniela.

Dyrektor odchodzi nieśpiesznie do innego stolika.

– O czym rozmawialiście? Co to jest sporran?

– Jego torebka. To coś zawieszona na łańcuchu.  
W kilcie nie ma kieszeni.

Na chłopcu robi to przelotne wrażenie.

Wyciągam pigułki (oraz kartkę z instrukcją) i układam wieczorną serię – przed jedzeniem, w trakcie i po.

– Opowiedz mi jeszcze o sobie, Nate – mówię. – Co powinienem wiedzieć?

– Mam szkołę w Afryce Południowej. Jestem z tego dumny.

– Zbierałeś pieniądze, żeby pomóc zbudować szkołę?  
Twoja mama coś mi o tym wspominała.

– Zbudowałem ją – stwierdza beznamiętnie.

– Własnymi rękoma?

– Tak, własnymi rękoma. Razem z mieszkańcami wioski. Z drewna, gwoździ i blachy. Założyłem też system filtrowania wody. Miejscowość nosi moje imię. Kiedyś nazywała się inaczej, a teraz mieszkańcy mówią na nią Nateville.

Zmyśla?

– Jak ci się udało tego wszystkiego dokonać?

– To wcale nie takie trudne. Trochę jak duże lego. Miałem książki z serii Sunset z planami małych budowli, zamierzałem według nich zbudować coś sobie na podwórku, no i w nich znaleźliśmy inspirację. Skoro może to zrobić dzieciak, to czemu nie inni? Oto



prawdziwe pytanie. Na świecie dzieje się tak źle, bo ludzie są cholernie bierni, nieruchawi i skupiają się na tym, co jest niemożliwe, zamiast na tym, co da się zrobić.

Nate ciągnie swoje. Mówi prawdę, jego wywód jest logiczny, przemyślany, klarowny, przekonujący. Tłumaczy siebie i objaśnia otaczający go świat, a mnie w głowie kołocze się szokujące pytanie: dlaczego George nie zabił również jego?

Nate coraz bardziej mi się podoba. Jest taki, jakim ja chciałem być dawno temu, jakim chciałbym być nawet teraz. Budzi podziw graniczący z przerażeniem. Jest zdolniejszy od nas wszystkich, a przecież to jeszcze dzieciak.

– Twój tata wie, że to wszystko umiesz?

– Wątpię.

– Nie mówiłeś mu?

– Jak by to oględnie powiedzieć... kiedy tu przyjeżdżał, chodził i ściskał wszystkim ręce, ale niewiele zauważał. Chciałbym, żeby tak zostało. Nigdy nie zwracał na mnie uwagi, uważał mnie za ciamajdę, który zużywa powietrze i środki, tak się wyraził: środki.

– Twardziel.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Nie ma sprawy – mówię. – A o czym możemy pogadać?

– Dlaczego ty i Claire nie mieliście dzieci?

Zabieram mu piwo i piję zbyt łapczywie; łaskocze mnie w nosie i zachłystuję się, opluwając stół.

– Pięknie – mówi Nate, kiedy ścieram guinnessa.

– Prawie mieliśmy. Claire zaszła raz w ciążę, ale się nie udało.

– Poroniła? – chce mieć jasność Nate.

Kiwam głową. To oględna wersja. Prawda jest taka, że dziecko przyszło na świat martwe. Utknęło i rozpadło się, kiedy je wyciągano. Wszystko widziałem. Byłem przy Claire, po jej stronie zasłonki. Kiedy je wyciągano i lekarz jęknął, podniosłem się, spojrzałem i zobaczyłem rozkawałkowane ciało. Nie żyło od jakiegoś czasu. Claire uniosła głowę i spytała: „Mogę zobaczyć dziecko?”. „Nie” – odparłem gwałtownie. Nie usłyszała ode mnie nic więcej. „Dziecko odeszło” – poinformował lekarz, a ja nie byłem pewien, czy chce jej powiedzieć, że wyszło całe, czy że urodziło się martwe.

– Claire długo była w depresji. „Trudno jest pożegnać kogoś, kogo się nie poznało” – mówiła. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Po tym bolesnym, traumatycznym przeżyciu nie poruszaliśmy tematu kolejnego dziecka.

– Lubieś moją matkę? – pyta Nate, ściągając mnie na powrót do teraźniejszości.

Kelnerka stawia przede mną talerz; para znad ziemniaków i mięsa ożywia mnie jak sole trzeźwiące.

– Lubieś? – pyta ponownie Nate.

- Tak – potwierdzam z łatwością.
- Kochałeś ją?
- To dość skomplikowane.
- Tęsknisz za nią?
- Ogromnie.
- Chcę myśleć, że umarła z jakiegoś powodu – mówi Nate. – Umrzeć z miłości to powód.
- Czy ktoś cię pytał, czy chcesz się zobaczyć z ojcem?
- Tak... Nie.
- Jak często rozmawiasz z Ashley?
- Dzwonię do niej codziennie – odpowiada, zaskoczony pytaniem.
- Dawniej tak samo?
- Nie. – Milknie na chwilę. – Człowiek dorasta, myśląc, że jego rodzina jest normalna, a potem nagle coś się wydarza i nic już nie jest normalne, nie wiadomo, jak do tego doszło, nie wiadomo, co dalej, a pewne jest tylko, że już nigdy nie będzie normalnie. Żeby chociaż to był wypadek, w którym kogoś przygniata i zabija drzewo; nie możesz się wtedy wściekać na kogoś innego, kogoś obcego... – Cichnie. – Co się stało z tym chłopcem?
- Jakim chłopcem?
- Tym, który przeżył wypadek.
- Mieszka ze swoją rodziną, chyba z ciotką.
- Powinniśmy coś dla niego zrobić – mówi Nate.
- Może utworzymy fundusz, żeby niczego mu nie zabrakło – proponuję.

– Moglibyśmy go zabrać ze sobą na wakacje. Uwielbiam parki rozrywki, on na pewno też.

– Mogę się tym zająć. Właśnie tego chciałbyś? Zabrać tego chłopca na wakacje?

– Przynajmniej tyle możemy zrobić – mówi Nate i ma rację.

Jemy. Naprawdę nie ma nic lepszego niż sałata lodowa z dressingiem z sera pleśniowego, stek i pieczone ziemniaki. Nakładam zimną kwaśną śmietaną na parujący ziemniak, przypominając sobie, że kwaśna śmietana nie znajduje się na liście produktów zalecanych przez lekarza. Mam to gdzieś. Solę, pieprzę – niebo w gębie.

Po kolacji odwożę Nate'a, sunąc powoli podjazdem w długim sznurze rodzicielskich aut, którymi chłopcy wracają pod opiekę szkoły.

Można sobie łatwo wytłumaczyć, dlaczego ludzie, a w szczególności młodzi mężczyźni, tworzą specjalne kluby, wymyślają rytuały, zwyczaje, które się powtarza i przekazuje następcom. Rzeczy te są źródłem wielkiej pociechy, schronieniem, jakim jest świadomość, że się – poza rodziną – jest jednym z wielu, że się należy do grupy, paczki.

– Czy dorośli zakradają się tu czasem i zostają na noc?  
– pytam, bo z chęcią przyjrzałbym się z bliska życiu w dormitorium.

– Nie.

Zdejmuję nogę z hamulca, auto łagodnie pokonuje wzgórze. Chłopcy jeden po drugim są witani przed głównym budynkiem i odznaczani na liście obecności.

– Nabożeństwo punktualnie o dziewiątej rano, kawa

i śniadanie o ósmej – informuje dyrektor i odprawia mnie.

– Dzięki za wspinaczkę na ściankę – mówi Nate. – Było super.

Zatrząskuje drzwi auta.

– Kocham cię – wyrywa mi się, ale trząsk drzwiczek głuży słowa.

Nate na powrót je uchyla.

– Przepraszam, mówiłeś coś?

– Do zobaczenia rano.

– Do zobaczenia.

Ponownie zatrząskuje drzwiczki.

Jadę do pensjonatu. Czuję się jak dziecko, które zostawiło dorosłego – Nate’a – w dużym domu na wzgórzu. Pokoik w pensjonacie, ciasny jak służbówka, przyjemnie pachnie cedrem. Pani domu pyta, czy nie będzie mi przeszkadzało, jeżeli w pokoju zostanie na noc chomik. Wyjaśnia, że w razie konieczności mogliby go zabrać, ale jeśli to możliwe, woleliby go nie ruszać.

– Przystawienie klatki go dezorientuje. Chyba ma alzheimera, chociaż nie jestem pewna, jak to się objawia u chomika.

Patrzę na chomika, chomik patrzy na mnie. Myślę, że nie ma alzheimera, wydaje się zanadto „świadomy”. Odwracam się i rozbieram, obcy człowiek w otoczeniu

imitacji białych mebli w stylu królowej Anny z nalepkami Hello Kitty. Kto to jest ta Hello Kitty? O ile się orientuję, nie jest to Janis Joplin ani Grace Slick. Biorę z łóżka poskładane szorstkie ręczniki, zarzucam jeden na ramię i ruszam korytarzem do łazienki.

Po dokonaniu ablucji (jak ja to nazywam) na koniec napełniam plastikowy kubek wodą, z czego połowę rozchlapuję na dywan w drodze do pokoju. Zamykam drzwi, podpieram krzesłem – nie ma zamka – i wykładam pigułki na noc. Do głowy mi nie przyszło, że będę kiedyś używał tygodniowego dozownika leków z przegródkami na rano, południe i wieczór. To jakby księża piguł, którą zawsze mam przy sobie, zabezpieczona gumkami, żeby się przypadkiem nie otworzyła.

Biorę leki, siadam na łóżku. Jest wpół do jedenastej.

Postanawiam zadzwonić do Jasona, syna cioci Lillian. Myślę o nim od czasu, gdy ją odwiedziłem. Wyciągam komórkę, otwieram – mam tutaj w sypialni dobry sygnał – znajduję karteluszek z numerem Jasona i dzwonię.

– Halo – odpowiada męski głos.

– Jason, tu twój kuzyn Harry.

Cisza.

– Odwiedziłem twoją matkę.

Cisza.

– Pogadaliśmy sobie od serca.

Przez ścianę słyszę żonę właściciela pensjonatu.

– Co? – pyta.

- Nic – odpowiada jej mąż.
  - Wołałeś mnie.
  - Nie. To ten gość w pokoju Laurie z kimś rozmawia.
  - Z kimś w pokoju? – pyta żona.
  - Przez telefon – wyjaśnia mąż.
  - Czy on nie wydał ci się dziwny?
  - Nie. To ty jesteś dziwna. Codziennie pytasz, czy ktoś nie wydaje się dziwny. Skoro jesteś taka podejrzliwa, to po co chciałaś otworzyć pensjonat?
  - Jason? – mówię. – Dzwonię z komórki, słyszysz mnie?
  - Tak – odpowiada i znów milczy.
- Czego się spodziewa po tym telefonie? Czy matka mówiła mu o mojej wizycie? Myśli, że dzwonię, by mu powiedzieć, że matka ma w lodówce za dużo przeterminowanych słoików, jej słynna puszka na ciastka jest prawie pusta i można się obawiać, czy znowu się napelni?
- Jason, dzwonię, żeby cię przeprosić w imieniu rodziny. Naprawdę przykro mi z powodu tego, co ci się stało w suterenie.
  - Nie pamiętam – mówi.
  - Jak to nie pamiętasz? Twoja matka twierdzi, że dlatego zostałeś gejem.
  - Myśli, że coś „sprawiło”, że zostałem homo, tak jakby życie z nią nie było wystarczającym powodem. W tej rodzinie jest więcej takich jak ja.



- Kto jeszcze?
- Ciotka Florence.
- Nie!
- Tak. I dziadek Henry, i jego przyjaciel Thomas. A w naszym pokoleniu Warren i Christian, który chce zostać Christiną.
- Kto Żydowi daje na imię Christian? – Milknę. Od tych rewelacji kręci mi się w głowie. – Jason, czy on zrobił ci krzywdę?
- Nie wiem – mówi.
- Miałbyś ochotę komuś o tym opowiedzieć? – pytam, przełączając telefon na tryb głośnomówiący, żeby oszczędzić rozgrzane ucho.
- Na przykład komu?
- Nie jestem pewien. Nie wiem, czy słyszałeś...
- Oczywiście, że słyszałem. Cały świat słyszał; trąbiła o tym pierwsza strona „New York Post”. Po co o tym mówić?! – pyta rozeźlony.
- Kto tak krzyczy? – chce wiedzieć współwłaścicielka pensjonatu. – Czy on siedzi w pokoju Laurie i na kogoś wrzeszczy?
- To na niego wrzeszczą – wyjaśnia mąż.
- Po co do mnie zadzwoniłeś? – pyta Jason.
- Nie wiem. Lekarz George’a prosił mnie, żebym zebrał informacje o rodzinie. Pojechałem do twojej matki, żeby zrozumieć, o co się poróżniliście...
- O kulki macowe – mówi Jason jak o coś

powszechnie znanym.

– Tak, już to wiem. Podczas tej wizyty twoja matka powiedziała mi, co się stało w suterenie.

– Byłeś tam wtedy. O niczym nie wiedziałeś?

– No pewnie. Chcę cię przeprosić za moją rodzinę. – Nabieram powietrza do płuc. – Mogę cię o coś spytać? – dodaję łagodniejszym tonem.

– Możesz – odpowiada po dłuższej chwili Jason.

– Czy twój ojciec nie żyje? Matka wspomniała, że „odszedł”?

– Mój ojciec wyjechał.

– Jak to wyjechał?

– Wyjechał w interesach i nie wrócił, nie zadzwonił, nie napisał.

– Zgłosiła to policji?

– Nie, odpuściła sobie.

– Szukałeś go?

– Po latach.

– I?

– Ukrywał się. Powiedział, że musiał się wyrwać. Matka chciała od niego więcej, niż mógł dać. Jakoś nie zauważył, że to miało wpływ także na mnie.

– Jason, naprawdę bardzo mi przykro – powtarzam się. – Gdybyś kiedyś chciał się spotkać ze mną na drinka, wyjechać gdzieś razem albo w piątek wieczorem umówić się na podłę chińszczyznę, zadzwoń. Masz mój numer?

– Tak, wyświetlił mi się.

- Liczę, że się odezwiesz. Dobranoc, Jason.
- Nic nie słyszę – mówi po chwili żona.
- Może już śpi – podpowiada mąż.
- Nikt nie zasypia tak od razu po rozmowie.
- No to może czyta.
- Wątpię.
- Co za różnica. Nie można mieć chwili spokoju? Może myśli.

W małym łóżku w małym pokoiku przeżywam moment jasności umysłu. Jestem dorosłym, który nie urosł. Jestem jak Oskar w *Blaszany bębenku*, nie chcę urosnąć.

Wstaję w nocy. Słyszę ciche drapanie, a potem się zaczyna – i-o, i-o – jak luźna sprężyna w łóżku, jakby ludzie uprawiali seks. W pierwszej chwili tak myślę – motelowe sprężyny! Rytmiczne skrzypienie tanich, wysłużonych sprężyn łóżka. Nasłuchuję pod ścianą – nic. Pod drugą – mąż i żona rozmawiają. Nasłuchuję przy podłodze – gra telewizor.

Spoglądam na chomika. Kuli się, nieruchomieje, przyłapany na gorącym uczynku, czarne oczka odwzajemniają spojrzenie. Chromowane kółko przestało się kręcić, kołysze się łagodnie, coraz wolniej.

– To ty? – pytam.

Chomik rusza noskiem, jakby pytał zdziwiony: „To ja?”.

Rano budzę się z uczuciem, że odbyłem daleką podróż, a w ustach mam smak steku z zeszłego wieczoru – nie jest nieprzyjemny, ale mało śniadaniowy.

Ból głowy ustał.

Idę do kościoła z Nate'em. Szkolna kaplica zbudowana z ogromnych starych kamieni – przetransportowanych z Anglii – jest idealnym miejscem na nabożeństwo. Witraże przedstawiają sceny z Biblii. Szkolny kapelan zaprasza rabinę, której wystąpienie ma nam chyba przypomnieć to, co już wiemy: że jesteśmy ludźmi, mamy wady, ale nasze człowieczeństwo, nasze sumienie każe nam współczuć, okazywać życzliwość i akceptację. Mówi tak, jakby chciała zachęcić się do zadawania pytań, by posłuchać naszych odpowiedzi. „Co to znaczy być użytecznym? – pyta. – Czy oznacza to jakieś działanie, które można potem dopisać do swoich osiągnięć, żeby dostać się do college'u? O co tak naprawdę się troszczyć? Czy działacie w obrębie swojej kultury i tradycji, czy przeciwnie – czujecie, że jesteście poza nawiasem, wyłączeni? Ważne jest, aby być częścią większej sprawy, w coś się zaangażować”. Kiedy nabożeństwo dobiega końca, wszyscy czujemy się

podniesieni na duchu, ożywieni chęcią działania, gotowi zacząć nowy tydzień. Rozumiem, co się Nate'owi podoba: jakość kazania, rodzicielskie dobre rady, których nie dostaje gdzie indziej. Przy wyjściu młoda rabinka, kapelan szkolny i dyrektor, już w spodniach, stają razem niczym komitet powitalny. Trudno przejść bez podania ręki. Kusi mnie, nie wiem czemu, by powiedzieć coś głupiego, na przykład: „Dobrego szabasu” albo „Niech moc będzie z wami”, na szczęście gryzę się w język.

Wychodzimy na trawnik. Wszyscy w niedzielnych strojach, opatuleni zimowymi płaszczami, spozierają w błękitne niebo z białymi wieżami chmur. Pośrodku trawnika ktoś otwiera dużą pakę, wyciąga z niej grubą linę, rozkłada. Widzę, jak ludzie sięgają do kieszeni po rękawiczki, inni podają sobie rolki taśmy i paskudnie obwijają nimi dłonie, oddzierając kawałki taśmy zębami. Jakaś kobieta bandażuje sobie ręce, jakby była ranna. Każdy jest zabezpieczony: w rękawice szoferskie, kuchenne, do golfa, kawałki filcu na dłoniach bądź w jedną rękawicę narciarską.

– Co się dzieje? – pytam Nate'a.

Linę rozpostarto na całą długość. Jest ciężka, stara, z tych, które widzi się w zabytkowych portach – dziś już się takich nie robi, nie można ich kupić.

– Taka tradycja – mówi Nate. – Weekend kończy się przeciąganiem liny, rodzice przeciw uczniom. Lina pochodzi z czasów, gdy do Ameryki przyплыли Ojcowie

Założyciele. Jest niesamowicie stara, nikt nie rozumie, czemu jeszcze nie pękła. Teoretycznie powinna.

– O co chodzi z tymi rękoma?

– Od liny strasznie pieką.

Na nogach konkurenci mają korki, buty piłkarskie, buty do golfa, buty z wbijającymi się w ziemię wysokimi obcasami, łańcuchy przeciwśnieżne – widać, że sprawa jest poważna, wszystko zaplanowano. Wielu zdejmuje płaszcze. „Większa swoboda ruchu” – mówi ktoś. Przeciągacze ustawiają się wzdłuż liny, najpierw pięciu mężczyzn, potem na zmianę mężczyźni i kobiety, a na końcu znów sami mężczyźni. Niektórzy z zażenowaniem stają z boku, wymawiając się raz po raz: proteza kolana, oba biodra, bark zwichnięty osiem tygodni temu, cztery bajpasy. Kilku chłopców ma założony gips, chodzi o kulach, a jeden jest na wózku. Ciekawe: jeździł na nim, nim trafił do szkoły, czy miał tu jakiś wypadek?

Kiedy na to patrzę, przypomina mi się przeciąganie liny z George’em. Ciągnąłem z całej siły, a wtedy George nagle puścił, poleciałem do tyłu, wpadłem do domu przez okno i wylądowałem na tyłku wśród potłuczonego szkła.

– Jeszcze nie doszedłem do siebie po wczorajszym – tłumaczę się Nate’owi. – Więc to sobie daruję.

– Spoko – mówi Nate i biegnie zająć miejsce przy linie.

Słyszę strzał – podnoszę wzrok i widzę dyrektora ze

staroświeckim pistoletem. Rękę ma poczerniałą, jakby się paliła. Powietrze pachnie prochem.

Początek zawodów. Nie mogę oderwać oczu od kobiety w wełnianym żakiecie. Farbowane blond loki ma ściągnięte z tyłu gumką, zaciska obnażone zęby i ciągnie linę, jakby od tego zależało jej życie.

– Widzę, że przygląda się pan mojej żonie. Zna ją pan?  
– pyta wyłączony z zawodów mężczyzna z kikutem nogi.

– Wygląda znajomo – odpowiadam, choć to nieprawda, ale nie przychodzi mi na język nic innego.

– Middlebranch – mówi. – Rodzina z tradycjami. Jej przodek był towarzyszem Bena Franklina we Francji w tysiąc siedemset pięćdziesiątym trzecim roku, prowadził świetny dziennik.

– Jak się państwo poznali? – pytam.

– Uczyłem się tu, a ona z dwiema koleżankami ze szkoły Emmy Willard przyjechały odwiedzić jej brata. Trochę dziwne ożenić się z kimś poznanym w wieku czternastu lat, nie sądzi pan?

– To może najlepsze wyjście, młodość jest taka przejrzysta – mówię.

– Dlaczego pan nie ciągnie? – pyta.

– Udar. A pan?

– Przeklęta kolostomia – odpowiada, klepiąc się przez płaszcz po brzuchu. – Miałem raka wielkości grejpfruta, w środku wszystko mi poprzestawiali. Obiecują, że połączą rurki jak trzeba, ale nie wiem, czy się uda.

Od strony liny dobiega jęk. Komuś pękły spodnie, jakaś kobieta zazgrzytała i złamała ząb. Dorośli ciągną i ciągną, zapierając się jak krnąbrne dzieci. Obie strony są zdeterminowane, pewne wygranej, a na dodatek przekonane, że pokonując przeciwnika, ogromnie zyskają.

– Ciągnij! – woła mężczyzna po stronie rodziców.

– Ciągnij! – woła chłopiec po stronie uczniów.

– Oddychaj szybko! – woła jedna z kobiet. – Jak przy porodzie!

Szwy wełnianego żakietu Middlebranch rozciągają się, rozstępują, aż widać białe nitki. Walka na całego, jakby rodzice za wszelką cenę chcieli coś udowodnić, ale co i dlaczego – nie wiadomo. A potem nagle, kiedy wszystko już-już miało pęknąć, chłopcy przeciągają linę i puszczają się na trawniku w dziwny, improwizowany taniec zwycięstwa – niegodny Marthy Graham.

Rodzice podnoszą się z ziemi, otrzepują i na tym weekend zniemacka się kończy. Wkrótce potem ojcowie i matki przytulają synów na pożegnanie.

Nate ściska mnie mocno i dziękuje za to, że przyjechałem.

– Zadzwoń, kiedy dojedziesz do domu – prosi.

– Zrobi się – obiecuję.

W drodze do samochodu mąż Middlebranch wyjaśnia, że taki jest zwykły obrót rzeczy – dorośli rzadko wygrywają. Akademia życzy sobie, by pożegnania były



serdeczne, lecz krótkie: chłopcy pójdą jeszcze do sali nauki, a na kolację zgodnie z tradycją zjedzą prosię. Jutro poniedziałek, dzień powszedni, a ci przyszli magnaci przemysłowi, tytani bankowości, chirurdzy ortopedzi i księgowi gwiazd mają pracę domową do odrobienia.

W domu George'a szybko wracam do regularnych zajęć. W czwartek wieczorem, kiedy odpoczywam przy ponownej lekturze *Witness to Power* Johna Ehrlichmana, dzwoni psychiatra George'a.

– Doszliśmy do drugiego etapu. Zdaniem zespołu byłoby dobrze, żeby pan przyjechał i spędził z nami trochę czasu.

– W jakim charakterze? – pytam, obawiając się, że będę musiał się tam „zgłosić”.

– To coś w rodzaju miłego spotkania pod okiem superwizora.

– A jeżeli nie będę się dobrze bawił, będę mógł wyjść?

– Teoretycznie tak.

– Teoretycznie?

– Nie bardzo jest tu dokąd pójść, ale nie będziemy pana więzić.

– No dobrze – zgadzam się.

– Przywiezie pan psa? – pyta doktor.

– Mogę – mówię i spostrzegam, że w ostatni, bardzo przyjemnie spędzony weekend brakowało mi właściwie

tylko Tessie.

Pakuje siebie i psa. Bagaż Tessie to wielka torba karmy, mniejsza paczka psich herbatników, smakołyki, zabawki, torebki na odchody i stary ręcznik służący za posłanie. Dla siebie zabieram ubranie na zmianę, piżamę, szczoteczkę do zębów i torebkę nowych „leków” wraz z objaśnieniem, które muszę codziennie odczytywać, bo nie pamiętam, w jakiej kolejności je przyjmować.

Czuję się, jakby od czasu, gdy zawiozłem George’owi rzeczy, minęły miesiące. Jego zakład jest o wiele dalej niż szkoła Nate’a. Jazda tam przypomina jedzenie ciągutek: z każdą godziną cel podróży wydaje się odleglejszy. W połowie drogi zatrzymuję się na zadrzewionym parkingu oznaczonym tablicą „Strefa wypoczynku”. Na jego skraju stoi parę ciężarówek i przenośnych toalet. Odchylam siedzenie, zamykam oczy i oddaję się rozmyśleniom o stworzeniu przez Nixona Agencji Ochrony Środowiska w 1970 roku i przyjęciu ustaw – o czystym powietrzu, o ssakach morskich, o bezpiecznej wodzie pitnej i o zagrożonych gatunkach – stanowiących Wielką Kartę ruchu ekologicznego. Z rozmarzenia wytrąca mnie stukanie w okno i oczekiwanie Tessie.

Przy samochodzie stoi mężczyzna z rozpiętym rozporkiem, z którego – na poziomie moich oczu – wystają szare gatki z niepokojąco nabrzmiałą

zawartością.

– Szukam miłości – mówi przez szybę, kołysząc biodrami.

Podnoszę wzrok i widzę nieogoloną twarz, dzikie oczy. Sięgam do kluczyka, zapalam, gaz do dechy i wyjeżdżam z parkingu. Tessie traci równowagę, leci do przodu i uderza w deskę. Zwalniam, żeby stanęła na łapach, i już jestem na autostradzie, cisnąc pedał gazu i próbując ustawić prosto oparcie fotela.

Kiedy oddalam się szybko na północ, nie mogę się opędzić od wspomnienia... Facet miał erekcję i chciał, żebym – co?

– Jak mógł przypuszczać, że kogoś tym skusi? – pytam Tessie.

Późnym popołudniem skręcam w lewo przy skrzynce pocztowej z napisem „Sadyba”. Tessie warczy na wartownika, który nie zwracając na nią uwagi, każe mi otworzyć bagażnik. Po kontroli dostaję pozwolenie na wjazd, parkuję i wypuszczam Tessie. Pędzi w stronę głównego budynku, wchodzi na klomb i tam się załatwia. Ma sraczkę.

– Jak wabi się pies? – pyta krzepki ochroniarz z krótkofalówką.

– Tessie – odpowiadam.

Ochroniarz kuca, nie zważając na okropny smród.

– Tessie? Dobry pies? Miękki, kudłaty? Grzeczny pies, grzeczna Tessie. Nie duża zła, nie warczy, nie gryzie?

Suka liże go po twarzy.

– Wiedziałem. Całusna psina.

Po wpisaniu siebie i Tessie na listę zauważam, że tym razem pracownicy traktują mnie milej, ale przyznam, że podchodząc do recepcji, spodziewam się kłopotów. Stawiam torby na ladzie, jakbym tylko czekał, aż je przeszukają. Recepcjonistka podejrzanie gorliwie rozpina suwak, wyjmując dużą plastikową torebkę z lekami i ogłasza przez interkom:

– Kontrola narkotyków w recepcji.

– To są leki na receptę, nie narkotyki.

– My tu mówimy po swojemu – oświadcza recepcjonistka. – Życzy pan sobie herbatę i ciastko? Kierowniczką będzie za kilka minut.

Wskazuje czajnik z gorącą wodą i puszkę duńskich ciastek.

Biorę jedno dla siebie, drugie dla Tessie.

– Czy to pies do terapii? – pyta.

– Nie, zwykły – odpowiadam.

Zjawia się kierowniczką i unosi szczelnie zamkniętą torebkę, trzymając ją pod światło fluorescencyjnych żarówek w suficie, jakby były aparatem rentgenowskim. Potrząsa nią jak dzwonkiem i oddaje.

– W pańskim pokoju jest szafka jak sejf hotelowy. W niej proszę całą czas trzymać swoje leki. Ma pan coś

metalowego: aparat fotograficzny, urządzenie do nagrywania, broń?

– Nic poza tym, co CIA wszczepiło mi do głowy – odpowiadam.

– Ktoś może źle zrozumieć dowcipy – ostrzega kierowniczką.

– Nigdy przedtem nie byłem w szpitalu psychiatrycznym. Jestem zdenerwowany.

– Niepotrzebnie. Nie jest pan pacjentem, prawda?

Zjawia się młody człowiek; wygląda jak uczeń liceum, ale przedstawia się jako doktor Rosenblatt.

– Rozmawialiśmy przez telefon – przypomina, ściskając mi dłoń. – Wiem, że poprzednim razem niewiele pan zobaczył, a zatem na początek proponuję wycieczkę. Zagospodarowanie terenu zaplanował ten sam człowiek, który projektował Central Park i obiekty w parku w Paryżu – opowiada, wyprowadzając mnie z głównego „pawilonu” tylnymi drzwiami.

– Ładnie tu – mówię, patrząc na plamy cienia i światła na łagodnych wzgórzach. – Jak w parku narodowym.

– Nazywamy to kampusem – wyjaśnia Rosenblatt.

Na „kampusie” nie brakuje kręgielni, toru golfowego,

kortu do tenisa. Z tym wszystkim niepoczytalność nabiera atrakcyjności. Tessie jest zachwycona spacerem; załatwia się wielokrotnie. Rosenblatt kończy wycieczkę w części posiadłości leżącej nieco na uboczu – przy długim niskim budynku, który przypomina stary motel dla myśliwych gdzieś w głuszy.

– Ten budynek pełni różne funkcje, między innymi lokum dla gości. Środki bezpieczeństwa mogą się panu wydać nadmierne, i słusznie. Mamy obecnie w zakładzie byłego kandydata na prezydenta. Musimy zachować szczególną ostrożność; zdarzało się, że podkradali się paparazzi.

– Ciekawe – mówię.

– Leczymy bardzo różne przypadki.

– Przegrana w wyborach jest przypadkiem chorobowym?

– To bardzo duży stres – wyjaśnia Rosenblatt. – Słyniemy z tego, że leczą się u nas znane osobistości: przemawia za nami ustronne położenie, stabilny zespół, prywatne lotnisko oddalone o piętnaście minut jazdy. Kilka lat temu była u nas gwiazda kina. Znanemu aktorowi po liftingu twarzy wdała się infekcja, po której wyglądał jak ktoś całkiem inny, przez co niemal odszedł od zmysłów.

– Jak go leczycie?

– Zachęciliśmy, żeby zaczął zapuszczać brodę, aż poczuje się pewniej – odpowiada psychiatra, jakby to było

oczywiste.

Otwiera drzwi i zaprasza mnie do pokoju, który mógł zaprojektować Marsjanin czytany w przekładach prac o amerykańskiej historii: panują tu kolory czerwony, biały i niebieski – oraz brązowy. Wszystko ma kojarzyć się z Jankesami, Normanem Rockwellem i być dobre dla zdrowia. Meble są w stylu Ethana Allena, drewniane, stuprocentowo amerykańskie, najlepiej pasuje do nich określenie „kolonialne”, ja nazwałbym je pewnie bezpiecznymi i ponadczasowymi. Nie da się zdjąć wieszaków z pręta w szafie, zegar jest na baterie, wszystkie lampy mają krótkie przewody. Na komodzie – na wypadek kłopotów z aprowizacją – stoi nieduży koszyk z dwiema butelkami wody, proteinowym batonikiem i suszonymi żurawinami. Ironiczną przeciwwagą dla zwodniczo przytulnego wystroju jest świecący nad drzwiami duży czerwono-biały neon WYJŚCIE. To jak przeniesienie się do Ameryki, której nigdy nie było, Ameryki wymarzonej przez Ozziego i Harriet<sup>[12]</sup>. Na nocnym stoliku przy łóżku leży notes z logo zakładu – prawdziwa gratka dla kolekcjonera „obłądnych” souvenirów.

Myślę o meblach Nixona. O ulubionym, wyściełanym brązowym aksamitem fotelu ogrodowym, na którym drzemał po lunchu w „prywatnym” gabinecie w starym budynku administracji, tuż za Białym Domem. Myślę o „biurku Wilsona”. Nixon zażyczył go sobie do Gabinetu

Owalnego, spodziewając się, że dostanie mebel używany przez prezydenta Woodrowa Wilsona, podczas gdy dostał biurko należące do byłego wiceprezydenta Harry'ego Wilsona. W 1971 roku zainstalował w nim pięć urządzeń podsłuchowych. Biurko powróciło na dawne miejsce, do biura wiceprezydenta w Kapitolu Stanów Zjednoczonych, i od tamtej pory korzystali z niego Walter Mondale, George Bush, Dan Quayle, Al Gore, Dick Cheney i Joe Biden. Nie mam pojęcia, co się stało z „pluskwami”, które Nixon połączył ze starą szatnią w suterenie Białego Domu. Rozglądam się po motelowym pokoju i przychodzi mi na myśl różne pluskwy, elektroniczne i pościelowe – ostatnio media trąbiły o epidemii tych ostatnich.

– Pozwalacie na wizyty współmałżonków? – pytam.

– To zależy od lekarza – odpowiada Rosenblatt, zapominając, że sam jest lekarzem.

Zauważam, że w pokoju nie ma telewizora, więc pytam:

– Czy George ma telewizor?

– Na kampusie nie ogląda się telewizji, za to w piątki mamy wieczór filmowy.

– W domu brat ma telewizor w każdym pokoju. Nie znosi być sam. Nawet w toalecie musi słyszeć kogoś, kto do niego mówi. Wie pan, że prowadził sieć telewizyjną?

Rosenblatt kiwa głową.

– Zmienił oblicze telewizji – ciągnę, wychwalając



George'a. – To dzięki niemu powstały takie programy jak *Twoje życie jest do bani*, *Wojny lodówkowe*, *Moja droga*, czyli *autostrada*, *Lekarze po godzinach*.

Widząc, że Rosenblatt mnie nie słucha, dorzucam zmyślane tytuły, żeby go sprawdzić, na przykład: *Już raczej śmierć wolę niż z żoną swawole*. Spokojnie kiwa głową.

– Nie jest pan fanem telewizji? – upewniam się.

– Nigdy nie miałem telewizora – wyznaje. – Chcesz szklanek wody? – zwraca się do Tessie.

– Ona woli pełną michę niż szklanek pustą do połowy – trajluję.

Gdy otwieram psi bagaż i wyjmuję miskę, Tessie znajduje łazienkę i zaczyna chłęptać z miski klozetowej.

– Gdzie studiował pan medycynę? – zmieniam temat.

– Na Harvardzie.

– Jak trafił pan tutaj?

– Jestem specjalistą od elektrowstrząsów. Kiedy byłem nastolatkiem, leczyłem kota z nerwicą lękową skonstruowanym w domu aparatem elektrycznym, który potem zaadaptowano do użytku w krajach Trzeciego Świata.

– W Trzecim Świecie jest tyle znerwicowanych kotów?

– Chodzi o ludzi.

– Nie wiedziałem, że nadal stosuje się elektrowstrząsy.

– Są bardzo popularne. Powróciły jako jedna ze skutecznych metod leczenia depresji lekoopornej.

Ton głosu Rosenblatta, mówiącego: „jedna ze

skutecznych metod leczenia depresji lekoopornej”, przypomina mi reklamy płynu do prania, w których plamy z trawy odrywają się od nogawek spodni khaki i odpływają w siną dal. Tak oto elektrowstrząsy wiążą mi się od tej chwili na mur beton z detergentem.

– Nie miałem o tym pojęcia – dziwię się, bo sądziłem, że zostały zakazane jako niehumanitarne i okrutne. – A ile kosztuje pobyt tutaj?

– Pański brat ma bardzo dobre ubezpieczenie.

– Jak dobre?

– Najlepsze.

– A dokąd wędrują ludzie, kiedy „ukończą” program?

– Część do innych ośrodków stacjonarnych z własnymi programami, inni do instytucji przejściowych, a niektórzy do domu.

– A do więzienia?

– Jest pan zły na brata.

Rosenblatt notuje.

– Trochę tak – przyznaję.

– Chciałby pan, by go ukarano.

– Wątpię, czy jego da się ukarać. Tak przynajmniej mówiła moja matka.

– Naprawdę?

– Tak. Często powtarzała: „Twój brat jest dziwny, robi, co chce, a jeśli ktoś próbuje go ukarać, w ogóle się tym nie przejmuje”.

– Interesujące. Myśli pan, że to prawda? – pyta

Rosenblatt.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Trudno zrobić na nim wrażenie. A propos, kiedy go zobaczę?

Patrzę na zegarek; jest wpół do szóstej.

– Doktor Gerwin, który prowadzi pana brata, chciałby chwilę z panem porozmawiać, a potem zaprowadzimy pana do George'a. – Rosenblatt wyjmuję i podaje mi rozkład zajęć. Potem wręcza jeszcze jedną kartkę, z ankietą. – Bardzo proszę wypełnić to przed odjazdem i zostawić w recepcji. Ankiety są oceniane, zdobywamy punkty, które się przelicza na różne bonusy... Idę pobiegać – dodaje, patrząc na Tessie. – Chętnie zabiorę psa.

Wspominam jego eksperyment z kotem.

– Dziękuję, wolę, żeby został ze mną.

Wracam do głównego budynku. Z doktorem Gerwinem spotykam się w niewielkim pokoju, bezosobowym i antyseptycznym jak pomieszczenie, w którym zapisują do centrum sportowego lub do marynarki. Natychmiast po podaniu mi ręki doktor pompuje na swoje dłonie żel dezynfekcyjny Purell.

– Może ja też powinienem – proponuję żartobliwie.

Podsuwa mi pojemnik; napełniam dłonie żelem i szybko je pocieram.

– Ale fajnie – mówię.

Gerwin przypomina aktora Steve’a Martina; rysy ma gumowate, ale wyraz twarzy niezmienny, jakby jej właściciel, przejrzaawszy się w lustrze, uznał, że taka mina – tolerancyjny, niezobowiązujący półuśmiech – nada się najlepiej. Wyjmuje szarą teczkę i sadowi się przy małym biurku.

– Kiedy był pan pierwszy raz u psychiatry? – pyta.

– Ja?

– Tak.

– Nie byłem wcale. Nie bywam. Nie widziałem psychiatry na oczy.

– Nie wydaje się panu dziwne, że przeżył pan tyle lat, nie zwracając się nigdy o pomoc?

– Nie.

– Przejdźmy... do pańskiego życia seksualnego – mówi Gerwin.

Nie jestem pewien – pyta czy stwierdza?

– Dobrze.

– Jak by je pan opisał? Jaki ma zapach?

– Wanilii.

– Uprawia pan seks poza głównym związkiem?

– Nie – zaprzeczam, zachodząc w głowę, ile wie o wydarzeniach, które doprowadziły do tej chwili.

– prostytutki?

– Chodzi o mnie czy o George’a? – pytam. – Proszę zapisać w tamtej rubryczce „postawa defensywna”. Chcę

pomóc bratu, ale mam prawo do życia prywatnego.

– Tak, wszyscy mamy życie prywatne – potwierdza Gerwin. – Prostyutki? – ponawia pytanie.

– Żadnych prostytutek. Mam życie prywatne, co znaczy, że nie chcę o nim z panem rozmawiać.

– Zważywszy na okoliczności, wydaje się nam, że warto byłoby omówić pewne sprawy.

– Dla pana warto, dla mnie nie.

– Jak opisałby pan swoje życie emocjonalne?

– Nie mam takiego – odpowiadam szczerze. W tej mierze zazdroszczę Nixonowi: umiał płakać, można go nawet nazwać mazgajem. Często ronił łzy, popłakiwał, wcale się z tym nie kryjąc. – Unikam emocji.

– Każdy ma swoją strategię przetrwania. Jeśli zdarzy się coś przykrego, jeśli ktoś pana źle potraktuje, co pan wtedy robi?

– Udamę, że nic się nie stało.

Odnajdujemy George'a na korcie tenisowym. Maszyna do piłek strzela w jego stronę piłkami, a trener wykrzykuje wskazówki: zamach, wyrównać, wykończyć.

– Ma silny bekhend – komentuje doktor, przyglądając się przez szybę.

– Zawsze miał – mówię.

Po skończonej lekcji tenisa zostaję zaproszony do szatni na spotkanie z bratem. Gerwin zabiera Tessie. George stoi nagi pod prysznicem i rozmawia ze mną, namydlając się i spłukując.

– Zabrałeś Tessie? – pyta.

– Jest na zewnątrz. Nie przyprowadziłem jej tutaj, bo nie lubi kafelków. Masz dobry bekhend – próbuję zagaić. Nie mam zielonego pojęcia, o czym z nim rozmawiać.

– Mówią, że robię postępy.

– Świetnie.

Przychodzi mi na myśl, że może mu się wydaje, iż jest na jakichś wczasach dla VIP-ów, a nie w zakładzie psychiatrycznym.

– Niedługo kolacja. Zostajesz? – pyta.

– Tak. Zostaję do jutra.

Wszystko to jest trochę dziwne, nierealne. Lekarze przysłali mnie do szatni, żebyśmy nawiązała kontakt z bratem, nagim i unoszącym się na fali odurzenia lekami i grą na korcie.

Weź się ubierz – mówię i wychodzę.

Trafiam na Gerwina, który oddaje mi smycz. Obok niego stoi Rosenblatt i trener tenisa. Wszyscy trzej rozmawiają o tym, jak to dobrze, że George „wrócił do gry”.

Na widok swojego pana Tessie zaczyna mocno ciągnąć. George przykuca przed nią, wypinając tyłek i wyciągając ręce, jakby zachęcał do zabawy. Tessie jest podniecona, ale podejrzliwa. George obraca się na grzbiet, macha rękami i nogami. Tessie zachowuje się tak, jakby się cieszyła, lecz zarazem wiedziała, że jej pan zwariował. Moje odczucia – ostrożny optymizm – są podobne.

– Sprytna sunia – mówię.

Kiedy wchodzimy do jadalni, ktoś z personelu wyprowadza Tessie „na czas, kiedy będą panowie jedli”. George obraca się do mnie i mówi:

– Postarzałeś się.

– Miałem mały wypadek.

– A kto nie miał!

– Miałem drugi. Po tamtym.

Rosenblatt, Gerwin i trener wchodzą za nami do jadalni.

Siadamy. Wsuwam pod uda gruby plik papierów, które przywiozłem z domu i teraz wszędzie ze sobą noszę. Kelner pyta, kto życzy sobie „jagodową bombę”. Wszyscy prócz mnie podnoszą rękę.

– Pan też czy nie? – pyta trener, patrząc na mnie.  
– Co to jest jagodowa bomba?  
– Zielono-czerwony koktajl, bogaty w antyoksydanty, z dodatkiem kwasów omega-3 – wyjaśnia jako coś oczywistego.

– Świetnie – mówię. – Ja też chcę.

– A jaki batonik? – pyta George.

– Toffi-Mocha Musketeer.

Chciałbym wiedzieć, w jakim języku rozmawiają.

– Poproszę stek – zamawiam.

– Prowadzimy kuchnię wegetariańską – mówi kelner.

– Mogę podać seitan piccata. To zastępnik mięsa. Klienci mówią, że smakuje jak cielęcina.

– Nie mogę się doczekać.

Kelner zbiera resztę zamówień i informuje, że bar sałatkowy jest otwarty. Rozglądam się. Trudno się zorientować, kto ze stołowników jest członkiem personelu, a kto pacjentem; wszyscy są ubrani jak do gry w golfa. Za barem sałatkowym są drzwi prowadzące chyba do prywatnej jadalni. Nagle robi się ruch i przez główną salę przemieszcza się do tej mniejszej grupa osób. W środku, niczym w otoczeniu świty, kroczy starszy mężczyzna, były kandydat na prezydenta. Widzę tył jego głowy, gęste siwe włosy.

– Jest pan historykiem? – pyta Gerwin, siłąc się na uprzejmość.

– Profesorem i autorem; pracuję nad książką.



– Mój młodszy brat myśli, że wie coś o Nixonie – wtrąca George.

– Jestem starszy, dokładnie o jedenaście miesięcy. Starszy – podkreślam.

– Co pana interesuje w Nixonie? – pyta Gerwin.

– A co w nim nie jest interesujące? Fascynująca postać, historia nie do końca opowiedziana.

– Mój brat zakochał się w Nixonie, podziwia go mimo jego wad. Podobnie jak mnie, boki zrywać – mówi George.

– Skoro mowa o tobie: czy George pójdzie siedzieć do końca życia?

– Nie my o tym decydujemy – zapewnia Gerwin, jakby chciał go chronić.

– Nie jesteśmy prawnikami – odzywa się trener.

– Przejdźmy do konkretów, panowie – mówi George.

– George, opowiadałeś panom, jak kiedyś tata tak cię grzmotnął, że przez tydzień miałeś gwiazdy przed oczami?

– Przypomnij mi. Jak to było?

– Dałeś się staruszkowi we znaki, nie pamiętam, o co poszło. Kazał ci podejść bliżej, a kiedy to zrobiłeś, rzekł: „Żeby ci się nigdy nie myliło, kto tu jest szefem”, i ci przyłożył. Ojczulek był jak prymitywny mafioso, krzyczał i poniżał przy każdej okazji.

– Mówisz o nim źle, bo mnie bardziej lubił – mówi George.

– Nie przejmuję się tym, jak bardzo mnie lubił czy nie lubił. Kiedy myślę, jaki byłeś dawniej, George, mam wrażenie, że powinniśmy dostrzec sygnały ostrzegawcze: filiżankę roztrzaskaną o kuchenną szafkę, zagłębienie w ścianie działowej wielkości człowieka, zgiętą pokrywę śmietnika.

– Wybuchy agresji przeciwko przedmiotom niekoniecznie zapowiadają, że ktoś zabije żonę – komentuje Rosenblatt.

– Racja. George, pamiętasz, jak na pytanie psychiatry: „Czy uderzył pan kiedyś kobietę?”, odpowiedziałeś: „Tylko w tyłek”?

George śmieje się serdecznie.

– Pamiętam, pamiętam – mówi.

– A strzelanie do celu? – zwracam się do opiekunów George’a. – Pamiętasz zabawy karnawałowe na ulicy, jak strzelałeś śrucinami w pana Magoo, a potem obróciłeś się i wycelowałeś strzelbę w brata?

– Wyrwane z kontekstu, trudno to ocenić – komentuje Rosenblatt.

– Opowiadał panu, jak przejechał mnie samochodem?

– No proszę, znów wyciągasz tę starą historię, swoją ulubioną. Nie przejechałem cię, tylko potrąciłem.

– Umyślnie.

George wzrusza ramionami.

– Nie przeczę.

– W szkole przezywano go Pogromca.

– Dość – przerywa Gerwin. – Ta kolacja służy temu, by rozmawiać o błahostkach, spędzić wspólnie czas.

– Tak jest – mówi George. – Przystopuj.

Próbuję seitan piccatę, która smakuje jak tektura w bułce tartej i lepkiem sosie z cytryny, kaparów i mąki kukurydzianej. Podczas posiłku pytam Rosenblatta, kiedy mógłbym spędzić z George’em kilka minut sam na sam, omówić prywatne sprawy rodzinne, naprawy domowe, pogadać o dzieciach, zwierzakach, finansach.

– Nie uwzględniono tego w planie? – pyta zdziwiony.

Potrząsam głową.

– Dlatego tu przyjechałem. Muszę z nim porozmawiać. Może dziś po kolacji? – proponuję.

Rosenblatt patrzy na mnie tak, jakby w ogóle o tym nie pomyślał.

– Może być – orzeka, wyjmuje długopis i notuje w rozkładzie zajęć.

Po sojowym tofutti z gorącym kremem krówkowym i zielonej herbacie o smaku wody po rybach Gerwin, trener i Rosenblatt wstają.

– Na dziś się pożegnamy – mówi Gerwin.

Trener klepie George’a po plecach.

– Jestem z ciebie dumny – zapewnia. – Naprawdę bardzo się starasz.

Tak go chwala, tak mu kadzą, aż robi się niedobrze.

– Traktujecie tak wszystkich pacjentów? – pytam.

– Tak – mówi Gerwin. – Staramy się stworzyć

bezpieczne środowisko, wiele trudności bierze się ze strachu.

– Będę tam – Rosenblatt pokazuje stolik przy drzwiach – gdybyście mnie potrzebowali.

– Kurewski pokaz dziwołągów – stwierdza George, kiedy zostajemy sami.

– Jesteś tutaj gwiazdą – mówię.

– Jak tam mój psiak i kicia?

– Dobrze. Wolałbym, żebyś mnie uprzedził o niewidzialnym płocie, ale jakoś to rozgryźliśmy.

– Dajesz Tessie witaminy i środki przeciwwzapalne?

– Które są jej?

– W szafce kuchennej, w dużym słoiku.

– Myślałem, że to twoje. Biorę je codziennie.

– Kretyn!

Wyciągam spod tyłka plik dokumentów.

– Muszę cię spytać o kilka rzeczy. Zacznę od drobiazgow. Jak działa zewnętrzne oświetlenie podwórka od frontu? Spotkałem Hirma P. Moody'ego, przyszedł na pogrzeb. Płaci wszystkie rachunki? Czy jest coś, co powinienem wiedzieć o kontaktach, na co mam mieć oko, jak jest opłacany Moody? Jaki jest twój numer PIN? Próbowałem użyć jednej z kart kredytowych, ale była chroniona hasłem. Poprosili o panińskie nazwisko matki, wpisałem Greenberg, ale to była zła odpowiedź.

– Dandridge – mówi George.

– Czyje to nazwisko?

– Panieńskie nazwisko Marthy Washington – oznajmia takim tonem, jakbym powinien je znać.

– Ha, ha, nigdy bym na to nie wpadł. Myślałem, że chodzi o panieńskie nazwisko naszej matki, a nie matki Ameryki.

– Czasem zapominam danych własnej rodziny, ale danych Marthy nigdy. Dziwię się, że tego nie wiedziałeś, a nazywasz siebie historykiem.

– Wróćmy do naszej historii. Wpisałem Nowy Jork jako miejsce twojego urodzenia, ale to znów była zła odpowiedź.

– Wpisuję Waszyngton, D.C. – mówi George. – Rzecz w tym, co siedzi mi w pamięci.

– A właśnie, póki pamiętam. – Słowo „siedzi” podsuwa mi skojarzenie z „w sieci”. – Poznałem twoją przyjaciółkę.

– Aha – bąka zaskoczony.

– Mówi, że twój fiut smakuje jak surowe ciasto i że znasz ją lepiej od tyłu niż od przodu.

Mina George’a jest bezcenna.

– Nie wiem, o co chodzi – płacze się zmieszany. – Chciałeś mnie wypytać o sprawy domowe, a wyskakujesz z czymś takim. Na pewno nie pracujesz dla wroga?

– Skąd miałbym wiedzieć, kto jest twoim wrogiem? Czy oni się przedstawiają? A skoro już wkroczyliśmy na śliski grunt: czy twój adwokat cię odwiedza? Przygotowuje jakąś obronę? Odbierasz telefony, dostajesz listy?

– Nic, cisza – mówi George. – Zostałem sam, jak Chrystus na krzyżu.

To górnolotne porównanie mnie bawi.

– Zaprzyjaźniłeś się tu z kimś?

– Nie. – Wstaje od stolika. – Same świry.

– Dokąd idziesz?

– Muszę się odlać.

– Pozwalają ci chodzić samemu? – pytam, szczerze zaniepokojony.

– Może zwariowałem, ale nie jestem dzieckiem, dupku – odpowiada i wychodzi z jadalni.

Siedzący dalej i wypełniający swoje karty Rosenblatt rzuca mi spojrzenie – „wszystko w porządku?”.

Unoszę kciuk.

W jadalni nie ma nikogo więcej prócz kelnera nakrywającego stoliki na jutro i sprzątacza ze szczotką do dywanu.

George wraca i zaczynamy właściwie od nowa. Pachnie spirytusowo.

– Odświeżyłem się purellem – wyjaśnia. – Natarłem ręce i twarz. To takie przyjemne, że zdjąłem koszulę i natarłem się pod pachami. Uwielbiam ten zapach. Gerwin mnie tym zaraził. Kiedy widzę, jak cały dzień się myje, to aż mnie zastanawia, po czym on czuje się taki brudny.

Puszcza do mnie oko.

Nie komentuję, tylko opowiadam mu o wyprawie do

szkoły na Dzień Sportu.

– Zatrzymałem się w pensjonacie za sto osiemdziesiąt za noc, wszystko było wynajęte, kobieta odstąpiła mi pokój córki. Przez całą noc kręciła mi się nad głową niemowlęca zabawka Hello Kitty.

– Mam pokój w Sheratonie. Jest zarezerwowany i opłacony z góry na pięć lat.

– Skąd mogłem wiedzieć?

– Nie mogłeś.

– Właśnie dlatego tu jestem. Muszę się dowiedzieć o różnych rzeczach. Uważasz, że dzieci powinny się z tobą zobaczyć, przyjechać na weekend?

– Dzieci nie są tu mile widziane. Nigdy żadnych nie widziałem. – George smutnieje, zamyśla się. – Pamiętasz, jak kiedyś... dawno temu, mieliśmy po osiem, dziewięć lat... walnąłem pięścią faceta, który szedł ulicą, przypadkowego przechodnia?

Kiwam głową: kto by zapomniał coś takiego?

– To było fantastyczne – stwierdza George. Najwyraźniej wciąż czerpie przyjemność, jeżeli to właściwe słowo, z tamtego incydentu. – Zobaczyłem, jak zgina się w pół, i pomyślałem: o rany, to jest niezemskie, fantastyczne. – Potrząsa głową, jakby chciał odpędzić wspomnienie i wrócić do teraźniejszości. – Byliśmy główniarzami, którzy dostawali to, co chcieli.

Wzruszam ramionami.

– A skoro mowa o dziwnych wydarzeniach, to wraca

do mnie jedno wspomnienie. – Milknę. – Czy pieprzyliśmy panią Johannson?

– My, obaj?

– Zapamiętałem, że obaj pieprzyliśmy sąsiadkę: ty ją posuwasz na ogromnym łóżku, a ja kibicuję, pękając z dumy: dawaj, dawaj, dawaj. Kończysz, a ona chce jeszcze i posuwam ją ja.

– Może opowiadałem ci, że ją dymałem – mówi George. – Kosilem jej trawnik, czasem zapraszała mnie na lemoniadę, a potem zaczęła zapraszać na górę.

Czy tak to było? George ją dmuchał, opowiadał mi o tym, a ja, puściwszy wodze fantazji, przeniosłem się do jej sypialni? Obraz w mojej pamięci jest taki żywy, widzę, jak George wsuwa w nią i wysuwa sinego kutasa, widzę zadartą sukienkę i ciemną pochwę otwartą jak krwawa rana.

Siedzę przez chwilę cicho, nagle wyzuty z sił.

– Ty dupku – mówi George, kiedy pakuję teczkę z przegródkami, szykując się do wyjścia. – Nie powiedziałeś nic o mamie. Jak się miewa? Pyta o mnie?

Przypominam mu, że sam miałem niedawno wypadek i ostatnio nie widywałem się z mamą, ale z domu opieki donoszą, że czuje się dobrze. Wspominam, że się człogała, i to budzi jego niepokój.

– Człogała się po podłodze jak karaluch?

– Tak mówią. Mają zdjęcia, gdybyś chciał zobaczyć.

– Musisz ją odwiedzić – mówi George. – Jak tylko stąd



wyjdziesz, odwiedź ją i osobiście to sprawdź.

– Mam to na liście spraw do załatwienia – zapewniam.

– Czy o czymś jeszcze powinienem wiedzieć?

– Zadbaj o moje róże. Regularnie je podlewaj, spryskuj, pilnuj, żeby nie wdały się mszyce ani żadna inna zaraza. Moja ulubiona to różowa Gertrude Jekyll przy drzwiach wejściowych.

– Postaram się – obiecuję. – Masz spis fachowców od napraw, hydraulika, elektryka, kogoś do ścinania trawnika, itepe?

– Nic o tym nie wiem, spytaj Jane – mówi szybko i obaj milkniemy.

Pora spać – zarządza Rosenblatt, podchodząc do nas.

Prowadzi Tessie na smyczy, po którą sięgamy obaj z George'em.

– Ona idzie ze mną – oznajmia George.

– George ją chce – mówi Rosenblatt.

– To mój pies – przypomina George.

– Dbalem o nią – argumentuję. – Przywiązała się do mnie.

– Jako rodzic wymierzający karę mógłbym zadecydować, że Tessie nie będzie spała z żadnym z was, ale tego nie zrobię. Pan miał tego psa przez tyle dni, że dzisiaj dostaje go George.

– Wygrałem!

George wyrywa smycz Rosenblattowi.

Tylnymi drzwiami doktor wyprowadza mnie na chłodne powietrze i idziemy na skróty do mojego pokoju. Brzęczyki sygnalizują otwieranie, pokonujemy strefy zamknięte na podwójne rygle, zastanawiam się, co pocznę, jeśli w nocy będę musiał, nie daj Boże, wyjść.

– Wiem, o czym pan myśli. Bez obawy, zamknięcia są po jednej stronie, od siebie może pan wyjść swobodnie – mówi Rosenblatt, a pod drzwiami do mojego pokoju dodaje: – Cieszymy się, że pan tu jest. To dobrze.

Spodziewam się nieledwie, że mnie uściska.

– W takim razie do zobaczenia jutro – mówię, wskakuję do pokoju i zamykam drzwi.

Podpieram gałkę krzesłem; nie mogę wyjść, ale nikt też tu nie wejdzie.

Torba Tessie, leżąca tuż przy mojej na półce na bagażu, uświadamia mi, jaki jestem samotny. Czy zdołam zasnąć bez psa, telewizji, bez niczego, co zagłuszyłoby tę koszmarną myśl? Otwieram sejf, wydaję leki i czytając instrukcje, uświadamiam sobie, że zapomniałem wziąć pigułki przy kolacji, pocieszam się jednak, że nic się nie stanie, jeżeli zażyję je teraz, razem z pigułkami na noc. Połykam osiem różnych kapsułek i tabletek, wkładam piżamę, kładę się do łóżka i czekam.

W porównaniu z tym miejscem pokój z Hello Kitty

w pensjonacie wydaje się przytulny jak numer w hotelu Four Seasons. Łapię się na tym, że brakuje mi chomika, tęsknię za czarnymi oczkami, skrzypieniem kółka do ćwiczeń. Tutaj otacza mnie betonowa cisza.

Dla uspokojenia myślę o Nixonie, jego zamiłowaniu do kręgli, jego ulubionych cukierkach, Skittles, jego podejściu do życia: „Człowiek nie jest skończony, kiedy przegrywa. Człowiek jest skończony, kiedy się poddaje”. I: „Nie sądzę, by przywódca kontrolował w znacznym stopniu swoje przeznaczenie. Bardzo rzadko może wkroczyć i zmienić sytuację, jeżeli prądy historii płyną w innym kierunku”. „Zniosę to. Im jest trudniej, tym bardziej jestem opanowany”.

Myślę o swojej książce i o tym, co z nią dalej zrobić. Myślę o czołgającej się matce, wyobrażam sobie George’a, jak w wielkich jednoczęściowych „śpiochach” przychodzi wieczorem do pokoju pielęgniarek i mówi:

- Chcę mleka.
- Kuchnia jest zamknięta, wracaj do łóżka.
- Chcę mleka!

Zaskoczona pielęgniarka naciska guzik pod blatem, ze wszystkich stron zbiegają się strażnicy z pałkami i paralizatorami, unieszkodliwiony George pada na podłogę i zostaje odwieziony do łóżka wózkiem bagażowym.

Słyszę tupot tysiąca stóp, łomotnięcie w ścianę i dociera do mnie, że mój pokój sąsiaduje z maszyną do robienia lodu, która przed chwilą wyrzuciła z siebie do pojemnika nową porcję.

Wpadam w panikę, brakuje mi powietrza. Obsesyjnie myślę o tym, co jest za niebieskimi aksamitnymi zasłonami. Odsuwam je jednym szarpnięciem. To gorsze niż nie zobaczyć nic – przed sobą mam brzydką betonową ścianę. Szukam okna i znajduję tylko mały otwór wentylacyjny w łazience. Przybliżam się do niego, zasysam powietrze, przekonany, że w tym pomieszczeniu jest jakaś trucizna, od której zaraz umrę. Biegnę do sejfu, wyciągam zapas ambienu, jakbym ratował się antidotum. Rzadko biorę pigułkę na sen, ale tym razem zażywam dwie; przy otworze wentylacyjnym nabieram więcej powietrza do płuc i niechętnie kładę się do łóżka.

Budzi mnie łomotanie. Krzesło podstawione pod gałkę drzwi aż podskakuje.

– Nie śpi pan? Nic panu nie jest? – słyszę stłumiony głos.

Po dłuższej chwili udaje mi się uruchomić usta. Wydaję nieartykułowany okrzyk i krzesło nieruchomieje.

– Nie przyszedł pan na śniadanie – poznaję głos Rosenblatt.

– Zasasupłyn – odpowiadam, sądząc, że mówię, iż zasnęłam.

– Będzie pan gotów za dwadzieścia minut?

– Zammminuma.

Prowadzę się do łazienki. Teraz już wiem, jak bym się czuł, gdybym żył dwieście pięćdziesiąt lat. Biorę zimny prysznic, mówiąc na głos do siebie, starannie wymawiając słowa. Po dwudziestu minutach jestem ubrany, siedzę na krześle, którym przedtem blokowałem drzwi, jem baton proteinowy z koszyka i zastanawiam się, co przyniesie ten dzień.

– Ależ mnie pan wystraszył – mówi Rosenblatt, gdy przychodzi po raz drugi. – Myślałem, że się pan zabił.

– To byłoby zbyt proste – odpowiadam. – Nie mogłem zasnąć, tęskniłem za psem, wziąłem duży proszek na sen.

– Widać podziałał. Napije się pan kawy?

– Poproszę.

Dostaję dużą kawę.

– No, pora ruszać – ponagla Rosenblatt. – George pracuje z trenerem, a ja chcę coś panu pokazać.

Idziemy do sali konferencyjnej, gdzie przygotowano jakieś urządzenie, podłączone do niego okulary i ekran.

– Proszę nałożyć okulary, śledzą ruch gałek ocznych – wyjaśnia Rosenblatt. – Na ekranie pojawi się seria słów. – Wręcza mi mały pstryczek połączony przewodem z tym samym urządzeniem co okulary. – Proszę tym klikać, kiedy słowo będzie miało związek z pańską relacją z bratem. Jest pan gotów?

– Tak.

Pojawia się pierwsze słowo. „Kwiat”. Klikam.

– Kliknął pan umyślnie? – upewnia się Rosenblatt.

– Owszem, George bardzo lubi kwiaty.

Drugie słowo: „Łagodny”. Nie klikam.

„Współczucie”. Palec odpoczywa.

„Gniew”. Klikam.

„Antagonizm”. Klik, klik.

– Umyślnie nacisnął pan dwa razy?

– Nie wiem.

„Wrogość”. „Złośliwość”. „Uraza”. Klik, klik, klik.

„Życzliwy”. Rozruszany palec omal nie klika.

„Łagodny”. Odpoczywam, nabieram powietrza.

„Serdeczny”. Palce mi drętwieją z braku ruchu.

„Ranić”. „Niszczyć”. „Tyranizować”. Zbyt oczywiste: klik, klik, klik.

„Przywiązany”. Klik.

Ekran gaśnie.

– Czy słyszał pan o okresowym zaburzeniu eksplozywnym, IED? – pyta Rosenblatt.

– To brzmi jak kłopoty trawienne.

– Opisywane jest ono często jako „częściowa niepoczytalność”. To niezdolność zapanowania nad impulsem agresji, ekstremalny wyraz gniewu, niekontrolowana wściekłość, powszechniejsza, niż się zdaje. Sądzę, że właśnie z nią mamy do czynienia w tym przypadku.

Czemu czekam, aż powie „dzieło diabła”?

– W takiej sytuacji – ciągnie Rosenblatt – zapewne przyczyn jest wiele: chemia, stres, leki, nastrój i niestabilność umysłowa. Postawimy diagnozę wieloaspektową i zaproponujemy długofalowe leczenie.

– Zaaplikuje mu pan elektrowstrząsy?

– Nie, ale osobiście uważam, że brat nadaje się do naszych nowych technik psychochirurgicznych, takich jak irradiacja nożem gamma lub, co bardziej prawdopodobne, głęboka stymulacja mózgu. Umieszczamy w mózgu implant, coś w rodzaju rozrusznika, wiercimy dziurkę, wkładamy trzy przewody, wszczepiamy zasilany baterią neurostymulator, regulujemy stymulację. Wiąże się to ze skutkami ubocznymi, pewnym obniżeniem funkcji kierowniczych. Zdajemy sobie naturalnie sprawę, jak sąd zareagowałby na wiadomość, że pański brat zgodził się poddać eksperymentalnej operacji mózgu.

Jestem zszokowany tym, co słyszę. Spodziewałem się, że chowają w zanadrzu coś dziwnego, lecz nie sądziłem, że będzie to sztamkowy szpikulec do lodu wbity w melon.

– Czy to, o czym pan mówi, przypomina lobotomię?

– Tak bym tego nie nazwał, ale podpada pod tę kategorię.

– W oczach sądu taka operacja przemawia na korzyść czy niekorzyść?

– Rzekłbym, że na korzyść. Świadczy, że podjęliśmy

agresywną terapię.

– A co na to George?

– Jeszcze o niczym nie wie. Nikt nie wie. Nie mówiłem nawet Gerwinowi. Gromadzę materiały, a potem przedstawię argumenty.

– A czy pan poddałby się psychochirurgii? – pytam, wiedząc, że sam nigdy bym się na to nie zdecydował.

– Bez namysłu. Nie żartuję. Mógłbym nawet sam na sobie przeprowadzić zabieg.

– Ciekawe – mówię powściągliwie, choć myślę, że mu kompletnie odbiło. – No dobrze, co poza tym ma pan dzisiaj na wokandzie? Jak Tessie?

– Dobrze. Zjadła śniadanie w kuchni, była na spacerze. A dla pana i George'a mamy w planach ustrukturalizowane zabawy, nakierowane na tworzenie więzi i budowanie współpracy w zespole.

– Na przykład jakie?

– Śmieszne.

Zapowiedź budzi moją podejrzliwość. George wraca z porannego treningu, cuchnąc potem; ubranie przykleiło się mu do ciała.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Fantastycznie.

– Miło słyszeć. – Do pokoju wchodzi Gerwin, niosąc tekturowe pudło ze skarbami. – Pomyślałem, że dzisiaj pogramy w gry.

George'owi rozbłyskują oczy.



– W ryzyko? Monopoly? Trivial Pursuit? Mafię? Kiedy byliśmy mali, graliśmy w zabijanego: brało się dużą czerwoną gumową piłkę, jak najmocniej rzucało się nią komuś w twarz i krzyczało „zabity!”.

Do tej pory pamiętam, jak mnie piekła skóra.

– Mieliśmy nie celować w twarz – przypominam.

– Zaczniemy od balonika.

Gerwin wyciąga z kieszeni wiotki żółty balonik, rozciąga go kilka razy i nadmuchuje.

– Nie jestem miłośnikiem gier i zabaw – uprzedzam, obawiając się tego, co nastąpi.

– Zapewniam pana, wiemy o tym i wzięliśmy to pod uwagę – mówi Gerwin, zawiązując węzełek na końcu balonika. – Chciałbym, żebyście stanęli twarzą w twarz.

Posłusznie się ustawiamy.

– Umieszczę balonik między wami.

Balonik powoli opada na podłogę.

– Spróbujmy jeszcze raz. Czy możecie przybliżyć się do siebie, stanąć nos w nos?

George robi krok do przodu. Odruchowo się cofam, nie widzę go wyraźnie. George znów robi krok, a ja się cofam – jak w tańcu.

– Ech – wzdycha Gerwin.

– Z tak bliska nie widzę go dobrze, jest rozmyty – mówię.

– Niech pan patrzy w jakiś punkt za George’em – proponuje Gerwin.

Tak robię. Stoimy z balonikiem zaklinowanym między nami. Czuję na twarzy ciepły oddech brata, czuję woń jego potu.

– Kąpiesz się regularnie? – pytam.

– Tak sędzę – odpowiada, jakby nie wiedział.

– Wystarczy – mówi Gerwin, więc milkniemy. – Zabawa polega na tym, że macie we dwóch, współpracując ze sobą, przenieść ten balonik stąd tam – wskazuje drugi koniec pokoju – tak, żeby nie spadł na podłogę. *Capisce?*

– *Capisce* – odpowiada George i zaczyna iść w stronę wskazanej ściany.

Drepcę bokiem, żeby za nim nadążyć. Balonik z wysokości naszych mostków zsuwa się na wysokość przepony.

– Ustalamy coś? – pytam. – Może uprzedzisz, zanim zrobisz krok.

– Krok. Krok. Krok.

Posuwamy się sprawnie, a potem George, lekko zdekoncentrowany, zamiast iść prosto, skręca w moją stronę.

– Zboczyliśmy na północ, a musimy się kierować bardziej na południe – mówi.

Balonik się zsuwa, omal go nie gubimy, a George, chcąc go podepchnąć, trąca mnie kolanem w pachwinę. Zginam się wpool i balonik opada niżej.

– Czy ty musisz wszystko psuć? – pyta brat.

Nie odpowiadam. Poruszam jednym udem, drugim, dociskam balonik do George'a i przemieszczam wyżej, z poziomu jego kolan do krocza.

– Twoja kolej – mówię.

– Krok, krok, krok.

Udaje nam się, przenosimy balonik przez pokój.

– Tak! – Przybijam piątkę z bratem. – Tak!

Dopiero gdy docieram do celu, przychodzi mi na myśl, że może nie wszystkim się to udaje – i że ja nie brałem pod uwagę takiej opcji.

– Możecie wybrać nagrodę – mówi Gerwin, trzymając skrzynkę skarbów. – Po jednej na głowę.

Wsuwam rękę do pudła i wyjmuję papierowy samolocik, podobny do tych, jakie dostawałem w dzieciństwie, kiedy byłem grzeczny u dentysty. George wyławia odznakę szeryfa, z ostrym zapięciem, więc każą mu ją zamienić na coś innego. Wybiera gumowego węża.

– Następna zabawa... – zaczyna Gerwin.

W tym momencie George skacze na żółty balonik, który pęka. Rosenblatt schyla się po strzępek gumy.

– Następna zabawa... – powtarza Gerwin.

I tak to się toczy – zabawa za zabawą, nagroda za nagrodą. A potem Gerwin daje nam pacynki. Nakładam jedną na rękę i zwracam się do brata.

– Nie jestem oszustem – mówię.

George też nakłada pacynkę.

– Dobranoc i powodzenia[13] – mówi, celując nią

w siebie. Wsuwa pacynkę na drugą rękę. – Dziękuję, Edwardzie R. Murrow.

– Nie, to ja dziękuję, panie Cronkite. Może skoczmy na steka do Toots Shor’s.

– Zaczniemy od czegoś innego – przerywa Gerwin.

– Świetnie – mówi George, pokazując na mnie. – Ja będę F. Scottem Fitzgeraldem, a ty możesz być Hemingwayem i się zabijesz.

– A może będziesz Williamem Burroughsem i zastrzelisz swoją żonę?

– Dosyć, dosyć, dosyć!

Gerwin podskakuje między nami. Bierzymy coraz więcej pacynek i zaczynamy rzucać nimi przez pokój, ciskać w siebie jak epitetami.

– Winston Churchill! – woła George.

– Charles de Gaulle! – odpowiadam.

– Nikita Chruszczow!

– Barry Goldwater i Roy Cohn!

– Herbert Hoover!

– Zastrany Willy Loman[14].

Gerwin bierze coś, co wygląda jak dezodorant, unosi do góry i naciska. Rozlega się ogłuszający ryk, jak wycie syreny, rozdzierający klakson wielkiej ciężarówki.

– Koniec gry!!! – krzyczy Gerwin. – Cisza! – przerywa nam, kiedy George i ja zaczynamy mówić. – Wychodzimy na dwór.

Chowamy nagrody po kieszeniach, zostawiamy pacynki i ruszamy za Gerwinem, który niesie skrzynię skarbów i mamrocze pod nosem, że wystarczy tej zabawy w ciuciubabkę zaufania i dlatego wszystko idzie jak po grudzie.

Wychodzimy na pagórki za głównym budynkiem i nagle dogłębnie pojmuję, dlaczego Ojcowie Założyciele walczyli o ten kraj. Jest malowniczy i pełen majestatu. Gerwin rzuca mi piłkę futbolową; łapię ją. Bawimy się nią wszyscy. Istna sielanka – błękit nieba, zapach świeżo ściętej trawy, plamy na kolanach. Piłka krąży wokół, rozmowa o podziale na drużyny, my przeciwko nim, lecz Gerwin wciąż powtarza: nie przerywać, nie przerywać. W pewnej chwili wyciąga z kieszeni aparat i zaczyna nas fotografować. George pozuje, zgrywa bohatera, przybiera groźne miny. Nie wiem, po co Gerwin robi zdjęcia, ale nie chcę pytać, żeby nie przysł czar.

Rosenblatt rzuca piłkę do mnie. Łapię ją, podnoszę wzrok i widzę, jak George mnie atakuje, pędzi jak żywa

kula do kręgli, jak torpeda. Przewraca mnie na ziemię i zaczyna tłuc. Staczamy się z górki, obracamy na różnie braterskiego szału. Psychiatrzy są coraz dalej, w pewnym momencie Rosenblatt gdzieś biegnie. Usiłuję się uwolnić. U stóp pagórka przestajemy się turlać. George mnie bije, grzmoci z całych sił, młóci pięściami. Gerwin podchodzi bliżej, ale go nie powstrzymuje.

– Ty chujozo, śmierdząca mała chujozo, zasługujesz na dwa razy gorsze lanie, bezużyteczny gnoju, pierdolony...

Staram się jak mogę osłonić twarz, żebra, jądra. Wypuszczono skądś zamkniętą Tessie; pędzi do nas, szczeka głośno, chce powstrzymać bijatykę, ujada George'owi w twarz, czyli tuż przy moim uchu, a ten – przypadkowo lub nie – trafia ją w pysk. Tessie skowyczy, odskakuje. Ochroniarze odciągają George'a.

Leżę na trawie zakrwawiony, posiniaczony, z trudem łapię oddech. Nikt nie rusza na pomoc. Nikt nic nie robi. Leżę i moja pierwsza myśl dotyczy dzieci. Muszę chronić Nate'a i Ashley; cokolwiek się zdarzy, nie mogę pozwolić, żeby ten potwór zbliżył się do dzieci. Zerkam na zdyszanego George'a, który najwyraźniej chciałby mi jeszcze dołożyć, ale powstrzymuje go czterech osiłków. Przekręcam się i próbuję pozbierać. Tessie podchodzi i liże mnie po twarzy.

Nasze nagrody rozsypały się po trawie – jo-jo,

samolocik (pogięty), gumowy wąż, chińska pułapka na palec.

Kuśtykając z powrotem do budynku, patrzę wyczekująco na Gerwina.

– Nie wiem, co powiedzieć – mówi wreszcie.

– Jeżeli nie jesteście w stanie uchronić mnie od szwanku, to mój udział w tej terapii jest skończony. Będziecie mieli wielkie szczęście, jeżeli nie podam was do sądu za brak kontroli nad pacjentem. Potrzebuję lodu, muszę zrobić sobie okłady.

Ktoś przynosi lód do okładów – w kilku czarnych workach na śmieci, zawiązanych u góry.

– Chce pan, żeby obejrzał pana lekarz? – pyta Gerwin.

– Nie – odpowiadam. – Chcę zabrać psa i wrócić do domu.

– Domyślam się, że nie chce pan się pożegnać z George'em?

– Bardzo śmieszne. Żeby mnie znokautował?

Czekając, aż sprowadzą auto, podsłuchuję, jak któryś mówi:

– Jesteśmy bardzo zadowoleni. Owocna wizyta, zobaczyliśmy George'a od takiej strony, od jakiej go nie znaliśmy. Będzie nad czym pracować.

Kiedy ktoś podstawia mój samochód, Tessie już w nim jest i mój bagaż również. Cierpię okropnie, coraz bardziej – bolą mnie wszystkie części ciała, które się zginają, i te, które się nie zginają. Krzywiąc się,

opuszczam się na fotel kierowcy. Zmieniając jego ustawienie, spostrzegam papierową torbę z moim imieniem i nazwiskiem – w środku są dwie butelki wody, kanapki z masłem orzechowym i galaretką oraz szczelna torebka plastikowa z marchewką pokrojoną w słupki. Kto, u licha, szykuje dorosłemu takie kanapki? Zjadając je, zastanawiam się, czy ktoś chciał potraktować mnie protekcyjnie.

Na postoju po drodze idę do męskiej toalety, unoszę koszulę i w obtłuczonym lustrze oglądam swój bok – ma kolor surowego mięsa. Jestem zły, że się nie postawiłem, nie walczyłem jak trzeba. Idę do sklepiku i chwytam advil. Jakaś kobieta próbuje się przede mnie wepchnąć.

– Hej, byłem pierwszy – mówię.

– Na pewno nie, skoro tu stoję – upiera się.

Mam już tak dość bycia mięczakiem, że daję jej kuksańca i odpycham. Sprzedawca łapie długi czarny parasol, otwiera go przed moim nosem i każe opuścić sklep, szturchając metalową końcówką.

– Jestem ranny! – krzyczę. – Chcę zapłacić za advil.

– Ty łobuzie! – krzyczy zza parasola sprzedawca. Ma silny indiański akcent. – Łobuzom nie sprzedaję. Idź pan stąd i nie wracaj.

– Biorę advil – oświadczam. – Na ciastkach z figą zostawiam dziesięć dolarów.



Wychodzę ze sklepu, potykam się na stopniu i łąduję w kałuży smaru i benzyny. Cuchnący wracam do auta, na parkingu zdejmuję koszulę, wkładam wczorajszą, łykam cztery advile i zapalam silnik. Pruję do domu, rozmyślając, jakie to wszystko dziwne. Postanawiam, że więcej tam nie pojedę, i wtedy dzwoni komórka. Adwokat George'a.

– Na prośbę szpitala informuję, że ma pan nigdy więcej tam nie przyjeżdżać. Podobno groził pan pacjentowi i personelowi.

– George mnie zaatakował.

– Oni widzą to inaczej. Ich zdaniem pan go prowokował, nie podawał piłki, rozmawiał pan tylko z lekarzami, a nie z nim, deprecjonował go pan, dawał odczuć, że jest z nim coś nie tak.

– Rany boskie, to czyste szaleństwo. Powariowali. Ta instytucja to cyrk na kółkach. Jeszcze nigdy nie spotkałem bardziej szalonych psychiatrów. Wie pan, że jeden z nich planuje operację na mózgu George'a, a nawet mu o tym nie wspomniał? Zupełnie jak w horrorze. Gdzie pan znalazł to miejsce?

– Przez szwagra – mówi adwokat.

– Był pacjentem?

– Dyrektorem medycznym.

Słyszę w słuchawce trzaski, połączenie siada, zapada głucha cisza.

– Halo? – mówię. Nic nie słyszę. – Halo.

Jest poniedziałek, wróciłem do domu, miejsca zbrodni. Dom żyje własnym życiem, wypełnia go jakaś moc czy ładunek elektromagnetyczny, a ja czuję, że tonę, przygnieciony potwornym ciężarem.

Kiedy po wizycie u George'a zbliżam się do drzwi, tracę siły. Wchodzę i przestaję funkcjonować. Jak w powieści Michaela Crichtona *Andromeda znaczy śmierć* mój szpik kostny obraca się w pył. Wyobrażam sobie, jak za jakiś czas znajdą mnie martwego na podłodze, a z mojego przeciętego z niepojętych powodów nadgarstka wysypie się zielony proszek, w który zamieniła się moja krew. Niepojętych, bo po co ktoś miałby mi przecinać nadgarstek? Koło mnie będzie siedziała niewzruszona kotka, wylizując futerko, przecierając łapką oczy. Mężczyźni w białych kombinezonach będą ją chcieli zabrać jako żywy relikwiarz przeszłości.

Siedzę na podłodze i płaczę. Co się stało? Co się dzieje? Siedzę na podłodze i nienawidzę wszystkiego, a najbardziej siebie – taka jest prawda, jestem kurewsko rozczarowany samym sobą. Czyż jest lepsza ilustracja gwałtownego hamowania pokolenia „Ja”?

Latami czekałem, aż moje życie nabierze tempa. Czasem wydawało mi się, że robię postępy, zbliżam się do celu; innym razem było to po prostu czekanie, aż ktoś

mnie odkryje – tylko kto? Przyglądając się sobie, swojemu przeżytemu do połowy życia, nie mogę się pogodzić z tym, do czego doszedłem. Czy moje życie się skończyło? Czy w ogóle się zaczęło?

Nie dokonałem niczego – a ściślej, dokonałem jednej rzeczy: moim jedynym dziełem z konsekwencjami było przestępstwo, które doprowadziło do zamordowania Jane. Moje jedyne osiągnięcie – żaden powód do dumy – to cudzołóstwo, współudział w zbrodni...

Mój umysł przeskakuje do teorii na temat prezydentów – są ich dwa rodzaje, ci, którzy często uprawiają seks, i ci, którzy rozpętują wojny. Krótko mówiąc – tylko mnie nie cytujcie, bo to niekompletne sformułowanie bardziej złożonej przesłanki – uważam, że dymanie zapobiega wojowaniu.

Mimo woli zastanawiam się, czy George chciał też zabić mnie. Bez wątplenia powstrzymał go od tego tylko narcyzm – zabić mnie znaczyłoby zabić część siebie, co zapewne tłumaczy, dlaczego ocaleli Nate i Ashley.

Zbieram siły, żeby wyprowadzić swoje zielonobłękitne sproszkowane żyły z domu i zobaczyć świat na zewnątrz. Rzeczy wydają się dziwne przez porównanie; wobec braku punktu odniesienia dziwactwa mogą się wydać normalnością. Mój umysł przeskakuje do Johna Ehrlichmana, Żyda, chrześcijańskiego scjentyisty, jedynego uczestnika Watergate, który odsiedział wyrok więzienia. Ehrlichman poszedł siedzieć przed

ukończeniem procesu apelacyjnego. Sam oddał się w ręce sprawiedliwości.

Jak pijany, który trafił do niewłaściwego domu, wychodzę na dwór, wspominając poprzedni weekend, Dzień Sportu z Nate'em, dobre chwile pełne obietnicy, nadziei na przyszłość – po tysiącokroć lepsze od koszmarnej wizyty u George'a.

Na tyłach domu otwieram szafkę z narzędziami, wyciągam łopatkę i opielacz, klękam na ziemi. Cholera by wzięła tę przedwcześnie przebudzoną wiosnę. Gęsto zasadzone rośliny bujnie rosną. Zaczynam kopać. Myślę o popołudniowych zajęciach. Nikomu nie powiedziałem, że mnie wylano – bo niby komu? Jaką pracę teraz znajdę, do licha? Kopię, rzucam przez ramię grudy zachwaszczonej ziemi i wyobrażam sobie twarze studentów. Ci idioci siedzą i czekają, aż im podam przetrawioną papkę, czekają, aż im uświadomię, że istnieje coś takiego jak historia i że jest ona ważna.

Pełzam na czworakach, zawzięcie wrywając niepożądanych intruzów, badyle, koniczynę, wszystko, co się samo zasiało i rozkrzewiło. Grzebię w ziemi, wyglądam jak pierwszy lepszy dupek, który zgina grzbiet w ogródku, jakby chciał poruszyć pradawną energię, zanurzając ręce w glebie.

Na skraju ogrodu zjawia się opiekun zwierząt.

– Nic panu nie jest? – pyta. – Czy powinien się pan tak schylać? Nie wzrasta panu za bardzo ciśnienie w głowie?

- Nikt nie zakazywał mi się schylać.
- To może być za dużo. Moja ciotka miała udar i zalecono jej, żeby się nie schylała.
- Unoszę głowę.
- Już się nie schylam – mówię.
- Może pan odpocznie. Przyniosłem Tessie gryzaka. A kotce dałem myszkę o zapachu kocimiętki, uwielbia je.
- Nigdy nie pomyślałem o zabawkach dla psa i kota – mamroczę.
- Nudzą się i potrzebują odmiany, tak jak my. – Opiekun oddał się podjazdem. – Proszę zadzwonić, jeżeli będę potrzebny. Doglądam rybek niedaleko stąd.

Tessie wacha odwróconą ziemię. Kładzie się na środku ogródka i tarza na kupie świeżo wyrwanych chwastów.

Chwilę po odejściu opiekuna wpada mi do oka gruda tłustej czarnej ziemi i oślepia. Niezdarnie próbuję oczyścić twarz. Używam koszuli, wstaję zbyt szybko, stąпам na łopatkę, potykam się i obijam boleśnie o grill. W głowie mam sensacyjny tytuł: *Idiota ginie w wypadku w ogrodzie*. Tessie prowadzi mnie do schodów. Trzymam ją za obrozę i powtarzam: „Ciasteczko, ciasteczko, znajdziemy ciasteczko”. W łazience na dole wyżywam się

na sobie. „Zafajdana mordo!” – mówię, przeglądając się w lustrze. Może nie wpadła mi w oko ziemia, ale naprawdę jakieś gówno, myślę. Psie, kocie, szopa pracza albo jelenia – cokolwiek to było, śmierdziało ostro, jak jakiś wymyślny ser, tak rzadki i długo dojrzewający, że trzymają go w osobnej piwnicy i przynoszą tylko od wielkiego dzwonu. Patrząc jednym okiem na swoje odbicie w lustrze, gadam do siebie i wspominam inny moment, kiedy się przeglądałem i dosłownie rozpuściłem – moment udaru.

„Nie gap się – mówię sobie. – Masz taką głupią minę, jakbyś nie wiedział, o czym mówię, jakby to była wielka niespodzianka. Jak to możliwe? Pierwszy raz słyszysz te słowa wypowiedziane na głos, ale to dla ciebie nic nowego. Rozmawiam z tobą od tygodni, a raczej od lat, przez całe twoje pieprzone życie, idioto”.

„Czemu tak do mnie mówisz?” – pytam.

„Bo inaczej tego nie usłyszysz, chciałbyś, żeby wszystko było załatwione w rękawiczkach. Dałeś dupy, twoja bratowa nie żyje, twój brat jest w domu wariatów, a ty chcesz, żebym ci poprawił samopoczucie? Obudź się, kurwa mać, jesteś beznadziejny. Jesteś nawet bardziej niebezpieczny niż twój brat; świadczy o tym fakt, że on jest tam, a ty tutaj, na wolności”.

Moja głowa wali w mur. Buch. Jakby działało się to samoistnie, jakby robił to ktoś inny. Buch. Buch.

„Dlaczego Jane dzwoniła do mnie, kiedy chciała

spytać, gdzie są żarówki, dlaczego byłem drugą połówką, użytkową połówką mojego brata?”.

„Zwalasz winę na nią?”.

„Nie” – odpowiadam.

Moja głowa nie jest już nad umywalką, nie wali w ścianę, jest w muszli klozetowej i czuję napór na kark; przez moment wydaje mi się, że dociska mnie czyjaś ręka, ale uzmysławiam sobie, że trzymam głowę pod deską.

„Będziesz wymiotował? Masz już tak dosyć siebie?”.

Nie odpowiadam.

Spuszczona woda moczy mnie, tonę.

Kaszlę, prychem, wyciągam głowę z muszli. Wymiotuję. Leżę na podłodze łazienki, mokry, z kwaśnym odorem w ustach – milczę.

„Naburmuszyłeś się?”.

Nie odpowiadam.

„Nie rozmawiasz ze mną? Mam przestać?”.

„Mów, co chcesz, wygarnij wszystko, nie żałuj sobie. Widać, że długo to w sobie tłumileś”.

„Okej. Po pierwsze, jak mogłeś przez tyle lat pisać książkę o Nixonie? Jest nudna, gorzej niż nudna, żałosna. Wcale bym się nie przejął, gdyby ci się, kurwa, nie udało, wkurzyłem się, bo nic nie zrobiłeś”.

„Moja książka jest aż taka kiepska?”.

„Do dupy. Ty jesteś do dupy. Masz nekrotyczną osobowość, umierasz; zżerasz samego siebie. Spójrz na

mnie, czy ja bym cię okłamał? Jestem duchem twojego wnętrza, próbuję przemówić ci do rozumu”.

„Czego ode mnie chcesz?” – pytam, obawiając się, że pędzimy ku nieuchronnemu zakończeniu.

„Chcę twojego życia” – mówi.

I cóż tu dodać?

Dzwoni telefon.

– Halo – mówię.

– To ty?

– Tak – odpowiadam.

– To ja – mówi ona.

– Claire?

– Jaka Claire? – pyta surowszym, obrażonym tonem, jakbym powinien od razu ją poznać.

Brnę w mroku domysłów.

– Jane?

– To ile ich w końcu jest?

– Ile kogo?

– Dziewczyn, kobiet, dup.

– Kto mówi? – pytam przestraszony.

– Może przeczytasz listę, a jak dojdiesz do mojego imienia, zawołam: „Nareszcie!”.

– To pomyłka.

– O nie. Dwa razy sprawdzałam numer, zanim zadzwoniłam.

– Może szuka pani mojego brata – podsuwam.

– A czy on ma pod lewym sutkiem znamię w kształcie



serduszka? – pyta.

Głęboka cisza.

– Kto mówi? – pytam.

– W mordę! – Kobieta wzdycha. – Nie pamiętasz mnie. Dałam ci lunch, a potem coś na dokładkę. – Milczy chwilę. – Nie chciałam cię zaskoczyć. Czy możemy udać, że tej rozmowy nie było, i zacząć jeszcze raz? Wcisnąć restart.

– Jasne – odpowiadam, nadal nie wiedząc, z kim rozmawiam.

W telefonie głucho. Rozłączam się. Natychmiast dzwoni.

– Cześć, tu Cheryl. Czy zastałam Harry’ego?

– Przy telefonie – mówię.

– Jak się miewasz? – pyta.

– Dobrze – odpowiadam. – A ty?

– Przepraszam, że nie dzwoniłam – mówi. – To znaczy do teraz, po tym, jak przeżyliśmy coś razem.

– Och... – Ciągle nie mogę się połapać. – Nie szkodzi.

– Chciałabym szczerze z tobą pogadać o tej przygodzie z internetem.

– Proszę bardzo – zachęcam; coś już mi się zaczyna układać.

– Myślałam, że jest ze mną dobrze, że nieźle sobie radzę, więc przestałam brać leki. Pracowałam w firmie cateringowej koleżanki, klientów było coraz mniej, więc miałam więcej czasu, zaczęłam surfować w sieci

i umawiać się na randki, takie jak ta z tobą. Przestałam nad tym panować i się rozpieprzyłam – mówi. – Twarde lądowanie. Trafiłam, na krótko, do szpitala.

Milczymy. Zdejmuję koszulę i rzucam ją na podłogę. Siedzę przy kuchennym stole, obnażony, mokry, śmierdzący wymiocinami.

– Właściwie nie jestem do końca szczerą – wyznaje. – Przestałam brać leki, a potem zaczęłam się leczyć na własną rękę. Nie wiedziałam, co robię; nasze spotkanie było jednym z wielu. Naraziłam siebie i rodzinę. Mój syn, pewnie pamiętasz, wrócił do domu, kiedy byliśmy w trakcie... No, to nie było fajne.

Nagle rozjaśnia mi się w głowie.

– Oczywiście – przytakuję z entuzjazmem.

– A ty coś nabroił? – zmienia temat, jakby speszył ją mój entuzjastyczny ton.

– Skoro wykładamy kawę na ławę, ja też byłem w szpitalu. Miałem udar.

– Świetnie.

– Jak to świetnie?

– Cieszę się, że obojgu nam coś się przydarzyło, że rozdzieliły nas okoliczności.

– To chyba przez viagrę. Za dużo jej brałem.

– Niesłychane, jak łatwo zboczyć z prostej drogi. Dobrze się już czujesz?

– Dobrze. Naprawdę dobrze. A ty?

Rozglądam się po pokoju, nie widzę wyraźnie.

Oślepiłem na jedno oko i nie wiem, czy tak już zostanie.

– Myślałam o tobie – mówi. – Dużo myślałam. Ale musiałam dać sobie czas, zanim zadzwonię. Musiałam być w lepszej formie.

Wydaję przyjazny pomruk.

– Wybacz, jeśli dokładnie nie pamiętam. Interesowałeś się Richardem Nixonem czy Larrym Flyntem?

– Nixonem. Nixon zmarł na udar. Nie wiem dlaczego, ale kiedy mnie się to przytrafiło, myślałem o nim, byłem przekonany, że mamy ze sobą coś wspólnego, tylko że aż do tamtej chwili nie wiedziałem co; poczułem psychiczną więź. Ludzką, emocjonalną, niezwiązaną z przekonaniem politycznymi czy filozoficznymi. Myślę, że nie było mu lekko.

– Mogę ci coś podsunąć? – przerywa mi.

– Zamieniam się w słuch – mówię, co zważywszy na stan mojego oka, poniekąd jest prawdą.

– Powinieneś porozmawiać z Julie – oznajmia z takim zapałem, jakby to było postanowione.

– Z Julie?

– Julie Eisenhower.

– Julie Nixon Eisenhower? – pytam powątpiewająco.

– Tak.

– Naprawdę?! – reaguję tak radośnie, jakby te trzy słowa, „Julie Nixon Eisenhower”, mogły odwrócić bieg rzeki. Z takim zachwytem Humbert Humbert zanucił

śpiewnie trzy sylaby „Lo-li-ta”.

– Tak.

Śmieję się w głos, a gdy się opamiętuję, pytam:

– Jak to możliwe?

– Nie pytaj. – Milknie. – A zresztą, kawa na ławę, jest powinowatą mojego męża. Mam poprosić, żeby do ciebie zadzwoniła?

– Bardzo proszę.

– Nie wiem, czy jesteś na bieżąco, ale w ostatnich latach było trochę zamieszania wokół biblioteki.

– Owszem – odpowiadam, przypominając sobie artykuły traktujące o darowiźnie Bebe Rebozo<sup>[15]</sup> w wysokości dziewiętnastu milionów dolarów oraz o różnicy zdań między Julie i Trishą w kwestii zarządzania biblioteką.

– No i jeszcze druga sprawa. – Chwila ciszy. – Chcę się z tobą spotkać. Chcę z tobą porozmawiać, zjeść lunch.

– Dobrze. Czemu nie.

– Ale tylko lunch.

– Oczywiście.

– Kiedy?

– Kiedy ci pasuje; nie mam żadnych zobowiązań.

– Okej. Dajmy sobie kilka dni, na wypadek gdybyś zmienił zdanie albo gdyby mnie znów coś odbiło.

– Może w piątek? – proponuję.

– Piątek. Znam takie miejsce, mniejsza o to, że akurat nazywa się Jerk Q'zine, obłędnie tanie.

– Pomyśl o takim, gdzie jest miło, gdzie naprawdę masz ochotę iść.

– Byłeś kiedyś w Quarry Tavern?

– Nie – odpowiadam. – Nie jestem stąd.

– Fajny lokal. Robią fantastyczną pizzę z klopsikami. Zdarzało się, że jadłam ją w samochodzie. Spotkajmy się tam. Dam Julie twój numer.

– Nie mogę się doczekać.

Cheryl chwilę milczy.

– Jeżeli Julie spyta, jak się poznaliśmy, powiedz, że na barbecue. Nie, czekaj! Wspomnij o zajęciach sportowych dla dzieci i nie wchodź w szczegóły.

– Zrozumiałem.

– To jesteście umówieni. Cieszę się, że pogadaliśmy. Jak wspomniałam, myślałam o tobie.

– Piątek w południe – mówię.

– Piątek w południe – powtarza.

– Do zobaczenia.

Spadam na ziemię. Jestem podekscytowany i zdołowany jednocześnie, trudno mi w takim stanie rozmawiać.

Czy to możliwe, żeby kobieta, której nie pamiętam, miała klucz do mojej przyszłości?

Kręci mi się w głowie, aż dudni. Nie podnieć się za bardzo – nakazuję sobie – nie daj się ponieść entuzjazmowi, bo może okazać się przedwczesny.

Czekaj, czekaj – mityguję się i wybucham śmiechem.

Check! Checkers, słynny cocker spaniel Nixona. Bawię się w myślach przypisami jak fiszkami. Checkers zdechł w roku 1964 i jest pochowany na cmentarzu zwierząt Bide-a-Wee, niedaleko miejsca, gdzie mieszka ciocia Lillian. Może zajrzę tam, myślę, kiedy znów będę w tamtych stronach.

Może to jest ten ważny moment, wielki przełom, kopniak, na który czekałem. Julie Nixon Eisenhower i ja!

Tessie w łazience sprząta po mnie, wylizując podłogę.

– Dobry pies – mówię, zdając sobie sprawę, że trochę za bardzo ulegam wahaniom nastroju.

Idę na górę wziąć prysznic i przygotować się do zajęć. Oko wygląda źle, jest zaczerwienione, opuchnięte. Biorę jakieś krople z apteczki, okropnie pieką – no tak, przecież to krople do ucha! Ponownie przepłukuję oko. Biorę prysznic, ubieram się i wychodzę, dumny, że pamiętam o zabraniu pustych pudeł. Dzisiaj będę się pakował; dokonam przeglądu lat pracy, przepatrzę plany zajęć, oceny studentów, przykłady dobrych i złych prac i upchnę co ważniejsze do podniszczonych kartonów po alkoholu. Uprzedzając koniec, chcę się wyprowadzić przed oficjalnym pożegnaniem. W ostatnim dniu chcę zwyczajnie przyjść na zajęcia i wyjść.

Kiedy wchodzę na wydział, zatrzymuje mnie sekretarka.

– Dziekan chciałby z panem zamienić słówko – mówi.

Z udaną nonszalancją wsuwam głowę do gabinetu

dziekana, nie przekraczając progu.

– Szukałeś mnie?

Dziewkan, mój były przyjaciel Ben Schwartz, podnosi wzrok.

– Co u ciebie?

– Względem czego?

Nie odpowiada od razu.

– Znam cię od lat, jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Zgadza się – przyznaję. – Nie tak dawno zaprosiłeś mnie na lunch, zamówiłeś filiżankę zupy, pół kanapki i powiedziałeś, że moja kariera dobiegła końca. Powiedziałeś: „Mamy kogoś, kto uczy historii w nowy sposób, przyszłościowy. Zamiast uczyć się o przeszłości studenci będą badać przyszłość, świat możliwości. Sądzimy, że będzie to mniej przygnębiające niż oglądanie powtórek filmów Zaprudera”.

– Nie jadłem kanapki – prostuje dziewczyna. – Tylko zupę. A decyzja nie należała wyłącznie do mnie. Uważam się za twój przyjaciel. To przecież ja cię kiedyś zatrudniłem.

– Nie zatrudniłeś mnie. Byliśmy kolegami, powiedziałeś, że jest wolne miejsce, ale mnie nie zatrudniłeś. Wiesz, co o tobie myślę? Gdyby można było zamawiać zupę na łyżki, zamówiłbyś dwie, i tyle.

Milczy.

– Czego chcesz ode mnie? – pytam, zastanawiając się, czy chce, żebym mu wybaczył.

– Przejdźmy się – mówi Schwartz, wkładając marynarkę.

Opuszczamy budynek i idziemy w stronę jego samochodu.

Na parkingu stoi dużo małych aut z różnych lat. Słońce odbijające się od bezmiernego morza chromu aż oślepia. Nasza uczelnia obsługuje dojeżdżających. Kiedyś czuliśmy się wyróżnieni, bo ciało pedagogiczne miało numerowane miejsca parkingowe, ale to się zmieniło, gdy jeden z absolwentów kierunku inżynierskiego wysadził w powietrze auto na miejscu numer 454. Wtedy zarządzono, że lepiej jest parkować gdzie popadnie, demokratycznie, przywileje pozostawiając tylko inwalidom.

Dziekan otwiera drzwi toyoty. Melodyjny brzęk automatycznego zamka odbija się echem od innych aut. Wyobrażam sobie, że pewnego dnia samochody będą ćwierkać do siebie, odgrywając postmodernistyczny sponsoryjny rytuał inwokacji i odzewów. Hybrydy, gdzie jesteście? Ćwir-ćwir, jesteście wszędzie. Wyciąga spod fotela kopertę, zwyczajną białą kopertę, i mi ją podaje.

– Weź – zachęca.

Trzymam ręce w kieszeniach.

– Weź – ponagla.

– Co to jest?

– A na co wygląda?



– Zapewne na pieniądze.

Wpycha mi kopertę.

– Próbuję ci pomóc, idioto. Źle się z tym czuję, powinienem inaczej załatwić sprawę, a ty powinienesz być skończyć książkę.

– Ofiara sama jest sobie winna? – mówię, nie wyjmując rąk z kieszeni.

– Nie mogłem cię ochronić, nie miałem żadnego argumentu.

Ponownie próbuje wepchnąć mi kopertę.

– Nie, dziękuję.

– Dlaczego?

– Dlatego, że od nikogo nie przyjmę koperty z pieniędzmi. Przypuszczam, że chcesz mnie wrobić. Masz sekretarkę na świadka. Wezwałeś mnie do siebie, zmusiłeś, bym poszedł z tobą do twojego samochodu, gdzie miałeś ukrytą kopertę. Wszędzie dokoła są pewnie kamery, wszystko się nagrywa, a w aucie zainstalowano mikrofony.

– Kurewski paranoik!

– Jestem badaczem Nixona! – krzyczę. – Znam się na tym!

Obracam się na pięcie i maszeruję przez parking do budynku uczelni.

– Dokąd idziesz?! – woła za mną.

– Mam dyżur.

Słyszę ćwierkanie zamykanego auta i po chwili czuję

gorący oddech, gdy dziekan mnie dogania.

– Słuchaj, nie chodzi o pieniądze – mówi.

– Ale mi je proponujesz, dajesz kasę, żeby mnie uciszyć, żebym odszedł grzecznie w siną dal.

– To moje własne pieniądze, nie wydziałowe.

– Tym gorzej.

– Liczę, że jeszcze się zastanowisz – mówi, kiedy jesteśmy już z powrotem na wydziale. – Przyjmij, że to grant na badania.

Podnoszę pudła, które zostawiłem pod drzwiami gabinetu. Jedno jest pełne zgniecionych w kule kartek. Wygląda mi na to, że ktoś ćwiczył rzucanie do celu.

W gabinecie zastaję jakiegoś faceta. Odwrócony plecami do drzwi, siedzi na krześle dla gości, z tyłu głowy ma przypiętą spinką jarmułkę.

– Czym mogę służyć?

– Profesor Silver?

– Tak.

Czy on wie, do czego doszło przed chwilą na parkingu? Siedzi tu, gotów wysłuchać wyznania o kuszeniu, czy jest z programu typu *Przerażeni nie na żarty*, a może uczestniczy w zastawionej na mnie pułapce?

– Interesuje się pan Richardem Nixonem? – pytam, zajmując swoje miejsce.

– Nie specjalnie – odpowiada. – Uczę się w szkole rabinicznej.

– Wciąż się pan tam uczy i już tak się nosi?  
– To znaczy jak? – pyta, patrząc na swój strój. – Tak się ubieram.

– Pracuje pan dla dziekana?

– Słucham?

– Dla Schwartza, dziekana wydziału. Przed chwilą próbował wręczyć mi kopertę z pieniędzmi.

– I co pan zrobił?

– A jak pan myśli? Odesłałem go do diabła.

– Interesuje mnie pański brat – wyjaśnia przybysz.

– Rozkręca pan interes?

– Badam stosunek Żydów do zbrodni. Poza hazardem Żydzi bardzo rzadko popełniają przestępstwa i zbrodnie.

Patrzy na mnie z radosnym błyskiem w oku, jakby odnalazł skarbiec i starał się ukryć podekscytowanie.

– Dlaczego postanowił pan zostać rabinem?

– Nie ja o tym zdecydowałem. W mojej rodzinie wszyscy są rabinami. Ojciec, wuj. Siostra jest mechanikiem samochodowym. Uznała, że bycie rabinką wymaga od kobiety zbyt wielu ograniczeń.

– Mój brat George wziął udział w bar micwie, bo chciał dostać bony oszczędnościowe, radio z budzikiem od ciotki, wieczne pióro Cross od Zgromadzenia Żeńskiego przy synagodze i wycieczkę na Florydę od dziadków. Poszczęściło mu się, poznał tam dziewczynę, która zapewniła mu, hm, pierwsze doświadczenie oralne. Jego przynależność do kongregacji ma niewiele wspólnego

z Bogiem, prędeż z seksem.

– Chciałbym dowiedzieć się o nim więcej – mówi student szkoły rabinicznej, po czym się poprawia: – Już go trochę poznałem, ale chciałbym bliżej.

– Jaką stawia pan tezę? – pytam. – Żydz się zepsuli?

– Czy mogę wysłuchać pańskiego wykładu? – ignoruje moje pytanie.

– Nie – odmawiam szybko.

Zapada milczenie.

– Żydz nie zabijają żon – mówi.

– Rozmawia pan z kimś jeszcze? – pytam.

– Z Lefkowitzem.

– Tym aferzystą, który siedząc w areszcie domowym, wpychał roleksy i biżuterię żony w zadek psa i zabierał go na spacer? Pies się wypróżniał, a wtedy zjawiał się pewien szmondak i zgarniał jego kupę. Oczyszczał zegarki, sprzedawał i połowę zysku brał dla siebie. Federalni nazywali go Zastrajłapa.

– Tak, właśnie z tym – potwierdza student.

– Z kim jeszcze?

– Z Hernandezem i Kwonem.

– Obaj to konwertyci – mówię.

Student dziwi się, że o nich słyszałem, ale dlaczego miałbym nie słyszeć? W końcu gromadzenie informacji to mój zawód.

– Mogę spytać o pański stosunek do Boga? – kontynuuję.

– Jest ograniczony – przyznaję. – Modłę się spontanicznie tylko w chwilach rozpacz.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o pana rodzinie.

– Cenię sobie prywatność – zaznaczam. – Brat i ja bardzo się różnimy. Jak awers i rewers.

– Ale macie wiele wspólnego. Co pan robi, gdy się pan rozłości?

– Nie złościę się. Jestem chłodny emocjonalnie. – Patrę na zegarek. – Na tym musimy skończyć. Muszę przygotować się do zajęć.

– Chciałbym się znów z panem spotkać.

– W godzinach dyżuru moje drzwi stoją otworem.

– W przyszłym tygodniu?

– Proszę bardzo. Jeżeli pan musi. Jak pan się nazywa?

– Ryan.

– Ciekawe. Jeszcze nie spotkałem Żyda o takim imieniu.

– Jest nas niewielu. – Wstaje. – Do zobaczenia za tydzień.

Mój pokój wypełniają materiały o Nixonie; umyślnie zastawiłem półki grubymi tomami, żeby studenci postrzegali gabinet jako skarbnicę wiedzy historycznej. Mam też kilka rzadkich plakatów – patrzą z nich McGovern z Eagletonem, Humphrey, Geraldine Ferraro. Ostrożnie je zdejmuję i zwijam. Tuż po Nixonie moim ulubieńcem jest LBJ<sup>[16]</sup>. Wydaje mi się, że wzięło się to

z czasów, gdy zbudziła się we mnie świadomość polityczna; zdałem sobie wtedy sprawę, że istnieje inny świat poza salonem rodziców.

W drodze na zajęcia zanoszę pudła do samochodu; na przednim fotelu leży koperta. Drzwi są zamknięte, ale widzę ją w środku, na siedzeniu. Podrzucił ją Schwartz? Ktoś mnie wrabia? Biorę kopertę, żeby ją odłożyć do auta Schwartza. Drzwi są zamknięte. Próbuję ją wepchnąć przez szparę w oknie, ale udaje mi się wcisnąć jedynie brzeżek, grubsza część (banknoty) nie chce przejść. Pędzę do sekretariatu. Drzwi gabinetu Schwartza są zamknięte; sekretarki nie ma. Cholera jasna! Odkładam kopertę na siedzenie w moim aucie, zamykam drzwi i pędzę na zajęcia. Nie chcę jej mieć przy sobie. Nie chcę konfrontacji w obecności studentów.

– Dzień dobry – mówię, wchodząc.

Sala jest zapelniona w jednej trzeciej. Odczekuję jeszcze chwilę, po czym informuję o egzaminach, podaję ostateczne terminy zgłaszania zmian w dziekanacie.

– Dziś upływa termin składania prac pisemnych. Proszę mi je oddać. – Czekam, podczas gdy studenci podają jeden drugiemu rozprawki. Dociera ich do mnie dwanaście. – Zachodzę w głowę, kiedy pozostali podzielą się ze mną swoimi przemyśleniami.

Cisza jak makiem zasiał. Spuszczam wzrok. Praca na wierzchu nosi tytuł *Richard Nixon jako łajdak: historyjka obrazkowa*. Przerzucam kartki. Student, zamiast napisać

rozprawkę, narysował komiks. Powinienem się zdenerwować, ale rzecz wygląda obiecująco. Rysunki przedstawiają karykatury Nixona, Haldemana i Kissingera w wariacji na temat „nic nie widziałem, nic nie słyszałem, nic nie mówiłem”. Niektóre teksty są umyślnie rozmazane, na przykład: „Powiem jasno i wyraźnie”.

Oko mi pulsuje. Coraz szczelniej zakrywa je powieka, a drugie oko też zwięża się do szparki, jakby okazywało współczucie.

– Dobrze, na czym stanęliśmy?

– Watergate – podpowiada ktoś.

– Doskonale. Co wiemy o Watergate?

– To była pierwsza z afer „gate” – odzywa się jeden ze studentów.

Rozlegają się śmiechy.

Dzwoni komórka. Dzwoni i dzwoni, a studentka przeszukuje torbę. Wszyscy patrzą. Wreszcie odbiera. Gapię się na nią, zdumiony, że odebrała telefon w czasie zajęć.

– Kto to? – pytam.

– Moja matka – szepce głośno.

– Proszę podać mi telefon – nakazuję i komórka wędruje na przód sali. – Halo.

– Kto mówi? – pyta matka.

– Profesor Silver. Z kim rozmawiam?

– Malina Garcia.

– Ile ma pani dzieci, pani Garcia?

– Czwooro.

– Pięknie. Na pewno jest pani z nich dumna, ale mamy teraz zajęcia.

– Aha. Czy to joga? Córka uwielbia jogę.



– Nie, proszę pani, to nie joga. Czy nazwisko Richard Nixon coś pani mówi?

– Tak. To ten prezydent, który zmarł na chorobę pamięciową. Wielka szkoda, piękny mężczyzna.

Jej córka się rumieni.

– Tak, pani Garcia, był pięknym mężczyzną. Rozmowa z panią to przyjemność. Córka miała dzisiaj oddać pracę. Wspominała o tym?

– Nie, chyba nie.

– Wie pani, o czym miała napisać?

– Nie bardzo.

– Czy rozmawia z panią o nauce?

– Rzadko. Rozmawiamy raczej o rodzinie i jej przyjaciółach, o takich sprawach.

– Dziękuję pani, pani Garcia. – Rozłączam się i oddaję komórkę. – Czy ktoś jeszcze życzy sobie, żebym porozmawiał w jego imieniu? – Brak reakcji. – Czy to nie ciekawe, że za czasów Nixona nie było telefonów komórkowych, esemesów, smartfonów BlackBerry. Wyobraźcie sobie, jak inaczej potoczyłyby się wydarzenia, gdyby Nixon był prezydentem w czasach późniejszych i nie korzystał ze staroświeckiego magnetofonu z dużymi przyciskami. Łatwo je przecież pomylić i lojalna sekretarka mogła omyłkowo wcisnąć niewłaściwy, a potem, odbierając telefon, nacisnąć stopą na pedał i wykasować dobre nagranie.

Studenci patrzą na mnie tępo.

– Dobrze, wróćmy do przerwanej wątku. Na czym skończyliśmy? Czy ktoś mógłby przypomnieć, czym była Watergate?

Unosi się jedna ręka.

– „Gate” to sufiks dodawany do słowa, by je zmodyfikować i nadać mu znaczenie skandalu, jak w słowie „Watergate”, które zostało użyte, ponieważ wydarzenia miały miejsce w waszyngtońskim kompleksie znanym jako Watergate. Od tamtej pory każda większa afery jest nazywana „Jakaśtamgate”. Można więc powiedzieć, że to była pierwsza „gate”.

– Ciekawa odpowiedź, dziękuję. Napisałeś pracę?

– Tak – mówi student. – Przyjechałem z daleka, muszę mieć bardzo dobre oceny, żeby zostać w Stanach. Rodzina utnie mi głowę, jeżeli nie będę się dobrze uczył.

Grupa wybucha śmiechem.

– Chciałeś powiedzieć, że rodzina utnie ci dochody, jeżeli nie będziesz się dobrze uczył.

– Powiedziałem dokładnie to, co miałem na myśli.

– Potraktuję te słowa poważnie – mówię i przytaczam cytaty ze wspomnień Nixona:

*Zapewne nigdy nie uda się w pełni zrekonstruować całej prawdy [o Watergate], ponieważ każdy z nas był zaangażowany w inny sposób i zakres wiedzy każdego z nas w dowolnym momencie był inny.*

Wyjaśniam, że w swoim czasie skandal ten był najgłośniejszym w historii Ameryki przykładem brudnych zagrywek politycznych i doprowadził do jedynej w dziejach rezygnacji prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz do oskarżenia Siódemki Watergate (z wymienieniem Nixona jako współkonspiratora – co też było pierwszym takim ewenementem w historii). John Mitchell, H.R. Haldeman, John Ehrlichman i Charles Colson odsiedzieli wyroki; Gordon C. Strachan, Robert Mardian i Kenneth Parkinson nie poszli do więzienia. W związku z Watergate trafili za kratki między innymi John Dean, E. Howard Hunt, G. Gordon Liddy, James McCord, Fred LaRue... Wdaję się w jedną z ulubionych dygresji, przedstawiając ewolucję Specjalnej Jednostki Dochodzeniowej Nixona zwanej Hydraulikami. Ich pierwsze zadanie polegało na włamaniu się do gabinetu psychiatry Daniela Ellsberga i zgarnięciu materiałów o byłym pracowniku RAND[17], który uważał za swój obywatelski obowiązek zrobić przeciek i wydać Akta Pentagonu. Nixon uważał, że przeciek jest wynikiem spisku przeciw jego administracji, i chciał zaszargać Ellsbergowi opinię. Kazał Hydraulikom udostępnić wszystko, co znajdują, mediom i „urządzić mu pokazówkę w prasie”. Próba włamania jest komedią pomyłek: włamywacze czekają, aż wyjdzie sprzątaczką, potem okazuje się, że nie mogą otworzyć drzwi, więc muszą wybić szybę w oknie. Jest ich trzech: Bernard Baker,

Felipe de Diego i Eugenio Martinez, oraz dwie czujki: E. Howard Hunt i G. Gordon Liddy. Kilku z tych Hydraulików to pracownicy lub byli pracownicy CIA, powiązani w przeszłości z Zatoką Świń, a później z Watergate...

Oko mocno daje mi się we znaki; po zajęciach idę do punktu pomocy lekarskiej dla studentów. Mają tam nawet zestaw do przemywania oka zainstalowany przy umywalce. Dyżurna „pielęgniarka”, która odkręca kurki, zaznacza:

– Tak dla pana wiadomości, nie jestem pielęgniarką, tylko higienistką, kilka lat temu z powodu cięć budżetowych pielęgniarkę zwolniono, więc od tamtej pory nie ma żadnej... Czy na pewno nie dostała się panu do oka jakaś substancja chemiczna, która mogła spalić rogówkę?

– Tylko ziemia – mówię, choć nie mam pewności, bo może dostały mi się do niego chemikalia, może w łazience stał odświeżacz do toalety, może zachlapałem je sobie pieprzonym płynem do miski klozetowej.

Niepielęgniarka kładzie mi do oka jakąś maść. Tak gęstą, że wszystko mi się zamazuje.

– To lubrykant – mówi, podając mi tubkę. – Proszę nałożyć jeszcze przed snem, a jeżeli jutro nadal będzie bolało, musi pan pójść do lekarza.

– Dziękuję.

Na wpół ślepy idę na parking, w głowie rozbrzmiewa mi echem głos hinduskiego studenta, spokojnie mówiącego o obcięciu głowy. Przekłeta koperta cały czas leży w aucie. Siadam na niej i jadę do domu Schwartza. Drzwi otwiera żona. Podaję jej kopertę.

– To dla Schwartza – mówię.

– Nie ma go w domu. Jest na cocktail party wydziału.

– Proszę wziąć – mówię, nieco natarczywie wpychając jej kopertę.

– Nie trzeba.

– Zwracam mu ją – wyjaśniam. – Koperta wraz z zawartością należą do niego.

– Co to jest? – pyta.

– Nie wiem. Nie otwierałem, zostawił ją w moim samochodzie.

Żona bierze kopertę.

– To bardzo ładnie z pana strony, że pan ją zwraca.

Wzruszam ramionami.

– Co się panu stało w oko?

– Pająk mnie ugryzł – odpowiadam, sam nie wiem dlaczego.

– Niech pan coś na to weźmie – radzi. – Nie wygląda dobrze.

– Tak zrobię – zapewniam i zbieram się do odejścia.

– Chętnie przeczytam pana książkę! – woła za mną. – Mąż często o niej mówi.

Żegnam się bez zatrzymania, nawet się nie odwracając.

– Do widzenia i powodzenia.

Kiedy szykuję sobie jedzenie, dzwoni telefon. Chwytam go, myśląc, że to ona – Julie Nixon Eisenhower.

– Cześć – wita mnie Nate. – Dzwoniłem wcześniej, ale cię nie było.

– Dzień zajęć.

– Mógłbyś zmienić nagranie w telefonie – mówi napiętym głosem. – Tam nadal jest mama.

Nie mogłem się zebrać, żeby je zmienić – nie mogę wykasować Jane, ale wyobrażam sobie, jak trudno mu jest tego słuchać.

– Jutro zainstaluję nową automatyczną sekretarkę – obiecuję, chociaż lubiłem w tajemnicy słuchać głosu Jane: „Halo, nie ma nas w domu...”.

– Ciągle myślę o tym chłopcu z wypadku – mówi Nate. – Musimy się nim zająć.

– Wiem o tym. Porozmawiam z adwokatem twojego ojca i sprawdzę, co z tym zrobił.

Miło mi słyszeć głos bratanka, ale się zastanawiam, czy telefon George’a sygnalizuje rozmowy oczekujące? A jeżeli zadzwoni Julie Nixon Eisenhower i usłyszy sygnał zajętości? Nate ciągle gada.

– Czy ten telefon sygnalizuje rozmowę oczekującą? –

przerywam mu.

– A co? Coś ci pika? – pyta.

– Nie jestem pewien.

– Jest sygnał, że ktoś czeka na rozmowę, i sygnał, że ktoś cię nagrywa.

– Nagrywasz tę rozmowę?

– Nie. Coś o tym wiem, bo na historii fakultatywnej, na kursie „Skandale polityczne dwudziestego wieku”, uczyliśmy się o urządzeniach podsłuchowych. Jeżeli chcesz nagrać rozmowę, najpierw musisz poprosić o pozwolenie, nagrać zgodę i potwierdzić, że rozmowa jest nagrywana.

– Ciekawe. W jakim kontekście wypłynął ten temat?

– Omawialiśmy Watergate. Napisałem pracę o Ciotce Rose.

– O kim?

– O Rose Mary Woods, sekretarce Nixona.

– Oczywiście – mówię z dumą. – Wiesz, że zajmuję się Nixonem.

– Wiem. Dzieci Nixona nazywały ją Ciotką Rose. Była całkowicie oddana i lojalna. Interesuje mnie kwestia lojalności, nawet w stosunku do kogoś, kto ma wady, kryminalną przeszłość albo w ogóle stoi po złej stronie. Czytam o ewolucji dyktafonu Dictabelt, który wyprodukowano w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, przedtem był Ediphone, a potem oczywiście magnetofon szpulowy i tak dalej, aż po różne

fantastyczne rzeczy, w rodzaju taśmy ośmiościeżkowej, którą nadal ma mój ojciec, z nagraniem *Iron Butterfly Live*, jest czerwona, trzyma ją w szufladzie na skarpetki... – Nate milknie, zdaje się, że powiedział więcej, niż zamierzał. – Co u Tessie?

– W porządku, ale ma rozwolnienie. Dorwała się do odpadków.

– Uwielbia w nich grzebać. Będę kończył, mam dużo do odrobienia.

– Dobrze. Dowiem się o tego chłopca, ale przypuszczam, że przed rozprawą nic nie możemy zrobić. Wyglądałoby na to, że chcemy wpłynąć na wyrok.

– O tym nie pomyślałem – mówi Nate. – Myślałem o tym chłopcu.

Nazajutrz wczesnym pogodnym rankiem dzwoni telefon.

– Przepraszam, że dopiero teraz, miałam dużo zajęć – mówi Julie Nixon Eisenhower.

– Widziałem raz z daleka pani ojca – wypalam i aż się pocę z podekscytowania. – Byłem w szkole średniej, pojechaliśmy całą klasą do Waszyngtonu. Poszliśmy do Białego Domu; pani tata witał zagranicznego dygnitarza, stał po drugiej stronie dużego trawnika. Potem poszliśmy do Smithsonian, widzieliśmy wahadło Foucaulta i flagę wykonaną dla Fortu Henry przez Mary



Young Pickersgill, tę samą flagę, która zainspirowała Francisa Scotta Keya do napisania *Gwiazdzistego Sztandaru*. Poszliśmy do Mennicy, Wytwórni Papierów Wartościowych, do Archiwum Narodowego zobaczyć Deklarację Niepodległości. – Napływa fala wspomnień, wylewa się ze mnie; aż do tego telefonu nie pamiętałem o tym wszystkim, aż nagle w starym zakamarku mego mózgu otwarła się jakaś skrytka i sypnęła obrazkami sprzed lat. – Kocham Waszyngton. Kiedy byłem młodszy, marzyłem, że jak dorosnę, zamieszka tam i będę jeździł do pracy Aleją Niepodległości, obok Smithsonian, do Kapitolu...

– Rety – wtrąca Julie, kiedy łapię oddech – prawdziwy z pana patriota.

– Dziękuję. Ogromnie się cieszę, że mogę z panią porozmawiać.

– Nie wiem, w jakim stopniu jest pan na bieżąco, więc proszę wybaczyć, jeżeli powiem coś, co pan już wie. W roku dwa tysiące siódmym biblioteka ojca została włączona do federalnego systemu bibliotek prezydenckich. Wcześniej stanowiła prywatny księgozbiór obejmujący materiały zarówno sprzed prezydentury, jak i z okresu po prezydenturze.

– Jeżeli dobrze pamiętam – strzelam gafę – wywołało to napięcie w rodzinie.

Julie przez chwilę milczy.

– Przeprowadzka do Archiwum Narodowego zachęciła

nas do uporządkowania zbioru – mówi dalej. – Krótko mówiąc, natrafiliśmy na kilka pudeł zawierających materiały, które były trzymane osobno.

– Jakie materiały?

– Wyczuwam, że miały dla ojca szczególne osobiste znaczenie. Były tam zapiski, których reszta rodziny nie znała, nieznanne dotąd dokumenty. Chcę przez to powiedzieć, że odkryliśmy coś...

– Naprawdę? Co takiego? – pytam zaskoczony.

Milczy. W słuchawce cisza, jakby przerwano połączenie.

– Słucham.

– Zapiski, o których nie mieliśmy pojęcia – mówi urywanym głosem.

– Dzienniki?

– Może. Albo coś innego.

– Listy miłosne?

Nie odpowiada.

– Memuary?

Znów cisza.

– Opowiadania – mówi wreszcie.

– Takie jak w „New Yorkerze”?

– Mroczniejsze.

– Fascynujące.

– Szukając kogoś, kto opracowałby materiały, chcieliśmy wyjść poza zamknięty krąg, oddalić się od narzucających się wyborów, znanych naukowców,

których opinie na temat mojego ojca są może zbyt okrzeple, a Cheryl wspomniała, że pan mógłby być zainteresowany. Niewiele brakuje, żebym spytał: „A kto to jest Cheryl?”, ale w porę gryzę się w język i kaszlę.

– Jestem zainteresowany, bardzo zainteresowany – zapewniam. – Czy wiedziała pani, że ojciec para się literaturą?

– Nikt nie wiedział. Chciałabym, żeby pan rzucił na to okiem, a potem się zastanowimy. Gdzie pan jest?

– W kuchni.

Czeka.

– W Westchester.

– David i ja mieszkamy w okolicach Filadelfii. Mogłabym udostępnić materiały w biurze adwokata na Manhattanie.

– Czekam na propozycje. W poniedziałki i środy uczę, a w piątek mam umówione spotkanie, ale poza tym jestem wolny.

– Zobaczą, co uda mi się załatwić, i wtedy zadzwonię – zapowiada.

– Będę czekał.

Odkładając słuchawkę, czuję się w siódmym niebie. Rzucam Tessie mleczną kość, rozsypuję na podłodze kocie smakołyki. Otwieram lodówkę, świecącą pustkami i zionącą kwaśnym odorkiem. Przypomina mi to, że muszę się wybrać do marketu po żywność i kupić środek do czyszczenia lodówki.

Mam dług u Cheryl, więc zaczynam myśleć, jak jej podziękować. Nie bardzo mogę przesłać jej kwiaty; może pudełko steków? Co takiego można przesłać, żeby pozostało tajemnicą? Mógłbym wysłać prowiant do Nateville. „W imieniu Pani wysłano sto – niech będzie dwieście – słoików wzbogaconego masła orzechowego dla głodujących dzieci w Nateville w Afryce Południowej”. Może powinienem kupić jej bony do spa – kobiety przepadają za masażem stóp bez odgłosów meczu futbolowego w tle.

Tymczasem odwiedzam ponownie sklep elektrotechniczny, licząc na to, że spotkam kobietę, która potrzebowała nowych baterii, i kupuję automatyczną sekretarkę.

– Bardzo lubię ten sklep, jest w nim wszystko, czego człowiek potrzebuje, a nawet rzeczy, o których nie wiedział, że są mu potrzebne – zagaduję do starszego gościa przy kasie.

Patrzy na mnie obojętnie.

Odkładam starą automatyczną sekretarkę do szafy Jane i instaluję nową – pozwalam jej mówić własnym mechanicznym głosem: „Hal-lo, nie możemy odebrać telefonu, zostaw wiadomość”.

Późnym popołudniem dzwoni telefon; odczekuję chwilę, żeby wypróbować automat. Odzywa się Ashley,

we łzach.

– Czy to mój dom? Wybrałam zły numer? Potrzebuję mamy.

Szlocha.

– Co się stało? – pytam, podnosząc słuchawkę.

Automat się wyłącza.

– Potrzebuję mamy – powtarza Ashley.

– Powiedz to mnie.

Siąka nosem.

– Chcę porozmawiać z mamą.

– Wiem, ale jej tu nie ma – mówię jak najogólniej. –

Co się stało?

– Przechodzę... zmiany, potrzebuję jej rady.

– Zmiany?

– No wiesz, dojrzewam.

– Dostałaś okres?

Siąka nosem i nic nie mówi.

– Czy w szkole jest pielęgniarka albo ktoś, z kim mogłabyś porozmawiać?

– Próbowałam. Zrobiła mi długi wykład z biologii, dała podpaski i tampony i powiedziała, że jeśli jestem wierząca, to powinnam porozmawiać z księdzem, zanim ich użyję. A potem dodała: „A zresztą, cofam to, używaj tego, z czym czujesz się najlepiej”. Więc jestem skołowana.

– A co robią twoje koleżanki?

– Rozmawiają ze swoimi mamami albo starszymi

siostrami. – Szlocha. – Nic o tym nie wiem. Mama opowiadała mi tylko historię, jak szkolna pielęgniarka dała jej podpaskę wielką jak pielucha. Mama włożyła ją między nogi i podreptała korytarzem. Wydawało jej się, że wszyscy wiedzą, że ma okres. Bardzo zażenowana zwolniła się z wuefu, wzięła nożyczki, poszła do łazienki, pocięła podpaskę na cztery kawałki i jeden przyczepiła do bielizny taśmą maskującą.

– Twoja mama była zawsze pomysłowa – mówię.

Sama ta historia mnie nie zachwyca, ale jestem szczęśliwy, że rozmawiamy o Jane.

– Próbowałam użyć tamponu – mówi Ashley z płaczem. – Włożyłam go do niewłaściwej dziurki.

Uruchamiam wyobraźnię, żeby ją zrozumieć. Nie komentuję.

– Wiesz, że tam są dwie dziurki? – upewnia się.

– Myślę, że tak.

– Włożyłam go nie do tej, co trzeba.

– Skąd wiesz?

– Czuję, że coś jest nie tak.

– Włożyłaś go do cipki?

Nie wiem, jak inaczej to nazwać, nie chcę powiedzieć „do tyłka”, bo wszystko, o czym mówimy, znajduje się w tamtej okolicy, nie chcę też użyć słowa, które zabrzmiałoby ordynarnie w rozmowie z jedenastolatką.

– Tak. Boli. Trudno wyczuć, co tam się dzieje, pierwsza dziurka była taka malutka, więc szukałam dalej.

– Czy tampon ma sznurek?

Wiem o sznurku, bo gdy kiedyś chciałem uprawiać seks z dziewczyną, odparła, że ma okres. Nie szkodzi, zapewniłem, a ona na to: „Jestem zakorkowana”. Zbiła mnie z tropu. „Pociągnij za sznurek” – poleciła, więc pociągnąłem. Wyskoczył zbity kłębek zakrwawionej bawełny. Chciałem go upuścić na podłogę, ale szarpnąłem tak niefortunnie, że poleciał na ścianę – pacnął, zsunął się i zatrzymał na listwie, pozostawiając krwawy ślad.

– Ma – odpowiada Ashley.

– Możesz wziąć lusterko i się tam obejrzeć?

Czuję się jak ktoś, kto próbuje posadzić samolot na ziemi, choć dotychczas latał jedynie jako pasażer.

– Tam jest tak okropnie – żali się.

– Będę z tobą przez telefon – mówię. – Gdzie jesteś?

– W swoim pokoju.

– Macie w pokoju telefony?

– Nie. Ale namówiłam koleżankę, żeby mi pożyczyła komórkę. Trzyma ją w tajemnicy, bo są zabronione.

– Włącz radio, żeby nikt cię nie podsłuchał – proponuję.

W tle rozlega się muzyka.

– A teraz spojrzysz w lusterko i powiedz, co widzisz – mówię, myśląc, że mogliby mnie za to aresztować.

– Nie wiem.

– Czy możesz włożyć palec tam, gdzie wsunęłaś

tampon... czujesz go?

– Czuję, ale nie mogę dosięgnąć.

– W której jest dziurce?

– W tej z tyłu.

– Tej najbardziej z tyłu?

– Tak – mówi rozdrażniona i zażenowana.

– Nie szkodzi, to się przytrafiło wielu dziewczynom.

Nie ty jedna się pomyliłaś. Siedzisz czy stoisz?

– Stoję.

– W takim razie kucnij. Czujesz tampon?

– Tak, ale nie mogę go złapać – mówi zawiedziona.

– Wydostaniemy go. Bez obaw. Jak już kucnęłaś, to napnij się tak, jakbyś załatwiała potrzebę w toalecie, i sprawdź, czy w tym momencie nie uda ci się go wyjąć.

– O Boże, jakie to ohydne.

Upuszcza telefon.

– Co się stało? Złapałaś?

– Załatwiłam się na podłogę. Obrzydliwość.

– Masz tampon?

– Tak. Boże, jak ja to posprzątam?

– Udawaj, że sprzątasz po Tessie. Weź plastikową torebkę i pójdz z tym do toalety.

– Muszę kończyć – mówi i rozłącza się.

Jestem roztrzęsiony, ale czuję się, o dziwo, jak gwiazda rocka, jak inżynier NASA, którego polecenia ocaliły laboratorium kosmiczne przed niepewnym końcem.



Wieczorem, kiedy telefon znów dzwoni, odbieram, zanim włączy się sekretarka.

– Tu Julie – mówi, a mnie przypomina się inna Julie, Julie z Amtraka: „Cześć, jestem Julie, automatyczna agentka Amtraka. Służę ci pomocą. Dzwonisz w sprawie rezerwacji? Zdaje się, że chcesz z kimś porozmawiać; chwileczkę, zaraz cię połączę”.

– Jest pan tam? – pyta. – Dobrze mnie pan słyszy? Dzwonię z komórki.

– Głośno i wyraźnie – zapewniam.

– Świetnie. Umówiłam pana na przejrzenie materiałów. Czwartek o dziesiątej w firmie Herzog, Henderson i March. – Julie Eisenhower podaje mi adres i kończy zachętą: – Niech pan poprosi o Wandę, zaopiekuje się panem.

– Mam się czemuś przyjrzeć? Coś wyszukać?

– Z pewnością ma pan pytania, ale na tym etapie lepiej mówić jak najmniej. Niech pan się dobrze przyjrzy, a potem porozmawiamy. Dla jasności: jest to pierwszy krok, nie oznacza stałego dostępu. Jeżeli dobrze pójdzie, zastanowimy się, co dalej. – Urywa. – Przy okazji, zna pan kogoś w Random House?

– Nikt nie przychodzi mi na myśl.

– Kiedyś redaktor Joe Fox zapytał mojego ojca, czy nie myślał o jakichś próbkach literackich. Nazwisko Fox brzmi panu znajomo?

– On odszedł.

– Do innego wydawcy?  
– Na tamten świat, zmarł przy biurku – wyjaśniam, zastanawiając się, skąd to wiem. – Był redaktorem Trumana Capote.

– To wiele wyjaśnia. Na zachowanym liście od niego ojciec dopisał na marginesie: „Za żadne skarby”. Nie cierpiał Capote’a, nienawidził go, twierdził, że jest z nich najgorszy.

– Z nich?

– Homoseksualistów. Nie lubił homoseksualistów. – Milknie. – Czwartek o dziesiątej, Wanda pana zaprowadzi.

– Dziękuję. Jestem zaintrygowany.

– Spodziewam się.

W czwartek o szóstej rano po prysznicu, ubrany w garnitur George’a prosto z pralni, sprawdzam w internecie tanieparkowanie.com i znajduję niedrogi garaż w pobliżu kancelarii adwokackiej. Pakuję do starej teczki brata notesy, długopisy i ruszam w drogę.

Parkuję niedaleko biura Claire; nie wiedziałem o tym czy wiedziałem, ale wołałem zapomnieć? Na ulicach roi się od dobrze ubranych przechodniów. Czuję się jak prowincjusz, jakbym tu w ogóle nie pasował. Mam wrażenie déjà vu, wiem, że już tu kiedyś byłem, w innych okolicznościach. Wydaje mi się, jakbym żył

w rzeczywistości alternatywnej, i trapi mnie, że udar dokonał większych spustoszeń, niż sądziłem.

Podekscytowanie ustępuje gniewowi.

W holu budynku strażnik prosi o dokument tożsamości. Wsuwam rękę do kieszeni: znajduję dwie dwudziestki i pięćdziesiątkę zwinięte w rulonik – fałszywki – i dociera do mnie, że wkładając garnitur George’a, zapomniałem „przepakować” kieszenie. Pocę się z nerwów; przyznaję, że nie mam przy sobie żadnego dokumentu.

Strażnik lituje się i dzwoni do Wandy z prośbą, żeby po mnie zeszła.

Wanda jest wysoka, czarnoskóra, energiczna. Obchodzi się ze mną jak z rzadkim okazem roztargnionego profesora.

– Przepraszam, że ściągnąłem panią z góry – mówię w windzie.

– Nie szkodzi – odpowiada, kiedy winda zatrzymuje się na dwudziestym szóstym piętrze. – Firma zajmuje to piętro i jedno wyżej.

Otocza mnie cisza; telefony nie dzwonią, migają światełkami, dywan tłumi kroki przechodzących. Słychać tylko szelest ich ubrań. Wanda prowadzi mnie korytarzem, otwiera drzwi i zaprasza do sali konferencyjnej z drogim – choć nieostentacyjnie – umeblowaniem. Na środku stołu stoi urządzenie przypominające UFO, służące do konferencji przez

telefon. Na jego drugim końcu czekają dwa wysłużone tekturowe pudła oznaczone dużymi literami „RMN”. Serce zaczyna bić mi szybciej.

– Plecak musi pan zostawić u mnie – mówi Wanda.

– Plecak?

– Swoją torbę.

Wskazuje to, co trzymam w ręku.

– Teczkę George’a?

– Tak.

– To do robienia notatek. – Poklepuję teczkę. – Papier i długopisy.

– Nie wolno niczego wnosić. Zapewniamy materiały. – Wskazuje notesy i ołówki na stole. – I proszę nie cytować sekwencji dłuższych niż po siedem słów.

Kiwam głową i oddaję jej teczkę. Wręcza mi liczącą trzy strony umowę poufności. Podpisuję bez czytania.

– Ile mam czasu? – pytam.

– Jestem tu do piątej.

– Dziękuję.

Zawraca spod drzwi.

– Jest pan pod stałą obserwacją. Żadnych sztuczek.

– Czy mogę rozpakować pudła?

– Tak.

– I brać do ręki zapiski?

– Na stole leżą rękawiczki. Nie jest pan uczulony na lateks?

– Lateks może być. Świetnie.

Wkładam rękawiczki, wyobrażając sobie, że jestem lekarzem, a RMN moim pacjentem. Ogromnie podekscytowany, otwieram stare pudło. Rumienię się, widząc słowa kreślone własnoręcznie przez Nixona. Policzki mi płoną, dłonie w rękawiczkach się pocą. Dobrze, że jestem sam, bo, prawdę mówiąc, zanadto się podnieciłem, niczym dwunastolatek, który dorwał się do pierwszego „świerszczyka”.

Dotykam papieru, którego dotykał Nixon – to nie żadna kopia, stuprocentowy autentyk. Notesy lśnią jego niebieskim ozdobnym pismem, coś poskreślane, coś zaczęte od nowa, liczby, podkreślenia, nieraz na jednej stronie kilka nagłówków, fragmenty ponumerowane 1, 2, 3, 4.

Dosłownie oddychał nad tymi kartkami; to jego myśli, uwagi. „Ogranicz sól. Zastąp pieprzem – zanotował na marginesie. – Albo cynamonem. Nie znoszę cynamonu – odpowiada sam sobie. – Jest jak kurz”.

Z niezmierną przyjemnością biorę do rąk zapisane notesy. W głowie słyszę głos Julie: „Pan się przyjrzy, a potem porozmawiamy”. Myślę o Julie, która poślubiła Davida Eisenhowera, wnuka generała i byłego prezydenta, w grudniu 1968 roku, kilka tygodni po zwycięstwie Nixona w wyborach prezydenckich. Uroczystości przewodniczył nie kto inny, tylko wielebny Norman Vincent Peale, ten od „mocy pozytywnego myślenia”.

Rozważam wielkie nadzieje, aspiracje, potencjał RMN i zaczynam myśleć o sobie. Potykam się na psychicznym wyboju, przewracam i wpadam w głąb historii rodziny. Ironia polega na tym, że choć rodzice oczekiwali, że George i ja wyrośniemy na prezydentów, wątpili jednocześnie, czy uda nam się samodzielnie przejść na drugą stronę ulicy. Takie ambiwalentne przesłanie – wygórowane oczekiwania i uszczypnięcia przypominające, że jesteśmy gównem warci – z perspektywy czasu wydaje się krzywdzące. Jestem pewien, że było „nieumyślne”, wynikało z własnych ograniczeń rodziców i poczucia, że winniśmy się cieszyć ze wszystkiego, co mamy. Zawsze miałem wrażenie, że moja rodzina jest w jakiś sposób „felerna”, że związek rodziców spajają ich dobrze dobrane wady – zdolność do kochania i nienawidzenia jednocześnie. Oboje byli rozgoryczeni. Mieliśmy stać się prezydentami rządzącymi przy dziecięcym stoliku, nawet w marzeniach nieośmielającymi się osiągnąć więcej niż oni, w czymkolwiek ich przewyższyć.

Robi mi się słabo – oto trzymam notatniki zapisane ręką człowieka, który jest moim tematem, a tracę czas na dygresje.

Zaczynam od nowa, skupiam myśli na Nixonie i jego współczesnych, na okresie wielkich przemian, gdy nasz kraj przechodził od przedwojennej kultury czasów Wielkiego Kryzysu do powojennej prosperity

amerykańskiego marzenia.

*Z pudła RMN 345, notes nr 4, zapiski oznakowane; Dobrzy Amerykanie.*

*Wilson Grady jest człowiekiem samotnym. Co rano Grady budzi się z uczuciem dumy rozpierającym pierś – jest pełen optymizmu, nadziei, że nowy dzień będzie lepszy od poprzedniego. Jest szczęściarzem, dobry los mu sprzyja, przemierza równiny mila za milą, wzbijając tuman kurzu, jego dziurawy tłumik tak hałasuje, że ludzie myślą: oho, leci samolot opryskujący pola. Z daleka widzi wypatrujących go ludzi – żartuje z tego, gdy wysiada z auta.*

*– Bez niespodzianek – mówi. – Głośna fura, ale dzięki niej tu dojechałem i liczę, że pod koniec tygodnia zawiezie mnie z powrotem.*

*Pani domu schodzi z ganku i zbliża się do niego – kobieta, która jest sama w domu, nie zaprosi go, ma się rozumieć, do środka.*

*– Wilson Grady – przedstawia się, wyciągając rękę. – Z góry dziękuję za poświęcony mi czas.*

*Jeżeli jej się spodoba, zaproponuje mu filiżankę kawy.*

*– Bardzo chętnie – odpowie, nawet jeśli wypił kawę dwie mile jazdy wcześniej.*

*– Jaką pan pije? – pyta kobieta i zanim usłyszy odpowiedź, dodaje: – Kończy nam się mleko.*

*– Może być czarna z cukrem.*

*Kobieta wraca do środka, Grady czeka. Patrząc na ganek, można wiele powiedzieć o mieszkańcach domu: Czy jest pomalowany? Czy są krzesła, kwiaty? Zasłony w oknach? Szydełkowane serwetki pod lampami w salonie? Grady ma w głowie gotową listę takich pytań.*

*Kawa jest gorąca, fajansowa filiżanka aż parzy mu ręce.*

*– Wspomniała pani o dzieciach. Ile mają lat?*

*– William jedenaście, Robert dziewięć, Caroline osiem, a Raymond sześć.*

*– Mam ze sobą encyklopedię z całym bogactwem wiadomości o historii, z mapami, z wszelkimi informacjami, które każdy z nas powinien znać. – Grady prowadzi kobietę do auta i ostrożnie otwiera bagażnik, zaopatrzony jak objazdowy tani sklepik. – O tych księgach powiem pani tyle, że co wieczór siadam do kolacji z inną literą alfabetu, tak wiele jest do nauczenia się. Jestem przy literze H, zdobywam dobre wykształcenie.*

*– Ile kosztują?*

*– Będę z panią szczerzy – mówi. – Nie są tanie. Dwadzieścia sześć liter alfabetu w trzynastu tomach, a do tego atlas świata. Jak znalazł, wspaniały prezent pod choinkę. Będą mogły z niego korzystać wszystkie pani dzieciaki, nawet najmłodszy niedługo zacznie czytać.*

*– Ma pan dzieci?*

*– Jeszcze nie, ale kiedyś pewnie tak. Upatrzyłem sobie jedną dziewczynę, tylko ona jeszcze nie wie, że chcę się z nią ożenić.*



*Kobieta uśmiecha się.*

*– Oddam cały komplet za czterdzieści dolarów.*

*– Dość drogo.*

*Kobieta kiwa głową.*

*– Owszem – przyznaje Grady. – Ale to inwestycja.*

*Wiedza na całe życie.*

*– A ma pan może żelazko?*

*– Mam. – Po chwili Grady je znajduje. – Elektryczne z funkcją pary – wychwala, ostrożnie wyjmując żelazko z pudełka. – Kupiłem takie matce. Mówi, że świetnie się spisuje.*

*– Ile pan za nie chce?*

*– Sześć dolarów i czterdzieści dziewięć centów.*

*– A są cukierki za pensa? – pyta kobieta nieśmiało.*

*Grady śmieje się.*

*– Nie pani pierwsza w tym tygodniu o to spytała, o nie. Mam miętowe kulki, dropsy cytrynowe, czerwono-czarne z lukrecją, a jeśli życzy sobie pani coś specjalnego, to mam jeszcze parę pudełek czekoladek See.*

*– Raz je kupiłam. Niebo w gębie.*

*– Cukiernicy w służbie gwiazd.*

*Kobieta śmieje się i sięga do kieszeni w sukience.*

*– Wezmę żelazko i cukierków za pięćdziesiąt centów.*

*Grady objężdża klientów od 9 rano do 5 po południu. Jeżeli zastaje w domu męża, stara się okazać zainteresowanie wszystkim, co ten chce mu pokazać – zawsze coś się znajdzie, jakiś pomysł, nad którym pracuje*

w stodole albo w warsztacie w piwnicy. Grady'ego smuci, że mężczyźni chcą tylko, aby ktoś poklepał ich po ramieniu i powiedział, iż świetnie sobie radzą. Słucha, pozwala chłopu mówić dłużej, niż powinien, a potem, zanim zacznie wstawiać mu bajer, otrzeźwia go historyjką, jak po śmierci ojca pierwszy raz w życiu zobaczył go w garniturze. Potem zabiera się do sprzedaży – utarg poniżej pięćdziesięciu dolarów oznacza kiepski dzień. Za sukces poczytuje sobie namówienie klientów na kupno encyklopedii dla dzieci i pudełka czekoladek dla żony. Gdy zbliżają się święta, ma w zapasie małe ciężarówki z zapalającymi się światłami i lalki otwierające i zamykające oczy.

Dla Wilsona Grady'ego dobry dzień kończy się w barze. Nie licząc zapiekaneł matki, najlepsze posiłki jadał zaszyty przy stoliku pod oknem, w blasku neonu, w towarzystwie którejs litery z encyklopedii.

– Zacznę od zupy rybnej, a potem poproszę danie dnia.

Talerz, na którym są dwa plastry klopsa, zielona fasolka, podgrzany biskwit, ziemniaki purée uformowane jak wzgórze i jezioro brązowego sosu pośrodku, prezentuje się tak idealnie, że aż chce mu się płakać. Kocha Amerykę.

Wieczorem zrywa się wiatr i robi się chłodniej. Wilson Grady miał dobry dzień, lecz teraz jest mu przenikliwie zimno. Trzyma w aucie stare wełniane koce i poduszkę, która należała do brata, gdy był mały. Parkuje w bocznej uliczce i uклада się do snu. Zwykle nocuje niezauważony, jeśli jednak ktoś go zauważy, przeprasza i odjeżdża, myśląc

*o kelnerce w fartuszku jak pas cnoty, i znika na ciemnej drodze.*

Kończę i łzy napływają mi do oczu – nigdy dotąd nie znałem Nixona od tej strony, choć podejrzewałem ukrytą głębiej wrażliwość. W tym Nixonie – z wczesnego okresu, przed prezydenturą – jest człowieczeństwo, desperacja, znajomość siebie. Ten Nixon jest człowiekiem o budzących się ambicjach, wyidealizowanym, a zarazem typowym zjadaczem chleba, jeżdżącym po kraju i przygotowującym grunt pod przyszłą wielką chwilę. Wilson Grady to człowiek, który czegoś chce, ale nie wie jeszcze, jak urzeczywistnić swoje pragnienie.

Rozpakowuję pudło, układam w stosie partie materiałów, uważając, by zachować porządek – chcę się dostać do części środkowej, do zakończenia, chcę mieć poczucie, że materiały układają się w spójną całość, nabierają kształtu.

Znajduję krótki fragment gdzieś w połowie sterty. Moją uwagę przyciąga wielokrotnie powtórzony przez Nixona napis u góry strony: „KM... Kurwa mać”. Bohaterem „opowiastki”, składającej się po większej części

z przekleństw, jest mężczyzna, którego atakują meble w gabinecie. Spóźnia się do pracy z powodu zaburzeń ruchu kolejowego. I deszczu. Ma przemoczone buty. Ma przemoczone skarpetki. Po wejściu do gabinetu zdejmuje buty i skarpetki, rozkłada je na kaloryferze, stawia zawilgoconą skórzaną teczkę – spostrzega, że zalatuje gumnem – wyjmuje ważne dokumenty, a kiedy siada na fotelu, ten zaczyna się kręcić w kółko, niepowstrzymanie, aż w końcu zrzuca go na podłogę. Mężczyzna zasiada na nim z powrotem, pochyla się, by zapalić lampę, a ta niespodziewanie razi go prądem. Bierze wieczne pióro, z którego na rękę wycieka mu atrament, a kiedy wściekły szuka chusteczki, trzaska szufladą i przycina sobie palce.

*Chryste.*

*Szlag by to.*

*Cholera.*

*Kurwa mać.*

*Piździelec.*

Potem znajduję jeszcze jedną historyjkę; w nawiasie u góry zanotowano: „bez nazwisk, bo raz z tym gościem wypilem drinka”.

*Apartament przy Alei*

*Arthur wraca do domu późno, za kołnierz nie wylewał i przebrał miarę. Żonę zastaje w sypialni, właśnie się rozbiera. Przygląda się jej i myśli, że nadal wygląda dobrze, seksownie, miałby ochotę pofiglować, ledwie jednak żona się odzywa, jego nadzieje...*

*– Mam ci coś przynieść, Arthurze?*

*– Nic.*

*– To dobrze, bo tak stoisz, jakbyś na coś czekał.*

*– Chcesz poznać prawdę, Blanche?... Nigdy cię nie kochałem, ożeniłem się z tobą, bo sądziłem, że dobrze na tym wyjdę.*

*– Wiem o tym, Arthurze.*

*– Gdyby nie myśl, jakie poniósłbym koszty, już dawno by mnie tu nie było.*

*– Nie tylko ty tak czujesz.*

*– Kiedy ostatni raz mnie pragnęłaś? Tak jak kobieta powinna pragnąć swojego mężczyzny.*

*– Przecież wiesz, że nigdy nie lubiłam seksu – mówi żona, patrząc na niego w lustrze na toaletce.*

*– Właśnie – zwraca się Arthur do jej odbicia. – Wyobrazasz sobie, jak facet się wtedy czuje? Lubię seks i byłoby miło robić to czasem z kimś, kto nie widzi w tym nic obrzydliwego.*

*– O ile wiem, znalazłeś miejsca, gdzie możesz to „robić”.*

*– A ty znowu swoje, tak?*

*– Tak? No cóż, kiedy mówisz o rzeczach, które mogłyby ci zaszkodzić, to intymna zażyłość z sekretarką szefa nie*

wyjdzie ci na dobre.

– Mężczyźni widzą te sprawy inaczej niż kobiety.

– Z pewnością.

Arthur podchodzi do żony, która siedzi przy toalecie i smaruje kremem twarz.

– Posmaruj i mnie – prosi, niemal błaga.

Żona nie jest zainteresowana.

– Sam wiesz, jak o siebie zadbać – mówi. Wstaje i odchodzi.

Arthur wyciąga rękę, żeby przygarnąć żonę, ale opacznie trafia nią w jej twarz, jakby się zamierzył. Zdarza się to mu nie pierwszy raz.

Żona nie reaguje, sływa to po niej. Ten brak reakcji, ludzkiego odruchu, nakłania go do powtórki – tym razem z wyraźną intencją. Zwijając palce w pięść, dokłada jej, uderza ją w policzek.

Żona nie przewraca się; stoi w miejscu, ledwie się zachwiała.

– Na dziś skończyliśmy? – pyta i pluje.

Na dywan spada jeden ząb.

Nie mając nic więcej do powiedzenia, Arthur idzie korytarzem, wyjmując z szafy koc, który brali ze sobą na pikniki do parku, i kładzie się na kanapie, obok uszatego fotela, samotny między stolikami i lampami. Szłocha. Grube łzy jak szklane kulki spływają mu po policzkach. Mówi głośno do siebie, jakby wypowiadał bezładne zaklęcia, które milkną, gdy zatyka usta kciukiem i go ssie, aż zaśnie.

W południe do sali konferencyjnej wchodzi Wanda, przerywając moje rozmyślenia.

– Pora na lunch – mówi.

– Nie trzeba – zapewniam. – Wolę popracować.

– Robimy przerwę na lunch – oświadcza.

Patrzę na nią.

– Nie będzie komu pana pilnować, więc musi pan na godzinę wyjść. Materiały może pan zostawić tak, jak są; zamkniemy pokój.

Zjeżdżamy razem windą. Wysiadamy, zerkam na Wandę. Przygląda mi się z z troskaniem.

– Potrzebuje pan pieniędzy na lunch? – pyta.

– Nie, nie – odpowiadam. – Mam dość pieniędzy, nie mam tylko dokumentu tożsamości. Proszę się nie martwić. Gdzie mógłbym smacznie zjeść?

– W delikatesach naprzeciwko jest bar sałatkowy, jest też kilka restauracji przy tej ulicy – informuje z ulgą.

Wychodzę z budynku na światło dnia. Uświadamiam sobie, że Claire może być gdzieś w pobliżu, więc przemykam chyłkiem do delikatesów i dołączam do ludzi okrążających powoli bar sałatkowy i mamroczących, jakby medytowali. Jest krojona sałata, pomidorki koktajlowe, jaja na twardo, pojemniki z gorącym mięsem w tajemniczym sosie, pomarańczowy makaron z serem.

Myślę o opowiadaniu Nixona o barze i odruchowo nakładam sobie klopsa, ziemniaki purée, a potem dużą łychę gorącego makaronu, od którego mięknie



styropianowa tacka. Płacę i idę w głąb delikatesów, gdzie kilku gości siedzi na pustych plastikowych baryłeczkach po piklach.

– Można się dosiąść? – pytam.

Patrzę na mnie i jedzą dalej w milczeniu. Jedzenie jest przepyszne, więcej – boskie, smaki łechcą podniebienie jak nigdy.

– Czymś pan zaaferowany – zagaduje mnie Chinka z delikatesów, kiedy siedzę na baryłeczce.

– To dla mnie bardzo ważny dzień – odpowiadam.

– Kto pracuje, wygrywa, wygrywa, wygrywa.

Kiwam głową. Chinka przynosi mi herbatę.

– Zna pani Richarda Nixona? – pytam.

– Oczywiście – odpowiada. – Bez Nixona nigdzie bym nie zaszła.

– Pracuję nad nim.

– Proszę coś sobie wziąć – zachęca. – Przed odejściem niech pan weźmie sobie coś na później.

– Dobrze – mówię, nie bardzo wiedząc, czego ode mnie chce.

Wsuwa mi do ręki batonik Hersheya.

– Lubi pan z migdałami?

– Bardzo.

Patrzę na batonik – migdałowy.

– Pan robi dobrą robotę. – Chinka kiwa głową. – Znam pana od dawna, kupuje pan ciasteczka dla żony.

Nie kojarzę.

– Nie pamięta pan? – pyta i bierze pudełko ciastek LU Petit Écolier. – Te pan kupuje.

– Tak – mówię. – Zgadza się, kupowałem je dla Claire.

– Oczywiście, że tak.

– Kupowałem je tutaj?

– Jedną przecnicę dalej – wyjaśnia. – Przenieśliśmy się, lepsza lokalizacja, duży budynek nad nami, duzi bankierzy, rozgryzają liczby i potrzebują przegryzek.

– Dziwne, że mnie pani pamięta.

– Ja nigdy nie zapominam. – Zawiesza głos. – Współczuję panu. Widzę pana w gazecie, duży bałagan życiowy.

– Bardziej u mojego brata niż u mnie.

– U pana też. Pan jest swoim bratem.

– Daję radę – mówię. – Idzie ku lepszemu.

– Do widzenia, do widzenia, aligator śle życzenia.

Chinka odprowadza mnie do drzwi.

Po lunchu, czekając na Wandę w holu, odpakowuję batonik i odgryzam kęs. Zdumiewające, że sprzedawczyni w delikatesach mnie pamiętała. Bardzo dziwne, że kojarzyła, kim jestem. Znała mnie, Claire i wiedziała o moim bracie. Współczuła mi i podarowała batonik. Przecież teraz nikt tak po prostu niczego nikomu nie daje. Odgryzam następny kęs, przestając się przejmować krojem garnituru i tym, że Claire chodzi „gdzieś tam” w obcisłej spódnicy i butach na prowokująco wysokich obcasach. Obserwuję

przechodzących przez hol ludzi, myśląc o Nixonie, o człowieku i jego epoce: ciekawe, co by sądził o nowych technologiach szpiegowskich, możliwościach gromadzenia informacji. Czy nadal pisałby odręcznie? Czy surfowałby po stronach porno na iPadzie, wylegując się na ulubionym szezlongu obitym brązowym aksamitem w tajnym pokoju w budynku kancelarii Eisenhowera? Co myślałby o kobietach u władzy w dzisiejszych czasach? To w końcu on wyraził opinię, że kobiety nie powinny obejmować rządowych stanowisk – uważał je za nieobliczalne i zbyt ulegające emocjom.

Popołudnie upływa mi na czytaniu licznych wersji przejmującej i ponurej noweli *O miłości braterskiej*, z akcją rozgrywającą się w kalifornijskim miasteczku. Farmer, który nie osiąga zysków z uprawy cytryn, postanawia wraz z żoną zabić trzech synów, jest bowiem przekonany, że Pan ma dla nich lepsze plany na tamtym świecie. Kiedy ginie najmłodszy, środkowy syn odkrywa spisek i mówi o nim starszemu bratu, ale ten traktuje go jak wariata, kogoś, kto sprzeniewierza się słowu bożemu. Pod koniec dnia środkowy brat wraca do domu, dowiaduje się od rodziców, że najstarszy odszedł do Pana, i wpada w popłoch. Obawiając się o własne życie, na klęczkach tłumaczy rodzicom, że musi być jakiś powód, dla którego Bóg, który zabrał dwóch braci, jego

oszczędził. Stwórca musi mieć dla niego jakiś plan. Zrozpaczeni rodzice kiwają głowami i każą mu iść spać. Chłopiec modli się i udaje, że zasypia. Po północy wstaje i najpierw zabija ojca, a potem matkę, cały czas lękając się, że dosięgnie go ręka boska. Po zamordowaniu rodziców podpala dom i stodołę i odjeżdża rodzinnym autem, licząc, że uda mu się przekroczyć granicę, zanim złapie go policja.

Opowieść jest paranoiczna, porusza zagadnienia wiary i wyraża obawy, że rodzice nie troszczyli się dostatecznie o dzieci, że sam Bóg nie był zadowolony. Wydzwięk opowiadania jest taki, że na bracie, który pozostał przy życiu, ciąży obowiązek zrekompensowania strat i powinność dokonania rzeczy wielkich, heroicznych.

Odczytuję w tych fragmentach próbę przetworzenia przez Nixona przedwczesnej śmierci dwóch braci, Arthura i Harolda, i własnego kryzysu wiary. Po denerwującym poranku popołudnie przynosi nowe przyjemności. Proszę o klucz do męskiej toalety i dostaję zaprogramowaną kartę, przypominającą hotelową, wraz z informacją, że jej ważność upłynie za dziesięć minut. Toalety są luksusowe; urynał napełniono lodem, który uderzony moim strumieniem pęka, trzaska, strzela. Podobno w toaletach jest czystiej, kiedy mężczyźni mają

w co celować. Karta daje mi pretekst do przejścia się po korytarzach. Jak trafiła tu dokumentacja Nixona? – zadaję sobie pytanie. Co łączy tę „firmę” z rodziną Nixonów? Ktoś zna kogoś, kto kogoś zna; wszystko zależy od tego, kogo się zna, z kim się chodziło do szkoły, z kim dorastało na podwórku. Po kilku okrążeniach korytarzy wracam do sali konferencyjnej. Niedługo potem kicham, a wtedy zjawia się młody człowiek z pudełkiem chusteczek, przypominając mi tym samym, że jestem obserwowany.

– Dziękuję – mówię.

O wpół do piątej zjawia się Wanda.

– Za pół godziny zamykamy – komunikuje, a za dziesięć piąta przypomina: – Dziesięć minut.

O czwartej pięćdziesiąt pięć odkładam ołówek. Wchodzi Wanda. Pokazuję jej kilka stron notatek.

– Jeszcze pan nas odwiedzi? – pyta.

– Mam nadzieję, to ekscytujące odkrycie, zaledwie je napocząłem.

– Przekażę pani Eisenhower, że jest pan zadowolony.

– Dziękuję. Dziękuję też pani za pomoc. Miłego wieczoru.

Odpowiada uśmiechem.

Jadę do domu, uwielbiając Nixona, zachwycony jego wszechstronnością, subtelnością, biegłością w opisywaniu ludzkich zachowań. Zatrzymuję się, żeby kupić chińskie jedzenie. Wracam do domu, siadam przy

stole w jadalni, opowiadam o wszystkim Tessie. Rozmawiając z psem, zagarniam łyżką ostro-kwaśną zupę i równocześnie piszę jak szalony. Przelewam na papier wszystko, co pamiętam, podziwiając niuanse myśli Nixona, głębię charakteru, mroczny, cierpki humor, zdradzający większą samoświadomość, niż można by się spodziewać. Myślę o tym, jak te opowieści określą prezydenta na nowo, zmieniają naukowe opracowania – a w szczególności moją książkę. Po półtorej godziny pisania non stop przypominam sobie umowę o poufności, tak więc wszystko, co teraz napisałem, jest tylko dla mnie, to pierwsze wrażenia, wstępny szkic. Im bardziej zagłębiam się w temat, tym bardziej pragnę przedstawić w szczegółach postacie i tekst. Dlatego w poczuciu uciszenia, wystrychnięcia na dudka, wykorzystania zaczynam obmyślać, jak to obejść. Jeżeli rodzina zaprzeczy istnieniu takich nieskatalogowanych materiałów, trudno będzie czeokolwiek dowieść, ruszyć z martwego punktu. Liczę na to, że Nixonowie są rozsądni. Liczę na ich pragnienie, by Richarda Nixona poznano takim, jakim był, w całej jego chwale i złożoności. Co dalej? Czy mam numer telefonu Julie? Przeglądam listę połączeń przychodzących. Cierpliwości – mówię sobie, niech wszystko biegnie naturalnym trybem. Dzwoni telefon.

– Dobry wieczór, czy to pan Silver?

– Może. A kto z łaski swojej dzwoni?

- Geoffrey Ordy Junior, z Wurlitzer, Pulitzer i Ordy.
- Dzwoni pan do którego Silvera?
- Jak to?
- Do George’a czy Harolda?
- Zważywszy na sytuację, zakładam, że George jest chwilowo nieuchwytny – odpowiada ze złością mój rozmówca.
- Zgadza się.
- Przepraszam, że dzwonię tak późno.
- Nie szkodzi. Nie było mnie cały dzień.
- Przejdę do rzeczy. Jutro o jedenastej w White Plains odbędzie się przesłuchanie w sprawie wypadku samochodowego z udziałem pańskiego brata. Zapomnieliśmy pana zawiadomić. Przywiozą George’a, po raz pierwszy pojawi się publicznie. Zjadą się dziennikarze.
- Jutro?
- Ktoś, kto powinien pilnować sprawy, zapomniał pana zawiadomić.
- Jutro mam lunch, bardzo dla mnie ważny, z kimś, kogo nie mogę zawieść.
- Ja tylko przekazuję informację.
- Wprawdzie sprawa wydaje się ważna, ale z uwagi na całość chyba można ją sobie darować. George pojawi się po raz pierwszy, ale na pewno nie ostatni.
- Zgadza się.
- Jedenasta, White Plains?

- Tak mi podano.
- George tam będzie?
- Potwierdził to Sąd Hrabstwa.
- Jakoś to załatwię. Następnym razem proszę zawiadomić mnie wcześniej.
- Przyjąłem do wiadomości. Dobranoc.

Tej nocy śni mi się Richard Nixon – leży na podłodze w garniturze marengo i białej koszuli, głowę opiera na poduszce z frędzlami i przekręca się z boku na bok, jakby chciał rozmasować obolały mięsień. Pat w obcisłej czerwonej sukience chodzi po pokoju, przestępując raz po raz przez leżącego. Nixon zagląda jej pod sukienkę.

„Pończochy, bez majtek? – pyta zaskoczony. – Tak jest wygodnie?”.

„Tak” – odpowiada Pat.

Dzwoni telefon.

- Posłuchaj, skurwysynu!... – wrzeszczy ktoś na mnie. Przerażony myślę, że to dzwoni on – Richard Nixon.
- Masz cholerny tupet! – krzyczy tamten, a ja powoli przytomnieję. To nie Nixon, to ojciec Jane. – Brzydzę się tobą i twoim parszywym bratem!

Ona mnie uwiodła, protestuję w duchu, ale milczę.



- Chcę, żebyś nigdy nie zapomniał, co zrobiłeś!
  - Myślę o tym bez przerwy – odpowiadam, zdając sobie sprawę, jak nikłe jest to pocieszenie.
  - Słysząc, że sprawy osiągnęły punkt krytyczny, bomba poszła w górę, będzie przesłuchanie, polecą głowy, dlatego martwimy się o dzieci.
  - Są w szkole.
  - Dostyc już przeszły. Nie powinny brać w tym udziału.
  - Bardzo dobrze sobie radzą.
  - Powinieneś gdzieś z nimi wyjechać.
  - Parę tygodni temu widziałem się z Nate'em z okazji Dnia Sportu, nieźle się spisywał.
  - Nie powinny być wystawione na wrzawę, jaka się podniesie wokół tej sprawy.
  - Ashley dzwoniła parę dni temu. Odbyliśmy cudowną rozmowę, bardzo nas zbliżyła, przeżyliśmy coś razem.
  - Sraty-taty. Słyszysz, co do ciebie mówię? Uważamy, że dla dzieci byłoby dobrze, gdyby wyjechały z kraju.
  - Dokąd?
  - Mógłbyś je zabrać do Izraela.
  - Nie mówią po hebrajsku. Ledwie wiedzą, że są Żydami.
- W słuchawce cisza.
- Posłuchaj, gadzino! – mówi ojciec Jane. – Z Izraelem to był żart.
  - Żart? Jaki Żyd żartuje z Izraela?
  - A kto idzie do łóżka z żoną brata, kiedy brat jest

w wariatkowie? Nieważne, dokąd je zabierzesz, byle gdzieś, gdzie oderwą się od tego gnoju.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Zapłacę ci, żebyś gdzieś z nimi pojechał, dupku!

– Chodzą do szkoły. Chcesz, żeby wyjechały, to zaplanuj małe wakacje i zawiadom mnie o terminach.

– W tej chwili mogę się zająć jedynie żoną i sobą.

Słyszę okrzyk, jakby zaszlochał z głębi piersi, i mój rozmówca się rozłącza.

Wyprowadzam psa. Błękit porannego nieba jest nasycony, dobrotliwy, wiele obiecujący. Przytłacza mnie optymizmem – jednym słowem, wprawia w nerwowy dygot, poprzeczka została podniesiona zbyt wysoko.

Ubieram się do sądu i na lunch. Wkładam jeden z ciemnoszarych garniturów George'a, białą koszulę, niebieski krawat. Niebieski bardziej mi pasuje do sprawiedliwości, bo czerwony sygnalizuje agresję. Gryzą mnie złe przecucia. Jestem przygotowany jak najstaranniej – dezodorant aplikuję nie tylko pod pachy, ale też szeroką krechę przez środek klatki piersiowej, wokół łędźwi i na plecach, dokąd sięgam. Łatwo się pocę – w stresie pot kapie ze mnie jak woda z nieszczelnego kranu; w parę minut mam mokrą koszulę.

W White Plains okrążam budynek sądu; wszędzie widać tablice „Parkowanie zabronione”. W końcu parkuję przed galerią handlową i przechodzę na jej drugą stronę.

Gmach sądu, podobnie jak wszystkie tego typu współczesne budowle, jest pozbawioną charakteru fortecą, pomnikiem gryzpiórków, biurokracji, początkowym stadium szaleństwa naszego systemu. „Piekło pocztowe” nie jest dłużej zarezerwowane dla pocztowców, przysięgających, że „ni deszcz, ni śnieg, ni mroki nocy nie wstrzymają posłańców w drodze do celu”. Stało się niemal rytuałem przejścia, że niezadowolony pracownik wraca i strzela do szefa, niezadowolona żona zabija dzieci, niezadowolony mąż w kraksie samochodowej zabija nieznajomych, a potem zabija żonę. Trudno się temu dziwić, skoro większość rozmów publicznych sprowadza się do pytania: „Gotówką czy kartą?”. Przeraża mnie takie odczłowieczenie.

Zbliżam się, oczekując medialnego cyrku, wozów transmisyjnych, anten satelitarnych – to Ameryka, wszystko jest cyrkiem. To, że nie ma tu „sceny” ani czerwonego dywanu, a rzeczy biegną zwykłym trybem, jest tym bardziej denerwujące. Czy wydarzenia nieudokumentowane i nieprzedstawione nam w mediach pozostają „rzeczywiste”? Czy cokolwiek ma

znaczenie, jeżeli nie zajęli się tym dziennikarze? Jak świadczy o mnie to, że wierzę w prawdę tylko tych wydarzeń, które pokazują mi kamerzyści? Wewnątrz budynku anonimowy głos z nagrania mówi: „Witam, proszę opróżnić kieszenie, włożyć rzeczy do pojemników i przejść przez bramkę kontrolną”.

Mężczyzna przede mną odruchowo zdejmuje buty.

Strażnik bez słowa zachęca go do przejścia przez wykrywacz metalu, nie patrząc na to, że biedak przyciska znoszone skórzane buty do piersi. Patrzę na jego pięty, stopy ma lekko przekrzywione na zewnątrz – to pronacja czy supinacja?

Moja kolej. Sięgam do kieszeni i rzucam to, co wydobyłem, do koszyka; nie trafiam, monety spadają z brzękiem na podłogę jak tłukące się szkło i toczą się na wszystkie strony.

– Proszę pana, proszę przejść na bok.

– Coś jest nie tak? – pytam.

– A jest? – odpowiada pytaniem strażnik.

– Trochę mnie poniosło – mówię. – Denerwuję się. Dziś przyjeżdża tu mój brat.

– Bardzo interesujące. – Strażnik dokładnie mnie obszukuje wykrywaczem i rękami, a jego kolega chodzi i zbiera bilon. – Oddać panu pieniądze? – pyta, kiedy kończy.

– Proszę je zachować – odpowiadam.

– Nie mogę – mówi. – Albo je pan weźmie, albo trafią

do skarbonki.

Głową wskazuje puszkę Armii Zbawienia, podobną do tej, jakiej przed świętami pilnuje Mikołaj.

– Do skarbonki – decyduję. – Traktujecie mnie specjalnie? – pytam, wkładając do kieszeni resztę rzeczy.

– Każdego traktujemy specjalnie.

Za bardzo biorę to wszystko do siebie, jakby to mnie postawiono przed sądem. Przez pomyłkę pytam o drogę do klasy, ale w końcu odnajduję właściwą salę. Jest w połowie pusta, trwają spokojne przygotowania, papiery krążą z rąk do rąk, ludzie się kręcą. Mam wrażenie, jakbym patrzył na maszynistów teatralnych przygotowujących scenę. System sądowy jest zbastardyzowany, trąci Anglią, surrealizmem, kulturą amerykańską, fast foodami, brakiem stylu – pisarze i urzędnicy sądowi są grubi i biednie ubrani. Sala brzydka, zaniedbana; można odnieść wrażenie, że nikt nie kocha tego miejsca – przypomina raczej dworzec autobusowy niż szacowny przybytek.

Spodziewałem się mediów, prasy, ludzi pchających się do środka, a tu wielkie nic. Mężczyzna z piwnym bandziochem notuje w stenograficznym bloczku, to samo robi kobieta ubrana w coś, co matka nazwałaby szmatą. Kiedy wreszcie sprawa zostaje wywołana, przez boczne drzwi wchodzi George z adwokatem i zajmują miejsca. Siedzę w trzecim rzędzie, widząc jego plecy. George ogląda się i patrzy na mnie; jest oteptały,

spuchnięty, pod wpływem leków. Zaczyna się od formalności, przypomnienia, na czym stoimy i jak do tego doszło. W pewnym momencie George raptem chrząka niczym nosorożec szykujący się do szarży – niepokojąco, ale nikt nie reaguje. Prawnicy robią swoje. Słuchając raz bardziej, raz mniej uważnie, ożywiam się na słowa kogoś z biura prokuratora okręgowego:

– ...krótko mówiąc: wycofujemy oskarżenie dotyczące tragicznego w skutkach wypadku samochodowego. – Prawnik odczytuje przygotowane oświadczenie: – Niezależne dochodzenie potwierdza tezę obrony o usterce zawinionej przez producenta. Udokumentowano, iż producent nie zawiadomił w porę klientów. W okresie dwunastu miesięcy przed wypadkiem producent otrzymał liczne skargi dotyczące problemów z hamulcami, ich niepewności w działaniu, zawodności, w tym nierównej pracy. Pozyskane dowody potwierdzają, że hamulce w samochodzie oskarżonego były tego samego typu co hamulce uznane za wadliwe oraz że oskarżony zaraz po wypadku zeznał funkcjonariuszom obecnym na miejscu zdarzenia, cytując: „Próbowałem się zatrzymać, ale auto jechało dalej”. Oskarżony nie ma na swoim koncie wykroczeń drogowych, stąd konkludujemy, iż wypadek nastąpił nie z winy kierowcy, lecz z powodu wadliwości pojazdu. Uważamy, że naszą wiedzę i umiejętności spożytkujemy skuteczniej, ścigając producenta. W tym celu złożyliśmy

już stosowne dokumenty.

Czy ja naprawdę słyszę to, co słyszę – George wykipił się z oskarżenia o spowodowanie kraksy?

– A zatem w odniesieniu do tego wypadku strona wnosząca pozew wycofuje oskarżenia wobec pana Silvera? – upewnia się sędzia.

– Tak, Wysoki Sądzie, wycofujemy wszelkie oskarżenia dotyczące wypadku samochodowego. Dowody są niewystarczające.

Tylko George i ja wyglądamy na zaskoczonych.

– To absurd! – mówi głośno George. – Jestem winny. Niewyobrażalnie winny. Chcę zostać ukarany.

– Popieram wniosek! – wołam z widowni.

– Proszę o spokój! – mówi sędzia, uderzając młotkiem.

– Pańskie chęci są mało istotne, panie Silver. To jest sąd. Pan Silver wróci do Sadyby i tam pozostanie pod opieką aż do odwołania bądź takiej zmiany warunków lub okoliczności, która uzasadniałaby ponowne rozważenie, czy go tam umieścić.

George odwraca się do mnie.

– Dziękuję za wsparcie – mówi, kiedy jeden z bykawatych pracowników Sadyby wyprowadza go z sali.

Przy źródelku z wodą do picia natykam się na adwokata George’a.

– Ordy – przedstawia się, podając mi rękę. – Rozmawialiśmy wczoraj.

– Jakie to dziwne – mówię. – Spodziewał się pan tego?  
– Gdybyśmy się spodziewali, bylibyśmy jasnowidzami, nie prawnikami. Ludzie nas zatrudniają nie bez powodu: przeprowadziliśmy solidne dochodzenie.

– Ale on to zrobił, to była jego wina. Byłem tam, rozmawiałem z nim tej nocy, kiedy doszło do wypadku.

– To, co mówił George, jest bez znaczenia. Hamulce były wadliwe, a producent o tym wiedział.

– Odebrałem go wtedy z aresztu, nie był sobą tamtej nocy.

– Jest, kim jest, odciski palców się zgadzają.

– Zabił żonę.

– Z czasem to i owo się wyjaśni.

Ordy ociera usta wierzchem dłoni.

– Nie wątpię – mówię. – Widziałem, co zrobił. Uderzył ją w głowę lampą.

– Naprawdę? – Adwokat patrzy na mnie. – A może to był pan? Może to pan uderzył jego żonę w głowę i zwała na niego winę?

– Przecież się tego nie wyparł.

– Wiemy, że stara się pana chronić jako młodszego brata.

– Jestem od niego starszy.

– Nieważne. – Adwokat wzrusza ramionami.

– Czy zamordowanie Jane będzie tematem rozprawy? Chciałbym być na niej obecny.

– To się jeszcze okaże. Prowadzimy negocjacje.



Zmieniam taktykę.

– Nate chce zrobić coś dla tamtego chłopca, tego z wypadku.

– Kto to jest Nate?

– Syn George'a.

– I co chciałby zrobić?

– Chciałby go przyjąć pod swój dach albo chociaż pojechać z nim gdzieś na jeden dzień.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Dlatego, że źle się czuje z tym, że jego ojciec zabił rodziców dzieciaka. Czemu pan pyta, czy to nie oczywiste?

– Rzeczy oczywiste są bez znaczenia. Nie mam na to wpływu. Chłopiec mieszka u ciotki.

– Mógłby mi pan podać numer jej telefonu i powiadomić ją, że chcielibyśmy coś zrobić? Dużo zrobić.

– Próbujecie uniknąć procesu cywilnego?

– Jeden dzieciak, który stracił rodzinę, chce pomóc drugiemu dzieciakowi, który także stracił rodzinę, ale jeśli chce pan to spaskudzić, to pewnie się panu uda.

– Tylko spytałem.

– Więc może poda mi pan telefon ciotki i sam to załatwię.

– Jak panu wygodniej.

Ordy popija wodę ze sztucznego źródła i ociera usta wierzchem dłoni.

O wygodzie nie ma mowy.

Spóźniam się na lunch. Mówię kierownikowi sali, że mam się z kimś spotkać.

– Samotna pani? – pyta.

– Tak – odpowiadam i denerwuję się, usiłując sobie przypomnieć, jak wygląda Cheryl.

Pamiętam tylko jeden szczegół – zaskakujący, lecz nieprzydatny w tej sytuacji – jej włosy łonowe utrefione tak, że zamiast pionowego pasa do lądowania (to znaczy pasma włosów biegnących z góry na dół) miała tak zwaną ścieżkę lotu, zygzakowatą grządkę ufarbowaną na różowo. Trudno coś takiego zapomnieć. Rumienię się, idąc za kierownikiem sali do stolika, przy którym siedzi samotna kobieta.

– Czy ty to ty? – pytam.

– Tak, to ja – odpowiada.

– Przepraszam za spóźnienie – mówię, siadając.

– Nie szkodzi.

Przyglądam się jej uważniej. Mam być całkiem szczery? Przyznam więc, że wygląda nieznajomo, co podsuwa mi podejrzenie, że ktoś mnie wrabia, że zza kraty wyskoczy jakiś gostek i przedstawi się: „Napalony Kostek z podglądarnia.com”. Może mam obsesję na punkcie mediów, ekipy z kamerą, konieczności dokumentowania wszystkiego, by stało się rzeczywiste. Tak czy owak denerwuję się. Cheryl wyczuwa moją niepewność.

– Zmieniłam fryzurę – wyjaśnia.

- Ładna – chwałę bez entuzjazmu.
- Często robię coś z włosami. W ten sposób wyrażam siebie. Pamiętasz może tę różową ścieżkę?  
Czerwienię się, lecz odczuwam ulgę.
- Co ci się stało w oko? – pyta.
- Wypadek przy pracy w ogrodzie.
- Wyglądasz, jakbyś przed chwilą płakał.
- To pot, nie płacz. Słona woda mogła je podrażnić.
- Więc... jak się miewasz? – próbuje skleić rozmowę.
- Dziwnie. A ty?
- Zawsze czułeś się dziwnie czy tylko teraz?
- Byłem dziś rano w sądzie na sprawie brata. Wpadł w tarapaty i dzisiaj, o dziwo, oskarżenie wycofano.
- Fantastycznie. – Cheryl unosi szklankę z wodą jak do toastu. – Zdrowie.
- Jest winny – mówię z oburzeniem. – Oszukano mnie. Liczyłem, że sprawiedliwości stanie się zadość.
- Wspomniałeś o udarze – zmienia temat Cheryl. – Jak to na ciebie wpłynęło?
- Czemu pytasz? Twarz mi opada? Tak było. Kiedy przeglądałem się w łazienkowym lustrze, zjechała mi w dół.
- Bez powodu. Próbuję się dowiedzieć czegoś o tobie.  
Kiwam głową.
- Kelner przynosi oliwki i pieczywo, informuje o specjalnościach zakładu i daje nam „chwilkę na zastanowienie”.

Opowiadałam o wizycie u Nate'a i weekendowym Dniu Sportu.

– Dzieci są wspaniałe – mówi rozpromieniona. – Ale nie chodzi o nasze dzieci, tylko o nas – ciągnie, nachylając się i zapominając, że Nate nie jest moim synem. – Znam to z doświadczenia, byłam mamą małego piłkarza, stałam w ciepłym deszczu obok trenera, którego żona, prawniczka w korporacji, zachorowała na raka piersi. Był taki smutny, samotny, potrzebował małego skoku w bok. „Czy mógłbyś jej dotknąć, teraz, tutaj, pod moim poncho? Tak bardzo chcę, żeby ktoś jej dotknął. Śmiało, wyjęłam ją, pomacaj, chce dla ciebie zatańczyć”.

Jej zachęta przeraża i podnieca.

Wraca kelner.

– Czy państwo już się zdecydowali?

– Nie, nie zdążyliśmy się zastanowić – mówię.

– Może coś na spółkę? – proponuje Cheryl.

– Na co tylko masz ochotę – odpowiadam ku jej zadowoleniu.

Spogląda na kelnera.

– Pizza z klopsami bez cebuli, duża sałatka.

Kelner kiwa głową i odchodzi.

– Więc... co się z tobą stało? Wspomniałaś, że się rozsypałaś?

– Odstawiłam leki. Zażywałam je od tak dawna, że nie pamiętałam po co. Zostały przepisane szesnaście lat temu na depresję poporodową, a ja wciąż je brałam,

dopiero ostatnio uznałam, że to nie ma sensu. Powiedziałam sobie, że jestem szczęśliwa, mam wszystko, czego mi trzeba, mogę robić, co chcę. Przestałam więc brać leki i wydawało się, że jest dobrze.

– A potem?

– A potem, kilka miesięcy później, zmarła nagle dziewczyna, którą znałam od przedszkola, i coś się zmieniło. Stopniowo wszystko się posypało.

– Od czego się zaczęło?

– Od flirtowania. Wchodziłam do internetu, wysyłałam zaczepne mejle. Potem miałam telefony, niewinne, ale zabawne. A potem ktoś spytał, czy odważę się z nim spotkać na parkingu przy Dunkin' Donuts, miał być ubrany w pączek oponkę z galaretką, no i podjęłam wyzwanie. – Cheryl popija łyk. – Właściwie nie znam ciebie dobrze.

– Czemu seks, a nie, na przykład, zakupy?

– Uważasz mnie za zdzirę? – pyta ostro.

Nachylam się.

– Próbuję zrozumieć, co on dla ciebie znaczy i dlaczego chciałaś się ze mną dziś spotkać.

Kelner stawia między nami sałatkę.

Cheryl odrzuca głowę i potrząsa włosami. Ten ruch, który wyglądał dobrze w wykonaniu Farrah Fawcett, jest tu ni w pięć, ni w dziewięć, zagraża zdrowiu. Nastroszone blond nitki wpadają do sałatki.

– Uch – krzywi się Cheryl i wyjmuje niepożądany

dodatek. – Podobno nie powinno się farbować włosów częściej niż raz na sześć tygodni, ale ja nie mogę tak długo czekać. Kiedy nachodzi mnie chęć, żeby coś zmienić, robię to od razu. – Mruga, jakby rzęsa wpadła jej do oka, co mi uprzytamnia, że kiedy przyszedłem do niej na lunch, miała okulary – zwisały jej z karku na sznurku, niczym dziwne powiększaczki piersi, i podskakiwały, jakby miały jej o czymś przypominać, gdy brałem ją od tyłu.

– Nosisz okulary? – pytam.

– Tak, ale je stłukłam. Jestem ślepa jak kura – mówi i kładzie do ust trochę włoszatej sałatki.

Wyciąga długi włos i przywołuje kelnera.

– W sałatce są włosy – narzeka.

– Niebawale – odpowiada kelner ze śmiertelną powagą. – Życzy sobie pani drugą porcję?

– Zaczekamy na pizzę – wtrącam.

– Dosyc na mój temat – mówi Cheryl. – Porozmawiajmy o tobie. A więc uczysz?

– Tak – potwierdzam krótko.

– Myślałam o tobie, ale nie mogłam sobie przypomnieć, czy interesował cię Larry Flynt, Nixon czy z jakiegoś powodu George Wallace. Czyżby utkwiał mi w głowie, bo do niego strzelano?

– Strzelano i do niego, i do Flynta. Wallace’a, prowadzącego kampanię prezydencką w Laurel w Marylandzie, postrzelił w tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątym drugim roku Arthur Bremer, którego pamiętnik posłużył za kanwę filmu *Taksówkarz*, a ten z kolei zachęcił Johna Hinckleya do wzięcia na muszkę Ronalda Reagana. Natomiast Larry'ego Flynta, oskarżonego o szerzenie obscenicznych treści, dopadł w trakcie procesu sądowego w Georgii w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym snajper i teraz Flynt porusza się na złoconym wózku inwalidzkim.

– Podoba mi się, że to wszystko wiesz.

– Jestem historykiem – wyjaśniam. – Ale ta sprawa ma więcej warstw. Zastanawiano się, czy Bremer dla kogoś pracował. Po czyjej był stronie? Czy Nixonowi udało się podrzucić materiały z kampanii McGoverna w mieszkaniu Bremera, a jeśli tak, to czy była to propaganda, czy zacieranie śladów?

Patrzę na Cheryl. Zastanawiam się, z ilu mężczyznami miała „lunch” w czasie, gdy zachowywała się jak szalona, i czy jej mąż o tym wie.

– Nie wie – mówi, jakby czytała w moich myślach. – Teoretycznie, w myśl zasad „zdrowienia”, powinnam mu powiedzieć. Ale nawet jeśli mi odbiło, jeszcze nie zwariowałam. On wie, że tracę rozum, a szczegóły są bez znaczenia.

Na stole ląduje pizza, gorąca, ciągnąca się, wyjątkowa. Przy pierwszym kęsie parzę sobie podniebienie, przy trzecim chyba schodzi mi naskórek, bo potem czuję smak własnego mięsa.

– A Julie Eisenhower? Jesteście sobie bliskie? – pytam i odklejam ser od podniebienia.

– Jest bardzo miła, ale nie powiedziałabym, że jesteśmy sobie bliskie. Pewnie bym jej nawet nie poznała, gdyby nie to, że jesteśmy dalekimi krewnymi. Nie interesuję się polityką, jestem towarzyska, lubię ludzi. Ale to już chyba o mnie wiesz.

– Czy coś podobnego przydarzyło ci się wcześniej?

– Podobnego do czego?

– Do tego.

– Miałam depresję w college’u. Nikt o niej nie wiedział. Przez miesiąc leżałam w łóżku, a potem wstałam.

– Nie chodziłaś na zajęcia?

– Wstawałam na zajęcia i posiłki, a potem znów się kładłam.

– Więc nie byłaś sparaliżowana przez depresję?

– Czułam się tak, jakbym umierała – mówi, patrząc mi w oczy.

– A potem ci przeszło?

– Robiłam to, czego ode mnie oczekiwano.

W jej głosie brzmi napięcie, smutek, jakby straciła coś i nigdy tego nie odzyskała.

– Przez telefon wspomniałaś, że „przeżyliśmy coś razem”.

– Tak. – Oblizuje wargi. – Odniosłam wrażenie, że ty jeszcze tego nie przeżyłeś.

– Późne dojrzewanie?



– Rozkwit. Uroczy jesteś, jakbyś nadal czekał, aż coś się wydarzy.

– Aż uśmiechnie się do mnie fortuna.

– Coś w tym rodzaju – mówi. – Jesteś tak uroczo inny, jakbyś trafił tu z innej epoki, to słodkie. Wiem, czym się interesują szesnastoletni chłopcy, a mój mąż wciąż klepie o łódkach, samochodach, wakacjach, zabawkach, jakie chce kupić, o tym i tamtym sterowanym pilotem. – Patrzy na mnie z miną winowajczyni. – Mam problem.

– Jaki?

– Kiedy doszłam do siebie, pamiętałam, że cię polubiłam, i dlatego postanowiłam zadzwonić. Ale teraz mam prawdziwy problem. – Daje znak kelnerowi. – Mogłabym dostać kieliszek wina?

– Może arnolda palmera [\[18\]](#)? – proponuję.

– Białe – mówi Cheryl. – Duży kieliszek białego.

– Może butelkę? – zachęca kelner.

– Kieliszek, dziękuję – mówi Cheryl. Kelner odchodzi.  
– Jednym słowem, nadal cię lubię. Nie wiem dlaczego. To idiotyczne, ale tak jest, chociaż wiem, że nie powinnam. Znów zaczęłam brać leki i jestem sobą, tą „lepszą” sobą, mimo to nadal cię pragnę. A co jeszcze dziwniejsze... chcesz usłyszeć coś dziwnego?... poznałam kiedyś młodego zbieracza masek prezydentów. Ma już ze czterdzieści znanych twarzy i lubi się wcielać w role przy kobietach, fantazjujących być może, że dyma je JFK lub dogadza im „na pieska” Abe Lincoln. Kto wie, czy nie

marzą o tym, by przywiązał je do mównicy i nadużył odziany w skóry Jimmy Carter? Gość miał niewyczerpaną fantazję, ale nie był... nie jest tobą. Udaje historyka, a ty nim jesteś naprawdę. Więc co mam zrobić? – pyta.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc przybieram „pozę Tuptusia”. Podpieram brodę dłonią i ściągam brwi. W *Bambim* królik Tuptuś mówi: „Jeżeli nie możesz powiedzieć nic miłego, to się nie odzywaj”. Dobra rada, z roku 1942. Cheryl patrzy na mnie wyczekująco.

– Nie wiem, co powiedzieć – mówię.

– Powiedz, że ty też mnie pragniesz – podpowiada.

Naśladuję kilku prezydentów, żeby rozładować stres.

Zjawia się kieliszek wina. Cheryl wychyla go kilkoma łykami i zamawia drugi.

– Nie powinniśmy robić nic, co naraziłoby cię na ryzyko – silę się na współczujący ton. – Nie zrobię niczego, co by ci zaszkodziło albo naraziło na szwank twoje małżeństwo i rodzinę. Dajmy sobie czas. Nie musimy w tej chwili rozstrzygać o niczym. – Unoszę rękę na znak, że proszę o rachunek. – Możemy umówić się na lunch za kilka tygodni.

– Chcę czegoś więcej niż tylko lunchu.

– Naprawdę nie wiem, co odpowiedzieć.

– Powiedz, że mnie pragniesz – powtarza swoje.

Milczę. Dostaję rachunek i nie patrząc na niego, podaję kelnerowi kartę kredytową. Czuję, że muszę stąd wyjść.

Jej oczy lśnią od łez.

– Nie płacz, było miło, przyjemnie, pizza była pyszna.

– Jesteś słodki – mówi.

– Wcale nie.

Razem idziemy na parking. Kiedy się z nią żegnam, wpycha mnie między dwa auta, zarzuca torebkę na ramię i łapie za krocze.

– Potrzebujesz mnie – mówi, miętosząc mi klejnoty. – Jestem twoją przyszłością.

Poniedziałkowe zajęcia mają według planu temat „Nixon w Chinach: tydzień, który zmienił świat”. To cytat z wypowiedzi wielkiego polityka, opisującej podróż do Chin w 1972 roku. Trwała tak naprawdę osiem dni, była starannie wyreżyserowana i miała dać widzom szansę zajrzenia za bambusową kurtynę. Wysoce nieprawdopodobne osiągnięcie dyplomatyczne zaliczone przez zagorzałego antykomunistę – kiedy Nixon przedstawił pomysł wizyty swoim ludziom, myśleli, że mu odbiło. Prezydent wykonał manewr w swoim stylu, udał, że się wycofuje, a jednocześnie zaangażował uboczne kanały dyplomatyczne w Polsce i Jugosławii, wykorzystując napięcia w stosunkach rosyjsko-chińskich i nie zapominając, że kraj o największej liczbie ludności „żyje w gniewnej izolacji”. Ten śmiały krok na drodze odprężenia umożliwił Stanom Zjednoczonym wywieranie większego nacisku na Rosję, doprowadził do rozmów SALT II i powolnego zmniejszenia zimnowojennych napięć. Mój ulubiony fragment scenariusza: w lipcu 1971 roku Kissinger zatrzymuje się w Pakistanie, przy kolacji udaje, że zachorował, wychodzi i leci do Chin na potajemne spotkania z Czou En-lajem, żeby omówić szczegóły planowanej podróży Nixona. Wizyta prezydencka przyniosła bogate materiały o początkach przyjaźni, wycieczce na Wielki Mur oraz

pokazach ping-ponga i gimnastyki, oczywiście w towarzystwie pierwszej damy, nieodłącznej Pat w czerwonym płaszczyku.

Na osławionym bankiecie w Pekinie, 21 lutego 1972 roku, prezydent Nixon wznosił toast w obecności przewodniczącego Mao i powiedział:

*Jaką spuściznę pozostawimy naszym dzieciom? Czy ich przeznaczeniem jest umrzeć za nienawiść przepelniającą stary świat, czy też ich przeznaczeniem jest żyć dzięki wizji zbudowania nowego świata? Nie ma powodu pozostawać wrogami. Żaden z nas nie chce zagarnąć terytorium drugiej strony; żaden z nas nie pragnie dominacji nad drugim; żaden z nas nie dąży do przejęcia władzy nad światem. Przewodniczący Mao napisał: „Tyle jest do zrobienia, i to bardzo pilnie. Świat toczy się naprzód. Czas płynie. Dziesięć tysięcy lat to za długo. Łap dzień, łap godzinę”. I to jest właśnie ta godzina, to jest ten dzień, w którym dwa narody wzniosą się na wyżyny wielkości, która może zbudować nowy, lepszy świat.*

Kilka dni później dzwoni telefon. Nie słyszę dzwonka, tylko kobiecy głos w sekretarce.

– Wierzę, że zdaje pan sobie sprawę, iż niezależnie od tego, co zdecydujemy, nasza praca musi pozostać

poufna.

Podnoszę słuchawkę.

– Oczywiście – zapewniam, nie mając pojęcia kogo.

– Kiedyś spędzimy trochę czasu razem, ale w tej chwili chciałabym się zorientować, co pana zdaniem może tam być...

– Gdzie? – pytam z nadzieją na jakąś wskazówkę.

– Na tych stronach.

– Przepraszam, odebrałem telefon, kiedy pani mówiła.

Wolno spytać, z kim mam przyjemność?

– Julie Eisenhower.

– Oczywiście, przepraszam.

Nabieram powietrza.

– Jak było?

– Wspaniale, ziszczone marzenie. Czułem się jak dziecko w sklepie ze słodyczami, a wszystko na wyciągnięcie ręki, takie osobiste. Elektryzujące uczucie... obcować ze stronami, które on zapisał, czuć ciężar jego ręki, nacisk pióra, napięcie towarzyszące wyrażaniu myśli. To było – biorę głęboki oddech – coś transcendentalnego.

– A sam materiał, jego treść?

– Duża swoboda, brak skrepowania, opowiadania są zaskakująco szczerze. Wielka wyobraźnia i siła uczuć, powiedziałbym: patos, który ludzie rzadko dostrzegają u pani ojca. I coś jeszcze: opowiadania znamionują, że pani ojcu nie była obca znajomość zwykłych ludzi,

przeciętnych Amerykanów, co czyni go bardziej ludzkim, a czytelnikowi daje poczucie tego, co przeżywał, jakie miał wartości, jak się zmieniał, rozwijał jako człowiek. Te zapiski przydają mu wielowymiarowości. Chcę przez to powiedzieć, iż mogą pomóc w zrewidowaniu jego oceny jako postaci historycznej... Pani ojciec to ikona swoich czasów, postać ambitna, poszukująca i zdesperowana, polityk, który uchwycił moment zwrotu w dziejach Ameryki, podsumował mroczność amerykańskiej duszy, zmianę między tym, kim byliśmy przed drugą wojną światową, a tym, kim się staliśmy po jej zakończeniu.

– Myśli pan, że wyjdzie z tego książka?

– Jak pani wie, nie jestem specem od literatury, ale to było fascynujące. Zobaczyłem pani ojca od nieznannej dotąd strony, jako kogoś, kto ciężko pracuje, czuje się niedoceniany i chce, żeby ktoś go wreszcie zauważył. Przypomniał mi się Willy Loman Arthura Millera.

Mówię „Willy Loman” i urywam, porażony historyczną retrospekcją. Millera wezwano przed oblicze senackiej Komisji do spraw Działalności Antyamerykańskiej. Oczywiście Nixon grał w niej kluczową rolę. Miller odmówił podania nazwisk i został pozwany za obrazę Kongresu. Ledwie wypowiadam jego nazwisko, przeraża mnie, że o tym „zapomniałem”, co potwierdza, jak ważne jest pamiętać o faktach i nie zapominać. Milczę.

– Czy mam rację, że na Broadwayu grają właśnie

sztukę Millera? Nie przypominam sobie którą, ale wybieraliśmy się z Davidem...

Prycham, żeby wydobyć z siebie głos.

– Chyba była jakaś wzmianka w „New Yorkerze”. W każdym razie w tych opowiadaniach pobrzmiewa echo klasycznych autorów amerykańskich, Sherwooda Andersona, Richarda Yatesa, Raymonda Carvera... Nie traktują o polityce, tylko o ludziach, zwykłych mężczyznach i kobietach. Nas i ich – prawicę i lewicę, granat i czerwień, kwestie osobiste i polityczne – oddziela bardzo cienka linia...

– Nie boję się demokratów, panie Silver – przerywa mi Julie. – Wiem, że darzy pan szczerym uczuciem mojego ojca i że wykracza to poza ramy polityki. Mamy nadzieję, że uda się coś zrobić z pozostawionymi zapiskami, i jesteśmy zainteresowani tym, by zaczął im pan nadawać kształt.

Mówi, że podobało jej się moje spostrzeżenie, iż w pudłach kryje się materiał na parę książek, zapewnia, że będę miał dalszy dostęp, i przypomina o przyniesieniu dokumentu tożsamości, a potem się śmieje...

– Widzę, że Wanda przedstawiła dokładne sprawozdanie – mówię zawstydzony.

– Wszystko w porządku. Mojej matce ciągle się to zdarzało, wychodziła z domu bez torebki. A potem mieliśmy telefony o kobiecie w barze Garfinkel's w Tenley, która podaje się za panią Richardową Nixon



i próbuje zadzwonić „na kredyt”. Ale raczej rzadko wychodziła sama, zwykle w towarzystwie Trish lub moim.

Na koniec Julie proponuje mi honorarium w wysokości siedmiu tysięcy pięciuset dolarów na początek oraz umowę przewidującą zakończenie bądź kontynuację współpracy po jej podsumowaniu za dwa miesiące.

– Brzmi nieźle – kwituję.

– Niebawem porozmawiamy – obiecuje, zanim się rozłączą.

Ledwie skończyliśmy, znów dzwoni telefon.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że ja łatwo nie rezygnuję – mówi kobieta.

Nie odzywam się.

To znów Julie czy tamta? Oczekuję wskazówki.

– Jesteś tam? Jesteś na mnie gotów. Bo ja jestem gotowa na ciebie... i czekam.

– Wpierw mieliśmy się zaprzyjaźnić.

– Nie chcę się zaprzyjaźniać. Chcę, żebyś mnie zerznął, chcę dochodzić szybko, mocno, często. Masz mnie przelecieć, a potem jeszcze raz.

– Robisz to też z innymi czy tylko ja jestem szczęściarzem?

– Ograniczyłam się. Do ciebie i męża.

- I co on na to wszystko?
- Chce, żebym udawała dziwkę i negocjowała z nim usługi. Lubi mi płacić po fakcie przy dzieciach, które nie mają pojęcia, co go tak śmieszy. Więc kiedy cię zobaczę? Poważnie, co ty na to, żebym wpadła do ciebie dziś po południu?
- To niemożliwe.
- Myślałam, że mieszkasz sam.
- Mam zwierzęta.
- Jakie? Zazdrosną małpę?
- To nie mój dom, jestem gościem. Zawiała historia.
- To może spotkamy się w motelu?
- A może w barze, na lunchu albo kawie.
- Chcę poczuć twój tłuczek w moim mózdzierzu.
- Jak będziesz tak mówić dalej, to skończymy rozmowę...
- Żartujesz, tak?
- Czyżby?
- Poznałam cię przez internet. Jeżeli nie zrobisz tego, co chcę, mogę cię oskarżyć o gwałt. Nadal mam majtki, które nosiłam w dniu, kiedy przyszedłeś...
- Jak to?
- Zachowuję bieliznę po każdym spotkaniu, na wszelki wypadek...
- Na wypadek gdybyś miała chęć coś wymusić?
- Może dogodzisz mi przez telefon... pokieruję tobą. Zmusza mnie do seksu przez telefon i chociaż wcale

nie chcę się podniecić, stopniowo mnie to wciąga.

– Myślę cały czas, że mam ci pomagać... a nie umożliwiać – mówię, rozpinając rozporek.

– Jestem już taka wilgotna. Mam rękę głęboko w cipce i aż ze mnie kapie, potrzebuję tylko twojego pizdoletu, żeby trysnąć. Chcę, żebyś mnie wyłomotał. Chcę poczuć, jak bębniysz jajami o mój tyłek. Chcę, żebyś mnie wziął na pieska. Uszczypnij mnie w cycek, mocno.

W tym momencie zaczyna pokrzykiwać jak szarżujący kowboj w galopie na rodeo i z tego, co słyszę, nie udaje. Jest to poniekąd groteskowe i nieodparcie seksowne. Kiedy ona dochodzi, ja podniecam się coraz bardziej, aż w końcu nie mogę się powstrzymać. Siedzę w fotelu, lecz tuż przed eksplozją obracam się wraz z nim tyłem do biurka i tryskam na biblioteczkę George’a, wszystkie tomy historii amerykańskiej i rodzinne fotografie w srebrnych ramkach. Natychmiast chwytam chusteczkę i zaczynam wycierać ślady.

– Muszę kończyć – mówię. – Nabałaganilem.

Śmieje się.

– Wiedziałam, że pęknieś.

Nabrała mnie.

Chwilę później, gdy dzwoni Nate, czuję się tak, jakby przyłapano mnie ze spuszczonej spodniami. Podnoszę telefon z biurka George’a, odchrząkuję i beczącym

głosem mówię „halo”.

– Nic ci nie jest?

– Nic.

Głos mam nadal wysoki, więc odchrząkuję.

Nate jest pełen energii i myśli z prędkością stu kilometrów na minutę. Czuję się przy nim jak nawalony.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– Przy biurku twojego ojca, pracowałem.

– Możemy czatować wideo – proponuje podekscytowany. – Czemu wcześniej o tym nie pomyślałem! Na komputerze taty jest zainstalowana kamera. Wystarczy nacisnąć niebieski przycisk na podstawce. Zaczekaj, zadzwonię. – Po kilku sekundach komputer brzęczy. – Wciśnij Accept.

Klikam bez zastanowienia.

Nate macha do mnie.

– Widzę cię – mówi.

– Ja ciebie też – potwierdzam do słuchawki.

– Możemy odłożyć telefony – mówi, więc odkładam. – Słyszysz mnie?

Słyszę. Kamera wideo zainstalowana na komputerze? To przerażające. A jeżeli ktoś mnie obserwował?

– Jak to się nazywa? – pytam.

– Facetime, iChat albo Skype. Zależy od programu, efekt końcowy jest z grubsza taki sam.

On mówi „Skype”, a mnie kojarzy się to z Ellą Fitzgerald śpiewającą skatem.

– Co widzisz? – pytam Nate’a, zastanawiając się nad rozdzielczością.

– Widzę cały gabinet, biblioteczki, nagrody. Wszystko, co jest za tobą. Nie wiem czemu nie pomyślałem o tym wcześniej, cały czas mogliśmy rozmawiać ze sobą twarzą w twarz.

– Tak, mogliśmy w taki sposób rozmawiać od początku – mówię, obsesyjnie myśląc o swojej wcześniejszej rozmowie i zadając sobie pytanie, czy na półce za moimi plecami zostały jakieś ślady, coś, co przegapiłem...

Czat wideo jest jak rozmowa w stylu NASA; niewielkie opóźnienie dźwięku i wizji przypomina mi obrazy z kosmosu, przetworzone na piksele jak w dziwacznej postmodernistycznej animacji.

– Halo!!! – wołam.

– Nie musisz krzyczeć – stopuje mnie Nate. – Jestem w bibliotece. Mów normalnie.

– Dobrze – szepczę.

– Dokąd pojedziemy na ferie? – pyta.

– Jak to?

– Zbliżają się szkolne ferie. Zastanawiam się, dokąd pojedziemy.

– Zawsze gdzieś jeździecie?

– Tak – odpowiada tonem niemal wyższości.

– Czy w szkole Ashley ferie są w tym samym czasie?

– Tak.

- A to nie fanaberia wyjeżdżać gdzieś bez powodu?
- Każdy potrzebuje odpocząć, oderwać się.
- Dokąd zwykle jeździecie?
- Na narty do Aspen, czasem na Karaiby albo na wycieczkę edukacyjną, na przykład na Galapagos, do rezerwatu żółwi.
- A latem?
- Obóz, letnia szkoła, podróż, pobyt na Vineyard. Mama to wszystko opracowała. Na pewno jest przygotowany plan na ten rok.
- Dobrze wiedzieć. A więc na te najbliższe ferie też jest jakiś plan? Masz coś na myśli?
- Nie bardzo. Jeżeli nie masz pomysłu, zawsze można pojechać do Disney World.
- Jak to możliwe, że chłopak, który ma swoje miasto w Afryce Południowej, chce jechać do Disney World?
- Nate milczy chwilę.
- Jestem tylko człowiekiem – odpowiada wreszcie. – Myślisz, że dzieciaki w Nateville nie znają Myszki Miki? Noszą koszulki z Myszka Miki. Ubrania, które wpychamy do pojemników przy parkingu w centrum handlowym, są potem sprzedawane, a nie oddawane biedakom w innych krajach.
- Nie wiedziałem.
- Nikt o tym nie wie. Wszystkie dzieci, które oglądasz w reportażach o biednych regionach świata, noszą koszulki z amerykańskimi postaciami i hasłami. A co

z tym chłopcem, sierotą, może z nami pojechać?

– Na pewno jest o czym myśleć – gram na zwłokę. Nigdy nie podróżowałem z dziećmi, z dwojgiem dzieci, z dwojgiem dzieci i sierotą.

– Jak on ma na imię?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Nie odwiedziłeś go w szpitalu?

– Zajrzałem do niego i zostawiłem prezenty. – Zastanawiam się: może znałem jego imię, ale zapomniałem. Zgadzam się z Nate'em, że to dziwne. – Dowiem się, jak się nazywa – obiecuję. – A skoro już rozmawiamy, chcesz usłyszeć nowiny o ojcu?

– Nie.

– Dobrze.

Nie zamierzam informować go na siłę, choć nie bardzo mi się podoba być jedynym poinformowanym.

– Czy możemy zaplanować konferencję z Ash, żeby omówić wycieczkę? – pyta Nate.

– Oczywiście. Przez Skype'a? – pytam łagodnie.

– Odpada – stwierdza Nate. – Jej szkoła nie zezwala na czaty wideo. Obawiają się pedofilów i reszty.

– Dobrze, w takim razie umówimy się na zwykłą rozmowę pod koniec tygodnia.

Kilka wieczorów później rozmawiam z obojgiem przez telefon.

– Zdzwoniliśmy się, żeby obmyślić plan na ferie – zagajam.

– Ja chcę coś wesołego – mówi Nate.

– Co ci się marzy? – pytam.

– Kolejka górską w wesołym miasteczku – mówi Nate.

– Ja chcę coś z obsługą hotelową – zgłasza Ashley i dodaje: – Gdzieś, gdzie nie jest za gorąco ani za zimno i nie siedzi się cały czas w domu.

W końcu wybieramy Williamsburg, co jest zasługą Nate'a, który podczas rozmowy konferencyjnej googlował jak rasowy agent biura podróży, uwzględniając nasze pragnienia i potrzeby.

– Historyczne miejsce, obsługa hotelowa w pokoju, niedaleko parku rozrywki Busch Gardens i parku wodnego Great Wolf Lodge. Moglibyśmy zatrzymać się w Great Wolf w pokoju z pryzmami i o wystroju chaty z bali. W pobliżu jest też tor gokartowy.

Kiedy sprawdzam miejsce, które proponuje, uświadamiam sobie, że jest dzieckiem. Mówimy o koszmarze zainfekowanym bakteriami, letnim obozie poza kontrolą sanepidu, dziecięcej fantazji – wodnych zjeżdżalniach i frytkach. Czuję chlor wypalający mi zatoki, widzę pościel z poliestru, krzesła z poduszkami w winylowych pokrowcach. Wspominam weekendową wizytę u George'a i wydaje mi się ona przyjemniejsza od tej wizji. Nic nie mówię, czasem trzeba trzymać karty przy orderach.



- Głosujemy? – pyta Nate.
- Jasne – odpowiadam.
- Wszyscy za Williamsburgiem i okolicą?
- Taaak – mówimy chórem.

A więc postanowione. Ledwie podjęliśmy decyzję, Nate zaczyna mnie męczyć, żebyśmy zabrali sierotę.

Już mamy się rozłączyć, kiedy przypomina mi się jego imię, a ściślej mój brat i jego durna uwaga o matce wołającej chłopca...

- Ricky – mówię. – Ma na imię Ricky albo Ricardo.
- A jak na niego wołają? – pyta Ash.
- Ricky albo Ricardo – powtarza Nate.
- Ładnie – mówi Ashley. – Zaprośmy go.

Zgadzam się zadzwonić mimo obaw, że nasza rodzina wejdzie jeszcze głębiej w życie tamtych ludzi, których tak mocno zraniliśmy. A potem myślę o Nacie i Ashley i ich młodszej wierze w możliwość naprawy szkód. Z takim nastawieniem zmuszam się do zatelefonowania.

– Zastąłem Christinę Menendez?

Wypowiadam te słowa powoli, bo w duchu niewytłumaczalny sposób zacząłem nazywać tę kobietę Carmen Mirandą i jestem pewien, że tak się do niej bezpośrednio zwrócę.

– Nie ma jej w domu – odpowiada mężczyzna.

Chcę spytać, czy mogę zostawić swoje nazwisko, ale

się rozłącza.

Próbuję znowu wieczorem.

– Zastąłem Carmen? – pytam.

– Pomyłka.

– Staram się dodzwonić do Carmen. Chodzi o chłopca.

– Pan się pomylił, ona nie nazywa się Carmen, tylko Christina. Jeszcze nie wróciła.

– Przepraszam – mówię, nawet tego nie zauważając. – Kiedy będzie w domu?

Widzę w kuchni rzeczy, zdjęcia dzieciaków od lat stojące na lodówce, rzeczy, które kiedyś tam utknęły i wciąż tkwią, obrosłe patyną wieku, warstwami soku pomarańczowego, mleka i rozchlapanego sosu spaghetti.

– Mam jej coś przekazać?

– Wolałbym pomówić z nią osobiście.

Zrywam brzeg starej nalepki dla roznosiciela gazet. Mocno przywarła. Próby odklejenia jej tylko pogarszają sprawę – wymaga zeskrobania żyłką.

– Pan zaczeka.

– Halo – odzywa się podejrzliwie kobieta.

– Witam. Jestem...

– Wiem, kim pan jest.

– Nie, nie. Jestem bratem, stryjem jego dzieci.

Milczy.

Mówię, wywnętrzam się, gadam o wszystkim, co tak

bardzo trudno jest powiedzieć.

– Dzieci mężczyzny, który zabił pani krewną, źle się czują, bardzo martwią się o tego chłopca, chcą mu pomóc... – Czuję się niezręcznie, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. – Zabieram je do Williamsburga i chciałyby zaprosić pani siostrzeńca.

– A co to jest?

– Williamsburg? Miejscowość w Wirginii, stare miasto, dawna plantacja. Po pożarze w Yorktown zostało stolicą stanu. Właśnie tam wojna o niepodległość nabrała impetu. Do tego miasta jeździ się, żeby poznać amerykańską historię – wyjaśniam i raptem zmieniam temat: – W pobliżu są parki rozrywki. Zdaniem dzieci mogą się chłopcu spodobać... i pani również, oczywiście.

– Ja pracuję.

– Gdyby mogła pani wziąć wolne, to pokryjemy utracone zarobki – deklaruję. – Jedziemy na parę dni, długi weekend.

– Ma poważne kłopoty – stwierdza kobieta tak beznamiętnie, że trudno się zorientować, do czego zmierza.

– Po tym wypadku?

– Ma poważne kłopoty: słabo się uczy, jest nieco opóźniony, ma ADHD, chorobę dwubiegunową et cetera. Muszę mu dawać leki.

– Aha. No cóż, dzieci chciałyby go poznać bliżej, no a pani też jest zaproszona.

Nie robi to na niej wrażenia, a może nie za bardzo rozumie, co mówię.

– Porozmawiam z mężem – obiecuję.

– Dobrze. Dziękuję.

Odrobinę zbyt dumny z siebie dzwonię do ojca Jane.

– Skorzystałem z twojej propozycji – oświadczam.

– Nie może być.

– A jednak.

– Akurat.

– Zabieram dzieci... Jedziemy do historycznego Williamsburga.

– Rozumiem. – Milknie i nakręca się: – Obyś zgnił w piekle razem ze swoim bratem skurwysynem! Oto moja propozycja! Zabraliście mi moją piękną córkę. Diabli wiedzą, co robisz tym dzieciom.

Zbieram myśli.

– Masz rację – mówię ugodowo. – Nie da się wybaczyć tego, co się stało. Przyjąłem do wiadomości twoje słowa. Staram się zrobić dla tych dzieci wszystko, co w mej mocy.

– Szmondak!... A więc po co dzwonisz? – pyta po chwili.

– Zaproponowałeś, żebym gdzieś je zabrał. Więc cię zawiadamiam, że jedziemy do Williamsburga.

– I spodziewasz się, że za to zapłacę? Myślisz, że

Williamsburg to Izrael? Grosza nie dam, kapcanie, grosza nie dam!

– Nie prosiłem o pieniądze. Po prostu chciałem, żebyś o tym wiedział. Prześlemy kartkę.

Kończę rozmowę.

Kiedy znowu rozmawiam z Nate'em, przekazuję mu, że dzwoniłem do ciotki chłopca.

– Co jest dziś? – pyta.

– W jakim sensie?

– Który dzień?

Podaję mu datę.

– Wiem. Urodziny mamy.

– Właśnie – mówię, choć nie miałem o tym pojęcia.

– Uczymy to jakoś? Symbolicznie, tortem z niezapaloną świecą?

– Zrób to.

– Aha. Poproszę kuchnię o urodzinowy tort dla mojej zmarłej matki, z niezapaloną świecą...

– A ja pójdę na cmentarz – deklaruję.

– I co zrobisz?

– Sprawdzę, co z grobem, porozmawiam z nią...

Im więcej mówię, tym gorzej to brzmi – wyobrażam sobie, jak stoję nad jej grobem i śpiewam *Sto lat*.

Nate milczy...

– I co powiedziała rodzina tego chłopca? – pyta

wreszcie.

– Zastanawiają się.

– Mam nadzieję, że pojedzie z nami.

– Dlaczego?

– Stało się coś bardzo złego, musimy to naprawić.

Możemy zrobić chociaż tyle.

– Mam taką nadzieję – mówię, zaskakując siebie.

Jadę na cmentarz i krążę wśród nagrobków – wygląda tak samo: trochę samochodów, grabarze, trwa jakiś pogrzeb. Nic nie może tu wystawać ponad ziemię, więc jego płaskość ma w sobie coś apokaliptycznego. Nie wyrasta z niej żadne zabląkane drzewo, żaden samotny wiąz nie zapuszcza korzeni.

Nie pamiętam, gdzie jest grób Jane. Muszę to sprawdzić w kancelarii cmentarza.

– Proszę się wpisać do księgi gości – poleca mi urzędniczka przy biurku, ale się nie wpisuję.

Przyniosłbym kwiaty, ale cmentarz tego zakazuje: „żadnych żywych kwiatów” oznacza również „żadnych martwych kwiatów”, które trzeba zebrać i wyrzucić.

Podążam za wskazówkami, wysiadam z auta i zaraz po wejściu na małe wzniesienie dostrzegam Sylwię, matkę Jane. Na jej widok mam ochotę odejść, zawrócić do samochodu, uszanować jej prywatność, uniknąć konfrontacji. Ale tu nie ma dokąd iść, więc pozostaje mi

kroczyć naprzód.

– Witam – mówię.

Odpowiada skinieniem głowy.

Oboje patrzymy na grób Jane. Położono na nim kilka kamieni, wskazujących, że jej nie zapomniano, że byli tu inni.

– To tu – mówi Sylvia.

Nie wiem, jak na to zareagować.

– Tak, to tu – potwierdzam. – Jej urodziny.

– Tak. – Twarz jej się rozjaśnia. – Pamiętam dzień, w którym się urodziła, wyraźnie, jakby to było wczoraj, ale wczorajszego dnia tak dobrze nie pamiętam. Wybacz – mówi, jakby błagała o wyrozumiałość. – Biorę leki, potrzebuję czegoś na uspokojenie... ale w tej chwili jestem jak żywy trup.

– Wiem, że to trudne. – Milknę. – Dzwonił Nate, zastanawiał się, jak uczcić dzisiejszy dzień. Obiecałem mu, że tu przyjdę.

Przekazuję Sylvii garść szczegółów o dzieciach i milknę. Nie słucha mnie.

– Wiedziałam o waszym romansie – mówi.

Kiwam głową.

– Jane i ja rozmawialiśmy...

Milczę, bo cóż mogę powiedzieć.

– Ja też miałam romans – wyznaje. – Kiedy powiedziała mi o tobie, ja powiedziałam jej o sobie.

– Z kim miałaś romans?

– Z Goldblattem, dentystą. I z Troshinskim, uczył dziewczynki gry na pianinie. Miał piękne dłonie. Czulał też słabość do Guralnicka, który przez jakiś czas pracował w biurze męża. Ale do romansu nie doszło. Mój mąż oczywiście o niczym nie wie.

– Oczywiście.

– Jane bardzo cię lubiła.

– Ja ją też.

– I warte to było tego wszystkiego? Chwili... jakkolwiek to nazwiesz, która kosztowała moją córkę życie – mówi, jakby nie mogła w to uwierzyć.

– Nie dało się tego przewidzieć.

– Romansu? – pyta z niedowierzaniem Sylvia.

– Morderstwa.

– Twoja żona to cudzoziemka – odzywa się po chwili. – Wysłała za ciebie, żeby legalnie pozostać w Stanach.

– Moja była żona jest amerykańską Chinką. Urodziła się tu, z wyróżnieniem skończyła Stanford, a jej ojciec był poważnym kandydatem do Pokojowej Nagrody Nobla.

– Nie miałam pojęcia – mówi wieloznacznie i kładzie błękitne pudełeczko od Tiffany’ego na ziemi, w miejscu na następny grób.

– Kupiłaś jej prezent? – pytam.

– Nie jestem głupia. Pudełko jest puste. Jane lubiła błękitne pudełeczka.

W samochodzie, w drodze do domu, rozważam, czy zadzwonić do George’a. Rozmawiam z nim w myślach:



„Dziś są urodziny Jane. Nie wiedziałem, czy o tym pamiętasz, więc postanowiłem sprawdzić”.

„Rznąłeś ją” – mówi.

„Nie dlatego dzwonię...”.

Myśl o tym każe mi zakończyć ten dialog.

Oddzwania Christina, ciotka chłopca. Ma kilka pytań. Chce się upewnić, że nie będzie to ich nic kosztować.

– Pokrywamy wszelkie koszty – zapewniam.

– Mąż chce wiedzieć, czy mamy dostarczyć namiot.

Nie wiem, skąd im się wziął pomysł z namiotem.

– Nie będzie potrzebny – odpowiadam stropiony. – Zatrzymamy się w hotelu. Wystarczy ubranie na zmianę i szczoteczka do zębów.

– Dobrze, pojedziemy.

Zabieramy ich z domu ciotki. Mąż wychodzi z nimi, taskając dwie wielkie walizy, mały plecak i torbę z żywnością. Ciotka się wystroiła – w dobre džinsy, ładną bluzkę i buty na wysokich obcasach. Ricardo jest pulpetowaty, spięty i nadmiernie podniecony – wszystko naraz. Nie podoba mi się od pierwszego wejrzenia. W jaskrawożółtych spodenkach piłkarskich i ogromnej granatowej koszulce Yankees wygląda w sumie jak wielka rozlazła klucha. Gdy docieramy do Trenton, nabieram wątpliwości. Hałas gry wideo, w którą gra Ricardo, doprowadza mnie do szału, ale wygląda na to, że oprócz mnie nikt inny tego nie słyszy.

– Możesz to ściszyć? Możesz to z łaski swojej ściszyć? Wyłączyć? Wyłączyć na krótki czas? Mam prośbę. Odpocznij. Proszę grzecznie. No dobrze, błagam, nie mogę prowadzić w takim hałasie.

A potem chłopak zaczyna kopać w tył mojego fotela i zmieniać ciśnienie powietrza w samochodzie, otwierając i zamykając elektryczne okna. Nate i Ash przemawiają do niego po hiszpańsku. Mały śmieje się i odkłada grę. Śmieje się naprawdę dziwnie, niemal zwierzęcym, odpychającym śmiechem, lecz przy tym w pełni naturalnym i urokliwym.

Pytam ciotkę Ricarda, skąd pochodzi – zakładam, że z Kolumbii lub Nikaragui.

– Z Bronxu – odpowiada.

– A pierwotnie skąd?

– Z Bronxu – powtarza. – Ojciec jest dozorcą grupy budynków, a matka ma sklep.

Jej mąż, zazdrosny bądź zaniepokojony, że żona puści go w trąbę dla dwójki dzieci i brata mordercy, wydzwania co dwadzieścia minut.

Tymczasem zarykujący się śmiechem Ricardo pozostaje wulkanem energii – w ciągłym ruchu – z wyjątkiem przerw na jedzenie cuchnącej papai i puszczenie wybuchowych bąków.

Na moście Delaware, po piątym telefonie od męża, ciotka Ricarda nie wytrzymuje:

– Tego już za wiele. Nikomu nie sposób dogodzić. Wszyscy coś ode mnie chcą... Nie wiem, dlaczego mężczyźni nie mogą zadbać o siebie, dlaczego nic sobie sami nie ugotują... Nie mam dziesięciu rąk. Nie mogę być bez przerwy na usługi wszystkich. Już nic ze mnie nie

zostało. Pracuję dla kogoś, potem przychodzę do domu i tyram dla niego, rodzice wymagają pomocy, a mąż mi wymawia, że jestem nudna. Dawniej się śmiałam, chodziłam na plażę, bawiłam się z nim... albo patrzyłam, jak puszczą z kolegami zdalnie sterowane autka...

Kiwam głową, licząc, że będzie gadała, aż przejadę przez most. Nie wiem czemu, ale boję się, że wyskoczy z samochodu i rzuci się przez barierkę do wody. Wcale bym jej nie winił, gdyby to zrobiła.

– Nie dzieli się mną z nikim. Śni mi się, że od niego uciekam i podejmuję opiekę nad wiekowym staruszkiem, który lubi przesypiać cały dzień, a na śniadanie i obiad je owsiankę. Nie ma zębów, więc nie może mnie ugryźć. Zakochuje się we mnie i jego rodzina się cieszy... no, może nie całkiem cieszy, ale udaje, że tak. Bierze ze mną ślub w wózku inwalidzkim i zabiera mnie do uzdrowiska, z którego mam już koszulkę – Canyon Ranch[19]. Dała mi ją kuzynka, która sprząta domy. Dostała ją od jednej pani za zrobienie „wiosennych porządków”. Staruszek zabiera mnie do Canyon Ranch i mówi: „Wiedziałem, że będziesz tu szczęśliwa, bo tak mi powiedziała twoja koszulka”.

Gada i gada. Kiwam głową i słucham, co jakiś czas wtrącam współczujące „mhm” albo „wyobrażam sobie, jakie to trudne”.

Siedzące z tyłu dzieci są na tyle mądre, żeby nie przerywać. Tak jakby spadła na nie kurtyna milczenia –

grają z Ricardem w gry wideo.

Wjeżdżamy z Delaware do Marylandu, przemykamy przez Baltimore i jesteśmy w śródmieściu Waszyngtonu. Zabieram ich na szybkie zwiedzanie Kapitolu, pomnika II Wojny Światowej, pomnika Jeffersona, pomnika Weteranów z Wietnamu, mauzoleum Lincolna, pomnika Korpusu Piechoty Morskiej z Iwo Jimy i wreszcie Białego Domu.

Kiedy przemierzamy się z jednego miejsca w drugie, czuję, że wszystkich pochłoneła historia. W którejś chwili ciotka Ricarda zatrzymuje mnie i pyta:

– Czemu pan myśli, że pańska historia różni się od mojej? Tu się urodziłam.

– Ale pani rodzina przybyła tu z innego kraju – odpowiadam bez przekonania.

– Tak jak pańska – ripostuje i ma rację.

Jej mąż dzwoni jeszcze z pięć–sześć razy i tuż przed powrotem na trasę do Wirginii ciotka oznajmia, że postanowiła wrócić do domu. Zostawia mi lekarstwo dla Ricarda i zapisuje, jak i kiedy mu je podawać.

– Na co ono właściwie jest? – pytam.

– Pomaga mu myśleć w szkole. Ale kiedy przestaje działać, robi się rozdrażniony i obija o ściany. Wtedy wysyłam go na dwór.

Żegnamy się i na Union Station wsadzam ją do pociągu, z bejsbolówką FBI kupioną w dworcowym sklepie z pamiątkami. Chyba jej ulżyło, że wraca, a mały

jest szczęśliwy, że zostaje z Nate'em i Ash.

Jedziemy dalej i do Williamsburga docieramy tuż przed kolacją. Dzieci szybko dostosowują się do programu. Ash chce się przebrać w kostium z epoki. Kiedy już zamierzam wypożyczyć jej jakiś w Centrum Gości, Nate nachyla się ku mnie i mówi:

– Daruj sobie, kup jej nowy, a unikniesz wszy. A poza tym ona nie zechce go zwrócić.

Idę za jego radą. Kupuję sukienkę, a wtedy Ashley żąda „butów pielgrzyma”, które w dawnych czasach nie były ani lewe, ani prawe. Gdy je nabywamy, chłopcom zachciewa się trójgraniastych kapeluszy i drewnianych strzelb, które wyglądają niegroźnie, dopóki nie zmieniają się w pałki i floretty. Odwiedzamy sklep z pamiątkami i pocztę, gdzie Nate kupuje stare gazety, rozmaite dokumenty prawne i proklamacje, Ash wybiera gęsie pióra i atrament w proszku, a ja odgrywam rolę żywego bankomatu. Za każdym razem, gdy kupuję coś dla któregoś z dzieci, muszę też kupić coś dla dwojga pozostałych. Ilekroć wyciągam portfel, zlatują się jak kaczuszki, ale, o dziwo, Nate nie żąda wielu rzeczy. Zamiast tego powtarza wciąż: „Wezmę gotówkę”, więc mu daję po dziesięć, dwadzieścia dolarów. Dla Ashley kupujemy coś u jubilera, potem coś w sklepie z ceramiką, potem świecę dla jej nauczycielki plastyki i, i, i... Zaczynam się zastanawiać, jak wyglądałby bankomat z epoki – byłby to ktoś siedzący w kucki w środku miasta

na worku złotych monet?

Zachowałem mgliste wspomnienia z dawnej wycieczki do Williamsburga. Pamiętam, że w Yorktown dostałem czarną drewnianą dzidę z gumowym grotem i że później używałem jej jako wędki. Jemy kolację w Ye Olde Pub i uczestniczymy w wieczornym przedstawieniu, ucząc się tańczyć wirginijskiego reela.

– Zwykle zajmujemy jeden pokój, a rodzice drugi – mówi Ashley, oglądając nasz duży pokój w gospodarstwie.

– Tym razem śpimy razem – oświadczam i wszyscy milkną.

Nocleg tu stresuje mniej, niż gdybym nocował w domu. Nie muszę się martwić o gotowanie i sprzątanie, a w dodatku wspierają mnie gospodynie uzbrojone w dodatkowe poduszki i ręczniki i starszawa konsjerżka, która wprawdzie nigdy nie opuszcza stanowiska, ale sprawnie załatwia nam bilety na wszystko: występy taneczne, wycieczki po farmie i strzelnicę.

Ricarda zachwyca poranny bufet.

– To jak przyjęcie śniadaniowe – mówi – jak zrzutkowa wyżerka w kościele, gdzie się chodzi w kółko, bierze się, co chce, a potem znowu i znowu.

Daję mu lekarstwo, które połyka, zagryzając dziesięcioma kawałkami bekonu, czterema naleśnikami, połówką miski płatków zbożowych, łyżką jajecznicy i cynamonowym maślanym ciachem. Przywykli do

szkolnej stołówki Nate i Ash poprzestają na płatkach i owocach. Podziwiam ich umiar.

Ashley postanawia, że winniśmy zakosztować uroków epoki i pochodzić po pokoju z zapalonymi świecami. W obawie przed pożarem zgadzam się na zapalenie po zmroku latarek. Gęsim piórem i atramentem piszemy do siebie listy i wiadomości, które zapieczętowujemy woskiem, po czym, robiąc z nich samoloty i rzucając przez pokój, dostarczamy je sobie ekspresem albo kursującą co kwadrans szybką pocztą konną w postaci Ricarda galopującego na strzelbie.

Każde z dzieci ciągnie samorzutnie w inną część naszej kwatery, by zaanektować ją dla siebie. „Gabinetem” Ashley staje się łazienka. Nate zawłaszcza jedyne biurko, a Ricardo zarządza minibarem, opróżnionym na moją prośbę przez gospodynię. Później na każdej z niewielkich półek na alkohol znajduję żołnierzyki. Moją osobistą strefą wydaje się połowa łoża, które dzielę z Nate’em. Budzę się w środku nocy i widzę, że leżymy twarzą w twarz. Bratanek oddech ma słodki, twarz pogodną.

Ashley siedzi cicho, często pisząc w swoim „gabiniecie” esemesy lub prowadząc długie wieczorne rozmowy z jakąś szkolną przyjaciółką. Znajduję ją śpiącą na podłodze, z komórką w dłoni i głową na łazienkowej macie.

– Zdrzemnęłam się – wyjaśnia, gdy ją budzę.



- W trakcie rozmowy?
- Przyjaciółka czytała mi bajkę.
- Czy jej rodzice nie wyznaczyli godziny, o której ma iść spać?

Ashley wzrusza ramionami.

- Rozmowa międzymiastowa kosztuje.
- Spoko. To ja do niej zadzwoniłam. Międzymiastowe są wliczone w koszt pobytu.

Kiedy dzieci są na śniadaniu, sprawdzam to u recepcjonisty. Mówi mi, że Ashley nagadała się za czterysta dolarów.

– Tyle nie zapłacimy – oświadczam i żądam rozmowy z kierownikiem.

– Dobrze, co pan powie na dwieście? – proponuje kierownik.

– Sto pięćdziesiąt i ani centa więcej!

Kierownik się zgadza.

Nie mówię nic Ashley. Nie mogę jej łątać. Cieszę się, że ma z kim rozmawiać.

Ilekcroć patrzę na Ricarda, jego imię wylatuje mi z głowy. Tym bardziej że na bluzie ma przypiętą, i to na pewno od dawna, plakietkę z tekstem „Cześć, nazywam się...” i dopisanym spłowiałym czarnym flamastrem słowem CAMERON.

- Kim jest Cameron? – pytam.
- A o co chodzi?
- O „Cześć, nazywam się CAMERON”.

– Tak nazywał się chyba ten, co nosił tę bluzę przede mną.

– Dlaczego zachowałeś tę plaketkę?

– Podoba mi się. Nazywam tę bluzę Cameron.

Milkniemy.

Gdy stoimy przed sądem w Williamsburgu, czekając na Ash i Nate'a, którzy chcieli wysłuchać mowy wygłaszanej przez aktora grającego George'a Washingtona, Ricardo pyta:

– Dlaczego zabiłeś moją mamę i mojego tatę?

– Nie zabiłem ich, zabił ich mój brat. Twoją mamę i twojego tatę zabił George – odpowiadam, skonsternowany zarówno bezpośredniością jego pytania, jak i swoim obronnym tonem.

– Kto to jest George?

– To mój brat. Ojciec Nate'a i Ashley.

– Mnie też próbował zabić?

– Nie, nie chciał zabić nikogo, to był wypadek, wielki fatalny wypadek. Jest mi naprawdę przykro.

– Przyniosłeś mi balonik.

– Owszem... chciałem sprawdzić, jak się czujesz.

– Skąd wiesz, że to nie ty to zrobiłeś?

– No, bo nie było mnie tam, kiedy to się stało. Przyjechałem później. A George jest teraz w specjalnym szpitalu. Stracił rozum.

– Zabił moją mamę i mojego tatę.

– Przypadkiem. A potem zabił mamę Nate'a i Ashley.

Nie wiem, czy dzieciak o tym wie, nie wiem, czy akurat ja powinienem mu to powiedzieć, ale chcę mu jakoś uzmysłwić, że nie tylko on stracił rodzinę.

Potrząsa głową.

– Był bogaty i miał wielki telewizor, nie musiał nikogo zabijać.

– To prawda – przyznaję. – Nie musiał nikogo zabijać.

Wpadam w popłoch. Może zapomniałem mu dać lekarstwo – i stąd jego nagła świadomość sytuacji, jasność myśli spowodowana niezazyciem leków – więc się martwię, co teraz nastąpi. Zmieni się w Niewiarygodnego Hulka?

– Brałeś dziś lekarstwo? – pytam.

– Tak – potwierdza. – Dałeś mi rano.

Nate i Ash wychodzą z sądu, idziemy na pokaz robienia lodów w kuchni kolonialnej, a potem na lunch. Ciągłe czekam, że stanie się coś jeszcze – ale nic się nie dzieje – więc zwiedzamy dalej.

Późnym popołudniem dzwoni opiekun zwierząt.

– Czy przed wyjazdem oglądał pan kotkę? – pyta.

Wyczuwam w jego pytaniu podchwytliwość.

– Zginęła? – pytam.

– Ma kocięta – mówi. – Przeżyło sześć. Jedno zdechło, zakopałem je pod krzewami róży za domem.

– Nie wiedziałem, że jest kotna. Nic o tym nie

wspomniała.

– Chyba trzeba je zawieźć do weterynarza na kontrolę.

– Tak. Rozsądna myśl. A co z Tessie?

– Czuje się nieswojo. Aha, kotka okociła się w głównej sypialni. Wyrzuciłem pościel. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

– W porządku, w porządku.

– Jeśli będzie coś nowego, dam znać – kończy rozmowę opiekun.

Widocznie mam zaskoczoną minę, bo dzieci pytają:

– Co się stało?

– Tessie ma kotki – odpowiadam, dezorientując je jeszcze bardziej.

– Tessie to pies – przypomina mi Ashley.

– Masz rację – mówię.

A potem rano cała trójka, jakby wszyscy oprócz mnie dostali zawiadomienie, stawia się na śniadanie ubrana normalnie, a Nate obwieszcza, że idziemy do parku tematycznego Busch Gardens. Dowiaduję się o tym ostatni.

Busch Gardens nie jest „przeciętnym” parkiem rozrywki – to jakby jego spektakularna, steroidowa, rozbuchana wersja z włókna szklanego, z europejskimi motywami o niemieckich nazwach – Der Autobahn, Der Katapult, Der Wirbelwind.

Ricardo jest ogromnie podekscytowany, ale boi się tamtych urządzeń, więc Nate i Ash idą sami, a ja

zabieram go na mniejsze atrakcje dla dzieci: Kinder Karussel, Der Roto Baron i podobne. Podoba mu się. Wkrótce dołączamy do starszych dzieci i Ricardo pędzi rozochocony, ale nie puszcza mojej ręki, więc ja również lecę w powietrze, wyginam się, obracam w prawo, w lewo, wiruję oniemiały, ogłupiały, aż w końcu robi mi się niedobrze.

– Fuuuuu! – mówi Ashley, kiedy na ich oczach puszczam pawia. Od przyjazdu tutaj kończyłem ich śmieciowe jedzenie, hot dogi, spiralne pierścionki cebuli, paluszki kurczakowe, niedojedzone lody.

– Nieładnie – mówi Nate, kiedy raz po raz opróżniam żołądek do kosza w kształcie krasnoluda. Staram się wymiotować w otwór, w usta gnoma – ale bezskutecznie. Zanieczyszczam mu całą głowę i grunt dookoła. A potem nagle, jakby ziemia uciekła mi spod stóp, nie mogę ustać. Muszę się położyć i padam na krawężnik żółtej ceglanej drogi, z głową na stosie dziecięcych kurtek.

– Jedną minutkę – mówię, ścierając z policzka gorzką plwocinę.

Po kilku chwilach, jak gdyby wypatrzyła nas kamera w jakiejś centrali, nadjeżdża wielgachnym wózkiem golfowym potężna pielęgniarka i zabiera mnie do biura. Dzieci jadą z tyłu.

– Oficjalnie i bez dodatkowych opłat mogę panu zaordynować sole trzeźwiące, piwo imbirowe, słonego krakersa, bactine i plaster opatrunkowy – mówi podczas

jazdy. – Mamy też defibrylator. Kupiłam go w sklepie Staples, naściemniałam im, że to toner do kopiarki. Każdy powinien go mieć.

Milknie, kiedy podjeżdżamy pod punkt pierwszej pomocy, przyczepę na kółkach. Dzieci wchodzą za mną. Są tu dwie wykonane z włókna szklanego koje w kształcie łodzi i dwa krzesła. Pielęgniarka nawija, że za sto dolarów może mnie podłączyć do kroplówki z witaminami i minerałami. Zastrzyk z B12 to kolejne siedemdziesiąt pięć.

– Pan się zastanowi – mówi, gdy dzieci siadają.

Stoję, zastanawiając się, czy nie zaczekać w łazience i tam dojsć do siebie.

– Chcecie ciastko? – pyta pielęgniarka dzieci. – Mam miętowe i kokosowe. Córka jest skautką, co roku kupuję pięćdziesiąt pudełek.

Dzieci sięgają po ciastka.

– Ważne, żeby mieć czym poczęstować gości, zwłaszcza że zdarzają mi się również zagubione dzieci. Niezależnie, czy któreś skaleczy kolano, czy odłączy się od grupy, trzeba mieć pod ręką coś małego, co poprawi humor, pocieszy w nieszczęściu...

Od samego zapachu miętowych ciastek i odgłosu chrupania dostaję mdłości. Ruszam do łazienki.

– Dam panu lodu – proponuje pielęgniarka. – Ludzie często chorują po jedzeniu albo z powodu upału, albo mają kłopot z błędnikiem... dosłownie się zataczają.

Korzystając z tego, że jestem w łazience, skupia się na dzieciach, które rozprawiają się z jej pudełkami ciastek.

– Nie martwcie się, to się zdarza wielu starszym, którzy nie przywykli do zajmowania się dziećmi na pełny etat. Jestem dobrze przygotowana na takie sytuacje – zapewnia.

Kiedy wychodzę z łazienki, pokazuje im swój „zestaw reanimacyjny”, wielką żółtą plastikową skrzynkę z narzędziami, taką, jaką sprzedają w Home Depot.

Ashley daje mi gumę do żucia.

– Na twój oddech – mówi.

– Dziękuję.

– Więc jak będzie? – pyta pielęgniarka.

– Ma pani węglan wapnia?

– Skończył mi się dziś rano. Są na liście. – Puka w długą, wąską listę zakupów na biurku. – A może kilka pudełek ciastek?

– Pewnie.

Wyjmuję dwadzieścia dolarów, a dzieciaki biorą ciastka z wielkiej szafy z zapasami. Pielęgniarka podaje mi puszkę piwa imbirowego, słomkę, każe mi je wziąć ze sobą i pić powoli.

Wysuwam rękę, żeby uścisnąć jej dłoń, ale ją cofa.

– Nie mogę – mówi, pompując na nią wielką porcję żelu odkażającego i zachęcając nas, byśmy zrobili to samo.

Myjemy ręce, bierzemy ciastka i żegnamy się

z pielęgniarką. Po drodze kupuję na stacji benzynowej dużą butelkę przeterminowanych pastylek z węglanem wapnia po zawyżonej cenie i zażywam je raz po raz.

– Są jak gumisie – mówi Ashley.

– Jak wapnisie – prostuję.

W środku nocy Nate budzi się z bólem brzucha, prosi, żebym poszedł z nim do łazienki, i zasmradza ją całą potężną sraczką.

– Spuść wodę – mówię, kiedy odpalił salwę.

Spuszcza. Szukam zapalek, ale w pokojach hotelowych nie ma już widać popielniczek ani zapalek reklamowych.

– Mam jakieś w torbie, w zewnętrznej kieszeni – mówi Nate.

Nawet nie pytam, po co mu one. Wypalam całą paczkę. Kilka minut później dzwoni telefon. Nate podnosi słuchawkę i przekazuje ją mnie.

– Słucham? – mówię.

– W pańskiej łazience został wykryty dym – informuje ktoś z recepcji.

– My nie dymimy, my defekujemy – mówię, zastanawiając się, czy nas zatruto, powalono potrawami z epoki kolonialnej.

Przepraszam za kłopot – kończy recepcjonista.

– Myślisz, że masz normalną rodzinę – mówi Nate, naprężając się na sedesie, a ja oddycham przez usta



i staram się uważnie słuchać. – A potem zdarza się coś, co nie jest całkiem normalne. – Nie zwraca uwagi na głośną eksplozję. – Nie mówię o tym. – Klepie klozet. – Mówię o mamie i tacie... Jedna rozmowa telefoniczna zmienia twoje życie... – Potężne, gromkie beknięcie z jego zadka wypełnia łazienkę wyzwawami. – Przepraszam – mówi. – Nie musisz mi towarzyszyć.

Wzruszam ramionami, a siedzący na tronie Nate zapowiada raptem:

– Zaraz rzygnę.

Podstawiam mu kosz, w którym jest na szczęście plastikowy worek. Chłopak rzyga i wypróżnia się jednocześnie, współczuję mu.

– Myślisz, że będzie potrzebny lekarz? – pytam.

Kręci głową.

– Nie, kiedyś już tak miałem, nic mi nie będzie.

Znowu wymiotuje.

– Myślę, że nas urządzili – próbuję zbagatelizować sytuację.

– W jakim sensie? – pyta.

– Najpierw ja, teraz ty. Miejmy nadzieję, że ominie to Ash i tego chłopca.

– Cholerne miętowe ciastka. – Nate spluwa do kosza na śmieci. – Co myślisz o tym małym?

Milczę.

– Jest bardzo zabawny – mówi Nate. – Przypomina mi Charliego Chaplina.

- Dlaczego?
- Ma taki chód, jak kaczka, i taką gumową twarz.
- Myślisz, że jest inteligentny? – pytam.
- A co to za kryterium? – odpowiada obronnym tonem.
- Dobre pytanie.

Wracamy do łóżka. Śni mi się, że jadę do Afryki Południowej. Na lotnisku mówią mi, że dostać się tam można jedynie w postaci bagażu zrzuconego na spadochronie. Linie lotnicze informują mnie, że matka wysłała mój stary obozowy kufer i że jest on już w samolocie. Wyrażam zgodę na zrzut i kiedy samolot jest na wysokości pięciu tysięcy metrów, wpęlam do swojego starego kuferka. Gdy w nim siedzę, wpychają mnie do toalety z tyłu samolotu i zapowiadają, że na dany sygnał ktoś naciśnie guzik spłuczki, usłyszę potężny szum i zostanę próżniowo wyrzucony.

Próbuję wypytywać o szczegóły, na co wzruszają ramionami i stwierdzają:

- Tak właśnie to się robi.

To melanz któregoś z pomysłów Ciekawskiego George'a z jakąś akcją terrorystyczną. Z pewnością się tego spodziewałem, bo mam na sobie olbrzymi spadochron,

co spostrzegam dopiero, kiedy spadam. Tuż przed ocknięciem pociągam za linkę otwierającą czaszę i owiewany niewidzialnym wietrzykiem szybuję wysoko nad równiną, po której w dole biegnie stado żyraf. Budzę się o trzeciej nad ranem, z rękami nad głową, jakbym nadal wczepiał się w spadochron, i widzę Nate'a, który siedzi i robi na drutach.

– Co? – pyta obronnym tonem.

– Nic – mówię.

– Robię to, kiedy nie mogę zasnąć – wyjaśnia. – Bardzo odpręża.

Wciąż na wpół zanurzony w świecie snu, widzę, że Nate dzierga długi szalik w paski.

– Nie! – uprzedza.

– Co nie?

– Nie pytaj, czy jestem gejem...

– Proszę bardzo. Co z twoim żołądkiem?

– Głośny, ale poza tym stabilny.

Znów zasypiam.

**W** samochodzie, w drodze do domu, nastrój się psuje. W powrocie do „normalnego” życia tkwi jakieś napięcie. Zastanawiam się, czy za długo ze sobą byliśmy, a może za krótko?

Dzieciaki zasypują Ricarda prezentami, jakby w życiu chodziło o wielką torbę z łupami z okazji urodzin.

– Rzecz nie w rzeczach – wciąż powtarzam.

Wiedzą, że mam rację, ale nie ustają. Nate pyta Ricarda, czy ma konto mejlowe. Nie ma. Na postoju Nate bierze mnie na stronę i pyta, czy nie możemy kupić rodzinie chłopca komputera, żeby kontaktować się z nim przez Skype’a.

– Nie – oświadczam, być może zbyt stanowczo.

– Zmiany są trudne dla każdego – mówi kasjerka w sklepie z zabawkami. – Kiedy byłam nauczycielką, serce mi się krajało, gdy widziałam, przez co przechodzą dzieci. Jakiś chłopczyk rozerwał matce spódnicę, płacząc: „Nie zostawiaj mnie tu”. Powiedzieliśmy jej do słuchu i skleiliśmy kieckę taśmą.

I to – zadaję sobie pytanie – skłoniło cię do podjęcia pracy w przydrożnym sklepie z prezentami?

Ashley przemierza sklepowe alejki, szukając prezentu dla przyjaciółki. Gdziekolwiek zachodzimy, wszędzie coś kupuje, żeby potem, poniewczasie, uznać, że to jednak nie to. Daje mi to do myślenia.

– Wybieram rzeczy, które mi się podobają, ale nie bardzo wiem, czy ona i ja mamy jednakowy gust.

Plecak Ashley pełen jest pluszowych zwierzaków, medalionów z przydrożnych sklepików, małych kieliszków.

– No, a co ona nosi? – pytam.

– No wiesz, rzeczy dla dorosłych, rzeczy w małych niebieskich pudełkach, takie, jakie tata zwykle dawał

mamie, gdy nie wiedział, co jej dać.

– Od Tiffany’ego?

– Właśnie. Nie znosiła ich. Zawsze wolała ten drugi sklep... taki koński... z nazwą na H. Jak on się nazywa?

– Hermès?

– Tak. To by się jej spodobało.

– Hm, Ash – wtrąca Nate – pomiędzy souvenirem z podróży a prezentem za pięćset dolarów od Tiffany’ego czy Hermèsa jest wielka różnica.

Nie wtrącam się. Nie wiem, co powiedzieć. Najwyraźniej przyjaźnie ze szkół z internatem wymagają czegoś więcej niż drobnego prezentu z podróży.

– A co ty od niej dostaniesz? – pyta Nate.

– To nie konkurs. Chciałam jej przywieźć coś ładnego. Nie rób z tego afery, nie psuj mi przyjemności.

– Ja tylko próbuję ci pomóc w wyborze prezentu.

– Nie trudź się – odpowiada bratu Ashley szczególnie ostrym i dorosłym tonem.

Kiedy odwozimy Ricarda do rodziny, wychodzą go powitać oboje wujostwo. Wyglądają na zadowolonych, że jakiś czas spędzili sami. Wuj wyciąga wielką walizę chłopca z bagażnika, a ciotka puszcza do mnie oko, albo nie puszcza, bo wpadł jej jakiś paproch i mruga, żeby go się pozbyć. W każdym razie Ricardo ma dla nich prezenty i mnóstwo do opowiadania.

Nate i Ash wyściskują go i obiecują, że wkrótce się z nim zobaczą.

Gdy jedziemy do domu, w samochodzie zapada nieznośna cisza, aż wreszcie Nate bardzo udanie naśladuje śmiech Ricarda, po czym wszyscy pękamy z radości, demonstrując własne wersje.

W domu główną rozrywką stają się kociaki. Malutkie, bezbronne, niemal przerażające. Przyglądamy się, jak kocica karmi je i czyści – dosłownie wylizuje ich intymne części.

Przeplacam ofiarnego opiekuna kota, a ten objaśnia, co nas czeka: w ciągu kilku następnych dni kocięta otworzą oczy, ale trochę potrwa, zanim na nie przejrzą i zaczną coś robić.

Tessie patrzy na mnie, jakby pytała: Co ty sobie myślałeś, zostawiając mi na głowie cały ten kram? Wyobrazasz sobie, jak to przeżyłam – ten stres, tę odpowiedzialność? Przyrzeknij, że to ostatni raz... A przy okazji, dostanę ciasteczko?

– Te kocięta są głuche – stwierdza Nate. – Mówię do nich, ale chyba mnie nie słyszą.

– Rodzą się głuche – wyjaśnia opiekun. – To mechanizm obronny. Niedługo słuch im się poprawi. Do zobaczenia wkrótce, w razie czego dzwońcie – mówi na odchodnym.

– Brak mi go – wzdycha przy kolacji Ashley.

– No – potwierdza Nate.

- Zrobisz coś z tym? – pyta Ashley.
- Jutro oboje wracacie do szkoły – przypominam, licząc, że dzięki temu zyskam trochę czasu.
- Potrzebuje nas częściej niż raz na jakiś czas – mówi Nate.
- Chcemy go mieć w rodzinie – dorzuca Ash. – Rozmawialiśmy o tym.
- Za moimi plecami?
- Tak – potwierdza Nate.
- Zdajecie sobie sprawę, że to ja musiałbym się nim opiekować?
- Dasz radę – zapewnia Ash.
- Może być naszym braciszkiem, jak feniks powstały z popiołów...
- Czy Ricardo nie mówił, że ma alergię na koty? – pytam.
- Pozbędziemy się kotki – decyduje Ashley. – Nigdy jej nie lubiłam.
- Jak możesz tak mówić? To twoja kotka, ma małe...
- Ja ją lubię – oznajmia Nate.
- Może uda się nam uwolnić Ricarda od alergii – mówi Ash.
- Kotka może nie wchodzić do jego pokoju – podsuwa Nate.
- A który pokój jest jego? – pytam.
- Jego pokój to mój pokój – stwierdza Nate, jakby to było oczywiste.

- Nie wiem, czy jestem gotów mieszkać z dzieckiem.
- To wyślij go do szkoły – mówi Ashley.
- Zabijamy mu rodziców, odbieramy go rodzinie i odsyłamy do szkoły? To pachnie starą angielską powieścią.
- A czy to źle? – pyta Ash.
- Poza tym wy dwoje nie możecie go adoptować, jesteście nieletni...
- Ale ty możesz – replikuje stropiona Ash.
- Jestem w trakcie rozwodu i ostatnio bez pracy.
- Zrezygnowałeś? – pyta Nate.
- Wyrzucili mnie.
- Wyrzucili?
- No, nie całkiem wyrzucili. Choć w zasadzie tak, dokończę tylko ten semestr.
- I nic nam nie powiedziałaś?
- Nate jest wstrząśnięty.
- Uznałem, że nie musisz o tym wiedzieć.
- Do bani – stwierdza Nate. – To brak zaufania. Co osiągniesz, uważając, że nie musisz nam nic mówić? Twoja opieka nad nami to nie wszystko, to ma być jakiś związek – dwukierunkowy.
- Właśnie – popiera brata Ash. – Powinieneś mówić nam o wszystkim. Nikt nam nic nie mówił, oprócz mamy. – Płacze. – Kocham tę kotkę. Naprawdę, nie powinnam była mówić, że nie.
- Wstaje i odbiega od stołu.



– Pięknie – kwituje Nate i wychodzi zde gustowany.

Nie pojmuję, co się stało, ale czuję się podle.

Nazajutrz rano dzieciaki wracają do szkoły. Po śniadaniu przyjeżdża po Ashley minivan, a ja podwożę Nate'a na oddalone o dwadzieścia minut jazdy miejsce zbiórki.

– Zadzwoń wieczorem – obiecuję, gdy wysiada z samochodu.

Trzaska drzwiami. Nie wiem, czy mnie usłyszał. Ramiona ma napięte, nie odwraca się. Poprawia paski przy plecaku i idzie do autobusu.

Odczekuję, aż autobus ruszy, jadę do domu i siadam z kotkami. Rozwijają się dobrze. Oczka mają otwarte, stoją. Niesamowite.

## Dzwoni Cheryl.

– Czy to nie dziwne, że znikasz bez jednego słowa? Skąd to wiem? Od Julie. I jak się poczułam? Powiedziała, że wybrałaś się na szkolną wycieczkę do Williamsburga.

– Coś w tym rodzaju.

– Figo-fago w stylu kolonialnym? Szczytowanie na baryłce prochu? Samogwałcik w cieniu ostrokołu?

Milczę.

– No wiesz! – mówi. – Byłam tam i to robiłam.

– Jeśli tak się rzeczy miały tam, dokąd się wybrałaś, to ja byłam gdzie indziej, w innym Williamsburgu. Twoje

latorośle też wyjechały w zeszłym tygodniu na ferie?

– Tad pracował społecznie, Brad był na obozie piłkarskim, a Lad został w domu. No, to kiedy się spotkamy? Piątek ci pasuje?

– To nie jest dobra pora, słowo.

– W jakim sensie?

– Wróciłem do domu z pasożytem, jeszcze nie wiedzą jakim. Może był w niedopieczonej sarninie albo w czymś, co zjadłem na śniadanie w ochotniczej straży pożarnej. Po południu muszę zanieść próbkę stolca do lekarza.

– Starczy! – przerywa mi jak sędzia zarządzający przerwę w meczu.

– Widzę, że chcesz wiedzieć wszystko – ciągnę. – Jest bardzo zaraźliwy. Wciąż muszę myć ręce... i odzież.

– Daję ci dziesięć dni.

– A potem?

– Jeszcze nie pora na wnioski.

– Zrób coś dla mnie. Nie mów Julie.

– Jasne, że nie powiem. Niektóre sprawy są poufne. Tymczasem poczytałam sobie o Richardzie Nixonie. Nie jestem pewna, czy to był dobry człowiek.

– Nie był.

– To co ty w nim widzisz?

– Bardzo wiele. Fascynuje mnie. Był nieustępliwy. Wierzył, że zasady go nie dotyczą.

– Ciekawe. Myślałabym, że zajmiesz się kimś bardziej typowym – Trumanem, Eisenhowerem – albo kimś

bardziej nowoczesnym, heroicznym, takim, wiesz, jak Kennedy. Ale Nixonem? To prawie zboczenie.

– Prawie.

– Zadzwoń za kilka dni. Poczujesz się lepiej, to coś zaplanujemy.

Czegoś brak. Mam wrażenie, jakbym wpadł w lukę między przestrzeniami, jakbym nie istniał – pozbawiony kontekstu. Chcąc to sobie wyjaśnić, odwiedzam matkę.

Na wiszącej w holu domu opieki dużej ścieralnej tablicy napis: „Nudzi ci się? Chcesz sobie poprawić nastrój? Dołącz do nas i przyrządź własny koktajl mleczny, od 10 do 11 rano i od 3 do 4 po południu. (Mamy świeże owoce, błonnik, probiotyki i mrożony jogurt)”.

– Nie ma jej – oznajmia mi recepcjonistka. – Wyszła z innymi. Mają nowe hobby.

– Jakie?

– Pływanie – mówi. – Pojechali w jedenaście osób minivanem do miejscowej YMCA. W pływakach na rękach, niektórzy z nadmuchiwanymi dziecięcymi kaczkami i żabkami. Wszyscy w czepkach. Nazywamy ich dużymi dziećmi, bo noszą pieluchy, które założyliśmy im przed wyjazdem, a które doskonale zwiększają ich mobilność.

– Od kiedy ona pływa? – pytam.

– Zatrudniliśmy szczęśliwie nowego terapeutę, który współpracuje z psychofarmaceutą. Ten dom żyje. Mamy wprawdzie przez to więcej pracy, ale bardzo inspirującej. Czasem żartujemy sobie, że wskrzeszamy z martwych. Wszyscy bardzo się z tego cieszą. No, prawie wszyscy.

Wskazuje głową starca idącego holem najwyraźniej

w jakimś konkretnym celu. Zbliża się do nas.

– Co tu się, kurwa, dzieje? Dowiem się?! Co tu się wyrabia? Kim jest ten typ w moim biurze? Zastąpiliście mnie kimś za moimi plecami? Jestem tu szefem, psiakrew, a przynajmniej tak mi się wydaje. Przekonamy się, co zrobicie, jak przyjdzie piątek, zobaczycie, czy wypiszę wam czeki. A pan coś za jeden? – pyta, patrząc na mnie.

– Silver – odpowiadam.

– Bardzo dobrze – mówi. – Tak trzymać... Gdzie, do kurwy nędzy, jest moja sekretarka? Powiedziała, że idzie na lunch, dam głowę, że dziesięć lat temu...

Mężczyzna odchodzi.

– Jak wspomniałam, większości pensjonariuszy to służy, miło widzieć, że ten jest na chodzie – uzupełnia recepcjonistka.

– Co mu dają?

– Nie wolno mi mówić o pacjentach. Już i tak chyba powiedziałam za dużo. Trochę tego, trochę tamtego, codziennie robią postępy. Ważny jest ruch, chodzi o to, żeby wstawali i wychodzili. Nie licząc sparaliżowanych, nie ma powodu, żeby ktoś się wylegiwał w łóżku albo cały dzień siedział kołkiem... Tym, którzy są za słabi, aplikujemy rozruch, po prostu ich podwieszamy.

Recepcjonistka prowadzi mnie korytarzem do jakiegoś pokoju i otwiera drzwi. Z sufitu zwisają tuziny sprężyn, każda para połączona ze zmodyfikowanym

kaftanem – płócienną sznurowaną kamizelką. W kamizelkach tych tkwią staruszkowie. Wiszą w nich niczym wiotkie marionetki, na wpół stojąc, podskakując, tańcząc do muzyki, a pomiędzy nimi kręcą się fizykoterapeuci.

– Lubią to – zapewnia recepcjonistka. – Wymyśliliśmy te ustrojstwa, przyrządy pomagające stać. Zmniejszają problemy oddechowe, wspomagają funkcjonowanie płuc.

– Wyglądają na zadowolonych – mówię, nie radząc sobie z widokiem pokoju pełnego „podwieszonych” starców.

– Na dziś wystarczy lekcji. – Kobieta zamyka drzwi. – Pojedzie pan do YMCA i poszuka matki? Dopiero co odjechali, więc powinien pan ich złapać.

Przed wejściem na pływalnię YMCA muszę zapłacić piętnaście dolarów i wypełnić zrzeczenie się roszczeń finansowych w razie wypadku. Dla osoby przy biurku nie jest istotne, że nie będę pływał.

Wchodzę przez męską szatnię, nieatrakcyjne, wyłożone zielonymi kafelkami pomieszczenie, usiane ciałami i wypełnione wonią tenisówek.

Zaraz po wejściu na pływalnię zostaję z niej odesłany z uwagą, że przed wejściem muszę zdjąć buty, skarpetki i umyć nogi pod prysznicem.

– Cześć, mammo! – wołam, dotarłszy nad basen, a mój

odbity echem od kafelkowych ścian głos wchłaniają chlorowe opary unoszące się nad powierzchnią wody. – Cześć, mamó! – powtarzam.

Twarze pań na pływalni zwracają się w moją stronę.

– Cześć! – odpowiadają gromadnie.

Moja matka ma na głowie lateksowy czepek, taki sam, jaki nosiła trzydzieści lat temu – biały, zwieńczony wielkimi gumowymi kwiatami w pełnym rozkwicie. Czyżby był to wciąż ten sam czepek? Płynie ku mnie. Patrzę zdezorientowany, jak przebiera nogami i rozpycha powierzchnię wody rękami, choć przecież tak niedawno była przykuta do łóżka. Podpływa żabką do brzegu basenu, a ja spoglądam z góry na jej dziwnie szczerą twarz w oprawie z lateksowych kwiatów i głęboki, pomarszczony dekolt.

– Świetnie wyglądasz – mówię. – Jak się masz?

– Fantastycznie.

Podpływa do niej mężczyzna z wydatnym torsem.

– Cześć, synu – wita mnie.

– Cześć.

– Miło cię widzieć.

– Pana również.

– Co u siostry? – pyta.

– Dobrze – odpowiadam, chociaż nie mam siostry.

– Bardzo się martwię o twoją matkę – mówi. – Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

Głos ma tubalny, jak były spiker radiowy.

– Nie możesz jej znaleźć, bo odeszła – przypomina mi moja matka. – Ale teraz masz mnie.

– Jesteście razem? – pytam.

– Tak – potwierdzają.

– A co z tatą?

Zdezorientowany, nagle znowu zamieniam się w dziecko.

– Twój ojciec nie żyje od lat, mam prawo do życia – mówi moja matka.

– Wróćcie do grupy? – pyta instruktor, na co zawracają i płyną do pozostałych, a spod kostiumów wystają im pieluchy.

Wracając do domu, wstępuję do marketu A&P. Nie kupuję w nim regularnie, po prostu jest po drodze. W sklepie łązi za mną wszędzie jakaś nieznajoma.

– Pani za mną chodzi? – pytam.

– Ja?

– Chodzi pani?

– Trudno powiedzieć. Większość ludzi w sklepie przemierza rząd za rządem. Jeśli nie mają własnego systemu zakupów, to siłą rzeczy natykają się na siebie kilka razy.

– Przepraszam. Czy my się znamy?

Wzrusza ramionami, jakby to było nieważne.

– Jakie ciasto pan lubi? – pyta. Jesteśmy w dziale



mrożonek, stoimy przy deserach. – Babkę piaskową czy może coś z lukrem?

– Nigdy nie kupuję ciasta – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Gdybym chciał je kupić, pewnie poszedłbym do piekarni, ale nie przepadam za ciastami.

– Myślę, że młodzi lubią z lukrem, a starzy bez – oznajmia, wkładając do wózka zwykłą babkę piaskową Sary Lee.

– Pani nie jest stara.

– Jestem stara, w środku.

– To ile pani ma lat?

Jest chuda, muskularna, z ciałem raczej dziewczynki niż dorosłej kobiety. Jej włosy barwy brudny blond są długie, cienkie, strąkowate.

– Pan zgadnie.

– Dwadzieścia siedem – oceniam.

– Trzydzieści jeden. Marny z pana znawca.

Pcham wózek przed sobą. Być może powinienem być jej wdzięczny, że zwróciła na mnie uwagę, ale akurat nie jestem. Jestem za to rozkojarzony... Sucharki dla psa, żwirek dla kotów...

– Lubi pan zwierzęta? – zagaduje mnie znowu.

– Kotka ma małe – wyjaśniam.

– Zawsze chciałam mieć zwierzaki, ale rodzice byli przeciwni. „Brudzą”, powtarzał ojciec. „Wystarczy mi

roboty przy tobie i twojej siostrze”, mówiła matka.

– No, ale ma pani już trzydzieści jeden lat i chyba sama może o tym decydować.

– Niedawno miałam kota... – Urywa. – Mogę zobaczyć pańskie kotki? Mogę? Wpadniemy do pana coś przekąsić?

Wrzuca do wózka mrożone kulki serowe.

Zupełnie nie wiem, co odpowiedzieć, a dokładniej: w jaki sposób jej odmówić.

Tak więc kiedy opuszczam parking A&P, trzyma się mnie, jedzie za mną niemal zderzak w zderzak. Jej samochód jest równie nijaki jak ona sama – biały kompakt w nieokreślonym wieku – jeden z miliona. W czasie jazdy dociera do mnie niepokojąca myśl, że to nie ja ją poderwałem, tylko ona mnie. Dlaczego za mną łązi? Nie bez powodu ludzie są sobie przedstawiani, nie bez powodu kulturalne towarzystwo zyskało miano kulturalnego i ewaluowało w określony sposób – za sprawą wielkich zamkowych balów i oficjalnych listów polecających.

Parkuje za mną na podjeździe, wchodzi do domu z torbą mrozonek, pyta, czy może je włożyć na chwilę do lodówki, i sytuacja robi się bardzo niezręczna. Nie wstąpiła tu po to, żeby pożyczyć brytfannę ani żeby jej pokazać, jak się robi tartę.

Tessie szczeka.

– A cio to za niedobli duzi pieś? – odzywa się

dziecinnym głosem intruzka.

– Już dobrze, Tessie, to pani z działu spożywczego, która zapragnęła wpaść do mnie do domu – mówię.

– Pan mnie zaprosił – oznajmia pochylona, gadając do Tessie. – Spytał: „Wpadnie pani do mnie i pobawi się z puszystymi kotkami?”.

– Wcale nie.

– Mhm – mówi do suki, która macha ogonem, wdzięczna za uwagę.

Odkładam zakupy i pytam, czego się napije, kawy czy herbaty.

– Może wina – proponuje.

– Jasne. – Idę do szafy z winami George’a, czując, jakbym się dobierał do jego spiżarni. Mam nadzieję, że znajdę tam jakieś przeciętne wino, czyli tanie. – Wie pani – mówię, szperając w szafie – prawdę mówiąc, to nie jest mój dom.

– Tak? Ale orientuje się pan, gdzie co jest.

– To dom mojego brata. Jestem jego długoterminowym opiekunem. – Znajduję chardonnay z Long Island, które wygląda raczej jak prezent przyniesiony przez kogoś na przyjęcie ogrodowe niż jak wino, które George nabył od swojego „winiarza”. – Często pani to robi? – pytam.

– Co robię?

– Poznaje pani w sklepie mężczyzn i odprowadza ich do domu?

- Nie. Po prostu zabijam czas.
- Aż do czego... seansu o piątej w kinie w Yonkers?
- Gdzie są kotki? – pyta.
- Na górze.

Prowadzę ją do sypialni, nie tyle zmienionej, ile zawłaszczonej przez koty.

- O mój Boże! – wykrzykuje, opada na czworaki i czołga się do kojca. – Są rozkoszne.

Kocięta są istotnie rozkoszne. Chodzą już trochę i baraszkują, a kocica jest chyba skłonna dopuścić mnie do zabawy z nimi... Zmieniam ręczniki w kojcu.

- Kupę prania – komentuję.

Kobieta bierze kotka i pociera nim twarz. Kotka nie wygląda na szczęśliwą.

- Lepiej ich nie brać – mówię.

- Przepraszam.

Przyglądam się kobiecie na czworakach w mocno cuchnącej „kociarni”.

- Ma pani męża?

Kręci głową.

- Partnera?

- Miałam, nie mam.

Bawimy się przez kilka minut z kotkami i wracamy na dół. Odruchowo włączam telewizor. Tak jakbym potrzebował wsparcia, więcej głosów, pozorów przyjęcia. Tuż po naciśnięciu przycisku myślę o George’u, który zawsze miał włączony telewizor.

Patrzę na kobietę.

– Matka nie bez powodu ostrzegęła panią przed rozmową z nieznanymi.

– Możemy zmienić kanał? – pyta.

Domyślam się, że chce zmienić temat.

– Jasne. – Udaję, że naciskam guzik na brzuchu: bach, kanał zamieniony. – Jest pani głodna?

– Nie, serio, możemy zmienić kanał? Muszę zebrać myśli. Możemy włączyć coś innego? Byle nie wiadomości, tylko jakiś prawdziwy show, wie pan, taki jak *Dwóch i pół*. Coś wesołego.

Show, w którym gra kokainista i kurwiarz, jest wesoły?  
– myślę sobie, ale milczę.

– Tak, oczywiście. – Zmieniam kanał. – To nie śmieją się prawdziwi widzowie.

– Raz się śmieli – mówi i nie sposób nic do tego dodać.  
– Chłodno tu.

– Chce pani sweter?

W szafie w holu wejściowym wciąż wisi część rzeczy Jane. Daję dziewczynie miękki sweter w kolorze fuksji.

– A więc jest pan żonaty – stwierdza.

– Należał do żony brata. Zmarła. Niech pani go weźmie.

– Kaszmirowy – mówi, tak jakby czuła się w obowiązku podkreślić wartość prezentu.

Kiedy go wkłada, przypominam sobie, jak nosiła go Jane, krągłość jej piersi i pokusę, by ich dotknąć, oraz

myśl, czy są w dotyku tak miłe, delikatne, seksowne, jak wyglądają. Na tej dziewczynie ten sweter prezentuje się inaczej, ale też efektownie.

– Przekąski? – pyta.

– Przyrządzić serowe kulki?

– A ma pan coś innego? – mówi takim tonem, że zadaję sobie pytanie, po co je kupiła; czyżby chciała zachować na lepszą okazję?

Szperam w lodówce, znajduję jakieś stare frankfurterki w cieście i wrzucam do opiekacza.

– Gorące – oznajmiam, gdy wyjmuję je po jedenastu minutach w trakcie trzeciego bloku reklam.

– Nie wiedziałam, że je robią do przygotowania w domu – mówi.

– Słucham? – Nie pojmuję, o co chodzi.

– Myślałam, że parówki w cieście dostarcza tylko gastronomia.

Macza hot doga w musztardzie Dijon i wkłada go do ust.

– O rany, smaczne. Ostre. Co to?

– Musztarda Dijon?

Zastanawiam się tylko, jakim cudem ona nie zna musztardy Dijon.

Zjadamy przekąski, oglądamy jeszcze telewizję, a potem ona oznajmia, że wciąż jest głodna.

– Kto w okolicy dostarcza jedzenie? – pyta.

– Nie mam pojęcia.

– Wiem, że jest tu pizzeria.  
– Pizzę jadłem na lunch – informuję. – Zamówić chińszczyznę?  
– Dowożą?  
Dzwonię w zwykłe miejsce.  
– To ja – mówię. – Półostro-kwaśną zupę z roztrzepanymi jajkami. Dostarczacie ją przypadkiem do domu?  
– Pan chory, nie może przyjść?  
– Poniekąd.  
– Dobrze, co pan chce?  
Patrzę na kobietę.  
– Dwie porcje mojej zwykłej zupy, dwa krokiety, porcję wieprzowiny mu-szu, krewetki w słodko-kwaśnym sosie. Coś jeszcze? – pytam kobietę.  
– Ciasteczka z wróżbą – odpowiada na tyle głośno, żeby słyszał ją Chińczyk przyjmujący zamówienie.  
– Ile pani sobie życzy?  
– Sześć.  
Podaję adres, numer telefonu i zapalam światło przed domem. Kilka minut później, przerywając rozmowę o niczym, a także z obawy, że nie znajdą domu, proponuję, żebyśmy zaczekali na zewnątrz. Wychodzimy na werandę. Jest coś cudownie melancholijnego w siedzeniu na powietrzu w wiosenny wieczór i patrzeniu na słońce, które zachodzi na granatowiejącym niebie. Kontury starych gęstych drzew

ożywionych jaskrawymi świeżymi liśćmi, niespodziewany, łagodnie łaskoczący wietrzyk sprawiają, że człowiekowi chce się żyć.

Oddycham głęboko.

– Przypomina mi to dzieciństwo – mówi ona. – Kolację jadłyśmy wcześniej, przed powrotem taty do domu, a potem siadałyśmy na zewnątrz i czekałyśmy na wóz z lodami i ciastkami. Najbardziej lubiłam truskawkowe i ektery czekoladowe.

– Nam nie wolno było jeść lodów z furgonetki – przypominam sobie. – Matka myślała, że w ten sposób dzieci łapią chorobę Heinego i Medina.

Tessie krząta się po podwórzu, obwąchuje wszystko, krzaki, wyrastające z ziemi żonkile i lilie. Posikuje to tu, to tam.

– Jest dobrze ułożona – mówi kobieta. – Nie myśli o wyjściu na ulicę.

– Nie cierpi tej ulicy.

Do krawężnika podjeżdża terenówka Hondy z nazwą chińskiej restauracji z boku. Za kierownicą siedzi właściciel lokalu, pan Gao.

Choć jego żona z łatwością mogłaby mi wręczyć torbę z jedzeniem przez okno, wysiada z samochodu. Ma na sobie strój chińskiej kelnerki.

– Bim-bom, dostawa – mówi, naśladując dźwięk niewidocznego dzwonka.

– Jak się pani ma? – pytam.



– Dobrze. My długo pana nie widzieć.  
– Byłem zajęty. Kto pilnuje interesu?  
– Pan Foo, kierownik sali. Jest z nami od dawna. –  
Pani Gao zerka na dom. – Ładna chałupa.

– Dziękuję.

Wyjmuję pieniądze z portfela i płacę. Chinka podaje mi torbę z jedzeniem, a potem wsadza ręce do bocznych kieszeni i wyjmuje dłonie zaciśnięte w pięści.

– Pan wybierze rękę – mówi.

Klepię jej prawą dłoń. Obraca ją i otwiera. Ma w niej białe miętówki z galaretką w środku, które państwo Gao trzymają przy kasie.

– Cukielki-figielki dla pana – mówi.

– Dziękuję.

Wkładam jednego do ust. Resztę słodkich, lepiących się miętówek wsypuje mi do garści.

Moja nieznajoma trzyma się z tyłu, z dala, na trawniku blisko drzwi, jakby chciała pozostać niewidoczna.

– Pan nas niedługo odwiedzi – mówi restauratorka.

– Odwiedzę, dziękuję.

Patrząc, jak Chińczycy odjeżdżają, i zawracam do domu. Kobieta zdążyła wejść do środka. Jest w kuchni, szuka talerzy i sztuców.

Kiedy jemy, pyta, czy zdarzyło mi się kiedyś coś ukraść.

– Na przykład?

– Cokolwiek.

– Nie, ale wnoszę, że pani się zdarzyło.

Potwierdza skinieniem głowy.

– To co największego pani zwędziła?

Przerywa jedzenie, zastanawia się chwilę, a potem odgryza kęs kroieta mu-szu. Pryska chińska kapusta i sos sojowy.

– Trzydziestosiedmiocalową plazmę – mówi, przeżuając.

– Pod płaszczem?

– Nie, w wynajętym samochodzie. Musiałam ją mieć. Strasznie długo zadowalałam się trzynastocalowym telewizorem bez pilota. Czas było pójść z postępem.

– Mam się bać, że prawdziwym powodem pani wizyty jest obczajenie lokalu, by wrócić tu potem ciężarówką ze swoim chłopakiem i wyczyścić dom?

Podnosi wzrok.

– O nie, nie okradam ludzi, tylko sklepy. Nigdy nie zabrałam nic nikomu, kogo znam.

– Zna mnie pani?

– Mam na myśli jednostkę w opozycji do korporacji.

Kończymy jeść, a potem ona starannie pakuje resztki, wkłada je do beżowej torby i chowa do lodówki.

– Czas na ciastka – mówi.

– Herbaty? – pytam.

– Jeszcze wina.

Rozłamuje ciasteczko, wyjmuje wróżbę, potem następną, jeszcze jedną, wciąż rozczarowana wynikami,

aż wreszcie czwarta brzmi miło: „Od teraz los ci sprzyja”.

Karmi kawałkami ciasteczka Tessie, dopóki nie oświadczam, że wystarczy, bo sukę rozboli brzuch.

Wycofujemy się na sofę, znowu oglądamy telewizję i wtedy konstatuje, do czego idealnie nadaje się telewizja – dostarcza ludziom, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego, czegoś, co mogą robić razem, oraz tematu do rozmów: zapewnia znajomy grunt. Nabywam szacunku do tego zwyczaju George’a – telewizja łączy nas jako Amerykanów, jesteśmy tym, co oglądamy.

– Niedługo będę musiała iść – oznajmia kobieta.

Kiwam głową. Nie myślę o seksie, ale najwyraźniej jest to częścią układu – pozycją w karcie dań, po ćwiartkach pomarańczy i ciasteczkach z wróżbami. Bez ostrzeżenia rzuca się na mnie na kanapie i bombarduje mocnymi, wilgotnymi pocałunkami. Rozwarte wargi ma dziwnie uzdolnione i nic nie poradzę, że na nie reaguję. Wpycha mi do ust język, na moment się cofa i ściąga bluzkę przez głowę – w gruncie rzeczy ofiarowuje mi siebie. Piersi ma większe, pełniejsze, niż się spodziewałem – ciemnogrnatowy koronkowy biustonosz kontrastuje z jej bladą skórą. Bardzo zręcznie mnie dopada, wyłuskując z ukrycia moją sztywniejącą męskość, ale kiedy sięgam do guzików jej dzinsów, kręci głową. Jestem posłuszny. Reszta robi się gorączkowa, natarczywa, z mnóstwem obłapianek i zjazdem ze skórzanych poduszek na podłogę. A potem spuszcza

się i koniec. Zostawia mnie, oklapłego, interes taje mi w kroku jak rozpaćkane topniejące lody, a ona wstaje i jakby nigdy nic wkłada bluzkę. Wchodzi do kuchni, zabiera z lodówki swoje mrożonki, wpada na moment do salonu, gdzie leżę na podłodze, i rzuca beztrzesko:

– Na razie.

– Zostawisz mi swój numer telefonu? – pytam.

– Wiem, gdzie mieszkasz.

Po jej wyjściu doprowadzam się do porządku, poprawiam poduszki na kanapie i staram się nie myśleć, jakie to było dziwne. Nawet nie znam jej imienia.

Nazajutrz listem poleconym nadchodzi wiadomość, że jestem urzędowo rozwiedziony. Listonosz dzwoni do drzwi, Tessie szczerka, kwituję przesyłkę i *voilà*, trzymam w ręku rozwód. Nie było to takie trudne, jak myślałem.

Pamiętam, w dzieciństwie nieraz podsłuchiwałem rozmowy o nieudanych małżeństwach, o tym, jak żona musiała udowodnić, że mąż puszcza ją w trąbę, „złapać go na zdradzie”, a także o przypadkach, kiedy taka czy inna para, zanim załatwiono sprawę, musiała mieszkać co najmniej rok czy dwa w różnych stanach.

Obecnie rozwód otrzymuje się pocztą, równocześnie z kuponami rabatowymi na pizzę i liścikiem z podziękowaniami od Ashley, napisanym na jej „osobistej” papeterii z wytłoczonymi inicjałami „A.S.S.”.

Ashley Sarah Silver.

Dlaczego nikt sobie nie skojarzył, że w skrócie takie

imiona z takim nazwiskiem mogą wyglądać dziwnie. ASS[20]?

„Dziękuję Ci za wycieczkę do Williamsburga, świetnie się bawiłam. Dużo się dowiedziałam. Dziękuję Ci za sukienkę, buty, gęsie pióra, atrament w proszku, papier listowy, lak z pieczęcią, książkę o Pocahontas i za wszystko, o czym zapomniałam tu napisać. Twoja przyjaciółka, Ashley Silver. PS. Wiem, że właściwie nie jesteś moim «przyjacielem», ale nie wiedziałam, co innego napisać, bo słowo «twoja» wygląda dziwacznie...”.

W poczcie znajduję też list z Sadyby.

*Drodzy Członkowie Rodzin!*

*Na ostatnim zebraniu Rada Nadzorcza przegłosowała decyzję o przeniesieniu spółki SADYBA z leczniczego ośrodka zdrowia psychicznego do siedziby konferencyjno-seminaryjnej. Decyzja ta oznacza zmianę profilu naszej firmy z terapeutycznego na motywacyjny i organizacyjno-konferencyjny.*

*Jak Wam wiadomo, firma Sadyba służyła swoim pacjentom, ich rodzinom i naszej społeczności przez blisko pół wieku. Reorientacja profilu jest wyrazem znaczącej zmiany działań w zakresie zdrowia psychicznego i pokrewnych usług medycznych nie tylko w tej placówce, ale*

*i w całym kraju, owocem przekształcenia modelu terapeutycznego z leczenia szpitalnego na ambulatoryjny, oparty w większym stopniu na lecznictwie otwartym.*

*Będziemy blisko współdziałać z wszystkimi naszymi pacjentami i ich rodzinami w ułatwieniu im bezproblemowego powrotu pod opiekę społeczności lokalnych bądź placówek odpowiednich w opinii członków ich rodzin. Proces przenosin mamy nadzieję zamknąć do końca sierpnia, na bieżąco kontaktując się z Wami osobiście i uzgadniając, w jaki sposób dokonać tego jak najsprawniej. Zdając sobie sprawę, że ten list może zrodzić wiele emocji i pytań, zostawiamy Wam pełną swobodę zwracania się z wszelkimi wątpliwościami do naszego dyrektora medycznego lub naszego biura kontaktowego.*

*Ponieważ jest to dość nieoczekiwana wiadomość, przepraszamy za jej masowy charakter, ale chcieliśmy ją Wam przekazać, nim trafi ona do mediów.*

*Najserdeczniejsze podziękowania za umożliwienie nam dotarcia do Waszych serc, domów i umysłów.*

*Z poważaniem,  
John Travertani,  
Prezes Sadyba S-ka.*

Dzwonię.

– Próbowaliśmy się z panem skontaktować dziesięć dni temu – mówi Rosenblatt, ani chybi wyznaczony „respondent” – ale telefon odebrał ktoś inny. Powiedział, że wybrał się pan do kolonii, a potem, że na tym kończy rozmowę, bo musi pomóc „wyjść” kociakom czy coś tam. zaproponował, żebym zadzwonił i nagrał się na sekretarce, ale z uwagi na dyskrecję uznałem, że odczekam z tydzień i spróbuję ponownie.

– To był opiekun zwierząt. Wyjechałem z miasta, kotka się okociła.

– Aha – mówi. – No tak, w każdym razie dostał pan, jak rozumiem, list. Skontaktowaliśmy się już z prawnikiem George’a, a także z ludźmi z prokuratury stanowej, żeby ustalić, co z nim począć. Zważywszy na to, że pierwsza część zarzutów została odrzucona i że ciąży na nim przedprocesowy zarzut morderstwa, mógłby pan go przenieść w inne miejsce typu „szpitalnego”. Mam wrażenie, że adwokat chciałby go uchronić jak najdłużej od zwykłego więzienia i załatwić mu coś „nietradycyjnego”. Ale muszę dodać, że rozmawiałem z George’em i tak z ręką na sercu myślę, że mu się znudziło szpitalne otoczenie, dlatego obawiam się, że jego niechęć do uczestnictwa w takich zajęciach jak terapia grupowa, terapia zajęciowa, rękodzieło i podobne mogą być ocenione w raportach jako odmowa współpracy. Nie wypadnie to dobrze na procesie.

– Sądzi pan, że obleje robótki ręczne?

– Coś w tym guście. Nie jest w dobrych stosunkach z innymi.

– Nigdy nie był. Wspomniął pan o jakimś nietradycyjnym programie.

– Tak. Rozmawiam z pewnymi ludźmi z władz stanowych, czy nie mogliby rozważyć włączenia go do pilotażowego programu, który prowadzą. Jest dość niezwykły, więc się waham, czy powiedzieć panu więcej, zanim wyrobię sobie o nim zdanie. Być może niedługo porozmawiamy.

– Jestem w mieście.

– Ja też, aż do sierpnia. Do tego czasu może się zdarzyć wszystko.

Może się zdarzyć wszystko... Niedopowiedzenie.

Łaknę normalności, powtarzalności, zwykłości, banału. Pragnę wygody, która innym mogłaby się wydać strasznie nudna. Przez lata, od poniedziałku do piątku, jadłem na śniadanie to samo – dwie kromki ryżowego tostów, jedną z masłem, drugą z dżemem pomarańczowym. Pieczywo tej samej marki, ten sam dżem, to samo masło. W soboty jadłem jajko z chlebem, a w niedziele naleśniki albo grzankę francuską.



Obowiązkowa regularność właściwie ekscytowała mnie i Claire. Czerpaliśmy przyjemność z wychodzenia w piątki na kolację, ze spędzania sobót w domu, z nawyku odwiedzania w niedzielne popołudnia kina i kupowania chińskich dań na wynos. Jeśli dodawaliśmy do tego coś nowego lub innego, to po przedyskutowaniu, co oznacza to dla naszego ustalonego porządku.

Ale w tej chwili mam wrażenie, jakbym cały czas swobodnie spadał, spowalniany jedynie przez przerwy w tym spadaniu, kiedy muszę zrobić coś dla innych. Gdyby nie dzieciaki, pies, kot, kocięta, rośliny, straciłbym kontrolę nad życiem.

**Z** ciekawości dzwonię do lokalnego wydziału opieki społecznej i pytam, jakie warunki trzeba spełnić, by zostać rodzicem zastępczym. Wśród moich pytań jest: Czy trzeba wziąć to dziecko, które ci dają, czy możesz wybrać?

– Bardzo starannie dobieramy domy, w których umieszczamy dzieci – mówi kobieta.

– Oczywiście... – Właśnie dlatego pokazywani w telewizji rodzice zastępczy tak podnoszą na duchu. – A jak wygląda kwestia, kiedy krewny dziecka potrzebuje odpocząć i chce, żebym się tym dzieckiem na jakiś czas zaopiekował? Da się to załatwić oficjalnie, dostać jakieś zaświadczenie czy co tam trzeba?

– Żeby uzyskać zgodę na to, co nazywamy przydziałem bezpośrednim, należy uzyskać zgodę na zostanie rodzicem zastępczym.

– Co jest do tego potrzebne?

– List intencyjny, podanie, spełnienie warunków prawnych, listy polecające, odpowiednie warunki domowe, świadectwa szczepień, list od adwokata i poświadczenie finansowe, że nie dokonuje pan adopcji dla osobistego zysku.

– Wszyscy rodzice w waszym systemie spełnili te wymagania?

– Tak, proszę pana.

Przedstawiam się jej jako emerytowany profesor i autor, konsultant zatrudniany przez rodzinę byłego prezydenta Nixona.

– Ma pan dzieci? – przerywa mi.

– Opiekuję się dwójką dzieci mojego brata. Brat jest niepełnosprawny.

– Powinien pan odwiedzić psychiatrę – mówi.

– Słucham?

– Tak robią tacy nietypowi ludzie jak pan. Do podania należy dołączyć ocenę zdrowia psychicznego. Szybciej pójdzie, jeśli nie będzie pan czynił przeszkód.

Kusi mnie, żeby spytać, czy ci wszyscy marni rodzice zastępczy, których oglądam w wieczornych wiadomościach, korzystają z porad psychiatrów, ale gryzę się w język.

– Zastanowię się – mówię. – Możecie mi przesłać dokładniejsze informacje?

– Och, nie wysyłamy już niczego. Ciągłe cięcia budżetowe. Wszystko jest w sieci.

– Aha. Zajrzę do internetu. Dziękuję.

Niech to!

Dzwonię do ciotki Ricarda z pytaniem, czy chciałaby, żebym zabrał chłopca na niedzielę.

– Może go pan wziąć wcześniej? – pyta.

– O wpół do dziewiątej to za wcześniej?

– Wpół do dziewiątej w porządku – mówi.

Buduję swoje stosunki z dziećmi niczym z dorosłymi, częściej i szczerzej z nimi rozmawiając.

Od wyprawy do Williamsburga Nate traktuje mnie chłodno, nie jestem pewien dlaczego, ale mądrzej jest nie zwracać na to uwagi i po prostu przeczekać. Radzę się go, czym zająć w niedzielę Ricarda.

– No, są sale wspinaczkowe, kręgielnie, salony gier wideo. – Nate milknie. – Możecie po prostu wyjść z domu i porzucać piłkę. Pojęcia nie mam, jak ktoś może z nim grać. Moja rękawica jest w szafie w sypialni. Możesz mi ją dać, jak chcesz. Jest stara, mam nowszą.

– Bardzo szlachetnie z twojej strony.

– Po co do niego zadzwoniłeś?

– Szczerze? Brak mi go, a jeszcze bardziej brak mi ciebie i Ash. Świetnie się bawiłem na naszej wycieczce. – Zapada niezręczna cisza, ale nie szkodzi, cieszę się, że to powiedziałem. – A co z tobą, jak ci leci?

– Leci – odpowiada i milknie. – Na angielskim napisałem wspomnienia.

– To musiało być trudne, co?

– Napisałem o tacie, o tym, co zapamiętałem.

Długa pauza.

– Będę mógł je kiedyś przeczytać?

– Nie wiem. – Wygląda na to, że to, co zaszło między jego rodzicami, dopiero do niego dociera. Początkowa

trauma zelżała i Nate zaczyna brać się w garść. – Miałem kłopoty ze snem, więc poszedłem do szkolnego terapeuty. Poradził mi, żebym dwa razy w tygodniu uczestniczył w zajęciach medytacyjnych.

– Możesz spróbować. Przeżyłeś kilka bardzo trudnych miesięcy.

– Zobaczymy.

Po rozmowie z Nate'em dzwonię do Ashley.

– Chcę ci podziękować za list – zacznym.

– Doszedł? – pyta.

– Tak. Jestem pod dużym wrażeniem.

– Kiedy byłem młodsza, miałam nauczycielkę, która uczyła nas, jak pisać listy z podziękowaniami za wszystko. W rodzaju „Drogi Boże, dziękuję Ci za wschód słońca tego ranka. Był przepiękny i nie mogę się doczekać jutrzejszego. Twoja przyjaciółka, Ashley Silver”.

– Niesamowite.

– Powiedziała, że jeżeli nie mamy nic innego, to pozostają nam dobre maniery.

– Pewnie miała rację. A co słyhać poza tym?

– Nauka. Dużo gotujemy. Jest nowa nauczycielka, która próbuje stosować praktyczną chemię jako podstawę książki kucharskiej. Pracownia chemiczna służy nam jako eksperymentalna kuchnia.

– Smacznie brzmi.

– Niezupełnie. Myślę, że jest niebezpieczna.

Zamierzając wrócić do nowojorskiej firmy prawniczej i wziąć się do pracy nad opowiadaniem, odtwarzam sobie taśmy wideo z Nixonem – jego rozmowy z Frankiem Gannonem, w których mówi o Pat i swojej rodzinie. Sądzę, że przedstawia w nich „wersję oficjalną”. Każda rodzina ma swoją wersję oficjalną, milcząco zaakceptowaną opowieść o tym, kim i skąd jesteśmy. Słucham uważnie, żeby sobie utrwalić intonację i słownictwo Nixona, tak bym jutro, czytając te opowiadania, słyszał jego głos.

Nazajutrz rano Wanda przedstawia mnie Ching Lan, która zajmie się transkrypcją.

Wysoka, cienka jak ręcznie rozciągany chiński makaron, z wigorem ściska mi dłoń.

– Miło mi z panem pracować – mówi. – Dla pana wiadomości, czytam dobrze, mówię nie najlepiej.

– Skąd pani jest?

– Z dołu. Jestem córką właściciela delikatesów.

– Od dawna znam pani matkę – mówię ze śmiechem.

Dziewczyna kiwa głową.

– Powiedziała, że pan jest pan Ciasteczko. Mam wielkie szczęście. Odkryli mnie. Bardzo szybko piszę na maszynie. Czytam po chińsku, więc nie straszy mnie żaden charakter pisma. Czytam szybko jak wiatr – dlatego czytam dla nich i piszę na maszynie. Nie mam pojęcia, co piszę, ale im nie wadzi. Dobrze odwiedzić rodziców na lunchu. Razem pracujemy. A jeśli coś nie

wiem, pytam – papie radośnie.

– Gdzie się pani urodziła? – pytam.

– Na Lenox Hill. Mam dwadzieścia jeden lat. Na pół etatu gram zawodowo w siatkówkę.

– Szczęśliwa z pani kobieta. Nieprzeciętna.

Przed zabraniem się do dzieła wyjaśniam Ching Lan pokrótce swoje zainteresowanie Nixonem.

– Bez obawy. Uczę się – zapewnia. – Wanda mi powiedziała, co pan robi. Zajrzałam do Wikipedii i dużo się dowiedziałam.

Kiwam głową.

– Interesuje mnie jego osobowość i to, jaki wpływ na jego działalność i postępowanie miała konkretna epoka i kultura, epoka, która ukształtowała i zdefiniowała Amerykańskie Marzenie. Nie wiem, jak dobrze orientuje się pani w tym temacie. Wyrażenia „Amerykańskie Marzenie” użył w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym James Truslow Adams, który napisał, że „życie powinno być lepsze, bogatsze i pełniejsze dla każdego, każdemu zapewniając możliwości stosownie do zdolności i osiągnięć, bez względu na pozycję społeczną czy pochodzenie”. W roku trzydziestym pierwszym osiemnastoletni Richard Nixon dopiero stawał się sobą, a jego ustąpienie z urzędu w wieku lat sześćdziesięciu było zwiastunem końca pewnej epoki i być może oznaczało nieoficjalną śmierć owego marzenia, choć niektórzy są zdania, że ono po prostu się utajniło.

Ching Lan ma w sobie coś, co skłania mnie do mówienia, do dygresji, wyjaśnień. Wyzwała, inspiruje. A ona, widzę, mnie słucha.

Pracujemy ramię w ramię. Tłumaczę jej, jak mają być transkrybowane dokumenty, i pouczam, że jeżeli natrafi na coś bez sensu, powinna zwrócić mi na to uwagę.

Co godzina Ching Lan robi krótką przerwę na ćwiczenia. Kiedy wstaje, zachęca mnie, bym poszedł w jej ślady:

– Niech pan robi to co ja.

Naśladuję jej ruchy, płynne jak taniec z dawnej epoki.

– Jak to się nazywa? – pytam.

– Qigong – wyjaśnia. – Ćwiczę codziennie. Doprowadza krew do mózgu, budzi prawdziwą naturę.

Naśladuję ją, dopóki nie kończy, odchylając się do tyłu tak, że rękami dotyka ziemi. Potem podnosi w górę jedną, drugą nogę, staje na głowie i nieruchomieje w tej pozycji.

– Bardzo dobre – mówi. – Bardzo właściwe.

Po czym prostuje się, wraca na krzesło i pracujemy dalej.

W niedzielę o wpół do dziewiątej odbieram chłopca. Ciotka zapakowała mu dużą torbę z jedzeniem. Plastikowe pojemniki, metalowe widelce, noże, łyżki, serwetki i ubranie na zmianę.



– Bez przerwy rozlewa – wyjaśnia.

Ricardo wzrusza ramionami.

– Dużo jedzenia pani zapakowała?

– Nie tak wiele. Ma apetyt.

– Dobrze – mówię. – Planuję odwiedzić go na szóstą. Wiem, że jutro idzie do szkoły. Oto numer mojej komórki, gdyby chciała pani zadzwonić. Jeśli będę potrzebny, to się skontaktujemy.

– Wyjeżdżamy z mężem na cały dzień. Bawcie się dobrze.

W drodze do samochodu pytam Ricarda, czy jadł śniadanie.

– Tak – potwierdza – ale mógłbym więcej.

– Może zaczekamy dwie godziny. A tymczasem jedźmy do parku i pograjmy w piłkę.

W parku Ricardo zauważa grupę chłopców kopiących futbolówkę. Widzę, że ma chęć do nich dołączyć, więc go do tego zachęcam.

– Nie znam ich – mówi zasmucony.

Idę z nim, podchodzę do stojącej z boku gromadki ojców i pytam, czy Ricardo może zagrać. Jeden z nich dmucha w gwizdek i woła: „Wchodzi nowy gracz!”. Popycham lekko Ricarda i gra. Tatusiowie rozmawiają w grupkach o swoich podgrzewaczach wody, centralnym ogrzewaniu i innych męskich sprawach, takich jak czyszczenie ścieków. Kiwam głową jako członek tego chóru i obserwuję Ricarda. Niezbyt skoordynowany

ruchowo, potyka się na piłce, po kopnięciu upada na tyłek, ale inni chłopcy dopuszczają go do gry.

Po jej zakończeniu Ricardo i ja siadamy na ławkach. Proponuję, żeby pograł w piłkę ze mną. Zdaje się, że jest jakaś w piwnicy.

Oddycha głęboko, twarz ma czerwoną i grzebiąc w torbie z prowiantem, próbuje złapać oddech.

– Urządzimy piknik? – pytam.

– Może ty to zjesz, a ja zjem hamburgera – proponuje.

– Ciotka jest dobrą kucharką, ale jem to codziennie.

Podaje mi coś, co wygląda na pieróg nadziany wołowiną, cebulą i przyprawami, których nie potrafię nazwać. Mimo temperatury pokojowej jest pyszny.

– Zgoda – mówię. – Zamienię się z tobą, ale na co?

– Podwójny cheeseburger, duże frytki i koktajl mleczny?

– Cheeseburger, małe frytki, bez koktajlu.

– Niech ci będzie – przystaje niechętnie.

Idziemy do McDonalda, a potem do kina – na dziecięcy film w 3D, który gdy przywykam do okularów i przestaje mnie mdlić, oglądam z przyjemnością. Ricardo śmieje się bardzo często na swój ujmujący, zabawny, osobliwy sposób, a kiedy mu się coś podoba, grzmoci mnie w rękę.

– Muszę coś szybko załatwić, lubisz sklepy z narzędziami? – pytam go.

– Chyba.

W toalecie na piętrze potrzebna jest nowa klamka. Znajduję odpowiednią i wtedy spostrzegam, że chłopiec myszkuje po sklepie. Z odległości paru półek obserwuję, jak grzebie w pojemnikach, a potem przeszukuje kieszenie. Z początku boję się, że coś kradnie, lecz po chwili zdaję sobie sprawę, że przelicza drobne.

– Ile masz? – pytam, podchodząc.

– Dwa dolary sześćdziesiąt siedem centów.

– Plus podatek. Co chcesz kupić?

Ricardo pokazuje latarkę w kształcie zielonej żaby, która skrzeczy. Daję mu dolara.

– Miły chłopiec – zagaduje gość nieco starszy ode mnie.

– To dobry dzieciak – odpowiadam z uśmiechem.

A wtedy tamten pochyła się i bezceremonialnie pyta Ricarda:

– A gdzie jest twój drugi tata?

Ricardo nie wie, co powiedzieć.

– Co pan robi?! – pytam gościa, natychmiast stając w obronie chłopca.

– Bez nerwów, nie chciałem obrazić, wziąłem pana za takiego z rodziny z dwoma tatusiami. Białe dzieciaki trafiają zazwyczaj do normalnych rodzin, reszta spadów dostaje się ciotom.

Przygważdżam łacha do półki.

– Pan nie ma pojęcia, o czym mówi! Zielonego!

W środku cały płonę i najchętniej dałbym

szmaciarzowi w nos. Nigdy w życiu nikomu nie dałem w mordę, a mam idealną okazję.

– Mój tata nie żyje – mówi przestraszony Ricardo.

Zdając sobie sprawę, że moje zachowanie trwoży małego, puszczam gościa.

– Kutafon – rzuca, uwalniając się ode mnie.

Pokazuję mu środkowy palec, czego również nie robiłem od lat. Odchodzi oburzony.

– Co to znaczy? – pyta Ricardo, naśladowując mój gest.

– Nie rób tego, proszę – mówię prędko.

– Ty zrobiłeś.

– Wiem, ale nie powinienem. Taki gest może ci napytać dużej biedy.

Idziemy do kasy. Kiedy kasjer podlicza zakupy, chwytam z kontuaru parę świetlików, takich, które trzyma się na wszelki wypadek w schowku w samochodzie. Kupuję jeden dla siebie, jeden dla chłopca, rozładowując zdenerwowanie.

– To co to właściwie znaczy? – ponawia pytanie Ricardo, kiedy opuszczamy sklep.

– Co znaczy co?

– To, czego nie powinienem robić.

– Znaczy to, że ktoś jest bardzo zdenerwowany...

– Myślałem, że to jakiś znak migowy albo dawny indiański gest.

Na zewnątrz zapalam świetliki. Ożywają, jarząc się w słabnącym świetle popołudnia jak miecze kosmitów.

– Fajne – cieszy się Ricardo.

Wręczam mu świetlik. Udajemy pojedynek. Fajna zabawa. Nie bawiłem się tak... od wieków.

– Hej, przykro mi z powodu tego, co się stało w sklepie – mówię później, kiedy już odstawiam go do domu ciotki.

Wzrusza ramionami.

– W porządku. Stanąłeś w mojej obronie.

A potem mnie ściska, co być może podpatrzył u jakiegoś dzieciaka w telewizji, na przykład w serialu *Dwóch i pół*, w którym taki gest jest okraszany głośnym śmiechem ze ścieżki dźwiękowej.

– Niedługo to powtórzmy – mówi na odchodnym.

Tego wieczoru, szukając czegoś, trafiam do piwnicy. Jest ona jak wielopokoleniowy magazyn różności: nart, kijów golfowych, rakiet tenisowych, zraszaczy, starych węży ogrodowych, pudeł z licznymi słoikami do przetworów, zachowanymi z jakiegoś powodu przez George'a i Jane efemerydami z poprzedniej epoki, pozostawionymi tu, jak przypuszczam, przez dawnych właścicieli.

Postanawiam pozbyć się tego wszystkiego.

Cztery godziny później, po zaciągnięciu tuzina wielkich plastikowych worków do krawężnika i przepelnionego niebieskiego pojemnika na śmieci, czuję się, jakbym oczyścił stajnię Augiasza. Ktoś musiał

to zrobić.

Po co były George'owi cztery komplety kijów golfowych? Dlaczego trzymano tam tak długo tyle rakiet, nart, wiązań i butów tak starych, że pokryły się zaskorupiałym, być może trującym osadem?

Skończywszy, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, odgrzewam sobie w mikrofalówce późną kolację i dzwonię do Nate'a.

– Jak tam Ricardo? – pyta.

– W porządku. Nauczyłem go niechcący pokazywać środkowy palec.

– Niechcący?

Wyjaśniam.

– Świetnie zacząłeś – komentuje Nate.

– W sumie to raczej niewielka szkoda. – Milknę. – Nigdy nie wiem, co ci powiedzieć, a czego nie... o twoim ojcu.

– No – odpowiada dosyć enigmatycznie – to trudne.

– Zamykają zakład, w którym był.

– Jaki zakład?

– Terapeutyczny – odpowiadam z braku lepszego słowa.

– Wiesz, co on ze mną robił? – pyta. – Obracał mnie do góry nogami i kręcił. Było to trochę fajne, trochę straszne. Czasem obijał mnie o meble – stół, krzesła – i o ścianę. Nie wiedziałem, czy z braku koncentracji, czy dlatego, że nie miał o tym pojęcia, ale granica była

cienka. Może gdybym był inny, byłoby inaczej, może komu innemu to by się bardziej podobało.

– Albo mniej – mówię. – Wygląda na to, że dobrze to znosiłeś. Ale po co znosić coś, co inne dzieciaki tolerują? Żaden wstyd przyznać, że czegoś się boisz albo że czegoś z jakiegoś powodu nie znosisz.

– Zawsze myślałem, że chce, abym był inny, że uważa mnie za ciamajdę. – Nate urywa. – Jesz, kiedy rozmawiamy?

– Tak, wybacz, ale umieram z głodu. Przy Ricardzie jakoś nie chciało mi się jeść. Świeciłem wstrzemięźliwością, a później, po powrocie do domu, z rozpędu wyczyściłem piwnicę. Było tam mnóstwo śmieci.

Nate milknie. Gorzej niż milknie, poważnieje.

– Jakich?

– Nart, rakiet tenisowych, pudeł ze starymi słoikami...

– Z moim nagrodzonym eksperymentem naukowym? Wytwarzałem antybiotyki z uprawianych w domu roślin, z imbiru, chrzanu, gorczycy i nasturcji.

– Raczej niczego takiego nie wyrzuciłem. – Z obawą przypominam sobie, że w niektórych słoikach, rzeczywiście brudnych, coś rośło; myślałem, że to zwykła pleśń... – Było tam mnóstwo rupieci, stare kije golfowe twojego taty.

– A moje kije golfowe?

– Które są twoje? – pytam tak nerwowo, że to

z pewnością słyhać.

– Te w kraciastej torbie z kółkami. Mam też drugi komplet, z granatowymi uchwytami z włóczki.

– Wiesz co – mówię zająkliwie, dobrze wiedząc, że te kije są w worku przy krawężniku. – Spojrzę, sprawdzę jeszcze raz, żeby się upewnić.

– A niech cię, niczego nie możesz sobie darować? Na wszystkim musisz odcisnąć piętno? To nie są twoje rzeczy. To mój dom. Mieszkam tam... Masz zamiar zmienić go tak, żebym go utracił, żebym nie miał gdzie się podziać?

– Nate – mówię, próbując naprawić sytuację. – Nate...

– Nie. Byłem cholernie spokojny, cały czas zachowywałem się wobec ciebie przyzwoicie... Chyba źle mnie zrozumiałeś. Zerznałeś moją matkę, mój ojciec ją zabił, a teraz za mnie decydujesz?! Niedoczekanie... nie będę taki jak ty! Nie pozwolę się gnębić.

Przerywa połączenie.

Zaskoczył mnie. Nie dość, że ma rację, to jeszcze dziw, że nie doszło do tego wcześniej. Podbiegam do krawężnika, odzyskuję jego kije golfowe wraz z innym sprzętem wyglądającym na w miarę nowy, a potem odkładam te rzeczy do piwnicy w sposób, mam nadzieję, przyjazny dla użytkownika.

Dwie godziny później Nate przysłał mejla:

„Przepraszam, jeden z chłopaków dał mi trochę swojego leku, zapewniając, że pomoże mi się



skoncentrować, ale chyba źle na niego zareagowałem. PS. Szkoła może zadzwonić do ciebie w sprawie połamanego biurka, ale zapewniam cię, że naprawdę był to wypadek. Biurko było od roku rozchwiane, gdy ten kretyn Billy wylądował na nim podczas próby latania”.

„Bez obaw, masz całkowitą rację. Twoje kije i wszystko inne jest całe i bezpieczne” – odpisuję.

We wtorek rano, tuż po ósmej, dzwoni telefon.

– Muszę gdzieś z tobą pójść – oznajmia z miejsca Cheryl.

– A co z „cześć, halo, jak się masz”?

– A czy to potrzebne? Chcę cię prosić o przysługę.

– Typowe. Od tego zaczyna się większość spraw.

Dokąd chcesz iść?

– A czy to ważne? Nie wystarczy, że cię o to proszę?

Czekam.

– Do klubu.

– A co z twoim mężem, nie może cię zabrać?

– Jego nie da się wyciągnąć nawet do kina. Więc jak... pójdziesz?

– Co to jest?

– Ludzie o wspólnych zainteresowaniach.

– Grupa polityczna?

– Niezupełnie, raczej koło towarzyskie.

– Kiedy?

- Wieczorem.
- Dziś wieczorem?
- Pytasz tak, jakbyś był strasznie zajęty. Od ósmej do jedenastej. Wybieram się tam koło dziewiątej.
- Ma to jakąś nazwę?
- Wzdycha.
- To zabawa sąsiedzko-towarzyska. Mam po ciebie wpaść?
- Spotkamy się na miejscu. Jaki to adres?
- To lokal Night Vision z laserowym paintballem w minigalerii...
- Też z apteką CVS?
- Też. Możemy się spotkać na parkingu?
- Oczywiście. Obowiązują jakieś stroje?
- Dowolne.

Siedząc w samochodzie przed CVS, rozważam, czy powiedzieć Cheryl o kobiecie z A&P. Nie bardzo rozumiem, dlaczego czuję się winny zdrady wobec kogoś, kto zdradza męża – przecież tylko pozwoliłem nieznamomej z marketu, aby mnie „obsłużyła” – i dlatego odczuwam przymus opowiedzenia o tym kobiecie, z którą nic mnie nie łączy i wobec której nie mam żadnych zobowiązań, a jednocześnie ciąży mi zachowanie całej historii dla siebie. W chwili gdy pogrążony w myślach zastanawiam się nad tym

wyznaniem, Cheryl stuka w szybę mojego auta, sprawiając, że aż podskakuję przestraszony.

Wysiadam.

– O tej porze zwykle się nie szwendam – mówię na wpół żartem.

Kiedy mieszkałem w Nowym Jorku, lubiłem wychodzić i słuchać wieczorami jazzu.

– Dla zabicia czasu zaszłam do marketu – mówi Cheryl czymś zdenerwowana. – Wydałam sto siedemdziesiąt osiem dolarów. Mam nadzieję, że produktom nic się nie stanie przez te parę godzin.

– O ile nie kupiłaś niczego, co łatwo się topi.

– Mięso i mleko.

– Zmieniłaś fryzurę – mówię, zdając sobie sprawę, że ilekroć ją widzę, wygląda inaczej. Dziś jest uczesana w klin jak Dorothy Hamill, łyżwiarka figurowa.

– To peruka – wyjaśnia.

– W imię pełnej jasności... – zaczynam, gdy idziemy przez parking.

– Nie – przerywa, a ja przystaję. – Czy to naprawdę ważne?

– Nie bardzo.

– Może zaczekać? – na wpół pyta.

Kiwam głową, że tak.

– Odrobinę się denerwuję.

– Czym?

– Pierwszy raz idę na taką imprezę. – Milknie. –

W imię pełnej jasności – ciągnie, niemal mnie parodiując – chyba powinnam była ci to powiedzieć przez telefon, ale...

– Co?

– Nie jestem pewna, czy wszyscy tam będą ubrani – dodaje natychmiast.

– Co takiego?

Zatrzymuję się. Jakiś samochód ociera się o mnie i o mało co się nie wywalam.

– Mówię tylko, że...

– Więc to jakaś impreza nudystów? I nie chciałaś mi tego powiedzieć aż do teraz?

– Nie chciałam cię zdenerwować – kłamie.

– Nie chciałaś, żebym odmówił.

Milczy.

– Czy nagość jest wymagana? – pytam.

– Nieobowiązkowa.

– Masz zamiar się rozebrać?

Wzrusza ramionami.

– Najpierw chcę zobaczyć, jak to wygląda.

Na drzwiach wisi wypisana ręcznie kartka – „Impreza zamknięta”. Stolik przed kasą biletową przy wejściu przystrojony jest banerem „Witamy Naszych Przyjaciół i Sąsiadów”.

– W czym mogę państwu pomóc? – pyta gość w koszulce polo i spodniach khaki.

– Zapisałam się na tę imprezę – mówi Cheryl.

– Jak się pani nazywa?

– Cheryl Stevens.

Mężczyzna znajduje jej nazwisko na liście, uśmiecha się i mówi:

– Widzę, że przyprowadziła pani przyjaciela.

– A nie można?

– Można. Im więcej, tym weselej. – Facet wręcza mi formularze do wypełnienia. – Jesteśmy prywatnym klubem członkowskim. Dziesięć dolarów za członkostwo i trzydzieści za dzisiejszy wieczór.

Biorę papiery.

– Kiedy będzie je pan wypełniał, poinformuję pana o obowiązujących normach i menu kolacyjnym.

Nie podaję nazwiska i adresu, wpisuję za to adres mejlowy i numer telefonu.

Mężczyzna w koszulce polo to zauważa.

– Nie jest pan pewien, kim pan chce dziś być? – pyta.

Milczę.

– Niech pan będzie sobą – radzi – to upraszcza życie. Swego czasu mieliśmy tu gościa, który walnął głową w parkiet wrotkowiska, i dopiero po trzech dniach ustalili jego tożsamość.

Nie wypełniam pustych rubryk.

– No tak, co do norm... Jak panu wiadomo, ta impreza odbywa się w wynajętym obiekcie publicznym, dlatego przypominamy, że wprowadźcie w naszym zgromadzeniu ubranie nie jest wymagane, ale nie wszystko wolno. –

Puszczą do mnie oko. – Punkt ten... – zawieszają głos – traktujemy poważnie: nie oznacza nie. Przestrzegamy go rygorystycznie. Jesteśmy klubem prywatnym, lecz zasadą jest wzajemne poszanowanie: bierzmy przykład z pań. – Podnosi wzrok. – Jesteśmy w pełni dyskretni, dochowujemy tajemnicy, dlatego zachęcamy do używania samych imion. Nie sprzedajemy, nie przekazujemy, nie zdradzamy danych naszych członków. Wykorzystujemy je wyłącznie do przesyłania dyskretnych zaproszeń na nasze wieczorki.

Kiwam głową.

– Bawiliście się już kiedyś państwo w laserowy paintball?

– Nie – odpowiadamy razem.

– Tuż za wejściem znajdują państwo szafki na rzeczy osobiste, jak również sędziów, którzy przedstawią wam zasady gry i poinstruuują, jak używać kamizelek i pistoletów. Mamy tu bar... za wasze trzydzieści dolarów można z niego korzystać do woli... a gdybyście chcieli odpocząć, z tyłu lokalu, w lewo od tapety z górą odbitą w wodzie, jest kilka dyskretnych pomieszczeń. Co dwa tygodnie organizujemy też prywatne przyjęcia, bardzo rozrywkowe, ale to imprezy zamknięte, w domach prywatnych, wyłącznie na zaproszenia. Ta dzisiejsza ma charakter zapoznawczy, jest dobrą okazją, żebyście poznali nas, a my was. – Mężczyzna uśmiecha się. – Od kogo się o nas dowiedzieliście?

– Napomknęła mi o was pewna kobieta. Na zajęciach pilates wciąż mi powtarzała, że dojrzałam do przygody.

– Doreen?

– Tak. Skąd pan wie?

– To moja żona – oznajmia ochoczo mężczyzna. – Dziś jej nie ma, mała ma infekcję ucha. Powiem, że pani tu była. Będzie zachwycona. Od zawsze mamy niedobór kobiet. Facetów ile wlezie, dziewcząt wciąż za mało.... Z mojego punktu widzenia – dorzuca ze śmiechem.

– Byłam tu z synem na kilku przyjęciach urodzinowych, podobało mu się – mówi Cheryl, kiedy podświetlonym ultrafioletowo korytarzem idziemy do „komnaty”.

– Przeprowadziłaś go tu?

– Do tego lokalu, nie na taką imprezę. Wiem od Doreen, że wynajmują go raz w miesiącu, płacą podwójną stawkę i zatrudniają własną obsługę. Po południu przychodzi grupa dekoratorów ochotników i zmienia wystrój... Powinniśmy pobrać sprzęt laserowy – dodaje. – Wrzucimy na luz i dostosujemy się do reszty.

Przywdziewamy ekwipunek – plecaki-kamizelki z pistoletem przytwierdzonym czymś w rodzaju elastycznej smyczy.

– Przez piętnaście sekund po tym, jak was trafią, wasz pistolet nie będzie strzelał – wyjaśnia jeden z sędziów. – Trafienie wyłącza was z gry. Dwadzieścia pięć trafień wyłącza was z gry na pięć minut.

Przechodzi do zilustrowania, w jaki sposób trafić kogoś rykoszetem z wykorzystaniem luster, co nie zawsze wymaga namierzenia celu bezpośrednio.

– Ruszajcie. Ale pamiętajcie: żadnego biegania, żadnego popychania.

Zmierzając do środka, mijamy bar, w którym kobieta w żółtym sportowym staniku i laserowym ekwipunku popija z papierowego kubka białe wino, a dwóch gości bez koszul, z wygolonymi torsami, tankuje alkoholowe i bezalkoholowe trunki.

Spodziewam się i więcej, i mniej. Okiem wyobraźni przywołuję sceny z seksklubów z lat siedemdziesiątych, gdzie na wprost wyleniali mężczyźni w tupetach pieścili z prawa, z lewa i w środku erotycznie wyzwolone kobiety. W porównaniu z tamtymi ci mają więcej włosów, mięśni i są młodsi, ale może to zasługa świateł laserowych. Spoceni facie w slipach, biegający z pistoletami zabawkami w zbzikowanej zabawie z czasów, kiedy mieli dziewięć, dziesięć, jedenaście lat, dziś doprowadzają ją do nowych, popapranych granic. Są w wieku od niespełna czterdziestu do pięćdziesięciu kilku lat, tak włochaci, sporadycznie wytatuowani i tłuści, że na widok ich harców tym bardziej cierpnie skóra. Nie przyszedłem tu krytykować, ale jestem zdumiony ich bezwstydem i nieatrakcyjnością, człowiek bowiem zawsze myśli tylko o tych, których ciała są stworzone do takiego obnażania. Nie wzięli też pod uwagę, że będą tu biegać na wprost



nago, stąd, niepomni na wymogi mody, paradują w zwykłych slipach i obwisłych bokserkach, a gdy strzelają do siebie w pędzie, ich pulchne przyrodzenia kołyszą się na boki. Kobiety nie poszły na taką łatwiznę. Część ma na sobie seksowną bieliznę albo jakąś wersję stroju fordanserki, inne – w sportowych stanikach i obcisłych szortach z nogawkami odsłaniającymi pośladki – wyglądają, jakby wybierały się na przejażdżkę rowerową. Wszystko to, kojarząc się ze spaczonym porno, sprawia, iż w obliczu tych amatorów na nowo doceniam zawodowców.

– Widzę kogoś znajomego – oznajmia Cheryl.

– Gdzie?

– Tam, na trzeciej, gościa z żoną.

Patrzę. W kierunku pół do trzeciej widzę grupę mężczyzn zapatrzonych w dwie całujące się kobiety. Niepojęte, dlaczego mężczyźni gapią się na dwie kobiety albo śpią z dwiema naraz. Ja bym się w takiej sytuacji nie odnalazł: dwie babki, cztery piersi, huk roboty... Padłbym z wycieńczenia.

– Słyszałam o nich – mówi Cheryl.

– Co słyszałaś?

– Że robią tu takie rzeczy, ale nie wierzyłam. Myślałam, że jestem wyjątkiem.

– Nie ma już wyjątków. Ludzie mają różne potrzeby.

O wpół do dziesiątej sędziowie ogłaszają pięć minut przerwy, po których następuje runda gry w rozbieranego

– każdy trafiony musi zdjąć jakąś część garderoby.  
Hurra!

Zmierzam do baru, po drodze zaglądając do dyskretnych pomieszczeń. Mnóstwo w nich tego, co zwaliśmy „ciupcianiem w ciuchach”, ale czy pokusiłbym się o to w minigalerii z kimś z „sąsiedztwa”?

Zakotwiczylem przy barze, piję więcej niż zwykle. Kobiety topless w laserowych kamizelkach robią sobie szprycery, a mężczyźni krążą z rozcieńczonym alkoholem i nie umiem powiedzieć, co ich bardziej kręci, obnażone dziewczyny czy emocje gry.

– Mogę? – pyta jakaś kobieta Cheryl.

– Czemu nie.

Odwracam wzrok. Nawet w takim miejscu ma się prawo do prywatności. Kątem oka widzę, niczym w zwolnionym tempie, jak na dłoni nieznajomej, którą sięga do piersi Cheryl, błyska obrączka ślubna. Kobieta muska długimi palcami jej pierś tak leciutko, jakby ją odkurzała – dotykając bez dotykania – po czym pochyla się i całuje Cheryl w usta. Cheryl oddaje pocałunek. Po tym doznaniu kobieta wyparowuje, znika.

– Nie chcę ci psuć przyjemności, ale jutro rano jadę do miasta, dlatego chcę wrócić do domu o przyzwoitej porze – obwieszczam.

– Pozwoliłam, żeby jakaś kobieta mnie dotknęła – mówi Cheryl, najwyraźniej nieświadoma, że stałem tuż obok, gdy to się zdarzyło.

- To twój pierwszy raz?
- Tak. – Milknie. – Dotknęła mnie leciutko... łaskotało.
- Czyli że sprawiło ci przyjemność?
- Nie było niemiłe.
- To się nazywa podwójne zaprzeczenie. Chcesz powiedzieć, że ci się podobało?
- Za dużo powiedziane. Kobiety już mnie dotykały, ale zawsze w takich sytuacjach jak w gabinecie lekarskim, kiedy unosisz rękę, biorą twoją pierś i przyciskają do mammografu. Jednak jeszcze nigdy żadna nie dotykała mnie dla przyjemności. Nie miałam pojęcia, że kobiece wargi są takie miękkie. A co z tobą? Zaliczyłeś coś?
- Tak. Jakiś gość się o mnie otarł. Ale pewnie chciał się tylko precyzyjnie. Otarł się i przeprosił. Przez jego „przepraszam” zrobiło mi się głupio. Otarcie było niczego sobie, ale kiedy przeprosił, poczułem się jak odmieniec, bo sprawiło mi przyjemność.
- Nadinterpretujesz to.
- Nie pierwszy raz... Muszę iść, robi się późno.
- Znajdziesz czas na kawę? – pyta Cheryl. – Moglibyśmy wymienić doświadczenia?
- Śmieje się z własnego dowcipu.
- Uwierzyłybyś w istnienie czegoś takiego w tym miejscu, obok apteki, hurtowni farmaceutyków i sklepu z pocztówkami? – zagaduje, kiedy idziemy przez parking.
- Kupuję tu kartki dla teściowej.
- Cuchnąc potem, także innych ludzi, idziemy do

Friendly.

– Nie za bardzo ci to podeszło, co? – pyta, gdy siadamy.

– Prawdę mówiąc, dziwnie przygnębiło.

– Mnie też.

– Co państwu podać? – pyta kelnerka.

– Kawę – mówię.

– To wszystko?

– Kawę i szarlotkę?

– Z lodami?

– Tak, proszę.

– Kawa i szarlotka – mówi Cheryl. – To zwykle zamawiał dziadek.

– Dobrze – mówię. – Bezglutenową szarlotkę i lodowego czekoladowego błaznika.

Kiedy kelnerka odchodzi, pochylam się ku Cheryl, która wygląda na zasmuconą.

– Po co chciałaś tam iść? – pytam.

– Jestem ciekawska. Myślałam, że na tyle mnie znasz. Chcę czegoś innego, czegoś więcej.

Zjawiają się zamówione lody, zaczyna je zajadać.

– Potrzebujesz zajęcia – podsuwam. – Może zdobądź licencję handlu nieruchomościami, wróc do szkoły albo zatrudnij się w opiece społecznej.

– Mam licencję handlu nieruchomościami. To oznacza pieprzenie się z nieznanymi w cudzych domach. – Beka mimo woli. Przez stół fruną wonie białego wina i lodów czekoladowych. – Wybacz – mówi. – Nie

powinam pić po zażyciu tego nowego leku.

– Nie wiedziałem, że zażywasz coś nowego – mówię, trzeźwiejąc.

– To... całkiem nowa terapia.

– A może twoje dzisiejsze reakcje to skutek tego nowego leku? Skąd wiesz, że chcesz robić to, co robisz, i że nie jest to jakiś dziwny efekt uboczny?

– Wątpię, czy chęć zapoznania się z klubem seksoholików można zwalić na efekty uboczne leku. A poza tym, słowo daję, rajcuje mnie seks z kimś, komu nie muszę pracować, przygotowywać posiłków i kupować skarpetek...

– Podać państwu coś jeszcze? – pyta kelnerka.

– Tylko rachunek – mówię, spostrzegając, że do Friendly weszło kilka innych zaróżowionych i za głośno się śmiejących „par” z imprezy.

Uwieram się uroczyście na swoje ostatnie zajęcia. Wkładam garnitur i krawat. Cel jest tak poważny jak pogrzeb. Wchodzę z wysoko podniesioną głową, ze starym, za dużym kasetowcem w ręku, powściągając i skrywając żal i poczucie zdrady.

– Dzisiejsze zajęcia zamykają rozdział mojego życia – zacznym. – Na cześć i ku pamięci Richarda Milhousa Nixona nagram dziś swoje komentarze.

Kładę magnetofon na pustym pulpicie i żeby skupić uwagę sali, uderzam w niego głucho kilka razy. Stukanie w wydrążone drewno wzmacnia pogłos, buch, buch, jak walenie młotkiem – uwaga, uwaga! Wciskam klawisz nagrywania, odchrząkuję.

– Próba mikrofonu, raz, dwa, trzy... próba mikrofonu, próba mikrofonu.

Zatrzymuję taśmę i przewijam. Odtwarzam próbę. Brzmienie zgodne z oczekiwaniem, klasycznie metaliczne.

– Przyszedłem do was na nasze ostatnie spotkanie przede wszystkim przez wzgląd na potęgę historii, świadomość, że nie pamiętając o przeszłości, żyjąc tylko dniem dzisiejszym, nie będziemy mieć żadnej przyszłości. Wyobraźcie sobie, bardzo proszę, Amerykę bez Richarda Nixona, kraj pozbawiony przeszłości, świat, w którym każdy sobie rzepkę skrobie i nikt nie dba

o budowę wzajemnego zaufania, przymierzy pomiędzy ludźmi i między krajami. Pomyślcie o własnym istnieniu w czasie. Wasza historia – kultura, czyny – jest być może lepiej udokumentowana i zanalizowana niż któregokolwiek z poprzednich pokoleń. Wasz wizerunek jest rejestrowany dziesiątki, jeśli nie setki razy dziennie, krocycie wąską ścieżką, z której nie wolno wam zbroczyć. Zastanówcie się przez chwilę nad internetowym postem, który nie znika – trwa w wiecznej teraźniejszości, nie pozwala na rozwój, postęp, rozgrzeszenie.

Biorę oddech.

– Dzisiejsze zajęcia oznaczają zmianę w moim życiu: to mój ostatni występ na akademickiej scenie; że tak powiem, wywołanie przed kurtynę. Uznałem, że skorzystam z tej okazji, by podzielić się z wami własnymi przemyśleniami... Wpierw poproszę was, żebyście wyłączyli cały swój sprzęt elektroniczny i wyobrazili sobie poranne spotkanie w Białym Domu Nixona. Obecni są prezydent, szef jego sztabu, Haldeman, Haig, Henry Kissinger i dobrana garstka innych. W jednej ręce trzymają kubki z kawą ze Starbucks opatrzone nazwiskami i nazwą zawartości, a w drugiej jakieś elektroniczne urządzenia, na które prezydent przesyła mejle, posty, teksty i co tam jeszcze. Czyżby sądził, że go nie słuchają? Czyżby zamiast zapisywać atramentem w notatniku myśli, nocne przemyślenia, Dick Nixon chwycił smartfon i przetwittował lub przesłał

wielotomowe dygresje na temat podupadającego stanu państwa?... Pomyślcie o tym, wyłączając swoje urzędnika – to moje ostatnie zajęcia, więc proszę o pełną uwagę.

Milknę na dłuższą chwilę. W sali rozbrzmiewa mieszanina pożegnalnych ćwierknień.

– Staję przed wami po raz dziewiętnasty w miejscu, które przez tyle lat było ośrodkiem edukacji, kształtowania umysłów i życia kolejnych pokoleń. Wszelkim moim decyzjom, przekazywaniu wam wiedzy przyświecało dążenie, żeby robić to jak najlepiej. Za swój obowiązek uznałem nie szczędzić wysiłków, by zapoznać was z waszą przeszłością i przeszłością tego kraju, nie szczędzić wysiłków, by wyrobić w was przekonanie, jak ważna jest znajomość historii i krytyczne podejście do niej. Dzisiejszy dzień to moje podanie się do dymisji. Kto chce uczyć, musi mieć studentów, pilnych uczniów. Jestem świadom, że wielu z was chodziło na moje zajęcia, żeby zaliczyć przedmiot. Poczta pantoflową doszło do mnie, że te zajęcia to „bzdety”. Zdaję też sobie sprawę, że wielu z was jest pierwszymi studentami w rodzinie i że, zamiast wykorzystać przywilej zdobywania wiedzy, marnotrawi czas na włóczenie się z kolegami i imprezowanie. Zawsze miałem się za profesora, nauczyciela, mentora młodzieży. Nie mając potomstwa, być może błędnie traktowałem swoich studentów jako namiastkę własnych dzieci. Kibicowałem wam,



chodzę na wasze mecze futbolowe, dopingowałem. Wierzyłem w was. I mimo zmiennych wiatrów w akademii, zmiennych trendów w nauczaniu i słabnącego zainteresowania wiedzą historyczną zawsze poczytywałem za swój obowiązek wytrwać. Pozwólcie mi zatem na pełną szczerość... Wbrew osobistym trudnościom, wbrew temu, że obowiązki pedagogiczne ograniczają mój czas na badania i pisanie, wolałbym wyklądać dalej. Nigdy łatwo nie rezygnowałem, ale zważywszy na to, w którą stronę zmierza wedle władz uczelni nauka historii, wydaje mi się, że moja przydatność w tej mierze się kończy. Poglądy wyrobiłem sobie dawno temu. Dobrze widzę, jaka różnica dzieli Biały Dom Nixona od Białego Domu Busha seniora i Dicka Cheney, przy których Richard Nixon wydaje się naiwnym prostaczkiem... Mam wrażenie, że Nixona zżerała świadomość, że zawinił względem rodziny, zwłaszcza względem wcześniej utraconych dwóch braci. Ja też w smutnych dniach własnego niedawnego dramatu rodzinnego myślę o swoim związku z krewnymi i o tym, co – dosłownie – oznacza być stróżem brata swego. W kontekście osobistego publicznego fiaska myślę też o swoim nieudanym małżeństwie. Rozpatruję Dicka i Pat Nixonów i ich hart ducha w obliczu tego wszystkiego, co o nich wiemy i czego nie wiemy. Myślę o swoim gniewie na życie, w którego sidła wpadłem, które sobie nieuchronnie zgotowałem.

Robię pauzę na oddech.

– Przepraszam za dygresję... Są szlaki, rozstaje dróg, podróże, które musimy odbyć. Czasem nie jest to wybór, tylko to, co robimy z tym, co nam dano. Dziś z mieszanymi uczuciami, bo dla mnie jest to początek i koniec, opuszczam ten uniwersytet, by zająć się książką o Nixonie, i cieszę się na pogłębienie swego związku z tym tematem. Osobom, które przyszły mnie pożegnać, naszym gościom specjalnym, jak Ryanowi, młodemu rabinackiemu studentowi badającemu związki Żydów z przestępczością, życzę powodzenia, natomiast dziekanowi tego wydziału, Benowi Schwartzowi, z którym znamy się od lat i który wie, jak głęboko go poważam, nie muszę mówić nic więcej. Dziś zwracam się do was jako nie tylko studentów, ale też mężczyzn i kobiet oraz, mam nadzieję, obywateli. Zobowiązuję się dziś nadto wobec was, że póki starczy mi tchu w piersi, będę dalej postępował w tym duchu. Dalej pracował w imię wielkich celów, którym poświęcałem się przez lata. Byłem oddany nade wszystko jednej sprawie i pozostanę jej oddany, póki żyję. Kiedy po raz pierwszy złożyłem tę przysięgę, zobowiązałem się bez reszty „poświęcić swój urząd, swoje siły i całą mądrość, jaką zdołam osiąść, sprawie pokoju między narodami”. Zrobiłem wszystko, co w mej mocy, żeby dotrzymać tej przysięgi. Dzięki tym wysiłkom mam pewność, że świat jest dziś bardziej bezpieczny nie tylko dla Amerykanów,

ale i dla wszystkich narodów świata, i że nasze dzieci mają większe niż dotąd szanse żyć w pokoju i nie ginąć w wojnach. Tego pragnąłem najbardziej. Mam nadzieję, że będzie to dla was najcenniejszą schedą po mnie.

Znowu robię pauzę i rozglądam się po sali, usiłując sprawdzić, czy ktoś się połapał, w jakim stopniu „cytowałem” bądź „próbkowałem” niektóre ze słynnych mów Nixona, w tym oczywiście jego mowę pożegnalną. Nie wydaje mi się jednak, by ktokolwiek to dostrzegł. Kończę więc jak sam mistrz: „Niechaj łaska boska będzie z wami do końca dni waszego żywota”. Aplauz na sali. Kiwam głową, kłaniam się, prawie że, w mordę jeża, dygam. Na końcu sali wędruje w górę czyjaś ręka. Przygniata mnie autorskie poczucie winy.

– Zanim zadacie pytania, muszę zaznaczyć, że swoje uwagi zaczerpnąłem w znacznym stopniu z mów wygłoszonych przez Richarda Nixona, a szczególnie z przemówienia telewizyjnego, w którym podał się do dymisji, nadanego ósmego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku o dziewiątej wieczorem.

Jakaś dziewczyna w pierwszym rzędzie śmieje się.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym nie było mnie jeszcze na świecie – mówi.

– Otóż to. A teraz pytanie z tyłu sali.

– Skoro pan odchodzi przed egzaminem końcowym, może pan nam powiedzieć, jak będzie nas pan oceniał?

– Na podstawie tego, co dostałem w zamian – odpowiadam z uśmiechem. Patrzą na mnie skonsternowani. – Jeśli oddaliście referaty i uczestniczyliście w dyskusjach, to zaliczycie.

Zegar wybija piątą, studenci wiwatuja. Nie jestem pewien, czy dlatego, że to ostatnie zajęcia, czy dlatego, iż wiedzą, że w końcu skończą gadać. Wolę to odczytać pozytywnie. Wychodzę zwycięski, trzymając magnetofon wysoko nad głową i myśląc na głos:

– W ogóle mnie nie znacie.

Kilka dni później wzywają mnie do Sadyby na spotkanie w sprawie „przydziału” George’a. Kiedy sekretarka dzwoni, żeby je potwierdzić, radzi, bym przywiózł bratu dodatkową odzież.

– Na świeże powietrze. Dżinsy, grube skarpety, wełniane swetry.

– Czy to przesądzone?

– Nie wiem. Czytam tylko to, co jest napisane na kartkach. Mam też pana spytać, czy zamierza pan nocować.

– Nie – odpowiadam krótko. – Czy wiadomo, kto tam jeszcze będzie?

– Na liście oprócz pana są osoby towarzyszące: adwokat pana brata bądź przedstawiciel firmy adwokackiej, dyrektor medyczny i ktoś ze stanowego

biura penitencjarnego.

– Czy znane jest nazwisko osoby z biura penitencjarnego?

– Walter Penny.

Kiedy rozmawiamy, googluję Waltera Penny'ego i znajduję zdjęcia bardzo chudego biegacza z college'u w Gambier w stanie Ohio. Żyjemy w świecie, w którym jest wielu Walterów Pennych?

Opiekun zwierząt przyjeżdża, żeby zająć się Tessie i kocieciami.

Pakuję rzeczy dla George'a, opróżniając szuflady do ogromnej walizy, która bardziej przypomina szafę niż coś, co zabiera się w podróż. Zastanawiam się, czego z garderoby mój brat nie oddałby biednym.

W Sadybie obsługa wyciąga walizę z samochodu i wnosi ją za mnie do środka.

– Pan się wprowadza? – pyta tragarz.

– Jest pan nowy.

– To aż tak widać?

– Owszem.

Spóźniają się. Czekam w poczekalni przed gabinetem dyrektora medycznego, jem z granatowego pudełka duńskie maślane ciasteczka i pijam herbatę z dzbanka, w którym, jak podejrzewam, jest nadmiar zarazków. Trzymam pudełko na kolanach, żeby łąpać okruszki.

– Manny – przedstawia się gość siedzący naprzeciwko i wyciąga rękę – z firmy Wurlitzer, Pulitzer i Ordy.

- My się znamy?
- Wybrałem się tu na przejażdżkę z Ordym z White Plains. Rutkowskiego dziś nie będzie, ma proces.
- Czy wiadomo, jak formalne albo nieformalne będzie to zebranie? – pytam.

Manny wzrusza ramionami. Częstouję go ciastkiem. Odmawia.

– Myślałem, że będzie to dyskusja na temat metod dalszego postępowania, ale potem poprosili, żebym przywiózł George’owi więcej ubrań. Dlatego wyczuwam, że decyzje już zapadły.

– Nic nie jest przesądzone – mówi Manny. – Ale dla zaoszczędzenia energii i wydatków opracowaliśmy plan, który wyjdzie George’owi na dobre.

Widocznie spochmurniałem lub zrobiłem inną minę, bo Manny niespokojnie poprawia dużą torbę na zakupy, którą trzyma pomiędzy nogami, i dodaje:

– Zaczekajmy jednak na oficjalne spotkanie.

Kilka minut później zostajemy wezwani do gabinetu doktora Crowleya, dyrektora medycznego placówki. Walter Penny już tam jest. Są z pewnością po zebraniu wstępnym, na które nas nie zaproszono.

– Proszę, proszę – wita nas doktor Crowley, pulchny, łysiejący, w nieokreślonym wieku.

Walter Penny przedstawia się, energicznie ściskając nam dłonie. Młody, bardzo chudy, nosi tani garnitur, który leży na nim dobrze tylko dlatego, że nie bardzo ma

na czym leżeć. Z kędzierzawymi, krótko przystrzyżonymi włosami Penny mógłby ująć za osiemnastolatka. Drapiąc się za uchem, powtarza gest, który przywodzi mi na myśl Tessie drapiącą się tylną łapą.

Patrzę na niego, zastanawiając się, czy faktycznie jest Walterem Pennym z Gambier w Ohio, który parę lat temu startował na bieżni, i co ktoś taki może wiedzieć o ludziach lub o prawie.

Wręcza mi wizytówkę, z której wynika, że jest Walterem Pennym, doktorem prawa karnego.

– Co pana zainteresowało w prawie karnym? – pytam.

– Pochodzę z rodziny wojskowej i jesteśmy myśliwymi  
– odpowiada, jakby to wyjaśniało wszystko.

Kiwam głową.

– Z której części świata pan pochodzi?

– Z Ohio.

Manny podaje torbę z zakupami, a dyrektor medyczny wyciąga z niej wielkie pudło karmelowej kukurydzy firmy Garrett.

– Od mojego szwagra – wyjaśnia doktor Crowley. – Osławionego Rutkowskiego.

– Łapówka? – podsuwam.

– Moja żona uwielbia tę kukurydzę. Wyrosła na niej. – Crowley przystępuje do rzeczy. – Dobra, obecny tu Walter powie nam co nieco o programie, nad którym pracuje. Zdradzę tylko, że wprawdzie nie wypróbowaliśmy go dotąd na nikim, ale rozmawiałem

z wieloma ludźmi nad decyzją, co począć z George'em, a wybór jest skromny: albo klasyczny szpital dla wariatów, albo więzienie.

– Mogę? – wtrąca Walter.

– Proszę – mówi doktor Crowley.

– W prawie karnym cały czas badamy nowe pomysły, wszystko – od architektury więzień do psychologicznych aspektów kar. Projekt Drwal jest eksperymentem, który da się sprowadzić do niskobudżetowego modelu selekcji naturalnej przetrwania w najcięższych warunkach. I choć George nie jest typowym kandydatem, sądzimy, że nie stoi na straconej pozycji i że umieszczenie go tam może być dobrym rozwiązaniem.

– A kim jest wasz typowy kandydat? – pytam.

– To ktoś z bardziej kryminalną przeszłością, wychowany nie w mieście, ale na wsi, karany nie tyle za oszustwa, ile napady, poważne kradzieże, drobne morderstwa. To ktoś o sprawnych rękach, komu potrzeba fizycznych wyzwań. Odkryliśmy, że ludzie gwałtowni zachowują się mniej gwałtownie na łonie przyrody. W obliczu żywiołów uczą się je pokonywać, sami siebie kontrolują – postrzegają to jako walkę człowieka z ziemią, a nie z bliźnim. Nie osadzamy tam seryjnych zabójców – to ludzie o całkiem odmiennym profilu – i choć dysponujemy mocą stosowania kar, musimy też szanować niezbywalne prawa naszych więźniów i nie narażać ich na zbytne ryzyko. W gruncie rzeczy Drwal



został pomyślany jako niedroga, samowystarczalna kolonia karna. Jak panowie być może wiedzą, samowystarczalne gospodarstwo więzienne ma długą tradycję, także jako model kwakerski. Kwakrzy zbudowali pierwszy zakład karny, który uwzględnił potrzebę spoglądania w niebo. – Mówiąc to, Walter podnosi wzrok. – Słowem, w światłość, by obcować z Bogiem, żałować za grzechy!

– Mówi to pan, nie przymierzając, jak pastor – zauważa dyrektor medyczny.

– Dziękuję.

– Czy mógłby pan to naświetlić nieco szczegółowiej? – pytam Penny’ego. – Bo na razie opisał pan to jak odcinek serialu o dzikich zwierzętach na Animal Planet.

– Proszę umożliwić panu obejrzenie prezentacji w PowerPoincie – zachęca Crowley.

– Oczywiście. – Walter zwraca ekran swojego laptopa w moją stronę. – Ku pamięci krótko naświetlę panu tło: koszt utrzymania jednego więźnia w Nowym Jorku to ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, koszt utrzymania więźnia w ramach naszego programu to niespełna dziesięć tysięcy dolarów.

Wciska klawisz startu. Na ekranie pojawia się supermęskie logo DRWAL, rozbrzmiewa heavymetalowa muzyka i leci pełne efektów wideo w typie reklamówki zachęcającej do wstąpienia do wojska lub Gwardii Narodowej. „Przykładowi” więźniowie – Twardy, Mocny,

Uparty, Odporny – wspinają się na drzewa, łowią dla siebie posiłek w rzece, opuszczają się na linie po skalnej ścianie. Wszyscy używają wyselekcjonowanego wyposażenia, które otrzymują w torbach Drwala, przystępując do programu, i które co roku jest zastępowane nowym. Prezentację kończy informacja: „Drwal jest powracającym do źródeł modelem zarządzania ludźmi przy użyciu mikroczipów 300a i 300b, śledzonych przez satelitę. Czyp 300b dostarcza też stałego odczytu podstawowych czynności życiowych. Każdy bunt i niewłaściwe zachowanie mogą być w ciągu od jednej do pięciu minut zneutralizowane czasowo lub trwale przez drona albo komputerowo wspomaganą kontrolę”.

– Tak to wygląda – mówi Walter Penny. – Więźniowie są zaczipowani i wypuszczani na działkę o powierzchni niespełna dwóch hektarów, teren dawnego poligonu wojskowego. Nie ma tam żadnego sprzętu bojowego, ale jest dość infrastruktury, skąd możemy zarządzać placówką itede z podziemnego bunkra. Są tam schrony do spania, farma dla więźniów i prowiant, a nad bunkrem budynek główny, dokąd mogą przyjść, uprawiać rzeczy, wykąpać się i uzupełnić zapasy. Mamy rządowy ser, nadwyżki żywności, w tym masła orzechowego i mleka, dostęp do wody. Testujemy nowy system ambulatoryjny, za pomocą którego można rozprawdzać zwykłe leki, a za pośrednictwem polowych robotów

medycznych mierzyć temperaturę, ciśnienie krwi, dokonywać EKG i w razie potrzeby przeprowadzać analizę krwi – słowem, monitorować stan zdrowia. W zimie każdy więzień ma szafas ogrzewany baterią słoneczną.

– A więc to rodzaj wyraju i rezerwatu dzikiej przyrody, z tym że dziką przyrodą są ludzie? – pytam.

– Owszem. To ściśle monitorowana strefa bezpieczeństwa, będąca pod naszą całodobową obserwacją.

– A jeżeli któryś z tych gości zaatakuje drugiego?

– Cały czas wiemy, gdzie są i co robią. Monitorujemy ich na okrągło. Dyscyplinę wprowadzamy w razie potrzeby szybko i bezwzględnie.

– Z powietrza – dodaje dyrektor medyczny, popijając kool-aid.

– Właśnie, wypuszczamy drona i pozamiatane.

– A jeśli uda im się pozbyć czipów i uciekną?

– Czypujemy ich na karkach. Nie da się usunąć czipu, nie uszkadzając funkcji mózgu. Jeśli któryś zabije innego, wiemy dokładnie, kto to zrobił i jak, a wtedy rach-ciach-ciach nadlatuje drapieżnik – dron.

– A czy ci osadzeni po skończeniu waszego programu awansują?

– Niby w jaki sposób? – Walter Penny jest zaskoczony moim pytaniem.

Wzruszam ramionami.

– Zostają strażnikami parku?  
– To są źli ludzie – odpowiada Walter, tak jakbym niczego nie pojął.

– Uciekają?

– Oni i ich przedstawiciele podpisują umowy, zgodnie z którymi możemy używać wobec nich paralizatorów, porażać prądem, a w razie potrzeby likwidować. Dyscyplinę egzekwujemy z rozważą. Na ogół nie musimy jej stosować.

– Czy ci ludzie się przyjaźnią?

Walter kręci głową z takim politowaniem, jakbym niczego ni w ząb nie rozumiał.

– Tutaj nie ma wieczorów przy ognisku, *Kumbaya* i sentymentalnego towarzystwa.

– No... to dlaczego sądzicie, że to dobre miejsce dla George'a?

– Ja odpowiem – zgłasza się dyrektor medyczny. – George ma w sobie mnóstwo gniewu i nadmiar energii, a poza tym bardzo lubi rządzić.

– Chciałbym się na moment wtrącić i naświetlić panom to i owo – mówi Manny. – Nawiązując do tego, o czym mówiliśmy wcześniej, jeśli przystaniemy na ten program, jeśli się zgodzimy, że to odpowiednie miejsce dla George'a, ulokowanie go tam może się okazać korzystne. Dzięki temu George uniknie procesu, który byłby długi, kosztowny i bardzo głośny.

– Twierdzi pan, że jeżeli wyślemy go do lasu, nie stanie

przed sądem?

– Właśnie – potwierdza Walter Penny.

– Jak długo będzie musiał tam pozostać?

– Trudno powiedzieć. Umowa jednak obejmie każde następne przeniesienie. Jeżeli nawet opuści ten las, nie będzie musiał stanąć przed sądem – stwierdza Manny.

– Będę z panami szczerzy – mówi Walter Penny. – Pomogłoby nam kilka głośnych spraw. Żeby się znaleźć na tapecie. Na początek mamy środki finansowe, a ponieważ w porównaniu z tradycyjnym zakładem karnym nasze koszty utrzymania więźnia są zdumiewająco niskie, do owocnego działania potrzebujemy dobrego PR-u.

– Na logo i prezentację wydaliście z pewnością mnóstwo forsy.

– W dzisiejszych czasach nade wszystko liczy się rozpoznawalność – mówi Walter. – Dostaliśmy na rozruch parę całkiem niezłych grantów, ale teraz jesteśmy zdani na siebie.

– Zrekapitułujmy – wtrąca Manny, ucinając fascynującą rozmowę o tym, kto im dał subwencję, by szarpnęli się na logo w zielone drzewne słoje. – Warunki przeniesienia są następujące: akceptujemy przeniesienie George'a do Drwała jako jednorazową ofertę. Oferta oraz jej przyjęcie są bez precedensu i po czterdziestu ośmiu godzinach pobytu w Drwału każda kolejna zmiana miejsca podpada nieodwołalnie pod ustalenia tej umowy.

Rozumie się samo przez się, że czas spędzony w programie Drwal podlega prawu stanu, w którym znajduje się placówka, prawu Stanów Zjednoczonych oraz właściwej procedurze prawnej et cetera. Koszty przenosin z prywatnego zakładu Sadyba do placówki państwowej Drwal poniesie Sadyba jako „należność” z tytułu zamknięcia zakładu.

– Kiedy to nastąpi? – pytam.

– Raczej prędzej niż później – mówi Walter Penny. – Chcę również zaznaczyć, że przedstawiłem ten pakiet rodzicom Jane, zmarłej żony George’a. „Pal go sześć!”, powiedzieli, wręcz szczęśliwi z zesłania go do lasu.

– Kiedy? – ponawiam pytanie.

– Pod koniec tygodnia – odpowiada dyrektor medyczny. – W razie gdyby coś nie wyszło albo wymagało przemyślenia, pozostaniemy tu do pomocy.

– Czy przed chwilą dobrze usłyszałem o czterdziestoosmiodzinnej klauzuli?

– Pierwsze czterdzieści osiem godzin decyduje – mówi Walter Penny. – Jeżeli ktoś wytrzyma dwa dni, są szanse, że da sobie radę. Dotąd musieliśmy wycofać tylko jednego człowieka.

– Czy George o tym wszystkim wie?

– Tak – potwierdza dyrektor medyczny. – Omówiliśmy to sobie.

– Pokazałem mu zdjęcia – informuje Walter Penny.

– Spotkaliśmy się prywatnie dziś rano i omówiliśmy

prawne implikacje.

– Co on na to? – pytam.

– Szczerze? Miał mieszane uczucia.

– To chyba zrozumiałe – dodaje Manny.

– Czy wie, że tu jestem?

– Tak. Chce się pan z nim widzieć czy się pan obawia?

– pyta dyrektor medyczny.

Patrzę na niego w milczeniu.

– Oto jest pytanie, co? – dodaje.

Na koniec spotkania Walter Penny ponownie ściska mi rękę, a ja, o dziwo, gratuluję mu nowatorskiego pomysłu, ducha i energii.

– No to załatwione – mówi.

Mam całkiem odmienne zdanie, ale nie wiem dlaczego lubię go. To taki facet, którego chcesz mieć za towarzysza, kiedy twój wóz nawala na bezludziu. Gdy twój samolot zderza się z zaśnieżoną górą...

George jest w swoim pokoju sam.

– Mam przesrane, co?

Siadam na brzegu jego łóżka.

– Mam przesrane – powtarza głośno. – Nie biorę prochów. Przez cały miesiąc mi je odstawiali, więc teraz jestem czysty, *au naturel*. Mam przesrane.

– A nie spojrzysz na to inaczej?

Piorunuje mnie wzrokiem.

- Poniekąd uniknąłeś więzienia – podsuwam.
- Idiota z ciebie – mówi George.
- To nie mamer ani wariatkowo.
- Rzucają mnie na pożarcie wilkom!
- Nie wiem, czy to odpowiednia chwila, żeby o tym mówić, ale nie ufam twojemu prawnikowi. Spomknął się z tutejszym dyrektorem medycznym.
- Nie spomknął się, idioto, to krewniacy.
- Nie jestem pewien, czy działają w twoim interesie.
- Czyli za pięć dwunasta powinienem znaleźć innego adwokata?
- Zyskałbyś trochę czasu.
- Mam przesrane – powtarza ogarnięty paniką. – Zsyłają mnie do dziczy, w chłód i mrok, pomiędzy ludzi gorszych niż zwierzęta.
- Jest wiosna, George. Co dzień robi się cieplej, noce też są coraz cieplejsze, zbliża się lato. Przecież zawsze marzyły ci się kempingi. Nie pamiętasz? Uwielbiałeś misia Yogi i te rzeczy i byłeś zły, że nie mamy prawdziwego podwórza za domem.
- Nie mówimy o parku Jellystone, do kurwy nędzy! Wstrzelili mi w kark czip i zrobili zastrzyk przeciwężcowy, ręka mi napierdala, a jutro zaszczepią mnie przeciw wścieklicznie.
- Nie masz wielkiego wyboru, George. Spróbuj. Jeśli ci się nie spodoba, zobaczymy, co zrobić z tym fantem.
- Zawsze byłeś taki głupi? – pyta, patrząc mi prosto



w oczy. – Pamiętam, że byłeś tumanem, ale nie aż takim debilem.

– Co mam ci na to powiedzieć? Chcesz posłuchać, jak mi się żyje, o swoich dzieciach, o Tessie, o kociętach?

– O jakiej Tessie, kurwa mać?!

– O twoim psie.

– Aha – mówi, jakby skontaktował.

– Ma się dobrze.

George kiwa głową.

– Dzieci też oswajają się z sytuacją.

Ponownie kiwa głową.

– Wiem, nie masz łatwo. Dziwna sytuacja z zamknięciem tego zakładu i nietypowym programem, ale kto wie, czy na tym nie zyskasz. Robiłeś rzeczy, których nie robił żaden z tamtych. Owszem, kradli, i ty też. Zabijali, i ty też. Ale ilu z nich miało od lat stałą pracę, ilu kierowało siecią telewizyjną?

Wygląda to tak, jakbym go dopingował, przekonywał, że może wyjść na ring, stoczyć jeszcze jedną rundę, że nie wszystko stracone.

– Jesteś mocny i twardy jak każdy z nich. Pamiętasz, jak mnie zbiłeś?

– Przypadkiem – mówi.

– To nie był wypadek, raniłeś mnie.

Wzrusza ramionami.

– Uważam, że cię na to stać. Pamiętasz, jak wkładaliśmy stare mundury wojskowe taty i bawiliśmy

się w piwnicy? Byłeś pułkownikiem Robertem R. Hoganem.

– Owszem. „Tak trzymać! – George cytuje kwestię z serialu o Hoganie. – Dacie radę! Nie myśleć na zapas! Myślcie o tym jak o letnim obozie harcerskim. Od tego zaczniemy. Dobra?”. – Kiwa głową i mówi po niemiecku.

Gdy wstaję gotów do odejścia, George ściska mnie mocno, niemal za mocno. Sięgam do kieszeni.

– Coś ci przyniosłem – mówię i wręczam mu batonik Hersheya z migdałami.

Do oczu napływają mu łzy. Babcia zawsze dawała nam takie batoniki. Otwierała ogromną torbę, sięgała do niej i wyciągała po jednym dla każdego.

– Dziękuję – mówi i znowu mnie ściska.

– Możemy do siebie pisać, odwiedzę cię za dwa miesiące. Nic ci nie będzie.

Pociąga nosem, po czym mnie odpycha.

– Straszny z ciebie dureń – dodaje.

Kiwam głową.

– Trzymaj się, George, będziemy w kontakcie.

Odchodzę. „Straszny z ciebie dureń”. Co miał na myśli i czy w ogóle chce to wiedzieć? Jestem strasznym durniem, bo przyjechałem tu na wezwanie, sprzątam po nim, zająłem się jego żoną – może trochę za gorliwie – podlewam jego kwiaty, karmię jego psa, troszczę się o jego dzieci. Jestem strasznym durniem.

Kocięta są gotowe. Uzgodniłem z Ashley, że jedno zatrzymamy. Przesłałem jej zdjęcia pocztą mejlową, ale ponieważ nie mogła ich otworzyć na szkolnym komputerze, zrobiłem odbitki i wysłałem je FedExem, a potem, po rozmowie, zdecydowaliśmy się na małego, czarno-biało-szarego, bardzo psotnego Romea, na którego matka ma baczne oko.

– Jak znajdziesz domy dla pozostałych? – dopytuje się Ashley.

– W wypróbowany staromodny sposób. Ustawię się gdzieś z dużym pudłem z napisem „darmowe kotki”.

Tak naprawdę, odbierając kocięta matce, czuję się jak Herod. Przez dwa dni ćwiczę oddzielanie jej od potomstwa, zabierając małe i po paru godzinach zwracając je w przekonaniu, że to dla niej nieco mniej stresujące niż ich nagły, trwały brak.

W dniu rozstania przynoszę z piwnicy klatkę dla kotów i wykładam ją sfatygowanymi ręcznikami. Znajduję tam też stary rozkładany stolik, nadal ze śladami lemoniady, którą Ashley sprzedawała na festynie. Przytwierdzam do niego tablicę i kunsztownymi dużymi literami wypisuję „Darmowe kicie”. Przygotowałem dokumentację: pocztówkowe zdjęcia kociąt, informację o ich matce, datę urodzenia i na co zostały zaszczepione. Szykuję też wyprawki dla każdego kotka, z próbkami ich obecnej karmy i żwirku.

Jeśli zastanawiacie się, skąd u mnie ten przyływ

energii, powiem tylko, że przywiązałem się do buteleczki małych okrągłych niebieskich pastylek, które znalazłem w łazience George'a, w fiolce z instrukcją „1–2 dziennie po przebudzeniu”. Biorę dwie i przez pięć godzin jestem niebywale zorganizowany. Żeby zidentyfikować, co takiego zażywam, wielokrotnie googluję w internecie w poszukiwaniu „małej niebieskiej pastylki”, natrafiam jednak tylko na reklamy viagry, która nie jest okrągła, lecz ma kształt rombu.

Kiedy wkładam kotki do transportera, podnoszą larum, kocica krąży, a Tessie łypie na mnie z podłogi takim wzrokiem, jakby mówiła: „Bój się Boga”.

Udaję się do A&P, gdzie poznałem tę kobietę, licząc po trosze, że znów się tam pokaże, a także dlatego, że krępuję się stawać przed sklepem, w którym robię zakupy i w którym zaopatrywali się Jane i George. Ludzie nieraz obrzucali mnie tam dziwnymi spojrzeniami. Nie jestem pewien, czy wiedzą, kim jestem, czy też biorą mnie za George'a, tak czy siak stanowią łatwy cel.

Rozstawiam się przed sklepem ze zwierzętami. Mam ze sobą transporter, zdjęcia, taśmę, próbki i duże kartonowe pudło, w którym można umieścić kotka i się z nim pobawić, dzięki czemu nie ma obawy, że drapnie na ulicę. Otwieram kram. Mój pierwszy klient wychodzi ze sklepu zoologicznego, oznaczony plakietką „Brad – sprzedawca”.

– Co pan robi? – pyta.

– Oddaję kotki – wyjaśniam, choć to oczywiste.

– My kotki sprzedajemy – mówi.

Milczę.

– Będzie pan musiał przenieść swój prowizoryczny stragan.

– Słucham?

– Robi pan nam konkurencję.

– Ale w tym miejscu co weekend rozstawia swoje stoisko Amerykańskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt, które oddaje zwierzaki do adopcji.

– To pan nie handluje? – upewnia się Brad.

– Rozdaję je.

– Detalista, co?

– Pozwolę się nie zgodzić. Każdemu, kto weźmie te kotki, będą potrzebne zapasy. Te pięć kotków dostarczy wam klientów.

– Dostarczy klientów?

– Na przykład na mleko lub inne towary, które sprzedaje się z rabatem, żeby ściągnąć klientów, ci zaś kupią w sklepie także inne rzeczy.

– Pan się przeniesie – nalega Brad. – Pan zabierze ten majdan pod A&P. Pomogę...

Podnosi stolik z jednej strony i klatka zaczyna się zsuwać.

Chwytam ją.

– Weź pan łapy od mojego stolika, bo wezwę policję,

a potem Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami czy inne i wyleci pan na zbity pysk.

– Jestem świadkiem – oferuje się starsza kobieta. – Zeznam, co widziałam.

– To przypadek – tłumaczy się Brad i poniekąd mu wierzę.

– Powiedz to sędziemu – mówi kobieta, pomagając mi przenieść stolik bliżej A&P.

– Chce pani kotka? – pytam.

– W żadnym razie. Nie znoszę zwierząt niemal tak jak ludzi. Mąż mi mówi, że powinnam robić zakupy tylko przez internet, że świat jest bezpieczniejszy, kiedy siedzę w domu. Uważa, że jestem zła. – Wzrusza ramionami. – Ale on jest gorszy.

– Długo jesteście małżeństwem? – pytam, rozkładając ulotki i zapasy.

– Od zarania czasu – mówi i odchodzi.

Zbliża się młoda kobieta, ubrana zbyt ciepło jak na tę porę roku, w gruby płaszcz i szalik. Liczne wypakowane zakupami torby stawia na ziemi.

– Mogę któregoś potrzymać? – pyta.

Sięgam do klatki, wydaję najbliższego. Kobieta przystawia kotka do twarzy, trąc jego ciałkiem o policzki, nos, usta.

– Mniam-mniam-mniam – cmoka. Kociak wygląda na spłoszonego. – Taki delikatny, jak pisklątko.

Wyciągam ręce po kotka.

– Wsadźmy go do pudła – mówię. – W pudle może go pani popieścić.

Posłusznie spełnia moje wskazówki, odkłada kotka do pudła, a potem pyta, czy może wziąć innego. Wsadzam pierwszego do klatki i wyjmuję drugiego.

– Ma pani jakieś zwierzęta? – pytam.

– Nie, żadnych. Nie wolno mi trzymać zwierząt.

– Aggie! – woła do niej jakaś inna kobieta, która dostrzegła ją z daleka. – Wszędzie cię szukamy. Mieliśmy się spotkać przy warzywach i owocach, pamiętasz? Czyje to zakupy?

– Moje.

Agatha odkłada drugiego kotka.

– Skąd wzięłaś pieniądze?

– Rodzice przysłali.

– Z myślą, że nie wydasz ich wszystkich naraz, tylko co tydzień po trochu.

Agatha wzrusza ramionami. Nie wygląda na przejętą.

– Ten pan ma kociaki. Słodziaki.

– To miło – mówi kobieta, wyraźnie od niej młodsza. – A teraz chodź i dokończ resztę.

Śledzę Agathę spojrzeniem, jak dołącza do pozostałych. Trzymając się za ręce, idą przez parking wężykiem przypominającym linię ze zdjęcia Diane Arbus.

– Czy te kotki są bezzwrotne?

– Słucham?

Ktoś stoi przede mną. Widok zasłania mi olbrzymia

torba wielkości worka na liście.

– Jeśli wezmę jednego i nie będę zadowolona, to będę mogła go zwrócić? – pyta.

– Niezadowolona z jakiego powodu?

– Gdyby nasz pies, kot lub mój mąż go nie polubił, to mogłabym go zwrócić?

– Widzę, że u pani ciasno.

Potwierdza skinieniem głowy.

– Ja tak uwielbiam maleństwa.

Baba mi się nie podoba. Nie podoba mi się, że tak się przede mną zasadziła. Marzę, żeby sobie poszła.

– Może przemyśli to pani na zakupach, a wracając, zajrzy do mnie. Postoję tu jakiś czas.

Market A&P i pobliskie centrum handlowe to z gruntu inny świat. Rzuca się w oczy brak mężczyzn pomiędzy dwudziestym piątym a sześćdziesiątym rokiem życia, jest za to w bród starszych par, kobiet z niemowlakami i maluchami oraz bezrobotnych snujów kolekcjonujących ulotki o przecenach.

Podchodzi kobieta z bliźniętami.

– Możemy wziąć kotka? – pyta dziewczynka.

– Możemy? – wtóruje siostrze chłopczyk.

Zafascynowane dzieci zaglądnęły do klatki z kotkami.

– Ile ich jest? – pyta chłopiec.

– Pięć.

– Mają dość – mówi dziewczynka do matki.

– Co powie twój ojciec?



– I tak nigdy nie ma go w domu – stwierdza chłopiec.

– Nie musimy mu nic mówić. Będziemy je trzymać w naszym pokoju – proponuje dziewczynka.

Wkładam dwa kotki do pudła, tak że mogą się ze sobą bawić.

– Zapytajmy taty. – Matka długimi paznokciami wystukuje tekst. Po paru sekundach dostaje odpowiedź, którą mi pokazuje. „Sama zdecyduj”. – Na pewno automatyczna. Na jego smartfonie można zaprogramować odpowiedzi na wszystko. Pan spojrz. – Wpisuje pytanie: „Na kolację wolisz kurczaka czy stek?”. I ponownie dostaje odpowiedź: „Sama zdecyduj”. – Widzi pan? Pewnie ma romans.

– Dlaczego zawsze to mówisz? – pyta córeczka.

– Nie jestem głupia. Studiowałam w Yale. – Matka zwraca się ku mnie. – Weźmiemy dwa. Jeden to za mało.

– Wejdziemy do sklepu dla zwierząt i kupimy im taką klatkę do noszenia, jaką pan ma? – pyta dziewczynka.

– Tak – zgadza się matka.

– A trochę jedzenia i zabawek? – pyta chłopczyk.

– I ubranek, żebym je mogła ubrać? – dorzuca dziewczynka.

– Zaraz wrócimy – obiecuje matka. – Gdyby pan mógł zatrzymać dla nas te dwa...

Jest słowna. Jakies dziesięć minut później wracają, niosąc torby z produktami dla kotów i wymyślne transportery. Do jednego z nich wkładam kotki.

- Bawcie się dobrze – mówię.
- Już to robimy – mówi chłopiec.

Coś się dzieje. Nastrój się zmienia niczym morze, niczym wietrzyk wzbierający na sile przed wiosenną burzą. Zaczynają mnie dobiegać strzępki rozmów, ludzie poruszają się trochę szybciej, niespokojniej. „Znam matkę...”. „Pojechała z dziećmi na obóz”. „Normalni ludzie... jak my”. „Nigdy nie wiadomo, co komu siedzi w głowie”. Zaginęła jakaś dziewczyna.

Przy moim stoliku przystają staruszek z żoną. Ich zgarbione ramiona i krzywe kręgosłupy pasują do siebie jak solniczka z pieprzniczką w komplecie.

– Niemożliwe, coś takiego – mówi mąż do żony.

Uśmiechają się. Twarze mają otwarte i pogodne, dobrodusze pomimo działania czasu.

– Byłoby miło... Nasza kotka zdechła – zwierza mi się kobieta. – Miała dziewiętnaście lat.

Kiwam głową, myśląc po części o tej kotce, a po części o zaginionej dziewczynie.

– Ma pan kotka dojrzałego na swój wiek? – pyta mąż.

– Wesolego, samodzielnego, mądrego – dodaje żona.

Zaglądam do klatki i wyjmuję jednego, którego nazwałbym zamyślonym.

– Śliczny – mówi żona, głaszcząc kotka, gdy go wkładam do pudełka.

– Dam państwu trochę jedzenia i żwirku. Kociaki są bardzo zdrowe, były u weterynarza, dostały pierwsze

zastrzyki.

– Naszą ostatnią kotkę wzięliśmy od dziewczynki, która miała podobny stolik. Sprzedawała skautowskie ciasteczka i rozdawała kotki.

– Przedsiębiorcza. Daliśmy jej dwadzieścia dolarów – wspomina mąż.

– Widzę, że lubią państwo koty – mówię.

– No chyba – zapewnia mąż i przeprasza, bo chce wrócić do sklepu po jakieś pudełko. – Coś, w czym możemy go zawieźć do domu.

Po drugiej stronie parkingu jakaś kobieta rozwiesza na słupach latarni i betonowych pachołkach plakaty z informacją o „Osobie zaginionej”.

– Niepokojące – komentuję.

– Gdzie się podziała, jak pan myśli? – pyta staruszka.

Jej mąż wraca z pustym pudełkiem po bananach i wkładamy do niego kotka. Przekazuję im jedzenie, torebki ze żwirkiem, mój numer telefonu, a potem, pamiętając o danej Ashley obietnicy, dorzucam:

– Mogę państwa prosić o nazwisko, adres i telefon, tak żebyśmy na wszelki wypadek mieli kontakt?

– Świetny pomysł – mówi staruszka i pięknym pismem zapisuje swoje nazwisko i pozostałe informacje.

Ze sklepu zoologicznego wyłania się Brad i idzie do mnie.

– Mam przerwę – oznajmia, jakby ogłaszał rozejm. – Ile panu zostało?

– Dwa.

– Mogę zobaczyć?

Wyjmuję kotki.

– Wiem, mieliśmy małe starcie – mówi. – Ale jeśli może pan o tym zapomnieć... to chciałbym adoptować te dwa.

– Ale wy sprzedajecie koty – mówię. – I na pewno ze zniżką.

– Owszem, koty z hodowli, a te są prawdziwe, wychowane z miłością. Jestem Brad. – Wyciąga rękę, jakbyśmy się nie znali. Jestem zmuszony uściśnąć mu dłoń. – To jak będzie? Dostanę drugą szansę?

– Mam nadzieję.

– Zawsze kochałem zwierzęta.

– Bo czy w innym wypadku pracowałby pan w sklepie zoologicznym?

– Kiedy mieszkaliśmy w Arizonie, pracowałem w sklepie zoologicznym wujka. Sprzedawaliśmy głównie jaszczurki. Ja sam hodowałem agamę – brodatego smoka, ale to nie przeszkadza mieć kota. Agamy żyją w dużych podgrzewanych terrariach. Są bardzo wrażliwe.

– Nie miałem pojęcia, że istnieje coś takiego jak udomowiony smok.

– Jasne, że istnieje – zapewnia Brad. – Więc co pan na to?

– Są pańskie – mówię, oddając mu kotki, kartonowe pudełko i resztę pokarmu i żwirku.

– Niemożliwie je rozpieszczę – przyrzeka.

Z należą starannością zapisuję jego imię, nazwisko, adres, telefon i zapowiadam, że w przyszłym tygodniu wpadnę sprawdzić i że oczekuję od niego zdjęć.

– Jestem naprawdę wdzięczny – mówi Brad. – A jeżeli będę mógł się czymś odwdzińczyć, pan da znać.

– Dziękuję.

Składając stół, boleśnie przycinam sobie palec, ale jestem zadowolony, że pomyślnie zakończyłem sprawę.

Przez parking sunie wolno wóz patrolowy. W oddali na skrzyżowaniu dostrzegam kobietę nadzorującą uczniów przechodzących przez ulicę. W pomarańczowej kamizelce i parkometrowej czapce z daszkiem używa własnego ciała niczym żywej tarczy, rozpostartymi ramionami blokując przejście. Na jezdnię wylewają się zupełnie tego nieświadome dzieci.

Wciąż myślę o zaginionej dziewczynie. Nie wiem dlaczego, ale czuję się winny, jakbym się przyczynił do jej zaginięcia. Uczucie to różni się od wcześniejszego, ale od tego nowego cierpnie mi skóra. Z powodu kobiety, którą poznałem w A&P, z powodu Ashley, z powodu Jane, z powodu tego, że jestem tak rozbudzony jak nigdy dotąd, z powodu tego, że nie mogę przestać myśleć...

Otacza nas świat, tak nowy, tak nieprzewidywalny i niespójny, że zagraża wszystkim. Porozumiewamy się

przez internet, „przyjaźnimy” ze sobą, nie wiedząc, z kim naprawdę rozmawiamy – spółkujemy z nieznanymi. Błędnie bierzemy niemal wszystko za związek, za rodzaj wspólnoty, a jednak, gdy jesteśmy z rodzinami, w swoim środowisku, tracimy poczucie sensu, dochodzi do awarii i natychmiast zanurzamy się z powrotem w cyfrowej wersji świata – tak jest łatwiej, bo możemy być jednocześnie w równej mierze takimi, jakimi jesteśmy naprawdę, i naszymi fantazjami o sobie.

Zatrzymuję się przed Starbucks. Studiuję uważnie plakat na słupie telefonicznym przed kawiarnią. Czy jest na nim kobieta, którą poznałem w A&P? Wątpię, ale nie mam pewności. Staram się przypomnieć sobie, jak wyglądała tamta poznana dziewczyna. Pamiętam jej szarawe włosy, takie jak u tej zaginionej. Pamiętam jej piersi, większe, niż się spodziewałem, białe, z pięknymi niebieskimi żyłkami biegnącymi pod powierzchnią skóry jak pradawna rzeka. Pamiętam, że twarz miała pospolitą, bez wyrazu, a oczy niebieskoszare.

I zastanawiam się: w jaki sposób postrzegamy inne osoby? Na rogu zatrzymuje się wóz telewizyjnych wiadomości, z anteną obrotową na dachu.

W kawiarni za kontuarem płaczą dziewczyny. Widocznie ta zaginiona pracowała tu w lecie na pół etatu. Wszystkie ją znały. To takie smutne. Odchodzę bez kawy.

Na podjazd wjeżdżam naprawdę przygnębiony. Niosę

do domu pustą klatkę, jej metalowe huśtające się drzwiczki przycinają mi palec. Zrobiłem coś straszego. Zabrałem coś, co nie jest moje, zabrałem kotce dzieci i oddałem je ludziom. Wracam z pustymi rękami. Kotka przychodzi, wącha mnie, sprawdza klatkę i wygląda na to, że zrozumiała, co zaszło. Wpełza pod kanapę. Tessie nie raczy wstać, dopóki nie nakładam jej kolacji.

Wiadomości o szóstej zaczynają się od „lokalnych” – historii o zaginionej dziewczynie. Dwudziestoletnia Heather Ryan przyjechała na weekend do domu rodziców. „Wyszła wczoraj wieczorem pobiegać i nie wróciła. Według policji rodzina bardzo się martwi, bo zaginiona miała problemy osobiste i w następstwie kontuzji głowy podczas meczu koszykówki brała nowy lek. Wiele się mówi o kontuzjach wśród futbolistów i piłkarzy, ale wraz z zaostrzającą się rywalizacją w sportach kobiecych napotykamy w nich niektóre analogiczne urazy. Zeszłej jesieni, w trakcie meczu ligowego w Leduc College, uderzyła...”.

Reporterka papła, a w tle leci film, na którym piłka uderza dziewczynę w głowę, ta odskakuje w lewo, a rywalka kosi Heather i powala ją na parkiet. „Niepokoją nas powtarzające się wypadki wstrząśnięć mózgu – mówi poproszony o komentarz lekarz – obijanie się mózgu o ściany czaszki”. Reporterka zamyka reportaż zdaniem: „Jeśli ktoś widział Heather bądź ma jakąkolwiek informację, prosimy zadzwonić na naszą



specjalną gorącą linię”.

No pięknie. A więc zaginiona dziewczyna ma problemy. Ale jakie? Takie, że nie wie, kim jest? Takie, że cierpi na rodzaj odwracalnej amnezji? Kim jest lub była kobieta z A&P? W jej zachowaniu – w tym, jak mnie poznała, w tym, że nie chciała się przedstawić – było coś dziwnego. Powinienem kogoś zawiadomić, zadzwonić na specjalny numer i podzielić się moim wątpliwym wyznaniem? Zastanawiam się nad tym, ale dochodzę do wniosku, że to mój wymysł – poznana w A&P dziewczyna w ogóle nie jest podobna do zaginionej. Próbuję ją naszkicować, odtworzyć to, co z niej zapamiętałem. Rysuję owal jej twarzy, rysuję szyję, która, jak pamiętam, była długa, jej pierś... właściwie dobrze pamiętam jedynie jej piersi. Rysuję je wciąż od nowa, po czym wracam do prób odtworzenia szyi, głowy, twarzy. Zastanawiam się, czy na słoiku z musztardą Dijon nie zostały ślady jej DNA. Jakiś ślad jej DNA z pewnością pozostał na moim członku, ale od tego czasu wielokrotnie brałem prysznic. Przerzucam w myślach wszystko, co mówiła i robiła. Myślę o telewizorze, który ukradła, o zakupach w jej wózku, o komentarzach na temat placka z lukrem i zwykłego. Zastanawiam się, czy wyglądała na zagubioną. Zastanawiam się, czy nie mogliby tu przyjść i zdjąć odciski jej palców. Zabieram Tessie na spacer, okrążam dom, podwórko, zastanawiając się, czy może ktoś tam jest, ktoś się kryje.

Utykam na myśli, jak jakaś dziewczyna może gdzieś w jednej chwili być, a w następnej zaginąć. Czy można kogoś ukraść? Wystarczy siła fizyczna? A może psychologiczna gra? Czy te zaginione kobiety, dziewczyny, chłopcy są słabsi od dorosłych mężczyzn, którzy po prostu chwytają swoje ofiary i wywożą je z jednego końca ziemi na drugi? Dzieje się to w jakimś mrocznym wirze, wyrwie w rzeczywistości? Otwierają się pod nimi jakieś drzwi wiodące w ciemność i ktoś zostaje przez nią wciągnięty?

Do ósmej wpędziłem się w szaleństwo, przejmując się nie tylko losem zaginionej i wszystkich dziewcząt na świecie, ale także losem kotków. Czy nic im nie jest? A może w nowych domach piszczą, drapią i koniecznie chcą wrócić w bezpieczne miejsce przy mamie?

Jak nam udaje się to wytrzymać?

Kwadrans po ósmej, nie posiadając się dłużej z niepokoju, dzwonię kontrolnie do Ashley w szkole.

Coś się stało – nie ma jej. Kontaktuję się z jej koleżanką z pokoju. Przekazuje mnie kierownicze internatu, a ta informuje, że szkoła przeniosła Ashley gdzie indziej.

– Myślałam, że pan wie.

– Nie miałem pojęcia.

– Mieszka z jedną z nauczycielek. Podam panu numer.

Dzwonię, odpowiada poczta głosowa, zostawiam wiadomość. Kilka minut później Ashley, mocno

zdenerwowana, oddzwania.

– Co się stało? – pyta.

– Nic – mówię. – Chciałem spytać, co u ciebie.

– Zwykle nie dzwonisz z nienacka.

– Niespodzianka – mówię.

Wyczuwam w jej głosie, że coś jest nie tak.

– Nie oderwałem cię od czegoś ważnego?

– Nie. Odrabiałam pracę domową.

Nie umie kłamać, ale nie komentuję.

– Co dziś było na obiad?

– Chyba ryba.

– Jaka?

– Biała, w jakimś żółtopomarańczowym sosie.

– Zjadłaś?

– Nie.

– A co?

– Do wyboru było danie wegetariańskie – nadziewane muszle makaronowe i sałatka.

– Poza tym wszystko w porządku? – pytam.

– No, chyba.

– To dobrze, dobrej nocy. Porozmawiamy jutro o zwykłej porze.

– Dzięki – mówi.

Rozłączam się zakłopotany, jakbym wdepnął nie wiadomo w co.

W wiadomościach o jedenastej transmisja na żywo z nocnego czuwania w parku, gdzie po raz ostatni widziano dziewczynę. To właśnie tam chodzę z Tessie, właśnie w tym parku się rozkleiłem. Biegają po nim tabuny kobiet, które przyszły na wiec Odzyskać Noc [21], i rzucają swoje buty do biegania na druty telefoniczne. Policja bada wiele poszlak, ale na razie brak nowych informacji.

Otwieram puszkę z łososiem dla kotki. Nie jest zainteresowana. Na znak pokoju zostawiam jej puszkę na blacie i idę na górę do łóżka. Nie towarzyszy mi żadne zwierzę.

Życie toczy się dalej – kłamstwo. Myślę, żeby zgłosić się na ochotnika, dołączyć do którejś z grup przeczesujących pobliskie lasy, ale boję się, że ktoś mnie rozpozna, że ktoś zrobi z tego aferę.

Następnego dnia próbuję zająć się książką. Pracuję parę godzin. Przystawiam akapity tam i z powrotem.

Wsiadam do samochodu, jeżdżę w kółko i zadaję sobie pytanie: Co właściwie robię? Wmawiam sobie, że jej szukam?

Zastanawiam się, gdzie mogą się zbierać ludzie, gdzie mogą się martwić razem. Do Starbucks nie pojedę, jest za blisko, jak miejsce katastrofy. Wymyślam pretekst – żarówkę – jadę do sklepu przemysłowego.

Zgromadzeni tam mężczyźni robią to, co robią mężczyźni, udają, że się nie martwią, udają, że nie są

ludscy, lecz mimo to chcą być razem.

– Wczoraj wieczorem byłem z nimi, przeszukiwaliśmy lasy. Pożyczyłem im swoją ciężarówkę.

– Szkoda dziewczyny.

– Znajdą ją. Dziewczyny tak robią, uciekają...

– Już nie. Tak było kiedyś. Teraz trzymają się domów, bo jest niebezpiecznie.

– Skąd pan wiesz?

– Wychowałem trzy własne.

Życie biegnie dalej, nie wiem jednak, jak ktoś może żyć jakby nigdy nic, gdy ktoś ginie. Życie ulega zawieszeniu. Gorzej, zamienia się w piekło. Trudno nie oszaleć ze zmartwienia, z obawy, z braku wiadomości. Mózg się zapętla, pracuje na okrągło, bez wytchnienia, bo wytchnienie oznaczałoby zapomnienie. Nadawanie sygnałów, że się szuka, podtrzymuje nadzieję na ratunek.

Kątem oka dostrzegam przy kasie DeLilla. Nie wiem, czy przysłuchuje się rozmowie mężczyzn. Kupuje taśmę izolacyjną, maskę przeciwpyłową i latarkę.

– Kompletuje pan zestaw na wypadek najgorszego? – pyta kasjer.

– Na wiosenne porządki.

DeLillo zerka na mnie bez wyrazu, odpowiadając wyczekująco na moje spojrzenie. Nawiazujemy kontakt wzrokowy, po czym szybko odwracam głowę.

Kupuję żarówki. Nie wiem dlaczego, ale chce mi się krzyczeć na obecnych: „Mylicie się, wszyscy się mylicie,

świat się zmienił, zło niczym wężowe ramię Hadesu wysunęło paskudny łeb z podziemia, z głębi, i porwało z półki coś świeżego”.

Rozmawiają w sposób tak podmiejski, tak kretyńsko zaściankowy, że aż nieznośny. Niemal biegiem wypadam ze sklepu, z trudem łapiąc oddech.

Zaskoczył mnie atak paniki, moja zażyłość z pewnym rodzajem mroku, moje nieuświadomione myśli.

Mówię sobie: „Nie zrobiłeś tego”, jednak jako nieco bardziej niż większość zżyty z odruchami, które dopuszczają takie czyny, czuję, wiem i jest mi nieswojo. Myślę o sobie jak o kimś z marginesu – podejrzanym. Moje wynaturzenie, nikczemne zniżenie się do cudzołóstwa i zabójczego rodzinnego związku wezbrały i mnie zgubiły.

Zastaję ją tam, na progu domu, jakby nic nie zaszło.

- Złakłem się, że przepadłaś – witam ją.
- Przepadłam?
- Zaginęłaś.
- O czym ty mówisz?
- O tej dziewczynie.
- Jakiej dziewczynie?
- Ślepa jesteś? Nie widziałaś plakatów na mieście, nie oglądasz telewizji?
- Nic nie mówi. Wie, ale nie chce o tym rozmawiać.

– Widziałam cię – oświadcza. – Przed marketem, rozdawałeś kotki.

– Byłaś tam?

– Robię tam zakupy.

– I się nie odezwałaś?

– Lubię cię obserwować.

– Co robiłem?

– Rozdawałeś kotki.

– Śledzisz mnie?

Zmienia temat.

– Znalazłeś dla wszystkich dobre domy?

– Jednego zatrzymałem.

– Dla córki?

– Nie mam dzieci.

– Pewnie – mówi tak, jakbym kłamał. – Po prostu je pożyczyłeś...

– Chcesz znać prawdę?

Milczy.

– Mój brat, do którego należy ten dom, oszalał.

– W każdej rodzinie jest ktoś taki, nic wielkiego.

– W tym domu doszło do morderstwa – mówię, zastanawiając się, czy dlatego ją prowokuję, że mnie drażni.

– Naprawdę?

Potwierdzam skinieniem głowy tak wątlym, jakbym zdawał sobie sprawę z potworności swojego wyznania.

– Zanim go kupiłeś? – pyta.

– Już powiedziałem, ten dom nie jest mój.  
– No dobrze. Zrobię miejsce. – Krzyżuje nogi i przesuwają się, gotowa na informacje. – W porządku, słucham.

Wszystko to dzieje się bardzo szybko, jakby cała historia – moja własna wina, świadomość, że dotąd z nikim o tym nie mówiłem – wessała sama siebie w głąb eteru, znikając błyskawicznie niczym tragiczny dżin w butelce.

– Mój brat zabił swoją żonę.

Długa pauza.

– Z rozmysłem?

– Trudno powiedzieć.

– Okropne.

– Straszne – przyznaję i dociera do mnie, że z wyjątkiem rozmów, które odbyłem, kiedy to się stało, unikałem tego tematu.

– Faktycznie dołujące. Zmyślasz, tak? To jedna z tych dziwnych miejskich legend?

– Po co miałbym zmyślać? Żeby być bardziej atrakcyjnym? To moja wielka tajemnica, a jaka jest twoja?

Zerkam na nią ostrożnie. Jakiego koloru ma oczy? Dlaczego nic z jej wyglądu nie zostaje w pamięci? Myślę o cyknieciu jej zdjęcia telefonem – jej i kotkowi, by mieć jakiś konkret, coś do analizy, coś, co w razie czego można by przedłożyć jako dowód. Ubrana jest zwyczajnie, dzięki czemu wygląda młodo. Włosy ni to blond, ni kasztan, nie



grube, nie cienkie, okalają twarz, która wygląda jak wiele innych twarzy, jak każda i jak żadna. Wyróżniają ją tylko ręce, cienkie i zwinne, niemal małpie. Skórę na palcach ma nieco luźną, na wierzchu dłoni trochę brązowawych plamek wskazujących wiek. Wracam do jej twarzy. Jest i nie jest podobna do twarzy zaginionej dziewczyny, której zdjęcie wydrukowałem i umieściłem pośrodku biurka George'a.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – pytam.

– Możesz przestać? Straszysz mnie. – Bierze oddech. – Po co pytałeś ludzi, czy mają inne zwierzaki, czy kot będzie żył w domu, czy na powietrzu i czy właściciel może ci przesłać mejlem zdjęcia kotka?

– Jak blisko podeszłaś?

– Nie jesteś w humorze. Może powinnam sobie pójść – mówi, ale nie zbiera się do odejścia. – Widziałam twoją kłótnię z tym gościem ze sklepu zoologicznego. Musiałeś przestawić stolik.

– A widziałaś, że się pogodziliśmy i dałem mu dwa ostatnie kotki?

Kręci głową, że nie.

– Chyba odeszłam wcześniej.

– Muszę coś o tobie wiedzieć.

– Gram na flecie.

– Więcej.

– Studiowałam literaturę francuską i dodatkowo bibliotekarstwo.

Kiwam głową.

– Chciałam dorosnąć i zostać szpiegiem.

– Dla kogo byś szpiegowwała, dla nas czy dla nich?

– Dla nich – odpowiada bez zastanowienia. – Nigdy nie czułam się jedną z nas.

– Co cię tu dziś sprowadza?

– Kiedy widziałam cię poprzednio, wzięłaś naprawdę chłodny prysznic, więc pomyślałam, że wpadnę. Przyniosłam ci mały prezent.

– Jaki?

– Zjadłam go – mówi. – W stoisku charytatywnym kupiłam dwa siedmiowarstwowe batony, a potem wpadłam na kawę do McDonalda, ale jadąc tu, uporałam się z obydwoma.

– Więc może nie powinnaś mówić, że przyniosłaś mi prezent.

– Byłam szczerą. Jestem więc zasłodzona i gotowa, a nawet trochę napalona.

– Dobra, weź prysznic. Przyniosę czysty ręcznik.

Siadam na łóżku i patrzę, jak się rozbiera – to z pewnością część przedstawienia, chce, żebym na to patrzył.

– Nie musimy tego robić – zaznaczam. – Nie wymagam seksu za prysznic.

– A jeśli ja chcę seksu? – pyta.

– Nie jestem pewien, czy ja chcę. Mam sporo rzeczy na głowie. Nie wiem nawet, czy mnie stać.

Robi minę.

– Pierwszy raz słyszę, żeby facet o tym uprzedzał. Zwykle robi to po fakcie, po licznych unikach i wykrętach, a na końcu okazuje się, że ma żonę.

– Jestem rozwiedziony.

Wstaję z łóżka i zostawiam ją samą z prysznicem.

Korzystam z okazji, żeby przetrząsnąć jej torebkę – szukam wskazówek. Znajduję wielki stary portfel, prawie pusty, a na samym dnie torby prawo jazdy. Na widok nazwiska wpadam w popłoch. Natychmiast odkładam dokument i zamykam torebkę. Heather Ann Ryan. Czy tak się nazywa zaginiona dziewczyna? Nie wiem, co myśleć.

– Miałaś jakieś kontuzje sportowe? – pytam, gdy wychodzi spod prysznica.

– Nie uprawiam sportu.

Podchodzi do mnie, wciąż wilgotna po kąpielu.

Czy to ona? Ona jest tą zaginioną? Może ma zanik pamięci, przejściową amnezję? Wszystkie odpowiedzi są takie niejasne, takie niekonkretne.

– Kim jesteś? – pytam.

– A kim chcesz, żebym była?

Upuszcza ręcznik, a po chwili jest na mnie.

Mnóstwo hałasu, ciężkiego ziajania, suka zaczyna szczekać, kocica wskakuje na stolik nocny, patrzy na nas,

wygina się w łuk, bije mnie łapami po plecach, drapie pazurami, krzyczę.

– Lepiej pójdę – mówi ona po wszystkim.

– Na pewno nie weźmiesz drugiego prysznicu?

– Nie, wystarczy. Ale był przyjemny, lubię taki deszczyk.

– Podasz mi swój numer? – pytam, kiedy się ubiera.

Kręci głową, że nie.

– To skąd będę wiedział, że nic ci nie jest? Nie było przyjemnie martwić się, że coś ci się stało.

– Nie należę do tych, które coś spotyka.

– Na to się nie zgadzam. Nie pozwolę, żeby do mojego domu przychodziła osoba bezimienna i mnie zaliczała.

– To nie jest twój dom.

Zapina suwak.

– Czy zaczniemy wreszcie normalnie rozmawiać?

Wkłada buty i wstaje.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Przerażasz mnie – mówię.

– Mężczyzn nie da się przerazić. Możemy tego nie robić? Wiem, że jesteś zestresowany... ale naprawdę muszę iść.

– Iść dokąd?

– Tam, skąd przyszłam.

– Robię jakieś postępy?

– Porozmawiamy, ale nie teraz.

– Weź coś – proponuję jej.

Patrzy na mnie.

– Co?

– Weź telewizor.

– To nie jest śmieszne.

Dzwoni jej komórka. Patrzy na nią.

– Chłopak? – pytam.

– Nie.

Po jej wyjściu zamykam drzwi na klucz. Obchodzę dom i spuszczam rolety w oknach. Czuję się zbyt wyeksponowany.

Nazajutrz o dziesiątej dzwoni telefon.

– Pan Silver?

– Z kim mam przyjemność?

– Mówi Sara Singer z Akademii Annandale.

– Tak?

– Nie przeszkadzam?

– Nie, ale gwoli wyjaśnienia, jestem Silverem wujem, a nie Silverem ojcem.

– Wiem o tym. – Zapada cisza, po czym słyszę: – Panie Silver, niełatwo mi o tym mówić...

Nie martwiłem się, lecz nagle zaczynam się martwić – i to mocno.

– Z Ashley wszystko dobrze?

Sara Singer nie odpowiada na pytanie.

– Wie pani, gdzie ona jest?

W głowie mam jedynie myśl o zaginionej dziewczynie.

– Panie Silver, jeżeli pan pozwoli mi...

– Żyje?! – krzyczę do słuchawki.

– Oczywiście, że żyje. Nie chciałam pana przestraszyć.

Jest na lekcji angielskiego do wpół do dwunastej, a potem od wpół do dwunastej do wpół do pierwszej ma chemię.

Pani Singer znowu milknie.

– Zapewne nie wie pani, co się tutaj stało – mówię. – Zaginęła miejscowa dziewczyna... to bardzo stresujące.

– Przepraszam. To z pewnością jest trudne dla kogoś takiego jak pan.

– To znaczy dla kogo?

– Bezdzielnego mężczyzny, na którego spadła rola ojca.

– Sądzę, że dostosowałem się do niej całkiem dobrze.

– Jak wspomniałam, doszło do sytuacji, w której żadna szkoła nie lubi się znaleźć. Panie Silver, czy pan wie, że podczas ferii wiosennych Ashley tu dzwoniła?

– Tak. Miała kłopoty z zasypianiem i w zaśnięciu pomagały jej rozmowy przez telefon.

– A czy wie pan, z kim rozmawiała?

– Powiedziała, że z przyjaciółką.

– Obawiam się, że chodzi o coś więcej.

– O co więcej?

– O więcej niż przyjaciółkę. Jak by to wyrazić... Pan wybaczy, szukam właściwego słowa. – Pani Singer milknie na moment. – Panie Silver, Ashley ma kogoś.

Zważywszy na wszystko, czuję ulgę.

– Jest bardzo młoda, ale pod wieloma względami może to być zdrowy objaw – podsuwam.

– To kobieta.

– W szkole dla dziewcząt to żadne zaskoczenie. Wiele dziewczynek przechodzi fazę lesbijską.

– Ona to robi z wychowawczynią młodszych klas.

– Ach, tak.

– Zdaję sobie sprawę, że Ashley miała bardzo ciężki rok, ale to nie jest w porządku.

– Oczywiście.

– Cieszę się, że pan się ze mną zgadza – mówi z ulgą pani Singer, ale coś w tonie jej głosu wskazuje, że obwinia Ashley, ofiarę.

– A co na swoje usprawiedliwienie ma ta wychowawczyni?

– O tym nie mogę z panem mówić.

Pani Singer milknie.

– Powie mi pani, co się właściwie stało?

– Kiedy Ashley wróciła do szkoły po śmierci matki, zaproponowaliśmy, żeby zamieszkała u wychowawczyni młodszych klas.

– Pozwoliliście jej zamieszkać z tą kobietą?

– W naszej intencji był to środek tymczasowy. Uznaliśmy, że Ashley... w razie gdyby dręczyły ją złe sny albo potrzebowała porozmawiać... może pomóc dwudziestoczterogodzinny kontakt z drugą osobą.

– Więc Ashley kocha się z wychowawczynią młodszych klas, a czy wychowawczyni młodszych klas kocha się z nią? Kto tu jest dzieckiem, a kto dorosłym, pani Singer? Kto tu ma wielki problem? To pytanie retoryczne.

– Wychowawczyni młodszych klas ma z nami długoterminową umowę.

– Seksualne wykorzystanie dziecka może być uznane za podstawę do jej wypowiedzenia lub zerwania.

– Tylko Ashley może potwierdzić, czy do niego doszło. Zapewniam pana, że traktujemy tę sprawę bardzo poważnie i załatwiamy ją w murach szkoły.

– Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność, pani Singer. Jesteśmy jak superbohaterowie, którzy nie mogą zawieść naszych dzieci.

– Oczywiście, panie Silver, właśnie dlatego do pana dzwonię.

– Jak to odkryto? – pytam bez żadnej aluzji.

– Uwagę na to zwróciła nam osoba, która pragnie pozostać anonimowa.

– Mogę porozmawiać z Ashley?

– Wspomniałam już panu na początku, że w tej chwili to niemożliwe. Ashley ma teraz angielski, a potem chemię i lunch.

– Przekaze jej pani, żeby do mnie zadzwoniła?

– Naturalnie, ale mam nadzieję, że zachowa pan dyskrecję.

– Tego obiecać nie mogę, powiem jedynie, że ta



sprawa mnie martwi. Jako opiekun dziewczynki, która tyle przeszła w domu, oczekiwałem, że w szkole będzie bezpieczna.

– Czasy się zmieniły, panie Silver. Świat nie jest taki jak dawniej.

– Mam pytanie: czy inne uczennice o tym wiedzą?

– W moim przekonaniu nie.

Pani Singer bierze głęboki oddech. Chyba zaciąga się papierosem.

– Wbrew radzie prawnika, jak mawiał mój były mąż adwokat, podam panu numer swojego prywatnego telefonu i komórki, na wypadek gdyby chciał się pan ze mną skontaktować.

Zapisując numery, jednocześnie esemesuję do Cheryl.

„Pilne” – piszę.

„Motel?” – odpisuje szybko.

„Raczej zupa i kanapki” – wystukuję.

„Załatwiam sprawy” – odpisuje wolno.

„Potrzebuję pomocy”.

„Jakiej?”.

„W sprawie dziecka”.

„Dobrze. Spotkajmy się w barze w centrum handlowym o pierwszej. Będę przy mrożonych jogurtach”.

„Dzięki”.

Znajduje dla mnie czas.

Musisz zachować spokój – mówi Cheryl, karmiąc mnie chrupkim makaronem i zimnym kurczakiem ze swojej chińskiej sałatki.

Dziś ma włosy blond na pazia.

– To peruka?

– Nie. Obcięłam. Tylko nie wystrasz Ashley, bo zamknie się w sobie i nic ci nie powie. To nie jest oczywiste wykorzystanie seksualne, prędzej coś w typie Lolity.

– Mam to zgłosić policji? Czy to nie pogorszy sprawy?

Cheryl kręci głową.

– Weź na wstrzymanie, chyba że Ashley zechce zawiadomić władze. Jeśli nie zechce, a tylko od niej zależy, czy coś powie, to na dłuższą metę wyjdzie jej to bokiem. Porozmawiaj z nią, daj jej znać, że wiesz. Niech poczuje się na tyle bezpiecznie, by się zwierzyć... jeśli zechce. Spytaj ją, co myśli o zgłoszeniu sprawy... Niektórzy uważają, że jeśli czegoś się nie zgłosi, nikt nie weźmie tego na serio. Inni zaś prędzej umrą, niż będą mówić.

– A jeżeli to wszystko to wielki fałszywy alarm? – podsuwam. – Może Ashley zadurzyła się w tej wychowawczyni i w grę wchodzi jedynie platoniczne, matczyne uczucie. Wątpię, czy doszło do jakiegoś seksu. Wątpię nawet, czy Ashley ma pojęcie o „tych rzeczach”.

– Na jakim świecie ty żyjesz? – pyta Cheryl. – Dzisiejsze dzieciaki są bystre. Nie powiedzą ci, co kombinują. Idę o zakład, że ta nauczycielka, ucząc ją co i jak, ubrała to w pozory pedagogicznej troski. Spytaj Ashley, czy korzystały z owoców.

– Owoców?

Cheryl patrzy na mnie jak na idiotę.

– Mąż zademonstrował naszemu synowi, jak nakładać kondom na banana, a kiedy córka przyjaciółki spytała matkę, jak to jest mieć w sobie penisa, ta odesłała ją do szafki z warzywami. „Męskie genitalia są jak warzywa, mają różne rozmiary i kształty, są jak marchewki, jak cukinie i jak szklarniowe ogórki”, powiedziała. I życzliwie poradziła córkom, że w sytuacji podbramkowej jako środka zapobiegającego ciąży mogą użyć darmowego hotelowego czepka pod prysznic. „Cokolwiek robicie, nie dopuście, żeby «to» znalazło się w was lub na was. Myślcie o «tym» jak o kleju błyskawicznym, który trudno usunąć z ubrania czy z włosów, jak o czymś, co wam uchybia. Jeśli mężczyzna was szanuje, zostawia swoją «wydzielinę» poza wami, a ten, co was nie szanuje, niech zabiera swój interes gdzie indziej”.

– Czy rodzice naprawdę rozmawiają z dziećmi tak otwarcie?

– Dzieci są ciekawe, dowiadują się co i jak, lepiej więc, żeby dowiedziały się o tym od ciebie. A ponieważ twoja

bratanica jest już prawie nastolatką i nie ma matki, powinieneś znaleźć jej jakąś lekarzkę specjalizującą się w dojrzwaniu płciowym.

– Nie wiedziałem, że jest taka specjalność.

– To lepsze wyjście. Nie musi rozmawiać o swoim okresie z doktorem Faustusem.

– Skąd wiesz, że chodzi do doktora Faustusa?

Cheryl przewraca oczami.

– Bo wszystkie tam chodzą – mówi i prosi, żebym przyniósł jej beztłuszczowy mrożony jogurt z tęczową posypką. – Z pewnością zastanawiasz się, czemu sama go nie wzięłam?

Nie zamierzam jej o to pytać.

– Ta lala przy kasie to pierwsza dziewczyna mojego syna Brada. Przeze mnie ją rzucił. Podejrzewam, że kiedy zamawiam u niej jogurt, doprawia go visine.

– Dlaczego visine?

– Bo dostajesz od tego sraczki. Podobno stewardesy wkraplają palantom po kilka kropel visine do drinków w samolocie.

– Wierutna miejska legenda.

– Gadaj zdrów.

Ponagła mnie, żebym wstał i przyniósł jej jogurt.

– Sraczki dostajesz pewnie, bo masz uczulenie na laktozę.

– Nie pomyślałam o tym – mówi po chwili. – Możesz mi go wreszcie przynieść?

– Oczywiście.

Wracam z obficie posypanym jogurtem i łyżeczką.

– Sobie nie wzięłaś? – pyta Cheryl.

– Miałem zamiar, ale ta dziewczucha za kontuarem to skończona jędra.

– A nie mówiłam? Właśnie dlatego kazałam Bradowi z nią zerwać. Chcesz trochę?

Częstuje mnie łyżką jogurtu. Otwieram usta i pozwalam się nakarmić.

– Nie martwisz się, że nas widzą?

Kręci głową.

– Dlaczego?

– Powiem, że miałeś wylew i karmię cię ochotniczo.

Wsuwa mi do ust kolejną łyżkę jogurtu.

– No... a co do tej zaginionej dziewczyny – mówi.

Ścieram z twarzy jogurt, bo chybiła celu.

– Myślę, że znają sprawcę.

– Rozwiniesz temat?

– Oni, czyli policja, wiedzą więcej, niż mówią publice, czyli nam.

– Opierasz to na faktach czy na własnym niezależnym wniosku?

– Mówię tylko... Wszyscy wiemy, jak to działa. Oglądam dużo telewizji, reportaży i innych, dlatego twierdzę, że czekają, aż on do nich przyjdzie, aż się podłamię i sam się zgłosi.

– Myślisz, że już go namierzili i obserwują?

– No pewnie. Nic nie dzieje się przypadkiem.  
– Oprócz tego, co jest całkiem przypadkowe, tak jak to...

– To znaczy co?

– To... cokolwiek nas łączy.

Muszę przyznać, że zbliżyłem się do Cheryl, mamy ze sobą coś wspólnego i zaczynam o niej myśleć jak o przyjaciółce, powierniczce.

– Skarbie, nie ma w tym żdźbła przypadku, sprawa jest prosta jak drut.

Natarczywość w jej głosie każe mi zapytać:

– Piłś?

– Dziś rano krwawą mary, z okazji małego święta.

– W dzień powszedni?

– Tak. Wszyscy wyszli wcześniej, zobaczyłam w lodówce sok pomidorowy, selera i pomyślałam: czemu nie?

– Przerażasz mnie.

– Wcale nie.

– Przerażasz.

Zastanawiam się, czy powiedzieć jej o kobiecie z A&P. Nie lubię u siebie przebiegłości, ale czy jestem do czegoś zobowiązany wobec tej mężatki? Nie wypada mi prosić jej o pomoc, a potem oświadczyć: „Aha, przy okazji, spotykam się z kimś...”. A jednak mi się wymyka:

– Z kimś się spotykam.

– Jak ma na imię?

- Nie wiem.
- Spotykasz się z kimś i nie znasz imienia?
- Tak.
- Od kiedy?
- Od paru tygodni.
- Jak ją poznałeś? Przez internet?
- Poznaliśmy się w A&P.
- Często się z nią widzisz?
- Widziałem się z nią dwa razy.  
Dostrzegam, że jej ulżyło.
- I co robiliście? – pyta, jakby próbowała zgłębić sytuację.
- Czy to fair tak wypytywać o szczegóły? To prywatna sprawa.
- A od kiedy to życie jest fair, mój panie? Jeśli zamierzasz rozgarniać pogrzebaczem żar w czyimś piecu, to żeby świadomie zdecydować, masz chyba prawo znać trochę szczegółów.
- I vice versa? – pytam.
- O czym mówisz?
- No, jeżeli ty powinnaś wiedzieć, co robię ja, to czy twój mąż nie powinien wiedzieć, co robisz ty?
- Spuszcza na chwilę wzrok, jakby zastanawiała się, co dalej, jeśli już.
- Powiedziałam mu to.
- Naprawdę? – pytam, autentycznie zaskoczony.
- Naprawdę.

– Kiedy?  
– Po wieczorze we Friendly.  
– Dlaczego?  
– Spanikowałam.  
– Z powodu?  
– Złękłam się, że mogli tam być jacyś znajomi i mnie widzieć.

– A gdyby powiedzieli o tym twojemu mężowi, to czy sami by się nie zdemaskowali?

Wzrusza ramionami.

– Mogliby przyjąć, że on o tym wie, ważniejsze jednak, że czułam taką potrzebę. Taką mam naturę, że nie kłamię.

– Co powiedział?

Znowu spuszcza wzrok.

– Że się cieszy, cieszy się, że może z kimś dzielić to brzemię. Spytał też, czy szukam rozwodu, czy tylko rozrywki.

– I?

– Powiedziałałam, że rozrywki, na co on: „No to nie będę się martwił, chyba że mi powiesz, że mam o co”.

– Miło z jego strony, że polega na twoim sądzie co do tego, kiedy powinien się martwić.

– Bo jestem godna zaufania. – Cheryl milknie. – Spytał, czy mi płacisz. Zawsze chce komuś płacić. Kiedy zapytałam, czy zdarzył mu się jakiś skok w bok, zaprzeczył.



– Dlaczego?

– Zląkł się.

– Czego?

Wzrusza ramionami.

– Powiedziałałam mu, że gdyby chciał, mógłby to zrobić. Marzą mu się dziwki. „Zrób to”, mówię, na co on: „Nie mogę”. „Mam to zrobić z tobą?”, pytam. „Wzięłabyś w tym udział?”. „Nie, poszłabym z tobą”, mówię. On: „To miło z twojej strony”. Na co ja: „A od kiedy to nie jestem miła?”.

– No i? – zagaduję zaskoczony, ciekaw dalszego ciągu.

– Więc z nim poszłam.

– Kiedy?

– W zeszły wtorek, po pracy.

– Do kogo poszliście?

– Dostał numer od znajomka.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– Nie chciałam zawracać ci głowy.

– Jak było?

– Nie mam pojęcia. Usiadłam w salonie tej dziewczyny i czytałam magazyn – własny, wzięty z domu. Nie zdjęłam płaszcza, po powrocie go wyprałam. Uważałam, żeby niczego nie dotykać.

– Twój mąż dobrze się bawił?

– Był zadowolony, że ma to za sobą. Ale było dziwnie.

– W jakim sensie?

– Babka miała ogromne cycki. Widziałam ją, zanim

tam wszedł. Wyglądały na duże, ale nie aż tak wielkie. Podobno były twarde jak piłki do koszykówki. Nie pocałowała go.

– Jeszcze coś?

– Cipę miała wydepilowaną na całej długości. Pierwszy raz widział coś takiego, użył słowa „superowo”. W trakcie tego wszystkiego wróciła jej koleżanka. Powiedziała, że musi wziąć coś z sypialni. Zachowywała się dość niewinnie, ale podejrzewając, że to wszystko jest częścią planu – kumpela dziwy wraca do domu i biorą gościa na zakładnika dla pieniędzy – wyciągnęłam kuchenny majcher, który zabrałam z domu. Wątpliwe, czy spodziewała się mnie tam zastać. „Mój mąż zabawia się w drugim pokoju z twoją koleżanką – mówię jej – więc jeżeli krzykniesz albo zepsujesz mu przyjemność, to cię zabiję”. Usiadłyśmy w milczeniu na kanapie. Zapewniłam ją, że to nie potrwa długo – u niego to zawsze trwa krótko. Kiedy wyszedł, osłaniając swojego... swojego... jak go zwał, tak zwał, i mnie tam zobaczył, był pod dużym wrażeniem. Dobrze to zrobiło naszemu małżeństwu.

– Naprawdę? – pytam z pewnym sceptycyzmem.

– Otworzyło nas, przeniosło na całkiem nowy poziom. Słucham oszołomiony.

– Chce cię poznać – mówi Cheryl.

– Chodzi o seks?

– Nie, chce ci uścisnąć rękę, może zaprosić na kolację.

– Cheryl się uśmiecha. – Nie ty jeden masz nowiny.

– Więc nie masz do mnie pretensji o tę kobietę z A&P?  
– Pewnie, że mam. Stukasz jakąś bezimienną lalę poznaną w sklepie z nabiałem. Co właściwie ci się w niej podoba?

– Trudno powiedzieć... jest tajemnicza.  
– Widać, że nie za dobrze ją znasz.  
– Nie jesteś miła.  
– Nie znasz nawet jej imienia – wypomina mi.  
– Wiesz, co mi się w niej podoba? To, że niczego ode mnie nie chce.

Cheryl wyskrobuje ostatnie krople jogurtu z kubka. Styropian piszczy.

Sprawdza komórkę.  
– Muszę iść – oznajmia i szybko wstaje.  
– Rzucasz mnie? – pytam speszony.  
Patrzy na mnie jak na wariata.  
– Z której części zdania „Mój mąż chce cię poznać na kolacji” wynika, że cię rzucam?  
– Przepraszam – mówię. – To był bardzo dziwny dzień.

Wieczorem wreszcie rozmawiam z Ashley.

– Dobrze się czujesz? – pytam.  
Milczy.  
– Niewidocznie wzruszyłaś ramionami? Ja nie mam wideotelefonu.  
– Uhm.

- Chcesz mi coś powiedzieć?
- Niespecjalnie.
- Jesteś sama? To znaczy gdzieś, gdzie możesz swobodnie rozmawiać?
- Nie ma tu nikogo.
- Jesteś jakaś smutna.
- Słyszę szelest materiału wywołany wzruszeniem ramion.
- Boisz się?
- Milczy.
- Ash, pozwól, że przez parę minut będę mówił, ale w każdej chwili możesz mi przerwać. Dobrze?
- Uhm.
- Dobrze. Zadzwoiła do mnie dyrektorka twojej szkoły. Wiem, co zaszło. Przede wszystkim chcę, żebyś wiedziała, że nic się nie stało. Chcę, żebyś wiedziała, że nic ci nie grozi. Rozumiem wszystko i niczemu się nie dziwię. Wiedz również, że możesz ze mną rozmawiać, powiedzieć mi, co tylko chcesz, i nie mówić, czego mówić nie chcesz. Zależy mi, żebyś się nie martwiła. Pragnę jedynie twojego dobra.
- Mogę zadać pytanie?
- Oczywiście.
- Czy muszę wrócić do mojego starego domu?
- Twojego starego domu?
- Oficjalnie nazywa się Rose Hill, ale wszyscy nazywają go Paczuli.

- A jest powód, żebyś tam nie mieszkała?
- Tu, gdzie jestem teraz, jest telewizor, a ja naprawdę lubię oglądać telewizję. Uspokaja mnie. W nocy, jeśli nie mogę zasnąć, to ją włączam, a panna Renee nie ma nic przeciwko temu.
- Panna Renee? Wychowawczynie młodszych klas?
- Tak, no a kiedy jest mi źle, czasem wracam w środku dnia, oglądam seriale *Wszystkie moje dzieci*, *Szpital miejski*, *Jedno życie do przeżycia* i znów jest dobrze. Naprawdę pomaga mi to zrozumieć świat i nabrać właściwej perspektywy. Poza tym moje życie bardziej przypomina życie ludzi z telenowel niż większości tych, którzy mnie tu otaczają.
- Ciekawe. Muszę to przemyśleć.
- Naprawdę nie mogę wrócić do starego domu. Źle się tam czuję.
- Słyszę.
- Ashley zaczyna płakać.
- Chcę do domu.
- Załatwimy to – przyrzekam.
- Pociąga nosem.
- Mam do napisania wypracowanie...
- Może przyjedziesz do domu na weekend?
- Dobrze – mówi, siakając.
- Wytrzymasz do tego czasu? Nie musimy w tej chwili decydować, gdzie będziesz mieszkała. Pani Singer zgodziła się, żebyś została u niej. Głowę dam, że ma

telewizję.

– Nie tyle kanałów – mówi Ashley, wciąż siąkając.

Zabieram ją w piątek po południu. Jadąc po nią, podziwiam krajobraz. Drzewa kwitną.

Ashley papie przez całą drogę do domu – wciąż mówi o telenowelach. Nie potrafię odgadnąć, czy to objaw nerwicy, czy potok słów pomaga jej wyrzucić z siebie przeżyty dramat, czy też to rodzaj hipomanii – pozwalam jej mówić i tyle.

– Akcja *Wszystkich moich dzieci* rozgrywa się w Pine Valley. Występują tam rodziny Tylerów, Kane’ów i Martinów. Serial leci od jakichś czterdziestu lat i ma więcej niż dziesięć tysięcy odcinków...

Ashley skupia się obszerniej na Cortlandtach i Erice.

– A potem, w tym tygodniu...

Przedstawia wątki fabularne – przeszłość, kto jest żonaty z kim, kto jest ojcem jakiego dziecka, jakie tajemnice nie wyszły dotąd na jaw.

– Ash, jak długo oglądasz te seriale?

– Od dawna – mówi. – Zaczęłam, jak miałam z siedem lat i przez miesiąc siedziałam w domu z mononukleozą, a mama pozwalała mi je oglądać razem z nią.

– Mama je oglądała?

– Kochała je. Oglądała te same seriale, odkąd w gimnazjum złamała nogę i utknęła w domu. Kiedyś na lotnisku zobaczyła panią Tyler, panią Phoebe Tyler! Zobaczyła ją, podbiegła i pomogła jej nieść torbę. Phoebe

Tyler nazywała się naprawdę Ruth Warrick. Zmarła kilka lat temu. Mama przeczytała o tym w gazecie.

– Naprawdę tęsknisz za mamą – mówię.

– Nie mam nikogo.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, a Tessie i Romeo ucieszą się na twój widok. Pokochasz Romea.

– Możemy pójść na cmentarz? Byłoby dziwnie?

– Możemy. Ale nie wiem, jak będzie.

– Jak tam jest?

– Byliśmy tam na pogrzebie. Pamiętasz?

– Nie bardzo.

– Przypomina to wielki park, jest trochę drzew. Groby są płaskie.

– Dlaczego?

– Płaskie groby należą do żydowskiej tradycji, a rok po pogrzebie odbędzie się coś, co nazywa się odsłonięciem nagrobka, i znajdzie się tam płyta z nazwiskiem twojej mamy. Ilekroć odwiedzasz grób, zostawiasz na nim mały kamień na znak, że tam byłeś i że osoba, która w nim spoczywa, nie jest zapomniana.

– Dlaczego zajmuje to rok?

– Tak każe tradycja. Możemy odwiedzić twoją babcię. Sprawi ci to frajdę?

– Możemy ją zabrać?

– Dokąd?

– Nie wiem. Żeby wyszła. Jest jak jedna z tych zamkniętych w pudełku delikatnych lalek, na które się

tylko patrzy. A może by chciała dokądś pójść.

– Z pewnością możemy ją spytać. Mam wrażenie, że jest całkiem szczęśliwa tam, gdzie jest... ale spytać oczywiście nie zawadzi. Więc co ty na to? Odwiedzisz babcię? Upieczesz ciastka? Sprzątniesz w szafach?

– Możemy upiec ciastka i zawieźć je babci – mówi Ashley.

– Możemy.

– Fajnie, więc wieczorem po przyjeździe upieczemy ciastka.

– Dziś wieczorem po przyjeździe zjemy kolację i pójdziemy spać.

– Dobrze, w takim razie ciastka upieczemy jutro rano i pojedziemy do babci – decyduje, zadowolona z planu.

– Kiedy pieczesz ciastka, to co robisz? – pytam po paru minutach.

– Co robię?

– No, jak je robisz?

– Albo kroimy ciasto na plasterki i pieczemy, albo mieszamy wszystkie składniki wymienione na pudełku z wiórkami czekoladowymi. Nazywają to „z gotowca”.

– Wiesz, jak się do tego zabrać?

– Pewnie – mówi, jakbym był idiotą. – Nigdy nie piekłeś ciastek?

– Nigdy.

– Lepiej wpadnijmy do sklepu – proponuje, i tak robimy.



Najkrótszą drogą dociera do wiórków czekoladowych, a potem kupujemy wszystko, co jest wymienione z tyłu torebki, oraz mleko.

– Mleko musi być naprawdę świeże. Inaczej to nie ma sensu – wyjaśnia, a potem się rozgląda i uśmiecha na widok rzędów najróżniejszych produktów. – Naprawdę tęsknię za sklepami spożywczymi – dodaje tonem, który przypomina mi, jak dziwne jest jej życie i że szkoła z internatem to rodzaj wyizolowanego inkubatora społeczno-oświatowego.

Robimy ciastka, a kiedy kuchnię zaczyna wypełniać cudowny, ciepły czekoladowy zapach, czuję się głęboko spełniony. Natychmiast zjadamy ich za dużo i pijamy mlekiem. Ash ma stuprocentową rację, że mleko powinno być świeże. Niebywałe, doprawdy zachwycające przeżycie. Zaczynamy się śmiać bez powodu, pojawia się kotka i ociera się o moją nogę po raz pierwszy, odkąd zabrałem jej małe. Nalewam jej mleka do miseczki.

Czekamy, aż ciastka ostygną, po czym jedziemy do domu opieki. Po drodze opowiadam Ash o postęпах babci i jej nowym partnerze.

- Nie rozumiem, są małżeństwem czy nie?
- Nieoficjalnie.
- A o co chodzi z tym jej czołganiem i pływaniem?
- Gdy widzieliśmy ją poprzednio, leżała w łóżku.

Pamiętasz?

– Mhm.

– Już z niego wstała. Nie wiadomo, czy to skutek nowego leku, czy może zapomniała, dlaczego leżała. Ja sam nie bardzo pamiętam, co się stało. Oddaliśmy ją do domu opieki, bo była przykuta do łóżka. Ale dlaczego do tego doszło, chyba nikt nie wiedział.

– To fajnie, że czuje się lepiej.

– Można i tak powiedzieć.

Cześć, mamó – mówię, gdy wchodzimy do pokoju.

– Powiadasz.

– Co się stało?

– Są tutaj – mówi z osobliwie rozdrażnioną miną, jakby wreszcie pojawili się długo oczekiwani wraży obcy.

– Są? – pytam.

– Tak – stwierdza zdecydowanie. – Przyjechali dziś rano i jeszcze nie odjechali.

Patrzy na Ashley.

– Wyglądasz mniej chińsko – ocenia. – Robiłaś coś sobie?

– Mamó, to jest Ashley, nie Claire.

– Kim jest twoja rodzina?

– Ty nią jesteś – mówi Ashley, całując babcię.

– Mamó, Ashley jest twoją wnuczką, jedną z nas.

– Miło cię poznać.

Matka ściska dłoń Ashley.

– Mamo, miałem ci to powiedzieć. Byłem u ciotki Lillian i odzyskałem twoją biżuterię.

– Zaręczynowy pierścionek z diamentem?

– Nie, kolczyki z perłami, bransoletkę, naszyjnik z rubinem i parę innych drobiazgów, szpilkę, mały naszyjnik. Z radością je oddała, chciała to mieć z głowy.

– Pewnie. Spojrzałeś na jej dłoń? Wciąż nosi zaręczynowy pierścionek, który mi kupił twój ojciec?

– Nie mam pojęcia, mamo. Ale wydaje mi się, że tę sprawę powinnyście załatwić między sobą. Kazałaś mi spytać ją o biżuterię, ale o pierścionku zaręczynowym nie wspomniałaś.

– Chciałam sprawdzić, do czego się przyzna, zanim dokręcę jej śrubę.

Czas na lunch. Wchodzi pielęgniarka, żeby zabrać ją do jadalni.

– Nie idę – oznajmia matka.

– Dlaczego? – pytam.

– Na znak protestu.

– Nie przyniosą tu pani lunchu – ostrzega pielęgniarka, kręcąc głową.

– Przynosili – mówi matka.

– Przedtem – wtrącam.

– E, nie mam czego żałować – oświadcza.

– Nie byłabym taka pewna. Jest kurczak z makaronem – informuje pielęgniarka.

– Cholera! – klnie matka.

– Co?

– Lubię kurczaka z makaronem, cytryną i brokułami. Poproszę którąś z kucharek, żeby dorzuciła oliwki i kapary. To już da się zjeść.

– Przyniosłam deser. – Ashley wyjmuje puszkę z ciastkami. – Domowe.

– Świetnie, pójdziemy – decyduje matka.

Wstaje, a gdy prowadzi nas korytarzem, spostrzegam, że stąpa lekko, krokiem sprężystym, podskakującym.

– Chodzisz naprawdę dobrze, mamo – mówię.

– Dzięki tańcowi. Jeśli myślisz o tańcu, możesz chodzić. Podobnie jest z pacjentami po wylewach: śpiewają, żeby mówić.

– Fantastycznie.

– Zawsze dużo się ruszałam. Nie wiem, czy twój ojciec to wiedział.

Gdy dochodzimy do drzwi jadalni, daje znak pielęgniarzowi, jakby był kierownikiem sali w luksusowej restauracji.

– Stolik dla trzech osób – oznajmia.

– Proszę usiąść tam, gdzie wolne – odpowiada pielęgniarz.

– Chcesz mrożoną herbatę czy sok z żuka? – zwraca się moja matka do Ashley.

– Sok z żuka?

– Poncz owocowy – wyjaśnia. – Tyle że chrzczą go tu

witaminą C i metamucilem.

– Tylko wodę. Jest zwykła? – pyta Ashley.

– Tak, o ile wiem. – Matka patrzy Ashley w oczy. –  
Bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Ja też się cieszę, babciu.

– Jak tam w college’u?

– Jestem w piątej klasie, babciu.

– No cóż, nie zniechęcaj się.

– A gdzie twój przyjaciel? – pytam matkę, nie bardzo  
wiedząc, jak go nazwać.

– Co znaczy gdzie? Z drugiej strony sali, z rodziną.  
Właśnie dlatego nie chciałam przyjść na lunch. Nie  
widziałeś, jak się na nas gapią?

– Nie zauważyłem.

– Durak! – mówi do mnie.

– Pokłóciliście się? – pytam.

– Skądże – broni się.

– Więc w czym problem?

– Jego rodzina mnie nienawidzi. Zwyczajnie mnie  
ignorują. Kiedy siedzimy razem, rozmawiają tylko z nim.  
Ze mną nigdy.

– Nie może być.

– Twierdzisz, że kłamię? Właśnie dlatego nigdy ci nic  
nie mówię. Stale myślisz, że nie mówię prawdy. Nie  
powinam była za ciebie wychodzić.

– Mamo, to ja, Harold, nie tata.

– Nie szkodzi, jesteś jak twój ojciec.

– Babciu, a jaki był dziadzius? Kiedy umarł? Znałam go?

– Zawracacie mi głowę tym gadaniem o przeszłości, a mnie obchodzi tylko to, że te niewdzięczne małe jędze nie dopuszczają mnie do mojego żywego, oddychającego mężczyzny.

– Wyjaśnisz, w czym rzecz?

– To jego córki – mówi.

– Mam tam podejść i przełamać lody?

– Między mną a nim nie ma żadnych lodów. Znaliśmy się przedtem.

– Przed czym? – pyta Ashley.

– Uczyliśmy się w tym samym gimnazjum. Przyjaźniłam się z jego siostrą, miłą kobietą. Zginęła na statku wycieczkowym. Wypadła za burtę i zjadły ją rekiny. Nigdy nie odkryli, kto ją wyrzucił.

– Jej mąż? – podsuwam.

– Nie miała męża – mówi moja matka.

Talerze zostają uprzątnięte i Ashley wyjmuję puszkę z ciastkami, a kiedy mocuje się z przykrywką, otacza nas personel domu opieki.

– Nie wolno tu tego otwierać. Żadnego jedzenia z zewnątrz – mówią.

– Są bez orzechów i pestek – zapewnia Ashley.

– Domowe, pieczone z sercem – mówi któraś z pielęgniarek.

– Tak.

– To niedozwolone, wszyscy muszą być traktowani równo. Nie możemy dopuścić, żeby ci, których nikt nie odwiedza, wpadali w depresję tylko dlatego, że o waszą mamę ma się kto troszczyć.

– A jeżeli podzielimy się ciastkami? – proponuje Ashley.

– Ile masz tych ciastek? – pyta sceptycznie pielęgniarka.

– A ilu macie pacjentów?

Pielęgniarka ustala to z koleżanką.

– Na lunchu jest obecnych trzydziestu ośmiu, nie licząc jedzących w pokojach.

Ashley odstawia puszkę i skrupulatnie liczy ciastka.

– Mam czterdzieści – oznajmia.

– No to częstuj, dziewczyno – mówi pielęgniarka.

Ashley chodzi od stolika do stolika, od osoby do osoby,

częstując wszystkich ciastkami. Niektórzy nie chcą, inni próbują wziąć dwa, a wtedy ich powstrzymuje.

– Po jednym dla każdego – mówi.

Kiedy kończy się rozdawanie ciastek, namawiam matkę, żeby podeszła i przywitała się z wybrankiem i jego rodziną.

– Nie. – Kręci głową i się krzywi. – One mnie nie lubią.

– Ale ja się im przedstawię. Jeżeli ci na nim zależy, powinniśmy być uprzejmi.

– Zostanę z babcią – oświadcza Ashley i szepcze do mojej matki: – Nie pozwoliły mu wziąć ciastka.

Jego rodzina nie jest uprzejma.

– Pomyślałem, że przywitam się z państwem.

Wyciągam rękę. Tylko staruszek ją ściska.

– Miło cię widzieć, synu – mówi.

Gawędzę z nim towarzysko, dopóki jedna z jego córek nie odciąga mnie na stronę.

– Nie podoba nam się to – oświadcza.

– Dlaczego?

– Pańska matka to flądra. Nakłoniła go, by zdradził naszą matkę, która troszczyła się o niego dzień i noc przez pięćdziesiąt lat.

– Nie zdawałem sobie sprawy – mówię.

– Pewnie, że pan „nie zdawał sobie sprawy”. Wiemy, kim pan jest... Powtarzam: pańska matka uwiodła



naszego ojca. Podobno zdarza się to w miejscach takich jak to: tak mało tu mężczyzn, a tyle kobiet.

– Moja matka знаła waszego ojca przedtem – próbuję.

– Starła się go odbić naszej matce.

– To było w gimnazjum! – woła matka z drugiego końca sali. – Te nowe aparaty słuchowe są naprawdę dobre. Wątpię, czy łączyło ich wtedy coś poważnego. Przepraszam, ale to było w gimnazjum!

– A gdzie jest teraz wasza matka, jeśli wolno spytać?

– Na górze Synaj, właśnie dlatego tu trafił. Wyszli na kolację, upadła, przewróciła go... złamał sobie biodro, a ona uderzyła się w głowę. Była w śpiączce, musiałyśmy podjąć niejedną decyzję.

– Nie wiedziałem.

– Pan coś dla nas zrobi; niech ta dziwka, pańska matka, odwali się od naszego ojca.

– Wyzwiska niczego nie załatwią – perswaduję.

– Widzicie go, jeszcze mi tu będzie rezonował! Co ze słów „niech się, kurwa mać, odwali” nie dotarło?! – wrzeszczy na mnie.

– Dotarło do wszystkich – mówi jedna z pielęgniarek, rzucając jej spojrzenie.

Przepraszam obecnych i wracam do matki i Ashley.

– Wiedziałaś, że jego żona żyje? – pytam.

– Oczywiście – potwierdza. – Ją też znam, grywałyśmy

ze sobą w bezika. Bob mówi o niej bez przerwy. Próbuje dzwonić do szpitala. Wystukuję mu numer. Ona jest nieprzytomna. Pielęgniarka trzyma jej słuchawkę przy uchu, tak przynajmniej twierdzi, a on do niej mówi. Opowiada jej o tym, co kiedyś robili. Pamięta, co jedli podczas podróży poślubnej. – Wzrusza ramionami. – Kiedy kończy, płacze, chce wrócić do domu. No a te dziewczuchy? Są najgorsze. Myślałbyś, że go wezmą, że się nim zajmą, że zawiozą go, żeby zobaczyć żonę. Samolubne małe jędze! Ale ja mu tego nie mówię, o nie, mówię mu, że mają własne życie, że na pewno są bardzo zajęte. – Potrząsa głową. – Za to ty, proszę, znajdujesz czas dla matki. Tak już jest – gdyby ci się dobrze wiodło, nie miałbyś dla niej czasu. Jesteś szlamazel[22], to się pokazujesz, można na ciebie liczyć, tyle że straszny z ciebie nudnik.

– Wujek jest naprawdę bardzo miły – przychodzi mi z odsieczą Ashley.

– Nic, nic – mówię. – Nasze stosunki zawsze były zawiłe.

– Babciu, możemy cię kiedyś zabrać? – pyta Ashley. – Gdzieś z tobą pojechać?

– Dokąd?

– Nie wiem, może do naszego domu na obiad.

Matka kręci głową.

– Nie bardzo. Już tam byłam. Jedzenie jest do kitu.

– No cóż – mówi Ashley, ani trochę niespieszona – dużo

gotowałam. Wszystkie zajęcia z chemii dotyczą kuchni jako laboratorium.

– A może znowu mnie kiedyś odwiedzisz, kochanie – mówi matka, wstaje, posyła nam całusy i odchodzi korytarzem.

Ashley i ja patrzymy na siebie.

– Nasza rodzina różni się od innych – stwierdza Ashley.

– Żadna rodzina nie jest taka, jak się wydaje.

Wracamy do domu w milczeniu, a potem zabieram psa na długi spacer i rozmawiamy o tym, co by tu zrobić na kolację.

– Myślę o pizzy – mówi Ashley.

– Znam dobrą pizzerię, która ją dowozi.

Ashley kręci głową.

– Sami ją zrobimy.

– Z czego?

– Z mąki, sosu, sera.

– Naprawdę lubisz gotować – mówię.

– No chyba. Z panną Renee prawie co wieczór przyrządzałyśmy kolację.

– Nie jadłaś z innymi?

Kręci głową.

– Robiłyśmy kolację i oglądałyśmy telewizję. A potem odrabiałam lekcje.

Przytakuję.

– Powiedziała, że mnie kocha – mówi

niejednoznacznym tonem, zarówno obronnym, jak i pytającym.

– Nie wątpię. – Urywam. – Mogę spytać, czy te ozdóbki z Williamsburga były dla niej?

– Tak – przyznaje. – Właśnie dlatego musiały być dobre.

– Jasne.

A potem nie mówimy nic więcej, dopóki nie nakarmimy zwierząt i nie wyrobimy ciasta na pizzę.

– Pocałowała mnie – mówi Ashley, patrząc na mnie w oczekiwaniu na reakcję.

Odwzajemniam spojrzenie, z niedawno wypróbowaną pokerową miną.

– Więc też ją pocałowałam. Lekko, delikatnie, nie wiem, jak to opisać.

– Nie musisz – mówię, po chwili żałując tych słów. Nie chciałem, żeby zamilkła.

– Było to miłe. Pocieszało jak pocałunek mamy. – Zanosi się płaczem. – Powiedziała, że mogę spać w jej łóżku – dodaje przez łzy. – Sam wiesz, ostrzegają cię „nie wsiadaj do samochodów nieznanym”, nie „zaprzyjaźniaj” się z kimś, kogo dobrze nie znasz, i tak dalej. Ale to była panna Renee, znam ją od lat.

– Ash, to nie twoja wina, nie zrobiłaś nic złego – mówię, a łzy dosłownie ściekają jej do ciasta. Spoznajemy to i nie możemy powstrzymać śmiechu. – Sól – mówię. – Dodaje smaku.

– Kiedy byłam mała, zawsze kichałam do ciasta na naleśniki – wspomina. – Nie umyślnie, przypadkiem. Pomagałam mamie je mieszać, pewnie trochę wpadało mi do nosa i kichałam prosto do miski.

Pociąga nosem.

– Wiesz, kto cię wsypał?

Patrzy zakłopotana.

– Kto na ciebie doniósł?

– Britney – odpowiada bez wahania. – Britney zrobiła się zazdrosna, bo się podkochuje w pannie Renee, pewnie dlatego, że jej mama uważa pannę Renee za wspaniałą osobę. W każdym razie zaczęła węszyć – nie ma nic lepszego do roboty. Jej ojciec jest, zdaje się, jakimś szpiegiem i pracuje dla rządu. Któregoś wieczoru spytała pannę Renee, czy może przyjść po kolacji, no i przyszła. Właśnie odrabiałam lekcje. Powiedziała, że musi z nami porozmawiać, i przedstawiła swój dowód – zdjęcia i wideo nakręcone kamerą, którą ukryła na parapecie okna panny Renee. zaproponowała, że o wszystkim zapomni, jeśli utworzymy *ménage à trois*. Nie wiedziałam, co to znaczy, i właściwie wciąż nie wiem. Panna Renee strasznie zbladła i powiedziała nam: „To bardzo poważna sprawa”. Britney wspomniała o *ménage à trois* jeszcze kilka razy, ale mój francuski kuleje, więc skojarzyłam to sobie ze sztuką *Szklana menażeria*, którą widziałam wiosną. Nadal nie jestem pewna, czy dobrze to zrozumiałam. Kiedy panna Renee powiedziała, że będzie

musiała zawiadomić „władze”, Britney spanikowała, wróciła do siebie i przedawkowała jakiś lek, a może kilka różnych, bo, jak się okazuje, cierpi na dziwną przypadłość – kiedy spędza weekend w czyimś domu, kradnie z apteczek lekarstwa. Ma w kolekcji przepisaną na receptę fiolkę z pigułkami na sen, należącą kiedyś do George’a Busha, którą zwędził dla niej ojciec. Jest na niej napis „Bush George”, a pod nim nazwa tego specyfiku i jak często trzeba go zażywać, żeby zasnąć. Podobno wielu ludzi wie o tym jej „nawyku”. Dlatego już nikt jej nigdzie nie zaprasza. Podejrzewam, że ukradła nie tylko to, a o kradzież obwiniono inne dziewczyny. Zażyła więc wszystkie proszki, jakie miała, i skończyło się na tym, że zwróciła wszystko w łazience i zemdląca, a znalazły ją koty...

– Jakie koty?

– Żartujesz? Koty są w każdym domu, ze względu na myszy, ze względu na okruszki, ze względu na to, że nocą wszyscy coś podjadamy w naszych pokojach. Tak jak w tej książce *Jeśli dasz myszy ciasteczko*[\[23\]](#).

– Nie czytałem. Więc Britney nadal przebywa w szkole?

Potakuje.

– Jej matka jest absolwentką i zasiada w zarządzie. – Milknie. – Mogę cię o coś spytać?

– Pewnie.

– Czy robiłeś to z moją mamą?

Milczę.

– Nate mówi, że robiłeś.

Wciąż nie bardzo wiem, jak się zachować.

– Powiedziałeś, że musimy być ze sobą szczerzy.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– To prawda, musimy być szczerzy. Po prostu nie jest mi zręcznie mówić o moim związku z twoją matką.

– Ja nie prosiłam, żebyś o tym mówił, spytałam tylko, czy to zrobiłeś.

Krzyżuje ręce na piersi.

– Tak – przyznaję i zaczynam się obficie pocić.

– Kochałeś moją mamę?

Kiwam głową.

– Pytam, bo gdy się jest dzieckiem, naprawdę trudno czegokolwiek się dowiedzieć. Być może nie wiem nawet, o czym mówię... czuję się bardzo dziwnie...

Ash milknie.

– Skoro jesteś w domu, to czy przy okazji chcesz pójść do lekarza? Może powinniśmy umówić się z twoim pediatrą?

– To za trudne dla doktora Faustusa.

– Uczucie do innych dziewcząt to normalna rzecz, wiesz?

– To było okropne – mówi, zaskakując mnie.

Obawiam się, co zaraz usłyszę... Wyobrażam sobie, że panna Renee zmusza Ash, by ją wylizowała. Myślę o tym, jak straszne byłoby dla mnie wsadzenie tam głowy,

i wyobrażam sobie, jak straszne może to być dla dziecka... dziecka, które lubi zwykle pieszczoty.

– Leżała, bawiąc się moimi włosami, a potem pocałowała i poprosiła, żebym się na niej położyła.

– Zrobiłaś to?

– Tak – mówi Ashley, jakby to było tak oczywiste, że aż niewarte odpowiedzi.

– Całowałaś ją nie tylko w usta?

– Tak – mówi, znowu jak do głupiego.

– Gdzie?

– Od ramienia do łokcia... bawiłyśmy się w taką grę, tylko że, zamiast łaskotać, całowałam.

Kręcę głową. Nie mam pojęcia, o czym mówi.

Ashley bierze moją rękę i boję się, że zacznie ją całować, zatrwożony, że tak oto trauma zrodzi traumę, ta następną i uwodzona stanie się uwodzicielką. Wrywam rękę. Przesadziłem?

– Ręka – słyszę stanowcze żądanie.

Kładę ją z powrotem na stole.

– Zamknij oczy.

– Nie całuj mnie – mówię.

– Nie mam zamiaru. Czemu miałabym cię całować? To niesmaczne.

Dzięki Bogu.

Łaskoczcie mnie palcami.

– Jak dotrę do łokcia, powiedz.

Jej palce tańczą mi po ręce tam i z powrotem.



Łaskoczą. Włoski mi stają, dostają gęsiej skórki. Dziwnie swędzi. Szybko tracę orientację, gdzie mam łokieć, ale po kilku chwilach, chcąc, żeby przestała, wołam „łokieć!” i otwieram oczy.

– Nazywamy to „pajakiem” – mówi Ash. – Nigdy z nikim w to nie grałeś?

– Nie.

Dzwoni telefon, rozcinając powietrze, jakby chciał mnie przestraszyć. Włącza się sekretarka. Dzwoniący czeka i po pierwszym sygnale przerywa połączenie. Jestem pewien, że to ona, kobieta z A&P.

Ashley patrzy na mnie podejrzliwie.

– Kto to? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Myślę, że masz kogoś – mówi. – Osoba, do której wciąż piszesz esemesy, próbuje się dodzwonić.

– Skąd wiesz, że to ta sama osoba?

Milczy chwilę, po czym oświadcza:

– Dobrze jest mieć kogoś, nie musisz się z nią kryć.

– Dziękuję.

Gramy w monopoly. Telefon znowu dzwięczy i dzwoniący znowu się nie nagrywa.

– Dla twojej wiadomości: osoba, do której esemesuję, to przyjaciółka. Co do osoby, która tu wydzwaniała, nie mam tej pewności.

W niedzielę po południu odwożę Ashley do szkoły. Zabieramy Tessie na przejażdżkę. Ashley chce też zabrać

kotka, ale perswaduję jej, że sprawiłoby to przykrość jego mamie. Daję jej nowy zegarek, który znalazłem w szafie George'a i Jane na półce z „prezentami”. Rozmawiamy o tym, że warto ograniczyć oglądanie telewizji i więcej czytać. Podrzucam nazwiska autorów, których książki mogłyby jej zastąpić nawyk oglądania seriali. Karol Dickens, Jane Austen, George Eliot, Brontë.

– Sami mężczyźni – mówi Ashley.

Kręcę głową.

– George Eliot to kobieta, tak samo Austen i siostry Brontë. – Obiecuję przesłać jej kilka powieści. – Myślę, że ci się spodobają. To klasyka, bardzo w typie telenowel. Prawdę mówiąc, to z nich autorzy seriali czerpią pomysły.

– Nie przesadzaj.

– Weź Szekspira, weź *Romea i Julię*, tam to wszystko jest... – mówię jej.

Bierze torbę i wysiada z wozu, odciskając na szybie mglistego całusa. Trąbię i macham ręką.

Dwa dni później zaginioną dziewczynę odnajdują w worku na śmieci.

Martwą.

Wymiotuję.

„Tragiczny finał sprawy” – oznajmia prezenter wiadomości.

Wiem, że mnie to nie dotyczy, ale czuję się winny. Być może z powodu moich uczuć do Jane i Claire, moich eskapad internetowych i kobiety z A&P, która mogła – lub nie – być tą martwą dziewczyną. Pewnie brak w tym logiki, ale gnębi mnie myśl, że choć tak usilnie staram się zrehabilitować, w istocie jestem przestępcą i pozostaje tylko kwestią czasu, by do moich drzwi zapukała policja. Mijają godziny. Dni. Gdyby nie inne obowiązki, zastanawiałbym się, czy ze sobą nie skończyć. Choć reakcja ta może wydawać się przesadna, chcę przez to powiedzieć, że z upływem czasu czuję się coraz bardziej winny, zawstydzony, odpowiedzialny. Nie chodzi jedynie o tę martwą dziewczynę. Jestem świadom, jak wszyscy ucierpieli. Mam wrażenie, jakby ta dziewczyna, Nate, Ashley wcześniej nie byli prawdziwi, jakby do czasu, kiedy to się stało, kiedy ich bliżej poznałem, nic nie było rzeczywiste, z wyjątkiem moich odruchów seksualnych. Dotąd byłem obojętny. Teraz zaś przeżywam wszystko tak dogłębnie, że jeżeli mnie to nie paraliżuje, to co najmniej przeraża. Znowu wymiotuję.

Wieczorem, tuż przed zmrokiem, dzwonek u drzwi.

– Myślałem, że nie żyjesz – mówię do niej.

Stoi zniecierpliwiona na kamiennym stopniu.

– Mogę wejść? – pyta.

Na przemian jestem na nią zły i czuję ulgę. Moja

odporność na niewiedzę, nieświadomość wyczerpała się.

– Kim jesteś? – pytam.

Milczy.

– Masz dokumenty martwej dziewczyny.

– Znalazłam je – mówi.

– Gdzie?

– W koszu na śmieci.

– Trzeba to zgłosić na policję.

– Nie mogę.

– Nie będę z tobą rozmawiał, dopóki nie podasz swojego prawdziwego nazwiska i adresu.

Wręczam jej karteczkę samoprzylepną i pióro. Wypisuje dane i zwraca mi karteczkę. Nazywa się Amanda Johnson.

– Wygoogluję cię – mówię i odchodzę, zostawiając drzwi otwarte.

– Możesz wpisać też imię mojego ojca: Cyrus albo Cy.

– Wpiszę! – odkrzykuję z głębi domu.

Według internetu jej ojciec Cyrus, teraz pod osiemdziesiątkę, był szef dużej agencji ubezpieczeniowej, został z niej usunięty po skandalu w firmie.

– Ukradł pieniądze! – woła do mnie chwilę potem.

– Podobno. A ty byłaś główną druhną na ślubie młodszej siostry Samantha i wystąpiłaś na jej weselu jako „obiecująca flecistka”... Nadal grasz na flecie?

– Wal się. – Wchodzi do domu i znajduje mnie przy

biurku George'a. – Mówiłam ci, że gram.

– Więc jak to się stało, że masz dokumenty martwej dziewczyny? – pytam.

– Już powiedziałam: znalazłam.

– A ja pytam: gdzie?

– W koszu na parkingu przy kościele.

– I nie powiedziałaś policji.

Potwierdza, kręcąc głową.

– Dlaczego?

– To było, zanim wszystko skojarzyłam, a poza tym dlatego, że tam poszłam i dalej chciałam chodzić.

– Do kościoła?

Potakuje.

– W niedzielę?

– W tygodniu. – Milknie. – Mam problem.

– Pijesz?

Kręci głową, że nie.

– Z narkotykami?

– Nie.

– Z seksem? – pytam z pewnym poczuciem winy.

Ponownie kręci głową.

– To z czym?

Zaczyna płakać.

– Jest aż tak źle?

Kiwa głową.

– Powiedz mi – mówię. – Naprawdę, Amando, możesz mi powiedzieć.

– Nie mogę. Jeśli powiem, więcej mi nie zaufasz.

– Tak jakbym ci ufał teraz.

Śmieje się i znów zaczyna płakać.

– Kradniesz w sklepach? Kłopoty z odżywianiem?

– Pikuję – wyrzuca z siebie. – Jestem kołdrzarką, rozumiesz?

– Wszystkim zdarza się pikować. Często łapiesz doła?

– Kołdry! – krzyczy. – Robię pikowane kołdry, kurwa mać! Jeżeli powiem policji, nie uwierzą mi, a wtedy ta cholerna sprawa się wyda, zrobi się straszny bajzel i będę jeszcze bardziej samotna niż teraz.

– Wiesz, kto zabił tę dziewczynę?

– Nie.

– Dobra, to już coś.

Wciąż płacze.

– Jestem kłamczuchą – wyznaje.

– A więc wiesz, kto ją zabił?

Kręci głową.

– Jestem nałogową kłamczuchą, kłamię notorycznie. Właśnie dlatego chodzę na tę grupę do kościoła, to grupa dla blagierów. Przed chwilą też skłamałam. Nie pikuję kurewskich kołder. Jeżeli powiem policji, pomyślą, że kłamię – taką mam opinię. Właśnie dlatego było dla mnie takie ważne, że tamtego dnia powiedziałam ci prawdę o tym siedmiowarstwowym batonie, tym, który kupiłam dla ciebie i zjadłam.

– Zwolnij, zwolnij.

– Po co mówić policji? – pyta.

– Bo to ślad. Może tę kobietę obrabowano, może zabójca zostawił w tym koszu na śmieci coś swojego, może na jej dokumentach są odciski jego palców, może dotrą do ciebie i oskarżą o morderstwo.

– A może po prostu powinnam spalić te dokumenty.

– Zniszczyłybyś dowód. Czemu się do nich nie zgłosisz i nie powiesz: „Cześć, znalazłam to w koszu na śmieci i odkryłam, że należą do dziewczyny z torby na odpadki”?

– Nadzwyczajne, co można znaleźć w śmieciach.

– Co sprawiło, że zajrzałaś do tego kosza?

– Nie wiem. Coś przyciągnęło mój wzrok. Miałam kiedyś chłopaka śmiecionurka.

– Na co ci cudza tożsamość?

– Nigdy nie miałaś ochoty być kimś innym?

Zaprzeczam, wzruszając ramionami.

– Pracowałam na etacie, mieszkałam w Brooklynie. Naprawdę lubiłam to, co robię. Chodziłam z tym facetem, miał wady, ale ciepłe ciało. Mieliśmy kotkę. A wtedy moja matka upadła, ojciec nie mógł się nią zająć, więc pojechałam do domu. I ugrzęzłam jak w ruchomych piaskach. Musiałam zrezygnować z pracy, a mój chłopak nie palił się do życia rodzinnego. „Bądźmy poważni, nie ciągnijmy tego – powiedziałam – niedługo wrócę”. Nie uwierzył. Zatrzymał kotkę, nie pozwala mi się z nią widywać ani do niej mówić. Twierdzi, że nie nadaję się na matkę.

– Nie masz znajomych?

– Mój chłopak większości ich nie lubił, więc z nimi zerwałam. Straciłam ubezpieczenie zdrowotne, przestałam brać leki, przeszłam na leki matki, refinansowane, ale to nie jest to samo.

– Mam mnóstwo leków – mówię, zadając sobie pytanie, czy wszyscy są na lekach.

Amanda milczy.

– Wciąż mi czegoś brakuje w tym obrazie: opiekujesz się rodzicami i udajesz kogoś innego? Amanda? Amanda? – powtarzam. – Zawsze tak miałaś na imię?

– Czepiasz się? Mam wrażenie, że się mnie czepiasz.

– Jedynie staram się zrozumieć. Kiedy troszczysz się o rodziców, jesteś sobą czy tą drugą, z przybraną tożsamością?

– Kiedy się o nich troszczę, żyję w sypialni, w której dorastałam, z tymi samymi książkami i zabawkami na półce. I czuję się, jakbym wciąż była w gimnazjum, właśnie wróciła ze szkoły i zastała rodziców siedzących w dużym pokoju na kanapie, z tą może różnicą, że tatę w zmoczonych spodniach.

– Wiedzą, który jest rok?

– Czasem wiedzą, a czasem zmienia się im po kilka razy w ciągu dnia. „Masz coś zadane?“, pyta matka. „Niewiele – odpowiadam. – Może będę musiała pójść do biblioteki, matka takiej to a takiej mnie podwiezie”. Kiedy zawożę ich do lekarza, pyta: „Jak się nauczyłaś



jeździć, sięgasz nogami pedałów?”.

– I co mówisz?

– „Jestem wysoka na swój wiek”. – Amanda milknie. – Tak na razie żyję.

– A potem?

– Wyjadę i nie wrócę.

Jej odpowiedź mnie przeraża. Właściwie jej nie znam, a już czuję się porzucony. Galopada myśli: A co ze mną? Weź mnie ze sobą – polecimy do Europy, objedziemy świat.

Zauważa moją zmienioną minę.

– Ech, dajże spokój – mówi. – Naprawdę? Mieszkasz w domu brata, nosisz jego ubrania, a ja z rodzicami. Nie myślisz chyba, że tworzymy związek?

– Musimy znaleźć tego, co włożył tę dziewczynę do worka na odpadki. Gdyby to się wyjaśniło, poczułbym się znacznie lepiej.

Zbiera się do odejścia.

– Oglądasz za dużo telewizji.

Rano znów podrywa mnie dzwonek telefonu. Odpowiadam szybko, sądząc, że to może ona.

– Harold? – pyta jakaś kobieta.

– Tak.

– Dzień dobry, Haroldzie, tu Lauren Spector, kierowniczką działu ceremonii w synagodze.

– Nie wiedziałem, że jest tam ktoś taki.

– To nowe stanowisko. Wcześniej pracowałam w Operze Miejskiej, w dziale rozwoju. – Robi pauzę, jakby przeglądała notatki. – Przejrzeliśmy właśnie nasz kalendarz i widzę, że trzeciego lipca mamy zapisanego na bar micwę Nathaniela. – Kolejna pauza. – Interesuje mnie, na czym stoimy.

– Dobre pytanie.

– Czy Nathaniel zna hebrajski? Uczył się go? Bo u nas o tym cicho sza...

– Szczerze mówiąc, jakiś czas temu próbowałem umówić się z rabinem, ale jego asystentka zażądała co najmniej pięciuset dolarów, co mnie zniechęciło.

Długa pauza.

– Zajęto się sprawą.

– Ta Chinka nie pracuje już w synagodze?

– Wróciła do szkoły – informuje Lauren Spector.

– To dobrze. Mam nadzieję, że znajdzie dla siebie coś odpowiedniego.

– Uczy się w jesziwie.

Przez chwilę milczymy refleksyjnie.

– Możemy to załatwić dwojako – mówi Lauren. – Skontaktuję pana z organizatorami przyjęć i naszymi wypróbowanymi dostawcami kateringów, kwiatów i imiennych jarmulek albo rozważymy odłożenie... nienawidzę słowa „odwołanie”... ceremonii.

W tonie jej głosu wyczuwam, że na bar micwę

w synagodze trzeciego lipca raczej nie należy liczyć.

– Świątynia dba o swój wizerunek. Zbytni rozgłos po aferze z pańskim bratem, jego żoną i po historii z tym przekreśleniem zaniepokoił członków naszej gminy.

Biorę oddech i zaczynam od nowa.

– Proszę mi powiedzieć, pani Spector, czy kontynuujecie tradycję Siostrzanego Lunchu.

– Mówi pan o sałatce z jajek, tuńczyka i mnóstwa pomidorów koktajlowych?

– Właśnie.

– Dawno zanikła. Nasze zgromadzenie sióstr zrzesza głównie kobiety pracujące, którym brak czasu na gotowanie. Mamy jednak kilka firm, które dostarczają takie dania. – Milknie. – Nie chcę pana naciskać, ale odpowiedź chciałabym poznać raczej prędzej niż później. Mamy tu parę gejów, których tego ranka czeka ślub. Chcą załatwić to do jedenastej, żeby spędzić weekend w Chelsea Pines i uniknąć korków.

– Twardy orzech do zgryzienia – mówię, nie mogąc znaleźć innych słów. – Rozumie pani, jestem w małej rozterce, co zrobić z tym fantem.

– Jane miała tu swoją teczkę, każdy ma – mówi Lauren. – Pozostawiła też depozyt. Zwykle go nie zwracamy, ale jesteśmy gotowi dojsć z panem do porozumienia. Rozważymy częściowy zwrot.

– Jak duży był ten depozyt?

– Dwa i pół tysiąca. A więc... co zrobimy?

- Porozmawiam z Nate'em i oddzwonię do pani.
- To był trudny czas dla wszystkich.
- Owszem.

Kiedy poruszam temat bar micwy, Nate'owi załamuje się głos. Tego się obawiałem.

– Nie dam rady, zbyt mnie to zasmuca. Zajmowała się tym mama.

– Możesz to zrobić dla niej, na jej cześć.

– Nie wyobrażam sobie, żeby wszyscy nasi znajomi się gapili, myśląc o mnie jak o ocalonym. Nie wyobrażam sobie pisania podziękowań za te iPody i inne bzdety, które więcej znaczą dla obdarowujących niż dla mnie i których, prawdę mówiąc, nie chcę i nie potrzebuję. Nie wyobrażam sobie, aby jakiś „bóg”, w którego wierzę, uważał, że trzeba to robić. – Milknie, by zaczerpnąć powietrza. – Szczerze mówiąc, nie chciałbym spajać na powrót rodziny. Mówi się, że rodzina dwupokoleniowa to rodzina idealna, ale mało mówi się o jej rozpadzie... Ty odbyłeś bar micwę?

– Tak.

– No i co? Było przyjemnie?

– Chcesz posłuchać o mojej bar micwie? – Robię przerwę. – Rodzice nie chcieli, żeby przewróciło mi się w głowie, tak jakby wysoka samoocena wywoływała coś w rodzaju nieuleczalnego zapalenia mózgu. Dlatego odbyłem swoją bar micwę razem z Solomonem Bernsteinem. Przedstawiono mi to jako dobry interes, bo uroczystość była tańsza, a że Bernsteinowie mieli na

dodatek sieć sklepów spożywczych, zapewniało to moim rodzicom kontakt z właściwymi ludźmi.

– Czyli że przyświecał im własny interes?

– Tak. – Robię pauzę. – Po ceremonii odbyło się coś zwanego Siostrzanym Lunchem. Panie z synagogi zrobiły sałatkę z jajek i tuńczyka. Niektórzy się nią zatruli, na szczęście nikt nie umarł. Ale po tym wypadku wprowadzono nowe zasady: całe jedzenie na Siostrzany Lunch musiało być od tej pory przygotowane w świątyni i należało używać majonezu Hellmann's, a nie Miracle Whip, który uważano za produkt gojowski i niegodny zaufania.

– Produkt gojowski?

– Według mojej matki, czyli twojej babci, wszystko: produkty, jedzenie et cetera, dzieli się na żydowskie i nieżydowskie.

– Na przykład?

– Pasta do zębów Crest – żydowska, Colgate – nieżydowska.

– Pasta Tom's? – pyta Nate.

– Ateistyczna lub unitarna. Gin jest nieżydowski, podobnie jak wódki Belvedere, Ketel One i wszelkie napitki z wyjątkiem Manischewitza, który jest żydowski. W każdym żydowskim domu znajdzie się butelka miodowego trunku, rzadko dwie, a przynigdy trzy, tylko nikt nie pamięta, czy to burbon, czy szkocka. Jako żydowski przyswojono sobie likier miętowy na lodach

waniliowych. Żydowskie są gry w madżonga i bezika.

– Wróćmy do bar micwy – mówi Nate.

– Były dwa stoły z prezentami, jeden z moim imieniem, drugi Solomona, a ja przez całe przyjęcie wciąż do nich podchodziłem i sprawdzałem, czyj stos prezentów jest większy, który wygląda lepiej.

– I?

– Trudno było ocenić, bo ktoś podarował mi encyklopedię i każdy jej tom zapakował oddzielnie. Tak naprawdę to podobała mi się lornetka przeznaczona dla Solomona, ale skończyła wśród moich prezentów.

– Po czym poznałeś, że była dla niego?

– Po kartce „Dla Solly’ego od kochających cioci Estelle i wuja Ruvena”. Matka chciała, żebym ją zwrócił, ale odmówiłem. Zabrałem lornetkę i ukryłem ją na zewnątrz, pod domem.

– Czy to głupie oczekiwać, żeby inicjacja była czymś miłym i zasadniczo pozytywnym? A jak utraciłeś dziewictwo? – pyta Nate.

– Jestem znacznie starszy od ciebie. Nie chcę cię rozczarować.

– I dlatego chcesz mnie zgnać? Żebym poczuł się tak załóżnie jak ty?

– Nie – zaprzeczam stanowczo i milknę. – Po prostu chcę cię chronić.

– Przed czym?

– Życiem? – podsuwam.

- Za późno. Zwróciłeś Solomonowi lornetkę?
- Wygadałem się przed nim któregoś dnia w szkole. „Zatrzymaj ją – powiedział. – Już mam lornetkę”. – Milknę. – Nie opowiadałem o tym dotąd chyba nikomu.
- Nawet Claire?
- Nawet jej.
- Dlaczego nie mieliście dzieci? – pyta Nate po chwili.
- Claire bała się, że będzie za chłodna jako matka. Uważała, że jest niezdolna do prawdziwej miłości i że dziecko by cierpiało.
- No i?
- Zgodziłem się.
- Długa pauza.
- Kiedyś się modliłem – mówi Nate. – Co wieczór modliłem się o wszystko. Wierzyłem, że jest coś większego – jakaś istota wyższa. A w tej chwili nie bardzo wiem, co myśleć. Inaczej podchodzę do wiary.
- A więc... wyczuwam, że myślisz o rezygnacji z bar micwy?
- Myślałem, że po prostu sobie rozmawiamy.
- Masz rację. Dziś o tym nie zdecydujemy.

Po zdemaskowaniu Amanda znika.

Trochę dla żartu, a trochę z czystej ciekawości wpadam na pomysł, żeby nie czekać, aż ona przyjdzie do mnie, ale wybrać się do niej. Wygarniam z lodówki na



wpół puste kartony z chińskim jedzeniem, pakuję wszystko do brązowej papierowej torby sprzed kilku dni – z wciąż dołączonym do niej paragonem – i szczelnie ją zamykam. W starym laboratoryjnym kitlu Nate’a, przypominającym strój kelnera, jadę do jej domu, ekskluzywnego, w stylu Tudorów, i dzwonię.

– Co tu robisz? – pyta, otworzywszy drzwi.

– Przywiózł dla pani pół zamówienia – mówię z marnym akcentem chińskim, wręczając jej torbę.

Zapuszczając żurawia do wnętrza, widzę jedynie spleśniały orientalny dywan, wieszak na płaszcze i kapelusze, poręcz z ciężkiego ciemnego drewna i schody wyłożone chodnikiem. Wyobrażam sobie, że na lewo jest salon, na prawo salonik bądź jadalnia, na wprost pod schodami mała łazienka, a dalej, po drugiej stronie, na tyłach domu, kuchnia z wnęką jadalną.

– Przyniosłeś napoczęte chińskie jedzenie?

– Jest go mnóstwo. Smażony ryż, wieprzowina muszu.

Oddaje mi torbę w chwili, gdy w przedpokoju pojawia się matka – chuda, z brzuchem jak piłka do koszykówki, rozpychającym pasek jaskrawozielonych spodni. Kiedyś wysoka, teraz mocno skurczona. Siwe puszyste włosy ma schludnie pozwijane wokół głowy w ciasne wałki, jak George Washington w kwiecie wieku.

– Regularnie przekazujemy datki na rzecz Fundacji na rzecz Cierpiących na Choroby Wątroby – mówi. – Mój

mąż nie pochwała domokrażców, ale mam jakieś zaskórniaki. Przyjmuje pan gotówkę?

Otwiera z trzaskiem małą portmonetkę, wyjmując pięć dolarów i wyciąga je w moją stronę.

– Mamo, pan dostarcza jedzenie. – Amanda odpycha rękę matki. – Poza tym pomylił adres. Następnym razem życzę więcej szczęścia – kończy i zamyka mi drzwi przed nosem.

Z nudów próbuję ponownie. Bawi mnie to, świadczy o mojej determinacji – chcę czegoś więcej, pomyślniejszego zakończenia. Jadę do 7-Eleven, kupuję galon mleka, trochę soku pomarańczowego i podjeżdżam pod jej dom. Przecinam per pedes wilgotny trawnik, wskakuję na frontowy stopień i dwukrotnie naciskam dzwonek. Bim-bam, bim-bam.

Drzwi otwiera matka Amandy.

– Pamiętam pana – mówi, a ja raptem czuję niepokój, że mnie rozpoznała i nici z mojego przebrania. – Przychodził pan tu przed laty. Mleko było w butelce.

– To nie mnie pani pamięta – prostuję.

– A więc musiał to być pański ojciec – mówi. Jest figlarna, wesola, czarująca. Bierze ode mnie mleko zaskakująco silnymi rękami. – Za tydzień niech pan mnie zapisze na pół galonu mleka i kilka pączków z cukrem pudrem, jeżeli je macie. – Spogląda ponad moim ramieniem. – Krokusy kielkują.

Odwracam się i widzę, że sporo ich stratowałem.

- Niedługo wyjdą zonkile.
- Czy ten człowiek to ktoś z naszej rodziny? – słyszę głos ojca Amandy.
- Nie z twojej – mówi matka i zamyka drzwi.
- Po południu dzwoni Amanda.
- No dobrze, panie Ciekawski, przyjdiesz na kolację?
- pyta.
- Twoi rodzice chyba mnie lubią.
- Wzięli cię za mleczarza, który wymaga przeszczepu serca. Matka twierdzi, że dała ci pięćdziesiąt dolarów.
- Dała pięć.
- Witam w moim świecie. Pochwaliła się ojcu, że dała pięćdziesiąt. „Każdemu, kto puka do drzwi, dajesz pięćdziesiąt dolarów?”. „Tylko przystojnym”.
- O której kolacja?
- Przyjdź o wpół do szóstej.
- Mam coś przynieść?
- Prochy? – sugeruje.
- Jakie?
- Jakie chcesz.
- Przynoszę butelkę lepszego wina George’a.
- Pijcie sobie, dzieciaki, sok z winogron, ale pozwólcie, że ja zostanę przy tym co zwykle.
- Ojciec Amandy robi sobie drinka i mamrocze, że niedługo będą musieli odprawić sprzątaczkę, bo podpija trunki i dla niepoznaki chrzci je wodą.
- Wystrój domu jest śmiertelnie sztywny – perkale,

wzorzyste płótna, straffordzkie bullteriery na kominku, zegar dzwoniący co kwadrans. Słowo daję, nie miałem pojęcia, że ludzie tak mieszkają. Bardzo niezydowskie, bardzo mieszczańskie i na pokaz. Fotel z otomaną i kanapą, szydełkowe serwetki pod lampami – wszystko straszliwie konwencjonalne i bliskie żenady. Amanda przynosi talerz z zakąskami – krakersy z sosem serowym i krojonymi zielonymi oliwkami z czerwoną papryką w środku.

Stół jest zastawiony porcelaną, kryształami i srebrami, przed biesiadnikami czarki z zupą.

– Pieczarkowa – oznajmia Amanda.

Zabieram się do jedzenia i spostrzegam, że jem tylko ja. Matka zanurzyła łyżkę w zupie, a ojca interesuje jedynie drink i reszta krakersów. Z początku myślę, że chodzi o modlitwę – czekają, aż ktoś ją zmówi – a potem dociera do mnie, że u nich jest tak zawsze.

Amanda patrzy na mnie. Podnoszę się, żeby pomóc jej sprzątnąć ze stołu, ale ruchem głowy każe mi zostać na miejscu. Sprząta sama, a potem wraca z talerzami obiadowymi – najpierw podaje ojcu i mnie, potem matce i sobie. Po cztery paluszki rybne dla niego i dla mnie, po dwa dla niej i matki. Po sześć ziemniaczanych placuszków serowych dla mężczyzn, po cztery dla kobiet. Trzy szparagi i pół smażonego pomidora.

– Bardzo duża porcja – mówi matka. – Nie dam rady zjeść wszystkiego.

– Postaraj się – nalega ojciec.

– Smaczna ta ryba – stwierdza matka.

– Mrs Paul’s – informuje mnie Amanda, odgryzając kęs paluszka. A później wyjaśnia, że rodzinne menu jest oparte na daniach z jej szkolnej stołówki – paluszkach rybnych, spaghetti z klopsami, zupie pomidorowej z grzankami serowymi, cynamonkach. – Z jakiegoś powodu matka zachowała wszystkie powielaczowe jadłospisy. Nazywa to swoją książką kucharską.

– Co na deser? – pyta matka, jak tylko Amanda podaje rybę.

– Ciasto z bitą śmietaną i owocami.

To zachęca ojca do wspomnień, jak na Wimbledonie jadł truskawki ze śmietaną.

– W czasach gdy w tenisa grano rakietami.

Nikt tego nie komentuje. Przypuszczam, że ma na myśli drewniane rakiety.

– Pozwólcie, że zapoznam was trochę z tym, czym się zajmuję – mówi, pochylając się. – Jestem kimś, kto wyceniłby wasze życie, gdybyście teraz umarli. Oszacowałbym, kim byliście, co moglibyście osiągnąć i czego spodziewała się po was rodzina. To wielka odpowiedzialność. Wszyscy uważają się za bardziej wyjątkowych, niż są. Niekiedy wybieram kogoś i rozważam, jak ocenić jego życie.

– Na przykład kogo? – pytam.

– Williama F. Buckleya.

– Umarł – stwierdza Amanda.  
– Kiedy?  
– Kilka lat temu.  
– Szkoda, wartościowy człowiek. No to Matki Teresy – proponuje.

– Też nie żyje.

– Ile pan by za nią dał? – pytam.

– Nic. Nie miała rodziny, zobowiązań, żadnego dochodu. Jest nic niewarta. Ciekawe, no nie? – mówi z entuzjazmem. – Może ketchupu, sosu koktajlowego? Czasem lubię podostrzyć danie.

Amanda idzie do kuchni i wraca z przyprawami.

– Na pewno zostawię ci dobry napiwek – mówi ojciec, a ja nie wiem, czy sobie żartuje.

– Kawa czy herbata? – pyta Amanda.

– Więcej nie dam rady – zastrzega matka.

Zjadła ćwiartkę pomidora, dwa szparagi, pół paluszka rybnego i dwa placuszki.

– Wiem od córki, że lubi pan nauki społeczne. Przeczytał pan kiedyś raport Komisji Warrena? – pyta ojciec.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Nie mogłem się od niego oderwać. Czytam drugi egzemplarz, pierwszy wpadł mi do wanny. Wciąż go wertuję. Nie wiem dlaczego, nie mam pojęcia, czego szukam. Jest jak kryminał Agathy Christie. Pewien gość z mojej branży nieoficjalnie przysięgał, że Jack Kennedy

zginął przez własny gorset.

– Słucham?

– Pan obejrzy film. Widać, jak po pierwszym strzale Kennedy się osuwa, ale potem podskakuje w górę. Dlatego że nosił gorset podtrzymujący kręgosłup. Drugi strzał trafia go w makówkę. – Puka się w głowę, a potem, jakby mówił do siebie, pyta: – Ile tam było strzałów?

– Trzy?

– Właśnie... Myśli pan, że to był spisek? Wszystko przez jego arogancję – ciągnie, zanim mogę odpowiedzieć. – Podczas przyjęć państwowych zabierał panie na górę, a żonę zostawiał przy stole bankietowym. Daj Boże każdemu mieć tak chory krzyż jak on... wie pan, do czego piję. Mówię panu, zaliczył o jedną kobietę za dużo i jakiś mafioso z Miami z dzieciakiem ciut za bardzo podobnym do Kennedy'ego zapragnął zemsty.

– Ciekawe – mówię. – Pierwsze słyszę.

– Hrmff – chrząka gniewnie, jakby miał do czynienia z idiotą.

– Tato – interweniuje Amanda – Harry'ego nie interesuje Kennedy, jest nixonistą.

Zbiera ze stołu. Wstaję i jej pomagam. Kiedy płucze talerze w kuchni, przyciskam się do niej.

– Nie. Wykluczone – mówi.

– Dlaczego?

– Nie w domu moich rodziców.

– Nigdy nie robiłaś tu tego z chłopakiem? Nie grałaś

w pokoju wypoczynkowym w butelkę?

– Nasz jest w niewykończonej suterenie.

Łypie na mnie wyzywająco.

Kiedy wracamy, jej ojca nie widać, a matka siedzi w salonie z książką. Podnosi na nas wzrok.

– Pamiętasz, jak nazywałam ciebie i twoją siostrę Samanthę Salamandą? – pyta. – Łącząc wasze imiona? Uwielbiałam to. „Chodź, Salamando, czas wyjść z wody”.

– Ja też to uwielbiałam. – Na rzadką chwilę twarz Amandy łagodnieje. – Nie wiesz, gdzie tata?

– Nie mam pojęcia.

– Zaraz wrócę – mówi Amanda, odchodząc, żeby poszukać ojca.

– Nixon lubił kłaść na twaróg ketchup – próbuję nawiązać rozmowę z jej matką. – Jego śniadanie składało się zwykle z twarogu z ketchupem lub czarnym pieprzem, świeżych owoców, kiełków pszenicy i filiżanki kawy.

– Założę się, że nie tym karmiła go matka, gdy dorastał. Matka Cyrusa stale robiła sadzone jajka z suchym pszennym tostem. Zabrało mi lata, żeby zaczął porządnie śniadać... Gdzie tata? – pyta powracającą Amandę.

– Położył się do łóżka. Uznał ten wieczór za skończony.

– No, to po wieczornej grze – mówi matka. – Mieliśmy zagrać w scrabble. Twój ojciec to bardzo dobry strateg.



O wpół do ósmej jestem w domu. Niebo jest jeszcze jasne. Powietrze brzemienne zapowiedzią wiosny. Z każdym dniem światło utrzymuje się nieco dłużej, rośliny pokrywają się coraz bardziej pluszową zielenią. Słyszę świerszcze, w oddali szczekają psy.

Na frontowej werandzie czeka ciotka Ricarda.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Kręci głową.

– Mąż jest zazdrosny, że tyle czasu spędzam z Ricardem – mówi. – Czy Ricardo nie mógłby na jakiś czas zamieszkać tutaj? Robiłabym to co dotychczas – gotowałabym mu, sprzątała, prała – ale zostałby z panem.

– Musi chodzić do szkoły.

– Jego szkoła jest niedaleko, dojeżdża autobus.

– A co na to Ricardo?

– Proszę pana. Zabraliście mi siostrę i zostałam z tym chłopcem, z którym sobie nie radzę. Pan ma pieniądze, może mu pan pomóc. Bardzo kochałam siostrę, ale nie jestem gotowa. Dlaczego rujnować życie wszystkim? Miły z pana galant.

Miły galant? Powiedziała „galant”, a myślała „palant”?

– Pani nie może tak po prostu oddać mi Ricarda – perswaduję.

– Dlaczego?

– Na to potrzeba urzędowej zgody.

– Ale on jest obywatelem Stanów. Tu się urodził.

– Zobaczę, co da się zrobić – mówię, gdyż wolę nie

tłumaczyć jej zasad systemu opieki społecznej. – A tymczasem wezmę go na weekend. Zrobimy sobie piżama party.

– Był maminsynkiem.

Płacze.

– Proszę, niech pani nie płacze – mówię, sam bliski płaczu.

Pociąga nosem, żeby się opanować.

– Ma pan czego płakać? – pyta. – Taki duży biały mężczyzna z dużym domem?

Ni stąd, ni zowąd przychodzi kartka od George'a. Zdjęcie przedstawia hotel w Miami. Poczta jest mocno sfatygowana. Tak jakby latami okrążyła glob na dnie walizki.

*To miejsce wygląda właśnie tak, jak myślałem. Wieczorem przy ognisku inni szkolą mnie, jak otwierać wytrychem zamki, i uczą rękodzieła – sporządzania betonowych butów z trawy i łajna. Nie zapomnij przyciąć moich bylin.*

Ta pocztówka bez adresu nadawcy uświadamia mi, że nie mam żadnego kontaktu z bratem – żadnego adresu

ani telefonu w razie nagłego wypadku. Dzwonię do biura dyrektora Sadyby.

– Dzień dobry, dziękujemy za kontakt z Sadybą, nowym ośrodkiem konferencyjnym w sercu Adirondacks.

Wyjaśniam, że chcę mówić z dyrektorem medycznym.

– Jedną chwilę, proszę.

Łączą mnie z wewnętrznym.

– Dział Zasobów Ludzkich. Szuka pan zatrudnienia?

– Nie – odpowiadam gderliwie i powtarzam swoje. – Dyrektor medyczny powiedział, że pracuje do sierpnia. Czy ktoś wie, gdzie przebywa mój brat George?

Na linii pojawia się kierownik DZL:

– Czasem zmiany zachodzą szybciej, niż oczekiwano – za sprawą splotu okoliczności: wykupu firmy, wakacji i dużej konferencji zarezerwowanej na koniec lipca – ale nie słyszał pan tego ode mnie. Sprawdź, czy ktoś ma dostęp do tej informacji, i oddzwonimy do pana.

Dzwonię do Rutkowskiego, prawnika, który, o dziwo, odbiera po pierwszym sygnale.

– Wie pan, gdzie jest George? – pytam.

– Nie mam pojęcia, ale dobrze, że mi pan przypomniał. Niech pan zaczeka. – Słyszę odgłosy przeglądania akt. – Najwyraźniej wciąż czekamy na dokumenty. Mógł się zagubić w systemie.

– Ma pan jakiś adres? Zna pan sposób, jak mu przesłać listy, paczki? Zbliżają się jego urodziny.

– Mam kartkę z adresem Waltera Penny’ego. Może pan na ten adres wysłać coś dla George’a, na pewno dojdzie.

Zapisuję adres, który podał.

– W Sadybie powiedzieli mi, że dyrektora już nie ma. Czy on nie jest pańskim krewnym? – pytam.

– Jesteśmy w separacji – mówi Rutkowski. – W tej chwili z nim nie rozmawiamy. Prawdę mówiąc, w sprawie przeciw niemu reprezentuję swoją siostrę, dlatego z uwagi na konflikt interesów zamierzam przekazać akta George’a Ordy’emu, innemu adwokatowi z naszej kancelarii.

Jestem w centrum handlowym z Cheryl. Chodzimy od sklepu do sklepu. Dokonałiśmy postępu. Nie spotykamy się już w jednym z tanich moteli, gdzie w obawie przed pluskwami Cheryl ściąga starą szenilową narzutę, kładzie na łóżko warstwę zielonych worków na liście, przykrywa je starym białym prześcieradłem i pieprzymy się jak pijani kierowcy, ślizgając się tam i sam. Dziś zamiast tego wałaszamy się bez celu, w pełni ubrani, pod sufitem ze świetlików pseudotropikalnego raję.

– Jesteśmy tu dla zażycia ruchu czy szukamy czegoś konkretnego? – pytam.

– Kanapy i patelni teflonowej – wyjaśnia, jakby zależało jej jednakowo na obydwu.

Włosy ma tym razem zaplecione w krótkie jasne warkoczyki, jakie mogłaby nosić ośmiolatka. Jestem tym lekko zakłopotany, ale nic nie mówię.

– Nadal się z nią widzisz? – pyta.

– Tak jakby. Ale czuję się niezręcznie w dwóch związkach naraz.

– Dlaczego?

– Gubię się.

– W jakim sensie? Bo jeden z nich to dymanko z litości?

– Czy ja wiem. Co to jest dymanko z litości?

– Pukasz ją, bo jej współczujesz.

– Nie współczuję.

– Zależy ci na niej? Ona wie o mnie?

– Myślę, że wie.

– Powiedziałeś jej?

– Ma to gdzieś. Nic ode mnie nie chce. Zero zaangażowania. Po prostu mnie chce, kiedy chce. Twierdzi, że to nic osobistego, tak po prostu jest.

Pośrodku centrum handlowego stoi słup w kształcie kartonu mleka, przeznaczony dla osób zaginionych. Oblepiają go plakaty z Heather Ryan, ogłoszenia o Oknach Życia i o ośrodkach Ofiar Przemocy w Rodzinie. Duży trwały napis głosi: „Jesteś w ciąży? Szukasz anonimowej pomocy? Zadzwoń”. Pomarańczowa słuchawka czeka w pogotowiu.

– Zawsze tu był? – pytam.

– Tak – potwierdza Cheryl, nie patrząc.

Wychodząc z któregoś ze sklepów, dostrzegam Dona DeLillo. Nasze spojrzenia się spotykają. Wpatruje się we mnie, jakby pytał: Na co się gapisz?

– Wszędzie pana spotykam.

– Mieszkam tu – mówi.

– Pan wybaczy, jestem pańskim fanem.

Kiwa głową, ale milczy.

– Mogę o coś spytać?

Nie mówi tak, nie mówi nie.

– Jak pan myśli, czy Nixon maczał palce w zabójstwie JFK?

DeLillo wpatruje się we mnie z ponurym, wężowym uśmiechem.

– Interesujące pytanie – mówi i odchodzi.

– Powinieneś ją rzucić – stwierdza Cheryl, którą całkowicie ominęła poprzednia wymiana słów. – Nie komplikuj sobie życia.

Zmieniam temat.

– Szukamy czegoś konkretnego? – pytam.

– Już mówiłam, kanapy i patelni teflonowej. O, tu jest to, czego chcę: wejdziemy do Macy's, wybiorę jakąś bieliznę, a potem podejdziesz do przebieralni, spytasz: „W której kabinie jesteś?” i...

– I co?

– Wejdiesz i mnie obsłużysz – na kolanach, językiem – a ja będę na to patrzeć w potrójnym lustrze i być może

nakręcę telefonem małe wideo. Będzie na nim tył twojej głowy, tak że nikt cię nie rozpozna.

– Widzę, że dużo o tym myślałaś.

Wzrusza ramionami.

– Aresztują nas.

– Za co?

Dzwoni moja komórka. Amanda. Początkowo nie odbieram, ale kiedy dzwoni ponownie, Cheryl ponagla mnie, żebym odebrał.

– Nie bądź z mojego powodu nieuprzejmy – mówi.

– Halo?

– Złapali tego gościa, mordercę Heather Ryan. Jej rodzice sprzedali mu przez internet stare łóżko. Okazało się, że w materacu był zaszyty jej pamiętnik. Facet wpadł w obsesję i zaczął ją śledzić. Jej chłopak, ten, z którym niedawno zerwała, poznał go. Gość twierdził, że jest jej nowym chłopakiem, i powiedział mu o wszystkich intymnych sprawach, które poznał z pamiętnika. Kiedy były chłopak spotkał się z Heather i ta zaprzeczyła, jakoby chodziła z kimś nowym, oznajmił: „On wie o tobie wszystko, wie o tobie więcej niż ja. A poza tym widziałem cię z nim, szliście przez kampus. Łazi krok w krok za tobą, a kiedy się zbliżam, odchodzi...”. W każdym razie Heather i Adam się rozstali, a wtedy ta kreatura wkroczyła do akcji, no i wyszło, jak wyszło...

Amanda mówi tak głośno, tak wyraźnie, że ze słuchawki wylewa się każde słowo.

– O rany – mówię. – Dzięki za telefon.

– O rany?! Tylko tyle masz do powiedzenia? Dziwny jesteś.

Patrzę na Cheryl, która naturalnie wszystko słyszała.

– Bardzo mi ulżyło, czekam niecierpliwie na więcej szczegółów. Nie żebym ci nie wierzył, ale chcę to sprawdzić z innych źródeł.

– Nieważne.

Amanda kończy rozmowę.

– Co za ulga! – mówi Cheryl. – Od razu mi lepiej.

– Dlaczego? – pytam.

– Bo nie jesteś tym gościem, który to zrobił – mówi z uśmiechem.

– Myślałaś, że to ja?

– Nie, ale ty tak myślałaś.

– Dlaczego tak sądzisz?

Czuję się dziwnie obnażony. Cheryl przewraca oczami.

– To właśnie kocham w mężczyznach – przezroczyść. Aha, przy okazji, ty z nią chodzisz – stwierdza. – Ona może tak nie myśleć, ty możesz tak nie myśleć, ale ja to wiem.

– Nadal chcesz iść do Macy's? – pytam.

Kręci głową.

– Może kiedy indziej.



Na urodziny kupuję George'owi iPada i przed wysłaniem tabletu wraz z ładowarką słoneczną na adres z kartki Waltera Penny'ego wgrywam zdjęcia dzieci i muzykę z domu.

„Wesołych urodzin, bracie!”.

Zapisuję się na lekcje hiszpańskiego w miejscowym Casa Española. W mojej grupie są: kierownik z McDonald's, gość z firmy specjalizującej się w architekturze krajobrazu i kobieta, która „dobrze wyszła za mąż” i chce lepiej porozumiewać się ze „służbą”.

Ze szkoły Ashley dzwoni pielęgniarka, żeby poinformować:

– Nie ma powodów do obaw, ale... Ashley ma infekcję skóry. Konsultowaliśmy się z doktorem Faustusem i chcemy uzyskać pana zgodę na zaaplikowanie jej serii antybiotyków.

– Oczywiście – mówię. – Mam zrobić coś jeszcze?

– Nie w tej chwili – odpowiada tajemniczo.

Rozmawiam z Ashley, ale nie pytam o infekcję. Dyskutujemy o *Romeo i Julii* i jej wypracowaniu na temat telenowel.

– Idzie mi dobrze – mówi. – Oglądam je od pierwszej do trzeciej i robię notatki. Pracuję nad referatem

o narracji w telenowelach jako współczesnym teatrze odgrywanym na publicznym placu, gdzie sceną jest telewizyjny ekran.

– Brzmi wyrafinowanie.

– No. Najważniejsze, że dostosowują zadania do zainteresowań ucznia, więc jeżeli coś cię naprawdę interesuje, to daleko zajdziesz. Ten referat to coś na poziomie ósmej klasy – stwierdza Ashley, a pod koniec rozmowy mówi: – Dobra, przyjdzie do ciebie list, dlatego wolę ci wyjaśnić parę rzeczy, żebyś wiedział, jak się sprawy mają. – Robi przerwę. – Nie było żadnego „klubu” tatuażu, tylko nas trzy. Zrobiłyśmy sobie nawzajem amatorskie tatuaże – nic wielkiego, tylko że potem inna grupa dziewczyn wybrała się do miasta i zrobiła sobie prawdziwe. Dlatego Georgia z mojej grupy uznała, że będziemy mówić o skaryfikacji i że nasze tatuaże są celowo brzydkie. Zapoznała się z dawnymi tradycjami nacinania skóry, we trzy odbyłyśmy rytuał i wtarłyśmy sobie w rany kompost, stąd infekcja. Nie był to mój pomysł. W każdym razie rodzice dowiedzieli się o „klubach” i spanikowali. Dlatego szkoła rozsyła ten list o zakazie nowych tatuaży wśród uczennic i personelu ple-ple-ple.

– Jaki był twój tatuaż? – pytam.

– Koziorożec – stwierdza, jakby to był pewnik.

Wieczór spędzam przyklejony do telewizora. Relacja Amandy o mordercy Ryan się potwierdza. Rodzice Heather zidentyfikowali nabywcę łóżka, a pamiętnik znaleziono w jego samochodzie wraz z kosmykami jej włosów.

Dzwonię do Amandy, udając bibliotekarza monitującego w sprawie przetrzymanej książki. Odbiera matka.

– Dobry wieczór, wypożyczalnia książek. Czy zastałem Amandę? – pytam.

– Jedną chwilę, proszę.

– Kto to? – słyszę w tle jej głos.

– Twój mąż – odpowiada matka, przekazując jej słuchawkę.

– Halo – mówi skonsternowana.

– Co było dziś na kolację? – pytam.

– Zmieniłam menu. We wtorek podałam im środowe, żeby sprawdzić, czy zauważą. Paluszki z kurczaka i makaron rurki z serem. Ani słowa, tyle że kiedy zasiedli do stołu, ojciec powiedział: „Chcemy się upewnić, że do tego dania będą cynamonki”. „Oczywiście”, obiecałam, chociaż planowałam podać im ciasto bezowe. Jestem elastyczna.

– Mam pomysł. Rozstawmy za domem twoich rodziców namiot i zrobmy piżama party.

– Dla rodziców?

– Dla nas. Możemy się przespać w namiocie.

– Nie spałam dotąd poza domem.

– Ja też.

– Zawsze się bałam.

– Nawet przy domu?

– Siostra i ja wyruszyłyśmy odważnie z latarkami i słoikami po majonezie pełnymi świetlików, ale gdy tylko zrobiło się naprawdę ciemno, gdy tylko światła w sąsiednich domach zaczęły gasnąć, spanikowałam i wbiegłyśmy do środka.

– Zauważyliby nas, gdybyśmy rozstawili namiot?

– Gdzie tam. W ogóle nie wyglądają przez okna.

– Piątek? – proponuję.

– Pomyślę o tym.

– Plan gotów – mówię i rozłączam się podekscytowany.

Wyciągam namiot, dmuchany materac, pompkę na baterie, śpiwory, nowe baterie do latarek. Ładuję do wielkiej brezentowej torby spray na owady, poduszki i stary czarno-biały moniterek, żebyśmy mieli oko na rodziców Amandy.

Jemy z nimi kolację. Zakradam się na górę, montuję kamerki, a potem mówię dobranoc i wybywam. Dumny ze swojej szczwaności, wychodzę przez drzwi od frontu i chyłkiem okrążam dom.

Macham ręką Amandzie, która jest w kuchni. Przez krótką chwilę powraca melancholijne wspomnienie – jej żółte rękawiczki przypominają mi o Jane, o tamtym

Święcie Dziękczynienia.

Amanda kończy zmywać, odprawia rodziców na noc, a ja za domem – tak jakbym na powrót był dzieckiem – dekoruję podwórko sznurami bożonarodzeniowych lampek, które znalazłem w piwnicy George'a. Dekoruję i myślę o Amandzie. Czy kiedyś poznam ją naprawdę? W domu jest jedną osobą, a poza nim kimś całkiem innym – wewnątrzno-zewnątrzno- osobowością.

Wychodzi około wpół do dziesiątej, ofiarowując mi siebie. Staje przede mną w świetle latarni, zdejmuje ubranie, a potem, spłoszona, sądząc, że usłyszała coś, czego nie widać na monitorze, ubiera się i idzie sprawdzić, co z rodzicami.

W odwróconej roli dziecka sprawdzającego rodziców Amanda cały czas myśli, że dzieje się z nimi coś złego, więc wraca co dziesięć, piętnaście minut, bojąc się, że upadną i połamią biodra, że w domu zbiera się czad, wycieka gaz, który wysadzi budynek w powietrze, że przestraszą się ciemności, że zachce im się szklanki wody, łyka whisky, kieliszka przed snem.

Wbrew moim nadziejom na upojny wieczór jest on o wiele mniej erotyczny, niż na to liczyłem. Dmuchany materac kląska, ziemia pod nim jest zimna i twarda. Około wpół do dwunastej, gdy robimy to oboje z umiarkowanym sukcesem, na ziarnistym czarno-białym monitorze widzimy, że jej ojciec opuszcza pokój. Kilka sekund później wchodzi do sypialni żony, ściąga

z niej koc, zadziera w górę jej koszulę nocną i kładzie się na śpiącej.

– To ją chyba boli – mówi zszokowana Amanda.

– Trudno powiedzieć.

Na małym monitorze matka próbuje go z siebie zrzucić. Opędza się przed nim jak przed wielkim natrętem, olbrzymią muchą, która ją przygwaźdza, przydusza ciężarem.

Amanda wpatruje się w mały ekran. Z pizamy ojca sterczy jego ekwipunek.

– Mój ojciec gwałci matkę?

– Możliwe. Przekonamy się rano.

– Nie do wiary, jak bardzo jesteś zblazowany.

– Nie czuję się zblazowany, po prostu nie wiem, jak zareagować. Wejść do domu i zrobić im piekło? Chcesz ich przyłapać na gorącym uczynku? A jeżeli oni tak to robią, jeżeli zawsze tak robili? Szpiegujesz ich, pamiętaj. To wprawdzie emeryci, ale mają swoje prawa i nie są pozbawieni uczuć, przynajmniej jedno z nich.

Jest na mnie wściekła.

– Jeżeli tak się o nich ciągle martwisz i są dla ciebie ciężarem, to dlaczego nie oddasz ich do domu starców?

– Idź do diabła! – ofukuje mnie, gasi monitor, odsuwa się ode mnie i udaje, że śpi.

Spędzam w biurze trzy dni w tygodniu. Mam identyfikator, żeby wejść i wyjść z budynku, pokój i toaletę. Przydzielono mi małe pomieszczenie z wąskim oknem. Ching Lan siedzi w boksie na zewnątrz. Często zapraszam ją do siebie, żeby poczytała mi opowiadania Nixona. Szlifuje angielski. Interesujące słyszeć jego słowa wymawiane z silnym akcentem chińskim.

Dziewięć opowiadań bliskie jest formy ostatecznej. Przeglądam je, rozplątuję narracyjne nici, przycinam zbędne dygresje. Jak na przeciwnika czczej paplaniny Nixon w swojej prozie jest bez mała przegadany.

– Jak najłatwiej mógłbym skontaktować się z panią Eisenhower? – pytam Wandę. – Chciałbym, żeby rozważyła przesłanie jednego z opowiadań któremuś z magazynów.

– Przekażę jej – obiecuje. – Jakie to magazyny?

– „New Yorker”, „Atlantic”, „Harper’s”, „Vanity Fair”. Możemy nawet spróbować, co nam szkodzi, przesłanie go „Paris Review”.

– A co z „McSweeney’s” i „One Story”? – pyta. – Są skłonne do ryzyka.

– Dobrze, poszerzymy zakres, roześlijmy je wszędzie – zgadzam się, nie chcąc dać poznać, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Studiowałam też kompozycję literacką – kończy

zręcznie rozmowę, a po godzinie, dzwoniąc do mojego biura, w którym telefon rozbrzmiewa po raz pierwszy, mówi: – Pani E. jest na linii. Połączy się pan, naciskając mrugające światelko.

– Wielkie dzięki. – Po minutowej wymianie uprzejmości składam propozycję. – Po opublikowaniu najpierw kilku opowiadań łatwiej byłoby umieścić gdzieś ich zbiorek. Jedno opowiadanie jest gotowe do publikacji, pytanie tylko, pod jakim nazwiskiem.

– O czym pan mówi?! – pyta dość agresywnie pani Eisenhower, jakby podejrzewała, że mam na myśli swoje własne.

– Richard Nixon? R.M. Nixon? Zależy, na jaki stopień „jawności” jest pani zdecydowana, jak oczywista ma być tożsamość autora.

– Ciekawe. Pozwoli pan, że przedyskutuję to z rodziną i dam znać, co postanowiliśmy. Prześle mi pan to opowiadanie?

– Oczywiście. Chce pani czysty egzemplarz czy z wszystkimi poprawkami?

– Jeśli łaska, oba.

Przeczytałam opowiadanie – mówi wyważonym tonem w następnym poniedziałek pani Eisenhower. – Oryginalna wersja liczy tysiąc sto siedemdziesiąt słów. Pańska mniej niż osiemset.



– Tak – potwierdzam. – Ciężko pracowałem, żeby skrócić je do rozmiarów nazywanych „krótką formą”.

– Skrócił je pan mocno.

– Ważna jest nie tyle objętość, ile wymowa. Z uwagi na niezbyt bogate słownictwo nie byłem pewien, na jak długo tekst przykuje uwagę czytelników, nim dotrą do puenty.

– Do „piździelca”?

– Tak, tak brzmi puenta.

Milczy chwilę.

– Ojciec nie był obdarzony poczuciem humoru, ale kiedy sobie pofolgował, było na co patrzeć. Bębnił na pianinie, doprowadzając mamę do szału. Pękałyśmy ze śmiechu. Zachowałam listy, które pisał do mnie, kiedy byłam mała – strasznie oficjalne, pełne dobrych rad. Chciał, żeby wszystko szło jak najlepiej, ale często czuł się bardzo wyobcowany. Do wszystkiego musiał znaleźć własną drogę. Takie życie odcisnęło swoje piętno, i to bardziej na mojej matce niż na nim – rozmyśla na głos i raptem urywa. – A więc dobrze, niech pan je wyśle – decyduje. – Podpisane „Richard M. Nixon”.

– Dziękuję.

Odkładałam słuchawkę i szkicuję list przewodni:

*Droga Pani Treisman,  
w załączeniu przesyłam krótkie opowiadanie o znaczeniu historycznym. W minionych miesiącach miałem obowiązek*

*i przyjemność wydobyć na światło dzienne opowiadania zebrane słynnego R.M. Nixona. Dopiero niedawno, po przekazaniu serii pudeł z zapiskami Nixona, od dawna znanego z robienia obszernych notatek na wszelkie tematy, dokładnie zbadano zawartość zbioru. Jest Pani pierwszą czytelniczką tego tekstu, gdyż nie wyobrażam sobie lepszego miejsca na jego publikację niż strony „New Yorkera”. Z zapartym tchem czekam na Pani odpowiedź.*

*Z góry dziękuję,  
Harold Silver*

Mój telefon znów dzwoni.

– Nie jestem gotowa na publikację – oznajmia pani Eisenhower. – Proszę kontynuować pracę. Porozmawiamy, kiedy zbiór będzie skończony.

– Oczywiście – mówię.

Mój balonik został przekłuty.

Ricardo przyjeżdża na tydzień. Wożę go do szkoły, wraca szkolnym autobusem. Zasady domowe: w tygodniu żadnej telewizji, żadnych gier wideo, żadnego cukru.

– I co w tym do polubienia? – pyta.

– To, że się tobą zajmuję.

Późnymi popołudniami gramy, odrabiamy lekcje, wyprowadzamy psa. Sprawdzam jego ortografię, matematykę, pilnuję, żeby się kąpał, brał lekarstwa. Robię mu lunch i pakuję kanapki na powrotną jazdę autobusem. Pod koniec tygodnia gotów jestem przysiąc, że Ricardo się poprawił. Nie wiem, czy faktycznie, czy też się do niego przyzwyczaiłem.

Dzwonię, żeby sprawdzić, co z przyznaniem mi opieki zastępczej.

– Mogę tylko potwierdzić, że pańskie papiery wpłynęły do systemu – informuje urzędniczka wydziału opieki społecznej. – Ma pan listy polecające, zaświadczenia, pismo z banku, świadectwo zdrowia psychicznego?

– Czekałem na wiadomość od was, co robić dalej.

– Proszę na nas nie czekać, tylko działać, a my skontaktujemy się z panem.

– Dobrze. Polecacie jakiegoś psychiatrę? Kogoś „z systemu”?

– Nie mam pojęcia. Jestem nowa, zwykle pracuję w Biurze Praw Jazdy i Rejestracji Pojazdów. Pan zaczeka, spytam.

Czekam tak długo, że wydaje się to wiecznością.

– Nie znalazłam nikogo, kto wie, więc zajrzałam do akt rodzin zastępczych. Oto kilka nazwisk lekarzy, z których korzystali.

Zapisuję je. Googluję po kolei i wybieram psychiatrę,

którego gabinet jest najbliżej.

Dzwoni kuzyn Jason z wiadomością, że dostał mejla od George'a.

– Czy to nie dziwne? Myślałem, że siedzi w więzieniu.

Nie wspominam, że na urodziny sprawiłem mu iPada.

– „Zaprzyjaźnił” się ze mną na Facebooku i przesłał wiadomość: „Zawsze wiedziałem, że jesteś gejem, przepraszam cię za obciach na rodzinnym obiedzie”. Zastanawiałem się, czy nie trafił do grupy terapeutycznej i nie odpokutowuje. Nie wziąłbym tego na poważnie, gdyby nie konkrety. Podziękowałem mu. Wczoraj napisał, że moi znajomi na Facebooku są tacy męscy i przystojni, więc na pewno dużo się „bzykam”. Nie wiedziałem, jak zareagować, więc nie odpowiedziałem. Dziś dostałem następnego mejla z pytaniem, czy znam kogoś w Ziemi Świętej, kto ma konto bankowe.

– A jaki był adres mejlowy?

– Drwal224@aol.com.

Zapisuję.

– Kto wie, czy nie związał się z jakimś kultem albo zaangażował w jakąś dziwną działalność, a może ktoś przywłaszczył sobie jego adres. Raz mi się to zdarzyło. Wszyscy moi znajomi dostali mejle z wiadomością, że obrabowano mnie w Londynie i natychmiast powinni przesłać mi pieniądze. Kosztowało to moich kumpli parę

tysięcy dolarów.

– Zbadam sprawę – zapewniam. – A co tam u ciebie?

– W porządku.

– A u matki?

– Zgodnie z oczekiwaniami.

– Jason, zjadłbyś kiedyś ze mną kolację?

– W śródmieściu?

– Tak, byłoby miło.

– To nie musi być nic długiego i wielkiego – zastrzega.

– Jasne.

– Szybka przekąska gdzieś tam.

– Szybka przekąska – powtarzam jak echo.

– Wybacz, że spytam: chodzi o coś konkretnego? Masz coś w planie czy chciałbyś pomówić o czymś konkretnym?

– Nie, nic takiego.

– Świetnie, więc możemy się kiedyś umówić. Ale nie w tej chwili.

– Dobrze, daj mi znać, jak ci będzie pasowało.

Odkładam słuchawkę i zaczynam się zastanawiać: wysłać mejla do George'a, a może skontaktować się z AOL i dowiedzieć się, czy to rzeczywiście jego konto. Nie zależy mi chyba tak bardzo na łatwo dostępnym „kontakcie” z bratem. Nie przestaję rysować kółek wokół jego adresu, aż zaczyna to przypominać rysunek wykonany spirografem. Na wszelki wypadek przypinam kartkę do ściany obok lodówki...

Dzwoni ponownie Sara Singer, dyrektorka szkoły Ashley.

– Nie będę owijała w bawełnę – mówi. – Sądzę, że w najlepszym interesie Ashley będzie, jeśli odejdzie ze szkoły.

– Wywalacie ją?

– Chronimy.

– Przed czym, przed ciałem pedagogicznym?

– I innymi uczennicami. Robi się nieprzyjemnie. Ashley zasługuje na bardziej przyjazne środowisko.

– Nie wylewajmy dziecka z kąpielą. Młoda dziewczyna, zmagająca się ze śmiercią matki i rozpadem rodziny, padła ofiarą nauczycielki, która ma władzę i powinna nieść pocieszenie, być moralnym kompasem. Wy tymczasem patologizujecie zachowanie Ashley.

– Ulega wpływom gejów i lesbijek.

– Nie miałem pojęcia, że w waszej szkole są gangi.

– Nie gangi, preferencje seksualne. Związała się z homoseksualnymi uczennicami i osobami zdeorientowanymi przez gender. Szczerze mówiąc, wątpię, czy to miejsce dla niej. Ta sprawa wywołała spore zamieszanie, coś w rodzaju „kto się nad nią bardziej uzali”, jak w eksperymencie, w którym dzieci noszą przez tydzień jajko i muszą o nie dbać jak o dziecko... W tym wypadku różne frakcje walczą o to, która z nich powinna wziąć Ashley w opiekę, a gronu nauczycielskiemu, jak może pan sobie dośpiewać, związało to ręce. Czas

pomyśleć o innym rozwiązaniu.

– Już sobie dośpiewuję – mruczę.

– Byłoby miło, gdyby odeszła jak najszybciej, umożliwiając innym uczennicom odzyskanie spokoju.

– Kiedy miałyby opuścić szkołę?

– Im prędzej, tym lepiej. Wiem, że do końca roku szkolnego zostało niewiele, ale sytuacja jest wybuchowa. Gotowa jestem zwrócić panu pełne chesne wraz z depozytem za następny rok, w sumie siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Damy też panu mocny list polecający, a na ostatni semestr nauki zaproponujemy Ashley jakieś praktyki. Mogłaby kontynuować swoje zainteresowanie telenowelą, mam kogoś, kto może to załatwić. Wspomniała, że chciałyby pracować w ABC w Nowym Jorku, ale moja koleżanka z college’u prowadzi w Scarsdale lokalny amatorski teatr kukielkowy o nazwie Higgledy Piggledy Pop. Myślę, że to dobre miejsce dla Ashley. Mogłaby napisać pracę roczną na ten temat, łącząc swoje zainteresowanie teatrem, lalkarstwem i fabułami telenowel.

– Ambitne zadanie dla jedenastolatki. A co na to wszystko ona?

– Jest w swoim pokoju i się pakuje. Z ciężkimi rzeczami pomagają jej lesbijki.

– No cóż, nie wiem, czy te siedemdziesiąt pięć tysięcy załatwi sprawę. – Co pan rozumie przez „załatwi sprawę”?

– Zważywszy, jak odbije się to na jej nauce w szkole, jak też na jej rozwoju emocjonalnym, naruszenie zaufania...

– Mogę się zgodzić na sto pięćdziesiąt – przerywa mi.

– Rozmowa zaczyna się od dwustu pięćdziesięciu – oznajmiam.

– Muszę się z tym zwrócić do zarządu.

– Ashley nie opuści szkoły, dopóki nie będę miał czeku w rękę.

– Mogę do pana oddzwonić?

– Proszę.

Odkładam słuchawkę, zadowolony z siebie, że tak mocno naciskałem w interesie bratanicy.

Godzinę później Sara Singer dzwoni.

– Czek będzie gotowy do jutrzejszego południa – informuje. – Dziś Ashley zanocuje u mnie.

– Jako zakładniczka?

– Dla bezpieczeństwa. Chcemy, byście pan i Ashley podpisali zobowiązanie, że pod żadnym pozorem nie ujawnicie sprawy.

– Ja podpiszę – mówię. – Ona nie, jest niepełnoletnia.

Przed zamknięciem tak poważnej umowy finansowej czuję się w obowiązku skonsultować z Hiramem P. Moodym. Wyjaśniam mu sytuację, najlepiej jak umiem. Zamierzam mu powiedzieć, że we własnym odczuciu



dobrze się spisałem i że ugoda ta mnie zadowala.

– Dają panu, ot tak, ćwierć miliona? – pyta rozbawiony, z niedowierzaniem w głosie.

– Na to wygląda.

– Pod warunkiem?

– Zgody na nieujawnianie sprawy.

– Co oznacza, że pan ich nie oskarży.

– Nie chcę narażać tego dziecka na nic więcej.

– Czy pan wie, co się właściwie stało? Jeżeli są gotowi zapłacić ćwierć miliona, to należy się zastanowić, czy czegoś nie ukrywają – na przykład, że ta kobieta jest chora wenerycznie.

– Gdyby rozmyślnie coś zataili, wynikłaby z tego grubsza sprawa, wyczuwam jednak, że zależy im na własnej reputacji. Kiedy otrzymam czek, przekażę panu sprawę. Powie mi pan, jak najkorzystniej opodatkować te pieniądze, jak je ulokować lub co z nimi najlepiej zrobić.

– Oczywiście. Przepraszam, jeśli uraziłem pana wzmianką o chorobie wenerycznej.

– Nie uraził mnie pan – mówię, choć ta jego uwaga była dziwna. Kończę rozmowę, muszę zaczerpnąć powietrza.

Kiedy odbieram Ashley, ręce ma owinięte gazą.

– Dla dramatycznego efektu? – pytam.

Kręci przecząco głową.

- Ropa – wyjaśnia.
- Ta gaza to twój pomysł?
- Skądże.

Sara Singer przytula Ashley na pożegnanie, tak jakby wszystko było w najlepszym porządku. Kiedy się obejmują, pani Singer wręcza mi cienką białą kopertę.

- Co to? – pyta Ashley.

- Informacja o twojej praktyce – odpowiada natychmiast dyrektorka.

Przychodzi mi na myśl, że Ashley nie wie o usunięciu z grona uczennic i sądzi, że zdobyła jakąś nagrodę: przywilej wcześniejszego opuszczenia szkoły i zatrudnienia w teatrze lalkowym. Kilka przyjaciółek przebiega przez dziedziniec i ze łzami ściska ją na pożegnanie.

„Prześlij mi mejla”. „Esemesuj”. „Prowadź pamiętnik”. „Zbieraj ciekawostki na eBayu”.

Koniec z tym, Ashley – mówię, kiedy załadowanym samochodem jedziemy do domu. – Musisz powrócić na właściwe tory. Lesbijskie romanse, plemienne tatuaże... to wymknęło się trochę spod kontroli.

- W szkole z internatem? Czegoś się spodziewałeś?

- Powinniśmy odwiedzić lekarza. Może wymagasz kuracji.

- Biorę antybiotyki.

– Nie to mam na myśli. W ciągu ostatnich miesięcy miałaś tyle ciężkich przeżyć, że przydałoby ci się farmaceutyczne wsparcie.

– Czuję się dobrze. Po tamtym „wypadku”, jak wszyscy to nazywają, bo nikt nie wie, co powiedzieć, trochę mi odbiło. Żyłam sobie całkiem normalnie, potem ojciec zabił matkę, panna Renee mnie podnieciła, a teraz paprze mi się ręka i biodro, o czym wiesz tylko ty i dziewczyny, ale tak w ogóle nie czuję się chora ani nic.

Skrećam gwałtownie, żeby nie wpaść na wielkiego świstaka gramolącego się przez drogę.

– Oczywiście to tylko moje zdanie – mówię. – Mnóstwo można osiągnąć siłą woli, ale pewne leki poprawiają niekiedy samopoczucie. Masz duży potencjał, kuracja jednak może ci nieco ułatwić życie.

– Jestem za mało rozgarnięta? Wszyscy mi powtarzali, że jestem głupia.

– Nie jesteś głupia. Kto tak powiedział?

– Tata. – Ashley milknie na dłużej. – Nie chcę się stać lekofanką.

– Ja też nie chcę, żebyś była lekomanką.

– Czy nie od tego się zaczyna? Mam dopiero jedenaście lat. Jestem bardzo młoda.

Milczymy chwilę.

– Chcę sobie przekłuć uszy – mówi. – Mama powiedziała, że mogę. Mogę?

– Nie.

– Proszę.

– Może.

– W ten weekend?

– Zobaczymy. Nie wiem, czy powinienem cię nagrodzić za takie zachowanie.

Przez następne trzy dni pili mnie, ściskając moją rękę: Mogę, mogę, mogę? I w weekend jadę z nią do pewnego sklepu w centrum handlowym. Ta krzyżówka trafiki z kioskiem z gazetami, oferująca artykuły do palenia, lufki, koszulki z Jimim Hendrixem i romansidła, prowadzi też dział erotyczny. Oczekująca nas dziewczyna, zakolczykowana od stóp do głów, ma metalowe ozdoby w nosie, brwiach, wargach i języku. Trudno zrozumieć, co mówi. Jej słowa brzmią nieporadnie i nieco bełkotliwie.

Gdy czekamy, aż znajdzie pistolet do przekłuwania, szepczę do Ashley:

– Widzisz, co cię czeka, jeśli zaczniesz się tak upiększać? Jak dorośniesz, znajdziesz pracę w centrum handlowym.

Patrzy na mnie tak, jakby chciała powiedzieć, że nie kuma.

– To utrudnia inne sprawy, takie jak dostanie się na studia czy zdobycie dobrej pracy, chyba że swój aplikacyjny esej poświęcisz kulturze plemiennej i klitoridektomii.

– Czemu?

– Nieważne.

Dzwoni Walter Penny.

– Co jest?! – pyta nieprzyjemnym tonem.

– Kto jest?

– Penny. Walter Penny. Kolego, ma pan duży problem. Tak panu skroję dupę, że poczuje się pan jak po operacji zatok.

– Chyba pomylił pan numer.

– Jak mógłbym go pomylić?! – krzyczy. – Dzwonię, żeby pana opieprzyć, akademicko upośledzony idioto!

– Co to za problem?

– Międzynarodowy handel bronią.

– Nie kojarzę.

– Pewnie, że pan nie kojarzy. Pan nie kojarzy niczego! Spytam wprost: przesłał pan bratu iPada?

– Tak, na urodziny. Pomyślałem, że ucieszą go zdjęcia dzieci, że jeśli zabłądzi w lesie, będzie mógł znaleźć drogę, a w chłodne zimowe wieczory ściągnąć sobie filmy. Dla kogoś takiego jak George trudno wymyślić prezent.

– Dostarczył mu pan sprzęt do nielegalnego handlu na skalę międzynarodową. Za coś takiego zamyka się w pierdłu i wyrzuca klucz.

– W żadnym razie nie było to moim zamiarem.

– Pan otworzy pocztę. Coś panu przesłałem.

Idę do komputera i zgodnie z poleceniem otwieram pocztę – serię zrobionych z powietrza zdjęć w podczerwieni, przedstawiających George’a z iPadem w ręku. Przez ramię zagląda mu ktoś drugi.

– To pański brat?

– Wygląda jak on. A kim jest ten drugi?

– Izraelski handlarz bronią – mówi Walter Penny.

– Jak się znalazł na zdjęciu?

– To jeden z naszych więźniów z New Jersey.

– Wspomniał pan, że ten program jest wyłącznie dla zakapiorów, a nie byle umysłowców...

– Marudzi pan. To były handlarz samochodów, żydowski mafioso z Jersey, który zostawił rodzinę dla izraelskiej armii. Nim wrócił, jego żona związała się z innym. Zabił gacha strzałem z bliska podczas obiadu, przy stole, na oczach wszystkich. Czy to dziwne, że nie chcieliśmy wsadzać izraelskiego komandosa do normalnego pudła? Co pan sobie, do kurwy nędzy, myślał, przesyłając bratu „prezent”?

– Sądziłem, że przesłanie prezentu na urodziny to nic takiego.

– Otworzył mu pan bramę do wolnego świata, ciołku! Ci goście mają konta na Amazon Prime i codziennie ściągają stamtąd rzeczy: jedzenie, ubrania, pornografię!

– Walter Penny kończy krzyczeć i bierze długi, ssący oddech. – Od czego zacząć? To incydent wagi państwowej, tak poważny, że mieści się w polu

zainteresowań tajnych służb, ATF[24], FBI i CIA. Ma pan pojęcie, ile osób śledzi mój mały program pilotażowy, nad którym tak tyrałem? Ten z logo w zielone słoje drewna, ten z czterokolorowym – żółtym, zielonym, czerwonym i czarnym – drukiem?! Ma pan pojęcie, jak szybko mnie utracą? Zawiódł mnie pan, Silver. Kiedy się poznaliśmy, uznałem, że dobrze pan kombinuje, że ma zmysł sprawiedliwości. Wziąłem pana za mózgowca, a okazuje się, że jest pan kolejnym idiotą.

– Jak mógłbym to naprawić? – pytam.

– Coś wymyślimy.

– Na połączenia z iPada mam stałe polecenie zapłaty. Mogę je anulować. Chętnie zrobię to teraz, kiedy rozmawiamy.

– Niech pan się wstrzyma, nie chcemy wzbudzić podejrzeń. Porozumiem się z innymi i zadzwonię. A na razie jeden ruch bez mojej zgody i ląduje pan w więzieniu. Aha, niech pan pomyśli o czymś, co spodobałoby się George'owi, o czymś, czego nie ściągnie z Amazona.

Kilka dni później Walter dzwoni ponownie.

– Rozmawiałem z paroma pokrewnymi agencjami: ATF, FBI, tajnymi służbami, Gwardią Narodową. Wykorzystamy pana jako przynętę i udupimy Izraelczyków.

– Jestem do waszej dyspozycji – deklaruję.

– No chyba. Wyśle pan George'owi mejla na adres,

który dostał pan od Jasona.

– Wiecie o Jasonie?

– To dobry chłopak – mówi Walter.

– Wtajemniczyliście go w sprawę?

– Korzystamy z szeregu źródeł.

– Przeglądaliście moją pocztę?

– W pierwszej kolejności. Napisze pan George’owi, że przyjedzie w piątek wieczorem po jego podpis pod dokumentami.

– W piątek mam gościa, na weekend przyjeżdża Ricardo – informuję.

Walter Penny nie reaguje na te słowa.

– Przekaze pan George’owi, że spotka się z nim pomiędzy szóstą po południu w piątek a szóstą rano w sobotę.

Wypełniam polecenie. George odpisuje, że spotka się ze mną w każdej chwili przed szóstą w piątek, przed zachodem słońca, albo po wschodzie słońca w sobotę. Dzwonię do Waltera.

– Kurde, to potwierdza moje podejrzenia. Pański brat praktykuje judaizm. On i Lenny przestrzegają szabasu. Widzieliśmy, że to robią w piątkowe wieczory. Federalni nic nie skapowali. Mówili, że oni palą jakieś „race”, a potem siedzą jak uśpieni, jakby na coś czekali. Nie mogli tego rozgryźć.

– Handlarz używanymi samochodami z Jersey obudził w George’u wiarę?



– Dziwne rzeczy dzieją się z ludźmi, gdy zostawia się ich sobie samym. – W tle słychać dzwonek telefonu. – Grubsze ryby – informuje Penny. – Pan się wstrzyma ze wszystkim do mojego telefonu.

Tymczasem w skrzynce mejlowej pojawia się kolejna wiadomość od George'a:

„Przywieź mi jedwabne bokserki – są w komodzie na piętrze po lewej – oraz trochę naczyń kuchennych – garnków, patelni, łożatkę, łyżkę wazową – i może stare świeczniki mamy. Ale nie srebrne – szklane”.

Niedługo potem dzwoni telefon.

– No, to jaki jest ten specjalny prezent, coś, czego George nie dostanie z Amazona, a co może mu pan przywieźć? – pyta Walter.

– Kakaowe ciastka ciotki Lillian – odpowiadam, zatajając, że a) nie dysponuję ciastkami ciotki, b) nie mam przepisu, by je upiec.

– Tu jest jak na pograniczu. Pański brat i Lenny prowadzą sklep wielobranżowy. Zakapiory przynoszą im upolowane kaczki i dostają w zamian batony Hersheya. Ze skrzynek z Amazona zbudowali coś w rodzaju fortu w forcie, do którego nasza kamera nie ma w tej chwili dostępu. Podejrzewamy, że użyli do tego szlamu rzecznoego.

– Łajna – prostuję. – Trawy i łajna.

– Gówna?

– Tak.

Ciastka ciotki Lillian. Moją tajną misją stało się skopiowanie ich i zdobycie puszk. Jadę do sklepu CVS, kupuję pudełko duńskich maślanych, wracam do domu, na spacerze z Tessie gram pudełkiem „w nogę”, wsadzam je do zmywarki, suszę w suszarce do ubrań wraz z kilkoma ręcznikami i maltretuję jak tylko się da, żeby je szybko spatynować i nadać mu wygląd, jakiego mogło nabrać z wiekiem. Kupuję półsłodkie smakołyki, orzechy laskowe, biały i brązowy cukier, wanilię, masło, mąkę, sól, proszek do pieczenia, nie zapominając o arcyważnej łyżce ciepłej wody, o której mówiła Ashley. Niebawem wytwarzam orzechowe ciastka wielkości krążków hokejowych, zbliżone rozmiarem, kolorem i konsystencją do słynnych ciastek Lillian. Zostawiam je, by obeschły. Z dnia na dzień robi się ich mniej – nie mówię nic domowym winowajcom, których o to podejrzewam, ale liczę ciastka i dokładnie wiem, ile ich jest, dlatego oferuję im okazjnie po dwa „wybrakowane”, na czym wychodzę w sumie znacznie lepiej.

A potem, dopiąwszy wszystkie szczegóły, dzwonię do ciotki Ricarda i pytam, czy nie wpadłaby i nie przypilnowała dzieci, bo pracuję do późna w mieście.

– Oczywiście – mówi.

I wtedy zaczyna się istne szaleństwo. Zastanawiam się później, czy to wszystko mi się przyśniło, czy zdarzyło się naprawdę.

Skierowują mnie do miejsca oddalonego siedem godzin jazdy od domu, a kiedy tam dojeżdżam, nieoznakowany samochód doprowadza mnie na opuszczony pas startowy oświetlony niczym plan w wytwórni filmowej. Na ziemnej drodze stoją mały prywatny samolot i dwa wojskowe helikoptery. W chwili gdy tam docieram, niebo ze zmierzchającego zmienia się w bezgwiezdną nocną czerń. Na trawie w pobliżu widzę kilka nieoznakowanych czarnych aut, czterech mężczyzn w nylonowych kurtkach ATF, dziesięciu albo więcej gwardzistów narodowych w pełnym rynsztunku, tajniaków ze służb specjalnych, którzy ubrani w koszulki polo i spodnie khaki starają się nie rzucić w oczy, dwóch niezidentyfikowanych typów – przypuszczalnie z FBI lub CIA, oraz Waltera Penny'ego – z podkładką do notatek i gwizdkiem na sznurku wygląda jak coach szykujący się do ważnego meczu. Lotnisko oświetlają wielkie reflektory – jest tu nawet srebrny barobus serwujący gorącą kawę i pączki.

Odbieram dużą kopertę z papierami, które George ma podpisać: upoważnienia ze szkoły, formularze bankowe, świadectwa zdrowia wymagane na obozach letnich dla dzieci, dokumenty dotyczące kredytu hipotecznego et cetera.

- Są prawdziwe? – pyta Walter.
- W większości. Więc jaki jest plan?
- Potrzebujemy tego iPada i Izraelczyka. I tyle. Im mniej pan wie, tym lepiej.

Spostrzegam, że jacyś goście robią coś przy moim samochodzie. Maski i bagażniki są otwarte.

– Wysłałam pana z dwustu funtami chałwy.

Słowo „chałwa” przechodzi Walterowi Penny’emu przez usta z pewną trudnością. Wymawia je tak, jakby długo ćwiczył przed lustrem.

Natychmiast wyzwala to we mnie wspomnienie o braku wrażliwości na inną kulturę.

– Znów to samo. Niczego się nie uczycie?

– O czym pan mówi? – pyta Penny.

– O Iran Contras. O Oliverze Norcie, Robertcie McFarlanie i wymianie broni za zakładników. Przesłali Teheranowi Biblię sygnowaną przez Ronalda Reagana i czekoladowe ciasto w kształcie klucza, upieczone... co za niespodzianka!... przez Izraelczyka.

– Wciąż nie wiem, o czym pan mówi.

– Może pan nie wiedzieć, ale ja wiem. O co chodzi z tą chałwą?

– Chałwa może przemówić do tego typu. Jest bardzo tłusta i ci goście za nią przepadają, a w dodatku przepisy dotyczące dystrybucji orzechów i nasion utrudniają rządowemu bankowi żywności ich rozdawanie. Nie mogą jej rozdzielać w szkolnych stołówkach, szpitalach, domach weteranów i domach starców. Z pewnością lubią ją tutejsze ptaszki. A jeżeli lubią ją skazani, to możemy dostarczyć im więcej. Chałwy mamy od groma, dosłownie tony.

– W którym momencie „zadania” mam napomknąć: „Aha, jeśli reflektujecie, to w bagażniku mam dwieście funtów bliskowschodnich słodyczy alias żydowskich łakoci”?

– Improwizuj – odpowiada jeden z anonimowych mężczyzn.

– Dlaczego bierze w tym udział aż tyle agencji?

– To międzynarodowe transakcje za pieniądze z wielu źródeł, w grę zaś wchodzi ściśle tajne informacje, do których pański brat i Izraelczyk dotarli zbyt łatwo – mówi Walter.

– Pańskim zdaniem to szpieg? Podwójny agent?

– Moim zdaniem czas się zamknąć i wziąć do roboty – wtrąca anonimowy mężczyzna. – Mała wskazówka: kiedy spotka się pan z bratem i tym drugim, niech pan zachowa odstęp – nie chcemy niepotrzebnych ofiar. Nasi żołnierze są uzbrojeni w pociski eksperymentalne. Testujemy produkt na bazie gliceryny. To rodzaj strzały, którą można w razie potrzeby wzbogacić środkiem dodatkowym.

– Środkiem dodatkowym?

– Biologicznym, paraliżującym nerwy lub usypiającym. Nie ma się czego bać...

Walter Penny przejmuje stery.

– Wcześniej w tym tygodniu zrzuciliśmy znacznik, który wysłał sygnał. Dojedzie pan w to miejsce. W pańskim wozie umieściliśmy GPS, który tam pana

doprowadzi. Z tego samego znacznika korzystają nasi asystenci operacyjni.

Z pewnością mam zdezorientowaną minę, bo wyjaśnia:

– Żołnierze. W samochodzie zainstalowaliśmy panu podsłuch, w środku i na zewnątrz są mikrofony. W czasie jazdy tam i z powrotem proszę z nami nie rozmawiać ani nie porozumiewać się w żaden sposób. To cztery kilometry wyjeżdżoną starą drogą, a właściwie szlakiem.

Nagle akcja przyśpiesza. Odprowadzają mnie do mojego wozu i odprawiają.

Droga tonie w egipskich ciemnościach, przypomina to jazdę w tunelu, z którego wyparowała wszelka nadzieja. Reflektory samochodu zdają się wyławiać przedmioty zaledwie na pół sekundy przed minięciem. Jadę dalej na ślepo w kierunku migoczącego światła. Kilka razy wypadam ze szlaku z powodu leżących drzew, które muszę objeżdżać.

Kiedy docieram na miejsce, GPS gaśnie samorzutnie, nie muszę go wyłączać. Zanim wysiądę, parokrotnie błyskam światłami.

Szeleszczą krzaki. George pojawia się w polu widzenia. Na rozchełstany, porannoniedzielny sposób wygląda całkiem dobrze.

– Cześć, George, jak się masz? – witam go.

Jestem zdziwiony, bo rusza, żeby mnie uściskać.

– Obejmujesz czy poklepujesz? – pytam, ale nie

odpowiada. – Cieszę się, że dostałeś urodzinowy prezent.

– Słaby odbiór – mówi. – Przy zachmurzeniu nic nie widać.

– A co z Netflixem?

– Wolny, strasznie wolny.

– Mogę zobaczyć? Osobiście nigdy tego nie widziałem. Rozpina kurtkę i wyjmuje iPada. Tablet się jarzy.

– Piękny przedmiot, co? – Stukam w różne aplikacje. – Jak dotrę do zdjęć?

George puka w ekran i pojawiają się zdjęcia dzieci, przedzielone obrazami broni i innych wojskowych akcesoriów.

– Co to? – pytam.

– Takie tam. Pamiętasz, jak bawiliśmy się w wojsko, w „bohaterów Hogana” [\[25\]](#) i podobne?

– Pewnie – mówię.

– Wróciłem do tego. Niewiele tu jest do roboty.

– Fajnie. – Pukam w jego pocztę i wyskakuje mejl po hebrajsku. – Trudno odczytać bez okularów – mówię, udając, że nie dostrzegam obcych znaków.

Dopiero zdjęcia z wyrzutniami pocisków raketowych, napisy w języku arabskim i mejle z Izraela sprawiają, że w końcu daję wiarę Walterowi Penny’emu. Sądziłem, że prowadzi jakąś zwariowaną grę. Lecz w tej chwili wszystko nabiera sensu. George zawsze lubił być grubą rybą, macherem, a w dzieciństwie uwielbiał bawić się w wojnę.

– Działa kurewsko wolno.

George wyrywa mi iPada i potrząsa nim jak Magicznym Ekranem.

– Wkrótce z pewnością wyprodukują szybszy. – Wyjmuję kopertę z dokumentami do podpisu. – Wybacz, że zawracam ci tym głowę. Nie udało mi się skontaktować z twoim prawnikiem.

– Mnie również – mówi George. – Nie odpowiada na mejle.

– Mam się rozpytać i znaleźć ci kogoś nowego?

– Może.

Wykorzystując maskę samochodu jako podkładkę, George podpisuje jeden dokument za drugim.

Zaczynam się uspokajać.

– Przywiozłeś mi bieliznę?

– Tak.

– To dobrze. Przydziałowa jest do dupy. Slipy obcierają ci nogi do żywego ciała i nie możesz biegać, są za obcisłe. Mam duże jaja.

– Tak... często o tym mówiłeś.

– A garnki i patelnie? – pyta, wciąż składając podpisy.

– Przywiozłem. Dużo gotujecie?

– W okolicy brak Domino Pizza, dostawa w trzydzieści minut.

– Co sobie robisz?

– Sos serowy i sos z orzeszków ziemnych. Jest pod dostatkiem mąki, masła, sera, masła orzechowego



i makaronu – brakuje cukru. Potrzebujemy więcej cukru.  
Masz jakiś?

Wyciągam z kieszeni kilka torebek słodziku.

– Gdybyś poprosił, tobym przywiózł...

– Świece? – przerywa mi, jakby chciał skrócić naszą rozmowę.

– Znalazłem te. Miała je Jane.

Bierze świece, jakby były najważniejsze.

– Zapalki?

Otwieram drzwiczki wozu od strony pasażera i grzebię w schowku. Wypadają różne rzeczy.

– Daj mi flary – żąda. – Przydadzą się.

– To nie jest Halloween – zrzędzę, wręczając mu flary i resztę kanapek zapakowanych na drogę.

George wyszarpuje z uchwytu na wpół pustą puszkę coca-coli i wypija.

– Pyszota – mówi. – Ten smak, jak nektar bogów. Przydałby się tu automat z colą, kurwa mać.

– Przywiozłem prezent – mówię, wyciągając pudełko z ciastkami.

Natychmiast rzuca na nie okiem, podniecony i zarazem zatroskany.

– To pudełko Lillian?

Entuzjastycznie kiwam głową.

– Co się stało... umarła?

– To pożyczka. Nic jej nie jest – mówię spłoszony.

Wiedząc, że ciastka Lillian to dobry wabik, o tym

szczególe – skąd mam jej pudełko – nie pomyślałem. Otwieram je, odsłaniając nieco blade, ale pełne grudek z kawałeczków czekolady i połówek orzechów laskowych ciastka, spoczywające na skopiowanych, takich jak dawne, marszczonych, rzadko wymienianych krążkach z woskowanego papieru.

– Ile?

George patrzy na mnie wyczekująco jak dziecko, nie zdając sobie sprawy, że jeśli zechce, całe pudełko jest jego.

– Dwa? – proponuję.

– Na osobę?

Wzruszam ramionami, wyobrażając sobie, że chce wziąć dwa swoje i dwa moje.

– Koszerne? – pyta, zaskakując mnie.

– Nie wiem, czy Lillian przestrzega koszerności – mówię osłupiały.

– Na pewno – decyduje, pragnąc, żeby to była prawda.

Zza drzewa tuż za moimi plecami wychodzi, napędzając mi stracha, jego znajomek Lenny.

– To ty jesteś ten puc[26]? – pyta.

– To jest Lenny – przedstawia go George. – Bierze udział w programie.

Wyciągam ku niemu pudełko.

– Może ciasteczko? – zachęcam.

I wtedy nas dorywają. Spadają z nieba niczym Spiderman. Pudełko z ciastkami wylatuje mi z rąk.

Zewsząd otaczają nas żołnierze, ich gogle błyskają czerwonymi punkcikami jak owadzie oczy. Dym i zamęt. Coś dźga mnie w tyłek, powala na kolana. Oczy mnie palą. Leżę twarzą w glebie. Wokół mnóstwo zamieszania, a potem cisza. W górze mającą jakieś niewyraźne kłęby bieli i dociera do mnie, że to jedwabne bokserki mojego brata wessane w wir z helikoptera. Jak przez mgłę widzę tuż przed sobą George'a, rozplaszczonego na ziemi, z krwawiącą głową.

Wszystko kończy się tak nagle, jak zaczęło.

Izraelczyk przepadł.

Podczołguję się z powrotem do wozu i wpęlam na przednie siedzenie.

– Oślepiłście mnie, oślepiłście, kurwa mać! – wrzeszczę, trąc oczy.

– Nic panu nie będzie, pan się stąd nie rusza – słyszę bezcielesny głos Waltera Penny'ego. – Niech pan nie trze oczu, to tylko pogarsza sprawę.

– Jak długo mam się nie ruszać?

– Kilka godzin, być może do rana.

– Z tymi zabitymi?

– Nie są martwi, śpią.

– Nie możecie mnie tutaj zostawić. A jeżeli on się ocknie wściekły, jeżeli kogoś przeoczyliście, jeśli ktoś zabierze ten samochód? Jestem obywatelem, mam prawa.

W tle słyszę rozmowy wielu ludzi.

– Koleś się sfajdał, chce do domu – mówi ktoś. –  
Podeślcie kogoś, kto go stąd zabierze?

Zaczynam trąbić klaksonem.

– Zaraz!

– Weźmiecie mnie stąd? Kurwa! – klnę i znowu trąbię.

– Kurwa, kurwa, kurwa!

Po każdej „kurwie” klakson.

– Mikrofon jest przy klaksonie. Przestań pan trąbić, bo  
przetkam panu dupę! Za dwie minuty ktoś się po pana  
zjawi. Pan więcej nie trąbi.

W ciemności słyszę nadlatujący helikopter. Oczy mnie  
szczypią, kiepsko widzę, ale dostrzegam, że spuszcza ją  
z niego żołnierza w pełnym rynsztunku. Z butelką  
źródlanej wody w ręku wygląda jak wyjęty z obłąkanej  
reklamy gaszenia pragnienia w czasie wojny. Ląduje,  
odpina się, szarpie linę, którą od razu wciągają. Jak  
olbrzymi, świecący w ciemnościach żuk podchodzi od  
strony kierownicy, otwiera drzwi samochodu, odkręca  
butelkę i opryskuje mi wodą twarz.

– Ulżyło? – pyta.

Zmoczony wychodzę, okrążam samochód i wsiadam  
po stronie pasażera.

– Ma pan tylko pół galonu benzyny? – pyta, zapalając  
silnik.

– Po drodze nie było ani jednej stacji.

Wrzuca bieg i ruszamy z podskokami drogą.

– Jedzie pan prosto? – pytam. – Dlaczego pan nie

skręcił?

Wycieram oczy koszulą. Nie pomaga. Cokolwiek mam w oczach, mam również w koszuli.

– Hej, ciemna maso! – dobiega z głośnika głos Waltera Penny’ego. – Puc ma rację, źle pojechałeś.

– Przepraszam, mam dysleksję – mówi żołnierz.

Zawraca samochód, naciska gaz i odczuwam potężne „bum!”. To nie tyle dźwięk, ile silne wrażenie, że w coś walnęliśmy.

– Co to było? – pyta Walter Penny.

– Chyba zderzyłem się z jakimś zwierzakiem.

– Miejmy nadzieję, że to było zwierzę.

– Możemy jechać dalej – orzeka żołnierz.

Pokierowanym samochodem włączamy się do mety. Na drodze czekają już dwa nieoznakowane wozy, które eskortują nas do bazy operacji.

Wysiadam. Ktoś wręcza mi butelkę płynu do przemywania oczu. Pierwsze, co widzę po ich przemyciu, to wgnieciona maska samochodu, rozwalony zderzak, pęknięta przednia szyba i krew.

Walter Penny podchodzi do mnie, patrzy na samochód i z papierowej teczki wyjmuje biały formularz.

– Zawsze mam przy sobie kilka. To urzędowy wniosek o odszkodowanie, taki sam w przypadku kraksy samochodowej jak w przypadku śmierci pod własnym ostrzałem. Rząd jest od tego ubezpieczony, to formularz uniwersalny. Jest jednak pewien haczyk. – Majta formularzem. – Odszkodowanie się należy, jeśli siedział pan za kółkiem. Prowadził pan auto?

Zmieszany, rozglądam się dookoła. Żołnierz zniknął.

– Wyjechał pan autem z lasu?

– Najwidoczniej.

– Sam?

– Pewnie.

Wyrywam formularz z palców Waltera.

– Odszkodowanie będzie więc dotyczyć samochodu i pańskiej osoby.

– A niech mnie kule – mówię nie wiadomo do kogo.

– Samochód i siebie niech pan umieści na jednej fakturze – instruuje mnie Walter Penny.

– Poobcierał się – mówi ktoś niezidentyfikowany. – Obejrzałem playback.

– Bardzo pan podobny do brata – mówi jeden z żołnierzy, jakby to wyjaśniało wszystko.

Nawet nie pytam, gdzie jest Izraelczyk, ale widzę, że

jeden z nieoznakowanych vanów zniknął.

– Skończyliśmy. Jestem wolny? – pytam.

– Tak – potwierdza Walter. – Niech pan nie zapomni zatankować.

Odprowadzają mnie do autostrady. Jest upiornie pusta. Pędzę do domu sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Jechałbym szybciej, ale szybsza jazda skutkuje niepokojącym grzechotem.

Trzęsąc się z zimna, włączam ogrzewanie – nic z tego. Sięgam ręką. Na siedzeniu czuję wilgoć. Zapalam górne światło i widzę, że fotel jest ciemny od krwi.

Niebo zaczyna jaśnieć. Nie jestem pewien, która godzina – zegar w samochodzie zamarł na trzeciej czterdzieści trzy. Tuż przed moim zjazdem z autostrady zbaczam z trasy i podjeżdżam pod miejscowy szpital. Z parkingu wysyłam esemesa do ciotki Ricarda, z wiadomością, że sprawa zajęła mi znacznie więcej czasu, niż planowałem, i odkrywam, że miałem sześć połączeń – wiadomości od Ashley i Ricarda z pozdrowieniami, kawałami i zapytaniami, kiedy wracam.

Do okienka podchodzi strażnik.

– Tu nie wolno stać – mówi. – Parking tylko dla pacjentów.

Pokazuje znak.

– Mam krwotok z tyłka – obwieszczam, wysiadając z auta.

Strażnik doprowadza mnie do pielęgniarki pierwszego kontaktu.

– Co się stało? – pyta mnie.

– Zostałem postrzelony – mówię, mdleję i jak długi padam na podłogę.

Kiedy odzyskuję przytomność, leżę na noszach samojezdnych twarzą w dół, z tyłkiem w górze, i ktoś robi mi zdjęcia. Pod słuchuję, że zdążono mnie prześwietlić i na szczęście nie znaleziono żadnego odłamka.

– Teraz to oczyścimy – mówi lekarz. – Nie ma czego szyć.

– Na Boże Narodzenie dostałem nową kamerę cyfrową. Mogę przynieść starą – mówi ktoś.

– O jakiej rozdzielczości? – pyta inny.

– Nie wiem, ale lepsza jest od tego szmelcu.

Gadają o sieci dostaw, a ja leżę z tyłkiem na wierzchu. Jeden z nich się pochyla nade mną i informuje:

– Znieczulimy panu pupcię i oczyścimy. Rana jest głęboka.

– Co się stało? – pyta drugi i też się pochyla.

– A cholera wie. *Lśnienie* kontra *Uwolnienie*.

– Zgłosi pan to policji?

– Nie. Wolę zachować dla siebie.

Ledwo to powiedziałem, widzę, że biorą mnie za ofiarę nieudanej schadzki erotycznej.



– Musimy zadać kilka pytań. – Jeden z lekarzy nachyla się ku mnie tak, że patrzymy sobie w oczy. – W domu nic panu nie grozi? Nikt tam pana nie rani ani w inny sposób się nad panem nie znęca? Pan nie wstydzi się odpowiedzi...

– Wyglądam na zawstydzonego? Nie mam nic do powiedzenia, słowo. Nie wiem, kto to zrobił.

Dostaję kartę z numerem zaufania dla męskich ofiar przemocy w rodzinie, koński zastrzyk antybiotyków, zastrzyk przeciwtężcowy i ręka mi puchnie jak mojemu przekłętemu bratu. Kiedy opuszczam oddział ratunkowy, czuję, jak pod skórą rośnie mi gorąca piłka bejsbolowa.

Jadę do myjni i pytam, czy da się coś zrobić z siedzeniem – może wyczyścić parą?

– Walnąłem w jelenia – tłumaczę, potrząsając głową.

– Pewnie. – Gość z myjni patrzy na mnie dziwnie, bo widzi moje zakrwawione spodnie. – Siedział w samochodzie?

– Był ogromny.

Na drzwiach wejściowych zastaję wykonany grubymi literami wielokolorowy napis WITAMY W DOMU. Ashley, Ricardo i Christina najwyraźniej przez większość nocy czuwali, z niepokojem wyglądając mojego powrotu.

– Miał pan jakiś wypadek? – pyta ciotka Ricarda.

– Pojechałeś zobaczyć się z tatą? Pobił cię? – chce

wiedzieć Ashley.

– Wyglądasz wariacko – ocenia Ricardo.

– Powiedzmy, że miałem przygodę.

Przepraszam wszystkich, biorę prysznic, zażywam tylenol, zjadam obfite śniadanie i szybko zasypiam.

– Zadzwoiłam, że jestem chora – mówi po południu Christina, kiedy przychodzi sprawdzić, co ze mną. – Nie mogłam zostawić tak pana i dzieci.

Kiwam głową i ponownie zasypiam, twarzą do poduszki – ręka mnie rwie, tyłek szczypie.

Nie powiem, że bardzo się dziwię, gdy wieczorem odwiedza mnie policjant stanowy, żeby spytać o wypadek, do którego doszło sześćdziesiąt kilometrów stąd, a którego sprawca uciekł.

– Mój szwagier pracuje w myjni samochodowej i namiętnie ogląda w telewizji programy kryminalne... – wali prosto z mostu.

– Rozumiem – mówię, wręczając mu wizytówkę Waltera Penny'ego.

Dzwoni do Waltera, który mimo późnej pory odpowiada i wyjaśnia, że owszem, w operacji specjalnej szwanku doznali samochód i moja osoba, ale w sumie wszystko się udało i to tyle, co ma do powiedzenia.

– Pan, jak słyszę, tajny agent! Super, super. – Policjant się rozłącza. – Będę musiał mocno zaciskać zęby, żeby zataić to przed szwagrem.

– Jestem tylko byłym profesorem, którego czasem

wciągają w coś, co go przerasta.

Przyjdiesz na ślub? – pyta matka pod koniec moich odwiedzin.

– Kiedy wychodzisz za mąż?

– Niedługo. Co tak stoisz i stoisz? – pyta. – Stoisz od ponad godziny z tą okropną miną.

– Jestem ranny. Na razie trudno mi siedzieć.

– Hemoroidy?

– Nie. Ten ślub jest postanowiony?

– Co to za pytanie?!

– Naprawdę za niego wychodzisz?

– Czy nie po to cię tu zaprosiłam?

– Tak sędzę. Ale co takiego was łączy?

– Jesteśmy starzy. Oboje lubimy się ruszać. Kochamy bawić się piłką – dają nam takie z poliestru. Rzucamy je do siebie. No i gramy w bingo. Pomagam mu zakreślać liczby na kuponach. Nie za dobrze widzi... przed laty stracił oko przy grze w golfa... i od lat dzwoni mu w głowie.

– To ci się w nim podoba?

– Chcemy ze sobą zamieszkać.

– Nie mam nic przeciw temu. Wiedz, że ty i twój przyjaciel jesteście zawsze mile widziani. Możecie u nas zamieszkać na stałe.

– Z tobą? Jesteś niechluj. Byłam przeszczęśliwa, kiedy

wreszcie wyprowadziłeś się z domu. Miałabym przeprowadzić się stąd do ciebie, pichcić ci i sprzątać? Tu mam bardzo dobrze.

– Małżeństwo to poważna sprawa.

– Nic nadzwyczajnego – odpowiada nonszalancko. – Już byłam mężatką. Więc jak? Mam rozumieć, że przyjdiesz?

Żegnaj się i śpieszę korytarzem, licząc, że złapię kogoś z administracji, zanim skończą pracę.

– Przepraszam, od kogo się dowiem, jak wygląda sprawa małżeństw między pacjentami? – pytam.

Napotykam staroświecką spychotechnikę, uniki, wykręty, aż wreszcie ktoś wychodzi i mówi:

– Nie akceptujemy wspólnego mieszkania pensjonariuszy, którzy nie są małżonkami.

– To najmniejsze z moich zmartwień – mówię, zadając sobie pytanie, czy moja matka i jej przyszły mąż są przy zdrowych zmysłach. – Co z kwestiami majątkowymi? Czy potrzebna jest umowa przedmałżeńska? Czy w ich wieku o małżeństwie nie powinna mieć więcej do powiedzenia rodzina?

– Jest pan prawnikiem? – pyta ktoś z administracji. – Gotów jest pan uznać matkę za osobę niezdolną do decydowania o sobie?

– Proszę państwa, widziałem tego pana zaledwie dwa

razy, a już nazwał mnie synem. Nie jestem pewien, na co jestem gotów.

– Okazjonalnie – wtrąca się pracownica opieki społecznej – organizujemy ceremonie ślubne, z prawdziwymi kwiatami, tortem, strojami i kimś, kto udziela ślubu, włącznie. To na ogół wystarcza. Informujemy nowożeńców, że osoba dokonująca ceremonii nie jest urzędnikiem państwowym, ale też że kosztuje to mniej niż oficjalny ślub. Para i ich najbliżsi podpisują oświadczenie, że ślub nie jest wiążący i że w razie rozpadu związku lub śmierci jednego lub obojga małżonków nie obowiązuje prawo dzierżawy majątku, wspólnej własności i tak dalej.

– Brzmi w porządku. A potem pozwalacie im zamieszkać razem?

– Tak długo, jak zechcą i będą w stanie – mówi administratorka. – Na razie pańska matka jest na chodzie. Tańczy. Zapewne nie jest już kobietą, jaką pan pamięta, ale trzyma się bardzo dobrze.

W drodze do domu podjeżdżam do grilla po kurczaka na wynos. Kobieta wsuwa ogromnego parującego pieczonego kuraka w okienko, przeznaczone, jak sędzę, do serwowania pączków i kawy. Za nim podąża druga torba, z bułeczkami i ziemniakami.

Kiedy przekraczam próg, z automatycznej sekretarki

dobiega mnie głos Waltera Penny'ego:

– Otrzymałem pański formularz: trzy tysiące osiemset dolarów odszkodowania za uszkodzony samochód. Postaramy się szybko nadać bieg sprawie.

Odkładam torby i słucham go dłuższą chwilę.

– Pan pamięta, że w pańskim bagażniku jest chałwa. Pewnie posłużyła za balast, kiedy ten czub pana odwoził. O zwrot niech pan się nie martwi, nie odbieramy niczego, co wymknęło się nam z rąk. Chciałem tylko o niej przypomnieć. Chałwa nie powinna leżeć w bagażniku, ma tam chyba za gorąco. Aha, przy okazji, w obozie zostawił pan ciasteczka. Bardzo smaczne. W czym ich tajemnica?

Nie mogę się dłużej oprzeć. Podnoszę słuchawkę.

– W łyżce stołowej ciepłej wody – informuję.

– Tylko jednej?

Przechodzę do rzeczy.

– Gdzie jest George?

– Skarżył się na uraz, dlatego zabraliśmy go tuż po pana odjeździe. Nie mogliśmy go tam zostawić po tym, co się stało. Jak tylko poczuje się lepiej, przeniosą go do bardziej tradycyjnego obiektu.

– A co z umową?

– Z jaką umową? – pyta Walter.

– Umową podpisaną przez nas w gabinecie dyrektora medycznego Sadyby, że mój brat nie wróci do normalnego więzienia.

– A ma pan przypadkiem jej kopię? Bo ja nie.

Nie wiem, w co gra ze mną Walter, ale kończę grzecznie rozmowę i natychmiast dzwonię do adwokata George'a.

– Nie dostaliśmy żadnej kopii – oznajmia.

Po południu oddzwoniam do Waltera.

– No, skoro nikt nie ma kopii, to nie ma też umowy – mówi.

– Ile mu grozi? – pytam.

– Od pięciu do piętnastu lat. Poszliśmy na ugodę.

– Bez procesu?

– Proszę mi wierzyć, to lepsze rozwiązanie.

– Kiedy najwcześniej będzie mógł wyjść?

– Sądzę, że po trzech latach. Ma jednak pewne zasługi.

Ten Izraelczyk to cenna zdobycz.

Któregoś dnia późnym wieczorem jadę do synagogi i na tylnych schodach kładę chałwę z informacją: „To dobra chałwa. Zostawiam ją do wykorzystania przez kongregację, bo dla jednej osoby to za dużo”.

Kiedy ją wyładowuję, z bocznych drzwi ukradkiem wysuwa się rabin. Na mój widok dębieje, biorąc mnie za religijnego terrorystę podkładającego plastikowy ładunek C-4.

– To tylko chałwa! – wołam.

– Co?! – pyta znanym mi rozdrażnionym tonem

starego, przygłuchego Żyda.

– Chałwa!!! – wołam najgłośniej, jak umiem.

Podchodzi bliżej, a wtedy przedstawiam mu się jako brat George’a i łzę:

– Niedawno za wykonanie pewnej pracy zapłacono mi częściowo chałwą. Przyszło mi na myśl, że być może ten dom boży prowadzi stołówkę dla ubogich.

– Mamy tu przedszkole i półkolonie dla seniorów.

Wreszcie jest okazja. Rabin mnie słucha: o takie spotkanie zabiegałem parę miesięcy temu. Mam szansę się poradzić.

– Jak pan myśli? Czy Nixon rzeczywiście był antysemitą? – pytam, zaskakując samego siebie.

– Nixon? – intonuje rabin.

Kiwam głową.

– Pan chce wiedzieć o Nixonie?

– Tak.

– To sukinsyn, nienawidził wszystkich oprócz siebie. Mnie złości Kissinger, który nigdy się nie bronił. Zdradził nas.

Na parking wjeżdża wóz patrolowy.

– Wszystko w porządku, padre? – pyta policjant.

– Tak, dziękuję – mówi rabin.

Policjant mi się przygląda, jakby skądś mnie znał.

– Panie, jedź pan już do domu – mówi. – Niech padre dobrze się wyśpi.

Nie rusza się z miejsca aż do chwili, gdy się zegniam,



a potem jedzie za mną prawie do samego domu.

W ramach zabiegów, by zostać rodzicem zastępczym, umawiam się z doktorem Tuttle'em, psychiatrą. Może to dziwne, ale nigdy przedtem nie byłem u psychiatry, dlatego z pewną obawą udaję się do jego gabinetu, który mieści się na parterze w małym ciągu sklepów. Na prawo jest bar mleczny Smoothie King, na lewo pralnia chemiczna, a obok niej sklep z telefonami komórkowymi. Okna gabinetu zasłonięte są szerokimi metalowymi żaluzjami z roku – na oko – 1977. W poczekalni z niskim sufitem z płytek akustycznych i wykładziną dywanową barwy owsianki jest ciemno. Stoją tu parami niczym małżeństwa krzesła z trzciniowymi siedzeniami, które zaczynają się zapadać. Na stoliku ze szklanym blatem leży chwiejny stos magazynów, a kosz na śmieci jest tak mały, że zdaje się ostrzegać: nie używaj mnie. Siadając, dostrzegam w kącie pojedynczy płatek śniadaniowy, a potem pod listwą podłogową jeszcze kilka, najpewniej wepchniętych tam przez odkurzacz. Jest też trochę napisów, odręcznych i laminowanych byle jak taśmą klejącą.

*Jeżeli chcesz skorzystać z WC,  
poproś o klucz w Smoothie King.*

*Jeżeli chcesz skorzystać z parkingu,  
poproś o bilet, 1 godz. bezpłatnie.*

Psychiatra otwiera drzwi i mnie wzywa.

– Tuttle – przedstawia się, ściskając mi rękę.

Jego mokra dłoń pachnie perfumami i dezynfekującym alkoholem. Na biurku natychmiast dostrzegam butelkę płynu odkażającego do rąk – próbkę z firmy farmaceutycznej. Tuttle jest niskim, chudym, przedwcześnie zgarbionym jegomościem z błyszczącą łysiną na czubku głowy, okoloną wiankiem żółtych włosów, dłuższych, niż zaleca moda. Podsuwając w górę okulary w rogowej oprawie, raz po raz marszczy nos. W gabinecie są te same metalowe żaluzje co w poczekalni i byłoby w nim ciemno, gdyby nie południowe słońce, które odbija się od stojących na zewnątrz aut.

– Proszę usiąść – zaprasza Tuttle, kierując mnie do wytartej kanapy.

Patrzę za jego plecy. Na brzegu biurka stoi równy rząd plastikowych kubków ze Smoothie King, pełnych co najwyżej w jednej czwartej: zielony, różowy, fioletowy. Koktajle mango, truskawkowy i jagodowy stoją w szeregu niczym w jakimś doświadczeniu. Stoi tu również na wpół pusty stary automat do słodyczy za pięć centów, wypełniony czymś, co wygląda na tłuste fistaszki i zużyte notatniki. Klimatyzator mruczy hałaśliwie.

– Najpierw kilka drobnych informacji: nazwisko, adres, numer telefonu.

Podaję mu je.

– Pracodawca?

– Zatrudniam się sam.

Mówię to pierwszy raz.

– Ubezpieczenie? Nie uwzględniam, ale po każdej wizycie wystawiam rachunki, więc może je pan przedłożyć. Pierwsza wizyta to pięćset dolarów i trwa godzinę, następne, czterdziestopięciominutowe, są po dwieście pięćdziesiąt. Jestem psychiatrą, a nie pracownikiem opieki społecznej ani psychologiem. – Przygląda mi się uważnie. W okularach, które są jak szkła powiększające, jego oczy wydają się ogromne. – Jakie leki obecnie pan zażywa? Był pan hospitalizowany?

Wspominam o zawale.

– Czy pan wie, co zdiagnozowano? W jaki sposób opisano pański stan? Kto mnie panu polecił?

– Pana nazwisko podała mi pracownica opieki społecznej – odpowiadam, ale coś tu mocno się nie zgadza.

– Ma pan poddać się testowi antynarkotykowemu nakazanemu przez sąd? To znaczy czy mam być obecny, kiedy będzie pan oddawał mocz?

– Nie – mówię.

– To dobrze. Bo gdy patrzę, jak ktoś sika, to mnie samemu się chce. Prawdę mówiąc, wzywam wtedy do

pilnowania kogoś z pracowników Smoothie King. Wyznaczam kogoś, by poszedł z nami do toalety, i odpalam mu kilka dolarów za nadzór. Wolę nie widzieć, jak działa układ moczowy pacjenta, a potem go wypytywać, jak mu idzie z żoną. Zresztą ubikacje są monitorowane, więc nie ma wielkich szans, żeby próbował chachmęcić. Ale odbiegam od tematu, nie chodzi przecież o mnie ani o Smoothie. Pan w jakiej sprawie?

Tuttle kładzie notatnik, krzyżuje nogi i patrzy na mnie, znowu marszcząc nos i lekko podsuwając w górę okulary.

– Wolałbym zacząć od pytania, z jakimi zwykle ludźmi ma pan do czynienia.

– Z całą gamą: z chłopcami, którzy wpadli w kłopoty i wymagają nakazanej przez sąd pomocy terapeutycznej, z żonatymi mającymi problemy z opanowaniem gniewu, z kobietami w średnim wieku, pragnącymi odmienić swoje życie, i ze sporą liczbą nastolatek, które chcą się zabić. Co pana do mnie sprowadza?

– Staram się o rodzicielstwo zastępcze, złożyłem podanie i potrzebuję świadectwa zdrowia psychicznego.  
– Wręczam mu formularz. – Był pan wśród osób polecanych przez wydział opieki społecznej.

Tuttle bierze formularz i ogląda go, jakby widział coś takiego pierwszy raz.

– Chodzi o bezpośrednią opiekę nad małym chłopcem

z pewnymi problemami w nauce, który niedawno stracił rodziców.

– Czy był pan aresztowany?

– Nie.

– Lubi pan pornografię?

– Nie bardzo. Ale jest pewna sprawa.

Przedstawiam mu co i jak. Opowiadam o George'u. Słucha uważnie, sprawiając wrażenie, jakby była to dla niego całkowita nowość. Albo więc nie czyta gazet, albo jest bardzo dobry w ukrywaniu tego, co wie.

– Niechaj pierwszy rzuci kamieniem... – cytuje, gdy wyznaję mu swoją rolę w tym domowym krachu. – A przed tym wszystkim, przed ostatnim Świętem Dziękczynienia, wiódł pan konwencjonalne życie, bez romansów, bez związków pozamałżeńskich?

– Jak najbardziej konwencjonalne.

– A te dzieci? – pyta.

Opowiadam mu, jak je poznałem, że są znacznie bardziej interesujące, niż sądziłem, i że je kocham. Dzielę się z nim szczegółami naszej wycieczki do Williamsburga.

– Jest pan teraz z kimś związany seksualnie?

– Tak, z miejscową dziewczyną z bardzo miłej rodziny – odpowiadam, jakbym się przechwalał.

Wzrusza ramionami. Można by sądzić, że chce powiedzieć: A skąd pan to wie?

– No dobrze, tak więc ten chłopiec Ricardo, którego

chce pan wziąć na wychowanie...

– Przeżył wypadek, dzieci chcą mu pomóc, a ciotka, pod której opiekę trafił, boryka się z kłopotami życiowymi i...

– Na jakiej podstawie uważa pan, że nadaje się na opiekuna?

– Dobre pytanie – mówię.

Tuttle kiwa głową.

– Lubię tego chłopca. Przez wiele lat byłem pedagogiem. Dysponuję czasem i energią, żeby skupić się na jego potrzebach oraz na sposobach ich zaspokojenia. Jest mi bardzo przykro z powodu tego, co go spotkało, i chciałbym mu pomóc.

– Posłałby go pan do szkoły?

– Codziennie bym go posyłał.

– A gdyby musiał pójść do szkoły specjalnej?

– Znalazłbym mu najlepszą i walczył, by została objęta systemem szkolnictwa stanowego, które ma prawny obowiązek zapewnienia wykształcenia każdemu dziecku bez względu na jego niepełnosprawność. Robiłbym, co w mojej mocy.

– Robiłby pan to wszystko z myślą o adopcji?

– Dzieci chcą, żebym go adoptował. Ale nie jestem pewien, czy jego rodzina tego chce. Niemniej, owszem, w dalszej perspektywie mam taki zamiar. Traktuję to poważnie.

– A czym pan się zajmuje jako osoba pracująca na

własny rachunek?

Słowa „osoba pracująca na własny rachunek” Tuttle wypowiada powoli, jakby było to coś podejrzanego.

– Przez wiele lat byłem profesorem, zajmowałem się badaniami nad Nixonem. Obecnie jako nixonolog piszę książkę o nim i pracuję z jego rodziną nad projektem specjalnym.

– Ciekawe. A co pana zainteresowało w Nixonie?

– Nixon jest jak ktoś z innej epoki: tak staromodny, że niemal odrobinę zacofany, bezsprzecznie – wiedział czy nie wiedział – brzydki, rozgoryczony, zapluty, niepewny, a przy tym nadmiernie zadufały.

Psychiatra kiwa głową.

– Wybujala ambicja i zakompleksienie często idą w parze.

– Mnie jego pocenie się, jego paranoja, jego chwiejność emocjonalna fascynowały. Nie sprawdził się nawet jako prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Ma pan tytuł dla swojej książki?

– *Kiedy spaliśmy: amerykański sen obrócony w koszmar – Richard Nixon, Wietnam i Watergate: psychogenna temperatura topnienia.*

– Długachny.

– Wiele myślałem o narkotyku, jakim jest Amerykańskie Marzenie, o wierze w uprawnienia Stanów Zjednoczonych, która stała się przyczyną ich upadku. Bez zabójstwa Kennedy'ego nie mielibyśmy

Johnsona, który utorował drogę do władzy Nixonowi. Ziarna „sukcesu” Nixona zostały zasiane w momencie porażki – gorącej, spoconej, zakończonej klęską debaty telewizyjnej i przegranych wyborów prezydenckich w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Jak się spojrzy na naszych kolejnych prezydentów, to widać w tym sens: tworzą jeden po drugim psychologiczny postęp, wyrażając niewypowiedziane potrzeby, pragnienia i konflikty Amerykanów. Piszę o Nixonie jako rezerwuarze wszystkiego, co amerykańskie w tym momencie historii, o tym, dlaczego go wybraliśmy i jakie pokładaliśmy w nim nadzieje...

Robię dygresje, jestem agresywny, skaczę po tematach, punktuje najważniejsze tezy.

– Widzę, że ten temat pana pasjonuje – mówi Tuttle. – Ale o czym pan marzy, czego pragnie dla siebie?

– Niczego.

– Naprawdę?

Tuttle ma zdziwioną minę.

– Naprawdę, nic mi nie przychodzi na myśl.

– Nie sądzi pan, że brak pragnień w społeczeństwie tak skupionym na pragnieniach to samokaranie siebie?

– Czyżby?

– Nie ma pan żadnych pragnień?

– Ograniczone.

– To depresja?

Wzruszam ramionami.



– Wątpię.

– Więc co to jest?

– Zadowolenie? Satysfakcja? – podsuwam.

– Jest coś takiego?

– Niech pan mi powie. Zadowolenie to śmierć? Czy żeby żyć, trzeba pragnąć? Można dążyć do czegoś, co niematerialne?

– Mądrzej byłoby dążyć do tego, co bardziej realne, mniej ulotne niż nietrwały stan ducha. W tej chwili może pan się czuć dobrze, lecz powiedzmy, że coś się stanie i poczuje się pan gorzej. W pańskim modus vivendi brak wsparcia. Nie może pan powiedzieć: „Tak, czuję się podle, ale przynajmniej mam wypasiony samochód i wielki telewizor”.

– A dlaczego nie powiedzieć sobie: w tej chwili czuję się źle, ale przedtem czułem się dobrze i są szanse, że znowu się tak poczuję?

– Och, pragnęłaby tego większość ludzi, znaczna większość. – Tuttle rozsiada się w fotelu, rytmicznie stuka palcami o palce i zerka na zegar, wczesny cyfrowy model z numerycznymi klapkami. W ciszy słychać co minuta głuchy trzask opadającej cyfry. – Na dziś kończy się nasz czas – oznajmia. – Umówimy się na kolejną sesję?

– Miałem nadzieję, że zdoła pan wypełnić ten formularz. – Wskazuję głową miętowozieloną kartkę, którą dałem mu, gdy wszedłem. – To świadectwo zdrowia

psychicznego dla wydziału opieki społecznej, stwierdzające, że nadają się na rodzica zastępczego.

– Niech pan mi je zostawi – mówi. – Będę je mógł wypełnić pod koniec naszej następnej sesji.

– A więc wypełnienie tego formularza kosztuje siedemset pięćdziesiąt dolarów?

– To jakiś problem?

– Nie, chcę się jedynie upewnić, że dobrze zrozumiałem.

Tuttle kiwa głową.

– Za tydzień o tej samej godzinie?

W ciągu dnia – jeżeli nie zajmuję się sprawami dzieci, nie odwiedzam matki, nie pracuję na Manhattanie nad opowiadaniem Nixona ani nie siedzę przy biurku George'a, próbując dokończyć książkę – spotykam się z Amandą.

Załatwiając sprawunki, widujemy się na parkingach. Amanda informuje mnie, co nowego w sklepie – że powiększyli dział z jedzeniem „etnicznym”, jest więcej gotowych dań do odgrzania, a jedna z kasjerek oszukuje na wadze. Amanda to zagadka. Mówię, że chciałbym lepiej ją poznać.

Milczy.

Kiedy zaczynam opowiadać w szczegółach o zbliżającym się ślubie matki, przerywa mi.

– Nie interesujesz mnie jako osoba – mówi.  
Choć to przykre, nie biorę tego do siebie. Myślę, że kłamie.

Wieczorem odmalowuję łazienkę na piętrze i rozmawiam z Nate’em przez telefon głośnomówiący.

– Wymyśliłeś coś w związku z bar micwą? – pytam.

– Tak. Odwołajmy to.

– Rezygnujesz z bar micwy?

– Tak, nie pójdę do synagogi.

– A może zrobisz to gdzie indziej?

Maczam pędzel w puszcze półmatowej farby ekologicznej i przeciągam nim po ścianie.

– Na przykład?

– Może tu, w domu – podsuwam. – Właśnie go odnawiam.

– W domu ją zabito – oznajmia stanowczo.

– A w ośrodku rekreacyjnym? Albo w hotelu?

Znów zanurzam pędzel.

– Strasznie kłopotliwe. A poza tym ten rabin jest stuknięty.

– No to zrobmy coś nietypowego. Co byś powiedział na wycieczkę?

– Taką jak do Disneylandu? – pyta, co mi przypomina, że rozmawiam z dwunastolatkiem.

– Myślę o czymś poważniejszym, o czymś całkiem

innym.

– Czy ja wiem... Jeśli chciałbym gdzieś pojechać, to wróciłbym do Nateville. Ale nie wiem, czy kiedykolwiek się tam wybiorę.

– Masz dwanaście lat i martwisz się, że już tam nie wrócisz?

– Nie kpij sobie.

– Więc... chciałbyś pojechać do Afryki Południowej?

– Pewnie.

– Tylko do Nateville czy na wycieczkę z rozszerzonym programem, taką jak safari?

– Safari byłoby super. Zabralibyśmy Ashley?

– Oczywiście.

– I Ricarda?

– Jeśli chcesz.

– Super – powtarza, wyraźnie zadowolony.

– Dobrze. – Robię parę kroków do tyłu, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu. – Zobaczę, czego się dowiem.

Mam drugi telefon. Żegnam Nate'a i odbieram połączenie.

– Twoja matka zadzwoniła do mojej – mówi Jason.

– A gdzie „cześć”? – pytam, schodząc z drabinki.

– Wszystko było miło, dopóki się nie zdenerwowała, bo kiedy zaprosiła moją matkę na wesele, ta odparła: „Ja już byłam na twoim weselu, nie pamiętasz?”. Na to twoja: „Pewnie, że pamiętam. Ja mówię o tym co teraz, znów wychodzę za mąż”. Krótko mówiąc, moja matka myśli, że

twojej padło na mózg.

Pędzel wyslizguje mi się z ręki, odbija od wielu powierzchni i ląduje w klozecie.

– Nic jej nie jest – zapewniam, wyławiając pędzel z miski klozetowej i otrzepując. – W domu opieki kogoś poznała.

– Pozwolisz jej wyjść za mąż?

– Nie jestem pewien, czy mam na to wpływ. – Urywam, bo przychodzi mi na myśl, że Lillian może znać narzeczonego mojej matki. – Hej, możesz spytać matki, czy zna Boba Goldmana? Chodziła do tego samego gimnazjum, więc może go kojarzy.

– Mówisz o Bobym Goldmanie, młodszym bracie Yetty Goldman?

– Możliwe.

– W dzieciństwie strasznie łobuzował. Zalał dywan w toalecie w synagodze.

– Uprawiał sporty – mówię, tak jakby zalanie dywanu można było uznać za sportowy wyczyn.

– Goldman przez parę sezonów grał zawodowo w bejsbol, a potem był spikerem radiowym, jako Bob Gold, tak żeby nikt nie wziął go za Żyda.

– Skąd to wszystko wiesz? – pytam.

– Nasi rodzice siedzieli i gadali, a ja słuchałem. Ty z bratem zawsze byliście zbyt zajęci sobą, próbując się pozabijać.

Dębieję.

- Próbowaliśmy się pozabijać?
- Wciąż się biliście.
- Naprawdę? Nie pamiętam tego.

Ricardo spędził u mnie tydzień, potem na dwa dni pojechał do domu i wrócił z większą torbą ubrań. Moje nowe życie jest bezwzględnie uporządkowane: budzę się o szóstej rano, kwadrans po szóstej budzę Ashley, o wpół do siódmej budzę Ricarda, karmię i wyprowadzam zwierzęta i dzieci, za kwadrans ósma zostawiam Ricarda w szkole, za kwadrans dziewiąta zostawiam Ashley w teatrze lalkowym, gdzie pracuje przy zbliżającej się premierze *Romea i Julii*, a potem, jeśli nie mam roboty w śródmieściu, wracam do domu, sprzątam, robię zakupy, pracuję i szykuję się na powrót Ricarda o wpół do piątej. Tessie najwyraźniej szybko opanowała ten plan dnia i czeka na przyjazd żółtego szkolnego autobusu, mniej więcej czterdzieści pięć sekund wcześniej obwieszczając mi szczekaniem, że już czas. Autobus staje, wąskie drzwi się otwierają. Ricardo wyskakuje i przecina trawnik, wielki plecak na jego ramionach wygląda jak druga osoba. Przekąszamy i dzielimy się nowinami. Nieco później na podjazd wjeżdża taksówka i wysiada z niej, esemesując po drodze, nieoczekiwanie wydorosła Ashley. W dni, kiedy jestem w śródmieściu, Ricardo zostaje w szkole do późna i odbiera go Christina albo jej znajoma, a ja przyjeżdżam po niego o wpół do siódmej i idziemy na pizzę.

W kuchni pełno jest zadań domowych

z motywacyjnego programu szkolnego, na który zgłosiłem oboje. Ricardo chodzi też na zajęcia zespołu pływackiego i należy do klubu piłki nożnej. Na wyprzedaży garażowej kupiłem stół do ping-ponga i rozstawiłem go w dużym pokoju. Gramy każdy z każdym i w debla mieszanego. Szybkość i koordynacja wzrokowo-ruchowa poprawiają naszą sprawność umysłową.

W firmie prawniczej osławione nixonowskie pudła są trzymane w skarbcu. Ponieważ opinia publiczna nie wie, że istnieją, a ich zawartość nie jest znana, są pilnie strzeżone. Kiedy pracujemy, wielki skarbiec zostaje otwarty, jego cerber zdejmuje pudła z półki, umieszcza je wraz z naszym komputerem i posortowanymi wydrukami na metalowym wózku, a ja wiozę to wszystko i zamkniętą na klucz szafkę do swojego pokoju.

Ching Lan zasiada tam, czyta na głos brudnopisy, a ja je znakuję. Jej koślawa wymowa skłania mnie do uważnego słuchania i wyważonych poprawek. Nanosi je, drukuje strony i ponownie wracamy do tekstu. Lubię słuchać jej głosu. Sprawia, że mocno się staram odnaleźć sens opowiadania. Ching Lan zapisała się na kurs korektorski, z którego czerpie satysfakcję. „Te znaki są niemal jak pismo chińskie – prawie”. Mamy trzynaście opowiadań i dwadzieścia osiem fragmentów różnej



objętości – od trzystu pięćdziesięciu do tysiąca ósmuset słów – w mojej opinii błyskotliwych, aczkolwiek nieco psychotycznych, a z pewnością pisanych pod wpływem czegoś. Ich tematyka rozciąga się od sielskiej (wążchanie nasady melona, by ocenić jego dojrzałość, czy wręcz romantycznie bujne opisy burz z piorunami przetaczających się nad polami w letnie noce) po roztrząsania na temat wartości życia jako takiego, życia niezależnego od życia w rodzinie, życia intymnego, nieznanego nikomu, „miejsca, w którym człowiek może być sobą, nie dbając o to, czy sprawi zawód lub czy go nie odrzucą”.

Codziennie Ching Lan je z rodzicami lunch w ich delikatesach. Cały ranek czekają, aż przyjdzie i uzupełni zapasy na półkach, do których nie sięgają – służy im za drabinę. Żeby się nie narzucać, przestałem tam zachodzić i zacząłem jeść lunch w lokalu dwie ulice dalej, ale poczułem się jak zdrajca i wróciłem do nich.

– Nasz lokal dobry, czysty, komisja zdrowia dała kategorię A – mówi matka Ching Lan. – Je pan gdzie indziej, złapie pasożyta.

– Nie chciałem się wtrącać w wasze życie rodzinne.

– Pan członek naszej rodziny.

Wprowadza mnie za kontuar, żebym usiadł z jej rodziną na beczułkach z marynatami i posilił się jadłem

przyniesionym z domu w barwnych plastikowych pojemnikach.

– Sińskie klopy? – proponuje, chwytając pałeczkami małe okrągłe klopsy.

– Moja siostra pracuje w kluskarni, przynosi do domu resztki – wyjaśnia Ching Lan.

Przełykam sińskiego klopa, tłumacząc sobie po fakcie, że zjadłem „chińskiego klopa”.

– Grzeczny chłopiec. Jadł żółwia? – pyta matka.

– Nie – zaprzeczam.

– Jeszcze nie jadł. Bardzo dobry, jak mocny kurczak.

A jadł congee?

– Nigdy.

– To polubi. Kleik ryżowy jak grysik.

Kiwam głową.

– Krewetki? – pyta.

– Tak, oczywiście.

– Kapusta pekińska?

– Często – odpowiadam dla podtrzymania rozmowy.

– Siostra ma restaurację w Los Angeles, a kuzyn restaurację w hrabstwie Westchester. Jesteśmy tym, co nazywacie „dania na zamówienie”.

Matka Ching Lan dokłada mi ryżu do miski.

Po lunchu wsuwa mi baton Hersheya, co szybko staje się tradycją.

– Czekolada podtrzymuje ducha – mówi.

Wracając do firmy, wpadam do Super Store po

materiały biurowe. Krążę między półkami, podziwiając obfitość towarów. Znajduję samoprzylepne fluorescencyjne znaczniki, które mogę wykorzystać do oznaczania wyrażeń i tematów Nixona, tak by pozostały spójne, nie powtarzały się za często i nie były zbędne.

Ściskając w ręku niczym cukierki z automatu torbę z przysmakami, wchodzę do windy i naciskam guzik „16”.

– Tyramy? – pyta mnie jakiś facet. Stoi za moim lewym ramieniem. Musiałbym się obrócić, żeby go zobaczyć.

– Żebyś pan wiedział – mówię, próbując się odwrócić w jego stronę.

Widzę jedynie brzeg bejsbolówki, granatową wiatrówkę, ciemne spodnie i buty. Wnoszę z tego, że jest to niczym się niewyróżniający, nieokreślony biały mężczyzna pomiędzy pięćdziesiątką a siedemdziesiątką.

– Będę się streszczał – mówi, nie zmieniając tonu głosu.

Nikt poza mną w windzie go nie słucha, a w każdym razie nie zwraca na niego uwagi.

– Widzę, żeś jest ciemny jak tabaka w rogu, niczym zakochany szczeniak. Ta sprawa sięga głębiej, niż ci się wydaje. Po pierwsze, Chotiner[27] maczał paluchy we wszystkim. Po drugie, Dick i Rebozo mieli poważny romans, nawet jeśli był on nieskonsumowany. Po trzecie, jest powszechnie wiadomo, że Nixon był w Dallas w dniu zabójstwa Kennedy’ego, podobnie jak Howard Hunt i Frank Sturgis[28]. Czy to tylko ślepy zbieg okoliczności,

że ci dwaj byli także włamywaczami z Watergate? Zwróć również uwagę na włóczęgów – czy też agentów tajnych służb – którzy byli wówczas na tamtym trawiastym wzgórzu w Dallas. No i na tę przeklętą kartę biblioteczną Ferriego[29] w portfelu Oswalda! – Śmieje się. Jedna z kobiet w windzie odwraca się w jego stronę. Mężczyzna ścisza głos do szeptu. – Wszyscy oni latali tam i z powrotem na Kubę, grali na dwie strony... i dla mafii. Sprawdź, kto tam był, i masz odpowiedź – to gra na trzy fronty. – Milknie. – Czy wiesz, że Jack Ruby pracował dla Nixona w czterdziestym siódmym roku pod nazwiskiem Jack Rubenstein? Jedno ci powiem, koleżko: nie masz nic, wielkie zero.

Mimowolnie wydaję z siebie zdławiony odgłos skrajnej uciechy.

– Nie ma się z czego śmiać. Powiem wprost. – W doborze słów tego kogoś jest coś znajomego. – Nie był to jeden człowiek, ale grupa ludzi. Nikt nie ma czystych rąk. Wszyscy jesteśmy pionkami, pionkami! Każdego można kupić, każdego obalić. To było jak panoptikum. – Milknie na chwilę. – Wujek Bebe w prezencie ślubnym kupił twojej małej Julie dom. Myślisz, że zarejestrowała go na wypadek kradzieży u Tiffany’ego? Śledzę podobne sprawy. Jestem miłośnikiem historii. Kiedyś w rządzie pełno było takich gości jak ja, sądzących, że to i owo wiedzą, bystrych – ale nie dość bystrych – sukinsynów. Watergate to wewnętrzny epizod, „dziwaczna komedia

omyłek”, by użyć słów Nixona, nieproporcjonalnie rozdmuchana, gdy spojrzeć na resztę tej historii. Jak sam się wyraził: „Zdrapujesz ten strup, a pod nim jest znacznie więcej i czujemy, że dalsze jego rozdrapywanie byłoby bardzo szkodliwe. Dotyczy Kubańczyków, Hunta i mnóstwa matactw, z którymi my nie mamy nic wspólnego”.

Mój informator urywa na moment, po czym znowu zaczyna mówić, do złudzenia naśladowując Richarda Nixona:

– Widzisz, problem w tym, że wszystko zaczęłoby się od nowa, cała sprawa z Zatoką Świń, dlatego prezydent uważa, że, hm, bez wchodzenia w szczegóły... nie należy, nie należy kłamać im aż tak, by się wyprzeć jakiegokolwiek udziału, lecz trzeba nazwać to komedią omyłek, dziwaczną, ale bez detali. Prezydent się obawia, że to rozdmucha na nowo całą sprawę z Zatoką Świń.

Milknie, odchrząkuje.

– Podobają ci się te opowiadania? – pyta.

– Podobają.

Na chwilę zapominam, że nikt o tych opowiadaniach nie wie.

– Dotarłeś do tego z „kurwą mać”?

Kiwam głową.

– To opowiadanie o mnie – mówi, puszczając oko. Winda się otwiera, mężczyzna wysiada. – Sprawdź raz jeszcze swoją pracę domową. Powodzenia.

Wjeżdżam na samą górę, po czym wracam do holu wejściowego i pytam strażnika w recepcji, czy mógłby mi odtworzyć nagranie z windy. Widzę, jak mój informator stoi w jednym ze słabo widocznych miejsc, jakby dobrze wiedział, gdzie stanąć. Widać tylko brzeg jego bejsbolówki. Nie da się nawet stwierdzić, czy mówi do mnie, za to ja sprawiam wrażenie coraz bardziej wzburzonego i rozglądam się, jakbym sprawdzał, czy ktoś jeszcze słyszy to co ja i co to dla niego znaczy.

To jakiś test? Nie chcę nikogo denerwować, ale jeśli to test kogoś stąd, należałoby to zgłosić. Pytam Wandę, czy mogłaby do mnie zajść. Zatrzymuje się w progu, a ja wyjaśniam jej sprawę z mężczyzną w bejsbolówce i tak dalej.

– Stał za panem – mówi. – Widocznie dobrze wiedział, kim pan jest, i mówił rzeczy, których dotąd pan nie słyszał.

– Tak – potwierdzam, podniecony, że na coś trafiliśmy.

– Na nagraniu wideo nic nie widać?

– Tylko plamę.

Wanda kiwa głową.

– Pojawia się tu od lat – mówi niewzruszona.

– Kto to jest? Jakiś kopnięty rzep?

– Ktoś w tym rodzaju – mówi. – Kiedyś byli też inni, ale zostało niewiele. To kwestia pokoleniowa.

Nie rozprasza to moich obaw.

– Świat jest pełen ludzi – mówi Wanda.  
Stoję, czekając, aż powie więcej, ale milczy.

Jak wielu było tych innych? Ile jeszcze trzeba się dowiedzieć? Mam wrażenie, że kiedy człowiek zaczyna w coś grzebać, potok informacji nie dość, że nie ma końca, to jeszcze przepływa pod stołem od jednej administracji do drugiej, tak jakby istniał znacznie większy zbiór środków taktycznych, w które wtajemniczony jest prezydent ze swoją ekipą. A kiedy już zapoznasz się z tym zbiorem, nie tylko na zawsze się zmieniasz, ale też zawiła partyjna polityka tak mocno splata informacje z interesami, że prawdziwa zmiana jest niemożliwa.

Kto stworzył ów zbiór? I kiedy? Czy ktoś nim zawiaduje? Tworzy on tak splątana sieć, że można co najwyżej podłubać przy jej supłach.

– Wszystko w porządku? – pyta Ching Lan, kiedy wracam do biurka. – Stracił pan kolory.

– Słucham?

– Wyblakł. Jest pan biały jak papier.

Kiwam głową. Mężczyzna z windy rozsypał wiele paciorków dotyczących spraw, o których nie chciałem słyszeć. Mówił nie o moim Nixonie, nie o Nixonie z moich życzeń. Nie tym młodym RMN – kandydacie na wiceprezydenta – który oskarżony o finansowanie

wydatków osobistych z funduszy kompanijnych wystąpił w państwowej telewizji, aby przekonać wyborców, że jest człowiekiem niemającym.

*Pat i ja mamy satysfakcję, że każdą naszą dziesięciocentówkę zarobiliśmy uczciwie. Powiem jedno – Pat nie ma futra z norek. Ale ma porządny republikański sukieny płaszcz. A ja zawsze jej powtarzam, że wygląda dobrze we wszystkim.*

Nixon tego człowieka jest mroczniejszy, bardziej groźny, niż dopuszczałem to w myślach. Przygnębiony własną naiwnością, zadaję pytanie: mogę sobie pozwolić, żeby wiedzieć o Nixonie to, co wiem, i nadal go kochać tak głęboko? Pogodzę się z tym, że był człowiekiem pełnym wad, niezdecydowanym, o mocno rozszczepionym charakterze, przekonaniach i etyce? Czy istnieje polityk, który jeszcze przed zdobyciem najwyższego urzędu w państwie nie zaprzedał duszy dziesięć razy? Tajemniczy mężczyzna w windzie powiedział mi to, czego nie chciałem usłyszeć, choć skądinąd zdaję sobie sprawę, że taka może być prawda. Niektórych może ona zniechęcić, mnie jednak przybliżyła do RMN, ucłowiecza go. Z pewnością nie był pierwszym ani ostatnim, który zatracił granice pomiędzy władzą



wykonawczą a wyimaginowanymi naduprawnieniami – być może należał do tych rzadkich okazów, które obszerniej dokumentują swoje życie.

Proszę Ching Lan o przyniesienie opowiadania z „kurwą mać”, żeby jeszcze raz na nie spojrzeć.

Cytat z „kurwą mać”:

*Gdyby ludzie mieli pojęcie, co się działo, doznaliby wstrząsu, więcej niż wstrząsu, zapragnęliby jakichś działań – a przecież nikt nie chce, żeby prawda wyszła na jaw – a to by nam wszystkim zaszkodziło.*

*Kurwa mać, to zabiłoby ten kraj.*

*Cokolwiek wiesz albo sądzisz, że wiesz, lub ktokolwiek z tych, których znasz, sądzi, że wie – zadbaj, żeby o tym zapomnieli, spraw, żeby to znikło. Jest na to sposób: wycisz na jakiś czas sprawę – na tak długo, jak się da.*

*„Kurwa mać, za kogo on się ma!”, Charlton Heston w Dziesięciu przykazaniach. KM...*

Podnoszę wzrok i na korytarzu widzę Wandę. Rozmawia z Marcelem, który popycha chromowany wózek z pocztą. Później pytam go, co wie o Wandzie.

– Niewiele – mówi. – Tylko to, że jest wnuczką Nelsona Mandeli albo Desmonda Tutu, albo kogoś takiego... – Milknie. – Urodzona w Afryce Południowej, wysłana do

szkoły w Anglii, przyjechała tu, sprzedała swoje wspomnienia za trzy czwarte miliona – dodaje jakby po namyśle.

– Dlaczego tu pracuje?

– Na jesieni idzie na prawo. Oddała zaliczkę, przekazała na cele dobroczynne.

– Coś takiego!

– Coś takiego!

Pchając swój wózek wyłożonym chodnikiem korytarzem, Marcel powieliła moją intonację.

Korzystając z zasobów tego, co nazywa „siecią sióstr robiących to dla siebie”, Cheryl umawia mnie w domu z organizatorką przyjęć i właścicielką biura podróży, aby obgadać plan Bar Micwa w Afryce Południowej. Gdziekolwiek idziemy, powtarza głośno „BM”, przywodząc mi na myśl słowa mojej matki: „BM się udała?”, „Nie mogę teraz z tobą rozmawiać, urządzam BM”, „Czy twoja BM jest jak trzeba?”, i tak dalej...

– Możemy nazywać to inaczej? – proszę ją. – Normalnie: bar micwa.

– Za długo.

– No to mówmy po prostu „bar”. „Planujemy bar”.

– Ludzie się w tym nie pogubią?

– Nie bardziej niż teraz.

Organizatorka przyjęć Sofia przyjeżdża z pudłem

rekwizytów oznaczonym napisem „Bar Micwa” i upuszcza je z hałasem na stół w jadalni.

– Mam pudła na każdą okazję – na komunię, bat micwę, szesnaste urodziny, zaręczyny, narodziny dziecka, adopcje, zjazdy rodzinne, wyjazdy integracyjne, rekwizyty na wszelkie imprezy, wszystko od jarmułek po kurtki lotnicze i magiczne pióra ze zdjęciami panny młodej lub pana młodego, z których przy przechyle opadają szatki. Bardzo popularne. Nie ma co ukrywać, ludzie lubią upominki. Dochodzi do tego, że idziesz do czyjegoś domu na kolację i przy wyjściu zastanawiasz się: gdzie moja torebka?

– Jak zostałam organizatorką imprez?

– Przez przypadek. Matka była wspaniałą gospodynią: kwiaty na stole, składanie serwetek na setki sposobów. Zszokowałoby was, jak niewielu ludzi wie, że widelec kładzie się z lewej strony talerza, a jeszcze mniej, do czego służą widelec do sałatek i widelec do deserów... Dobra. – Powstrzymuje się, świadoma swojej gadatliwości. – Jak wyglądają ramy czasowe?

– Synagoga wyznaczyła datę na trzeci lipca. Urodziny Nate’a są piątego.

W Sofię jakby piorun strzelił.

– O co chodzi? – pytam.

– To jak nadprogramowa „nagła śmierć”. Więcej niż późno! – Bierze głęboki oddech. – Jest, jak jest. Zabieramy się galopem do roboty. Najpierw zaproszenia.

– Dobra wiadomość jest taka, że nie potrzebujemy zaproszeń. Uroczystość będzie skromna, tak zdecydował Nate, żadnych prezentów. Darowiznę przekażemy mieszkańcom pewnej wioski, żeby pomóc im w ulepszeniu szkoły.

Sofia patrzy na mnie jak na idiotę.

– Bar micwa ma się odbyć w lipcu w Afryce Południowej – nikt tam nie pojedzie, więc zaproście wszystkich. Tym bardziej że chcecie zebrać pieniądze dla tej szkoły. Zaproście całą klasę Nate’a i jego nauczycieli. Macie listę osób, które przyszły na pogrzeb jego matki? Listę osób z rodziny, do których wysyłacie kartki na święta? Krewnych Jane, którzy mogą cię nienawidzić, ale których ten chłopiec nadal obchodzi? Zaproś wszystkich, którzy przyjdą ci do głowy. Ta bar micwa odbędzie się przecież na drugim końcu świata, i to w lecie. Z zachwytem ci odmówią i prześlą prezenty. Licz, że zaprosisz dwustu pięćdziesięciu ludzi. Jeśli każdy z nich da od pięćdziesięciu do stu dolarów, dobrze na tym wyjdiesz. Koszt zaproszeń będzie dość wysoki. Koperty muszą być ładne, ozdobne, z omarkowanymi kopertami i kartkami na odpowiedź. To około trzech pięćdziesiąt za sztukę plus opłata za priorytet. Nazwijmy to kosztem wstępnym lub alternatywnym. Trzeba, żeby po otwarciu zaproszenia i przeczytaniu programu ludzie zdecydowali się przesłać pieniądze. Jednocześnie wydrukujemy podziękowania. Każdy, kto to zobaczy, będzie wiedział,

że ten chłopak ma szczęście mieć takiego wujka jak ty.

To pierwszy, osobliwie przyjemny komplement, jaki spotkał mnie w mojej nowej roli.

– Dobrze – ciągnie Sofia, nawet na chwilę nie pozwalając mi się nim napawać. – Mądrze wykorzystajmy czas. Do zaproszeń wystarczy druk termograficzny. W tym przypadku, zważywszy na to, co spotkało tę rodzinę, druk wkłęsły byłby przesadą. Zdecydowanie też odradzam zapraszanie ludzi za pośrednictwem mejli. Roześlemy miłe zaproszenia, wobec których poczują się zobowiązani... „Na prośbę Nate’a wszystkie prezenty przeznaczone zostaną na budowę szkoły w wiosce...”. Pieniądze mogą wpłacać przez PayPal, dowiem się, jak to zrobicie. A tymczasem czy możesz zacytować Nate’a, dlaczego tam jedzie i dlaczego ta wioska jest dla niego taka ważna?

– Pewnie.

– Zapisz. – Sofia stuka w leżącą przede mną pustą kartkę. – Twoja lista zadań. „Pan Harold Silver i...”. Jak ma na imię siostra Nate’a?

– Ashley.

– „...i Ashley Silver zapraszają na uroczystą bar micwę Nathaniela”. Jak Nate ma na drugie imię?

– Hm, Allan?

– „...Nathaniela Allana Silvera w dniu...”, powiedzmy, „dziewiątym lipca” w... Jak się nazywa ta miejscowość?

– Nateville.

– „W Nateville”, uroczo, „w Afryce Południowej”. „Po obrzędzie w południe zapraszamy na ucztę i tańce”. Wiesz, gdzie w RPA jest to Nateville?

Kręcę głową, że nie wiem.

– Jakie jest tam największe miasto?

– Durban... chyba.

– Trzeba będzie zamówić gastronomię, rabina, jakiś zespół, zapewne wóz chłodniczy, który dowiezie wszystko na miejsce, być może namiot i klimatyzację. Ile stopni jest tam w lipcu?

– Dla nich jest wtedy zima.

– Dowiem się. – Sofia zapisuje to sobie. – Co myślisz o jedzeniu? Pieczeń wołowa krajana na miejscu? Omlety na zamówienie? Co z zespołem? Klezmerska grupa rockowa z dużego miasta? No wiesz, przeboje plus tradycyjne żydowskie pieśni w tanecznych rytmach. Musimy też ustalić budżet. Marzyć mogę cały dzień, ale nie znam twojego zdania.

– Myślę o czymś nieco okazalszym... jak by to powiedzieć... nie całkiem kameralnym, ale wykorzystującym wszystko, co się da zorganizować na miejscu.

– W stylu wiejskim?

– W każdym zgodnym z tradycjami południowoafrykańskiej wioski, ale bez przesady.

– Czy w tej wsi jest jakiś hotel albo nocleg ze śniadaniem?

- Nie wiem.
- Zdajesz sobie sprawę, że nasza sytuacja nie jest korzystna.
- To znaczy?
- Nie wiemy, o czym mówimy. Byłeś kiedyś w Afryce Południowej?
- Nie.
- Ja również. Ale mam parę pomysłów. Ilekroć sytuacja trochę mnie przerasta, zadaję sobie pytanie: co na moim miejscu zrobiłaby Lynne Tillman?
- A kto to jest Lynne Tillman?
- Patrzy na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Jak to, nie wiesz?”.
- Wiesz, jak Oprah pracuje z Colinem Cowiem?
- Znowu nie wiem, o czym mowa.
- Colin to fantastyczny organizator przyjęć, urządzający dla Oprah imprezy na całym świecie, ale wie to, co wie, dlatego, że się uczył z Lynne Tillman.
- To także organizatorka imprez?
- Nie, pisarka, ale dogłębnie znająca ludzkie zachowania. Colin jest taki dobry, bo we wszystkim, co robi, wzoruje się na jej estetyce. Myślałam nawet, żeby się z nim skontaktować i zobaczyć, co zaproponuje, ale mogę też chyba zadzwonić do Lynne Tillman. Jej opinia może pomóc.
- Kiwam głową, wciąż nie wiedząc, o czym mówi.
- Na chwilę zajmijmy się upominkami. Dawniej

sugerowałam rzeczy takie jak jarmużki z monogramem, niekiedy iPody z monogramem, ale są drogie, a poza tym większość dzieci już je ma. Rozdajemy mnóstwo śnieżnych kul, bejsbolówek, koszulek... ale w tym przypadku myślę o piłkach futbolowych z napisem „Nate 13”.

– Świetny pomysł – chwalebę, po raz pierwszy prawdziwie podekscytowany.

Podchwytuje mój entuzjazm i go wykorzystuje.

– I o koszulkach sportowych, niebiesko-białych z wytłoczonym na gorąco nazwiskiem obdarowanego. Mają tam elektryczność? Taki sam alfabet?

– Po ile są takie piłki?

– Zakupimy tuzin. Chcesz tylko koszulki? Czy koszulki, spodenki i skarpety? Byłoby miło, gdybyśmy kupili komplety. Buty w różnych rozmiarach? I parę kostiumów sędziowskich? Może powinniśmy kupić im koszulki w różnych barwach, pół na pół, żeby mieli dwie drużyny?

– Najlepiej zakup wszystko – mówię.

– Dla dziewcząt również?

– Oczywiście, równość to równość.

Sofia wręcza mi jeszcze jedną listę zadań, moją pracę domową na następne spotkanie: 1. książka z adresami, najlepiej elektroniczna, 2. pomysły w sprawie obsługi, 3. ma czy nie ma znaleźć jakiegoś rabina, 4. budżet.

Wchodzi Cheryl z kawą i ciastkami na tacy. Kiedy



szybko przekąszamy, zjawia się Cecily, agentka biura podróży. Sofia pakuje pudło i zostawia mnie z piórem i kartką ze swoimi danymi i logo „Impra Sofia”.

Cecily przygotowała prezentacje trzech scenariuszy w PowerPoincie, od najtańszego do najdroższego.

– Nie próżnowałam – zaczyna. – Mówimy o kwocie około dziewięciu tysięcy dolarów od osoby za przelot.

– Klasa biznesowa odpada, wystarczy turystyczna.

– To jest turystyczna. Gdybyście byli trochę elastyczni co do terminarza lotów, mogłabym zejść do około sześciu i pół tysiąca.

– Jesteśmy bardzo elastyczni.

– Pamiętajcie, że data jest ustalona: dziewiąty lipca w południe – przypomina przed wyjściem Sofia.

– Tak jest – potwierdza agentka. – Ile dni spędzicie w tej wiosce?

– Dwa? Może trzy.

– Przyjmijmy, że dwie noce, trzy dni. A potem co, wielka piątka, safari na grubą zwierzynę? Wiecie, lwy, słonie, bawoły, lamparty, nosorożce. A po safari podróż balonem na gorące powietrze, skoki na bungee, przelot nad wodospadem?

– Pozostanemy przy naturze i historii. Bez bungee, bez balonu i przelotu nad wodospadem. Zawsze chciała pani być agentką biura podróży? – pytam.

– Byłam stewardesą. W samolocie poznałam przyszłego męża, często latał, był żonaty. „Oni nigdy nie zostawiają żon”, mówiły mi inne dziewczyny, ale on swoją zostawił. Wrócił i powiedział: „Zrób ze mnie uczciwego człowieka”. – Urywa. – Tak więc najważniejsze pytanie brzmi: jak luksusowe ma być to safari?

– Chcę, żeby było miło, ale bez przesady. Bardziej zależy mi na bezpieczeństwie niż na luksusach.

– Nie zależy panu na wrażeniu?

– Nie chcę wyjść na palanta, który przyjeżdża na parę dni do biednej odległej wioski, a potem mówi „Hasta la vista, baby” i jedzie na luksusowe safari. Kłóciłyby się to z głównym celem: uczczeniem przemiany chłopca w mężczyznę.

Cheryl promienieje, zadowolona z siebie i swoich wpływów.

– Kim według nich jestem dla ciebie? – pytam, kiedy Cecily jest w łazience.

Śmieje się.

– Wiedzą o tobie wszystko – mówi. – Nazywają cię moim drugim mężem. Myślę, że każda powinna mieć takiego, nawet mój mąż tak myśli. Jesteśmy strasznie zacofaną kulturą, za mało w nas polotu, żeby przetrwać.

– A co z korepetytorami dla Ashley i Ricarda? Znasz jakichś?

– Oczywiście – mówi. – Sporządziliśmy wspólnie listę, zaznaczając, kto się nadaje do jakiego dziecka i z jakiego przedmiotu.

– A masz zamiary na dobrego elektryka?

Patrzy na mnie.

– Prześlę ci tę listę przez internet.

W niedzielę w południe moja matka poślubia Boba Golda. Kiedy Ashley zaczyna kręcić wideo, strzela korek powietrzny i szklane drzwi odsuwają się z ssącym dźwiękiem podobnym do puknięcia. Ashley przesuwa kamerę w lewo. Na ścieralnej tablicy przy drzwiach frontowych napis: „W południe Gold żeni się z Silver”. Dom opieki cuchnie jak stare pieluchy – wysiadła klimatyzacja. Moja matka jest w swoim pokoju, dogładana przez druhny. Drzwi blokują dwie duże kobiety.

– Żadnych chłopców – oznajmiają, zezwalając Ashley i jej kamerze na przecięnięcie się między nimi.

Ricardo i ja czekamy w jadalni, którą przeobrażono w rodzaj kaplicy, z trzypiętrowym tortem i kwiatami.

– Doprowadzi pan swoją matkę? – pyta mnie jakaś kobieta, a ja nie bardzo wiem, co ma na myśli. – Do ołtarza – dodaje.

– Oczywiście. Żaden problem.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku przedstawia mi się

jako syn Boba Golda, Eli.

– Przepraszam za moje siostry – mówi.

– Rozumiem.

– Wciąż jest mężem naszej matki, mimo że ona leży w śpiączce.

Kiwam głową.

– Moim siostrom trudno jest się oswoić z tą zmianą. Kiedy tato nam oznajmił, że jest w stanie kochać więcej niż jedną kobietę, moje siostry nie były na to gotowe. – Zawiesza głos. – Mamy wspólnego znajomego. Jasona, syna pańskiej ciotki. Kiedyś się z nim spotykałem. Świat jest mały.

– Maleńki – przyznaję.

Jadalnia zapęłnia się odświeżniami ubranymi staruszkami, w różnym stopniu mobilnymi: niektórzy poruszają się o własnych siłach, niektórzy o laskach lub balkonikach, a inni są wwożeni na wózkach. Do sali wjeżdża potrójna karawana, popychana przez pielęgniarza.

– Ciasto przed obiadem! – entuzjazmuje się jeden z rezydentów.

Ricardo ma na sobie blezer Nate'a. Jest na niego za duży, co nadrabia przysadzistą sylwetką.

– Dobrze wyglądasz, mamó – komplementuję matkę, kiedy zjawia się w jadalni, i całuję ją w policzek.

– Jesteś bardzo opalony – mówi matka do Ricarda. – I niższy i grubszy, niż byłeś.

– To jest Ricardo, babciu, nie Nate, Ricardo jest nowy – przychodzi mu w sukurs Ashley.

– Ach, tak, miło mi cię poznać.

– To mój brat – dodaje Ashley.

– Witaj w rodzinie – mówi matka, rozkojarzona.

– Dziękuję. Najlepsze życzenia z okazji ślubu – odwzajemnia się Ricardo.

– Czy Ricardo może nieść obrączki? – pyta Ashley. – Też chce uczestniczyć w ślubie.

Bob daje Ricardowi obrączkę, a Ashley dostaje koszyk z płatkami róż. Rozbrzmiewa muzyka. Ashley rusza przejściem między weselnikami, za nią Ricardo. Ujmuję matkę pod rękę i prowadzę, a jedna z pielęgniarek bierze pod rękę Boba Golda.

Dociera do mnie, że Bob Gold jest moim nowym ojczymem. Świta mi to, kiedy on i matka stoją obok siebie przed Cynthią, „bioenergoterapeutką” i była pielęgniarką, która podjęła się udzielenia ślubu.

Sama ceremonia, choć niewiążąca prawnie, nieoczekiwanie wzrusza. Wypowiadane słowa podkreślają wagę przyjaźni, troski, wspomnień i przeszłości. Jestem bliski łez, gdy bukiet kwiatów rzucony przez moją matkę nie tyle trafia, ile ląduje na kolanach uśmiechniętej kobiety bez nogi.

– Nigdy nic nie wiadomo – mówi staruszka.

Matka i Bob kroją tort. Kiedy Bob podaje jej pierwszy kęs, ręka trzęsie mu się tak mocno, że matka bierze ją

i kieruje do swoich ust.

Pod słuchuję rozmowę pielęgniarzy.

– Przenosi się do niej?

– Podobno – mówi drugi. – Zsuną im łóżka. Miejmy nadzieję, że kółka się nie odblokują, a oni nie spadną w szparę i nie złamią bioder.

Po skończonym przyjęciu obsługa wyprowadza rezydentów na popołudniową drzemkę, a my żegnamy nowożeńców.

Jesteśmy wystrojeni i nie mamy dokąd iść.

– Chcecie wpaść do jakiegoś miłego lokalu na wczesną kolację? – pytam, gdy idziemy do samochodu.

– Możemy – mówi Ashley. – Możemy też wrócić do domu i zrobić sobie coś w rodzaju pizamo-pizzo party przy telewizji.

Patrzę na Ricarda zapinającego pas na przednim siedzeniu.

– Wolałbym pójść gdzieś, gdzie jeszcze nie byłem – oświadcza.

– Pojedziemy do śródmieścia?

Oboje kiwają głowami.

– Genialnie – mówi Ashley.

Zabieram dzieciaki do Sali Dębowej w hotelu Plaza, gdzie zamawiamy koktajl Shirley Temple i sandwicze klubowe. Od lat tak dobrze się nie bawiłem.

– Mój kuzyn pracował w hotelu – mamle Ricardo, zając się grubym kawałkiem sernika. – Kiedy

przychodził do domu, kieszenie miał wypchane czekoladowymi monetami, które wkładają nocą do łóżek. Wyobrażacie sobie spanie w łóżku pełnym czekolady?

Mam o sobie aż za dobre mniemanie, oznajmiając Nate'owi, że znalazłem gadżety, które możemy zabrać ze sobą do Afryki Południowej – słoneczne miniładowarki do telefonów komórkowych.

– To miło – mówi. – Ale im potrzeba ogrzewania słonecznego w domach, słonecznych podgrzewaczy wody, oświetlenia wioski w nocy. Pomyśl o czymś większym.

– Dobra, zanotowałem. Czy w Nateville jest ktoś, kto rządzi, sołtys lub ktoś starszy?

– Sakhile, *induna*, naczelnik wioski. Jego żona to Nobuhle. A jego najważniejsi ludzie to Mthobisi, Ayize i Bhekiziziew.

– Jak się z nimi skontaktować?

– Ja zwykle mejluję.

– Mają tam pocztę elektroniczną?

– Już mają.

– A jak im przesłać pieniądze?

– Jest wiele sposobów. Ja korzystam z PayPal, karty kredytowej taty albo bezpośrednio z konta bankowego. Wiele transakcji załatwiają przez komórkę. Blisko Nateville jest też sklep delikatesowy przyjmujący wpłaty

i wypłacający gotówkę.

– Ile przekazujesz?

– Ze dwieście dolarów miesięcznie.

– Skąd je bierzesz?

Nate na chwilę milknie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Sprzedaję rzeczy.

– Jakie rzeczy? – pytam bardzo wolno, żeby ukryć popłoch.

– Materiały szkolne – odpowiada niepewnie Nate.

– Nate, ta historia jest dziurawa jak szwajcarski ser. Nie kręć.

– No dobrze, dobrze. Więc kiedy w szkole ktoś chce coś kupić w szkolnym sklepie...

– Tak?

– ...kupuję to na swoje konto związane z kartą kredytową taty, chłopaki zwracają mi gotówkę, a ja wysyłam ją do Nateville.

Oddycham z ulgą.

– Nikt się nie skarży. Uważają, że robię to w dobrej sprawie. Są bardzo za, „reszty nie trzeba”. Ilekroć ktoś zeszłej jesieni kupował koszulkę szkolnej drużyny, to prosiłem, żeby dokupił jedną dla tej afrykańskiej szkoły.

– A co na to twój dyrektor?

– Nie ma się do czego przyczepić, w końcu to szkoła nas tam kiedyś zabrała...



Szkicuję mejla do naczelnika wioski: „Dobry wieczór, jestem wujem Nathaniela Silvera, który opowiedział mi o swoim związku z Pańską wsią. W lipcu obchodzimy jego trzynaste urodziny, w religii żydowskiej to specjalna okazja upamiętniająca przemianę chłopca w mężczyznę, dlatego Nathaniel bardzo chciałby, aby jego bar micwa odbyła się w Pańskiej wiosce. Może mi Pan odpisać, czy jest to możliwe? A także jak najłatwiej dojechać do waszej wsi ze wschodniego wybrzeża Stanów. Z poważaniem, Harold Silver”.

Odpowiedź dostaję po kilku minutach.

„Dolećcie do Durbanu, a my załatwimy samochód. 1–2 godziny jazdy, w tym czas na zmianę opony. Kiedy przyjeżdżacie?”.

„Z góry dziękuję – odpisuję. – Jeszcze nie wiem którego dnia. Na razie mamy trochę rzeczy na przyjęcie, chcielibyśmy je przesłać do wsi. Jak najlepiej je dostarczyć?”.

„Wyślijcie do Durbanu, mój brat odbierze”.

„Macie internet?”.

„Oczywiście, tak się przecież kontaktujemy. Skypujecie? Chwalimy się, że jako jedyna wieś mamy własnego satelitę. Pewnej nocy zleciał z nieba i wylądował na pobliskich wzgórzach. Myśleliśmy, że to

trzęsienie ziemi albo kosmici. Dobrze odbiera. Nasze telefony mają cały czas cztery kreski – bardzo dobry sygnał”.

Na tym kończy. Mija parę minut.

„Ilu mieszkańców liczy wioska?” – piszę.

„W szkole uczy się sześćdziesięciu uczniów, a ponadto trzydziestu, czterdziestu innych, w tym starszych. Przyjedźcie. Nasze dzieci lubią przyjęcia. Możecie przesłać pieniądze na zaopatrzenie?”.

Czy można grzecznie zapytać, co dostaniemy za te pieniądze?

„Konieczne będą rachunki, mój księgowy jest w tej mierze drobiazgowy”.

„Kto to jest księgowy?”.

„Człowiek, który pilnuje wydatków – wystukuję. – Ile pieniędzy mam przesłać? Pięćset dolarów?”.

Nie chcę wyjść na skąpca, ale nie wiem, ile co kosztuje.

„Na przyjęcie dla całej wsi? Wprawdzie jesteśmy małą biedną wioską, ale żyjemy w XXI wieku. – Po minutowej przerwie naczelnik dopisuje: – Mam prośbę. Możecie przywieźć ibuprofen? Nękają nas silne bóle”.

„Oczywiście” – odpowiadam.

„Dziękuję”.

„Jakie macie pomysły względem tego przyjęcia i na ile wyceniacie koszty? Od tego zaczniemy”.

„Dobrze – odpisuje. – Pomówię z bratem i dam znać”.

Kończąc zaskoczony, że ledwie chwilę temu

rozmawiałem z nieznajomym z drugiego końca świata,  
że porozumiewałem się z nim jak z kimś, kogo znam od  
lat. Sprawdzam, jaka dzieli nas różnica czasu – siedem  
godzin. Ja cię! U niego jest druga w nocy.

W piątek wieczorem przychodzi posiedzieć z dziećmi najbliższa znajoma ciotki Ricarda, a ja wychodzę na kolację z Cheryl i jej mężem Edem.

Ed jest niezwykle sympatycznym, przyjacielskim gościem. Gadamy o wszystkim z wyjątkiem tego, że sypiam z jego żoną.

– Czym się zajmujesz? – pyta.

– Pracowałem na uczelni, a teraz piszę i redaguję.

– Ach, tak? Jak to się robi? Jak decydujesz, o czym pisać, co dodać, a co ująć?

Wzruszam ramionami.

– Trzeba wyczuć tekst. A ty czym się zajmujesz?

– To interes rodzinny. Wulkanizujemy.

– Na czym to polega?

Ed wygłasza długi spicz, łącząc naukowy wykład z reklamą.

– Fascynujące – mówię.

– Nie podbijaj mu bębenka... – ostrzega Cheryl.

– To naprawdę interesujące.

– Tym się zajmujemy. Jesteś żonaty? – pyta Ed. – Masz dzieci?

– Świeżo po rozwodzie. Bezdzienny.

– Jak wy dwoje się poznaliście?

Daję znak kelnerce.

– Rachunek, proszę.

Studiuję metodycznie listę Sofii na bar micwę. Mam poważne trudności ze zlokalizowaniem Ryana Weissmana, młodzieńca szkolącego się na rabiną. Numer telefonu na wizytówce, którą mi zostawił, kiedy zjawił się u mnie w godzinach pracy, by podyskutować o „Żydzie jako wyjętym spod prawa”, jest nieaktualny. Ryan S. Weissman, stypendysta Nauk Postjudaistycznych Herschlaga. Co to są nauki postjudaistyczne? Szukam w Google’u Stypendium Herschlaga. Klikam dwukrotnie.

„W pięćdziesiątą rocznicę ślubu Binnie i Stanley Herschlagowie uczcili swoje dożgonne umiłowanie wiedzy utworzeniem Stypendium Herschlagów. Są bardzo dumni ze swoich synów, Arthura i Abrahama, „bliźniaków, którzy zostali rabinami”, mówi Binnie Herschlag. „Czy można chcieć czegoś więcej?”, pyta Stanley Herschlag. „Można, dlatego chcę”, dodaje Binnie Herschlag.

Tekst przedziela zdjęcie Binnie trzymającej pierwszego wnuka.

„Oto Allen Steven Koenig Herschlag. Nie posiadam się z dumy. To znaczy posiadam, ale...”.

Odnajduję Ryana, metodycznie przeszukując internet i małe posty, rozsiane po sieci jak królicze bobki.

Doprowadza mnie do niego jego „polubiona” strona „Afirmacja różnic (Czy Żydzi i goje mogą się przyjaźnić?)”.

– Skończył pan swój referat o żydowskich przestępcach? – pytam, kiedy w końcu się do niego dodzwaniam.

– Zrezygnowałem.

– Jak to zrezygnował pan?

– Jestem skończony. Wyrzucili mnie ze szkoły – oznajmia.

– Ale pan jest z rodziny rabinów, nie wolno panu rezygnować.

– Wyobraża pan sobie, jak trudno mi to przyszło?

– Co się stało?

– Wpadłem w głęboką depresję z powodu strasznej nieszczerości ludzi, fałszywości przywódców, powszechnego zakłamania. Przeżyłem wielki duchowy i rodzinny kryzys i musiałem zadać sobie pytanie, czy chcę być rabinem.

W tle słychać dziwne pochrząkiwanie przypominające klakson.

– Co to za hałas? – pytam.

– Świnie – wyjaśnia. – Pracuję na północy stanu na farmie organicznej i zajmuję się między innymi doglądaniem świń. Czyż to nie ironia?

– Pewnie.

– To bardzo inteligentne stworzenia.

Pytam go o radę, co jest wymagane przy bar micwie, co czyni ją prawomocną – jakie są zasady, niezbędne modlitwy, które trzeba zmówić, by mieć pewność, że obrzęd jest ważny.

– Zatajają przed wiernymi, że nic nie jest wymagane – mówi. – Kiedy kończysz trzynaście lat, stajesz się mężczyzną. Ceremonia jest tylko na pokaz. W wieku trzynastu lat spada na ciebie obowiązek przestrzegania przykazań Tory, zostajesz zaliczony w poczet członków minjanu[30] i odpowiadasz za swoje nieprawości. Może cię za nie spotkać kara. Zwykle chłopiec odbywający bar micwę czyta przeznaczony na konkretny tydzień fragment Tory albo wygłasza referat na określony temat.

Pytam Ryana, czy rozważyłby wyjazd z nami jako nasz oficjalny duchowy przewodnik.

Z przyjemnością przedstawiłby żydowskie tradycje w odległej wiosce, bardzo docenia to, co zrobił Nate, ale...

– Nie mogę – mówi. – Nie mogę. Chcę, ale nie mogę. Te świny mnie potrzebują, a może ja potrzebuję tych świń.

Jestem w biurze na Manhattanie i gawędzę z Wandą, kiedy czekamy, aż pracownik skarbcza wyciągnie z niego pudła.

– Uprzedzam, że w lecie wezmę sobie na pewien czas wolne – mówię. – Zabieram rodzinę do Afryki

Południowej.

– Miłej zabawy.

– W razie czego będę osiągalny przez komórkę.

Wanda kiwa głową.

– W razie czego? Źle postawionego przecinka?

– Po prostu informuję. Pozwoli to Ching uzupełnić transkrypcję i dokonać korekt.

– W porządku.

– Może mi pani coś polecić? Wskazać, co warto zobaczyć, jakieś wspaniałe restauracje?

– Nic a nic.

– Ale czy pani nie jest wnuczką...?

– ...dawnej sprzątaczką Nixona w Waszyngtonie? – wpada mi w słowo. – Marcel rozповіда naokoło, że moja matka pracowała dla pani Nixon.

– Dziwne. – Nie rozwijam tematu. – A co mówi o sobie?

– No, że jest nieślubnym synem Nelsona Mandeli, którego ten wysłał na Harvard, żeby zdobył doktorat z teologii, ale go wylali, albo że jest nowojorczykiem i występuje jako komik na stojaka w teatrze Upright Citizen Brigade.

– Ciekawe, co z tego jest prawdą – mówię, wiedząc, że dałem się nabrać.

– Na dwoje babka wróżyła.



Z upływem dni wszystko staje się coraz pilniejsze. Załatwiam paszporty, bilety lotnicze, świadectwa zdrowia na safari, przywieszki z wprasowanymi nazwiskami.

Jestem z Cheryl w drogerii w centrum handlowym i kupuję to, co potrzebne.

– Z Edem poszło dobrze – ocenia.

– Jak należało oczekiwać.

– To znaczy?

– Nie wyobrażam was sobie razem. O czym wy rozmawiacie?

– Nie rozmawiamy. Właśnie dlatego kupuję tu z tobą płyn odkażający do rąk – mówi urażona.

– Jesteś zła z konkretnego powodu?

– Sofia ma na ciebie chrapkę. Cały czas gada o tobie i bar micwie, jak by to było wspaniale, gdyby z tobą pojechała. Nie może uwierzyć, że jej to przepadnie.

– Ona mnie nie interesuje. Może po prostu pragnie tego, co masz ty. Kobiety takie są: kiedy idą na lunch, lubią zamawiać to samo.

– Poluje na ciebie. Mąż puścił ją kantem dla nowej pokazowej żony, fizyczki od cząstek elementarnych, która świetnie jeździ na nartach.

– Nic z tego – przysięgam Cheryl.

– Dlatego, że jesteś „związany” z Amandą?

– Dlatego, że Sofia mnie nie interesuje.

– Zaprosiłeś Amandę na tę podróż?

– Jeszcze nie. Pytasz, bo chcesz pojechać?

– Nie jadę. Dziwnie by to wyglądało. Co by powiedziały moje dzieci, gdybym oznajmiła, że muszę jechać do Afryki Południowej na bar micwę twojego bratanka? One nawet cię nie znają.

– Tak właśnie myślałem, ale nie chciałem powiedzieć. Niemniej zaproszenie dla ciebie i twojej rodziny... męża, dzieci, kogokolwiek... jest aktualne...

– Boki zrywać, to jak cudzołóstwo w rodzinie Bradych.

– A poza tym – dorzucam niczym gospodarz teleturnieju sypiący nagrodami – naprawdę chciałbym poznać kiedyś twoje dzieci, byłoby prawdziwiej.

– Poznać w jakim sensie? Przyszedłbyś na kolację, a ja bym cię przedstawiła: „To jest pan, z którym mamusia baraszkuje, kiedy tatuś jest zajęty wulkanizowaniem?”

– Poznałbym ich jako wasz przyjaciel – podsuwam.

– Pomyślę o tym. – Mężatki nie mają męskich przyjaciół.

– Czasy się zmieniają.

Ładuję do wózka pastę do zębów i szampon na podróż, a Cheryl próbuje mnie nakłonić, bym ją „wziął” w nowym dziale spożywczym, który nazywa się „chwyc okazję”. Ma chęć na seksualną przygodę ze mną w każdym sklepie centrum handlowego. Przebyliśmy około jednej czwartej półkolistego pasażu, ale jestem pewien, że personel sklepów, strażnicy i inni już nas rozpoznają. Trudno powiedzieć, czy dlatego, że jesteśmy

bywalcami, jak starsze panie przychodzące tu dla zażycia ruchu, czy dlatego, że wymieniają się nagraniami z ukrytych kamer.

Kiedy wkładam do koszyka jednorazowe szczoteczki do zębów, rozdzwania się moja komórka. Ignoruję ją. Po trzecim sygnale przestaje dzwonić, lecz po chwili znowu się odzywa.

– To ona – mówi Cheryl. – Kto inny dzwoniłby dwa razy z rzędu? Mógłbyś odebrać.

– Halo – mówię.

– Nie mogę znaleźć ojca – panikuje Amanda. – Gdzieś się zawieruszył.

– Gdzie jesteś?

– Na zewnątrz, w jakimś kurewskim centrum handlowym, niedaleko parkingu.

– A co mówi twoja matka?

– Wysłałam ich do Dairy Queen, bo pokrycie na kanapę zaniósłam do pralni chemicznej. Nie chciałam ich zawstydząć wyjaśnieniami, że na obiciu są odchody...

Wprawdzie nie mam włączonego głośnika, ale Cheryl i wszyscy w promieniu paru metrów słyszą głośno i wyraźnie każde słowo.

– Matka zwróciła ojcu uwagę, że nie powinien dodawać siekanych orzechów do deseru lodowego, bo szkodzi mu to na niedrożność jelita, i on wypadł z lokalu. Próbuję go odszukać, ale ona chodzi za wolno i za mną nie nadąża.

– To może zapakuj ją na ten czas do auta albo zobacz, czy nie ma tam kogoś, kto jej kilka minut popilnuje.

– Spytaj, czy jest tam hipermarket Home Depot – szepcze Cheryl. – Mężczyzn ciągnie do narzędzi.

– Czy jest tam Home Depot?

– Tak – potwierdza Amanda.

– Sprawdź tam. Znajdź kogoś w pomarańczowej kamizelce i powiedz, że szukasz osoby, która się zgubiła.

– Pomarańczowe kamizelki już szukają – odzywa się po krótkiej zwłóce. – Zaczekaj... coś słyhać przez krótkofalówkę... Dostrzegli go w dziale hydraulicznym, sika do któregoś z wystawionych klozetów. Idę tam. Widzi mnie. Kieruje się w drugą stronę, biegnie. Mój ojciec ucieka. Muszę iść. Zadzwonię później.

Rozłącza się.

Kiedy rozmawiam, Cheryl dodaje do mojego wózka rzeczy, które zauważam dopiero w kolejce do kasy: lewatywy, tampaksy, pieluchy dla dorosłych, taśmę izolacyjną, a w tej chwili jest przy półkach z kosmetykami.

„Co o tym myślisz?” – esemesuje do mnie.

Odwracam głowę. Stoi przy końcu półek, podnosi bluzkę i świeci nagimi piersiami, do których przylepiła sztuczne rzęsy.

Serce bije mi szybko. Ktoś jeszcze to widział?

– Czy to pańskie? – pyta kasjer przy kasie, wyjmując z mojego koszyka dużą tubę żelu nawilżającego.

– Nie. – Pośpiesznie grzebię w wózku i wyjmuję czopki glicerynowe. – Moje są tylko płyn do rąk i produkty toaletowe na podróż. Ktoś widocznie pomylił wózki.

Wyjmuję opakowanie midolu<sup>[31]</sup> i zostawiam na ladzie.

„Nie tylko ja się śmieję” – śle mi tekst Cheryl.

– Jak można pomylić wózki z pieluchami i dużym mleczkiem magnezowym? – mruczy ktoś.

– Jest zakłopotany – komentuje ktoś inny.

– Nie jestem – zaprzeczam. – Kupuję dla rodziny rzeczy na podróż.

Podchodzi do mnie ochroniarz.

– O co chodzi? – pyta.

– Ci ludzie wmawiają mi, że jestem zakłopotany swoimi zakupami. Nie wierzą, że ktoś włożył mi te rzeczy do wózka.

– Chce pan je kupić czy nie?

– Nie. – Podnoszę ręce, jakbym się poddawał. – Nieważne, kupię kiedy indziej.

– Panie, weź pan, co panu potrzeba, i nie daj sobie włązić na głowę.

– Nie daję.

Kieszeń znowu mi wibruje. „Fujara” – esemesuje Cheryl. Płacę za zakupy. Ochroniarz odprowadza mnie do drzwi. Kiedy wychodzę, rozlega się głośnie buczenie. Staję, wiedząc, że Cheryl skądś mnie obserwuje i się śmieje.

- Pan przejdzie – mówi ochroniarz.
- Ale bzyczę.
- Coś pan ukradł?
- Skądże.
- To pan przejdzie.
- Do sutka mam przylepioną sztuczną rzęsę, nie wiem, jak jej się pozbyć – mówi Cheryl, kiedy ją doganiam. – Kiedy ją przyklejałam, nie myślałam, że moje sutki tak się wyczulą.
- Spróbuj zmywacza do paznokci.
- Spróbowałam, w trzeciej alejce. Dlatego się spóźniłam.
- No to będziesz musiała z nią chodzić, aż ci odpadnie
- mówię niewzruszony.
- Wsadza mi rękę do tylnej kieszeni spodni i wyciąga pęk metalowych czujników z kodami kreskowymi.
- Jesteś wolny.
- Przeginasz pałę.
- Masz rację. Jestem zazdrosna.
- O co?
- O ciebie i o tę jak ją tam.
- Amandę.
- Właśnie.

W niedzielę, kiedy zabieram Ricarda do jego ciotki Christiny, informuję ją i wuja chłopca, że planuję

urządzić Nate'owi bar micwę w Afryce Południowej. Opisuję podróż, wyjaśniam, że w trakcie uroczystości być może zarżniemy i przyrzadzimy kozła, że będą tańce, a goście dostaną tradycyjne kostiumy z paciorkami, staromodne bębenki i pióra. Widzę, że dziwi ich ten pomysł.

Christina kręci głową.

– Nie rozumiem, na co panu powrót do przeszłości, kiedy tuż przed sobą ma pan przyszłość.

– To historyk – tłumaczy Ricardo. – Wierzy w przeszłość. Cały dzień czyta książki o tym, co już się zdarzyło.

Wuj Ricarda włącza zdalnie sterowany samochodek i hałasując kółeczkami, jeździ nim tam i z powrotem po podłodze.

– Czy Ricardo ma paszport? – pytam.

– Wątpię – mówi ciotka.

– Czy mogę się w takim razie dowiedzieć, czego trzeba, żeby go wyrobić?

Christina kiwa głową.

Ricardo tańczy po pokoju.

– Jadę na safari! – cieszy się. – Na safari, złapię słońnia, słońnia!

Wuj wjeżdża samochodzikiem na jego stopę. Umyślnie.

– Dobrej zabawy – mówi.

Nadchodzą zaproszenia. Piękne, rzeczowe, poważne. Koperty prezentują się elegancko z niebieską bibułkową wyściółką. Jedną wysłałam ekspresem do Nate'a.

– Dostałem zaproszenie – zawiadamia mnie takim głosem, jakby płakał.

– Nie podoba ci się? – pytam z obawą.

– Nie. To znaczy podoba. Wygląda tak prawdziwie.

– Jest prawdziwe.

Nate przestaje pociągać nosem.

– Jestem zaskoczony. Kiedy z mamą i tatą wszystko się schrzańiło, zrezygnowałem z normalności. Nie wydawała się możliwa.

– A więc to zaproszenie może być?

– Jest świetne.

– Dobrze, a jaki chciałbyś mieć tort? – pytam, żeby korzystając z okazji, załatwić parę spraw z mojej listy zadań.

– Czekoladowy.

– A co z Torą? Wybrałeś już fragment, który chcesz odczytać?

– No wiesz, nie za bardzo znam hebrajski. Dlatego wolę napisać coś od siebie...

– Na jaki temat?

– Byłeś kiedyś na święcie Płonącego Człowieka[32]?



Sofia rozsyła zaproszenia, wszystkie zaadresowane jej pięknym kaligraficznym pismem. Dostarcza mi arkusz kalkulacyjny do śledzenia RSVP. Wiem, że zaproszenie dotarło, bo kuzyn Jason śle mi mejle z niepochlebnymi opiniami na temat Afryki Południowej, artykułami o katastrofach samochodowych, w których zginęli turyści, o licznych ofiarach rozboju na lotniskach, wzroście przemocy wobec białych, zagrożeniach takich jak wirus Ebola oraz o tym, że jeśli staniesz w nocy na czerwonym świetle, to czeka cię wybicie szyb, ograbienie z wszystkiego, co masz w samochodzie, albo porwanie.

„Dzięki za wszelkie rady – odpisuję. – Z załączników wnoszę, że dołączysz do nas duchem, ale nie osobiście”.

Dokonując dużych zakupów w Oriental Trading Company i wybierając z katalogu Lillian Vernon, Sofia zamówiła pióra, zeszyty i tornistry dla wszystkich dzieci we wsi. Do wielkich plastikowych pudeł zapakowała koszulki piłkarskie, artykuły szkolne, instrumenty muzyczne, nuty, odtwarzacz kasetowy i nagrania wszystkich piosenek, których mają się nauczyć, a także ciasto czekoladowe z posypką, przybraniem i świecami.

Tymczasem na podłodze w gabinecie George'a leżą cztery walizki, do których zapakowałem ubrania dla dzieci – takie same dla każdego, ale w różnych

rozmiarach i kolorach. Zawożę Ricarda i Ashley do doktora Faustusa na szczepienia i załatwiam, żeby Nate został zaszczepiony na co trzeba w szkole.

A kiedy to wszystko przygotowuję, martwię się. Nie wątpię, że mieszkańcy wioski darzą Nate'a sympatią, ale jeśli nie dostaną pieniędzy, mogą okazać mniejszy entuzjazm. Aby nie zakłócić ważnej chwili w jego życiu, nic nie mówię, ale jestem świadom, że starają się wzbudzić w nas współczucie, żebyśmy im dali jak najwięcej, z czym się zgadzam – nikt bardziej niż oni nie ma prawa do rekompensaty.

Podczas naszych coraz rzadszych popołudniowych randek Amanda wyznaje, że nie powiedziała wszystkiego na temat Heather Ryan, tej zabitej dziewczyny.

- Na przykład czego?
- Że oprócz jej portfela znalazłam inne rzeczy. Patrzę na nią.
- Jakie?
- Strój gimnastyczny, zeszyty szkolne... różne takie.
- Myślałaś, żeby oddać je rodzinie?
- Nie.
- Dlaczego?
- Mają wszystko, co po niej zostało, a ja nic poza tym.
- Ale są jej rodziną...
- A ona to ja – przerywa mi.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że to nie wszystko na jej temat?

– Jej komórka wciąż działa.

– Pewnie rodzice jeszcze jej nie wyłączyli. Na pewno mają ważniejsze rzeczy na głowie.

– Dostaje wiadomości...

– Jakie? Od kogo?

– Na pocztę głosową, od najbliższej przyjaciółki.

– Naprawdę? – pytam zaskoczony.

Amanda kiwa głową i wręcza mi komórkę.

– Pierwsza wiadomość jest z dnia, w którym zaginęła.

Włącza pocztę głosową i głośnik.

„Gdzie jesteś? Halo! Zadzwoń. No dobra, serio, dlaczego jesteś taka dziwna? Zadzwoń. Mam się martwić? Jeżeli w ciągu pięciu minut nie oddzwonisz, zadzwonię do Adama... Tylko że on też nie wie, co się z tobą dzieje. DTW<sup>[33]</sup>: zgłoszono twoje zaginięcie... Halo! Policja zawiadomiła twoich starych, że znaleźli cię w worku na śmieci. Twoja mama zaczęła krzyczeć, zarzygała całą kuchnię. Wiem to od twojego taty. Poszedł z policjantami, a z nią została pani Gursky. Wszystko posprzątała. Zabrałam twoją mamę do salonu. Nie wiem, co myśleć. Przenocowałam w twoim pokoju z twoją siostrą. Przesiedziałyśmy do późna. Wciąż myślałam, że za chwilę się zjawisz... i pokażesz wszystkim, że ta cała afera z psami tropiącymi i ludźmi z workami to gruba przesada. Około piątej rano wrócił twój tata. Pokazali mu

twoje zwłoki, by mieć pewność, że to ty. Jak możesz nie żyć? Czy to nie straszne, że dzwonię do kogoś, kto nie żyje? Właściwie nie wierzę w to. I nie uwierzę, dopóki tego nie potwierdzisz. Zawsze mi mówisz, co jest prawdą, a co nie, czy to nie dziwne? Z kim teraz mam rozmawiać? Po południu wróciłam do domu i rodzice wciąż pytali, czy dobrze się czuję. Nie czuję się dobrze, ale trudno mi znieść, że patrzą na mnie jak na zbląkanego psa. Musiałam wyjść z domu, niestety wszyscy ci reporterzy pogonili za mną, więc poszłam do ciebie, ale twoja rodzina jest oczywiście w rozsypce. Reszta z nas jest w szoku. W parku spotkałam Adama. Wini się za to, bo ci nie uwierzył, że nie chodzisz z tym typem, uważa, że wszystko spieprzył...”.

– Dużo tego jest? – pytam.

– Mnóstwo.

Słuchamy dalej:

„Dziś był twój pogrzeb, spodobałby ci się. Byli wszyscy, nawet pan Krupatskini. Zachowywał się, jakby rządził. Oczywiście nikt nie zwracał na niego uwagi, ale twoi rodzice pozwolili mu ogłosić, że ustanowiono stypendium twojego imienia. Twoja mama zaprosiła mnie do pokoju i spytała, czy chciałabym zachować coś z twoich rzeczy. Wzięłam bransoletkę, którą w siódmej klasie zwinęłaś ze sklepu. „Jedna z jej ulubionych”, powiedziała. „Wiem – odparłam. – Mam taką do kompletu”. Mojej siostrze oddała twój stary niebieski

rower. Twój tata jest bliski załamania. Wciąż powtarza ruch, jakby odgarniał włosy z czoła, a ponieważ ich nie ma, bo jest łysy, takie odgarnianie raz po raz dziwnie wygląda... Za nic byś nie zgadła, kto cię zabił: to ten gość z guzami na twarzy, o którym Adam myślał, że z nim chodzisz. Wiedział o tobie tak dużo, bo miał twój stary pamiętnik, tak więc poniekąd cię znał. Wciąż mi się śni, że mnie śledzi. Wiem, że chodzi mu o ciebie, ale w tym śnie jestem twoją namiastką... Jak myślisz, jest jakaś szansa, byś wróciła? Czy to zbyt dziwne pytanie?... Jak tam jest? Czy to rzeczywiste miejsce? Są tam inni?

Brak mi ciebie”.

Amanda pomija niektóre fragmenty.

„Wybacz, że przez jakiś czas nie dzwoniłam. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale Adam i ja zaczęliśmy się spotykać. Nie gniewasz się, co?”

– Na tym nagrania się kończą – informuje. – Wyłączyła telefon.

– Kim ona dla ciebie jest?

– Nie wiem. Kimś, kim nigdy nie byłam. Jest mi bardzo bliska. Dopóki będę doładowywać jej komórkę, te nagrania przetrwają. Z czasem znikną? – pyta.

– Nie mam pojęcia – mówię, niemiło zafrapowany.

Rozstajemy się w sklepie spożywczym. Musi zrobić zakupy, a ja dotrzeć na czas do domu, żeby zdążyć na

autobus Ricarda.

– Wpadnij w piątek na kolację – mówię na odchodnym. – Przyjdź z rodzicami.

– Jesteś pewien?

– Tak. Wpół do siódmej. Usmażę paluszki rybne i placki z ziemniaków i sera.

– Przyniosę ciasto – obiecuje.

Piątek wieczór, dzieciaki pomagają nakryć do stołu. Rozkładamy piękny obrus, srebrną zastawę, ładne talerze – wszystko, co tkwiło w kredensie od śmierci Jane. Kupiłem świeże kwiaty i pokazałem Ashley i Ricardowi, jak je układać i jak przycinać lodygi. Ashley robi sałatkę, a Ricardo pomaga mi przyrządzić paluszki rybne i placki. Kiedy zjawia się Amanda z rodzicami, dzieci tkwią przy drzwiach frontowych jak mali ambasadorowie.

– Pozwolą państwo, że wezmę wasze płaszcze? – pyta Ricardo, choć goście ich nie mają.

– Napiją się państwo czegoś? – dopytuje się Ashley, gdy nadal są w holu wejściowym.

– Z miłą chęcią – odpowiada matka Amandy, Madeline.

Rozpiera mnie duma.

– To prawdziwa przyjemność.

Matka Amandy ściska dłoń Ricarda.

– Pani ręce są miękkie jak aksamit – komplementuje ją

Ricardo.

– Dziękuję – mówi Madeline.

Kiedy kończę przygotowania do kolacji, zaglądam do salonu i widzę, że Madeline gra na podłodze z Ashley w oczko, a Cy próbuje wyjaśnić Ricardoowi reguły gry tryktraka.

Amanda, z rękami skrzyżowanymi na piersi i nadąsaną miną, siedzi na kanapie.

Wołam wszystkich do stołu. Paluszki rybne i placki serowe robią furorę. Rozpływając się w zachwytach nad menu, Madeline i Cy cofają się w czasie i wspominają wspaniałe wędrówki po francuskich winnicach i włoskie przygody, kiedy przemierzali autostopem góry opodal Turynu.

Amanda pamięta, jak zostały w domu z siostrą i panną z sąsiedztwa, niemającą zielonego pojęcia o dzieciach.

Ricardo i Ashley dzielą się opowieściami o wycieczce do Williamsburga, w tym „barwnymi” szczegółami, które mocno rozśmieszają Cya.

– Kocha trywialne żarty – szepcze do mnie Madeline.

Gdy kolacja dobiega końca, spostrzegam, że lubię rodziców Amandy bardziej niż ona.

Po cieście z owocami i bitą śmietaną Ashley, Ricardo, Amanda i ja sprzątamy, a gdy wreszcie wychodzimy z kuchni, rodziców Amandy nie ma już w salonie. Przez chwilę widzę plecy jej ojca, który wchodzi po schodach na piętro.

- Cholera! – klnie Amanda.
- Ja pójdę – uprzedzam.
- Jej rodziców zastaję w sypialni George’a i Jane.
- Mogłabym prosić o herbatę? – pyta Madeline. –  
Niestety, nasze bagaże jeszcze nie przyjechały.
- Jak mocną?
- Nie za mocną.
- Dwie kostki – wtrąca ojciec Amandy.
- Pan też się napije?
- Ja nie... ale ona zawsze narzeka, że herbata jest za mocna i niedosłodzona. Znajdzie się kusztyczek szkockiej?
- Oczywiście, sprawdzę. – Wracam na dół. – Szykują się do snu – oznajmiam i nastawiam czajnik na herbatę.
- Robią sobie piżama party? – pyta Ashley.
- Trudno powiedzieć.
- Amanda wmaszerowuje po schodach i wraca po kilku minutach.
- Cieszą się, że towarzyszę im w podróży, są bardzo zadowoleni, że znów podróżują, przypomina im to, jak bardzo lubią zwiedzać nowe miejsca. Na resztę wieczoru dali mi wolne, powiedzieli, że wkrótce znów się zobaczymy.
- Zaparzam herbatę dla Amandy, jej matki i Ashley, nalewam szkocką i wracam na górę.
- I co? – pyta Amanda, kiedy schodzę na dół.
- Twoi rodzice już leżą, oboje w piżamach George’a.



Twoja matka siedzi i w moich okularach czyta książkę, którą zostawiłem przy łóżku. Uśmiechnęła się, kiedy podałem jej herbatę. „Nie mogę znaleźć swojej koszuli nocnej, więc włożyłam jakąś jego”, powiedziała. Twój ojciec był w łazience, mył zęby moją, jak sądzę, szczoteczką.

– Powiedz im, że mają się ubrać i natychmiast zejść.  
Czas do domu – mówi zestresowana.

– Chyba się tu zadomowili.

– Niech zostaną – prosi Ashley.

– Ja się zgadzam – mówię.

– Bylebym tylko nie musiał spać z tą panią – wtrąca Ricardo.

Amanda patrzy na nas jak na wariatów.

– Powiem im – obiecuję – że jeśli jutro do południa się stąd nie wyniosą, to ich tu zostawisz...

– Jak to zostawię? – pyta.

– Powiedzieli, że strasznie się cieszą, że odzyskali dawny pokój i jedno duże łóżko w miejsce dwóch oddzielnych.

– Zapomnieli, że sami sobie takich zażyczyli?! – oburza się, jakby ją obwiniono.

– Mówię tylko, że twoi rodzice mogą tu spokojnie przenocować. Dzięki temu zyskasz kilka godzin dla siebie, załatwisz to i owo.

– W jedną noc niewiele da się załatwić – zrzędzi.

– Zrobimy im śniadanie – proponuje Ashley. –

Naleśniki i jajka.

– Z bekonem – dorzuca Ricardo.

– Jesteś zaproszona – mówię do Amandy.

– Idę. – Chwyta torebkę. – Cała noc wolna. Pojęcia nie mam, co zrobię.

Następnego dnia około południa Amanda dzwoni i pyta, co z rodzicami. Wszystko w porządku, odpowiadam, zjedliśmy śniadanie, a w tej chwili siedzą w salonie i czytają.

Im częściej powtarzam, jak lubię jej rodziców, tym bardziej robi się milkliwa.

– Rozlatują się – mówi.

– Nie bardziej niż reszta z nas. Są pełni werwy.

– Świetnie. Skoro tak dobrze wam razem, to może powinnam wziąć wolne i wybrać się gdzieś na weekend?

– Dokąd?

– Czy ja wiem, odwiedzić siostrę w Filadelfii? Starych znajomych w Bostonie? Zapakować lekarstwa rodziców, trochę czystych ubrań i zostawić ich z tobą.

– Mam się zmartwić, że nie chcesz wyjechać ze mną?

– Nie chodzi o ciebie. – W jej głosie słychać dziecięce rozgoryczenie. – Chodzi o mnie. Prawie nic ze mnie nie zostało. Muszę ocalić, co się da.

Trudno nazwać samolubnym kogoś, kto troszczył się o swoich starzejących się rodziców.

– W porządku – mówię. – Baw się dobrze.

Wyjeżdża na weekend i wraca. Wiem, że wróciła, bo kiedy mnie nie ma, zostawia na gałce u drzwi wielkie plastikowe torby z ubraniami i odnowione recepty. W telefonie domowym znajduję wiadomość, że poszła

załatwiać sprawy – w banku, w pralni chemicznej. W jej głosie słyszeć świeży entuzjazm.

Idzie, wraca, wpada do mnie, zostawiając mi kartę bankową, klucze do domu, listę nazwisk i numerów wszystkich lekarzy rodziców et cetera. Zjawia się, znika, zjawia, znika... i przepada.

Od Ashley dowiaduję się, że Amanda nie wróci.

– Spadaj, Jack – mówi.

– Tak powiedziała?

Ashley kręci głową.

– Nie dosłownie.

Dzwonię do siostry Amandy w Filadelfii.

– Są u mnie pani rodzice – mówię. – Chcę zawiadomić, że czują się dobrze.

– Z kim rozmawiam?

– Tu Harold, znajomy pani siostry. Jak się udał weekend?

– W jakim sensie?

– Weekend z Amandą.

– Nie widziałam jej od lat. Jaja pan sobie robi? Chce mnie pan w coś wkręcić? Bo jeżeli tak, to powiem ci prosto z mostu, koleżko...

– Nieważne.

Rozłączam się i dociera do mnie, iż bardzo możliwe, że Ashley ma rację – Amanda wybyła.

Esemesuję do Cheryl. Wcale mi nie współczuje.

„Mówiłam ci, że to się źle skończy”.

„Mam zawiadomić policję? A jeżeli jest ranna lub nie żyje?”.

– Odeszła – mówi Ashley – odpuść sobie...

Ogarnięty paniką dzwonię na komórkę Amandy. Odzywa się poczta głosowa. A potem spostrzegam, że w mojej zostawiła wiadomość:

„Zrobiłam cię powiernikiem kont moich rodziców, ich pełnomocnikiem. Podpisałam kilka dokumentów, wymagają kontrasygnat – są w teczce na twoim biurku. Wiem, że masz pytania... Nie zrobiłabym tego, gdybym nie była pewna, że się wywiążesz. Na początku miesiąca poczta głosowa zostanie wyłączona. Przeszanę być tą, za którą ty lub ktokolwiek inny chciałby mnie uważać. Muszę się odbić od dna. PS. Nie dzwoń do mojej siostry, to nic nie da. Jeżeli nie chcesz moich rodziców, odeślij ich do domu. Zrozumieją, jak zawsze”.

„Myślałem, że zostanie, bo mnie polubiła – piszę do Cheryl później tego dnia. – Myślałem, że zostanie, bo byłem miły dla jej rodziców, bo jestem dobry, można na mnie polegać”.

„Dlatego ich z tobą zostawiła” – odpisuje.

„Mam odwołać podróż?”.

„W żadnym razie!” – odpowiada, zaprzeczając tak stanowczo, że jej wierzę.

„Za późno na dokupienie biletów na samolot, a nie jestem pewien, czy poradzę sobie z dwoma dorosłymi i trójką dzieci i czy podołają trudom tej podróży”.

Cheryl uważa, że mi odbiło.

„Nigdzie nie pojedą – pisze. – Byli tu długo i będą, kiedy wrócisz”.

„Racja”.

Załatwiam z opiekunem zwierząt, że sprowadzi siostrę i wspólnie zajmą się zwierzętami i staruszkami.

Rok szkolny powoli dobiega końca. Ashley pokazuje mi szkic rozbudowanego eseju o śmierci telenoweli, przeplecionego refleksjami na temat wystawienia *Romea i Julii* w teatrze lalek. Pisze, jak widzi siebie w roli tych postaci, jak angażuje się w ich życie i co o nich myśli pomiędzy jednym a drugim odcinkiem. Zaskakuje mnie umiejętność, z jaką znajduje wspólny grunt dla telenowel, Szekspira i sztuki lalkarskiej. Ma dobre pomysły, lecz tu odzywa się moja profesorska natura: czy ktokolwiek porozmawiał z nią o konstrukcji? Ta wymaga licznych zmian. Dzielę się nią myślami, na co reaguje sykiem przypominającym gwałtowne burze. Wypada z pokoju, a potem – bywa, że w środku nocy – wsuwa mi szparą pod drzwiami gruntownie przerobiony esej. Chce wypaść jak najlepiej, co dobrze wróży. Udaję, że radzę sobie z jej wybuchami, ale odnotowuję w pamięci, żeby przy następnej wizycie u doktora Tuttle’a spytać go, jak postępować z nastoletnią dziewczynką.

Ricardo często zostaje w szkole do późna na próbach szkolnego przedstawienia, w którym występuje jako Benjamin Franklin, rzutki młodzieniec z wciąż nowymi pomysłami w głowie – „Almanachem biednego Richarda”, rozmaitymi wynalazkami i proklamacjami. Zapoznając się z jego postacią, Ricardo prosi mnie, żebym mu pozwolił rozebrać na części starą maszynę do pisania i zrobić własną prasę drukarską. Zgadzam się i cieszę się z tego w duchu. Jego szkolną kartę postępów wypełniają znaczki zaliczeń i złote gwiazdki – zapracowuje na bilety na mecz Jankesów.

U Nate’a szkoła kończy się w drugim tygodniu czerwca, ale wytypowano go na dwutygodniowy miniobóz, w tym roku poświęcony matematyce, a konkretnie mikrofinansom.

Prawdę mówiąc, choć bardzo mnie to stresuje – nie wspominając o niepokoju, że gdy nabierasz przekonania, iż wszystko idzie dobrze, nagle coś bierze w łeb – jestem zadowolony, że dzieci tak dobrze sobie radzą.

Im bliżej wyjazdu, rozmawiam z wioską coraz częściej, a lista rzeczy do zabrania się wydłuża. Wyjmuję z torby swetry i koszule, robiąc miejsce na budyń błyskawiczny, dwunastocalowy wok, akumulatorki, paracetamol, cement chirurgiczny, wiórki czekoladowe, drożdże

i musującą witaminę C.

Człowiek, którego wynająłem, by załatwił paszport dla Ricarda, żąda dwustu pięćdziesięciu dolarów więcej, gdyż wymaga to więcej wyjaśnień niż zwykle.

Sofia przesyła Sakhile, naczelnikowi wioski w Afryce Południowej, szczegółową rozpiskę naszego pobytu.

– Lubię być zorganizowana – wyjaśnia obronnym tonem, kiedy sugeruję, żeby pewne sprawy pozostawić naturalnemu biegowi rzeczy. – Wiem, że innym trudno docenić taką szczegółowość, ale chcę, żeby wszystko poszło dobrze. Zdaję sobie sprawę z różnic kulturowych nie tylko co do bar micwy, ale też poczucia czasu i wagi uroczystości. Dlatego chciałam wyjaśnić jednoznacznie, czego oczekuję. – Na ekranie komputera pojawia się twarz Sakhile. – Macie wszystko, co potrzeba? – pyta Sofia naczelnika. – Czy są jakieś rzeczy do zabrania na ostatnią chwilę?

– Jesteśmy gotowi – mówi Sakhile. – Mam pani instrukcje.

Pokazuje tabliczkę z licznymi przypiętymi kartkami.

– Jesteśmy podekscytowani – odpowiada Sofia. – Harold przywiezie panu kopię wydrukowanego zaproszenia.

– Pana żona rządzi silną ręką – stwierdza Sakhile po jej wyjściu.

– To nie moja żona, to organizatorka przyjęcia – prostuję.



– Jak Colin Cowie? – pyta. – Urządził wielką imprezę dla Opry.

– Rzeczywiście. Jestem ciekaw, jak Nate trafił do waszej wioski.

– Dla ocalenia naszej wsi zbudowaliśmy szkołę i z tego wynikło to, co dobre – mówi. – Moje pokolenie musiało ją opuścić w poszukiwaniu pracy, większość nie wróciła. Było nas coraz mniej i mniej i wtedy wpadłem na pewien pomysł. Wraz z demokracją napłynęły pieniądze. Złożyliśmy wniosek i dostaliśmy pieniądze na szkołę, która wspomaga naszą wieś. Najpierw zbudowaliśmy małą, a potem wystąpiłem o pieniądze na zbudowanie większej, żeby mogły do niej chodzić dzieci z najbliższej okolicy. Większość ich ma tylko dziadków, którym trudno o nie zadbać, dlatego tak ważne jest, żeby się kształciły.

– A pan kiedy poszedł do szkoły?

– Chodziłem do szkoły misjonarzy tylko dwa lata, ale swoje wiem. Moja rodzina żyła tu od bardzo dawna. Zostałem tylko ja.

– Szlachetnie.

Kręci głową.

– Nie jestem szlachetny, jestem praktyczny. Nie chcę, żeby moja wieś wymarła. Nic w niej nie zostało, nikt nie ma innego powodu tu mieszkać prócz tego, że żyliśmy tu zawsze. Tak trafił do nas Nate. „Jeżeli wybudujecie, to się zjawia”. – Śmieje się. – To cytata z *Bliskich spotkań trzeciego*

stopnia, gdzie Richard Dreyfuss buduje górę z rozgniecionych ziemniaków...

Słowo „ziemniaków” brzmi smacznie, bo Sakhile wymawia każdą sylabę z osobna.

– Myślę, że to scena z *Pola marzeń*, filmu o bejsbolu z Kevinem Costnerem. W *Bliskich spotkaniach* Dreyfuss mówi: „Pewnie zauważyliście, że z tatą dzieje się coś dziwnego...”.

Cytuję tę kwestię, nie mając pojęcia, jak ją zapamiętałem, i postanawiam raz jeszcze obejrzeć film. Kiedyś zrobił na mnie duże wrażenie.

– Bezpiecznej podróży – mówi Sakhile. – *Ulale kahle*.

Na dzień przed wyjazdem wszyscy grają przed domem w wiffle’a. Nate i Cy trenują Ricarda. Madeline ich zagrzewa. Zapada zmierzch – świetliki mrugają i gdyby nie komary, byłoby świetnie. Ashley i Nate akceptują Ricarda bezwarunkowo – nie wyczuwa się, żeby był im obcy albo żeby oni z nim rywalizowali. Jest ich bratem. Przypadł nam, a my jemu.

Stoję na frontowych schodkach nieco z boku, obserwując ich, jakbym posiadał wiedzę, która mnie od nich oddziela, lecz wcale tak nie jest. Są po prostu pochłonięci przyjemnościami. Podczas gdy ja myślę, o której musimy wyruszyć, o paszportach, walucie i walizkach, oni myślą o tym, że jest lato, dzień jak

marzenie, a na kolację będzie spaghetti z klopsikami.

– Zagraj z nami! – woła do mnie Ricardo, a kiedy nie reaguję, żąda: – Zagraj!

– Gdzie są bazy? – pytam.

– Pierwsza to azalia, druga rododendron, a trzecia to bez przy podejździe – mówi Nate.

Idę odbić piłkę. Ashley grzmoci pięścią w rękawicę.

– Dawaj!

Przegrywam zero do dwóch, próbując się połapać, jak odbić niepewny rzut Cya. Głucho trzaska plastik o plastik, piłka leci ukośnie w prawo, odbija się od słupa latarni przy frontowych drzwiach, wlatuje pod bukszpan i stacza z górki o centymetry od Ashley, która rzuca się za nią. Docieram bezpiecznie do trzeciej bazy. Jako następna bierze kij Madeline. Wybija krótko, a ja docieram ślizgiem do mety (i z godnością wycofuję się z gry, żeby schłodzić otarte kolana).

Następnego dnia po południu samochód, który ma nas zawieźć na lotnisko, przyjeżdża wcześniej. Ricardo pierwszy raz leci samolotem i jest speszony procedurami bezpieczeństwa – zdejmuje buty (i skarpetki), pasek, opróżnia kieszenie, w których ma nadmiar rupieci. Po przejściu kontroli dzieciaki idą kupić gumę. Ricardo na wszystko ma ogromny apetyt – chce komiksów, wody sodowej, czekolady, pistacji. Jego entuzjazm jest tak

autentyczny, że trudno mu odmówić.

– Weź jedno – mówię.

– Jedno z każdego? – pyta.

– Tylko jedno.

W samolocie siada pomiędzy Nate'em a mną. Ashley zajmuje miejsce po mojej prawej ręce. Siedzimy w czwórce w środkowym rzędzie, ściskając kciuki za, jak nazywa to Ricardo, „odpał”. Cokolwiek zapomnieliśmy, pozostanie zapomniane na długo po wylocie. Budzę się w nocy z głową spoczywającą mi na piersi jak kula do kręgli.

W Johannesburgu Cecily załatwiła nam opiekuna, lotniskową niańkę, która obwozi nas wózkiem golfowym, pozwalając dzieciakom po kolei trąbić, zanim wsiądziemy do mniejszego samolotu do Durbanu.

Tam wysiadamy, zgłaszamy się po bagaże, patrzymy, jak ludzie przychodzą i odchodzą. Ten i ów nas zaczepia, pytając, czy potrzebujemy podwózki.

– Nie – odpowiadam. – Ktoś po nas przyjedzie.

Po dwudziestu minutach dzwonię do Sakhile.

– Nikt nie przyjechał? – dziwi się. – Nie żartuje pan? Oddzwonię.

Kilka minut później odzywa się moja komórka.

– Kłopoty z samochodem. Zmiana planów. Zadzwoń i podam szczegóły.

Siedzimy na walizkach, jedyni biali w morzu wszelkich innych odcieni skóry. Chyba jeszcze nie byłam

w tak odmiennym świecie.

Po półgodzinie podchodzi do nas jakiś mężczyzna.

– Jestem Manelisi, kuzyn Nobuhle – przedstawia się. –  
Pozwólcie.

Prowadzi nas do swojego bakkie, małego pikapa z miejscami siedzącymi. Dzieciaki siadają za mną, a ja z przodu z kierowcą.

– Jestem ogrodnikiem – mówi Manelisi. – Dlatego furgonetka cuchnie łajnem, mocno się dziś narobiłem.

Furgonetka cuchnie nie tyle łajnem, ile ziemią. Jedziemy z otwartymi oknami. Pytam dzieci, czy nie za bardzo na nie wieje.

– Nie, w porządku – zapewniają zadowolone, że nie są w samolocie ani na lotnisku.

– Po drodze zabierzemy trochę paczek – oznajmia Manelisi.

Patrzy na mapę i jakieś dziesięć minut później zajeżdżamy pod budynek o nazwie Kuchnia Esthery. Manelisi wbiega do środka i wraca z dwoma pomagierami i licznymi pudłami, które załadowują na skrzynię furgonetki. Poniewczasie zdają sobie sprawę, że jest to obłożone suchym lodem jedzenie na jutrzejszy lunch. Pomagierzy rozmawiają w nieznanym mi języku, rytmicznym i wesoło brzmiącym.

– Dobra, a teraz pojedziemy dobrą drogą – zapowiada Manelisi.

Z włączonego radia płynie współczesna mieszanka

rocka i hip-hopu. Dobrze, że dyskdzokej mówi po angielsku.

– Dorastał pan w tej wsi? – pytam Manelisię, bo nie wiem, jak się nazywała, zanim nazwano ją Nateville.

– Nie. Pochodzimy z farm ananasowych w Hluhluwe.

Opuszczając Durban, przejeżdżamy przez slumsy – budy z blaszanymi dachami, domy sklecone z przeróżnych przypadkowych kawałków drewna, metalu i cegieł. Brzegiem drogi idą bosonodzy chłopcy.

– W jakim kierunku jedziemy? – pytam.

– Na północ – mówi Manelisi.

– O której robi się ciemno?

– W zimie pomiędzy piątą a szóstą.

Za Durbanem ziemia biegnie, zda się, w nieskończoność, nieodkryta i dziewicza. Opony bakkie szumią po autostradzie. W oddali wznoszą się jak wielkie figury z dwudziestego pierwszego wieku słupy elektryczne. Horyzont pstrzą rozsiane bunkrowate domy.

– Co to jest? – pyta Ricardo, wskazując zwierzę na skraju drogi.

– Pawian.

Manelisi zmienia stację radiową, w której dyskdzokej mówi, jak się domyślam, po zulusku.

Soczyście zielony, pagórkowaty krajobraz tonie w popołudniowym słońcu. Opuszczam osłonę przeciwsłoneczną i w małym lusterku wstecznym

przyglądam się dzieciom. Ashley i Ricarda uśpiła jazda i wiatr owiewający im twarze. Nate, który nie śpi, jest wyjątkowo milczący.

– Dobrze się czujesz? – zagaduję.

– A jeśli to wszystko jest fantazją, jeśli tam nie jest tak, jak zapamiętałem? – pyta.

– Będzie inaczej – mówię. – Wszystko się zmienia, ty się zmieniasz, ale będzie, co będzie.

Zapadamy w dłuższe milczenie.

– Jesteśmy! – wykrzykuje entuzjastycznie Nate, kiedy skręcamy w boczną drogę, a gdy zatrzymujemy się przy grupce budynków na pustkowiu, natychmiast wyskakuje z auta.

– *Ninjani!* – Wita się ze wszystkimi. – *Ngikukhumbulile kangaka!* Ale wyrosliście – mówi do dzieci.

– *Ninjani* – mówię, wysiadając i pomagając Ricardowi i Ashley wygramolić się z tylnego siedzenia.

– Jestem Sakhile – przedstawia się jeden z mężczyzn, wyciągając do mnie rękę. Na żywo wygląda młodziej. – Witam.

– Dziękuję.

– Zaprowadzimy was do waszego pokoju – mówi. – A potem musimy zacząć, jesteśmy spóźnieni.

Macha wydrukiem planu, który przesłała mu Sofia.

Wioska jest mniejsza, niż sobie wyobrażałem; to nie tyle wieś, ile niewielkie zbiorowisko jakichś dwudziestu gospodarstw z drózkami gruntowymi między

budynkami. Sakhile prowadzi nas do szkoły. Inni podążają za nami, niosąc bagaże i przyglądając się nam z pewnej odległości. Jakby się zastanawiali, kim jesteśmy, że traktuje się nas tak wyjątkowo.

– Oto nasza szkoła – mówi z dumą Sakhile, pokazując nam niski budynek wyglądający jak podmiejski ośrodek wypoczynkowy. – Umieściliśmy was tu ze względu na czynną toaletę.

– Dziękujemy.

– Nie chcę was popędzać, ale musimy się pośpieszyć, bo przypadnie nam zachód słońca – dodaje.

Miga mi kartką, którą trzyma w dłoni – rozmaite punkty programu podkreślono na żółto, zielono i różowo.

16.30 *Przyjazd*

16.35 *Powitanie z udziałem przedstawicieli wsi*

16.40 *Odprowadzenie rodziny na kwaterę*

16.45 *Mycie po podróży*

17.00 *Przygotowanie do zapalenia świec (patrz załącznik)*

17.15 *Modlitwa szabasowa*

18.00 *Kolacja*

*Proszę zapewnić gościom wodę butelkowaną i zachęcić ich do picia.*



Nie mam pojęcia, w jakim stopniu to wszystko jest wyreżyserowane – obchodzą się z nami jak z gwiazdami rocka lub głowami państwa.

Ashley wyciąga z neseseru ładną sukienkę i szybko się przebiera. Ja idę do łazienki i myję twarz i ręce.

– Życie jest tu proste – stwierdza Ashley. – Tu jest jak na obozie, podoba mi się.

– Owszem, ale tu jest tak cały czas – przypominam. – Codziennie walczy się o rzeczy podstawowe. Nikt nie martwi się o to, na jaką uczelnię się dostanie.

– To dobrze, co nie? – pyta Ricardo.

– Jest inaczej – mówię, prowadząc dzieci korytarzem.

Na stole w jednej z klas rozstawiono srebrne lichtarze, srebrny kielich i chałę przykrytą serwetą.

Przyszła cała wieś, wypełnia salę, oczy skierowane na Nate’a.

Ricardo i Nate zajmują miejsca na froncie, zaczynają śpiewać *Lecha dodi*<sup>[34]</sup>, a Ashley idzie środkiem, przystrojona białym koronkowym szalem i takąż kipą, które widzę u niej po raz pierwszy.

Kiedy pieśń się kończy, Nate zaczyna:

– Dziękuję za zaproszenie mnie i mojej rodziny na odprawienie wraz z wami tej szczególnej uroczystości. Moja rodzina nie ma wielu tradycji, nie jest zbyt religijna, więc te tradycje są własnością moich przodków. Z ceremonii piątkowej nocy czerpię myśl, jak ważne jest, żebyśmy zauważali się nawzajem, dziękowali za każdy

miniony tydzień, za to, że wciąż tu jesteśmy i mimo tylu codziennych zajęć znajdujemy czas na złączenie się z naszymi rodzinami i naszym dziedzictwem. Przede wszystkim jednak chcę, żebyście wiedzieli, jak bardzo cieszę się, że znów jestem z wami. Chciałbym wam przedstawić swojego brata Ricarda i swoją siostrę Ashley, która zapali teraz szabasowe świece.

Ashley występuje naprzód.

– W szabat zmawiamy trzy modlitwy: jedną przy zapaleniu świec, drugą za chleb, a trzecią za wino. Dziś wieczorem pod nieobecność mojej matki świece zapalę ja.

Wszyscy podchodzą bliżej. Patrzą na Ashley takim wzrokiem, jakby miała wykonać magiczną sztuczkę. Zapala świece, a potem zamyka oczy i recytuje:

– *Baruch atah Adonai, Eloheinu, melech ha-olam, aszer kid'szanu b'micwotaw w'ciwanu l'hadlik ner szel Szabat.*

– Oto błogosławieństwo chleba – mówi Ricardo. – „Błogosławiony bądź, Królu, Stwórco Wszechświata, który stworzyłeś owoc Ziemi”.

– I błogosławieństwo wina: *Baruch atah Adonai, Eloheinu, melech ha'olam borei p'ri hagafen* – mówi Nate i przejmuje nabożeństwo. – Odkąd byłem tu dwa lata temu, wiele przeszedłem. Jest naszą tradycją, aby po śmierci najbliższej rodziny przez rok trwała żałoba, tak więc od śmierci mojej matki, zabitej w zeszłym roku, w każdy piątkowy wieczór szedłem do szkolnej kaplicy.

Mówiłem do niej, modliłem się za nią, za moją rodzinę, za nas wszystkich. I choć być może nie jest to zgodne z tradycją, to modlitwę tę, która jest skuteczna zarówno w przypadku chrześcijan, jak i żydów, kończę słowami: „Pan jest pasterzem moim, na niczym mi nie zbywa...”.

Kiedy Nate zaczyna recytować, dołącza cała wioska. Ci, którzy nie znają psalmu na pamięć, mają ściągawki. Ciarki przechodzą mnie po krzyżu.

– A w religii żydowskiej odmawiamy specjalną modlitwę żałobną, *Aw Harachamim* – wyjaśnia. – Poproszę Ashley i Ricarda, którzy również stracili w zeszłym roku bliskich, żeby do mnie dołączyli.

Dzieci uroczyście recytują modlitwę po angielsku. A kiedy kończą, Nate mówi:

– Zapraszamy was do skosztowania chały i wina, a dzieci soku z winogron.

Ashley i Ricardo łamią chałę, wiejskie dzieciaki po kolei podchodzą i biorą po kawałku.

– Jak wata cukrowa – mówi któreś.

Ricardo się śmieje, lody przełamane. A ponieważ dzieciom przychodzi to tak łatwo, także my w jednej chwili przechodzimy od wielkiej powagi do rozradowania.

Każdy z dorosłych dostaje czarkę wina.

– Dobrze – zwraca się do mnie jeden z mężczyzn, oczekując dolewki.

– *Thela iwajini*.

- Po jednym na głowę – mówi Nate.
- *Ubani iugama lakho?* – pyta mnie tamten, a ja nie mam pojęcia o co.
- Chce poznać twoje imię – wyjaśnia Nate.
- Nazywam się Harold.
- *Igama lami ngiungu Harold* – tłumaczy Nate.
- Dziękuję za wino, Harry – mówi mężczyzna.
- Kiedy zdążyliście się zgrać? – pytam Ashley i Ricarda.
- Sofia uwielbia dyrygować – mówi Ricardo. – Robisz, co ci każe.

W głównej sali szkoły rozstawiono długie stoły.

- Mamy trochę rzeczy z waszego świata i trochę z naszego.

Sakhile wskazuje mi miejsce obok siebie.

Kobiety wnoszą miski z rosółem z kulkami z macy. Rozpoznaję talerze – to te z melaminy, wybrane przez Sofię – które szkoła będzie mogła zatrzymać i korzystać z nich przez lata. Jest też ryba w sosie śmietanowym i siekana wątróbka z gastronomii w Durbanie, z kawałkami jajek na twardo pokrojonych w kostkę jak u mojej ciotecznej babki Leny. A dla dzieci zwykły makaron z sosem pomidorowym i tartym serem. Najwyraźniej mocno im ulżyło, że jedzą coś znajomego. Jestem za to bardzo wdzięczny Sofii.

Rosół jest ciepły, słonawy – eliksir wieków. Kulki z macy pulchne, miękkie z zewnątrz, twarde w środku. Gdyby tu był George, zażartowałby, że Żydówki lubią

grać z chłopem w kulki. Przelotna myśl o bracie i nagła świadomość, że na dworze zrobiło się ciemno, budzą niepokój. Kiedy było jasno, wiedziałem, jak stąd wyjść, ale teraz muszę się pogodzić z faktem, że wpadliśmy w sidła afrykańskiej nocy.

– Mamy tradycyjną duszoną potrawkę, *injama jenkomo* – ściera ją moją uwagę Sakhile. – Przynajmniej ją moja żona, musi pan spróbować.

Próbuję potrawki. Mięso jest włókniste, sos pikantny i słodki. Z początku nie przypada mi do gustu, lecz potem zaczyna smakować.

– A to – mówi Sakhile, napełniając mi szklanekę – jest domowe piwo, *tszuala*.

Kiedy wciąż się posiłamy, wstaje nauczyciel.

– Nathanielu, gdy bawiłeś w tej wsi dwa lata temu, mnie tu jeszcze nie było, ale często mówimy o twojej hojności. Dzieci przygotowały dla ciebie piosenkę.

Dzieci wyciągają kolorowe plastikowe fleciki. *Liii-dii di di dii di diii dii dii lii-am-am-aleee*. Melodia wznosi się i opada: *Lii-ammm mamm ale...*

Sakhile pochyla się ku mnie i wyjaśnia:

– *Im bu be* znaczy lew. To stara piosenka południowoafrykańska. Zapropozowała ją Sofia. Nie wiedziałem, że jest u was taka popularna.

– To klasyka. – Dołączam do śpiewu: – „...w potężnej dżungli lew stary mocno śpi”.

Po kolacji są tańce do muzyki z radiomagnetofonu,

a potem trochę gry na bębnach. Mieszkańcy wioski wychodzą jeden po drugim. Nate chce zostać ze znajomymi.

– Nie – sprzeciwiam się. – Jutro czeka nas wielki dzień, czas do łóżka.

– Musisz słuchać ojca – mówi Sakhile.

Nie jestem pewien, czy spostrzegł swój błąd, ale ja i Nate tak. Jestem zadowolony, że Nate milczy.

Zanim pójdziemy spać, przynoszę Sakhile rzeczy, o które prosił.

– Dla kogo jest ten wok? – pytam.

– To niespodzianka dla mojej matki – wyjaśnia. – W domu, gdzie pracuje, widziała taki w telewizji w jakimś programie o gotowaniu i wciąż o nim mówi. – Bierze wok i go obraca. – Jak go się włącza?

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Stawia się go na ogniu albo kuchence elektrycznej i mocno się rozgrzewa...

Kiwa głową.

– To co w nim takiego nadzwyczajnego? – pyta zdziwiony.

– Myślę, że kształt.

– Dziękuję. *Lala kahle*. Dobranoc.

Nasze posłania to sienniki, bardzo cienkie materace, a na nich leży stos koców, od których zalatuje potem i ziemią. Nie jest to niemiła woń – piżmowa, ludzka, autentyczna. Koce przykryto pożyczonymi (albo

skradzionymi) hotelowymi prześcieradłami, tak jakby ktoś odpowiedział tubylcom, że Amerykanie dla dobrego samopoczucia potrzebują wyprasowanych prześcieradeł i puszystych świeżych ręczników. Na wierzchu posłań leżą rolki papieru toaletowego z ozdobnymi naklejkami na końcach. Nie wiem, która jest godzina i jaki dzień – wiem jedynie, że wkrótce będzie jutro. Dzieciaki zasypiają niemal natychmiast.

Tuż po wschodzie słońca wyczuwam zapach kawy. Ubieram się i wychodzę na zewnątrz. Na otwartym palenisku trzy kobiety przyrządzają zgodnie z instrukcjami Sofii jajka i naleśniki. Ricardo i Ashley jedzą tradycyjną owsiankę, a ja wszystko, co dają, plus pastę anchois na toście. Jest też marmolada i herbata, o której Ashley mówi, że lepszej nie piła. Dzieci z wioski próbują naleśników z syropem klonowym, nazywając go „dobrym lekarstwem”.

Wioskę przystrajają dekoracjami, niebieskimi i białymi serpentynami. Około wpół do dwunastej wracamy do pokoi, żeby się ubrać. Zabrałem stroje, które tu sprawiają wrażenie absurdalnych kostiumów, ale ponieważ Ricardo i Ashley chcą je włożyć, więc się przebieramy. Nate, który uważa to za dziwactwo, wkłada dzinsy i zielono-żółtą koszulkę piłkarską w południowoafrykańskich barwach narodowych, którą

dostał od Sakhile.

Idziemy na duży okrągły plac pośrodku wsi. Wiejskie dzieciaki zaczynają od odśpiewania tradycyjnej zuluskiej pieśni, której słowa brzmią, jak się domyślam, z grubsza: „Oto nasze matki, przychodzą z prezentami...”. A potem otaczają Nate’a mężczyźni z wioski, ubrani w co kto ma, rozmaite „tradycyjne” zuluskie akcesoria. Nie mam pewności, które z nich należą do tradycji, a które są rekwizytami na użytek turystów. Afrykanie opasują chłopaka energicznym roztańczonym kręgiem, ich pieśń – wymiana wezwań i odzewów pomiędzy nimi a Sakhile i Nate’em – nabiera tempa i kończy się nagle głośnym krzykiem.

Sakhile oddaje mi głos. Przedstawiam się i zaczynam mówić o Nathanielu: o jego narodzinach, o tym, jaki dumny był wtedy z niego ojciec, widząc w nim swojego następcę, że ja również widzę w nim następcę brata i że przeniosłem swoje skomplikowane relacje z bratem na tego chłopca. Mówię też, że dopiero po głębokiej tragedii w naszej rodzinie zacząłem postrzegać Nate’a jako osobę samoistną.

– Nate pomógł mi stać się kimś lepszym, sprawił, że więcej od siebie wymagam, stoję na wysokości zadania, nie uciekam, nie poddaję się. Nie wybrał sobie życia, które go spotkało, lecz kiedy patrzę na niego, Ashley i Ricarda, imponuje mi ich siła charakteru. W ciągu tego roku nauczyłem się, iż zadaniem rodzica jest dopomóc



dziecku stać się tym, kim w istocie jest. Nie jestem tylko wujem Nate'a, jestem jego największym fanem i dziękuję mu, że mnie do was przywiózł. – A potem, niczym konferansjer przedstawiający wykonawcę, kończę: – Panie i panowie, oto Nathaniel Silver.

– Dziś świętuję swoją bar micwę, która w żydowskiej religii wypada w trzynaste urodziny i upamiętnia czas, kiedy chłopiec oficjalnie staje się mężczyzną – mówi Nate. – Świętuję pod nieobecność rodziców. Mam szczęście, że przeżyłem... Od wizyty złożonej tutaj dwa lata temu często wracałem myślą do was i do tej wioski. Myśląc o trudnościach gospodarczych, rasowych, chorobach, zrozumiałem, jak dostatnie wiodę życie. Kiedy było mi trudno, myślałem o was i czułem, że mam obowiązek żyć nie tylko dla siebie, lecz także dla innych. Tego właśnie nauczyliście mnie przed dwoma laty i to utrzymało mnie przy życiu. Dlatego powróciłem i wam dziękuję. Podarowaliście mi życie.

**W** trakcie przemowy Nate'a Ricardo pochyła się ku mnie i oświadcza, że kiedy skończy trzynaście lat, chce tu wrócić na własną bar micwę, i że musi „zrobić porządek” ze swoim penisem.

– Lepiej niech zostanie tak, jak jest – mówię, starając się skoncentrować na wystąpieniu bratanka.

– Dlaczego ty i Nate macie mieć lepsze penisy niż ja?

– Ricardo, słyszę cię i przyrzekam, że porozmawiamy o tym po powrocie do domu, ale nie załatwimy tego w Afryce Południowej. A poza tym nie ma czegoś takiego jak lepszy penis... Zauważyłeś, że afrykańscy chłopcy mają penisy takie jak ty?

Próbuję skupić jego uwagę na Nathanielu.

– Bo to biedacy – mruczy. – Chcę mieć fiuta takiego jak bogacz.

Spogląda w kierunku swojego krocza.

Jestem zdruzgotany jego oceną sytuacji i słowem „fiut”.

Nate kończy czytać wiersz, który napisał w szkole, i wszyscy klaszczą.

Na scenę wchodzi Sakhile.

– Nacie i rodzinie Nate’a, przyjechaliście do nas, żeby uczcić rytuał przemiany chłopca w mężczyznę, ale także przemianę przyjaciół i krewnych w rodzinę. Wasza wiara w naszą wioskę nakazała nam uwierzyć w siebie, dokonać więcej, pracować ciężiej. Przypomniła, że dzięki ciężkiej pracy staliśmy się silniejsi – że zmiękliśmy, biadoląc i użalając się nad sobą w obliczu tylu trudów. Zjawiliście się jak powiew świeżego powietrza przynoszący wieść: „Nie myśl tylko o sobie, myśl o przyszłości”, dlatego cieszę się, że nie jesteśmy sami, że jest z nami wielki świat. Nasza przyjaźń pokazała mi, że

czarni i biali mogą działać razem, że mogą być prawdziwymi przyjaciółmi. Długo dźwigaliśmy wielkie brzemię i upłynie jeszcze dużo czasu, zanim je zrzucimy i poczujemy się lżejsi. Ktoś powiedział mi, że istnieją ludzie nieznanymi – obcy, którym na tobie zależy. Aż do teraz nie wiedziałem, co to znaczy. Chciałem wam podziękować. – Urywa. – Długo rozmawiałem ze znajomą waszego ojca, Sofią, o tradycjach. I postanowiliśmy uświetnić dzień bar micwy czymś bardzo amerykańskim – uczcić niepodległość. Dlatego na lunch zjemy wielkie hamburgery z sosem barbecue i hot dogi.

– Ze szwedzkiego bufetu, za darmo... – mówi Ricardo.

Widzę wieśniaczki, które pomykają, by skosztować amerykańskich specjalów, pełne obaw, czy wypada, choć jednocześnie nie ma wątpliwości, że bardzo im smakują i że amerykańska kultura weszła w orbitę ich marzeń. Sofia pomyślała o wszystkim: ketchupie, musztardzie, majonezie, ogórkach kiszonych, a także balonikach z helem.

– Czy mój ojciec wie, że tu jesteśmy? – pyta w trakcie lunchu Nate.

– Wątpię – odpowiadam. – Chcesz, żeby wiedział?

Wzrusza ramionami i bierze następnego hot doga.

Kiedy lunch dobiega końca, wioskowe dzieciaki znikają. Przypuszczam, że poszły się bawić, ale wracają w niebiesko-białych koszulkach piłkarskich, z tortem.

Śpiewają *Sto lat* i radośnie dodają wers z Madagaskaru: „Miny robisz jak małpa, twoje miejsce jest w zoo”, co je bawi.

Nate kroi tort.

– Miałem cię za jeszcze jednego dupka, kompletnie bezradnego, kogoś, komu nie można ufać – mówi, pochylając się do mnie. – Ale ty jesteś gość, fajnie.

Wszyscy mają na sobie koszulki Nate’a, wszyscy grają w piłkę nożną, nawet starsze kobiety.

– Chcę, żeby dziś po południu kogoś pan poznał – zagaduje mnie Sakhile w trakcie gry. – Kogoś mi drogiego, Londisizwe, *injanga*, znachora, który jest mi jak brat.

– Czym się zajmuje?

– Po trosze wszystkim. Daje mi proszek do stóp, żeby nie swędziały. Mam uczulenie na brud. Wyobraża pan sobie, co za żart? Mieszkać tutaj i być uczulonym na brud?!

Sakhile śmieje się i podciąga spodnie, pokazując, że nosi buty i skarpety – długie, białe, prążkowane.

Londisizwe przyjeżdża podczas meczu. Wygląda na starszego od Sakhile. Przedstawia się.

– Dziękuję za przywiezione środki. Wiele z nich zasili moją apteczkę. Weszliśmy już na tyle w dwudziesty pierwszy wiek, że ludzie wierzą, iż wszystko da się naprawić. Przestałem być znachorem, a stałem się kimś w rodzaju naprawiacza, złotej rączki.

Śmieję się.

– Na dobrą sprawę to wcale nie jest śmieszne – mówi.

Kiwam głową. Przyglądamy się grze.

– Ma pan piękną rodzinę.

– Dziękuję.

Podbiega Ashley, chce, żebym pomógł jej podpiąć włosy. Przedstawiam bratanicę Londisizwe. Ścisza mu dłoń.

– Wycieczka się podoba? – pyta ją.

– Niesamowita.

– Cieszę się. – Londisizwe nie wypuszcza jej dłoni. –

Co podobało się ci najbardziej?

Ashley zastanawia się.

– Zapalanie świec w piątkowy wieczór, a potem jeszcze kiedy wszyscy śpiewali *Limoweh*.

– To co najlepsze.

Znachor kiwa głową, wypuszcza jej rękę i Ashley wraca do gry.

– Długo była smutna – mówi.

– Już z nią dobrze.

Londisizwe patrzy na mnie, jakbym nie chciał go słyszeć.

– Radzi sobie w szkole? – pyta.

– To skomplikowane.

– Boi się, martwi, co z nią będzie. A ten ciężki chłopiec...

– Ricardo.

– Musi ćwiczyć. Tryska energią, więc je ciężkostrawne jedzenie, żeby się spowolnić. Powinien ćwiczyć karate lub szermierkę, aż stanie się sobą.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Niektóre rzeczy po prostu widać.

– Powie pan więcej?

– Z Nate'em trzeba postępować łagodniej. Gniew go napędza, ale w którymś momencie chłopiec się załamie, dlatego musi znaleźć sobie lepsze paliwo.

Przytakuje. Ten człowiek naprawdę zna się na rzeczy. A potem Londisizwe patrzy na mnie, prosi, żebym wysunął język, wacha mój oddech, pachnący zapewne hot dogiem i musztardą, i kiwa głową, jakby obmyślał, w jaki sposób najlepiej przedstawić swoją diagnozę. – O mało pan nie zginął – mówi. – W tej chwili może pan się czuć dobrze, ale w środku nie jest z panem najlepiej. Chowa pan w sobie jakieś paskudztwo, które musi z pana wyjść, ale boi się pan je z siebie wydalić. Siedzi ono w panu od dawna. Traktuje je pan jak towarzysza, dzięki któremu nie czuje się samotny, ale ponieważ zyskał pan rodzinę, żeby wyzdrowieć, musi pan się tego pozbyć.

Ponownie przytakuje, bo wiem, że ma rację. Moja zdolność opisanego tego, czego doświadczam, jest ograniczona, pełna niewypowiedzianych niuansów. Jak ktoś może wytłumaczyć siebie? Stać mnie jedynie na pomruki i nadzieję, że moja intonacja to wyjaśni. Mógłbym się tłumaczyć udarem, ale skłamałbym. Jakże

mogę wyznać komukolwiek, że zawsze miałem w sobie obrosłe rdzą poczucie wstrętu – mętłą, słonawą wodę, będącą, jak przypuszczam, moją duszą?

– Co takiego musi ze mnie wyjść? – pytam Londisizwe.

– Tego chcę się dowiedzieć od pana. Jest to coś, co nie daje panu żyć. Podaruję panu coś, co usunie z pana to, co stare. Zaczniemy od herbaty. Będzie pan miał po niej żywe sny i wiatr, ale musi ją pan pić przez cztery dni. Zanim poczuje się pan lepiej, zrobi się panu znacznie gorzej.

Trudno skakać z radości i mówić „to do dzieła!” na myśl, że zrobi mi się znacznie gorzej, zanim poczuję się lepiej.

– Co pan rozumie przez „wiatr”? – pytam.

– Chmury dymu z pańskiego żołądka. Ale bez względu na to, jak pan się będzie czuł, musi pan pić tę herbatę, aż dymienie ustanie. Po wszystkim ulży panu na duchu. Zaczniemy teraz. Zaparzę ją – mówi i odchodzi.

Skupiam się na piłce nożnej.

Po dwudziestu minutach Londisizwe wraca z dużym kubkiem. Piję herbatę. Jest mocna i smakuje ziemią, gotowanym torfem i grzybami.

– Z czego jest? – pytam, po trosze, żeby odwlec kolejne łyki.

– Nie mogę powiedzieć – mówi Londisizwe. – Gdybym powiedział, musiałbym pana zabić. – Uśmiecha się. W ustach ma tylko cztery zęby, frontowe, a po ich obu

stronach ziejącą pustkę. – Tylko żartowałem – dodaje ze śmiechem.

Czterdzieści pięć minut później owłada mną wyczerpanie. Nic nie poradzę, muszę się położyć. Nie wiem, czy to skutek wypicia tej herbaty, czy też tego, że bar micwa się skończyła, w każdym razie odczuwam śmiertelne znużenie, jakby coś ze mnie uchodziło. Wracam do pokoju i przesypiam wiele godzin. Sny mam nieprzyjemne, żywe, niezwykle kolorowe – przesycone barwami. Są tak intensywne, że kiedy je śnię, jestem pewien, że ich nie zapomnę. A potem budzę się, czując się jak pijany, i nic nie pamiętam, to znaczy prawie nic. Tylko dziwaczne fragmenty. Na przykład... Jestem z grupą mężczyzn na zebraniu. Rozmawiają. Siedzimy w gabinecie – to jakiś apartament – a ja zdaję sobie sprawę, że są lata sześćdziesiąte, rozmawiający to ludzie Nixona i ja też dla niego pracuję. Zebrani obracają się ku mnie, patrzą i na coś czekają. A potem jest sen z moim ojcem. Tańczy po domu w kalesonach i biustonoszu matki, która gania go, okładając ścierką do wycierania talerzy, i powtarza: „Napraw wreszcie klimatyzator!”.

Wstaję i wychodzę chwiejnie, by odszukać dzieci. Nie mam pojęcia, jak długo spałem, i nagle czuję paranoidalny niepokój, że mnie odurzono, aby porwać dzieci.

Odnajduję wszystkie niedaleko od miejsca, gdzie je zostawiłem. Nate stoi na drabinie i naprawia



z wieśniakami podgrzewacz wody, Ricardo gra w piłkę z grupą chłopców, a Ashley pomaga w przygotowaniu kolacji. Wszystko tchnie niebywałym spokojem i sielskością.

– Jesteś spocony – mówi Ashley.

Dopiero teraz spostrzegam, że ociekam potem, że podczas drzemki przepociłem ubranie.

Wycofuję się bez słowa. Wracam do szkoły, do naszych pokojów, i biorę prysznic. Tam znajduje mnie Londisizwe.

– Jak leci? Moje *umuthi* działa?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Dobrze się pan czuje?

Ponownie kiwam głową.

Na kolację wszyscy uczują, że ha! Ja dostaję miskę owsianki i herbatę. Tym razem herbata jest zieleńsza, bardziej trawiasta. Wypijam ją szybko i niemal natychmiast zwracam.

– Jestem uczulony na jakiś jej składnik – mówię, przepraszając Londisizwe.

Potrząsa głową.

– Po tej herbacie każdy rzyga – zapewnia.

Patrzę na niego, jakbym pytał: to dlaczego dajesz ją ludziom do picia?

– Gdybym pana uprzedził, że herbata wywoła wymioty, toby pan ją wypił? Niedługo przyniosę panu jeszcze jedną, ale po tej pan nie zwymiotuje.

Po kolacji rozpoczynają się fajerwerki. Sofia wynajęła na ten pokaz pirotechników. Miny dzieci są rozanielone. Nawet starsi rzadko, jeśli w ogóle, oglądają tutaj ognie sztuczne. Londisizwe przynosi mi następny kubek z herbatą, tym razem słodką i smaczną. Szybko ją wypijam, bo jestem rozkojarzony, a także dlatego, że chcę to mieć za sobą.

Niebo rozjaśniają wybuchy. Czerwone peonie, niebieskie koła, złote kopulaste wierzby płaczące, ogniste chryzantemy, pająki, duże złote lśniąca kamuro[35] rozświetlają noc jak płatki śniegu, jak bukiety pięknych kwiatów, jak klejnoty albo spadające gwiazdy. Jestem ciekaw, z jak daleka je widać, i choć kłóci się to z nastrojem święta, zastanawiam się, ile kosztują.

Sztuczne ognie gwizdzą, szumią, pękają i huczą, a mnie zaczyna dudnić w żołądku, kiszki produkują pradawne archetypowe gazy, pierwotne ewolucyjne związki – dwutlenki węgla i siarki, metan, amoniak. Olbrzymie gastryczne chmury, w mojej wyobraźni granatowozielone, ogromne, nierówne, opalizujące jak mydlane bańki, pączkują ze mnie rozchwiane, coraz większe – i wybuchają. Wprawdzie nigdy nie gustowałem w niewybrednościach, ale jestem pod wrażeniem tego, co się ze mnie dobywa. W pewnej chwili mam wrażenie, że zestrącam się z fajerwerkami.

Pokaz kończy się tradycyjną jaskrawobiałą salwą ogni sztucznych, nisko nad ziemią, z niezwykle mocnym pogłosem odbitym od wzgórz. Kiedy biały dym się rozwiewa, wszystkie dzieci dostają zapalone zimne ognie i machają nimi. Bacznie to obserwuję.

A potem są lody – waniliowo-czekoladowo-truskawkowe – z przywiezionych z Durbanu wielkich kartonowych pojemników, które spędziły noc w suchym lodzie. Niektóre dzieci jeszcze nigdy nie jadły lodów, dlatego znów cieszy mnie ogromnie widok uradowanej dzieciarni i dorosłych.

Tej nocy, po powrocie do naszych kwater, dzieci skarżą się, że nie mogą przy mnie wytrzymać: brzydko cuchną. Wyciągam posłanie na szkolny korytarz i rozważam, czy nie wyjść na dwór. Zrobiłbym to, gdybym nie bał się ciemności.

Nazajutrz po śniadaniu rozdajemy plecaki, ołówki oraz inne prezenty zamówione przez Sofię. Dzieci są poważne, wdzięczne, przyuczone do dygania przed białymi. Miłe, nieco nieśmiałe, jakby ich prawo do istnienia było wciąż niepewne. Jeden ze starszych chłopców wręcza Ricardowi blaszaną ciężarówkę, którą zrobił z puszek po napojach. Dziewczynki podarowują Ashley naszyjnik z paciorków i koszyczek. Sakhile daje Nate'owi plemienne przybranie głowy ze skóry jakiegoś

zwierzęcia i paciorków, a mnie woreczek ze starym rogiem nosorożca wypełnionym magicznym środkiem, który zapewnia wojownikowi niezwykłość.

– Jest zmieszany ze zwierzęcym tłuszczem i wciera się go w przeguby. Dobry na seks, a psom od niego staje.

– Dziękuję – mówię.

Londisizwe przynosi mi zestaw na następne trzy dni – herbaty na śniadanie, lunch i kolację – przestrzegając, abym podczas tej kuracji nie jadł zwierzęcego mięsa i pił dużo wody. Daje mi też herbaty, które powinienem zabrać do Ameryki.

– Po powrocie niech pan pije codziennie po jednej – zaleca. – To pomoże pozbyć się tego, co wciąż się pana trzyma. Niech pan pije po szklance przez trzy dni, a potem, gdy poczuje pan, że wraca do poprzedniej postaci, w miarę potrzeb. To pana uwolni.

Tuż przed odjazdem przynosi mi kubek naparu „na drogę”. Herbata ma wstrętny smak, jak końskie pączki moczone przez kilka dni w piwie – jest sfermentowana, ciemna, obrzydliwa. Wypijam ją z wielkim trudem.

– Być może się pomyliłem – mówi, zabierając mi pusty kubek. – Niepotrzebnie dosmaczyłem ją cynamonem.

Przyjeżdżają po nas dwa land rovery. Ich biali kierowcy przedstawiają się jako Dirk Kruger i Pieter Goosen. Dwaj czarni pomocnicy, Kopano i Josia, biorą

nasze bagaże.

Jedziemy. Wieś niknie w oddali – oglądamy się, dopóki ją widać. Jestem pewien, że wszyscy mieszkańcy wylegli z domów i machają nam na pożegnanie. Dzieciaki zaczynają płakać, najpierw Nate, potem Ash i wreszcie Ricardo.

– Czemu płaczą? – pyta. – Jestem szczęśliwy i jest mi smutno.

– To tak, jakby padało i świeciła tęcza – mówi Ashley.

Co zrobić z dziwnym uczuciem, że się tam było i tak szybko odjechało? Czujemy, jakbyśmy zrobili za mało, a jednak – cóż więcej mogliśmy zrobić? Tak wygląda życie w tej wiosce. Należy je naprawić?

Spędzamy godziny na rozmowie o poznanych tam ludziach. Nate jest podekscytowany, że zakosztował tego świata i że wszystko poszło dobrze. Kierowca land rovera stara się włączyć do rozmowy, wtrącając zdania w rodzaju: „No, to dobrze się bawiliście, co?”.

Jedziemy parę godzin i docieramy do wodospadu. Jest naprawdę okazały.

– Robi wrażenie na każdym – mówi Pieter, kiedy wysiadamy z wozu. – Macie ochotę, to możemy się przejść.

Josia i Kopano otwierają jak na komendę tył drugiego land rovera i wyjmują z niego laski, liny i uprząż dla dzieci.

Zmożony sensacjami żołądkowymi, przepraszam

wszystkich i wchodzę w zarośla. Mam sraczkę, potem idę w inne miejsce, wypróżniam się, po czym znów i jeszcze raz. Zdjęte spodnie owijam wokół szyi i ramion. Przytrzymując się gałęzi drzewa, mimowolnie tryskam kałem w krzakach. Moje ciało opróżnia się i zamyka, opróżnia i zamyka.

– Nic panu nie jest?! – woła co parę minut jeden z przewodników. – Pan się pilnuje, żeby nic nie podeszło i nie ugryzło w tyłek.

– Nic mi nie jest – odkrzykuję słabo, nie dlatego, że tak się czuję, lecz dlatego, że nie mam nic do powiedzenia. – Idźcie beze mnie – proponuję.

– Weźmiemy dzieci na przechadzkę i za godzinę tu się spotkamy – mówi któryś. – Nie zamknę samochodu. Jest w nim woda, niech pan koniecznie się napije, jak już pan tam skończy.

Po powrocie wszyscy promienieją.

– Fantastyczne, asekurowaliśmy się i wspinaliśmy na tę niesamowitą skałę – entuzjazmuje się Ricardo.

– Wodospad był przepiękny, czuję na twarzy wodny pył – mówi Ashley. – I widziałam tęczę, fajnie, co? Bo dziś rano, wyjeżdżając z wioski, powiedziałam słowo „tęcza” i była...

– Bezpieczni jak kocięta w pysku matki – zapewnia Dirk, którego Ricardo nazywa później Dirtikiem.

– Była też lina zjazdowa i śmigaliśmy po niej w lesie – dorzuca Nate, tak jakbym miał za mało nowin. – Lepiej

się czujesz?

– Mam nadzieję – mówię, bo w gruncie rzeczy nie wyobrażam sobie, by można było czuć się jeszcze gorzej.

– Pewnie pan coś zjadł – mówi Pieter. – Zuluskie jadło może zabić.

– Naprawdę? – pyta Ashley.

– No, może nie od razu.

W tonie głosu Pietera jest coś – rasizm? – co mi się nie podoba.

Późnym popołudniem docieramy do obozu.

– W samą porę na podwieczorek – mówi Dirk.

Wprowadzają nas do namiotu, który wygląda jak przesadnie urządzona kwatery Lawrence’a z Arabii. Jest nie tyle „pokojem”, ile namiotowym domem – z dużym, osłoniętym gankiem, salonem ze wschodnimi dywanami, kanapami, wygodnymi fotelami, starymi kuframi służącymi za podnóżki, lampami, rozkładanym biurkiem, przy którym w razie potrzeby można napisać list, z łazienką z wielką wanną na staroświeckich nogach w kształcie łap, z widokiem wprost na busz. Są tu misy z żelkowymi wężami i małe wypchane zwierzaki dla dzieci. Dwaj czarni służący wnoszą herbatę, lemoniadę, biskwity – ciasteczka wypełnione kremem cytrynowym – i kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Nie umiem orzec, czy to stała praktyka, czy może Sofia zażądała

specjalnego potraktowania gości.

Przez godzinę odpoczywamy, a potem wchodzi jeden z przewodników i rozmawiamy o wyjeździe bladem światem na safari. Przedstawia zasady – aparaty fotograficzne i kamery dozwolone, głośne rozmowy nie, żadnych krzyków, bo to może wywołać panikę wśród zwierzyny, nie wysiadamy z samochodów, nie karmimy ani nie zwabiamy zwierząt bliżej, nie wystawiamy rąk z pojazdów.

Wypijam herbatę i martwię się, że kiedy będę obserwował, jak lwy jedzą obiad, znowu mnie przyprze. Chętnie zrezygnowałbym z safari, ale nie mógłbym odesłać dzieciaków o zmierzchu z Pieterem i Dirkiem.

Odpoczywamy. Daję dzieciom przygotowane przez Sofię paczki na safari, aparaty fotograficzne i czapki z wielkim metalowym znaczkiem „Wielka BM Nate’a”.

Dirk przynosi mi specjalnego drinka.

– Dobrze panu robi – mówi.

– Co to?

– Gatorade. Mamy go pod ręką dla pań w ciąży.

Nie wiem, czy ze mnie kpi, ale po wypiciu napoju czuję się lepiej.

Na wieczorną przejażdżkę dołącza do nas starsza para z Holandii.

– Marzyłem o tym całe życie – zwierza się Holender,



a jego nieznaną angielską żonę kiwa głową. – Mój dziadek przyjechał tu przed laty i przywiózł do domu skórę słońca.

– Zabił słońca? – pyta Ricardo.

Holender z dumą kiwa głową. Reszta nas milczy.

– Jak państwo wiedzą, to fotograficzne safari – mówi Pieter. – Można strzelać jedynie zdjęcia.

Jegomość z Amsterdamu przytakuje ponuro, jakby żałował, że nie załatwił sobie prawdziwego safari.

– Wiemy, że w tej okolicy żyje stado lwów. Wiele lwic, dwa samce i trochę kilkumiesięcznych lwiątek.

Samochód zwalnia.

– Tam, po drugiej stronie drogi – szepcze Pieter – widać świeże ślady łap tego stada. Jest blisko.

Wtem jeden z Murzynów wskazuje w bok i widzimy, że z krzaków wylania się lew, a za nim lwice z kilkoma młodymi. Samiec chyba coś tropił, bo jego ogon drga.

– Znam tego lwa – mówi Pieter.

Lwy podchodzą bliżej, wszyscy zaczynamy robić zdjęcia lwicy i lwiątkom, a potem nadchodzi druga lwica i podążamy za stadem do miejsca, gdzie kilka lwów obgryza jakiś na szczęście nierozpoznawalny zewłok.

– Co one żrą? – pyta jegomość z Amsterdamu.

– Stenboka – mówi Pieter.

– Te zwierzęta żyją w zamkniętej przestrzeni? – pytam go. – Czy na drodze można się natknąć na dzikiego lwa?

– Bardzo rzadko. Większość naszych dużych zwierząt

żyje w rezerwach. Może pan zobaczyć małpę, pawiana albo antylopę, ale mało prawdopodobne, żeby spotkał pan słonia, lwa, nosorożca czy bawołu...

– Ludzie wciąż na nie polują?

– Tak.

– W ogrodzonym rezerwacie? To żałosne – oburza się Nate.

Wszyscy milkną, aż wreszcie Ricardo pyta:

– Więc to jest takie zamknięto-otwarte zoo?

– Coś w tym rodzaju – mówi Ashley.

Dostrzegamy lwa, który wadzi się z innym lwem. Cykamy im ze sto zdjęć i wracamy do obozu, bo słońce zaczyna już zachodzić. Na przepastnym niebie zapalają się gwiazdy. Nazywamy je i dla zabawy przemianowujemy konstelacje.

W naszym namiocie dokonano wieczornych zmian. Trzy ogromne kanapy otaczające wielkie łóżko zmieniły się w spowite moskitierami łóżka ze sztywnymi białymi prześcieradłami i pulchnymi poduszkami – zarazem wykwintne i sielskie. Możemy zjeść kolację w towarzystwie innych gości albo na naszym tarasie, do wyboru.

Wybieramy taras. Każdy namiot ma własnego „kamerdynera”. Naszym jest Bongani, gibki młodzian o bardzo czarnej skórze, która promieniuje zdrowiem.

Zapraszany przez dzieci, żeby usiadł przy stole i zjadł z nimi makaron z serem, kręci głową.

– Już jadłem – mówi – ale miło widzieć, że wam smakuje.

Bongani przynosi mi więcej gatorade, grzanki i dzbanek z gorącą wodą do zaparzenia mojej herbaty. Po otwarciu zestawu herbat od Londisizwe widzę, że składa się on z porcji oznaczonych porami dnia i dniami tygodnia, w które mam je zaparzyć. Dzisiejsza wieczorna jest ciemnofioletowoczarna.

– Życzy pan sobie śmietanki i cukru? – pyta mnie Bongani.

– Trochę miodu, jeśli macie.

– W obozie safari mamy wszystko – zapewnia i jest to przykra prawda.

Po kolacji wypijam herbatę, łagodną i uspokajającą, kąpię się w wannie i podsłuchuję rozmowę dzieci, które oglądają filmy. Ashley mówi chłopcom, że w Afryce Południowej bardzo trudno jest być dziewczyną, bo z dziewczynami nikt się tu nie liczy. Chłopcy twierdzą, że tego nie zauważyli, ale na mnie jej refleksja robi wrażenie.

– To smutne – mówi im. – Tylko kobiety gotują tu i sprzątają, ale o niczym nie decydują, nikomu na nich nie zależy.

– Ludziom na pewno na nich zależy – mówię, wychodząc z łazienki. – Ale może walka o równość

rasową wyprzedziła walkę o równouprawnienie kobiet.

– Tak naprawdę – Ash raptownie zmierza do łóżka – dziewczyny się nie liczą.

Bongani proponuje dzieciom rozpalenie ogniska i podpieczenie nad nim pianek żelowych. Twarze im się rozjaśniają.

Nasmarowane środkiem na owady, dzieciaki wychodzą na zewnątrz, żeby zrobić sobie s'mores[36]. Z namiotu widzę, jak na ich twarzach migają odbłaski płomieni.

Zostaję w środku. Jestem wyczerpany, ale czuję się nieco lepiej, dziwnie pobudzony. Zostało mi dziewięć porcji herbaty.

Ricardo zasypia przy ognisku. Bongani wnosi go do środka.

– Mam go przebrać do snu? – pyta.

– Dziękuję, mam dla niego piżamę – mówię.

Kiedy Ashley i Nate są gotowi do łóżka, Bongani pyta, czy chcą wysłuchać opowieści.

– Tak.

A wtedy usypia nas swoim wznoszącym się i opadającym głosem, snując opowieść o dzielnych słoniach i lwach z dawnych czasów.

Jakąś godzinę później Ricardo budzi się i podchodzi do mnie.

– Boję się – mówi, gramoląc się do mojego wielkiego łóżka.

Wkrótce potem Ashley oznajmia, że nie może spać, i wczołguje się obok Ricarda. O drugiej w nocy dołącza do nas bez słowa Nate. Jesteśmy jak stado psów, zwiniętych, tulących się do siebie, cicho pochrapujących i walczących o poduszki i koce. Tak dobrze nie spałem od roku.

Jest świt, Bongani przygotowuje śniadanie. Spostrzega, że nie śpię, i przynosi mi herbatę. Kiedy dzieci się budzą, znowu piję herbatę, zagryzam tostem i patrzę, jak cała trójka pałaszuje olbrzymi pierwszy posiłek. Kiedy jemy, pytam Bonganiego o jego rodzinę. Odpowiada, że wszyscy mają się dobrze i że mieszka tu od urodzenia.

Każą nam zapakować kostiumy kąpielowe i zmienić ubrania, a potem wyruszamy na poranne poszukiwanie słoni. Tym razem para z Holandii jedzie innym wozem i jesteśmy we własnym gronie. Jakieś dziecko w napadzie złości wyrzuca z któregoś z aut pluszową zabawkę. Samochody zatrzymują się. Do małego chłopca podchodzi Dirk. Boję się, że udzieli mu reprimendy za złamanie reguł, ale na uspokojenie daje małemu lizaka, Josia wyskakuje z wozu, wyciąga z krzaków misia i jedziemy dalej.

Kiedy na następnym przystanku inni robią zdjęcia, wspominam Dirka, jak cudownie wpływa na nas obecność Bonganiego. Ojca Bonganiego zamordowano, mówi Dirk, jego matka zaś, żeby przeżyć, została

prostytutką, a później zmarła na AIDS.

Raczymy się piknikowym lunchem w malowniczym jak marzenie miejscu pod olbrzymim drzewem, z którego zwiesza się kilka huśtawek na niezwykle długich linach, dzięki czemu dzieciaki mogą szybować w powietrzu. Wokół unosi się rozkoszny zapach ziemi i traw. „Piknik” oznacza koktajle i duże wygodne fotele, a także piękne stoły zastawione prawdziwymi talerzami i jedzeniem, które obsługa wyjmuje z niezliczonych ogromnych wiklinowych koszy. W drodze powrotnej do obozu zatrzymujemy się nad rzeką, gdzie rozstawiono namiotowe przebieralnie. Mówią nam, że możemy popływać, bo nie ma tu krokodyli, a na straży stoi „ochroniarz” z karabinem. Dzieci wchodzą do wody. Ja się wstrzymuję w obawie przed pasożytami, czymkolwiek, co mogłoby pogorszyć stan mojego przewodu pokarmowego.

Tej nocy po kolacji nie ma już udawania, gdzie kto będzie spał. Wszyscy wkładamy piżamy, wskakujemy do wielkiego łóża, pijemy ciepłe kakao, a Bongani usypia nas opowieścią.

„Czego pan pragnie?” – spytał mnie wiele, jak się wydaje, miesięcy temu Tuttle.

Pragnę, żeby to, czymkolwiek jest, nie miało końca.

Kiedy nazajutrz dzieci zwiedzają pobliską fermę krokodyli, a ja upycham do walizek wszystko, z czym przyjechaliśmy, oraz to, co nam przybyło, nagle decyduję, że nie zabiorę z powrotem większości ubrań, zachowując jedynie te, w które owinę rzeczy kruche.

Walizki są pełne turystycznych pamiątek – czapek, koszulek, jeszcze chwilę wcześniej, zdawałoby się, niezbędnych – których prawdopodobnie więcej nie włożymy.

Odkładam na bok duży stos ubrań, a kiedy Bongani wraca, pytam go, czy je zachowa.

– Tak – mówi, traktując rzecz bardzo serio. – Przechowam je do waszego powrotu.

– Chcę, żebyś z nich korzystał – wyjaśniam. – Albo komuś je dał. Nie oczekuję ich zwrotu.

– Dziękuję. Na pewno mi się przydadzą.

Kiedy odjeżdżamy, daję mu pieniądze, ale zwraca ich część.

– Nie jest dobrze mieć za dużo pieniędzy. Jeśli ktoś pomyśli, że jestem bogaty, zechcą mi je ukraść. Wezmę tylko tyle. Miło mi było spędzić czas z panem i pańską rodziną.

Myślę o zabraniu go do Stanów, mógłby pójść do szkoły i na studia. Zostawiam mu na kartce swoje nazwisko, adres, numer telefonu i mejl.

– Nie wahaj się ze mną skontaktować – kończę.

Ściskamy się na pożegnanie.

– Na razie, miło było was poznać – mówi.

W drodze do Durbanu zatrzymujemy się dwukrotnie na zakupy. Ashley sprawia sobie obraz do swojego pokoju i jakieś kolczyki. Zdecydowana przywieźć stosowne prezenty dla Madeline i Cya, wybiera je tak, jak robiła to kiedyś z myślą o ukochanej pannie Renee. Bierze coś, potem znajduje coś innego i kupuje także to. Skupiwszy się na sklepie z różnościami, razem z Ricardem proszą kierowcę, żeby się zatrzymał. Wyczuwając w niej poważną klientkę, właściciel sklepu zachęca, by się nie śpieszyła, więc Ashley się nie śpieszy i wybiera prezent jej zdaniem najlepszy – dwie całkiem spore czarne lalki, męską i żeńską, anatomicznie zgodne z płcią. Mówię jej, że proszę bardzo, niech weźmie jedną dla siebie, ale wątpię, czy to właściwy podarek dla rodziców Amandy.

– Nie masz racji – odpowiada bez ogródek.

Muszę zdecydować: oznajmić, że jestem tu jedynym dorosłym i to ja płacę rachunki, czy pogodzić się z sytuacją i dać Ashley postawić na swoim.

– Dobrze – mówię. – Ale na tym koniec, to ostatni idealny podarunek.

– Wiem, co robię – oświadcza Ash. – Widziałam to w jednym z moich ulubionych seriali, a potem sprawdziłam w rzeczywistości, w szkole nazywamy to weryfikacją faktów. Z przeprowadzonych badań wynika, że cierpiący na demencję starszuszki, którzy dostawali pod opiekę lalki, czuli się szczęśliwsi. – Znosi lalki do



kasy. – Czuli się bliżsi i potrzebni.

Gdy właściciel sklepu ma przeciągnąć przez czytnik moją kartę kredytową, Ashley w ostatniej chwili dodaje po kocyku dla każdej z lalek. W milczeniu podpisuję rachunek. Ashley natychmiast wyjmuje lalki z opakowania, opatula je i nazywa bliźniakami.

Ricardo chce, żebym kupił mu pistolet zabawkę, który wygląda tak realistycznie, że kiedy widzą go policjanci, mogą cię przypadkiem zastrzelić. Sprzeciwiam się.

– Nie ma mowy.

– Jakie są imiona tych bliźniąt? – pyta Nate po wyjściu ze sklepu, gdy właściciel zamyka za nami metalową bramkę.

– Poczekamy, zobaczymy – mówi Ashley.

Wracamy do samochodu i ruszamy. Na przedmieściach Durbanu coś zaczyna się dziać. Kierowca robi się nerwowy. Nadeptuje na gaz i mija samochody, choć na drodze nie ma dużego ruchu.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Jadą za mną.

– Kto za panem jedzie?

– Jakiś samochód.

Zjeżdża na pas z przeciwnej strony jezdni i próbuje wyprzedzić wolno jadącą ciężarówkę. Ale nie daje rady, musi wrócić na właściwy pas, bo z naprzeciwka jedzie prosto na nas kolejny samochód. Kiedy zbliżamy się do czerwonego światła, szofer zwalnia, bada wzrokiem

skrzyżowanie, ale nie staje.

– Ej – protestuję – wiecie pan dzieci!

– Pan mi wierzy. Czasem lepiej się nie zatrzymywać – mówi.

Zerkam za plecy. Samochód za nami też się nie zatrzymał. Są w nim trzej ludzie. Niebawem nas doganiają i spychają z jezdni. Ashley krzyczy. Nasz kierowca jedzie dalej, dociskając gaz do dechy. W górę wzbijają się tumany kurzu. Białe auto nie odpuszcza, coraz bardziej spychając nas z drogi.

– Może powinniśmy się zatrzymać – proponuję.

– Nie – odpowiada kierowca. – To nic nie da.

Trwa to chyba ze dwie minuty, a może jedynie pół, a potem rozlega się głośny huk i nasz samochód odbija w prawo. Kierowca walczy, żeby nad nim zapanować. Toczymy się wolno i stajemy, wokół opada kurz.

– Mieliśmy wypadek? – pyta Ricardo.

– Przebita opona – informuje kierowca.

Tamtych trzech zatrzymuje się za nami, wysiadają z samochodu i nadchodzą. Zbliżywszy się na wyciągnięcie ręki, zaczynają walić w karoserię samochodu i kołysać nim na boki. Robi się strasznie.

– Napad – szepcze Nate. – Oddaj im pieniądze.

– Moje dzieci, moje dzieci! – krzyczy znienacka Ashley.  
– Moje dzieci nie oddychają!

Otwieram gwałtownie drzwi i przewracam opierającego się o nie napastnika. Ricardo, Ashley i Nate

wyskakują z wozu, trzymając w rękach zawinięte w kocyki ciemne lalki.

– Moje dzieci, moje dzieci nie oddychają! – wyje Ashley na poboczu drogi.

Nate pochyla się nad lalkami, przykłada ucho do ich klatek piersiowych, a usta do plastikowych ust jednej z nich.

– Znasz zasady RKO?! – krzyczy.

Ja i Ricardo klękamy na poboczu, pochylając się nad brązowym chłopcem. Nate uciska klatkę piersiową plastikowej dziewczynki i krzyczy:

– Oddychaj, oddychaj!

– Kiepsko z nim – mówi Ricardo. – Czy ktoś ma defibrylator?

Kierowca wciąż siedzi w samochodzie, sparalizowany strachem.

Krzyk Ashley zmienia się z przenikliwego wrzasku w cienne zawodzenie – jakby przywołała w sobie cały ból, żal po śmierci Jane. Klęczy przy drodze, lamentując w prawdziwej hysterii, a ja nie wiem, czym zająć się najpierw.

– Zabiliście moje dzieci! – zawodzi i zawodzi.

Kompletnie skonsternowani napastnicy wracają do swojego samochodu i prędko odjeżdżają. Czekamy, aż będą daleko, a potem Nate i ja podnosimy lalki i idziemy do Ashley, która z trudem się uspokaja.

– Spójrz. – Nate pokazuje siostrze lalki. – Nic im nie

jest. Proszę, weź je.

Wkłada jej lalki w ramiona. Ashley oddycha płytko. Wzrok ma błędny, jakby nie całkiem wiedziała, gdzie jest. Biorę papierową torbę, w którą były zapakowane lalki, zgniatam jej wylot w ustnik i przytykam go do ust bratanicy.

– Oddychaj w nią – proszę.

– To było niesamowite, naprawdę straszne – mówi Ricardo.

Wszyscy kiwamy głowami. Kiedy Ashley odzyskuje dech, wracamy do samochodu.

Nasz kierowca wciąż siedzi za kierownicą, po twarzy ciekną mu łzy.

– Ma pan zapasową oponę? – pytam.

Kiwa głową. Szybko zmieniamy oponę i odjeżdżamy, roztrzęsieni.

– Tutaj to bardzo częste – mówi Nate. – Napady. Czasem zabierają samochód, czasem chcą tylko pieniędzy.

– Mielicie wiele szczęścia – mówi szofer. – Zdarza się, że porywają bogatych białych.

– Nic ci nie jest? – pytam Ashley.

Kręci głową.

– Zachowałaś się nadzwyczajnie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Z telewizji. W naszym domu zawsze grał telewizor, wiesz.

– Tak.

– No więc wciąż oglądałam te płaczące panie, matki, ciotki, smuciło mnie to i byłam przestraszona. Stały w drzwiach, płacząc, a reporter próbował wepchnąć się do środka, albo czuwały przy świecach i osuwały się na ziemię. Nie wiem. Po prostu jakoś na to wpadłam.

– Świetnie się spisałaś.

– Jak oscarowa aktorka – chwali Nate.

– Nie mogę w to uwierzyć – dołącza się Ricardo. – Wkroczyliśmy do akcji jak superbohaterowie, jak ci goście w filmach. – Uśmiecha się szeroko. – Podobało ci się, jak poprosiłem o defi-brylantor?

Wciąż odtwarzam całe wydarzenie w głowie. Im więcej o nim myślę, tym bardziej je przeżywam. Spoglądam na dzieci – sprawiają wrażenie, jakby nic się nie stało, jakby nie zdawały sobie sprawy, jak źle mogło się to skończyć. Wiem, że cokolwiek by się stało, bez chwili wahania zrobiłbym wszystko, by je ochronić. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, jak mocno się do nich przywiązałem, jak bardzo są mi bliskie.

Na lotnisku mój nastrój się psuje. Wciąż nie mogę pozbierać się psychicznie po próbie porwania i obawiam się powrotu do domu. Jak zachować nadzieję, otwartość i optymizm towarzyszące nam aż dotąd w tej podróży? Zdjęty nagłym lękiem, zadaję sobie pytanie, czy tylko ja go odczuwam. Tak dobrze radziliśmy sobie poza domem – poza naszą powszedniością, w konfrontacji ze światem

o tyle większym od nas. Działaliśmy w grupie, zespołowo, dlatego martwię się, co się stanie, kiedy będziemy już w domu, gdzie wszystko może się zdarzyć i nic nie da się przewidzieć.

Lot z Durbanu do Johannesburga przebiega gładko, a zanim przesiądziemy się na samolot do Stanów, dzieciaki, wciąż w świetnych humorach, pędzą zrobić ostatnie zakupy: chipsy Simba i musującą lemoniadę, jakby miały już nigdy nie zobaczyć Afryki Południowej. Johannesburg jest jak stacja przesyłowa dla całej ludzkości. Na szczęście Sofia ponownie załatwiła nam umyślnych, byśmy sprawnie się przesiedli z jednego samolotu na drugi.

Myślę o domu, o George'u i Jane. Jestem przemęczony, wiem, ale mam wrażenie, jakbym widział, jakbym znowu to wszystko czuł, a raczej czuł to po raz pierwszy. Raptem ożywa dla mnie przeszłość, w najintymniejszych szczegółach, mam ją tuż przed sobą, na wyciągnięcie ręki. Taka nierzeczywista – nie mogę uwierzyć, że się wydarzyła, nie mogę uwierzyć, że spotkało mnie to kilka miesięcy wcześniej, a w tej chwili jesteśmy na południowoafrykańskim lotnisku i czekamy na odlot.

Przypominam sobie słowa Londisizwe o pozbyciu się zmory, która żyje we mnie, i konstatuje, że w południe nie wypilem swojej herbaty. Jak tylko znajdziemy się na pokładzie, poproszę o gorącą wodę. Myślę o znachorze, o wstrętnym zapachu, który się ze mnie dobył,

i o śmiechu dzieci, gdy wiłem się z bólu.

„Bardzo dobrze – powiedział mi Londisizwe, klepiąc po ramieniu, gdy po wypiciu pierwszej porcji powiedziałem mu rano, jak fatalnie się czuję. – Dobrze, że czuje się pan źle, to źródło tego, co pan w sobie ma... Poczul pan to. To oznacza, że pan żyje”.

Na lotnisku czuję to ponownie. W gardle wzbiera mi żółć o smaku sfermentowanych liści zmieszanych ze zwierzęcym gnojem. Przelykam ją. Spływa w dół paląco i z goryczką.

Czyje to dziecko? – pyta kontroler straży granicznej, wskazując Ricarda.

– Nasze – mówi Nate.

– Jestem ich bratem – oświadcza Ricardo.

Wyjmuję list od jego ciotki i podaję celnikowi, który wzywa drugiego kontrolera. Pytają, czy mam telefon z połączeniem międzynarodowym. Podaję im swoją komórkę, żeby zadzwonili do Christiny, a ta potwierdza, że Ricardo nie został porwany. Uspokojony kontroler pyta Ricarda, czy dobrze się bawił w Afryce Południowej.

– Przejechałeś się na słońcu?

– Nie.

– Skakałeś na bungee ze skały?

– Nie.

– A co robiłeś?

– Grałem w piłkę.

– Brawo!

Kontroler obnaża w uśmiechu zęby, w których tkwią kawałeczki tytoniu, zwraca nam paszporty i częstuje dzieciaki małymi twardymi cukierkami, w sam raz takiej wielkości, że grożą udławieniem, więc natychmiast je konfiskuję.

Nasz przylot do Nowego Jorku opóźniają burze z piorunami. Wydaje się, że godzinami krążymy nad lotniskiem, lądujemy w Bostonie, by uzupełnić paliwo, i wracamy na lotnisko Kennedy’ego. Z pasa na lotnisku Logana esemesuję do opiekuna zwierząt, że się spóźnimy. Odpisuje mi dziwnie radośnie: „Jesteśmy gotowi i czekamy, radzi was powitać”. W tonie jego odpowiedzi jest coś niepokojącego. „Wszystko w porządku?” – pytam. „Świetnie” – odpisuje. No nie...

Lądując w Nowym Jorku, odczuwam coś w rodzaju nieoczekiwanej ulgi, że powróciliśmy na ziemię drużyn Mets i Yankees, ruchliwych ulic, irytujących ludzi.

Amerykański celnik każe mi otworzyć walizkę.

– Gdzie pańska odzież? – pyta.

– Oddałem – mówię.

– Zakłada pan firmę? – dziwi się, przeglądając moje nabytki.

– Nie, zabrałem ze sobą troje dzieci, to są ich zakupy.



Zabrakło miejsca na ubrania.

– Nie dokupił pan walizki?

– Nie chciałem.

– Chce pan potrzymać moje dzieci? – pyta Ashley celnika.

– Wie pan, że w Afryce Południowej sprzedają ubrania, które zostawiamy w przykościelnych pojemnikach z niepotrzebną odzieżą? – pyta Nate. – Zdaje się panu, że oddaje starą garderobę potrzebującym w tym kraju, ale pańskie ciuchy są sprzedawane biedakom dla zysku.

– Widzę, że ta podróż czegoś was nauczyła.

Celnik zamyka moją walizę i podsuwa mi ją, bym zasunął zamek.

– Kształcący rekonesans – komentuje Ashley.

– O mały włos, a byłbym obrzezany – oznajmia Ricardo. – I nadal tego chcę, ale on się nie zgadza.

Wskazuje na mnie jako winowajcę.

– DS – mówi celnik, wbijając stemple do paszportów, i odprawia nas.

– Co znaczy DS? – pyta Ricardo.

– „Daruj sobie”; znaczy, że niektóre rzeczy należy zachować dla siebie.

Wychodzimy z hali i uderza w nas upał. Przejście z klimatyzowanego chłodu samolotu do piekarnika,

gdzie na chodniku można smażyć jaja, jest tak nagle, że natychmiast robimy się lepcy i marudni.

– Spóźniliście się – ma nam za złe gość z tabliczką, na której nasmarował flamastrem nazwisko SILVER.

– Z powodu pogody – wyjaśniam. – Musieliśmy lądować po paliwo.

Wyściełaną jazdę dużą czarną limuzyną odczuwam jako niemiłe lewitowanie bez związku z rzeczywistością. Odkrywam, że marzę o wyboistej jeździe starym land roverem, z prymitywnymi pasami bezpieczeństwa dla dzieci, umocowanymi jak w rakięcie na przydomowym podwórku.

Zajeżdżamy pod dom. Krzaki róż przed nim w pełnym rozkwicie – soczycie czerwone. Pnące białe róże obrastają front, oplatając okna. Ashley zrywa różową niskopienną i podsuwa mi ją do powąchania.

– Abraham Darby – wyjaśnia. – Robią z nich perfumy.

Wdycham głęboko zapach. Mocny aromat dociera do płuc. Wdycham go ponownie, ale już z umiarem.

– Miły – mówię.

Ricardo nalega, żeby podejść do drzwi i zadzwonić. Podniecona Tessie czeka.

Drzwi otwiera uśmiechnięta Cheryl.

Trudno to opisać, ale w jednej chwili przestaję się bać. Coś takiego przeżywam chyba pierwszy raz – mrok pierzcha tak nieuchwytnie i dosłownie, jakby słońce wyszło zza chmur.

Są baloniki, barwne serpentyny i wielki tort czekoladowy z błękitnym napisem: „Gratulacje z okazji BM”.

W powitalnym szeregu stoją Cheryl, Sofia, Cecily, opiekun zwierząt z siostrą, Madeline, Cy, Tessie, koty oraz kilka osób, których nie znam.

– Dom się zmienił – spostrzegam, miło zaskoczony.

– Mowa – mówi Cheryl. – Zafundowaliśmy ci remont: pomalowaliśmy kuchnię, salon, jadalnię, przestawiliśmy meble i dodaliśmy trochę nowych, takich jak fotele dla wygody Cya i Madeline.

Podążając za Cheryl, która oprowadza mnie po domu, zakrywam w podziwie usta dłonią i powtarzam wciąż od nowa:

– Nie wierzę. Nie do wiary.

– Twoja mina jest bezcenna – mówi Cecily.

Wczoraj w Durbanie lękałem się powrotu do tego domu, wpadnięcia w tę samą rutynę, ale to powitanie jest cudowne, niesłychane. Po raz pierwszy należę do jakiejś wspólnoty. Stoję, oczy mi się pocą i wznoszę wielką szklanicę dietetycznego napoju pomarańczowego.

– Jestem ogromnie wzruszony.

Jest pizza, napoje gazowane i tort tak niebywale słodki i tak bardzo amerykański, że się nim zajadam. Biorę jeden kawałek za drugim i jeszcze jeden, aż mam potąd. Roztrzęsiony i oszołomiony, przepijam to „potąd” kawą.

– Napadli nas – chwali się wszystkim Ricardo. – Jacys wariaci zepchnęli nas z drogi.

– Ashley i Ricardo uratowali nas, udając, że te lalki to jej dzieci i że są ranne – dorzuca Nate.

– Jak na to wpadłaś? – pyta Cheryl.

– Nauczyli nas w szkole – mówi Ashley.

– Nauczyli czego?

– Na WF-ie była lekcja samoobrony. Uczyli nas ataku na oczy i jaja. I tego, że jeżeli podejdziesz do nas ktoś, kto będzie chciał, żebyśmy wsiadły z nim do samochodu, albo będzie próbował nas skrzywdzić, to mamy udawać wariatki. Lub wtoczyć się pod stojący wóz. Powiedzieli, że bandzirom nie chce się klękać i wyciągać kogokolwiek spod samochodu, a pomyłeńcy działają im na nerwy. Kiedy byłam młodsza, wciąż myślałam o tym, co bym wtedy zrobiła.

– Kapitalne – ocenia Madeline.

Straszne, powtarzają jak echo moje myśli.

Zaparzam herbatę, z którą odesłał mnie do domu Londisizwe. Smakuje południowoafrykańską ziemią, błotem i powietrzem. Zakręcam muślinową torebką w kubku i przysięgłbym, że pływa w nim namiastka niebiesko-zielono-fioletowej tęczy.

Później słyszę, jak Cheryl rozmawia z Nate'em.

– Każdego mogło spotkać to co twoją mamę.  
– Wątpię – nie daje jej wiary Nate.  
– Uwierz mi. Żyję dłużej niż ty.  
– Naprawdę myślisz, że to mogło spotkać każdego? –  
pytam Cheryl, kiedy już po wyjściu wszystkich staramy  
się połapać w nowym układzie szafek w kuchni.

– Tak.

– Nie bardzo wiem, jak to rozumieć...

– Chodzi nie o ciebie, ale o ludzkie zachowanie. Kiedy  
w telewizji donoszą, że jakaś kobieta zabiła siebie i swoje  
dzieci, wszyscy udają zszokowanych.

Kiwam głową.

– Owszem.

– Szokuje co innego: szokuje to, że nie zdarza się to  
częściej. Szokuje, że wszystkie zakochują się, jak mówią,  
w swoim dziecku od chwili jego narodzin, ale żadna  
szczerze nie przyzna, jakie to jest trudne. Czy zatem  
jestem zaskoczona, że jakaś matka topi swoje dzieci  
i strzela do siebie? Nie. Mnie to po prostu smuci.  
Chciałabym, aby ludzie dostrzegli, że walczyła,  
chciałabym, żeby zwróciła się o pomoc. Szokuje mnie, jak  
bardzo wszyscy jesteśmy samotni.

Cheryl milknie i bacznie mi się przygląda.

– Zmieniłeś się – mówi.

Odbija mi się kombinacją pizzy, tortu, napoju  
gazowanego i herbaty Londisizwe. Jestem zdziwiony, że  
z ust nie bucha mi granatowozielony dym.

– Tęskniłam za tobą. Sam wiesz, o wielu sprawach nie rozmawialiśmy, tylko wciąż o seksie i o seksie, ale obserwowałam cię: przeszedłeś długą drogę.

– Jak to?

– Stałeś się człowiekiem.

– A kim byłem przedtem?

– Byle kim.

Daję Cheryl prezent, który jej przywiozłem – starego drewnianego fallusa.

– To dildo?

– Ważny afrykański symbol.

– Żebyś o tobie myślała?

– Niezupełnie.

– Dzieci widziały, że go kupiłeś?

– Nie.

Kładę się na kanapie z Tessie u stóp, z jej mordką na moim biodrze; za plecami mam jednego kota, drugiego na szyi. Kiedy zasypiam, myślę o afrykańskiej wsi budzącej się na śniadanie...

Przez kilka dni żyjemy w strefie, która nie jest ani tu, ani tam, istnieje poza czasem i geografią – odprężamy się, aklimatyzujemy. Dzieci śpią, jedzą i oglądają telewizję.

Dla mnie jest to okres reorganizacji, uświadomienia, że rzeczy nie muszą być takie, jak były. Nie chcę zatracić szczerości, potencjału, który czułem w sobie podczas tej podróży. Dla Ashley, Nate'a i Ricarda nic już nie będzie takie jak przedtem. To samo dotyczy także pod wieloma względami Madeline i Cya. Po raz pierwszy pojmuję, że podobnie jak ktoś może łaknąć zmian, tak samo może być skłonny do zaryzykowania, swobodnego spadku, do przegranej, do odrzucenia przeszłości – innymi słowy, muszę zakończyć swoją książkę. A co potem? Wrócić do nauczania, do studiowania religii, kultury zuluskiej, literatury? Zostać podmiejskim agentem handlu nieruchomościami? Chodzi nie tyle o to, co począć z czasem, który mam do dyspozycji, ile – co począć z własnym życiem. Życiem jako walutą. Jak nim zadysponować? Co ma największą wartość? Ogranicza mnie tylko to, co zdołam wymarzyć i na co się poważę, a przecież przez sam wzgląd na dzieci nie mogę wyruszyć w świat w poszukiwaniu siebie. Nie ma sensu wędrować przed siebie tylko po to, by iść, jeśli nie stoi za tym jakaś szlachetniejsza myśl, poczucie, że pomaga się żyć innym.

Przy każdej okazji Ricardo i Nate opowiadają historię napadu. Raz za razem rozwijają opowieść o tym incydencie – co myśleli i co by zrobili, gdyby bandziory „czegoś spróbowali”. Ricardo ukamienowałby ich przydrożnymi kamieniami. Nate zastosowałby sztuki walki do „unieszkodliwienia” drani. Na pytanie, jak ja bym się zachował, odpowiadam: spróbowałbym negocjować – przekonać ich, ograniczony jedynie nieznaną znajomością miejscowego języka. Ilekroć chłopcy o tym opowiadają, historia się rozrasta. Odtwarzanie jej uświadamia im całą grozę owego zdarzenia, to, że otarliśmy się o śmierć, a w razie porwania groziłoby nam uszkodzenie ciała i niewiele moglibyśmy zrobić. Opowiadanie wciąż od nowa tej historii pokazuje jasno, jak bezsilni w istocie byliśmy. Martwi mnie jednak milczenie Ashley. Była przecież najbardziej narażona – jako dziewczynka, dziecko, zdobywcza bohaterka. Chłopcy nic na ten temat nie mówią, ale ja nie przestaję o tym myśleć. Ashley też z pewnością to przeżywa – właśnie dlatego zaczęła wtedy krzyczeć tam przy drodze i wykorzystała to, czego się nauczyła na kursach przetrwania.

Afryka wydaje się zarówno bardzo odległa, jak i stale obecna, niczym kurtyna, poza którą działam. Wciąż piję herbatę Londisizwe, a ona zapewne mi pomaga.

Gotuję, sprzątam, pakuję do trzech wielkich worków poduszki, pościel na cały miesiąc, spray przeciw



owadom, znaczki, papeterię, koszule, szorty, kostiumy kąpielowe – cierpiąc przy tym na kryzys tożsamości, na który jestem za stary – a na dworze fala upałów i dzieciaki wyjeżdżające w ten weekend na obóz. Ashley i ja rozmawiamy o jej „stosunkach” poza domem. Ponownie ustalamy, że należy się wystrzegać wymiany fizycznych uprzejmości pomiędzy dorosłymi a dziećmi, że nie powinna zadawać się z nikim trzy lata starszym lub młodszym od niej i ograniczyć się do „łżejszego repertuaru”, jak to nazwałem. Z Ricardem omawiam plan odstawienia leków i wprowadzenia suplementów, co wcześniej uzgodniłem z kolegą doktora Tuttle’a. Nate i ja dokonujemy przeglądu jego letnich lektur i zaplanowanych prac dodatkowych.

Podczas kolacji Cy unosi szypułkę brokułu i pyta:

– Co to jest? Wiecznie zielone drzewo? Klon? Nie rozpoznaję tego, więc nie mogę zjeść.

– To brokuł – podpowiada Ashley. – Nie drzewo, warzywo.

– To dobrze – mówi Cy.

– Skosztuj śmiało – zachęca Ricardo i odgryza kęs.

– To dobrze – powtarza Cy. – Zapomniałem, kiedyś wiedziałem, że to brokuł. Notabene Madeline robiła kiedyś do niego pyszny sos.

Pytam Madeline, czy pozwoli, że odstąpię od jej

przepisu.

– Ależ oczywiście – zapewnia. – Nie mogłam przelknąć tego świństwa. Przyrządzałam je dla dziecka.

W trzecią sobotę lipca Ashley wyjeżdża na miesięczny obóz. W niedzielę odwozimy chłopców do autobusu czekającego na parkingu przy kościele, na tym samym, gdzie Amanda znalazła w śmieciach portfel Heather Ryan. W kącie parkingu widzę kosze na śmieci, ale nic nie mówię – nie mam komu tego powiedzieć. Przyjeżdża z nami ciotka Ricarda, Christina, żeby się pożegnać. Przygotowała dla niego suty lunch na drogę.

– Podziel się nim, wykorzystaj go, by się zaprzyjaźnić – szepczę do niego.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się w szkółce i kupujemy cały bagażnik roślin: kilka róż, petunie, geranium, trochę pomidorów koktajlowych, cukinie i rzodkiewki, bo Cy twierdzi, że zawsze chciał hodować kwiaty i warzywa. Popołudnie spędzamy na podwórzu.

– Brakuje ci Amandy? – pytam Madeline.

– Z dziećmi zawsze są kłopoty – mówi. – Ty masz swoje pomysły, one swoje. Nie wiemy o sobie nawzajem mnóstwa rzeczy.

Sadzimy krzak róży dla Amandy. Później spostrzegam, że Madeline często do niego mówi.

Po południu, gdy Cy drzemie, Madeline zwierza mi

się, że kiedyś miała towarzyszkę, „bardzo przystojną sąsiadkę, której mąż też pracował całymi dniami w city. Cyowi na myśl by nie przyszło, jak bardzo była życzliwa...”.

Głos jej milknie tak, że zaczynam się zastanawiać, czy były kochankami, czy tylko przyjaciółkami.

Przed kolacją – kanapkami ze stopionym serem i chłodnikiem gazpacho, który Cy nazywa zupą czekającą, aż dojrzeje i stanie się bloody Mary – raczymy się drinkami.

W domu panuje wielka cisza, dziwna głusza.

– Strasznie tu cicho – stwierdza Cy.

Zgadzamy się wszyscy – jest za cicho.

Tej nocy natykam się na Madeline. Siedzi w bujanym fotelu i do obnażonej zwiędłej, starczej piersi przyciska jedno z dzieci Ashley. Jest taka spokojna, taka zadowolona z siebie, że po prostu przykrywam ją kocem wziętym z kanapy.

– Wciąż ma do tego dryg – komentuje Cy.

– Na długo wyjechali? – pyta Madeline, poklepując lalkę.

– Na miesiąc – mówię.

W poniedziałek rano przychodzi spędzić dzień z Cyem i Madeline siostra opiekuna zwierząt, a ja wracam do pracy w mieście.

Latem w firmie prawniczej wymagania co do stroju łagodnieją: mężczyźni w spodniach khaki, bawełnianych garniturach i koszulach z krótkimi rękawami wyglądają bardziej na księgowych z wiecznymi piórami niż na najtęższe głowy prawnicze.

Opowiadania mają się dobrze. Ching Lan się naharowała: są przepisane, zredagowane i przygotowane do druku. Czytam je jeszcze raz, wprowadzam kilka małych korekt i przed lunchem zwracam je Ching Lan do ostatecznego wyglądzenia. W nawiązaniu do mojej wcześniejszej rozmowy z Julie Nixon Eisenhower dzwonię do niej i ponownie proponuję oddanie opowiadań do publikacji. W trakcie tego popołudnia zapada decyzja o przesłaniu ich za pośrednictwem firmy do pięciu, sześciu periodyków jednocześnie. Zważywszy na powolność, z jaką toczyły się sprawy, oraz zrazu gorącą, a potem chłodną reakcją na mój wniosek, jestem zaskoczony, jak prędko pomysł nabiera szwungu.

Jeden z partnerów firmy prawniczej informuje w liście o nowym ekscytującym wydarzeniu z dziedziny wiedzy o Nixonie, zbiorze krótkich opowiadań RMN w opracowaniu uznanego nixonologa Harolda Silvera. List zostaje zaaprobowany przez panią Eisenhower i tegoż popołudnia posłaniec zawozi opowiadanie KM.

Wieczorem dzwoni telefon.

– Tu David Remnick z „New Yorkera”.

Czekam na więcej, na coś w rodzaju nagranej reklamy:

„Dzwonimy do was z interesującą propozycją prenumeraty...”.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Idę z telefonem do drugiego pokoju, zostawiając Madeline i Cya przed telewizorem.

– Znam pańskiego brata – mówi Remnick. – Nie za blisko, trochę.

– Nie miałem pojęcia.

– Jesteśmy bardzo zainteresowani tym opowiadaniem, ale zanim zrobimy coś więcej, muszę się upewnić, że jest autentyczne.

– O ile mi wiadomo, tak – zapewniam i wyjaśniam, jak skontaktowała się ze mną rodzina autora, oraz informuję o pochodzeniu pudeł.

– Ile opowiadań napisał Nixon? – pyta Remnick.

– Około trzynastu.

Nagle uświadamiam sobie, że nie wiem, czy mogę zdradzić tę liczbę, nie naruszając klauzuli poufności.

– Jest pan tam?

– Jestem. Ale chyba powiedziałem już dosyć.

– Jak by pan scharakteryzował pozostałe opowiadania? Jako osobiste, polityczne, podobne w tonie do przesłanego? Czy naprawdę są fikcyjne?

Odpowiadam najostrożniej, jak potrafię. Kiedy kończymy, czuję się wyfiletowany, lecz podziwiam jego metodę. Dzwonię do pani Eisenhower. Wyobrażam ją sobie, że siedzi na kanapie w typowym staroświeckim

salonie, wyblakłym świadectwie innej epoki.

– W tej chwili nie może podejść. Mam coś przekazać?

– Tak, chciałem zawiadomić, że miałem kilka telefonów z mediów.

Dwadzieścia minut później pani Eisenhower oddzwania.

– Mam nadzieję, że się pan nie pogniewa – mówi. – Ale postanowiliśmy wycofać to opowiadanie. Ze względu na druzgocącą reakcję. Cofniemy się o krok i nieco staranniej rozważymy decyzje.

– Ma to związek z jakością mojej pracy? – jestem zmuszony spytać.

– Nie. Wprawdzie zaskoczył mnie zakres pańskich poprawek, gdy porównałam je z dłuższymi wersjami, ale uznałam, że świetnie się pan spisał. Chodzi o kwestie rodzinne. Nie jesteśmy w pełni przekonani, czy zaprezentowanie mojego ojca jako beletrysty odpowiada renomie jego nazwiska. – Dłuższa pauza. – Jak pan się domyśla, tego aspektu nie brałam wcześniej pod uwagę. Zawsze chodziło o barwy czerwoną i niebieską, o demokratów i republikanów. Dlatego musimy rzecz przemyśleć, a kiedy to rozpatrzymy, pan pierwszy się o tym dowie. Dziękuję panu za entuzjazm, wiem, jak bardzo ceni pan mojego ojca.

Drażę dalej, wiedząc, że jest to być może moja ostatnia szansa na zgłębienie tematu.

– Jak pani wiadomo, pracuję nad książką o pani ojcu.

Jestem ciekaw, czy z czasem zmieniła pani o nim zdanie. Odkryła coś, co sprawiło pani przykrość.

– Mój ojciec był skomplikowaną postacią, robił to, co uznał za najlepsze dla rodziny i kraju. Pan i ja nigdy się nie dowiemy, z jak poważnymi wyzwaniem się mierzył. Dziękuję panu, życzę dobrej nocy.

Wysłałam Ching Lan mejla i proszę o spotkanie jutro w biurze o dziewiątej.

O siódmej rano w CNN starszy gość z Oregonu pokazuje notes, który jego dziadek wygrał ponoć od Nixona, kiedy ten był komandorem porucznikiem marynarki i pokerzystą. Notes pochodzi z 1944 roku, czyli z czasów, kiedy Nixon służył w marynarce. Mężczyzna odczytuje fragment, w którym natychmiast rozpoznaję słowa z *Dobrych Amerykanów*.

Wychodząc z domu, mam wrażenie, że jestem śledzony. Po drugiej stronie ulicy parkuje nieznamy samochód. Kierowca kiwa mi złowrogo głową i gdyby dzisiejsze aparaty fotograficzne trzaskały, to przysięgłbym, że słyszę trzask robionego zdjęcia.

Winda budynku w śródmieściu, w którym mieści się firma adwokacka, przystaje na każdym piętrze,

wypuszczając ludzkie cargo z jego kubkami ze Sturbucksa i zapasowymi oponkami w pasie. Mam świadomość, że za mną ktoś stoi.

– Przesadziłeś ze szczerością – mówi ponad moim ramieniem.

Obracam się. Winda nagle tonie w ciemności i staje z szarpnięciem. Pasażerowie wstrzymują oddech.

– Atakują nas! – krzyczy jakaś kobieta.

– Wątpię – bąka jakiś mężczyzna.

– Zawsze pojawia się jakaś przeszkoda – mówi spokojnie głos ponad moim ramieniem. – Zawsze decyduje jakaś siła wyższa.

– Proszę powiedzieć mi więcej – zachęcam.

– A o czym tu więcej mówić? Jestem zawiedziony. Mój kwadrans szybko mija.

Kabina windy szarpie w górę, migają światła, drzwi się odsuwają. Pasażerowie ruszają gwałtownie, chcąc szybko wyjść, przestraszeni, że to jeszcze nie koniec.

– Na pewno skoczyło napięcie – orzeka starszy człowiek, który pozostał w windzie. – Na początku lat siedemdziesiątych zdarzało się to bez przerwy. Nazywaliśmy to długim ramieniem Johna Lindsaya[37].

Przed sobą dostrzegam mężczyznę w granatowej wiatrówce, brązowych spodniach i bejsbolówce. Zmierza do schodów przeciwpożarowych.



Ching Lan płacze, gdy jej mówię, że to koniec naszego przedsięwzięcia.

– Kiedy tu przychodzę, staram się być nikim. Jestem czystą kartką, niech pan pisze książki.

– Nie martw się, napiszę ci świetny list polecający.

Chlipie.

– I zatrudnię cię, byś przygotowała moją książkę do druku.

– Nie dlatego płaczę. Mojej karierze nic nie grozi: zaproponowano mi zawodowy kontrakt w drużynie siatkówki, ale powiedziałam im, że najpierw muszę skończyć to. Płaczę, bo widzę, jak bardzo kocha pan prezydenta Nixona, pomimo jego postępków. Ciężko pan pracuje, jest pan taki dzielny. Z powodu pana studiowałam wszystko o Chinach. Nauczyłam się o moim kraju znacznie więcej, niż wiedziałam. Dzięki panu dowiedziałam się wiele o sobie.

– Dziękuję.

– Jak pan myśli, co się stało? – pyta Ching Lan.

– Wystraszyli się.

– Może później znów spróbują i nie wyda się to takie straszne.

– Zdarzyło ci się kiedyś czymś wystraszyć? – pytam.

– Nie. Nie jestem bardzo strachliwa. Ale mój ojciec nie lubi myszy. Bardzo się ich boi. Wskakuje na beczkę z marynatami jak mała dziewczynka. Moja matka musi ganiać myszy jak kocur. Mogę o coś spytać?

– Oczywiście.

– Co panu tak bardzo podoba się w Chinach?

– Nikt dotąd mnie o to nie pytał. Może zabrzmiało to dziwnie, ale podoba mi się, że są takie duże... mają wszystko od Everestu do Morza Południowochińskiego... że mieszka tam miliard ludzi, że mają taką bogatą historię, że są takie pracowite, starożytne, piękne, tajemnicze et cetera.

– Był pan kiedyś w Chinach?

– Nie. A ty?

Kręci głową.

– Rodzice powiedzieli, że za nic tam nie wrócą, bo to, co tam jest, jest zamierchłe, a żyje się bardzo ciężko. Współczują krewnym, którzy tam zostali, i łączą się z nimi w smutku, ale wolą żyć tu.

Nie mówię Ching Lan, że w głębi duszy też lękam się Chin: wyobrażam sobie ich ciemną stronę, która nie ceni ludzkiego życia tak bardzo jak ja. Obawiam się, że gdybym tam pojechał, coś by mi się stało, zachorowałbym, pękłby mi wyrostek i bezradny, skrzęcając się z bólu i nie mogąc o siebie zadbać, wylądowałbym w chińskim szpitalu. Wyobrażam sobie, że umieram albo z powodu gangreny wyrostka, albo wskutek zakażenia po operacji w niezbyt sterylnych warunkach. Nie mówię Ching Lan, że prześladują mnie koszmarne sny, w których Chińczycy w zakrwawionych kitlach chirurgicznych oznajmniają mi łamaną

angielszczyzną, że kolej na mnie. Nie mówię też Ching Lan o wielkim pomysle, którego jeszcze jasno nie sformułowalem. Nie mówię jej, że czasem, chcąc nie chcąc, zadaję sobie pytanie, czy obecny światowy kryzys gospodarczy nie wynika bezpośrednio z otwarcia przez Nixona stosunków gospodarczych z Chinami.

Po skończonej rozmowie Ching Lan i ja żegnamy się z Wandą i Marcelem i oddajemy plakietki. Żegnam się z biurem, z firmą adwokacką, z męską toaletą, z windą.

Na lunch idziemy do delikatesów. Nie jestem głodny, ale matka Ching Lan nalega.

– Na koszt firmy – mówi.

Z Afryki Południowej przywozłem drobiazgi, które teraz służą za prezenty. Podarowuję Ching i jej matce szale zakupione na lotnisku, a ojcu spinacz do pieniędzy. Matka Ching daje mi na drogę batonik Hersheya.

– Do zobaczyska! – woła za mną, gdy odchodzę. – Pan niedługo wróci.

Druga po południu. Byłem w domu raptem dziesięć minut, przebrałem się i wyszedłem podlać rośliny, gdy nadjeżdża Sofia.

– Nieplanowany przystanek – oznajmia, idąc podjazdem.

Jestem pewien, że okrążyła nasz kwartał ulic, czekając, aż wrócę.

– Wciąż myślę o tobie i Wielkiej BM.

Kładzie ręce na biodrach i wzdycha scenicznie.

– Było lepiej, niż się spodziewałem. Jestem ci doprawdy wdzięczny, dzięki – mówię.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Tyle się nauczyłam o tobie, Nacie i Afryce Południowej! Jak smakował tort? Zapomniałam spytać.

– Idealny.

– Cieszę się. Nie byłam pewna, czy się uda – inna woda, wysokość, piece! Nie wiem, czy Sakhile ci powiedział, ale wysłałam cztery dodatkowe pudełka tortu w proszku, żeby mogli zawczasu poeksperymentować.

– Pomyślałaś naprawdę o wszystkim. I o wszystkich żydowskich tradycyjnych akcesoriach. Nie miałem pojęcia, że tak będzie.

Sofia uśmiecha się z dumą.

– Bar micwa i bat micwa to moja specjalność. Koszulki były świetne, nie?

– Fantastyczne, a ten pomysł z piosenką o śpiącym lwie wyborny.

Sofia czerwieni się, wyciąga rękę i dotyka mojej dłoni, zaciśniętej akurat na dyszy węża do podlewania. Rozluźniam ją, dysza mi wypada, woda strzela szerokim kręgiem i raptem przestaje, kiedy końcówka uderza o ziemię.

– Wiesz – mówi Sofia, nie zwracając uwagi na wąż – łączycy nas coś głębszego niż zwykła więź klienta

z organizatorem.

Milczę.

– Jestem tobą naprawdę zainteresowana.

– Nie mogę.

– Nie jesteś zainteresowany?

– Jestem zaangażowany.

Cofam się o krok.

– Myślałam, że ona uciekła.

Milczę.

– Dla ciebie romans z mężatką to zaangażowanie? –  
pyta.

– To działa.

Sofia chwilę się zastanawia.

– A co powiesz na trójkąt?

Kręcę głową.

– Ani trochę cię nie kusi?

– Nie mogę.

Jesteśmy za domem, tańcząc dziwny taniec. Ona robi krok naprzód, ja dwa kroki w tył. Ona idzie w prawo, ja w lewo.

– Nie wierzę ci – oznajmia, a potem rzuca się impulsywnie w moją stronę i przewraca mnie na fotel wypoczynkowy.

Widzę, że przez okno w kuchni zerka na ogród Madeline.

– Cy! – krzyczy przeraźliwie. – Na pomoc!

Niczym łącznik uczelnianej drużyny futbolowej Cy

wypada przez drzwi, zbiega po schodkach, pędzi z lewej jak stalowa kula do rozbijania murów, mocno uderza w Sofię i zwała ją na bok.

Mija chwila. Sofia wstaje, otrzepuje się i spogląda na niego.

– Dziękuję, pewnie potknęłam się na korzeniu... – mówi. – Będziemy w kontakcie – zwraca się do mnie i już jej nie ma.

Piszę do Cheryl, że miała rację co do Sofii. W odpowiedzi Cheryl pyta, czy Sofia zaproponowała trójkąt.

„Tak, skąd wiedziałaś?” – piszę.

„Najpierw spytała mnie – odpisuje. – Odparłam, że to zależy od ciebie, ale musi spytać”. – Pauza. – „Znasz mnie – dodaje. – Interesuje mnie wszystko...”.

Cheryl zaprasza Madeline, Cya i mnie na kolację – w drugiej połowie tygodnia, przed wyjazdem na miesiąc do Maine.

„Na traw-becue – pisze – barbecue na trawie z Edem i chłopcami”.

Cy i Madeline są podekscytowani.

– Od dawna nikt nas nie zapraszał na kolację – mówi Madeline, a potem szepcze głośno, że po kompromitacji Cya spadli towarzysko w oczach niemal wszystkich znajomych.

– Ja znikąd nie spadłem – mruczy Cy. – Ukradłem pieniądze. To częstsze, niż myślisz.

Madeline i ja robimy galaretkę – w zielonej zanurzamy cząstki ananasa, w żółtej – pomarańczy, a w czerwonej zielone winogrona. Nigdy dotąd takiej nie robiłem – jest cudowna.

Gdy przyjeżdżamy do Cheryl, podwórce jest zadymione i przesycone wonią pieczonego mięsa.

Trzej chłopcy, Tad, Brad i Lad, pomagają ojcu, który kręci się przy czymś, co wygląda jak skrzyżowanie paleniska z antycznym wychodkiem.

– Wybudowaliśmy własną wędzarnię – chwali się Ed, witając nas.

– To legalne? – pytam.

Kiwa głową.

– Właścicielom domów coś się należy.

– Mam nadzieję, że wasi sąsiedzi nie są wegetarianami.

– Od małego wędzę mięso. Ojciec i ja polowaliśmy i oprawialiśmy wszystko, co zabiliśmy: ptactwo, dziczyznę itepe. – Ed klepie mnie w plecy. – Nie mam z kim polować. Moich chłopców to nie ciągnie, może moglibyśmy zapolować razem?

– Może – mówię, przekonany, że łowy z mężem mojej partnerki seksualnej to kiepski pomysł.

Zasiadamy do kolacji. Madeline i Cy po moich bokach, Tad, Brad i Lad po drugiej stronie stołu piknikowego. Ich pękate figury grożą kompletną utratą równowagi. Chłopcy podają misy z sałatką ziemniaczaną, z białą

kapustą z majonezem i z chlebem kukurydzianym. Ed otwiera wędzarnię, o mało nie dusząc biesiadników.

– To wasze dzieło? – pytam.

Ed i Cheryl kiwają głowami.

– Lubimy robić to sami.

Wszystko jest pyszne, mało że smaczne, niemal boskie.

– Nie wiem, jak ci się to udaje – mówię do Eda, gdy Cheryl, zajętej odnoszeniem talerzy, nie ma przy stole.

– Mam farta, Har – ukuwa na poczekaniu nowe zdrobienie mojego imienia. – Cheryl i ja mamy siebie na dobre i na złe. Życie jest długie, więc po co je sobie uprzykrzać? Nie trzymam się żadnych twardych, trwałych zasad. Bawię się, cieszę życiem.

Nie potrafię powiedzieć, czy Ed jest geniuszem, czy skończonym kretynem.

Cheryl wraca z naszym, wyłożonym na talerz – trzęsącym się jak tłuscioszka – tortem galaretkowym, a chłopcy przynoszą pojemnik z domowymi lodami miętowymi.

Zajadamy się. Wszystko jest w porządku aż do chwili, kiedy Cy po trzeciej dokładnie przypomina sobie, że jest strasznie uczulony na laktozę, więc pędzimy jak szaleni do domu.

Pomimo letniego upału, ponad trzydziestu stopni



w dzień, Madeline i Cyowi jest bez przerwy zimno. W domu i na zewnątrz noszą rozpinane swetry. Z piwnicy wyciągam stare ekrany, wkładam je w okna i nie włączam klimatyzacji. Jest to lato z dawnych czasów: w ciągu dnia upał wzrasta. Tessie leży na płytkowej podłodze w holu frontowym i dyszy. Po południu są burze z piorunami, a w nocy słychać melancholijny stuk owadów zderzających się z ekranami w oknach.

Lipiec zbliża się do końca. Przez upał wszystko się dłuży, omdlewa, spowalnia. Madeline i Cy cofają się w świat z przeszłości. Jest coś uroczego w ich nieśpiesznie wyparowujących, widmowych opowieściach, niewolnych od korekt, zamazanych miejsc i zamkniętych drzwi – wydarzeń zapomnianych dawno temu.

Zabieram ich do parku, gdzie jest muszla koncertowa, i patrzę na nich tańczących na trawniku jak trzydzieści lat wcześniej.

– Jaka jest tajemnica waszego długiego małżeństwa? – pytam któregoś ranka Madeline.

– Nie obarczamy się nawzajem uczuciami – odpowiada. – Pewna moja znajoma nazwała to nieprzerwanym tanem.

– Tanem?

– Zalotami. Kiedy się zalecasz, pokazujesz się z najlepszej strony. Ale potem za często się degenerujemy

i wychodzi z nas najgorsze. Chciałbyś, żeby osoba, z którą żyjesz, budziła się i codziennie oglądała to, co w tobie najgorsze?

Pewnego dnia Cy, zirytowany na jedno z dzieci z Afryki Południowej, piekli się, każe mu „się spakować i wynieść. Nic tu po tobie, nie masz co tu siedzieć i się łudzić, że wyjdzie na twoje. Nie ma tak dobrze, bratku. Nie chcę cię tu więcej widzieć”.

– To nie twoje dziecko. – Madeline odbiera mu plastikową lalkę. – Jest moje.

– Moje! – oświadcza Cy i z nieoczekiwaną zaborczością wyrywa jej lalkę.

Kiedy już myślę, że potrzebna będzie moja interwencja, godzą się.

– Dobrze. – Zirytowany Cy patrzy lalce prosto w oczy. – Dam ci jeszcze jedną szansę, tylko nie nawal.

Od tej chwili nie rozstaje się z lalką, trzyma ją pod pachą, przy boku, jak piłkę. Zabiera ze sobą prawie wszędzie, nazywając swoim brązowym bratem, a niekiedy żoną.

Do powrotu dzieci do domu zajmuję się pracą nad książką. Otoczony wentylatorami, które wytwarzają wietrzny biały szum, stworzyłem sobie warsztat na poddaszu. Papiery zaścielające stary rozkładany stolik przytrzymuję kamieniami z ogrodu. Upał mnie inspiruje

niczym bokseńska sala treningowa. Rozebrany do spodenek gimnastycznych, stukam w klawiaturę, po twarzy spływają mi strużki potu, a mój własny treściwy, dojrzały odór dopinguje mnie do cięższej pracy – jestem na to gotów czy nie, książka musi być skończona.

Ostrą szpachlą do zeskrobywania starej farby otwieram okienko w dachu. Szkło jest faliste. Skąpane w tęczowych refleksach światła otoczenie wygląda lepiej niż w rzeczywistości. Poruszam się ostrożnie, zważając, by nie walnąć głową w belki. Są tu rzeczy z dawnych czasów: mundur z drugiej wojny światowej, stare pluszowe misie, wiekowe łóżeczko dziecięce. Odkurzam je i znoszę na dół dla Madeline, która natychmiast zamienia je w żłobek przy łóżku.

Zwrot „ja cię kocham, a ty śpisz” nabiera nowego sensu, kiedy przedzierając się przez strony z minionych piętnastu lat, konstatuje, że wszystko, co napisał, spowija kokon obronnego tonu, pełen wahań i kluczenia, wycofywania się z postawionych wcześniej tez. Dość szczypania się – pierdolić to! Dick Nixon był Amerykaninem tamtych czasów, pławiącym się w zawistnych domysłach, że innym wszystko przychodzi łatwo. Był istną nawałnicą teraźniejszości, przeszłości i przyszłości, prawości i kłamstwa, wyższości moralnej i buty, narkotyku, który był i jest Amerykańskim Marzeniem, pragnieniem, by mieć więcej, pragnieniem, by mieć to, co ma ktoś inny, pragnieniem, by mieć

wszystko.

W konkluzji: osąd opinii publicznej lat siedemdziesiątych był mieszczański i bezlitosny. Po przesądzeniu losu polityka i ustaleniu jego rangi historycznej w świecie nie było wiele miejsca na zmiany. Zastanawiam się, czy dziś byłoby inaczej: gdyby RNM przyznał się (co nieprawdopodobne) i przypisał swoje uczynki i wady traumie dorastania w rodzinie Nixonów, to czyby go usprawiedliwiono? Czy wzlot, spadek popularności bądź historycznego znaczenia to gra ustawiona?

Zbliżając się do zakończenia, łapię się na tym, że myślę o Claire. Gdyby mogła mnie teraz zobaczyć... to czy zrobiłbym na niej wrażenie? Gdy przestaję się nad tym zastanawiać, staje się jasne, że nic z tego, co robię, nie miałoby dla niej sensu. Wędruję myślami do dziekana mojego byłego wydziału, Bena Schwartza, który uważał, że nigdy nie skończę książki. Jak by na to zareagował? Odbija mi się. Powalający smak – herbata Londisizwe! Uchodzący ze mnie paskudny zapach to moje najmniejsze zmartwienie. Te myśli biegną utartym szlakiem, muszę się ich pozbyć.

Jest środek popołudnia na początku sierpnia. Dzwonię to Tuttle'a. Odbiera mój telefon.

– Pan tutaj? – pytam. – Myślałem, że w sierpniu

psychiatrzy biorą wolne.

– Ja na odwrót – mówi. – Odpoczywam w lipcu. W sierpniu nabijam jak szalony nadgodziny za kolegów, którzy wolą się byczyć w Wellfleet.

Ustalamy godzinę wizyty. W jego gabinecie jest lodowato. Po drugiej stronie biurka, gdzie poprzednio stała kolekcja kubków ze Smoothie King, stoi szereg kubków po kawie z Dunkin' Donuts.

– Otworzyli bar dla zmotoryzowanych klientów – wyjaśnia Tuttle.

– Prawie skończyłem książkę – informuję. – Ale mam wrażenie, jakbym czekał na coś, co się jeszcze wydarzy i sprawi, że odczuję ulgę.

– Jest pan zadowolony z książki?

– Chcę, żeby ktoś ją przeczytał.

– Fantazjuje pan na czyjś temat? Kim jest pańska muza?

– To Richard Milhous Nixon.

– Co chciałby pan od niego usłyszeć?

– „Dziękuję”? – sugeruję tęsknie. – „Światu potrzeba więcej takich ludzi jak pan, Silver. Dobry z pana człowiek”.

– Nixon to dla pana autorytet?

– Nie wykluczam – mówię po dłuższej pauzie.

– Dlaczego nie powie pan po prostu „tak”? Co to dla pana znaczy?

Wbijam wzrok w podłogę, spływam zimnym potem,

nie mogę spojrzeć Tuttle'owi w oczy.

– Co to znaczy? – ponawia pytanie.

– Szanuję go, ale myślę, że postąpił źle! – wyrzucam z siebie.

– Stwierdza pan to w swojej książce?

– Nie dosłownie.

– Dlaczego?

– George to paranoiczny gnębiciel, nie pojmuję, co dla niego dobre, i cokolwiek robię, widzi we mnie wroga!

Zapada długa cisza.

– A Nixon? – pyta Tuttle.

– Nie wiem, czy Nixon byłby psychicznie zdolny przyznać się do jakiegokolwiek błędu. Rozpaczliwie pragnął uważać się za człowieka przyzwoitego.

– Sądzi pan, że pańska książka jest dobra?

– Niekiedy myślę, że jest świetna, że wskrzesza dyskusję nie tylko o Nixonie, ale i o całej epoce. A kiedy indziej zastanawiam się, czy nie jest tylko kulturowym bezoarem<sup>[38]</sup>, którego wykrztuszenie z siebie zajęło mi lata.

– Z opinią kogo z żyjących pan się liczy?

– Remnicka? – podsuwam niepewnie, bo od czasu naszej rozmowy mam z jakiegoś powodu obsesję na jego punkcie.

– Naprawdę skończył pan książkę?

– Można tak powiedzieć. Po prostu czekam, że coś się wydarzy.

– Czeka pan, że coś się wydarzy? Na przykład co?

Nie mam odpowiedzi.

– A czy nie od pana samego zależy, żeby coś się wydarzyło?

Przez resztę sesji milczymy. Kiedy wychodzę, wręcza mi złożoną kartkę papieru w kolorze zielonej mięty. W głowie mam pustkę.

– Świadcstwo zdrowia psychicznego dla nowojorskiego wydziału opieki społecznej – mówi.

– Dziękuję.

– Jestem otwarty na dalszą pracę nad panem – dodaje.

– Proszę się odezwać, gdyby pan coś planował.

Z gabinetu Tuttle'a jadę odwiedzić matkę. Na parkingu domu opieki urządzono wielką nadziemną pływalnię z szerokim cedrowym pomostem, parasolami, fotelami i długą rampą dla wózków, biegnącą od drzwi wejściowych do zainstalowanej na brzegu zjeżdżalni, po której rezydenci mogą zrobić „szuuu!” do wody.

– Jeszcze! – woła jakiś mężczyzna. – Chcę zjechać jeszcze raz. To jak Coney Island.

Dostrzegam matkę. Siedząc pod parasolem, sący z plastikowego kubka mrożoną herbatę, zadając szyku w kostiumie kąpielowym w czarno-białe kropki i okularach przeciwsłonecznych w stylu Jackie Kennedy.

– Mamo. Wyglądasz dziesięć lat młodziej – komplementuję ją.

– Zawsze lubiłam przebywać nad wodą – mówi.

– Gdzie twój mąż? – pytam.

Rozglądając się dookoła, widzę, że wszyscy pensjonariusze, mężczyźni i kobiety, mają na sobie warianty – męskie i damskie wersje – tego samego stroju. W sumie wygląda to jak występ geriatrycznego cyrku.

– Wielka wyprzedaż – mówi jeden z pielęgniarzy. – Kup sztukę za pełną cenę, weź, ile chcesz, za pół. Kupiliśmy wszystkie.

– Cała naprzód! – krzyczy ktoś i wskakuje do wody.

– Pamiętajcie! – woła ratownik. – Nie popychamy, nie przyskamy, nie załatwiamy się do wody.

– Jak się czujesz? – pytam matkę.

– Dobrze – mówi. – Pojechaliśmy na wycieczkę do homarowni, a że zapłaciliśmy awansem, mogliśmy się najeść ile wlezie. Ja osobiście nie jem dużo, ale zdaniem Bobby'ego było warto. A ty gdzie byłeś?

– W Afryce Południowej.

Patrzy na mnie dziwnie.

– Nate był w Afryce na wycieczce szkolnej, chciał wrócić, więc zdecydowaliśmy, że urządzimy tam jego bar micwę.

– I nie zaprosiłeś własnej matki?!

– Zaprosiłem. Odesłałaś kartkę zwrotną z brzydkimi uwagami o szwarcach.

– Mam prawo do własnej opinii.

– Jeśli można to nazwać opinią – mówię. – Mamy na to inne słowo...



– Jakie?

– „Rasizm”?

– Szaaa. Nie tak głośno, ktoś usłyszy.

Milkniemy na chwilę.

– Nie rozumiem tego – mówi.

– Czego?

– Czemuś taki ambitny? Czemu myślisz, że wszystkich musisz prześcignąć? Wesele u Pierre’a – (miał je tam George, nie ja) – przyjęcie świąteczne w Four Seasons – (znowu George). – Nie wystarczy mieć normalną bar micwę i miły Siostrzany Lunch, takie jak zrobiliśmy tobie?

– Szczerze mówiąc – prostuję, pomijając kwestię George’a – swoją bar micwę dzieliłem z Solomonem Bernsteinem.

– Z korzyścią dla interesów ojca. Zyskał trochę nowej klienteli.

– Kilka osób się zatręło jedzeniem.

– Nikt nie umarł.

Przez parę minut milczymy. Widzę Boba w basenie; w pływakach na ramionach rozmawia z jakąś kobietą.

– I co, miesiąc miodowy się skończył? – pytam matkę, wskazując go głową.

– Dopiero się zaczął.

Dzwoni Sofia, chce się ze mną spotkać na kawie.

– Musimy porozmawiać.

– Osobiście? – pytam nerwowo, mając w pamięci, że mało brakowało, aby nasze ostatnie spotkanie źle się skończyło.

– Nie będę ci się narzucać – przyrzeka. – Chcę omówić afrykańską imprezę oraz wydatki i przekazać ci najświeższe dane o zebranych funduszach. Poza tym nie ustaliliśmy mojego honorarium.

– Dobrze.

Umawiamy się w miejscowej restauracji.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz – mówi. – Zamieściłam w sieci stronę o tobie, dzieciakach i waszej podróży. Zrobiłam to tak, żeby nieznajomi, którzy o tym przeczytają, mogli ofiarować pieniądze. Sakhile powiedział mi kiedyś, że istnieją obcy, nieznani nam ludzie, których obchodzimy. Zainteresowało mnie to.

Kiwam głową.

– Niebywałe! Ponad stu przesłało datki, od dziesięciu dolarów do pięciuset, setka ludzi, którzy nie chcą w zamian nic.

– Ile jest na tym koncercie BM? – pytam.

– Do wczoraj zebrało się w sumie dwadzieścia siedem tysięcy trzysta osiemdziesiąt dziewięć dolarów i osiemdziesiąt sześć centów. Nate będzie musiał zapłacić od nich podatek. Nie przypuszczałam, że zbierze się tego aż tyle. Gdybym wiedziała, moglibyśmy założyć coś non-profit. Chcesz potrącić od tej sumy wydatki?

– Nie. Za bar micwę płacę oddzielnie. Niczego nie będziemy potrącać od datków.

– To ogromna suma. Zastanawiam się, czy przekazać ją całą od razu. Jak postąpić?

– Spytam o to Nate’a, gdy wróci z wakacji.

– Dobrze. Tak więc co do mego honorarium...

Szykuje się do zadania ciosu, myślę, teraz mnie dopadnie... Byłem twardy, więc walnie mnie po kieszeni. Zbieram się w sobie.

– Zazwyczaj liczę sobie od trzech i pół do pięciu tysięcy, ale w tym przypadku chcę ofiarować część swojego honorarium. Wystarczy mi półtora tysiąca, jeśli ci to odpowiada.

Rumienie się, zaskoczony.

– To przemiłe z twojej strony, doprawdy szczodre – mówię, zakłopotany własnymi myślami.

– Mówiłam serio, współpraca z tobą to przyjemność. Bardzo ją sobie cenię.

– Dziękuję.

Posyła mi spojrzenie.

– Proszę cię, przyrzekłaś – błagam.

– Nie miej za złe dziewczynie, że próbuje – odpowiada z uśmiechem.

W każdy piątek wieczorem zabieram Madeline i Cya na chińszczyznę. Państwo Gao, właściciele restauracji, pytają, czy słyszałem o jakiejś wolnej nieruchomości w pobliżu – dojazdy z Brooklynu stają się dla nich nazbyt uciążliwe.

Przychodzi mi na myśl, że mógłbym im wynająć dom Cya i Madeline, co pokryłoby przynajmniej bieżące koszty jego utrzymania. W sobotę rano zabieram państwa Gao, żeby go obejrżeli.

– To dom z Amerykańskiego Marzenia – mówi pani Gao. – Dom z serialu *Leave It to Believer*[\[39\]](#).

Ze sposobu, w jaki pani Gao dotyka tu rzeczy, wnioskuję, że w wystroju domu wzrusza ją akurat to, co mnie odstręcza – dla niej jest to jak muzeum amerykańskości.

– Nie stać nas na niego – mówi żonie pan Gao.

– Stać – mówię. – Dogadamy się.

Pytam, ile płaci obecnie za wynajem i czy w tej cenie są media. Oferuję im dom, z kosztami mediów włącznie. Za sto dolarów miesięcznie mniej, niż płacą.

– Stawia pan twarde warunki – mówi pan Gao.

Żona daje mu klapsa dłonią.

– Z ciebie zawsze wyłazi sknera. – Grozi mu palcem. – Nie rujnuj mi tego. – Obraca się ku mnie. – Dziękuję. Jesteśmy bardzo wdzięczni.

– Mam nadzieję, że będziecie tu szczęśliwi.

Sierpniowe dni są piekielnie upalne, brakuje powietrza. Każde popołudnie przerywają burze z piorunami. Zaczynają się pomiędzy piątą trzydzieści a szóstą, często powodując wyłączenie prądu. Kupuję dodatkowe latarki, baterie, świece i pilnuję, żeby kolacja była gotowa – na wszelki wypadek – przed piątą.

– Na co zmarła Amanda? – pyta któregoś popołudnia Madeline, kiedy szybko wzbierają czarne chmury i przez dzielnicę przewala się echo pierwszych niskich grzmotów.

– Amanda? – powtarzam zaskoczony.

Madeline kiwa głową.

– Na co umarła? – ponawia pytanie. – Wciąż myślę o tych dzieciach, które straciły matkę. Musimy o nie zadbać.

Dochodzi do mnie, że połączyła w jedną brakującą osobę Amandę i Jane.

– Odeszła nagle – mówię. – Miała coś z głową.

– Wciąż ją bolała – wspomina Madeline.

– Nie dało się tego przewidzieć.

– Mieliśmy jeszcze jedno dziecko, niemowlę, zgasło, nim skończyło roczek. Amanda i jej siostra tego nie pamiętają. Kiedy się urodziło, były całkiem małe.

– Myślę, że wiedziały – mówię cicho, myśląc

o przywiązaniu Amandy do Heather Ryan.

– Możliwe. Z pewnością wiedziały, że coś jest nie tak, bo Amanda wciąż robiła dla mnie kartki z życzeniami powrotu do zdrowia.

Rozdmuchanie przez media wiadomości o wycofaniu publikacji opowiadania Nixona wystarcza, bym uzyskał dostęp do agentów. Nawiązuję korespondencję z Franklinem Furnessem, wywodzącym się ze starego politycznego rodu właścicielem średniej wielkości agencji literackiej specjalizującej się w amerykańskiej historii i polityce. „Lubimy reprezentować autorów o skrajnych poglądach, przerażają mnie ci z centrum – pisze do mnie. – Centrum nie zrodzi nic dobrego, to, co ciekawe, dzieje się na obrzeżach”. Furness zgadza się zająć moją książką i obiecuje przedstawić opinię, kiedy tylko nadeślę ostateczną wersję tekstu.

Pewnego czwartku w sierpniu, o piątej trzydzieści siedem rano, godzinie utrwalonej tylko dlatego, że na niej zatrzymał się zegarek, piorun uderzył w rosnący przy domu klon, rozłupując go jak wybuch, który mógł być tylko dziełem nieba. Rozszczepił drzewo tak, że jedna jego połowa pozostała tam, gdzie była od pół wieku,

druga zaś zwała się na dom, a gruby konar przebił ścianę gabinetu George'a i w jednej chwili zmienił pokój w arboretum.

Wstrząs i towarzyszący mu śwąd czegoś płonącego wyrzuca mnie z wąskiego łóżka w służbówce obok kuchni. Chwytam spod zlewu gaśnicę i gorączkowo przeszukuję dom. Po odkryciu drzewa w gabinecie George'a pędzę na górę i zastaję Madeline oplatającą ramionami Cya, który siedzi na łóżku sztywno, jakby kij połknął, i krzyczy:

– Papa wypalił z derringera!

– Zły sen.

Madeline klepie męża po plecach.

Wypadam na korytarz i spuszczam schodki na strych.

Poddasze wypełnia woń ozonu, spalonych jaj, prochu, rozpirzonych i zdezorganizowanych cząsteczek.

Mój laptop stoi na składanym stoliku, a jego uśpiony ekran nie pokazuje już ciągu zdjęć z wycieczki do Afryki Południowej. Mruga, zacina się, szuka samego siebie – ślepnie.

Ściana wokół gniazdka, gdzie tkwił kabel, jest czarna. Jakieś pół metra nad nią widać na deskach okopcone odciski palca prądu.

Nie ma ognia.

Tessie skowyczy u podnóża schodków na poddasze. Madeline i Cy stoją w nocnych strojach i patrzą w górę.

– Wezwać kawalerię? – pyta Cy.

Na to czekałem?

To koniec książki. Sfajczyła się. Nie trzeba jej już czytelować, po prostu szeszła, ściślej – implodowała elektronicznie.

Rzecz nie w tym, że wersja z komputera była jedyna. Są jej kopie, rozmaite warianty, iteracje, trzy na pendrive'ach, w tym jedna zakopana na podwórzu w kapsule czasu – w ogniotrwałej kasetce, którą kupiłem w sklepie z narzędziami – jeszcze jedna dołączona do mejla przesłanego Franklinowi Furnessowi.

Kiedy indziej wpadłbym w histerię z powodu utraconych zmian w ostatniej zapisanej wersji, być może, porażony, oniemiałbym na widok mrugającego, ściemniałego ekranu. Jednak, o dziwo, czuję ulgę. Tak jakby to, co nosiłem ze sobą bardzo długo, ulotniło się, opary się rozproszyły. Nie muszę robić nic, jedynie pogodzić się z tym, że to koniec. Finis. Jestem wolny. I dziwnie radosny.

A potem przypomina mi się Londisizwe. Może książka o Nixonie była tym paskudztwem, którego trzymałem się jak towarzysza? To ona żyła we mnie i musiałem ją z siebie wydalić? Tak?



Tuż przed planowanym powrotem dzieci z obozu szpital, w którym zmarła Jane, przekazuje mi list z dołączoną kartką samoprzylepną z tekstem: „Otrzymaliśmy ten list dwa tygodnie temu. Przepraszam za zwłokę w jego przesłaniu; byłem na wakacjach. Jeśli Pana nie zainteresuje, nie musi Pan na niego odpowiadać. Ale gdyby zechciał Pan odpisać, chętnie posłużyłbym za poufnego kuriera. Mam nadzieję, że miło spędza Pan lato. Najlepszego”. Notka podpisana jest przez lekarza, który zajmował się Jane.

*Witam, nazywam się Avery i piszę, żeby podziękować Panu za dar życia. Mieszkam w Ohio. Zanim otrzymałam Waszą darowiznę, bardzo długo byłam na liście oczekujących na serce i płuca. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, czy będę żyć wystarczająco długo, żeby mieć okazję napisać do Pana. Wskutek Waszej tragicznej straty otrzymałam niewiarygodny dar, drugą szansę na życie, dlatego chcę podziękować Panu i Pańskiej rodzinie. Mam nadzieję, że pocieszy Was wiadomość, co mi dało serce i płuca najbliższej Wam osoby – dzięki przeszczepowi odzyskałam siły i mogę oddychać na tyle sprawnie, żeby się poruszać i wchodzić po schodach. Mogłam wrócić na studia i dokończyć licencjat. Mam nadzieję kontynuować naukę i zostać opiekunką społeczną, a może i poetką. Poza tym – to wspaniała wieść – zaręczyłam się. Od lat kocham cudownego człowieka. Nie mogłam jednak przyjąć jego oświadczyn, dopóki nie*

*zdobyłam pewności, że możemy przeżyć ze sobą długie lata. Całkiem niedawno wybraliśmy się w podróż do Kalifornii. Było cudownie. Powodem do napisania tego listu jest również to, że – jeśli się Pan zgodzi – z wielką chęcią spotkałabym się z Panem i podziękowała za wszystko osobiście. Wiem, że to trudne, ale mam nadzieję, że widząc, jak ogromną radość sprawiła mi dana przez Pana szansa życia, łatwiej będzie się Panu uporać ze stratą ukochanej osoby. Niecierpliwie czekam na wiadomość.*

Avery

Czytam list, nie mogąc powstrzymać łez. Płacę z powodu Avery, Jane, Ashley, Nate'a i Ricarda. Płacę z powodu wszystkich. Wreszcie przestaję. Przestaję, bo Cy i Madeline czekają, żebym ich gdzieś zabrał. Tessie domaga się posiłku, za kilka dni do domu wrócą z obozu dzieci i trzeba załatwić kilka spraw. Odkładam list Avery.

Dzieci wracają, mocniejsze i pewniejsze siebie niż przedtem. Ricardo przyjeżdża z medalami za pływanie, łucznictwo i sporty wodne. Opalony na złoty brąz, szczuplejszy, wyższy, swobodny w ruchach jak golfista i tenisista. Nie bierze leków, zażywa za to ruchu oraz

aminokwasy, a także mieszanę tranową, która według niego smakuje jak stopione lody. Próbuję jej i o mało nie zwracam. Ashley ma piersi, których, przysięgłbym, nie miała cztery tygodnie wcześniej. Jest zabawnym połączeniem dziewczynki i kobiety, aż nazbyt świadomej wrażenia, jakie robi. Nad górną wargą Nate'a pojawił się ciemny meszek, głos mu grubieje. Wszyscy kipią opowieściami o przyjaźniach, przygodach, tajnych językach, pełni euforii po południowoafrykańskiej podróży, przedłużonej pobytem na letnim obozie. Widzę, że nie tylko rozwinęli się fizycznie, ale też inaczej myślą – odkryli własne możliwości.

Ricardo ofiarowuje mi zrobiony własnoręcznie portfel – kawałki obszytej skóry z wyciętymi moimi inicjałami. Ashley wykonała ramkę na pamiątki, która wygląda jak telewizor z namalowanym portrecikiem jej matki na ekranie. Nate przywozi szczątki zwierząt – czaszkę wiewiórki, skórę węża – znalezione w lasach wokół obozu i tuzin sowych wypluwek, które rozłupuje, pokazując nam, jak zidentyfikować zjedzone przez sowę zwierzę.

Do inauguracji szkoły pozostały tylko dwa tygodnie. Zbieram dzieci i mówię im o Avery.

- Chciałybyście ją poznać?
- Tak – potwierdzają jednoznacznie.
- A czy ona jest jak nowa mama? – pyta Ashley,

domagając się dalszych wyjaśnień.

– Nie – zaprzeczam.

– Jak macocha? – próbuje znowu.

– Nie za bardzo.

– Mama przeszczepiona?

– A może po prostu pani z Ohio – proponuje Nate. – Nie jest naszą krewną.

– Ale ma serce i płuca mamy. To zmienia, kim dla nas jest, nie sądzisz? Jest bardziej naszą mamą niż ktokolwiek inny oprócz nas.

Nate wzrusza ramionami.

– Wiesz co? Dla ciebie ona może być, kimkolwiek chcesz.

– Dziękuję – mówi Ashley.

Wyjaśniam rzecz dzieciom, a potem próbuję to wyjaśnić Cyowi i Madeline, którzy nie całkiem kojarzą. Dociera do nich co najwyżej, że ta kobieta, Avery, dostała w spadku coś cennego, co należało do Jane.

Cy wygląda na zdenerwowanego.

– Ja sprzedawałem zwykle ubezpieczenia – powtarza wciąż od nowa. – Nie zajmowałem się szczegółami technicznymi. Kiedy umarli, to już nie wracali. Czy aby w grę nie wchodzi tu majątek powierniczy?

– Przyjeżdża wyłącznie po to, żeby podziękować – tłumaczę.

– Dlaczego moja mama nie oddała swoich organów? – pyta mnie wieczorem w cztery oczy Ricardo. – Wolno to robić tylko bogatym białym?

– Nie, wolno każdemu. Ale musisz o tym zdecydować zawczasu, a po śmierci twoje organy muszą się zachować w takim stanie, żeby nadawały się do przeszczepu.

– Co znaczy „do przeszczepu”?

– Twoja mama zmarła na miejscu po wypadku samochodowym. Jane zmarła w szpitalu, gdzie utrzymywali ją jakiś czas przy życiu, podając tlen, dzięki czemu jej organy pozostały zdrowe. Usunęli je dopiero potem, tak szybko, jak to było możliwe.

– Żeby oddać organy, musisz umrzeć?

– Na ogół. Niektóre organy człowiek ma po dwa, na przykład nerki, wtedy można oddać jedną, nawet kiedy żyjesz.

– Chcę oddać jakiś organ – deklaruje Ricardo.

Kiwam głową.

– Piękny pomysł – mówię. – Ale nie możesz oddać żadnego organu, dopóki nie dorośniesz.

– Trudno – mówi. – Ale jak tylko dorosnę, oddam wszystkie.

W sobotę w południe spotykamy się z Avery i jej narzeczoną w barze hamburgerowym w mieście. Lubił do niego wpadać George, ponieważ go znali i zawsze

sadzali tak, że mógł widzieć obraz na obu telewizorach. Nienawidziłem tego lokalu, bo miałem wrażenie, że zachodzą tam żałośni mężowie, by wyrwawszy się choćby na godzinkę z domu, pocieszyć się w towarzystwie innych skubańców i piwa.

Avery i Mark, jej narzeczony, już są. Gdy wchodzimy, widzimy, że nerwowo grzebią w miętówkach przy kasie.

Ona jest drobna, krótko ostrzyżona jak Jean Seberg albo Mia Farrow.

– Ty z pewnością jesteś Avery – mówię, kiedy podchodzimy.

– Jejku. Ależ was dużo – dziwi się.

– Jestem Ashley – przedstawia się Ashley, wyciągając rękę.

– Nate.

Nate trzyma się z tyłu i tylko macha ręką.

– Ricardo.

Ricardo ściska dłonie Avery i Markowi.

Przedstawiam Cya i Madeline i proponuję, żebyśmy usiedli przy stole.

– Miła atmosfera, bardzo swojska – mówi Avery. – Mam wrażenie, jakbym już tu była.

– To bar hamburgerowy. Wszędzie wyglądają podobnie – wtrąca Mark.

– Ten mi się podoba.

Gdy kelnerka przyjmuje od nas zamówienie i Avery prosi o dobrze wypieczonego burgera, Ashley komentuje,

że jej matka lubiła właśnie takie. Avery uśmiecha się.

– Mogę spytać... dlaczego potrzebowałaś przeszczepu?  
– jest ciekaw Nate. – Oczywiście nie musisz odpowiadać, jeśli to zbyt osobiste pytanie.

– Nie, nie – mówi Avery. – Miałam wadę wrodzoną. W wieku kilkunastu lat stan mojego zdrowia znacznie się pogorszył. W lecie nie mogłam wychodzić z domu, bo nie wolno mi było się pocić. Nie mogłam uprawiać żadnych sportów, używać soli, brałam mnóstwo środków moczopędnych, furosemid, digoxin, żelazo, witaminy. Wciąż groziła mi nagła śmierć. Wychodząc z domu rano, zastanawiałam się, czy wrócę. Właśnie wtedy zaczęłam pisać wiersze. Pisałam wiersze, żeby radzić sobie ze stresem. Jeden poświęciłam nawet mojemu przyjazdowi tutaj.

Zjawiają się nasze napoje. Ricardo kruszy pierwsze lody, rzucając w Marka ponad stołem papierkiem, w który była zapakowana słomka.

– Czy przy przeszczepie dali ci wybór, od kogo będą narządy? – pyta Nate. – To znaczy od kobiety, mężczyzny czy może...?

Avery kręci głową.

– Lista oczekujących na organy jest bardzo długa. Czekasz i czekasz, a potem lekarze muszą zdecydować, czy dawca jest odpowiedni. Może to dziwne, ale kobiety niezbyt dobrze czują się z męskimi sercami.

– Gdzie się poznaliście? – pyta Ashley, patrząc na

Marka.

– W poczekalni u kardiologa. Byłem tam z babcią.

– Przypomnijcie mi, jak oni są z nami spokrewnieni? – odzywa się Madeline.

– Nie są! – oznajmia stanowczo Nate.

– A jak jest w Ohio? – pytam Avery, próbując zatuszować niezręczną sytuację. Zastanawiam się, czy tylko ja to dostrzegam.

– Miło. Bardzo miło. Uświadomiłam to sobie, kiedy po raz pierwszy opuściłam swój stan z nowym sercem.

– Powiedzieli ci o niej cokolwiek? – pyta Nate.

– Nie. Zachowują poufność. To poważna sprawa, niektórzy wolą, by ich nie informowano. Chciałbyś mi coś powiedzieć?

Zjawiają się hamburgery.

– Moja matka byłaby szczęśliwa. Lubiała pomagać innym. Była bardzo wielkoduszna.

Głos Nate'a łamie się z emocji.

Kiedy Avery musi iść do toalety, Ashley idzie z nią. Później zdradza mi, że Avery pokazała jej bliznę biegnącą przez środek ciała jak zamek błyskawiczny.

Mark, który pozostał przy stole, opowiada, jak bardzo Avery jest nam wdzięczna za to spotkanie.

– Po przeszczepie było jej ciężko. Trochę się zmieniła, trudno mi to określić, ale dręczą ją niedobre sny, ciemne myśli.

– To poważna operacja – mówię.



– Umieranie jest gorsze – replikuje i nic do tego nie można dodać.

– Naprawdę chcę wam bardzo podziękować – mówi Avery po powrocie z toalety.

Już nie siada. To jeden z tych posiłków, które kończą się, zanim ktokolwiek coś zjadł.

Cy zawija swojego hamburgera i wsuwa go do kieszeni marynarki. Ricardo, który to widzi, idzie za jego przykładem, dodając gofrowane frytki. Gdy wychodzimy, Ashley pyta Avery i Marka, czy wpadną do nas. Nate wygląda jak porażony.

– Pewnie – mówi Avery. – Na króciutko.

Ruszam pod górkę w stronę domu, Mark jedzie za mną. Zerkam w lusterko wsteczne.

– Dobrze się czujesz, dzieciaku? – pytam Nate’a.

– Nie! – zaprzecza. – Nie czuję się dobrze!

Kiedy wjeżdżam na podjazd, pierwszy wysiada z auta i wchodzi do domu. Otwarte drzwi wejściowe wyglądają jak dziura, jak otwarta rana.

Mark i Avery parkują przy krawężniku. Tessie wypada w podskokach z domu, staje na brzegu trawnika i szczeka.

– Nie lubi ludzi? – pyta Avery.

– Jest bardzo przyjacielska, ale nie przekracza linii – mówi Madeline.

– Linii?

Mark okrąża samochód, przechodząc na stronę, po

której siedzi Avery.

– Niewidocznego płotu – wyjaśniam.

Avery wysiada z auta i stoi, patrząc na dom, lecz raptem traci równowagę, chwieje się i siada z powrotem na fotelu.

– Auuu... Auuu...

– Co z tobą? – pyta Mark.

– Tessie – mówię błagalnie. – Nie szczerkaj.

– Moja głowa.

– Uderzyła się pani? – pytam.

– Nie, nagle mnie zabolą.

– Często ma pani bóle głowy?

– Nie! – odpowiada, jakby zirytowały ją moje pytania. – To nie jest jak ból głowy. Mam wrażenie, że coś w nią wali, uderza. Och, nie czuję się dobrze, czuję się bardzo źle.

– Chwileczkę!

Ashley pędzi do domu, żeby coś z niego przynieść.

– To ten dom? – pyta Avery.

– Tu mieszkają – mówi Mark.

– Tak – potwierdzam, dobrze wiedząc, do czego ona zmierza.

– Głowa boli mnie dlatego, że to zdarzyło się tutaj.

– Przesadzasz.

W głosie Marka słysząc, że walczy z myślą, iż jego narzeczona nie jest już osobą, którą była.

– Nie przesadza – wtrącam, licząc, że w ten sposób

dodam im otuchy. – Serce Jane wie... – Mówię im o pamięci komórkowej i przytaczam historię dziewczyny, której przeszczepiono serce dziesięcioletniej ofiary morderstwa. – Zaczęły ją dręczyć straszne sny i w końcu w sprawę zaangażowano policję. W snach owa dziewczyna wiernie odtworzyła zdarzenie i dostarczyła wskazówek, dzięki którym rozwiązano zagadkę zbrodni.

– Chyba czas na nas – mówi Mark.

Ashley wybiega z domu z prezentem, który zapakowała dla Avery.

– To coś, co zrobiłam dla mamy – wyjaśnia. – Chcę, żebyś to wzięła.

– Dziękuję.

Po Avery widać, że głowa boli ją jeszcze bardziej.

Mark uruchamia samochód i wrzuca bieg. Auto szarpie do tyłu. Wszyscy się odsuwamy.

– Muszę jechać, kochani. Bądźmy w kontakcie... – żegna się Avery.

– Nie do końca pojmuję, czego ona chciała – mówi Madeline, patrząc na odjeżdżający samochód.

– Nie chcę jej więcej widzieć – oświadcza Nate, kiedy wszyscy znów jesteśmy w środku. – To było zbyt dziwne, jak zwiastun któregoś z tych filmów... M. Nighta Shyamalana.

Nate wstaje w nocy. Słyszę kroki i nakrywam go

w salonie.

– Co się stało? – pytam.

Nie odpowiada.

– Lunatykujesz?

Potrząsa głową, że nie. Siada na kanapie.

– Po co ona przyjechała? Jakby chciała od nas potwierdzenia, że nie wadzi nam, iż ma serce mamy, że jej współczujemy z powodu tego, co czuje! Czy naszym obowiązkiem jest poprawić jej samopoczucie?! A jeżeli nam to wadzi, bardzo wadzi?! Dlaczego w trakcie spotkania nikt ani przez chwilę nie pomyślał o mnie albo Ashley?

Gada, gada, gada. Nie przerywam mu. Patrzę. Słucham. Poklepuję po plecach. Kiwa się w przód i w tył, gromadzi w sobie żale... i wyrzuca. Wychodzą z niego wszelkie uczucia z przeszłości – w pewnych chwilach płacze, krzyczy, patrzy błędnym wzrokiem. Ashley i Ricardo stają na szczycie schodów i pytają, czy wszystko w porządku.

– Tak – mówię. – Nate się zdenerwował, ale nic mu nie będzie.

Właściwie nie jestem tego pewien. Wybuchnął. Wyrzuca z siebie wszystko, co tak długo tłumił.

W salonie jest z nami Tessie, co również pomaga. W pewnej chwili zaczynamy rozmawiać o wyprawie do Afryki Południowej – wspomnienia o naszych przygodach zdają się go uspokajać. Mówię mu o stronie

w internecie, którą stworzyła Sofia, o zamieszczonych tam zdjęciach i historiach, wybranych z mejli, jakie jej przesłałem, i o obcych ludziach, którzy odwiedzili tę stronę i przekazali darowiznę. Informuję go, że na koncie zebrało się blisko trzydzieści tysięcy dolarów.

– Mówisz to, żeby poprawić mi humor.

– Nate, jest wpół do drugiej w nocy. Po co miałbym kłamać?

Prowadzę go do komputera George'a i pokazuję stronę z pochlebnymi komentarzami ludzi, zadziwionych, że tak młoda osoba działa na rzecz zmian społecznych.

– To autentyczne pieniądze? Naprawdę je mamy?

– Tak – zapewniam. – Są na twoim koncie bankowym.

– Mogę jutro zadzwonić do Sofii i jej podziękować? Nie miałem pojęcia, że tak bardzo się w to zaangażowała. Zdumiewające, że ktoś bezinteresownie okazał tyle serca.

– Tak, to niezwykle.

– No i powinniśmy znaleźć czas, żeby porozmawiać z Sakhile, co zrobić z tymi pieniędzmi. Wyślemy mu zaraz mejla?

– Pewnie – mówię i wysyłamy. – A może spróbowałibyśmy się trochę przespać? – proponuję.

Kiwa głową na zgodę.

– Nate, naprawdę przepraszam cię za dzisiaj. Gdybym sądził, że tak cię to przygnębi, nie zaproponowałbym tego spotkania.

– Nie wiedziałem, że tak będzie.

Idę za nim po schodach, a potem korytarzem do jego pokoju.

– Poczytasz mi? – pyta.

– Jasne – mówię.

Bierze z półki książkę znaną mu z dzieciństwa i wpełza do łóżka. Czytam mu jak małemu chłopcu, a gdy to robię, Ricardo budzi się ponownie i też słucha. Kiedy kończę, całuję Nate'a w głowę na dobranoc. Nie zapominam też o Ricardzie.

– Mam się nią przejmować? – pyta Nate, gdy opuszczam pokój.

– Nie.

Rano zastaję kilka mejli od Sakhile z pytaniem, kiedy możemy porozmawiać – odpowiada mu każdy termin. Jest ciekaw, ile pieniędzy dostaną i kiedy.

Umawiamy się na zebranie w wiosce via Skype. Nate'owi zostawiam poinformowanie Afrykanów o stronie w internecie i darowiznach.

– Ile? – pyta za pośrednictwem Skype'a podekscytowany Sakhile.

Nate gładko unika bezpośredniej odpowiedzi.

– Sporo – mówi. – Dość, byście to odczuli.

Rozmowa szybko zamienia się w koncert potrzeb. Z Afryki Południowej słyszymy, że wioska powinna mieć samochód albo bus, który kursowałby do większych miast i z powrotem.

– Bus nie wchodzi w grę – stwierdza Nate. – Pomyślmy

o tym, co możliwe, o rzeczach, które poprawią życie w wiosce.

– Kabłówka i wielki telewizor? – sugeruje jeden z Afrykanów.

– Myślę raczej o czymś takim jak wykopanie studni – mówi Nate, coraz bardziej napiętym i smutniejszym głosem.

– To bardzo kosztowne – mówi Sakhile.

– Właśnie, niepowtarzalna okazja.

Rozmowa toczy się dalej, a Afrykanie wymieniają rzeczy, które mogliby kupić, od gitar elektrycznych po skutery i lodówki.

– Dosyć! – przerywa Nate. – Stajecie się tacy jak my: nie myślicie o swojej wiosce, rodzicach, dzieciach, przyszłości. Myślicie, że potrzeba wam luksusowego samochodu i ogromnego telewizora.

Wszyscy milkniemy.

– Dzieciak wskazuje drogę – mówi Londisizwe.

– Dziś wieczorem nie podejmiemy decyzji – konkluduję. – Przemyślmy to sobie i niedługo znów porozmawiamy.

– Czuję się okropnie – wyznaje Nate, gdy odchodzimy od komputera. – Stworzyłem potwora.

– Nie ty go stworzyłeś.

– No to go podkarmiłem – mówi Nate, zdegustowany sobą.

– Nikt nie jest na to odporny. W ludzkiej naturze leży

pragnąć, każde pokolenie marzy o czymś lepszym. Ludzie błędnie biorą rzeczy za osiągnięcia, za postęp. Za miarę sukcesu.

– Kto ma więcej zabawek, ten lepszy? – pyta Ricardo.

– Nie musisz im dawać tych pieniędzy – sugeruję.

– Są ich – stwierdza Nate. – Dostałem je dla nich. Cokolwiek z nimi zrobimy, musimy je przeznaczyć na tę wieś, na jej przyszłość: jedzenie, mieszkania, zaopatrzenie w wodę dobrej jakości.

– Imponujesz mi, że tego nie zostawiłeś.

– Nie mogę tego zostawić. Ja to zacząłem.

– Nie wiń ich. Są z innego kraju, ale żyją na tym samym świecie co my.

Święto Pracy spędzamy na pakowaniu i kupowaniu rzeczy do szkoły.

We wtorek odbywamy z Nate'em powrotną pielgrzymkę do akademii. Nate z wyraźnym zadowoleniem oprowadza Cya i Madeline, a Ricardo pyta, czy kiedyś będzie mógł pójść do takiej szkoły.

– Tak – mówię. – Jeżeli zechcesz.

Zostawiamy Nate'a w internacie, Cy daje mu dwadzieścia dolarów „na nieprzewidziane wydatki” i jedziemy do domu. Następnego dnia Ashley i Ricardo zaczynają naukę w szkole publicznej niedaleko domu, a pod koniec tygodnia zapisuję Madeline i Cya na



odbywające się trzy razy w tygodniu zajęcia dla seniorów.

Jesienny zapal do nauki udziela się nawet mojej matce, która powiadamia mnie, że wraz z mężem wraca do szkoły. Zapisali się na OLLI[40], uniwersytet trzeciego wieku, gdzie chodzą na zajęcia z nauk politycznych i teatru radiowego.

Nikt nie zauważa, że jedynie ja nie wróciłem do szkoły. Oficjalnie jestem bez zajęcia. Czuję się z tym nieswojo, ale przezwyciężam stres, urządzając innych.

Dom jest pełen życia. Wciąż ktoś przychodzi i gdzieś się wybiera. Ricardo zaopiekował się żabą i żółwiem i zaczął brać lekcje gry na perkusji. Ashley wznowiła naukę gry na pianinie. W weekendy wypełniamy czas innymi zajęciami, choćby grabieniem liści. Cy i Ricardo znajdują przyjemność w usypywaniu z nich wielkich stosów, a potem albo w nie skaczą, albo po prostu przez nie chodzą i muszą usypywać je z powrotem. Pożyczamy minivana od państwa Gao i jeździmy na grupowe wycieczki, aby oglądać listowie albo zbierać jabłka i dynie. Wszystko przebiega dobrze i na ogół bez komplikacji, z wyjątkiem dwudziestu minut, kiedy Cy gubi się w labiryncie kukurydzy.

Spotykam się z Hiramem P. Moodym, żeby omówić przepływ gotówki. Nie widzi w tym problemu.

– Rodziny są jak małe kraje – twierdzi. – To ekosystem,

odpływy i przyptywy. Cy i Madeline są zabezpieczeni, bo mają pieniądze za wynajem domu, z emerytur i dochody z lokat. Wobec Ashley i Ricarda spełniasz rolę bankomatu, niemniej dzięki pieniądzom z ubezpieczenia na życie Jane, odprawie George'a z telewizji, ich wcześniejszym inwestycjom i ugodzie ze szkołą Ashley jesteś niezwyklejnym farciarzem.

Staram się żyć z własnych środków. Są ograniczone, korzystam jednak z całej garderoby George'a, a gdy wygasa moja polisa ubezpieczeniowa, wykupuję ubezpieczenie zdrowotne dla wolnych strzelców. Poza tym mam niewielkie wymagania i potrzeby.

Wszystkie rachunki notuję w oddzielnych notesach – po jednym na każde z dzieci, jednym dla Cya i Madeline, jednym na moje własne i osobnym na wydatki domowe – starannie zapisując każdy ekspens oraz z jakiego źródła został zapłacony. Dzięki temu nie tylko mam co robić, ale też chroni mnie to przed dręczącą obawą, że zarzucą mi złe zarządzanie.

Cy słabnie, coraz więcej zapomina i ma kłopot z kontrolowaniem siebie. Wszystko to wymusza wizyty u lekarza, który zasadniczo wciąż mówi to samo: „Ma pan, co pan ma, i nie może się spodziewać cudów. Nikt z nas nie jest wieczny”.

Proszę go, żeby wyszedł do mnie z gabinetu na słowo.

Zostawiamy Cya leżącego na stole. Jego blade, bezwłose nogi są niemal sine i pożyłkowane jak oskubane kurczaki.

– Co to znaczy „nikt z nas nie jest wieczny”? – atakuję go tuż za drzwiami, na co wzrusza ramionami. – Ile pan ma lat?

– Trzydzieści siedem.

– Jest pan kurewsko bezczelny!

– Czego pan chce? – pyta. – Środków przeciwbólowych, valium? Pan powie – papla.

– Chcę współczucia, odrobiny zrozumienia, jak to jest siedzieć tu w szpitalnej koszuli jak w całunie pogrzebowym i zamartwiać się, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dobra. – Młody lekarz wraca ze mną do gabinetu, wskazuje na stół do badania, siada obok Cya i zagaduje: – Dobrze mnie pan słyszy?

– Nie musi pan wrzeszczeć – mówi Cy. – Jestem stary, ale nie ślepy. Widzę, że porusza pan ustami.

– Świetnie się pan trzyma! Im częściej będzie pan wychodził i ćwiczył, spacerował, tym lepiej! Niech pan się rusza i cieszy życiem.

Lekarz zeskakuje ze stołu i wypisuje kilka recept: statin na cholesterol Cya, flomax na prostatę, valium na uspokojenie. Puszczą do mnie oko i wychodzi.

Kontynuując swoje zainteresowanie judaicami, Ashley prosi mnie o zakup biletów na Wielkie Świąta – Rosz ha-Szana i Jom Kipur. Nie odnowiwszy członkostwa w kongregacji, do której należeli George i Jane, kupuję bilety przez internet od „syndyka”. Pomysł kupowania biletów na doroczne święto religijne zdecydowanie mnie drażni. Jestem świadom, że dla wielu żydów Wielkie Świąta to doroczna okazja do wizyty w świątyni, a dla synagog do zebrania funduszy na następny rok, ale nie wydaje mi się to w porządku.

Spotykam się na rogu z jakimś gościem i płacę mu sześćset dolarów za dwa bilety „członkowskie” na nabożeństwo Jom Kipur w konserwatywnej świątyni w Scarsdale.

Podniecona Ashley nalega, żeby być tam wcześniej i zająć dobre miejsca. Kiedy po wielu godzinach siedzenia docieramy wreszcie do widui, wspólnego wyznania grzechów, robię to z wszystkimi innymi, bijąc się w pierś i żalując „za me grzechy popełnione przed obliczem Twoim”. Grzechów jest co najmniej dwadzieścia cztery: grzech zdrady, złego serca, wodzenia na pokuszenie, jedzenia tego, co zabronione, dawanie fałszywego świadectwa, szydzenia z innych, pogardzania, przewrotności, buntu przeciw wierze, odwrócenia się od Boga... Biję się w pierś wraz z rabinem wyliczającym nasze niegodziwości. Jestem winien. Jestem winien bardziej, niż zdawałem sobie sprawę.

– Jesteśmy źli – szepcze do mnie Ashley. – Wysłuchaj wszystkiego tego, cośmy popełnili, wszystkich szkód i kłopotów, których byliśmy przyczyną.

Na chwilę przytomnieję.

– Jesteśmy ludźmi, Ashley – mówię. – Żałujemy za grzechy, ponieważ mimo swoich starań wciąż krzywdzimy siebie i innych. Dlatego co roku prosimy tych, których skrzywdziliśmy, aby nam wybaczyli, co roku stajemy przed Bogiem i prosimy o wybaczenie.

Ashley zaczyna płakać.

– To straszne.

– Co takiego? – pytam.

– Być człowiekiem.

Ni stąd, ni zowąd dzwonią do mnie z wydziału opieki społecznej w sprawie ustalenia terminu wizyty domowej w związku z moim podaniem o przyznanie rodzicielstwa zastępczego.

– Ktoś zrezygnował. Pracownik opieki może przyjść do pana jutro czy mam wyznaczyć wizytę na dwudziesty trzeci grudnia?...

– Jutro mi odpowiada. O której?

– Pomiędzy dziewiątą a siedemnastą.

– Nie da się zawęzić tych widełek?

– Nie – mówi kobieta.

– No dobrze.

Opiekunka społeczna podjeżdża o czternastej małym, nijakim samochodem. Tessie szczeka.

– Nie lubię psów – oświadcza wizytatorka, kiedy otwieram drzwi.

– Mam ją zamknąć w drugim pokoju?

– Proszę.

Zakładam Tessie smycz i proszę Madeline, żeby ją przetrzymała. Wprowadzam pracownicę opieki wraz z jej grubą teczką do domu.

– A więc ten chłopiec już tu mieszka? – pyta.

– Od wiosny, na życzenie jego ciotki – wyjaśniam.

– Gdzie śpi? – chce wiedzieć kobieta.

Prowadzę ją do pokoju Nate'a i pokazuję piętrowe łóżko – do Ricarda należy dolne, pełne pluszowych zwierzątek.

– Lubi zwierzęta – mówię, wskazując na żabę i żółwia.

– Jak dojeżdża do szkoły?

– Chodzi tam i wraca razem z moją bratanicą Ashley.

– Dokończył pan szkolenie na rodzica zastępczego?

– Jeszcze nie. Brakło miejsc. Zapisalem się i zacznę je za parę tygodni.

– A przemyślał pan wpływ wychowanka na pańską rodzinę?

– Tak. Rodzina jest zachwycona. Prawdę mówiąc, to był pomysł dzieci.

– Pana podejście do dyscypliny?

– Stanowcze, ale elastyczne.

- Widzę, że mieszka pan z rodzicami.
- Potwierdzam skinieniem głowy i milknę.
- A ta mała szopa na podwórzu?
- Tymczasowa. Wzniesiona na jesień.
- Chłopiec nie może tam spać.
- Kiwam głową.
- Oczywiście.
- W podaniu wymienia pan jednego kota – mówi wizytatorka na widok dwóch przechodzących kotów.
- Kotka miała młode – wyjaśniam i oprowadzam kobietę po reszcie domu.
- Ile dzieci tu mieszka?
- Troje.
- Nie zapomnij o naszych brązowych! – woła Madeline. – Razem pięcioro.
- Pracownica opieki wyraźnie się jeży na słowo „brązowe”.
- To bliźnięta! – Cy przekrzykuje komentatora turnieju golfa.
- Te dzieci to lalki z Afryki Południowej – wyjaśniam. – Bardzo dobrze wpływają na starszych ludzi, którzy traktują je jak prawdziwe.
- Wizytatorka bez zainteresowania kiwa głową.
- Jeśli zostanie pan rodzicem zastępczym, będzie pan łożył na utrzymanie i opiekę. Otrzyma pan dodatek odzieżowy. Można się też ubiegać o sfinansowanie innych wydatków specjalnych, takich jak programy

pozaszkolne, korepetycje, odzież zimowa i stroje na okazje religijne. Ale ze względu na ograniczenia budżetowe proszę tego raczej nie robić. Żeby uniknąć zarzutu wykorzystywania, nie należy pozwalać dziecku gotować, sprzątać ani robić czegokolwiek, co mogłoby być uznane za pracę najemną.

Wręcza mi jakieś dokumenty do podpisania i wychodzi.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zatrudnić tej kobiety do pomocy w domu – mówi Madeline. – Tessie i ja uważamy, że się nie nadaje.



*Dokument chroniony elektronicznym znakiem  
wodnym*

Jestem właśnie w A&P, gdy dzwoni Amanda. Rozglądam się z myślą, że może jest w pobliżu – obserwuje mnie spoza bochenków chleba, wygląda zza góry pomarańczy. Bywam tu często, gdyż zużywamy więcej żywności niż kiedykolwiek przedtem: do zaspokojenia jest wiele apetytów, młodych i starych.

– Gdzie jesteś? – pytam.

Nie chce powiedzieć.

– Dobrze się czujesz?

– W porządku. A ty?

Jej nieoczekiwany telefon zbił mnie z tropu. Zakłócił spokój.

– Dobrze – odpowiadam. – Dziwne, ale jestem w tej chwili w A&P. Zmienili układ półek, dodali nową alejkę, krętą jak wiejska droga, podobno po to, żeby zakupy były bardziej naturalne, odprężyły.

Długa pauza.

– Co poza tym?

– Skończyłem książkę – chwale się, przemilczając historię z piorunem. – Twoi rodzice mają się dobrze. Dzieciaki chodzą do szkoły. Co się z tobą działo?

– Trudno powiedzieć.

Moja irytacja rośnie. Jej nieprzezroczystość, niemożność wyciągnięcia z niej, co naprawdę myśli, która kiedyś mnie intrygowała, teraz drażni.

– Mogę cię o coś spytać? – Zawieszam głos. – Kiedy „coś” się wydarza, to chcesz o tym wiedzieć?

– Nie – oświadcza stanowczo. – Nie chcę, naprawdę. Lubię nie wiedzieć, tylko sobie wyobrazać. Wiedza może coś zmienić. Może sprawić, że zrobię coś na odwrót. Nie chcę żadnych obciążeń.

– No dobrze. Zrób coś dla mnie...

– Co?

– Nie dzwoń więcej na ten numer. – Urywam. – Nie chodzi o ciebie, Amando, ale nie możesz zostawiać rodziców całkiem obcej osobie niczym płaszczy w szatni, a potem w dowolnej chwili zgłaszać się i sprawdzać, czy wszystko jest tak, jak zostawiłaś.

W tle słyszę szelest papieru.

– Dwie rzeczy – mówi, ignorując wszystko, co jej powiedziałem. – Moi rodzice co roku jeżdżą do West Point na mecz futbolowy wojska z marynarką, mają karnety. Wspominali o tym?

– Nie. Ani słowem.

– A dwudziestego piątego września jest rocznica ich ślubu. Czterdziesta piąta.

Gdy to mówi, jestem w dziale mleczarskim, zapelniając wózek niskotłuszczowym mlekiem dla Ricarda, mlekiem bez laktozy dla Cya, sojowym dla

Ashley i błyskawicznym miętowym w proszku mocha latte Maxwella dla Madeline, która nazywa je swoim nałogiem. Wędruję pomiędzy półkami, chwytając chleb, krakersy, ręczniki papierowe, a ona dalej obarcza mnie takimi szczegółami jak przeczyszczenie komina w domu rodziców i sprawdzenie, czy okna zimowe się otwierają. Zасыpuje mnie informacjami, opadającymi wolno jak niesione wietrzykiem jesienne liście. Po kilku następnych minutach mówię:

– Amando, daj spokój, nie musisz się więcej martwić o te rzeczy. To tylko rzeczy, nieważne, bez znaczenia.

– Z których składa się życie. Spisałam to wszystko, żeby ci przekazać.

– To instrukcje obsługi, nie musisz ich przekazywać... Muszę kończyć. – Szykuję się do przerwania rozmowy. – Trzymaj się.

W samochodzie, w drodze do domu, ogarnia mnie lęk. Czy przeszarżowałam? Amanda weźmie na mnie odwet? Wyobrażam sobie, że wkrada się w środku nocy do domu, sprowadza rodziców po schodach i ich zabiera. Wyobrażam więc sobie, że ją uprzedzam, pakuję wszystkich i ukrywamy się jak ludzie objęci programem ochrony świadków. Cy i Madeline są teraz moi. Używam ich, używają ich dzieciaki. Nie mogę pozwolić sobie na to, by ich stracić.

Cy mówi mi, że potrzebuje mojej pomocy.

– Wybierzemy się na małą wycieczkę, wrócimy do starego domu. Coś tam zostawiłem.

– Żaden problem – zapewniam. – Cokolwiek to jest, pani Gao to przywiezie.

– Nie, musimy pojechać we dwóch, tylko ty i ja, z łopata.

– Naprawdę?

– Tak.

Dzwonię do państwa Gao, zawiadamiam ich o naszej niespodziewanej wizycie i proszę, aby udawali, że nas nie widzą. Zaraz po zmroku jedziemy tam z parą szpadli i dwiema latarkami nagłownymi, które nabyłem w sklepie z narzędziami.

Cy robi dziesięć kroków od drzwi do piwnicy, trzy w lewo i zaczyna kopać.

– Jest z pół metra pod ziemią – mówi.

– Ja to zrobię, pozwól, mam mocniejsze plecy.

Przygląda mi się kilka minut, a potem zaczyna kopać drugą dziurę, z ćwierć metra dalej.

– Jest więcej niż jedna? – pytam.

– Siedem albo osiem.

Kopię, aż słyszę, że łopata uderzyła w metal.

– Bingo! – woła Cy.

Padamy na czworaki, oczyszczam z ziemi coś, co okazuje się wojskową skrzynią na amunicję kalibru 0.50, i nagle się pietram.

– Zagrzebałeś na podwórku amunicję, materiały wybuchowe? To niebezpieczne. Możemy wylecieć w powietrze.

– To nie materiały wybuchowe, to gotówka. Włożyłem ją do skrzynek po amunicji, bo są wodoszczelne. Jak myślisz, dlaczego nie zgodziłem się na zamontowanie tu zraszaczy? Bo zrujnowałyby mój plan emerytalny.

Cy chichocze z uciechy.

– Twierdzisz, że zakopałeś tu siedem czy osiem skrzynek z gotówką?

Kiwa radośnie głową.

– Tak, w życiu nie ufałem giełdom, dlatego przez lata odkładałem po trochu wszystko, co się dało.

– Nie ukradłeś tych pieniędzy?

– Nie. – Kręci głową. – Tamte zwróciłem. Te są moje.

– Jesteś pewien, Cy?

– Całkowicie. Kop.

Więc kopię. Kopię godzinami. Znajdujemy sześć skrzynek.

– Dziwne – mówi. – Przysięgłbym, że było więcej.

Wzruszam ramionami. Ledwo żyję, w głowie czuję rwanie, mam wrażenie, że za chwilę dopadnie mnie kolejny udar.

– Wystarczy, Cy. Więcej czy nie, wystarczy.

Kiwa głową.

– W każdej skrzynce jest dziesięć tysięcy – mówi.

– Sześćdziesiąt tysięcy dolarów?

– Sprzedawałem ubezpieczenia, synu, a byłem w tym diablo dobry. Pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych ubezpieczenia były duże. Wszyscy myśleli, że wyparujemy do królestwa niebieskiego... Byłem zapobiegliwy, chomikowałem każdą premię, każdy dodatkowy zarobek. Dobrze wiem, że opieka nade mną i Madeline kosztuje niemało – dodaje, gdy kończymy. – Zbliża się Boże Narodzenie i chcę zrobić coś dla dzieci. Może kupię im trochę państwowych obligacji skarbowych. A poza tym, wyznam szczerze, zawsze chciałem mieć kolejkę od Lionela. W każde Boże Narodzenie nadal, mimo swojego wieku, schodzę na dół z nadzieją, że znajdę ją pod choinką. I wiesz co, w tym roku ona tam będzie, bo sam ją sobie kupię. Wybierzesz się ze mną. Pojedziemy do Nowego Jorku i ją weźmiemy. – Milknie. – Jak myślisz, starczy mi na nią?

– Tak, Cy, myślę, że cię na nią stać.

Razem zasypujemy dziury. Planujemy wrócić i naprawić trawnik.

– Zanim zauważą – stwierdza Cy.

Co oczywiście nie jest możliwe, bo państwo Gao, zachodząc w głowę, co robimy, widzieli z okien z tyłu domu, jak przez kilka godzin wykopujemy ciężkie, metalowe zielone skrzynki.

– Nie poprosiłem cię zawczasu o dyskrecję – mówi Cy.  
– Zakładam jednak, że to, co dziś tu się zdarzyło, zostanie

między nami.

– Będę milczał jak grób.

Przychodzi list bez znaczka i adresu zwrotnego. Starannie napisany na maszynie na pięknej błękitnej papeterii.

*Franklin Furness przekazał mi Pański rękopis, pragnąc, bym go zaopiniował jako wewnętrzny konsultant. Zapoznawszy się z tekstem, zapragnąłem napisać do Pana list z gratulacjami. Miło mnie zaskoczyło, że Pańska wiara w marzenia przetrwała wraz z nadzieją, iż serca ludzi nie są aż tak mroczne, jak mogłoby wskazywać ich zachowanie. Smog historii nigdy nie rozwiewa się do końca, pozostaje mnóstwo niewiadomych; dość powiedzieć, że od bardzo dawna nie było w tym kraju „rządów narodu, przez naród i dla narodu”<sup>[41]</sup>. To spółka, wielonarodowa – „kraj wolnych, ojczyzna dzielnych ludzi”<sup>[42]</sup>, ale w wersji Chińskiej Republiki Ludowej. Siły historyczne są niedoceniane, podobnie jak grawitacja nazywana przez fizyków „oddziaływaniem słabym”. Historii zadziwiająco łatwo jest nadać inny kształt. Oto Pan i ja, znajdując się na zewnątrz i w środku wonnego i odrażającego Ducha Czasu, mieszmamy fakty z tym, co jest, mamy nadzieję, fikcją, kipiącą jak pierwotne smołowe jezioro. Jeśli nawet możemy się*

napawać trafnością naszych spiskowych rozważań, że owszem, mieliśmy całkowitą rację, to nasze młode sobowtóry ponownie zajmą się tematem. Czy zdaje Pan sobie sprawę, że zezwolenie na dostęp do tajnych informacji ma w tej chwili osiemset pięćdziesiąt tysięcy pracowników? Nikt nie wie, co kto robi; nawet upoważnieni do takiego wtajemniczenia nie są w stanie zachować tajemnic dla siebie. Plan – albo dziesięć planów – może się wykluwać i przebijać z przeszkodami tak, że jego dojrzewanie zajmuje lata i nikt nim nie kieruje. Oto nowy terroryzm – guziki do naciskania, dzieło ludzi wykonujących swoją pracę bez pojęcia, czemu ona służy i jakie będą jej skutki, co łączy jedno działanie z innym. Taki dron, czyli nominalnie truteń – samiec pszczoły pozbawiony żądła – alias pasożyt najszkodliwszego gatunku. Dziwnie buczący przy uchu – już nie trzmiel, ale owad oszust, który wlatuje do twojego domu, siada na stole albo wpada ci prosto do ucha i na rozkaz, za naciśnięciem komputerowego klawisza, rozwala w drobny mak ciebie i twój dom, i nigdy nie dowiesz się dlaczego. Drony są wśród nas, nie dowiemy się nigdy, kim są ani co się dzieje. Nikt z nas nie ma pojęcia, jak bardzo nas to przerosło. Od tamtego wielkiego wydarzenia – implozji amerykańskiej polityki, genezy naszej ery mroku – minęło czterdzieści dziewięć lat i oto, do czego doszliśmy. Jak się Pan domyśla, pracuję nad własną książką. Zdaje się, że garstka nas myśli podobnie – dźwigamy brzemię, ciężar, który należy zdjąć z naszych piersi, póki nie będzie za późno. W każdym razie



*mam do powiedzenia tylko to: gratuluję. Dobra robota. Świat potrzebuje więcej takich ludzi jak Pan, Silver.*

Przeczytałem list kilka razy. Trudno się nie cieszyć. To właśnie chciałem usłyszeć – potwierdza on moje opinie, podejrzenia, nadzieję, że nie wszystko obróciło się wniwecz. Wnoszę to z reakcji mojego „znajomka” z firmy prawniczej, osobnika z windy. Ale kim on jest? Kimś, kogo powinienem znać? Kimś o sławnym nazwisku? Wkładam list do kieszeni z myślą, że poszperam na ten temat później. Może coś odkryję – sposób wysławiania się, jakieś wyrażenie, które mi się z czymś skojarzą.

Dzwoni Walter Penny z wiadomością, że George’a znowu przenieśli.

– Miał kłopoty z brzuchem, więc wysłaliśmy go tam, gdzie jest lepsza opieka medyczna. Podać panu adres i informację o odwiedzinach? Dawno pan nie widział brata.

– Wciąż pamiętam tamten wypadek.

– Dostał pan czek? – pyta Penny, jakby to załatwiało sprawę.

– Tak, dziękuję.

Podaje mi namiary więzienia.

– To około godziny jazdy od pana, jest stamtąd widok na Hudson.

Jadę następnego dnia. Z zewnątrz więzienie wygląda sielsko, jak stary zamek czy forteca osadzona w bukolicznym krajobrazie. Na parkingu jedno miejsce zarezerwowano dla pracownika miesiąca, którego nazwisko wypisano czerwonymi literami na białej tabliczce. Kiedy wjeżdżam, zerkam na stary budynek z prawej i widzę, jakbym zoczył zjawę, eleganckiego mężczyznę w brązowej sztruksowej marynarce, który wychodzi z frontowych drzwi i zmierza w stronę wiekowego kombi. Wygląda jak duch Johna Cheevera, który wybrał się na przejażdżkę.

Sielskie z zewnątrz więzienie, w środku jest rozpalone jak piec, wilgotne, lepkie i lekko cuchnące. Sprawdzony wykrywaczem metali, wchodzę do poczekalni. Strażnicy przyprowadzają skutego George’a. Rozmawiamy przez otwory wydrążone w grubym pleksiglasie – otwory pełne śliny rodzin wszystkich kryminalistów, które były tu przed nami.

– Jak się czujesz? – pytam.

– A jak mam się czuć?

– To był wypadek – mówię.  
– Czy ja proszę cię o zdanie?  
– Wyglądasz fatalnie. Walter wspomniał, że byłeś w szpitalu.

– Miałem zapalenie odbytu i rzeżączkę.

– Co tu się wyrabia?

– Musiałem się postawić. – George z goryczą kręci głową. – Tu jest beznadziejnie. Zęby mi się psują. Czyściłem je cztery razy w roku, a teraz cały czas cuchnie mi z gęby jak z kibla. Sprzedałeś mnie. Wrobiłeś! I za co? Za przepis na ciastka z czekoladowymi wiórkami Lillian.

– O czym ty mówisz?

– Wykorzystałeś to, że lubię słodczy. Użyłeś tych ciastek, żeby mnie ujaić.

– George, przecież ty siedziałeś. To mnie użyli jako żywej tarczy. Zgodziłem się na to, żeby cię chronić. Nie mogłem im odmówić. Trzymali mnie za jaja.

– Ty nie masz jaj.

– Aleś ty miły, George.

Więzień w boksie obok pada na podłogę. Ma atak.

– Jak tam moje róże? – pyta George, gdy do sali wkraczają strażnicy, żeby ją opróżnić i zająć się chorym więźniem.

– Mają plamy. Jeśli dziś nie będzie padać, to je podleję  
– mówię na wychodnym.

We wtorek przed Świętem Dziękczynienia przyjeżdża do domu Nate z kolegą Joshem. Następnego dnia pożyczamy od państwa Gao minivana i jedziemy do Nowego Jorku. Cy, Ricardo, Josh i ja idziemy do Sklepu Lionela, a Ashley i Madeline mają w planach fryzjera i lunch. W śródmieściu kłębi się od ludzi. Czuję się jak turysta popychany w tłumie.

Sprzedawcy od Lionela dłuższą chwilę zajmuje zrozumienie, dla kogo jest pociąg, ale w końcu załapuje sprawę i siedemset dolarów oraz wiele akcesoriów później opuszczamy sklep – obaj chłopcy z ciężkimi torbami. Zabieram ich na lody. Okazuje się, że Nate nigdy nie jadł lodów z bananem i śmietaną. Zamawiam dwa do stolika, na co Cy patrzy na mnie spođe łba.

– To mój wielki dzień – mówi. – Niech każdy dostanie swoje.

Tak robimy.

Po zjedzeniu lodów spotykamy się z Ashley i Madeline, które nie tylko się uczesały, ale zrobiły sobie manicure i pedicure.

– Jeszcze jeden przystanek – mówi Cy, kiedy ładujemy się do minivana, i kieruje mnie na Osiemdziesiątą Siódmą Ulicę od strony Muzeum Historii Naturalnej.

– Przed paradą zamykają wiele ulic, nie wiem, jak blisko mogę podjechać – uprzedzam.

– Podjedź najbliżej, jak możesz – mówi Cy.

Parkuję kilka przecznic od muzeum i podążamy

gęsiego za Cyem, z chóralną czkawką przeprosin wpadając na ludzi: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. Przed zamkniętym rogiem ulic Osiemdziesiątej Pierwszej i Central Park West Cy szepcze coś do policjanta i wyciąga z portfela stare prawo jazdy. Madeline najwyraźniej wie, co kombinuje jej mąż, bo widzę, że się uśmiecha.

– Oczywiście – mówi policjant, robi przejście i nas przepuszcza.

Cy uśmiecha się, zadowolony z siebie. Znaleźliśmy się w gronie nielicznych pieszych wybrańców pośrodku ulicy, gdzie nadmuchiwane są figury i platformy do parady.

– Betty Boop ma w pupie węża! – pokazuje Cy.

– Betty Pup! – wykrzykuje Ricardo.

– Jak się tu dostaliśmy? – pyta Nate.

– Nadal mam w rękawie parę asów – mówi Cy.

– Kiedyś mieszkaliśmy na tej ulicy – wyjaśnia Madeline. – Przez wiele, wiele lat. Nasze dorastające córki bawiły się w Central Parku, kiedy było słońce, i pośród dioram w Muzeum Historii Naturalnej, gdy było zimno i padało.

– Super – komentuje Nate.

– Pamiętam te parady z dzieciństwa. Byłem tu, kiedy po raz pierwszy wzleciała Myszka Miki i kiedy śpiewała Ethel Merman – wspomina Cy.

– Nie wiedziałem – mówię, gdy chodzimy tam

i z powrotem.

Dzieciaki podziwiają wielkie nadmuchane figury Betty Boop, Kermita, Shreka, Supermana. Utrzymywane na uwięzi przez siatki, worki z piaskiem i liny, olbrzymie balony kąpią się w jaskrawych, niemal zabójczych białych światłach, którymi steruje obsługa w polietylenowych kombinezonach. Po drugiej stronie muzeum widzę dalsze balony i – wijący się ulicami niebywale długi wąż – publiczność.

– Ale bomba! – zachwyca się Ricardo. – Dziękuję.

Jest magicznie, niemal fantastycznie, nazwałbym to dobrą nostalgią – miłą i zarazem smutną. Zostajemy tam aż do zmroku, kiedy robi się chłodno i zaczyna nas łamać w kościach.

W drodze do domu wszyscy zasypiają w samochodzie. Nie śpię tylko ja. Jadąc Henry Hudson Parkway do Saw Mill, widzę świecące oczy szopa gapiącego się na mnie z pobocza. Zaczyna prószyć śnieg – pierwsze drobne białe płatki, potem większe, jak koronkowe serweteczki pod lampami w domu ciotki Lillian. Otwieram okno. Śnieg wpada do samochodu, obsypując wszystkich magicznym pyłem.

Święto Dziękczynienia. Minał rok – długi jak życie. Nakryto stół. Ashley i Madeline ozdobiły go własnoręcznie wykonanym rogiem obfitości, z którego

na świeżo wyprasowany obrus wysypuje się jesienna obfitość plonów: tykwy, kabaczki, dynie i – jeśli się bliżej przyjrzeć – zakupione przeze mnie i Ashley w Williamsburgu pielgrzymie buty ze srebrnymi sprzączkami, pełne mięsistych czerwonych i zielonych winogron.

W Święto Dziękczynienia wstaję rano i rozkładam do foremek spody ciast. Wyglądając przez kuchenne okno – za pnem porąbanego klonu, rozdrobnionego i rozsypanego w ogrodzie jako ściółka niczym prochy po pogrzebie – dostrzegam cztery jelenie bezgłośnie drepczące przez podwórze, samca z dwoma jelonkami i łanię. Ogony im drgają, kiedy nachylają się, smakując ogród. Muszę się uśmiechnąć. Jedyne jelenie, którego widziałem niedaleko stąd, był zakrwawioną padliną na poboczu drogi. Madeline, szurając nogami, wsuwa się do kuchni, widzi, że na coś patrzę, i podchodzi, by też spojrzeć. Pochyla się nad zlewem i stuka mocno w szybę.

– To nie spożywczy! – woła.

Ojciec jelenie strzyże uszami, unosi ogon i stadko odchodzi, wiedząc, że nie jest tu dłużej mile widziane.

Madeline pyta mnie, czy zauważyłem, że Cy w pizamie

siedzi na podłodze w salonie i uruchamia swój pociąg.

– Wygląda na szczęśliwego – mówię.

– Bo jest – orzeka Madeline, wyznając, że cieszy się z jego kolejki, bo wątpi, czy Cy dożyje do Bożego Narodzenia.

– Lekarz powiedział, że dobrze się trzyma.

– Rusza się – przyznaje – ale powoli się sypie. Dobrze, że nie cierpi. Mamy szczęście.

Dzieci w piżamach oglądają paradę w telewizji i pomagają Cyowi rozstawić kolejkę. Josh, kolega Nate'a, jest dyslektykiem. Nazywa go „Ante”. Nate wyjaśnia, że esemesując do niego, Josh przekreśla jego imię na „Ante” i że to przywilej się przyjęło. Moje podejrzenie, że są kimś więcej niż kolegami, upada, kiedy Nate wyjawia mi przy śniadaniu, że Josh nie jest zwykłym uczniem akademii. W przyszłym roku, po tym, jak stanie się Jenny, przeniesie się do szkoły koedukacyjnej, dzięki czemu akademia nie będzie musiała się zajmować kwestią genderyzmu.

– Jak się zaprzyjaźniliście? – pytam.

– Obaj robimy na drutach – mówi Nate i pomaga mi włożyć do piecyka nadzianego, zaszytego dziesięciokilowego indora. – Napisałem do ojca. To znaczy zacząłem pisać do niego list, ale zrobił się naprawdę długi – osiemdziesiąt stron. Pokazałem go



opiekunowi w szkole. Powiedział, że to nie list, ale pamiętnik, i chciał, żebym prowadził go dalej. Jestem za młody na pisanie pamiętnika?

Nie znajduję na to odpowiedzi.

Pomiędzy robieniem „świętecznego ponczu” a szukaniem półmiska dość wielkiego dla dziękczynnego indyka, koresponduję przez komórkę z Cheryl. Zapraszam ją wraz z rodziną, ale Święto Dziękczynienia to ważna data dla Eda. Jego siostra gotuje, a Cheryl i Ed tydzień temu zaczęli brać z powrotem leki antycholesterolowe. „Przed włożeniem indyka do piekarnika koniecznie dodajcie cytryny” – radzi Cheryl.

„Za późno”.

„Nigdy nie jest za późno – pisze. – Zanim zacnie brązowieć, owińcie go folią aluminiową. Przez ostatnie pół godziny nie zbrązowieje, a skórka będzie chrupiąca”.

„Czy ktoś rzeczywiście używa dyni do placka dyniowego?” – pytam.

„Nie”.

Przyjeżdżają państwo Gao z gorącym kaczkurdykiem, dopiero co upieczonym w restauracji.

– Pojęcia nie mam, co to ten kaczkurdyk, ale pachnie smakowicie – mówi Madeline, witając ich.

– My również – oznajmia pani Gao. – Widzieliśmy to danie w telewizji. Powiedzieli, że jest bardzo

amerykańskie. Zamówiliśmy je w sieci.

Ciotka i wujek Ricarda przywożą ogromną zapiekankę z ziemniaków i prawoślazu oraz wielką szklaną misę ambrozji. Ricardo na powitanie demonstruje nam dłuższą próbkę tego, czego nauczył się grać na perkusji.

Ching Lan i jej rodzice przyjechali pociągiem z Nowego Jorku. Przywieźli wielkie bukiety kwiatów, a dla dzieci kostki widelkowe na szczęście.

– Indyk ma tylko jedną – mówi jej matka. – Plastikowych jest co dusza zapragnie, rozmnażają szczęście. Bardzo popularne, sprzedajemy je w delikatesach cały tydzień.

Z każdym nowym gościem wszyscy się sobie przedstawiają. Ashley schodzi na dół w sukience z kolonialnego Williamsburga, w szalu i przybraniu głowy, które dostała od Sofii na bar micwę Nate'a. Stała się bardzo religijna, nazywa siebie ostatnio „ortodoksyjną Żydówką”. Akceptuję jej wybór jako fazę przejściową, szczerą młodocianą identyfikację podtrzymującą na duchu. Mam nadzieję, że to krok w stronę samopoznania.

– W czwartek wieczór chcę zapalić świece i pomodlić się – oznajmia.

– W czwartek nie zapala się świecy – perswaduję.

– Ale ciotka Lillian i Jason nigdy nie widzieli, że się modłę.

– Wiem, ale dziś jest Święto Dziękczynienia. Ten

dzień to święto naszych braci chrześcijan. Chciałabyś się pomodlić?

– Niech pomodlą się Cy i Ricardo, ja chciałabym przemówić przy stole.

– Na jaki temat?

– Coś przygotowałam – oznajmia, wracając na górę.

– Dobrze.

Jason i Lillian przywożą sławne pudełko pełne ciastek.

– Nauczyłam Jasona je piec – mówi z dumą Lillian.

– Upiekliśmy je wczoraj razem – dorzuca Jason. – Odtąd możemy mieć zawsze tyle ciastek, ile chcemy.

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem ci dłużej potrzebna, że chodziło ci tylko o moje ciastka?

– Mamo, mówię tylko, że się cieszę, że powierzyłaś mi wreszcie swój przepis.

Lillian rozgląda się.

– A gdzie twoja matka? – pyta. – Myślałam, że na pewno tu będzie. Bardzo chciałam się z nią pogodzić.

– Bob i ona spotykają się ze znajomymi.

– Dziwne, nie sądzisz? Urządzasz świąteczną kolację bez matki?

Nie wspominam o swoich obawach, co by było, gdybym przedstawił ją i Boba Madeline i Cyowi. Jak by na siebie zareagowali? Starliby się o terytorium?

– No cóż, córki Boba zaprosiły na Święto Dziękczynienia tylko jego, bo do niej są zrażone – wyjaśniam. – Oczywiście zaprosiłem oboje, ale jak ujęła

to moja matka: „Nie chcę obciążać Boba rodzinnymi zawiłociami, dość się nacierpiał. Spotkamy się ze znajomymi, w miejscowej restauracji jest promocja. Odwiezie nas minivan. Miło spędzimy czas”.

Przed kolacją robimy mnóstwo zdjęć – grupowych, w salonie. Prawie wszyscy mają aparaty lub smartfony, więc fotografujemy na zmianę – przyjaciół i członków rodziny.

– To ma być nasza kartka świąteczna? – pyta Madeline Cya.

Kiedy idziemy do stołu, słyszę, jak Lillian pyta Jasona:

– A co z tymi wszystkimi Chińczykami? Myślałam, że on się rozwiódł. – Siada przy stole. – Otworzył pensjonat? – mruczy. – To jakieś panoptikum, przypadkowa zbieranina.

Zasiadam u szczytu stołu, wspominając. Myślę o Sakhile i mejlu, który przysłał rano: „Kiedy droga się zwęża, ten za tobą ma pierwszeństwo”.

Myślę o George’u, o jego zapaleniu odbytu, zadając sobie pytanie, co w odległym o godzinę jazdy stąd więzieniu dają im w Święto Dziękczynienia na kolację. Myślę o Cheryl i jej rodzinie. Myślę o Amandzie,

zastanawiając się, czy jest w kraju, czy pożegnała się z tym światem, o rodzicach Heather Ryan pierwszy raz spędzających to święto bez niej i o Walterze Pennym, który pewnie biega przed kolacją.

Zatrzymaj się, mówię sobie, biorąc oddech. Żyj chwilą. Znów oddycham, głęboko. Myślę o Londisizwe, jego herbacie i po tylu miesiącach znowu mi się odbija i czuję jej smak.

Omiatam wzrokiem stół – młodzi i starzy rozmawiają, podają sobie półmiski z indykiem i nadzieniem, słodycze i przystawki, świętują. Ricardo częstuje mnie sosem żurawinowym.

– Zrobiliśmy go z Ashley – chwali się. – Wycisnęliśmy cytryny.

– Sosu nigdy nie za wiele – mówi Cy, gdy w koło krąży sosjerka.

Patrzę na Nate'a i Ashley i wspominam zeszłoroczne Święto Dziękczynienia, kiedy siedzieli zwinięci w fotelach jak bezkręgowce niemrawce, z elektronicznymi gadżetami w dłoniach i z oczami utkwionymi w ekranikach. Poruszały się jedynie ich kciuki. Pamiętam, że patrzyłem na nich z pogardą, gdy siedzieli bezwładni, nieświadomi ujarzmionej matki w kuchni i ojca chełpiącego się przed biesiadnikami. A teraz Nate zwraca się do gości: „Czy nikomu niczego nie brakuje?“, a Ashley pyta Lillian: „Przynieść ci coś jeszcze?“.

W salonie gra telewizor – leci właśnie film *Wielki Joe*.

Na moją prośbę Nate go wyłącza. Oceniam sytuację i odkrywam w sobie zadowolenie. Wypełnia mnie życzliwość, nieskrępowana dobra wola.

Jest Święto Dziękczynienia i nie boję się, że coś je zakłóci. Nie ma zresztą żadnego powodu do kłótni. Brak jakiegokolwiek napięcia, obaw, że coś wybuchnie albo stanie się coś złego. Spostrzegam, że nie mam zmartwień, i choć w przeszłości z braku trosk wpadałem w popłoch, to w tej chwili, zdając sobie sprawę, że nic mnie nie martwi, przechodzę nad tym do porządku dziennego.

Przesuwam wzrokiem po stole, myśląc o ludziach, których znałem. Powitania i pożegnania przelatują przeze mnie jak jesienny wietrzyk. Jestem przenikalny, nic do mnie nie przywiera.

– Modlitwa? – proponuje Cy.

Schylamy głowy.

– *Itadakimasu* – mówi po japońsku Nate. – Przyjmuję z pokorą ten posiłek.

– Ojczy nasz, dzięki Ci za ten dzień, za te pokarmy... – mówi ciotka Ricarda.

– Moja kolej – wpada w słowo Christinie, nim ta kończy, Ashley. – Ten rok to była szalona jazda. Tego lata przeczytałam pewną książkę i chciałabym się nią z wami podzielić.

Zaczyna czytać ze strony, którą wydrukowała:

*Nie myślę wtedy o nieszczęściu, ale o pięknie, które pozostaje. Wyjdź na pola, do natury i słońca, wyjdź i poszukaj szczęścia w samej sobie i w Bogu. Myśl o pięknie, które wciąż rośnie w tobie i poza tobą, i bądź szczęśliwa.*

Bardzo ładne – chwali Cy. – To Whitman? Longfellow?

– Anna Frank.

Cy odczekuje chwilę i unosi kieliszek.

– Chcę wam podziękować, podziękować wszystkim. Był to bardzo dobry rok dla Madeline i dla mnie, powrót do naszego domu. Doprawdy nie wiem, czemu go opuściliśmy. *Le-chaim!*

– Dziękczynienie to święto amerykańskie, nie żydowskie! – głośno szepcze Madeline, nachylając się ku niemu.

Lillian odwraca się do Jasona i wskazując na Madeline i Cya, pyta:

– Co to za ludzie?

Jason wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

– Nie wiedziałam, że rodzice Claire są biali.

– Może Claire była adoptowana – podsuwa Jason.

– À propos, gdzie jest Claire? – pyta Lillian. – Myślałam, że zabili Jane. Claire też zabili?

Jemy, objadamy się, napychamy, żarłocznie pochłaniamy wszystko. Talerze wędrują dwa, trzy razy. Ambrozja Christiny dziwnie uzależnia. Po trzeciej dokładce ciotka Ricarda zdradza mi, że sekretnym składnikiem jest gęsty majonez. Rezygnuję z czwartej dokładki i częstuję się indykiem. Jemy aż do sytości, jemy dalej, jemy do boleści, aż zaczynamy cierpieć, bo taka jest nowa amerykańska tradycja.

– Choć nie przepadam za ziemniakami, wzięłam dwie dokładki.

Ashley odsuwa się od stołu.

– Ten ptak był znakomity – mówi Madeline.

Przed deserem robimy przerwę. Dzieci zespołowo sprzątają ze stołu.

Pani Gao, Ching Lan i jej matka nalegają, że pomogą sprzątnąć. Pani Gao przywiozła dwa plastikowe pojemniki.

– Mój prezent dla was – mówi. – Lubię je. Bekają przy zamykaniu.

Jestem tak napchany, że nie mogę dojść dalej niż do kanapy w salonie. Leżę na niej, myśląc o George’u jedzącym szynkę z indyka z plasterkami żurawinowej galarety, na której odcisnęły się krążki od puszki, grudkowatym sosem, kleistym chlebowym farszem, i się zastanawiam: w więzieniu jest ciasto z dyni? A jeśli jest, to czy w ogóle ma jakiś smak?

Dzieci są na zewnątrz, grają na trawniku przed



domem w futbol z wujem Ricarda i Cyem. Słysząc radosne okrzyki, kiedy futbolowe jajo przechodzi z rąk do rąk.

Rozmowa o wczesnym śniegu, marznącym deszczu.

Minęło trzysta sześćdziesiąt pięć dni od ostrzeżenia, trzysta sześćdziesiąt pięć dni, odkąd Jane przycisnęła się do mnie w kuchni, do mnie z palcami zagłębionymi w indyku. Minął rok od naszego mokrego, tłustego pocałunku.

Pełny rok, a myśl o niej nadal mnie rozpala. Wciąż podnieca.

Niech będzie nam wybaczone... To modlitwa, zaklęcie.

Niech będzie nam wybaczone.

---

<sup>1</sup> Aktor, który w latach osiemdziesiątych, jako synoptyk programu NBC *The Today Show*, składał życzenia urodzinowe stulatkom, w tym stuletniej wielbicielce kotów (wszystkie przypisy tłumaczy).

<sup>2</sup> *Gelt* (jidysz) – pieniądze. W święto Chanuka żydowskie dzieci tradycyjnie dostają w prezencie pieniądze (tu w postaci czekoladek).

<sup>3</sup> Micwa – przykazanie, nakaz boski.

<sup>4</sup> Sziwa – siedmiodniowa ciężka żałoba po pogrzebie.

<sup>5</sup> Z piątego piętra tej składnicy w Dallas 22 listopada 1963 roku Lee Harvey Oswald strzelał do prezydenta J.F. Kennedy'ego.

6 Checkers – cocker spaniel Nixona, Buddy – labrador Clintona.

7 Tu w znaczeniu „przekręt aferzysty”. Eponim od nazwiska Carla Ponziego (1892–1949), twórcy pierwszej w historii [piramidy finansowej](#).

8 Jidysz: głupol, tępak.

9 Kolejno (ang.): Krajowe Stowarzyszenie Pracowników Tartaków, Bez Znaczących Odchyień od Normy, Bez Zobowiązań.

10 *Scared Straight!* – program telewizyjny poświęcony zapobieganiu przestępczości nieletnich.

11 Abraham Zapruder – biznesmen, autor krótkiego amatorskiego filmu dokumentującego zamach na prezydenta [J.F. Kennedy’ego](#).

12 Bohaterowie sitcomu telewizyjnego ABC z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych *The Adventures of Ozzie and Harriet*.

13 Fraza, którą kończył swoje radiowe korespondencje wojenne z Europy Edward R. Murrow, jeden z najślynniejszych dziennikarzy amerykańskich, sprawca politycznego upadku senatora Josepha McCarthy’ego.

14 Główna postać ze sztuki Arthura Millera *Śmierć komiwojażera*.

15 Charles Gregory „Bebe” Rebozo – bankier, bliski przyjaciel i doradca finansowy Richarda Nixona.

16 Prezydent Lyndon B. Johnson.

17 RAND Corporation – organizacja ekspercko-badawcza [non-profit](#), utworzona w latach czterdziestych XX wieku dla potrzeb [Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych](#).

18 Koktajl bezalkoholowy z lemoniady i mrożonej herbaty.

19 Luksusowe centrum odnowy biologicznej w Las Vegas.

[20](#) Ass (ang.) – dupa, głupek.

[21](#) Nazwa wieców protestacyjnych przeciw gwałtom, zainaugurowanych pod tym hasłem w Filadelfii w roku 1975.

[22](#) Jidysz: kiep.

[23](#) Popularna książka dla dzieci Laury Numeroff *If You Give a Mouse a Cookie*.

[24](#) Agencja ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych.

[25](#) *Hogan's Heroes* – serial komediowy z lat sześćdziesiątych o niemieckim obozie wojennym.

[26](#) Jidysz – chuj.

[27](#) Murray M. Chotiner – prawnik, bliski przyjaciel i doradca prezydenta Nixona.

[28](#) Everette Howard Hunt i Frank Anthony Sturgis – agenci CIA, dwaj z kilku Hydraulików związanych z aferą „przeciekową” Watergate.

[29](#) David William Ferrie – amerykański pilot podejrzewany o udział w spisku na życie prezydenta Kennedy'ego.

[30](#) Hebr.: liczba. Zgromadzenie dziesięciu Żydów (mężczyzn) powyżej trzynastego roku życia, niezbędne do odprawienia wspólnych modłów w synagodze i do czytania Tory.

[31](#) Tabletki na bóle miesiączkowe.

[32](#) Doroczna impreza na [pustyni Black Rock](#) w [Nevadzie](#), z rytuałem podpalania kukły symbolizującym pogrzebanie przeszłości.

[33](#) Skrót internetowy: Do twojej wiadomości.

[34](#) *Lecha dodi* (hebr. Przyjdź, umiłowany) – hymn śpiewany

w piątkowy wieczór na powitanie [szabatu](#).

[35](#) *Kamuro* (jap.) – dosłownie: fryzura chłopięca.

[36](#) S'more – biwakowy przysmak złożony z podpieczonych pianek żelowych, pełnoziarnistych herbatników i czekolady.

[37](#) John Lindsay – burmistrz Nowego Jorku w latach 1965–1973.

[38](#) Kamień włosowy.

[39](#) Zabawne przejęzyczenie pani Gao, która ma na myśli kultowy sitcom CBS *Leave It to Beaver* (1957–1963). Beaver to przezwisko jego bohatera.

[40](#) Osher Lifelong Learning Institute.

[41](#) Cytat z przemowy gettysburskiej Lincolna.

[42](#) Cytat z hymnu Stanów Zjednoczonych.



## PODZIĘKOWANIA

Wielkie dzięki za pomoc, przyjaźń i talenty redaktorskie składam: Marie Sanford, Amy Hempel, Katherine Greenberg, Amy Ross, Elliottowi Holtowi, Lisie Randall, Laurie Simmons i Sydowi Sidnerowi, którzy siedzieli przy mnie dniami i tygodniami, dostarczając nadmierne ilości kawy, oraz Claudii Slacik, która udostępniła mi miejsce do pisania.

Dziękuję Zadię Smith za pytanie inspirujące mnie do napisania tej książki, Williamowi Boydowi za wybranie jej pierwszego rozdziału do setnego numeru magazynu „Granta”, Salmanowi Rushdiemu, który później zamieścił ów fragment w zbiorze *The Best American Short Stories* 2008, i Heidi Pitlor, edytorce antologii *Best American Short Stories*.

Dziękuję agentom Andrew Wyliemu, Sarah Chalfant, Charlesowi Buchanowi, Jin Auh i Peterowi Benedekowi na Wybrzeżu Zachodnim oraz prawnikom Marcowi H.

Glickowi i Stephenowi F. Breimerowi.

Dziękuję mojemu redaktorowi w wydawnictwie Viking, Paulowi Slovakowi, z którym wielokrotnie spotykałam się na lunchu, i Sarze Holloway z wydawnictwa Granta w Wielkiej Brytanii, wspaniałej redaktorce i przyjaciółce od dziesięciu lat.

Dziękuję Françoise Nyssen i Marie-Catherine Vacher we Francji, Carlowi Feltrinellemu, Fabiowi Muzi Falconiemu i Marii Baiocchi we Włoszech, Robbertowi Ammerlaanowi w Holandii oraz Helge Malchow i Kerstin Glebie w Niemczech.

Dziękuję Elaine Richardson, Candace Wait i personelowi domu pracy twórczej w Yaddo, bez których nie napisałabym niczego. Specjalne podziękowania dla Catherine Clark, która w roku 2011 przeszła na emeryturę po dwudziestu pięciu latach spędzonych w recepcji, gdzie witała wszystkich dzwoniących swym cudownie spokojnym głosem: „Dzień dobry, tu Yaddo”.

Dziękuję Andre Balazowi, Philipowi Pavelowi i personelowi hotelu Chateau Marmont – mojemu Yaddo na Zachodnim Wybrzeżu.

Dziękuję kolegom z amerykańskiego PEN Clubu i z The Writer's Room w Nowym Jorku.

A na koniec dziękuję bratu i rodzicom – jakże długa i dziwna była to podróż!